

PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM
BÓG JEGO”

Ps. 143.

ROK LIII.

Tom 212.

PAŹDZIERNIK — LISTOPAD — GRUDZIEN

1 9 3 6

WARSZAWA
DRUKARNIA „WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW”

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU

Wspólny front przeciwkomunistyczny.

Przedwojenne pokolenia mogłyby nam współczesnym pozazdrościć szalonego tempa rozwoju historycznych wypadków, nie zazdrościłyby jednak napięcia nerwów, lęku i trosk, które przygniatają pokolenie obecne we wszystkich prawie krajach i to nie tylko starej Europy. W naszych oczach, w okresie kilkunastu lat dokonują się głębokie, wstrząsające przeobrażenia, wypadki o doniosłych konsekwencjach galopują w zawrotną szybkością, sensacje stępiły już wrażliwość nerwów... ale umysły zdają sobie sprawę z faktu, że żyjemy w okresie, który w dziejach Europy i świata stanowić będzie epokę. Nie czas jeszcze na historiozoficzne podsumowanie bilansu dokonanych przeobrażeń, nie wiadomo bowiem, które z nich wykrystalizują się w definitywną formę a które przejdą jak efemeryczne zjawisko, nie zostawiając głębszych kolein w psychice czy w organizacji ustroju. Jeden wszakże fakt góruje niewątpliwie swą doniosłością w chaosie zmian politycznych, społecznych i ekonomicznych a faktem tym jest komunizm.

Przez szereg lat łudzono się u nas, a jeszcze w wyższym stopniu ulegały temu złudzeniu inne, bardziej od Rosji oddalone państwa, że koszmarnie zjawisko sowieckiego komunizmu rozwieje się spontanicznie, że krwawa rewolucja wypali się i zgaśnie, że stworzony przez nią reżim rozsypie się w gruzy swą własną niemocą, pod naporem nie tyle zewnętrznego nacisku ile własnych wewnętrznych sprzeczności. Nie brakło nawet państw, które przewidując rychły upadek czerwonego eksperymentu, pragnęły wyzyskać chwilową dobrą koniunkturę i zasilić czerwonymi rublami swe kasy.

Rozpoczął się wyścig finansowej współpracy a w ślad za nim poszły krótkowzroczne układy polityczne, pakt i przy mierza. Echa ostatnich pertraktacyj francusko i czesko-rosyjskich jeszcze nie przebrzmiały.

Tymczasem, pomimo wewnętrznych wstrząsów, periodycznych buntów, klęsk głodu i sabotażów, państwo sowieckie nie tylko nie załamało się ale skrzepliło, a przystosowawszy skrajne doktryny do wymogów mniej skrajnej rzeczywistości, stało się polityczną i militarną potęgą.

Dziś do garstki niedobitków stopniała liczba optymistów, wieszczących rychły upadek sowieckiego komunizmu. Rosyjska emigracja carskich książąt i carskich gwardzistów, podtrzymująca w szeregu stolic Europy różowe nadzieje, wymiera lub degeneruje się w nędzy; projekty powrotu do ojczyzny na czele białych pułków rosyjskich i zagranicznych zmieniły się w miraż.

Sowieci nie tylko nie upadli, ale stały się zawziętym agentem i promotorem komunizmu w całym świecie. Komintern dał dowody niesłychanego sprytu i olbrzymiej aktywności, oplatając cały dosłownie świat siecią swych zakonspirowanych i jawnych placówek. I nie jest bynajmniej jakąś psychozą twierdzenie, że wszystkie rewolucyjne zamachy, gwałtowne i krwawe strajki, wszystkie skrajnie lewicowe organizacje i polityczne partie stoją dziś w całym świecie pod bezpośrednią lub pośrednią komendą Moskwy. Nie przesadził bynajmniej min. Goebbels, kiedy w swej świeżej mowie norymberskiej obciążył konto Kominternu setką rewolucyjnych krwawych zamieszek za okres tylko ostatniego roku.

Nawet najbardziej naiwny optymista przyznać musi, iż w komunizmie współczesnym tkwi żywiołowa, demoniczna siła, która podminowuje i rozsadza powoli dotychczasowy ustrój i porządek.

Twórcą tej siły nie są osoby. Lenin umarł, Trocki poszedł na wygnanie, dziesiątki najbliższych współpracowników Lenina i Trockiego, współtwórców komunizmu pożarły się w bratobójczej walce — a komunizm trwa i działa. Można szydzić z krwawej farsy moskiewskiego procesu, można ze wzgardą wyrażać się o okrucieństwie Stalina

a ostatecznym spodleniu drżących przed egzekucją podsądnych Zinowiewów... ale bagno moralne, w którym zatoneły resztki godności ludzkiej tych czy innych jednostek, nie wchłonęło samego komunizmu, przetrwał on ostatni proces moskiewski, przetrwa niewątpliwie dalsze procesy i dalsze krwawe masakry. Komunizm nie stoi jednostką, nie stoi nawet partią, stoi i działa idea.

* * *

Idea to równie przewrotna jak i w wielkiej mierze utopijna ale, w dzisiejszej atmosferze przełomu, potężna i porwująca masy.

„Tutaj Moskwa, tutaj Moskwa — proletariusze wszystkich krajów łączcie się“! woła dzień w dzień we wszystkich językach radiostacja moskiewska. Po mocnych akordach rewolucyjnego hymnu idą jeszcze mocniejsze akordy słów, które niczym niezrażone, szczepią ideę i wskazują praktyczne, przemysłane i wypróbowane drogi do jej urzeczywistnienia.

Sowieckie radio toruje drogę w umysłach dla idei, w jej zaś urzeczywistnieniu pomagają wytrawni agenci, kierowani przez najpotężniejszą dziś i najsprawniejszą centralę.

Ideologia komunizmu bije taranem niestrudzonej a możliwie wszechstronnej propagandy w najszerze warstwy przede wszystkim proletariatu. A proletariąt stanowi dziś wielomilionowe masy. Masy zgrupowane głównie na przedmieściach wielkich miast, zbiedzone, zgorzkniałe, targane niekiedy paroksyzmem rozpacz. Tym masom komunizm głosi ewangelię wyzwolenia, dobrobytu, obiecuje jasne mieszkania i suty posiłek oraz rozrywki, obiecuje nadto władzę! W imię tego hasła, które przemawia do rozumu i instynktów a wolę pręży do czynu — mają te masy iść na barykady rewolucji, bo tylko rewolucja może zgnieść kapitalizm a sytą burżuazję odpędzić od pełnego żłobu. Teza jasna i konkretna, nie apeluje do zaświatów, wskazuje na ziemię i jej bogactwa, a że jej urzeczywistnienie nie jest utopią na to dowód namacalny, niezbity: potężna republika sowieców.

Władzę tę obiecuje komunizm proletariatu całego świata, ponad ciasne granice państw i narodów. Ma to

być dyktatura klasy o charakterze międzynarodowym. I znowu w dobie zażartych konfliktów między państwami, w okresie ograniczeń celnych i dewizowych, w epoce wybujałych nacjonalizmów — komunizm rzuca hasło międzynarodówki, nie uznającej kordonów państw, ras i języków.

Komunizm głosi dalej pacyfizm, wypowiada ideową walkę wszelkim wojnom i zbrojeniom. Przedstawia je jako zaborczy imperializm, na którym tuczyć się pragnie anonimowy kapitał. W imię pacyfizmu rozpętał Komintern olbrzymią propagandę przeciw zaborczej ekspedycji Włoch, zestroił we wspólnym ataku olbrzymią część światowej prasy, zamanifestował strajkami i zmobilizował sankcje. I znowu przyznać trzeba, że w dobie szalonego wyścigu międzynarodowych zbrojeń, gdy w powszechnym kryzysie przemysłu tylko fabryki broni idą na trzy zmiany a w kryzysowych budżetach 40, 50% i więcej poświęca się armii — hasła komunizmu nie padają w próżnię.

Pozorną sprzeczność hasła z rzeczywistością w Sowieciech, gdzie armia i militaryzm święcą swe triumfy, tłumaczy propaganda Kominternu bez żadnej trudności. Wszak armia Sowietów, to broń proletariatu, instrument do obalenia czarnej reakcji, do zrealizowania wielkich planów przebudowy ustroju świata.

Z hasłami dyktatury proletariatu, międzynarodówki, pacyfizmu łączy się program reorganizacji ekonomicznego ustroju, która w oparciu o komunistyczny etatyzm ma właśnie zapewnić pełny dobrobyt dla dotychczasowych pariasów miast i wsi.

Jest rzeczą wprost oczywistą, iż system zbudowany na takich przesłankach nie może się oprzeć na żadnej religii a już najmniej może liczyć na sympatie katolicyzmu. Komunizm zbudowany na skrajnym materializmie, niecąc nienawiść klas, nie uznając żadnej etyki, gdy chodzi o zrealizowanie programu, odrzucając wszelkie pojęcie prawa własności — musiał siłą faktu wypowiedzieć zacieklą wojnę wszelkiej religii, a już na pierwszym miejscu katolicyzmowi. Stąd logicznie zrodziła się piatiletka bezbożnicza, a wszelkim ruchom komunistycznym towarzyszy bezwzględny ateizm. Eksperyment Beli Kuna na Węgrzech, Callesa

w Meksyku, Azany i Caballera w Hiszpanii... ilustruje tezę, lecz nie wyczerpuje jej punktów. Jest dziś niewątpliwym faktem, iż cały ruch bezbożniczo-wolnomyślicielski w świecie pozostaje znowu pod bezpośrednią lub pośrednią dyrektywą Moskwy. Zohydowanie i burzenie religii stanowi wstępny atak na dotychczasowy ustrój i toruje drogę dla zamierzeń komunizmu. Zabić sumienia, wyuzdać instynkty, by nie cofnęły się przed żadną zbrodnią rewolucji — oto podstawowy postulat komunistycznej ideologii, związany z nią najistotniej i najgłębiej. Hasło „religia — opium ludu” jest syntezą komunistycznego poglądu na świat.

Reasumując możemy powiedzieć, iż w chwili obecnej największą potęgę w świecie stanowi komunizm, gdyż w dziedzinie idei posiada jasno skryształizowany program, łatwy, nęcący, przemawiający żywiołowo do mas proletariatu, zaś w dziedzinie egzekutywy rozporządza nawskróś nowożytną organizacją propagandy, sztabem zfanatyzowanych i zdecydowanych na wszystko ideowców, potężną armią, bezwzględnością terroru nie skrepowanego żadną etyką, wreszcie wielkimi zasobami finansów, które z niesłychaną rozrzutnością płyną w świat za propagandą. Nie ostatnią pozycję w bilansie sił stanowią potężne aliansy z masonerią, bezbożnictwem i międzynarodowym żydostwem. Jednym z przejawów tego przymierza to fronty ludowe.

*

*

*

Przeciw tej potędze, której grozę uświadamiają sobie coraz więcej poszczególne społeczeństwa, organizuje się powoli wspólny front obrony przed zalewem komunizmu. Zwie się on w języku sowietów faszyzmem. Wszyscy, którzy zwalczają jakąkolwiek z podstawowych tez komunizmu czy ich cały zespół są nazywani faszystami. Nic dziwnego, iż przy tak uproszczonej nomenklaturze znalazł się w obozie faszystów włoski faszyzm, hitleryzm, kapitalizm, liberalizm i katolicyzm...

Rzecz jednak daleko ważniejsza, iż sowieckiej nomenklaturze odpowiada niestety spora doza prawdy i w tym właśnie tkwi równocześnie słabość antykomunistycznego frontu.

Namiętne manifesty kanclerza Hitlera, płomienne występy jego podkomendnych Goebbelsa czy Rosenberga, wspólny chór niemieckiej prasy tworzą w świecie przekonanie, iż krystalizacyjna oś antykomunistycznego frontu biegnie dziś przede wszystkim przez Berlin. Tam najjaśniej mówi się o zorganizowaniu antysowieckiej krucjaty, dla obrony kultury Zachodu. Pogrożki te może poręczać stanowisko Hitlera wobec wypadków hiszpańskich a na wodza predestynuje go militarna potęga, żelazna dyscyplina i świetna organizacja rządzącej w Rzeszy partii.

Nie wchodząc w analizę ubocznych celów niemieckiej polityki i zakulisowych rozgrywek, które niewątpliwie towarzyszą antysowieckiej kampanii Hitlera, można jednak sformułować sceptyczne refleksje na zasadniczy temat skuteczności podjętej kampanii.

Podkreślaliśmy wyżej fakt, iż komunizm zwycięża siłą swej ideologii, porywającej przede wszystkim miejski i wiejski proletariatus oraz część zepchniętej w szeregi proletariatus inteligencji. Otóż ideologię można skutecznie zwyciężyć jedynie potężną ideą. Siła fizyczna potrafi nałożyć kaganiec, może chwilowo zdusić i zgniebić, ale pod popiołem zgłiszcz pozostawia rozżarzone iskry, które grożą nowym wybuchem pożaru.

Otóż ideologii komunizmu przeciwstawia hitleryzm mistykę pogańskiego nacjonalizmu, opartego na kulcie nordyckiej rasy i jej bezwzględnej supremacji w świecie. Mistyka ta porwała za sobą większość niemieckiego narodu, bo trafiła na podłoże obrażonej powojennymi traktatami dumy narodowej, ale nie zjednoczyła całego narodu. Pomimo terroru i zastosowania najostrzejszych represyj znaczna część obywateli Rzeszy, której przekonania religijne brutalnie zgwałcono nie entuzjazmuje się splendorem norymberskich manifestacyj; oczekuje może równie tęsknie zmierzchu hitlerowskiego reżimu jak zagłady komunizmu. A równocześnie byłoby złudzeniem przypuszczać, że miliony niemieckich komunistów i socjalistów dały za wygraną i zrezygnowały z swych aspiracji. Znamienna pogrożka Rosenberga, rzucona świeżo z Norymbergi na fale eteru, że „gdyby komuniści zaryzykowali próbę przewrotu w Niemczech, to

spotkają się z taką represją, iż zdumienie ogarnie nawet samą Moskwę — ma przecież swoją wymowę...

Wydaje nam się rzeczą oczywistą, że hitleryzm nie może porwać swą ideologią mas proletariatu, niemiecki rasizm nie potrafi zwalczyć idei międzynarodowego braterstwa, niemiecki militarizm nie obali idei pacyfizmu, a neo-pogański mistycyzm Rosenberga czy Reventlowa nie może przeciwstawić się zwycięsko sowieckiemu bezbożnictwu. Stąd utarło się powiedzenie, iż zwalczać hitlerizmem komunizm, znaczy tyle mniej więcej co wypędzać diabła Beelzebubem. Jeżeliby więc istotnie Hitler ze swoimi Nazi miał objąć komendę nad antykomunistyczną krucjatą, to można bardzo pesymistycznie oceniać jej widoki powodzenia. Może ona doprowadzić do aneksji tej czy innej prowincji, może zadać bolesne ciosy sowieckiej republice, ale ideologii komunizmu nie zwalczy i nazajutrz, po zwycięskiej ekspedycji hitlerowskich kolumn w głąb Rosji, znowu rozebrzmia na różnych punktach globu fanatyczne okrzyki: „niech żyje Stalin, niech żyją Sowiety, niech żyje rewolucja!”, tego hasła nie zagłuszy okrzyk: *Heil Hitler*.

Byłoby wybijaniem otwartych drzwi oceniać krytycznie szanse liberalizmu i kapitalizmu w starciu z komunizmem; wszak jesteśmy świadkami, jak komunizm rozsądza zwycięsko właśnie ustroje oparte i rozbudowane na tej właśnie ideologii.

Znacznie lepsze widoki powodzenia miałby włoski faszyzm. Jako typ organizacji politycznej i społecznej był on pierwszym protestem zachodniej psychiki i kultury przeciw miazmatom komunizmu; ale przynajmniej otwarcie, iż działalność swą zacieśnił do apenińskiego półwyspu. Stawszy się we wielu punktach prawzorem hitleryzmu, nie posiadał nigdy jego wygórowanych ambicji. Zwycięstwa swojego nie usiłował zdyskontować na szerszym terenie, pozostał zjawiskiem specyficznie włoskim. Zaś marzenia o wskrzeszeniu potęgi „rzymskiego imperium” nie budzą entuzjazmu poza granicami państwa Mussoliniego. Genialny ten organizator, twórca potęgi nowożytnych Włoch, zażegnał wprawdzie w swej ojczyźnie widmo komunizmu, wypenił go prawie doszczętnie w granicach swojego państwa, ale nie stworzył i nie stworzy ideologii,

która mogła by się zmierzyć zwycięsko z komunistyczną doktryną na międzynarodowej arenie.

*

*

*

Czyż zatem nie ma dziś na świecie potęgi, która by była w stanie zbudować tamę przeciw zalewowi komunizmu?

Taką potęgę widzimy jedynie i wyłącznie w katolicyźmie.

Jedynie katolicyzm zdoła przeciwstawić potężną, pełną prawdy ideologię, która z umysłów i serc może wyrugować zatruty posiew komunizmu.

Chryścianizm od samych początków walczył i zwyciężał ideą, a choć karty jego dziejów pisane często krwią i łzami, wstawał zawsze młody i odrodzony z morza krwi wojen, rewolucyj i prześladowań i nieustraszenie głosił swe prawdy i swoje zasady. Nie fizyczną przemocą i nie terrorem, ale ideą przerobił klasyczne pogaństwo a z barbarzyńskich najeźdźców stworzył współczesne cywilizowane narody.

Swych pierwszych adeptów zyskał wśród proletariatu i do plebejuszów wołał: łączcie się, bo błogosławieni ubodzy, płaczący, głodni i spragnieni, cierpiący prześladowanie... Przed oczy wydziedziczonych stawiał ideał żywy Chrystusa, ubożego rzemieślnika i entuzjasty ubóstwa, który z akcentem najserdeczniejszej miłości rzucił wielkie hasło: *pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście...* Katolicyzm to *magna charta libertatis* proletariatu wszystkich czasów, to religia nawskróś demokratyczna, równająca panujących z żebrakami, bo patrzy na duszę i jej ocenia wartości. I poza działaniem łaski tym właśnie nawskróś demokratycznym nastrojom, temu ewangelicznemu podejściu do biednych zawdzięczał zawsze Kościół swe najświeńsze sukcesy. Odchylenie zaś praktyczne od wskazań Mistrza z Nazaretu mściło się zawsze okrutnie w dziejach chrześcijaństwa apostazją i rozkładami. Jest historycznym pewnikiem, iż rozśpiewane ewangelią życie Biedaczyny z Asyżu, zaparcie się siebie Wincentych à Paulo, Beyzymów, Albertów... zrobiło więcej dla podniesienia ludzkości, niż cały splendor i luksus duchownych magnatów renesansu.

I dziś w skarbnicy Kościoła znajdują się te same skarby, tylko trzeba je w wyższym stopniu zaktywizować. Wspaniałe encykliki społeczne ostatnich papieży otwały nowe horyzonty. W dziedzinie teorii społecznej odrobiono wiele. Faktyczna ententa z kapitalizmem, która wbrew teoriiom i ewangelicznej nauce wtargnęła w praktyce w życie Kościoła na wielu odcinkach — została zerwana. Marksizm przestał być wyłącznym prawie opiekunem klas pokrzywdzonych i wyzyskiwanych przez samolubny kapitał. I dlatego właśnie katolicyzm może i powinien stać się tamą przeciw zalewowi komunizmu, apelującego do proletariatu w imię niesłusznych, ale i słusznych jego postulatów.

Katolicyzm musi tylko daleko aktywniej przeprowadzić swą akcję dążenia do sprawiedliwości społecznej. Musi się zająć organizacją obrony społecznej, rozwijając równocześnie jeszcze bujniej swą akcję miłosierdzia. Skąd jednak wziąć środki po temu? A skąd je bierze komunizm? Czyż nie jest skandalem XX-go wieku, iż fanatycy komunizmu potrafią więcej łożyć na akcję przewrotu, niż katolickie społeczeństwa na akcję sprawiedliwości i ładu? Także i rządy państw, które stoją na stanowisku ideologii chrześcijańskiej, czyż nie powinny we własnym interesie poprzeć tej akcji? Tu rysują się zręby wspólnego frontu; nie w krucjacie orężnej widzimy upadek komunizmu, ale w krucjacie sprawiedliwości i miłosierdzia.

Jest publiczną tajemnicą, że komunizm znalazł tak podatny grunt w Hiszpanii, właśnie dlatego, że przy pozornym władztwie katolickich zasad i panowaniu tej religii, zapomniano w wysokim stopniu o nakazach ewangelii i misji Kościoła: obrony biednych, pokrzywdzonych i wyzyskiwanych! Cichy alians z kapitalizmem pęka dziś w trzasku karabinów i grzmocie armat, a w krwi gorącej obmywają się sumienia i mażą się winy. Krucjata religijna! Tak wołają narodowcy hiszpańscy, ale oby ta krucjata stała się równocześnie wstrząsającą rewizją poglądów i odrobieniem ciężkich zaniedbań.

Katolicyzm posiada wszystkie środki, by przemówić do proletariatu i proletariat ten pozyskać, tylko trzeba te środki zastosować bez glossy i bez zastrzeżeń. W przeciwnym

razie okaleczoną ewangelię wypierać będzie hasło: „religia to opium ludu!”

Ale nie na tym koniec, bo będąc z swego powołania patronem i opiekunem proletariatu głosi Kościół równocześnie ideologię wznoszącą się ponad kordony państw i narodów, i na tym więc terenie może również zwycięsko odeprzeć ataki czerwonej międzynarodówki. A internacjonalizm katolicki, w przeciwieństwie do haseł komuny, szanuje zdrowy nacjonalizm i jest jego duchową podporą. Komunizm usiłuje zdusić nacjonalizm jako swego wroga, ale w walce tej przegrać musi, bo to walka z prawem natury, które leży u podstaw ludzkiego jestestwa. Komunizm zaatakował nacjonalizm za jego przerosty, egoizm, ciasnotę i zwyrodnienie, ale w walce tej doszedł do absurdu, zwracając swą nienawiść przeciw nacjonalizmowi wogóle.

Tymczasem właśnie katolicyzm zajmuje wobec nacjonalizmu stanowisko jedynie zgodne z ludzką naturą i jej prawami. Szanując narodowość i jej odrębności, widząc w niej zrządzenie i wolę Stwórcy, równocześnie chroni ją przed zwyrodnieniem egoizmu, nienawiści, rasizmu.

I to jest znowu ideologia, która zwycięża i zwyciężyć musi. Poczucie narodowe płynące z jaźni człowieka to rzecz święta, dar samego Stwórcy, tak uczy Kościół; ale równocześnie pomimo różnic narodowych łączy wszystkie narody we wspólnocie najszlachetniejszych ideałów wszechludzkich, bo Bożych, otwiera horyzonty najidealniejszej współpracy, piętnując jak najostrzej zwyrodnienie egoizmu narodów, przeradzające się w kult rasy czy nienawiść do narodów innych. Hitlerowski rasizm potępi równie mocno, z głębszym przekonaniem, katolicyzm jak moskiewska *Prawda*.

Zbytecznym byłoby uzasadniać, iż katolicyzm jest również ideowym protaagonistą pacyfizmu i to nie obłudnie, jak rosyjski bolszewizm. I w tej więc dziedzinie ideologia chrześcijańska może skutecznie wytrącić broń z rąk komunistycznej propagandy. Wprawdzie nie brak było, nawet i w ostatnim czasie, niepoczytalnych wybryków pewnych jednostek, które uważają się za heroldów katolicyzmu, ale wybryki te można i trzeba potępić w imię ewangelii.

Sumując te fragmentaryczne uwagi możemy powiedzieć, iż zwycięską krucjatę przeciw komunizmowi może przeprowadzić w świecie jedynie katolicyzm, łącząc we wspólnym froncie wszystkich swych wyznawców. Krucjata to nie miecza ale ideologii, sięgająca głębin duszy i w duszach rozbijająca rewoltę. Warunkiem jej powodzenia jest pełnia ewangelii, niesiona na przedmieścia przez heroldów na miarę Franciszka z Assyżu. Tej krucjacie nic się nie oprze, bo byłoby złudzeniem i krzywdą sądzić, że wszyscy komuniści to istoty wynaturzone, krwiożercze, zezwierzęcone. Nie, i w nich tkwi *anima naturaliter christiana*, i w nich drzemie tęsknota, która rwie się do ideału wyższego niż ziemia, władza i użycie. Tylko że w tych duszach rozszalało poczucie krzywdy, które przewrotnie podsyca jeszcze demon bezbożniczej propagandy.

Nie w hitleryźmie, nie w faszyźmie, nie w kapitalizmie widzimy ratunek przed barbarzyńskim zalewem komunizmu, ale jedynie w krucjacie sprawiedliwości i miłości, którą zwycięsko przeprowadzić może demokratyczny a szanujący władzę, międzynarodowy a uznający płomienną miłość ojczyzny, najgłębiej pokojowy a szermujący mieczem najwznioślejszych idei — Kościół katolicki.

W tym więc kierunku wzmocnienia i pomocy dla katolicyzmu powinny iść wysiłki wszystkich rządzących i rządzonych, którym na sercu leży ratunek cywilizacji przed zalewem i pożogą czerwonego barbarzyństwa. Główna oś, dokoła której ma się utworzyć wspólny front, biegnie nie przez Berlin ale przez Watykan.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Szkoła jako czynnik wychowania moralnego.¹⁾

Referat mój obejmować będzie zarówno określenie celu wychowania moralnego ze stanowiska katolickiego, jako też zasad, na których się ono opierać powinno. W szczególności zaś wyróżnię zagadnienie wychowania religijnego, państwowego, społecznego i fizycznego. Pragnę także wypełnić lukę, jaka wynika z tak częstego przemilczania sprawy wychowania narodowego.

Nie zamierzam pogłębiać teoretycznie stanowiska zasadniczego, referat mój opiera się na konfrontacji naszej szkolnej rzeczywistości z zasadami i ideałami katolickimi.

Żyjemy w czasach, w których do wszystkich innych kryzysów dołącza się kryzys pedagogiczny. Nigdy płynność poglądów na zasadnicze zagadnienia wychowawcze nie była większa jak dzisiaj. Nie wystarcza powiedzieć płynność poglądów. Nigdy nie było większego zamieszania i sprzeczności w dziedzinie wychowawczej jak obecnie. Z każdym dniem wzrasta rozbieżność między teorią a praktyką, między treścią a formą wychowania. Z jednej strony zwiększa się w sposób piorunujący ilość dzieł poświęconych sprawie wychowania, z drugiej strony spada w sposób równie gwałtowny poziom wychowania w szkole. Z jednej strony wzrasta się dążność do burzenia wszystkiego, co nam przekazała tradycja wychowania, z drugiej strony zwiększa się niepewność, zamęt i rozbieżność zarówno w dziedzinie zasad, jak i metod

¹⁾ Referat wygłoszony w Wilnie w czasie ostatniego „Studium Katolickiego“.

wychowawczych. Z jednej strony przybywa coraz więcej eksperymentów, nowinek i rzekomych odkryć wychowawczych, z drugiej strony coraz mniej zdrowego rozsądku i poczucia odpowiedzialności za los wychowanków, na których przeprowadza się nowe doświadczenia. Z jednej strony coraz więcej retoryki i pokazów, obliczonych na bezpośredni efekt, z drugiej strony coraz mniej poważnej, spokojnej i systematycznej roboty wychowawczej. — Oto jest obraz rozbieżności, które składają się na to, co nazywamy współczesnym kryzysem wychowawczym.

A tymczasem życie nie czeka. Roczniki młodzieży szkolnej jak fale przepływają przez szkołę i odpływają, aby zrobić miejsce nowym, nie wynosząc ze szkoły prawie niczego, coby im w walce życiowej dało siły lub orientację. Zanim teoretycy wychowania uzgodnią między sobą zapatrywania w zasadniczych sprawach pedagogicznych, zanim praktycy wypróbują wartość zaleconych im zasad i metod, wyjdzie ze szkoły w świat cała generacja bez żadnych prawie kryteriów moralnych, bez jaśniejszych wytycznych, potrzebnych w walce życiowej. Młodzież ta już dziś odczuwa niemoc i niedołęstwo starszej generacji, która ją miała prowadzić, odczuwa swoje osamotnienie, odsuwa się od starszych lub buntuje i szuka oparcia poza szkołą. Dlatego z taką łatwością ulega pozaszkolnym sugestiom w przekonaniu, że gdzie indziej znajdzie to, czego jej szkoła nie dała.

To też nigdy przepaść dzieląca starsze pokolenie od młodszego nie była większa niż obecnie. Gdy starsza generacja marzy tylko o tym, by mogła przynajmniej wieczór swego życia spędzić spokojnie, to młodsza przeczuwa, że czeka ją trud i walka, o jakiej nie śniło się jej ojcom. Dzisiejsza młodzież nie znalazłszy przewodników dla siebie wśród starszych, szuka ich między sobą. Stąd pochodzi fakt, że młodzież dzisiejsza ciąży siłą rzeczy ku tym, którzy dopiero co opuścili szkołę powszechną lub średnią, ulegając z jednej strony wpływom młodzieży szkół wyższych, z drugiej wpływom wszelkiej innej młodzieży z poza terenu szkolnego. Jest to najwięcej znamienne zjawisko dla najmłodszego pokolenia naszej szkolnej młodzieży. Wydaje się, jakoby wszelka możliwość wpływania na dzisiejszą młodzież

przez szkołę została straconą. A jednak tak źle nie jest. Szkoła musi odzyskać swój wpływ na młodzież. Jeśli ma się znów stać czynnikiem wychowania moralnego, winna przede wszystkim naprawić popełnione błędy i odzyskać pełne zaufanie młodzieży. W tym celu musi ona odnaleźć niezawodne kryterium do oceny wszystkich prądów współczesnego życia, których transpozycją na terenie szkolnym są dzisiejsze prądy wychowawcze.

Czy takie kryterium istnieje?

Owszem, istnieje i zawsze istniało u tych, którzy byli szczerymi katolikami.

Wyraża się ono w następującej formule:

Kryzys wychowania jest kryzysem moralności. Załamanie moralne dzisiejszego świata pochodzi stąd, że świat odszedł od Boga i od etyki Kościoła katolickiego.

Ściśle biorąc mamy dziś do czynienia nie tylko z kryzysem wychowania, lecz także z rewolucją. Współczesna rewolucja pedagogiczna jest odbiciem tej rewolucji, jaką widzimy dziś na polu politycznym, społecznym, gospodarczym i kulturalnym. O tej rewolucji, obejmującej cały świat dzisiejszy, my katolicy powinniśmy wiedzieć, że jest ona świadomą robotą wywrotową międzynarodowych żywiołów. Prowadzona jest ona na wszystkich polach i we wszystkich dziedzinach życia. Rewolucji jednak nie zwalcza się, jak to zauważył jeden z francuskich myślicieli, jakąś nową rewolucją, ale twardą i odważną obroną zasad jej przeciwnych. Dzisiejszej rewolucji pedagogicznej nie opanujemy wprowadzaniem nowych zasad i metod, ale nieustępliwą walką o te zasady, z których wyrosło pojęcie wychowania publicznego ludów europejskich, to jest zasad katolickich. Zasady pedagogiczne Kościoła katolickiego nie były nigdy tak sztywne, aby zagradzały drogę do prawdziwego postępu człowieka i ludzkości. Dlatego świadomej robocie wywrotowców na polu pedagogicznym muszą katolicy przeciwstawić świadomy wysiłek, zdążający do przywrócenia ładu i harmonii w zamącony porządek świata.

Musimy przypomnieć, że naczelnym celem wychowania katolickiego jest rozbudzenie w młodzieży dążenia do mo-

ralnej doskonałości. Podstawą wychowania katolickiego jest pogląd, że natura ludzka spaczona przez grzech pierworodny skłonniejszą jest do złego niż do dobrego. Dlatego odrzucamy i potępiamy jako błędną i szkodliwą teorię współczesnego wychowania, wywodzącą się od Rousseau'a, jakoby natura ludzka była sama z siebie skłonniejszą do dobrego.

Po tych wstępnych uwagach przechodzę do poszczególnych zagadnień wychowawczych.

* * *

Wobec stwierdzonego faktu, że prądy bezbożnictwa i komunizmu docierają nawet do umysłów dziecinnych, uważamy dzisiejsze laickie wychowanie szkolne, ograniczające wpływ religii do kilku obowiązkowych godzin religii oraz kilku przymusowych praktyk, za niewystarczające i niebezpieczne. Religie katolicką uznajemy za konieczną do utrzymania zdrowej atmosfery wychowawczej w szkole. Aby jednak religia katolicka mogła swój zbawczy wpływ na młodzież wywrzeć, winna stać się przedmiotem podstawowym w kształtowaniu religijnego spojrzenia na życie i katolickiego na świat poglądu. Winna ona przenikać zarówno naukę języka polskiego, historii, przyrody i psychologii. Tylko w ten sposób można osiągnąć jedność nauczania, która jest warunkiem, trwałego wpływu wychowawczego na młodzież. Z powyższego założenia wynika również, że powierzenie poszczególnych przedmiotów nauczycielom o przekonaniach liberalnych, wolnomyślicielskich lub innowiercom musimy uważać za szkodliwe i niebezpieczne.

* * *

Istotą wychowania państwowego ze stanowiska katolickiego jest wyrobienie w młodzieży szacunku dla autorytetu. Źródłem wszelkiego autorytetu jest sam Bóg i Jego świętość. Kościół uczy, że rodzice, nauczyciele i przełożeni zastępują wychowankowi miejsce samego Boga na ziemi. Posłuszeństwo więc jest jedną z głównych cnót katolika jako jednostki społecznej. Jest to zasada surowa i nieuznająca odchyłeń. Nakłada ona ciężkie obowiązki zarówno na wy-

chowanka jak i na przełożonego. Od przełożonych bowiem domaga się religia katolicka, aby sprawując swój urząd byli zdolni do poświęcania się dla dobra powierzonych im wychowanków. Od wychowanków zaś wymaga posłuszeństwa pod grzechem, a więc za nieposłuszeństwo czyni ich odpowiedzialnymi zarówno w życiu doczesnym jak i wiecznym. Dlatego wszelkie wyrabianie poszanowania autorytetu w oparciu wyłącznie o poczucie honoru czy inne doczesne pobudki uważamy za błędne i chybione.

Ponadto rozróżniamy treść i formę wychowania. Dzisiejsze wychowanie państwowe w szkołach rozwija wyłącznie formę wychowania państwowego w zupełnym zaniedbaniu jego treści. Do formy wychowania państwowego zaliczamy: obwieszanie szkół portretami, pochody i defilady młodzieży w czasie uroczystości państwowych i całą panegiryczną retorykę obchodową, do której się młodzież szkolną wdraża. O ile tej formie nie towarzyszy religijne pogłębienie, że przez osoby, które się czci, oddaje się cześć czemuś wyższemu, a więc Bogu, który przez tych ludzi rządzi, wówczas łatwo się może zdarzyć, że nadużywanie tych form wywołuje w młodzieży reakcje pod względem wychowawczym niepożądane. Tak pojęte wychowanie państwowe budzi albo nastroje serwilistyczne albo buntownicze. To też dziś jesteśmy świadkami zupełnego załamania się formalnie pojętego wychowania państwowego. Nawet ideolodzy wychowania państwowego zaczynają powoli z niego rezygnować. A jednak jest niedopuszczalnym, aby młodzież nasza wychodziła ze szkół bez wyrobionego poczucia szacunku dla autorytetu państwowego. Trzeba zatem naprawić błąd powszechnie w naszych szkołach popełniany w ten sposób, aby istota wychowania państwowego, polegająca na religijnym uszanowaniu autorytetu Boga była silnie uwzględniona.

Zadania te rzecz oczywista mogą rozwiązać jedynie katolicy wierzący. Młodzież, która dochodzi do kultu autorytetu przy pomocy pobudek wyłącznie doczesnych, potrafi tak długo być posłuszną, jak długo nie wymaga się od niej rzeczy przykrych, ciężkich i przeciwnych skłonnościom. Wyłamuje się zaś natychmiast z posłuszeństwa, gdy staje wobec obowiązków trudniejszych. Dlatego jedynie kult autorytetu

oparty o doktrynę katolicką zapewnić może wpływ trwały i skuteczny. Kult autorytetu może być rozwijany stopniowo. Naprzód dziecko musi umieć słuchać swoich rodziców, potem nauczycieli, aby kiedyś w przyszłości nauczyło się słuchać praw i podlegać dobrowolnie i chętnie kierownikom państwa. Istnieje więc pewna hierarchia władz, których słuchać w życiu należy. Nie podobna sobie wyobrazić, aby ktoś, co nigdy nie słuchał rodziców, nie szanował swoich przełożonych, potrafił ochoczo spełniać rozkazy i obowiązki obywatelskie. Dlatego kult autorytetu państwowego zaczyna się od kultu autorytetu rodzicielskiego. Tak przedstawia tę sprawę nauka katolicka. A jak jest w życiu? Powszechnie znane są skargi rodziców na nieposłuszeństwo ich dzieci. Wiele do podważenia autorytetu rodziców przyczynia się dzisiejszy system szkolny. Dzisiejsza bowiem szkoła zabiera rodzicom dzieci nie tylko dla nauki w szkole w porze porannej, ale także w porze popołudniowej i wieczornej dla różnych zajęć poza lekcyjnych. Rodzice dzisiejsi nawet przez kilka godzin nie mogą przy tym systemie przestawać ze swymi dziećmi. Jest to skutek etatystycznych dążeń szkoły, która pragnie wpływ rodziców na dzieci ograniczyć, a nawet wyrugować. Z katolickiego punktu widzenia dążenia takie są niezgodne z prawami Bożymi. Nie ma takiej władzy na świecie, której by wolno było pozbawiać rodziców należącego się im wpływu na dzieci. Tylko w wyjątkowych wypadkach, gdzie ten wpływ jest demoralizujący, wolno jest państwu usunąć z pod niego dorastającą młodzież.

Obok kultu autorytetu rodziców winno dziecko wyrabiać w sobie poszanowanie dla swych nauczycieli. Czy młodzież dzisiejszą wychowuje się w szacunku dla tych, którym zawdzięcza cały swój rozwój umysłowy i duchowy w szkole? Niestety trzeba to stwierdzić, że do wyjątków należą zakłady naukowe, z których młodzież wychodzi z wyrobionym poczuciem poważania i wdzięczności dla nauczycieli. Obok wielu powodów, które wpływają na brak poszanowania nauczycielstwa ze strony dzisiejszej młodzieży, istnieje najważniejszy, a jest nim podrywanie autorytetu nauczycielskiego przez władze szkolne. Jeżeli dziś zarządzenia nauczycieli lub rad pedagogicznych mogą być zmienione przez

władze pierwszej lub drugiej instancji na podstawie skargi wpływowej osobistości, rodziców, albo ucznia, który jest członkiem „Straży Przedniej“, to trudno wymagać od młodzieży, aby liczyła się z zarządzeniami swoich nauczycieli i bezpośrednich przełożonych. Czy młodzież wychowana w takich warunkach w szkole, będzie kiedyś słuchała praw i spełniała lojalnie obowiązki, jakich od niej wymagać będzie państwo? Oto jest pytanie, na które każdy łatwo sobie odpowie. Młodzież dzisiejsza nie ma szacunku dla autorytetu szkoły i nie będzie go miała dla autorytetu państwa, jak długo ten autorytet będzie tak jak dziś podkopywany i osłabiany przez sam system szkolny. Jedynie wychowanie religijne może mimo tych braków i niedomagań autorytet ten utrzymać i utrzymać go powinno.

*

*

*

Utarło się przekonanie, że wychowanie państwowe obejmuje także i wychowanie narodowe. Jest to naturalne tam, gdzie ludność jest jednolita, a rząd jest wyrazem dążeń całego narodu. Bywają jednak wypadki, że warunki te nie są urzeczywistnione i dlatego, biorąc rzecz zasadniczo, trzeba jasno powiedzieć, że wychowanie państwowe i narodowe to są dwie rzeczy różne. Państwo jest najwyższą formą organizacji, jaką społeczeństwo ludzkie wytworzyło. Przez utrzymywanie ładu i porządku i sprawiedliwe prawa winno ono zabezpieczyć każdemu obywatelowi wygodne warunki doczesnego bytu. Ale duszą tego państwa jest naród. Biskup francuski Julien określa naród jako osobę moralną, która posiada świadomość żywą niebezpieczeństw jej zagrażających. Składnikami tej osobowości są: rasa, warunki geograficzne, warunki historyczne, a wreszcie religia jako cement, który spaja budowę narodu. One stanowią duszę narodu i jego ciało. Mózgiem narodu jest państwo. Nacjonalizm wytwarza bohaterów w chwilach niebezpieczeństw; natomiast w życiu codziennym, o ile żadne niebezpieczeństwa ani zewnętrzne ani wewnętrzne narodowi nie grożą, nacjonalizm nie jest wystarczającą podstawą moralną, na której można oprzeć wychowanie obywatela. Walki o niepodległość Polski dały narodowi tysiące bohaterów, którzy

w życiu codziennym nie zawsze potrafili się wykazać legitymacją ludzi porządných. Wynika z tego, że ideał wychowania narodowego musi być oparty o ideał porządnego człowieka, a ten ostatni może tylko wychować religia katolicka. Dlatego wydaje się koniecznym zespolenie ideału narodowego i państwowego z katolickim. Dzieje Polski pouczają nas, że ilekroć zespolenie tych ideałów występowało, tylekroć dawało ono w rezultacie najwyższe wzmoczenie twórczych sił narodu i państwa. Przypomnieć należy, że Kościół katolicki stał u kolebki narodu i państwa polskiego, że przez tysiąc lat kształtował duszę narodu polskiego, że religia katolicka była jednym z podstawowych czynników historii i kultury polskiej. Dlatego musimy uważać na nasz obowiązek nakazany przez przeszłość, aby wspólnotę katolicyzmu i polskości utrwalić w duszy młodego pokolenia. Nacjonalizm polski zawdzięcza katolicyzmowi siłę przetrwania największych klęsk i upadków politycznych, zaś religia katolicka w nacjonalizmie polskim odzyskiwała rumieniec życia. Dzięki katolicyzmowi nacjonalizm polski uchronił się od wybryków, które znamionują nacjonalizmy innych państw. Natomiast dzięki nacjonalizmowi polskiemu katolicyzm wszedł nie tylko w mózg, ale w serce i wyobraźnię narodu. Słusznie zauważył Stanisław Szczepanowski, że Polska albo będzie katolicką, albo jej wcale nie będzie. To głębokie zespolenie nacjonalizmu z religią katolicką znamionuje wszystkie wielkie umysły w Polsce i wielkie chwile w jej dziejach. Jest to znamię charakterystyczne, wyróżniające nacjonalizm polski od nacjonalizmu tylu innych krajów. Jest to głos wieków, który woła do nas i do przyszłych pokoleń.

Przeżyliśmy niedawno w szkole okres, w którym wyraz Bóg i wyraz naród polski był starannie unikany w wychowaniu młodzieży szkolnej. Dziś czasy zmieniły się o tyle na korzyść, że najwyższe czynniki państwowe odwołują się do nacjonalizmu jako do siły obronnej państwa. Dlatego tym więcej i tym częściej należy dziś powtarzać, że siła nacjonalizmu leży w zespoleniu z katolicyzmem. Ilekroć te dwa prądy szły luźnie obok siebie, tyle razy przeżywalismy czasy słabości i rozstroju. Największym błędem nacjo-

nalizmu polskiego był fakt, iż na pewien okres zerwał z katolicyzmem jako ostoją i podporą. To było jego klęską. I na odwrót, katolicyzm w Polsce, rozwijając się w tym okresie w oderwaniu od nacjonalizmu, tracił swą siłę przyciągania. Oto jest nauka, o której przy wychowaniu młodzieży nie należy zapominać.

* * *

Uspołecznienie czyli dążność do stowarzyszania się w sposób dobrowolny dla osiągnięcia wspólnego celu jest wynikiem chrześcijańskiego ideału braterstwa. Uczucie to jest duszą i życiem wszelkich organizacji. Bez niego każda organizacja jest martwą. O uspołecznieniu nie rozstrzyga tylko forma organizacji, ale przede wszystkim zdolność do poświęcenia się jednostek dla niej. Wyrabianie tego ducha poświęcenia zawiera ze stanowiska katolickiego istotę wychowania społecznego.

Dzisiejsze wychowanie społeczne w szkole jest wadliwe. Popołnia ten sam błąd co wychowanie państwowe. Rozwija formę, a zatracza treść. Kładzie nacisk na ilość, a zabija jakość. Posiadamy w każdym zakładzie szkolnym ogromną ilość organizacji społecznych, chwalcących się wielką ilością członków. Aktywność tych organizacji polega na liczbie odbytych posiedzeń i wygłoszonych referatów. Potoki gadulstwa zalewają wewnętrzną treść pracy społecznej. To też dzisiejsze organizacje społeczne istniejące w szkole tylko dzięki snobizmowi rozwijają zdolności naśladowcze, a zabijają twórcze. W ostatecznym rezultacie wywołują znudzenie i niechęć do pracy społecznej. Najczynniejsi prezesi szkolnych organizacji społecznych po ukończeniu szkoły wstrzymują się od wszelkiej pracy społecznej twierdząc, że dość mieli społecznikowania w szkole. To też w dzisiejszych warunkach przerost organizacji społecznych prowadzi bezpośrednio do odrywania się młodzieży od książki, marnowania czasu i emancypowania się jej z pod wpływów rodziców i przełożonych.

* * *

W dziedzinie wychowania fizycznego ograniczę się tylko do stwierdzenia moralnych szkód, jakie jego prze-

rost wyrządza naszej młodzieży. Są to: Zdziczenie obyczajów, niechęć do wysiłku umysłowego i wzrost egoizmu. Przyczynia się do tego w wysokim stopniu mania rekordów, uprawianych w całokształcie sportu. Wychowawcy obserwujący młodzież stwierdzają, że tak zwani sportsmeni należą do najgorszego gatunku uczniów w nauce szkolnej.

*

*

*

Ostatnie aresztowania dokonane przez władze polityczne w szkolnych jacejkach komunistycznych dowodzą, że Komintern zarzuca sieci na naszą młodzież szkolną. Źródłem propagandy komunistycznej są najczęściej uczniowie żydzi, czasem ułatwia ją nędza młodzieży szkolnej, albo chęć szukania nowości. Wychowawcy winni wobec tego zwrócić baczniejszą uwagę na to, o czym nasza młodzież szkolna między sobą mówi i myśli. Było by wskazaniem, aby nauczyciele katolicy korzystali ze sposobności w nauczaniu swych przedmiotów i przeciwstawili błędnej teorii komunistycznej równości wszystkich ludzi katolicką teorię o obowiązkach i odpowiedzialności każdej jednostki na ziemi. Wierzę głęboko, że pod wpływem prądów życia nasza młodzież szkolna pozostanie mimo wszystko polską i katolicką. Ale niezależnie od tego, jeżeli szkoła nasza będzie nadal rozwijała nie treść ale formę wychowania, to przy dzisiejszej propagandzie komunistycznej może się wiele jednostek zatracić i wykołować.

Przy tej sposobności należy zwrócić baczną uwagę na niebezpieczną w skutkach metodę nauczania, zalecaną obecnie przez programy szkolne. Polega ona na aktualizowaniu materiału naukowego i nawiązywaniu do naszej rzeczywistości. Gdyby państwo nasze było idealnym, wówczas aktualizowanie mogło by dać świetne rezultaty. Ale wiadomo, że obok blasków kryją się w naszych stosunkach nazbyt liczne nędze. O tych nędzach dowiaduje się młodzież szkolna od swych rodziców i znajomych, a także z dzienników i pism periodycznych. Jeżeli nauczyciel świadomie przemilcza ujemne strony naszego bytu państwowego, wtedy młodzież nabiera przekonania, że się ją okłamuje. Traci zaufanie do nauczycieli i poszukuje prawdy poza szkołą. A ponieważ ta prawda

wydaje się jej zbyt ponurą i przechodzi nerwowe jej siły, łatwo wpada w pesymizm i defetyzm i poddaje się rozpacz, albo chwytą się mirażu komunistycznego, obiecującego jej wyrównanie wszelkich niesprawiedliwości. Ci, którzy poddają się rozpacz, dochodzą często do samobójstw. Wzrastająca liczba szkolnych samobójstw ma źródło w tym głębokim rozdziale, jaki istnieje między dzisiejszą szkołą a rzeczywistością. Ci drudzy natomiast, którzy szukają dróg wyjścia z ciężkich stosunków gospodarczych naszego państwa, padają ofiarą propagandy komunistycznej. Podobne rezultaty wychowawcze wywołała metoda aktualizowania w Stanach Zjednoczonych, skąd przeszczepiono ją do Polski. Ale i w Ameryce spostrzeżono już jej błędność i zawrócono z tej drogi. Dlatego wskazanym by było, aby w miejsce tej metody wprowadzić inną, zwróconą w przyszłość. Taka metoda odpowiada więcej psychice młodzieży, której pęd kieruje się zawsze ku przyszłości a nie ku teraźniejszości. Obiecywanemu rajowi bolszewickiemu trzeba przeciwstawić przyszły ustrój państwa, opartego na sprawiedliwości chrześcijańskiej. W tym celu nauczyciele powinni się zapoznać z encykliką *Quadragesimo anno*, która właśnie przedstawia przyszły ustrój społeczny w duchu zasad katolickich.

Oprócz powyżej wspomnianej metody jest jeszcze stosowana w szkole dzisiejszej metoda inna, dyskusyjna, która wprawia umysły młodzieży do zajmowania stanowiska przeciwnego jej poglądom etycznym i społecznym i bronięcia tego stanowiska dla wyćwiczenia się w logicznym rozumowaniu. Tak np. zdarza się, że przy lekturze *Nieboskiej Komedii* jeden z uczniów broni stanowiska hr. Henryka, a drugi Pankracego. Młodzież, która nie ma dostatecznego rozróżnienia między dobrym i złym, między sprawiedliwością społeczną a niesprawiedliwością, która nadto nie posiada żadnego doświadczenia życiowego, przyucza się w ten sposób do powierzchownego mędrkowania nad zagadnieniami, których zrozumienie i omówienie wymaga wyrobienia poczucia moralnego i odpowiedzialności społecznej. Na takim gruncie przyjmują się łatwo sugestie komunistyczne, jeżeli są tylko przeprowadzone z pozorami logiki. Otóż i z tą metodą dyskusyjną należałoby do pewnego stopnia zerwać,

o ile ona wiąże się z problemami niepokojącymi zarówno moralnie jak i społecznie. Dyskusję można dopuszczać tylko w sprawach dotyczących stwierdzenia pewnego faktu lub jego zaprzeczenia. Natomiast same zasady moralne nie powinny być nigdy poddawane dyskusji młodzieży do tego pod każdym względem nieprzygotowanej. Nawiasem dodam, że obecna metoda dyskusyjna uczy młodzież lekceważenia wysiłku pracy i stwarza typ mędrków, na których profesoria uniwersytetów powszechnie narzekają. Młodzieńcom takim wydaje się, że jeżeli zajmą stanowisko przeciwne swoim profesorom, są już od nich mędrsi i nie potrzebują wykonywać pracy przez profesorów im zalecanej.

Z powyższych założeń wynika, że błędy dzisiejszej szkoły leżą nie tylko w braku jasno określonych zasad wychowawczych, ale w wyższym stopniu w błędnych metodach dydaktycznych. To wszystko przygotowuje niekiedy grunt do komunizmu.

*

*

*

Z każdym dniem wzrasta w szkołach naszych liczba wykroczeń młodzieży przeciw elementarnym nakazom etyki katolickiej, a w szczególności przeciw dekalogowi. Rozwydrzenie płciowe, kradzieże, alkoholizm, kłamstwa i oszukaństwa, wykroczenia przeciw karności szkolnej i bezczelne odnoszenie się do nauczycieli są przedmiotem ustawicznych sesyj Rad Pedagogicznych i są prawdziwą udręką dzisiejszej szkoły. Tymczasem przyczyny tego stanu rzeczy znajdują się przeważnie na terenie poza szkolnym. Są one bardzo liczne. Należą do nich: zaniedbanie ze strony rodziców lub opieki domowej, błędne traktowanie młodzieży przez dom rodzicielski i starsze osoby, rozkładowy wpływ lektury gorszącej, demoralizujące przedstawienia kinowe, wreszcie ujemny wpływ ulicy, z której młodzież nadmiernie korzysta. Tym wszystkim fatalnym sugestiom szkoła sama zaradzić nie może. Potrzeba w tym celu działania duchowieństwa, czynników społecznych i państwowych. Ogromną rolę pomocniczą mogłyby tu odegrać szkolne zrzeszenia rodzicielskie i patronaty szkolne, gdyby im przyznano większy wpływ w sprawach wychowawczych niż go posiadają dotąd. Dzia-

łanie takie wymaga jawnego i otwartego informowania opinii społecznej o wszystkich bolączkach szkoły. Z dotychczasową metodą tuszowania wykroczeń młodzieży przez dyrekcje zakładów szkolnych należałoby zupełnie zerwać. Na posiedzeniach patronatów szkolnych panuje dziś atmosfera wzajemnej nieufności nieszczerości i wstydliwego przemilczania.

W takiej atmosferze nie może być mowy o skutecznym działaniu wychowawczym. Rodzice lękają się wypowiadać swoich zdań z obawy, aby nie zaszkodzić przez to własnym dzieciom, powierzonym szkole. Trzeba przy tym stwierdzić, że rodzice czują się nieraz przez szkołę steroryzowani i to jest najgorsza strona obecnego systemu szkolnego.

Obraz naszej szkolnej rzeczywistości skreślony przeze mnie byłby rozpaczliwy, gdybym jako katolik i Polak, jako nauczyciel i wychowawca, nie miał przekonania, że rdzeń naszej młodzieży szkolnej jest moralnie zdrowy. Choroby, które wkradły się do naszej szkoły objęły, jak dotąd, tylko pewien niestety już dość znaczny procent naszej młodzieży i naszych szkół. Jeżeli nie będziemy im przeciwdziałać skutecznie i energicznie, jeżeli ze względów oportunistycznych będziemy świadomie ukrywać ich grozę, wówczas może być na leczenie za późno. Obowiązek podjęcia energicznej akcji wychowawczej należy dziś w pierwszym rzędzie do katolików, których zdrowy i jasny sąd, moralne zasady, mogą uchronić od błędów, jakie nieraz nawet podświadomie popełniają ludzie pozbawieni zasad katolickich. Trzeba jednak, aby ci katolicy dotąd zbyt tchórzliwi, uświadomili sobie swój obowiązek wobec Boga i Polski.

Wierzę w odrodzenie szkoły polskiej i w odrodzenie naszej młodzieży pod jednym warunkiem, że zjawi się ono naprzód w katolickim społeczeństwie.

Ludwik Skoczylas.

Przełom w nauce.

Od Jończyków do Einsteina.

Nasz wiek stał się świadkiem olbrzymiego przełomu w nauce ścisłej, który zda się wstrząsać samymi jej podstawami. Początki tego przełomu sięgają wstecz już mniej więcej o trzydzieści lat, zbliża się przeto, a może nawet nastąpił już odpowiedni czas do pewnego podsumowania wyników tego przełomu i powiązania go z ogólnym stanem współczesnego świata. Rzecz jasna, że rozprawa, która zamierzałaby omówić drobiazgowo zmiany, jakie dokonały się w nauce ścisłej, i wyświetlić skutki tych zmian, musiałaby być zakrojona na szeroką skalę, musiałaby zmienić się w jakieś większe dzieło, które wymagałoby, być może, kilku lat żmudnej pracy. To też zadaniem niniejszej krótkiej rozprawy nie może być z natury rzeczy drobiazgowo analiza obecnego stanu nauki, analiza szczegółów, lecz tylko właściwie wyświetlenie głównej wytycznej linii współczesnej wiedzy i powiązanie jej z ogólnym stanem naszej epoki i zmianami, jakie dokonały się w społecznym życiu narodów zachodniej kultury. Przystępując do wskazanego zadania musimy przede wszystkim zastanowić się pokrótce nad zasadniczymi etapami w rozwoju wiedzy ścisłej.

Świat antyczny, z wyjątkiem Grecji, nie znał właściwie nauki w obecnym znaczeniu tego słowa. Bo nauka ścisła jako badanie przyrody może powstać wówczas tylko, gdy człowiek przeciwstawia już niejako samego siebie otaczającemu światu, gdy z niego wyodrębnia swego ducha i stawia go w obliczu nieuduchowionej przyrody, a następnie dąży,

jako obserwator i badacz, do poznania i wytłumaczenia związków istniejących między zjawiskami. U źródła nauki odnajdujemy pojęcie przyczynowości, które powstaje dopiero wówczas, gdy człowiek przestaje personifikować siły natury, gdy przestaje śledzić poza nimi działanie istot podobnych sobie. Idea przyczynowości to uzależnianie powstawania pewnego zjawiska od istnienia zjawiska poprzedzającego, które uważane jest w tym przypadku za przyczynę zjawiska następnego. W przedhistorycznym, heroicznym okresie Grecji człowiek nie wyróżniał siebie jeszcze wyraźnie z otaczającego go bytu, nie mógł przeto stawiać przyrodzie pytania, czym ona jest i czym jest on sam w odniesieniu do niej. Toteż, gdy pierwsi naiwni filozofowie greccy szkoły jońskiej poczęli doszukiwać się przyczyny wszechrzeczy już to w wodzie, już to w powietrzu, jako pramaterii, z której rozwinął się stopniowo świat cały, byli oni tym samym pierwszymi szermierzami nauki, pierwszymi właśnie ludźmi, którzy wprowadzali w świat myśli pojęcie przyczynowości jako podstawy naukowego badania. Umysłowość Greków jednak była z natury syntetyczna, nie dopuszczała ona analizy, rozdrabniania całości na nieskończenie małe części, by następnie z tych części budować ponownie całość jako wytwór własnej myśli; zasada ciągłości była wogóle obcą tej umysłowości.

Świat przedstawiał się Grekowi przede wszystkim jako całość, nie odczuwał on wprost potrzeby analizowania go przez rozdrabnianie na części. W dziedzinie matematyki dała nam Grecja przede wszystkim geometrię jako syntetyczne ujęcie przestrzeni, w której są rozmieszczone ciała, i w której mają przebieg wszystkie zjawiska tego świata. Nauka ta wyraża prawa naszego myślenia w odniesieniu do przestrzeni, nie daje nam jednak, jako taka, możliwości przyczynowego ujmowania zjawisk fizycznych na podstawie ilościowej, matematycznej ich interpretacji. Tego narzędzia interpretacji brakowało Grekom, dlatego też w dziedzinie fizyki myśl grecka nie dokonała wiele, w dziedzinie astronomii natomiast dała nam geometryczny obraz świata i ruchów w nim, który znalazł swój ostateczny wyraz w Ptolemeuszowym systemie astronomii. Średniowiecze obejmuje

spadek po kulturze grecko-rzymskiej, przepojone jednak przede wszystkim ideałami religijnymi, ideałem zupełnej przewagi ducha nad materią, nie interesuje się wcale przyrodą materialną, która była uważana wówczas tylko za czasowe podłoże bytowania ludzkości i która miała zniknąć wraz z oczekiwanym w niedalekiej przyszłości końcem świata i sądem ostatecznym. Dopiero renesans, zmartwychwstanie bogów antycznych oddala stopniowo ludzkość od ideałów zaświatowych i skierowuje ją do badania podłoża, na którym bytuje, to znaczy przyrody materialnej. Ruch jednak w tym kierunku jest początkowo dość powolny, a właściwy impuls nadaje mu dopiero zjawienie się nowego koperniko-galileuszowego świata.

Dwie są naszym zdaniem zasadnicze przyczyny, dla których pojawienie się nowego astronomicznego systemu świata musiało zapoczątkować wyraźny już ruch ludzkości w kierunku badania materialnej przyrody. Bo przede wszystkim kopernikanizm, jako zaprzeczenie geocentryzmu, zachwiał wiarę w stworzenie materialnej przyrody dla człowieka wyłącznie, a w związku z tym zachwiał również wiarę w zaświatowe wyłącznie cele ludzkie; materialna przyroda w oczach człowieka nowych czasów przestawała już być czymś podrzędnym, niegodnym badania, nabierała natomiast samodzielnej wartości niezależnie od stosunku jej do człowieka. Należy poza tym uprzytomnić sobie, że chrześcijaństwo, wbrew ogólnie przyjętym szablonowym poglądom, stworzyło właśnie podłoże duchowe do rozwoju badań przyrodniczych już przez to, że przeciwstawiło człowieka wyraźnie materialnej przyrodzie, a tym samym urabiało z niego stopniowo obserwatora i badacza, który w posiadaniu iskry Ducha Bożego zapragnął wreszcie poznać, czym jest świat, eliminując z niego, niestety, stopniowo samą ideę Stwórcy.

Gdy więc w średniowieczu człowiek w imię zbawienia swej duszy rugował po prostu świat materialny, to w nowych czasach świadomy już, dzięki chrześcijaństwu, swej jaźni przystępuje on do badania przyrody, gdy wiara w wyłącznie zaświatowe cele jego istnienia została zachwiana. Oto jest zdaniem naszym pierwsza psychologiczna, że tak powiemy, przyczyna, dla której kopernikanizm stanowi zasadniczy etap,

od którego rozpoczyna się w Europie rozwój przyrodoznawstwa. Jako na drugą przyczynę, właściwie już o podłożu naukowym, należy wskazać na fakt, że nowy astronomiczny system świata stał się jednocześnie podstawą do wytwarzania nowego zasadniczego narzędzia badania świata fizycznego, to znaczy mechaniki analitycznej, która następnie króluje w nauce przez okres kilku wieków aż do naszych czasów, gdy następuje gwałtowna jej defronizacja. Bo zwykle nie zdajemy sobie należycie sprawy z tego, że rozwój nowoczesnej mechaniki związany jest genetycznie z powstaniem nowego, heliocentrycznego systemu świata.

Galileusz przez badanie wolnego spadku ciał ustalił przede wszystkim prawa ruchu jednostajnie przyspieszonego, przy czym ruch ten tłumaczył bezwładnością ciał i działaniem na nie siły przyciągającej ku środkowi ziemi; w dalszym zaś ciągu mechanika klasyczna rozwinęła się z rozważania ruchów planet dookoła słońca zgodnie z prawami Keplera. Mianowicie Newton dokonał syntezy praw ruchu Galileusza z prawami krążenia planet, sformułowanymi przez Keplera, przyznając planetom bezwładność i uleganie sile przyciągającej ku środkowi słońca. W myśl tej syntezy eliptyczne ruchy planet dookoła słońca tłumaczą się w ten sposób, że planeta na skutek początkowego impulsu poruszała się bezwładnie z jednostajną prędkością po linii prostej, gdyby nie oddziaływanie na nią grawitacyjnej siły wychodzącej ze środka słońca, która zmusza ją do krążenia po zamkniętej orbicie eliptycznej w myśl pierwszego prawa Keplera. Z eliptyczności orbit planetarnych wypadało, że siła grawitacyjna zmienia się odwrotnie proporcjonalnie do kwadratów odległości.

Z tych danych sformułował Newton dwa podstawowe prawa czyli zasady mechaniki klasycznej, zasadę bezwładności i zasadę proporcjonalności wielkości siły do masy ciała i przyspieszenia, jakie siła nadaje danemu ciału. Te dwie dynamiczne zasady Newtona, wyprowadzone z rozważania ruchów planet zgodnie z prawami Keplera, stały się podstawą całego rozwoju mechaniki klasycznej jako analitycznego narzędzia badania zjawisk świata fizycznego. W związku z newtonowską teorią grawitacji powstaje po-

jęcie masy ciężkiej, druga zaś zasada dynamiczna Newtona doprowadza do pojęcia masy bezwładnej, które to pojęcie wiąże się również z naszym bezpośrednim doświadczeniem praktycznym. Pojęcia masy i siły stają się stopniowo podstawą naukowego myślenia i rozwoju nauki aż do naszych czasów, bo wraz z nimi rozpoczyna się trwający przez prawie trzy wieki okres mechanicznej interpretacji natury, która w tym ujęciu przedstawia się jako zbiorowisko poszczególnych ciał materialnych, oddziaływających wzajemnie na siebie. Tym wzajemnym oddziaływaniom dajemy nazwę sił, chociaż siła sama przez się jest czymś zupełnie nieuchwytnym i musiałaby pozostawać tylko abstrakcyjnym, właściwie nic nie znaczącym pojęciem, gdybyśmy nie odczuwali siły w sobie i nie znali jej niejako z własnego wewnętrznego doświadczenia.

Tak więc w ujęciu nauki nowych czasów świat widomy, czyli makrokosmos, przedstawia się jako świat brył materialnych, będących w spoczynku lub ruchu, a oddziaływających wzajemnie na siebie przez siły, które zapoczątkowują ruch lub powodują zmiany w istniejącym już ruchu, przy czym pozycja w przestrzeni i prędkość każdego punktu materialnego czy też ciała, zależne są od działania sił w czasie: innymi słowy, pozycja i prędkość ciała materialnego stają się funkcją czasu.

Nauka o ruchu, ustalając związek matematyczny między przebytą drogą czyli pozycją ciała w przestrzeni a czasem, innymi słowy czyniąc pozycję ciała funkcją czasu, torowała tym samym drogę wytworzeniu się koncepcji materialnego, świata, w którym czas płynie niezależnie od przestrzennych zjawisk bez przerwy naprzód od nieskończoności w czasie przeszłym do nieskończoności w czasie przyszłym, czyli w języku matematycznym od $-\infty$ do $+\infty$. Oto, co w dosłownym brzmieniu pisze w tej sprawie Newton w swym dziele, *Philosophiae naturalis principia mathematica*: „Absolutny, prawdziwy, matematyczny czas płynie sam przez się i, dzięki swej naturze, jednostajnie a niezależnie od jakiegokolwiek przedmiotu zewnętrznego.” Zaś w dalszym rozwoju tej koncepcji nie tylko już ruch, ale wszelkie wogóle zjawiska świata materialnego odbywać się mają w czasie i są

wyznaczone ściśle jako funkcje tegoż, co prowadziło w nieuniknionej konsekwencji do całkiem deterministycznego ujęcia rozwoju świata. W myśl tego stan całego świata stawał się właściwie funkcją czasu, trzeba było tylko odnaleźć odpowiednią funkcję matematyczną, by wstawiając w niej wartość na czas $-\infty$, otrzymać stan świata w zamierchłej przeszłości, wstawiając zaś $+\infty$ otrzymać przyszły nieunikniony obraz świata w bardzo odległej przyszłości. Innymi słowy, świat musi przechodzić w sposób ciągły, a nieubłągany z jednego stanu w drugi na podstawie działających w nim immanentnie sił wewnętrznych.

Jak widzimy z powyższego, obraz natury, wywodzący się z koperniko-newtonizmu, oparł się na ścisłym rozgraniczeniu czasu i przestrzeni i na idei ciągłości stanów świata. Idea ciągłości była, jak już zaznaczyliśmy poprzednio, zupełnie obcą światu antycznemu, natomiast w nowych czasach stała się podstawą analitycznego badania natury, gdy zostało stworzone w tym celu nowe narzędzie myśli ludzkiej w postaci rachunku infinitesimalnego. Rachunek ten ma u swych podstaw ideę ciągłości i nieskończonej podzielności mierzalnych wielkości w świecie; był on wyrazem pewnych analitycznych praw naszego myślenia, które dojrzewały i rozwijały się stopniowo w umyśle ludzkim poczynając od renesansu, a które zostały następnie przeniesione i narzucane światu zjawisk rozczłonkowanemu na cały szereg wielkości obdarzonych cechami ciągłości. Do wielkości tych należą w pierwszym rzędzie elementy czasu i przestrzeni, a w dalszym ciągu dołączał się do nich stopniowo cały szereg innych wielkości, jakie wytwarzały się w biegu rozwoju teoretycznej fizyki. Wszystkim im przypisywano podstawową cechę ciągłości, co umożliwiało stosowanie analizy nieskończonościowej do badania wszystkich prawie fizycznych zjawisk świata. Analiza matematyczna dawała również możliwość ilościowego przepowiadania zjawisk, istniejącą zaś zawsze rozbieżność między wynikami teorii a danymi obserwacji tłumaczono wyłącznie nieuniknionymi błędami pomiarów. Bo wszystkie mierzalne wielkości fizyczne posiadają w rzeczywistości dwojakie znaczenie, jedno wypływające z pomiarów, drugie zaś istniejące w naszym umyśle jako oderwana,

abstrakcyjna wielkość teoretyczna, która pokrywałaby się w zupełności z wielkością pomiarową, gdyby nie błędy obserwacji i nie braki przyrządów pomiarowych. Taką była przynajmniej wiara nauki XIX wieku. Jak się trafnie wyraził Eddington w swym dziele p. t. *Nowe oblicze natury*, fizyka teoretyczna stworzyła świat widm, świat symboli matematycznych, którymi właściwie operuje, a które w świecie zmysłów nie posiadają żadnego wyraźnego odpowiednika. Ponieważ zaś te symbole matematyczne są wyrazem praw naszego myślenia, które przynajmniej na razie posiadają dla nas charakter obowiązujący, przeto w tym świecie widm musiały panować ścisła przyczynowość i determinizm, jako wyraz właśnie tych nieubłaganych praw naszego myślenia. Nauka XIX wieku przeniosła jednak te pojęcia ze świata teoretycznej myśli do świata zmysłów, do świata wielkości mierzalnych, gdzie wszystkie zjawiska mają przebiegać również deterministycznie zgodnie z zasadą przyczynowości, jak w świecie widm naszego myślenia. W ten sposób determinizm stał się wyrazem wiary współczesnej nauki wywodzącej się z koperniko-newtonizmu.

W dalszym ciągu pojęcia ze świata makroskopowego zostają stopniowo przenoszone również do świata mikroskopowego, do świata atomów, z których ma się składać świat widomy. Do świata atomów stosuje się więc przede wszystkim pojęcia mechaniki klasycznej ustalone dla świata makroskopowego, a w pierwszym rzędzie pojęcie masy. Atom w nowoczesnym ujęciu, które przetrwało do początków naszego stulecia, to mała niepodzielna kulka, obdarzona masą bezwładną i masą ciężką w tym samym znaczeniu, jak wielkie bryły materialne świata widomego. Poza tym ruch atomów w przestrzeni ma ulegać tym samym prawom dynamiki, co ruch brył widomych wogóle, a ruch ciał niebieskich w szczególności, a więc prędkość i pozycja atomu w przestrzeni są jednoznacznie wyznaczalne niezależnie jedno od drugiego. Atomy wreszcie oddziałują na siebie siłą już to przyciągania, już to odpychania, tak jak w świecie makroskopowym przyciągają się wzajemnie ciała niebieskie. To pojęcie oddziaływania na odległość, *actio in distans*, będące od początku jednym z zasadniczych szkopułów grawitacji

newtonowskiej w świecie makroskopowym, zostaje mimo to przeniesione do świata zjawisk mikroskopowych. W ten sposób świat atomów został powiązany z światem makroskopowym i stał się na podobieństwo tego również tylko światem widm powołanych do życia przez nasz umysł. Jak stworzono mechanikę nieba, tak również miała być stworzona mechanika atomów, która w rezultacie miała nam wytłumaczyć cały barwny obraz tego świata. Ideałem nauki nowych czasów stało się ostateczne jej przeobrażenie w mechanikę. Każde zjawisko uważano za wytłumaczone wówczas, gdy potrafiiono stworzyć dla niego odpowiedni model mechaniczny; innymi słowy nauka XIX wieku posiadała charakter wybitnie inżynierski.

Jednym z podstawowych dogmatów nauki nowoczesnej stała się zasada niezniszczalności materii czyli zasada zachowania masy, do której to zasady dołączyła się z biegiem czasu zasada zachowania energii, przy czym pojęcie energii związane było z pojęciem zdolności do wykonywania pracy, z pojęciem działania sił w czasie i przestrzeni. Grawitacja, elektryczność, magnetyzm, światło, ciepło, prężność oto rozmaite przejawy energii, która jednak, jako taka, sama w sobie była i pozostaje nadal czymś właściwie zupełnie nieuchwytnym i nieokreślonym. Jest ona po dziś dzień tylko jednym z najważniejszych widm w tym świecie myśli, jaki stworzyła teoretyczna nauka fizyki. Tej wielkiej niewiadomej, jaką jest w rzeczywistości energia, nadano tylko jedną zasadniczą cechę zgodnie z panującą analityczną metodą badania świata, to znaczy cechę ciągłości, co umożliwiło stosowanie rachunku nieskończenie małego również do badań energetycznych.

Ostateczny obraz świata, który wytworzył się na tle koncepcji koperniko-newtonowskiej, to nieskończona i nieograniczona we wszystkich kierunkach pusta przestrzeń, w której materia skoncentrowana jest tylko w nielicznych punktach, oddalonych od siebie na fantastyczne wprost odległości. Zaś między tymi punktami koncentracji materii ziele straszliwa, absolutna próżnia, istnienie której stanowi *conditio sine qua non* uznania koperniko-newtonowskiego systemu świata, albowiem trwanie bezwładnego ruchu ciał

niebieskich uwarunkowane jest absolutnym brakiem jakiegobądź ośrodka, który mógł by stawić opór temu ruchowi. W tym obrazie świata materia, przestrzeń i czas nie są właściwie powiązane z sobą i istnieją niejako niezależnie jedno od drugiego, energia zaś sama przez się nie posiada własnego wyraźnego oblicza; przy tym cechy ciągłości posiadają czas, przestrzeń i energia, materia natomiast jest jej pozbawiona, bo z jednej strony bryły materialne utworzone są z niepodzielnych atomów, przedzielonych między sobą pustą przestrzenią, a z drugiej strony między ciałami niebieskimi istnieje absolutnie próżna przestrzeń, która, jako taka, nie posiada właściwie żadnych cech fizycznych, jest właściwie jakimś realnem zerem.

Wspomniana nieciągłość materii skompensowana jednak jest istnieniem rzekomej energii grawitacyjnej, która płynie, zgodnie z koncepcją newtonowską, od jednego ciała niebieskiego do drugiego, ujmując w swe panowanie cały materialny kosmos. Ta właśnie hipotetyczna energia, która przenoszona jest, w myśl tego obrazu, z jednego ciała niebieskiego do drugiego i z jednego atomu na drugi, wiąże porozrzucane bryły materii i poszczególne atomy w jedną całość i nadaje materialnemu światu cechy ciągłości bez względu na nieciągłość materialnego substratu. Wszelkie jednak próby tłumaczenia istoty i działania energii grawitacyjnej drogą mechaniczną, drogą tworzenia modeli mechanicznych nie doprowadziły nigdy do niczego; nie poddawała się ona szablonowi mechanicznemu i musiała pozostać po dziś dzień wielką niewiadomą w całokształcie systemu koperniko-newtonowskiego.

Poza hipotetyczną grawitacją istnieje jednak druga forma energii, która płynie również nieprzerwanym strumieniem poprzez puste przestworza wszechświata i która jest już zupełnie dostępna naszym zmysłom. Jest to energia promienista, która zda się wypełniać cały wszechświat, i która nadaje temu zeru, jakim jest przestrzeń w ujęciu koperniko-newtonowskim, pewne cechy fizyczne.

Powiedzieliśmy przed chwilą, że energia grawitacyjna wymykała się od początku wszelkiej mechanicznej interpretacji. Poza tym już od XVIII wieku nauka stawiała sobie

pytanie, czym są wogóle rozmaite formy energii. Odpowiedź na to pytanie szła zasadniczo w dwóch kierunkach. Albo tworzono dla rozmaitych form energii odrębne niematerialne i nieważkie fluidy, jak to było początkowo z ciepłem, elektrycznością i magnetyzmem, albo też uznawano, że pewne formy energii są wyrazem drgań czyli energii kinetycznej poszczególnych atomów materii. Taką naturę przypisywano w XIX wieku przede wszystkim energii cieplnej, a temperatura ciała była w myśl tej hipotezy tylko miarą szybkości poszczególnych jego cząsteczek. Promienista energia przenosi się jednak zgodnie z koperniko-newtonowskim obrazem świata przez absolutnie puste przestrzory, nie może być ona przeto przejawem drgań atomów materii widomej. Dla wyjaśnienia jej istoty stworzono dwie hipotezy, pierwszą korpuskularną Newtona, w myśl której światło jest rojem nieważkich cząsteczek, tak zwanych korpuskuł, i drugą późniejszą, według której jest ono przejawem drgań falowych w hipotetycznym eterze, wypełniającym nieruchomo puste przestrzenie wszechświata. W tym ujęciu eter przedstawia się jako galareta pozbawiona naogół zwykłych cech materii, a więc przede wszystkim masy, gęstości i zdolności stawiania oporu ruchom ciał niebieskich. Galareta ta ma posiadać właściwie tylko zdolność do przenoszenia drgań, które jako takie, przejawiają się pod postacią energii promienistej, przenoszonej w czasie i przestrzeni, poza tym jednak eter był zupełnie białą kartą, na której fizyk mógł wypisywać, co mu się żywnie podobało, co mu było potrzebne do wiązania z sobą zjawisk obserwowanych w świecie materialnym. Uważano poza tym, że eter musi znajdować się w stanie absolutnego spoczynku w stosunku do przedzierających się przez niego ciał niebieskich.

W odniesieniu do eteru mogła być więc mowa o ruchu absolutnymi ciał niebieskich, albowiem po za tym wszelki ruch absolutny zniknął już z widowni astronomii. Bo początkowy heliocentryzm Kopernika przestał już właściwie oddawna być heliocentryzmem w tym sensie, w jakim ongiś geocentryzm Ptolemeusza oznaczał nieruchomość ziemi. Słońce nie jest już punktem nieruchomym, do którego

mogą się odnosić ruchy wszystkich ciał niebieskich, lecz samo ono unosi się jakoby dookoła jakiegoś gwiazdozbioru, wreszcie cała droga mleczna, do której należy rzekomo nasze słońce, odbywać ma jakiś obrotowy ruch w przestrzeni. Niema więc w przestrzeni, mówiąc językiem matematycznym, żadnego początku współrzędnych, do którego możnaby odnosić absolutnie ruchy ciał niebieskich, a w takim razie ruch nie da się właściwie odróżnić od bezruchu. Bo pojęcie ruchu jako zmiany pozycji ciała w przestrzeni, ma sens tylko w odniesieniu do jakiegoś punktu stałego, gdy zaś takiego punktu niema, znika samo pojęcie. A astronomia współczesna nie ma właśnie zupełnie już do czynienia z ruchem absolutnym w odniesieniu do jakiegoś stałego punktu, lecz tylko z całym szeregiem ruchów względnych, co stawia pod znakiem zapytania samą realność tych ruchów. Zdawałoby się jednak, jak zaznaczyliśmy przed chwilą, że mogłaby być mowa o istnieniu absolutnego ruchu w odniesieniu do nieruchomego eteru, jako ośrodka przenoszenia energii promienistej w przestrzeni i czasie, że możnaby na przykład z różnicy efektów optycznych przy odmiennych kierunkach ruchu ziemi w czasie jej obrotu dookoła słońca stwierdzić istnienie absolutnego ruchu naszej planety przedzierającej się przez galaretę eteru. Na gruncie tej idei powstał słynny eksperyment optyczny Michelsona - Morleya, który, jak wiadomo, skończył się niepowodzeniem, nie stwierdził bowiem istnienia absolutnego ruchu ziemi w odniesieniu do eteru.

Z faktu powyższego można było wyciągnąć dwa wnioski, albo że ziemia jest wogóle nieruchoma, i cały kopernikanizm jest wielkim błędem, albo też przystąpić do rewizji ustalonych dotychczas pojęć fizycznych w ten sposób, by wyjaśnić brak oczekiwanego efektu w eksperymencie Michelsona. Pierwszy z tych wniosków sprzeciwiałby się jednak zasadniczo ustalonym już od trzech prawie wieków poglądom, poza tym oznaczałby on pewną kapitulację na rzecz dawnych teologicznych pojęć, nie mógł przeto ten wniosek być brany pod uwagę przez tak zwany świat naukowy; obrano natomiast drugą drogę, drogę rewizji ustalonych poglądów na czas i przestrzeń. Tu odnajdujemy ge-

nezę słynnej teorii względności Einsteina, która też stanowi niejako jeden z podstawowych etapów, od których zaczyna się zmierzch dawnej nauki, związanej ściśle z koperniko-newtonowskim obrazem świata, innymi słowy zmierzch mechanicznej i deterministycznej interpretacji natury, która święciła swe najwyższe triumfy w XIX wieku.

O wpływie teorii Einsteina na dalszy przełom w nauce pomówimy w oddzielnym artykule.

Inż. Adolf Kliszewicz.

Z problematyki „Pierwszego Legionu“.

Do niedawna jeszcze można było zaobserwować zjawisko uderzające: nieufność z jaką odnosiły się szerokie koła inteligencji do katolickiej sztuki, a zwłaszcza do katolickiego dramatu. Nieufność nie łatwa do wytłumaczenia. Wszak katolicyzm w dziedzinie dramaturgii może się poszczycić geniuszami takiej miary jak Lopez de Vega, czy Calderon, a w porze ostatniej choćby misteriami Claudeta, czy „Magią“ Chestertona. Jeśli mimo to jednak wzmiankowane uprzedzenie jeszcze do dziś w dużej mierze pokutuje, to przyczyna tego nie samym brakiem talentów może być wytłumaczona, ale — sięga głębiej, tkwi w tym zapytaniu, które dotyka podstaw zagadnienia: czy wogóle możliwy jest dramat katolicki?

Wyczerpująca odpowiedź na tak postawiony problemat przekraczałaby niezmiernie ramy powyższego artykułu, to też z konieczności ograniczyć się musimy tylko do naszkicowania niektórych punktów.

Praktyka katolickiego dramatu pokazuje dowodnie — jeżeli pominiemy najcelniejsze utwory — że dramaturgii katolickiej grożą niewątpliwie rozliczne niebezpieczeństwa. Słodkawy dewocjonalizm, jaskrawa moralizatorska tendencyjność, naiwność i prymitywizm charakterystyki fałującej między kontrastami czarnych i anielskich charakterów, cudowność odgrywająca rolę dawnego *Deus ex machina*, oto niektóre, może najbardziej jaskrawe niedomagania, aż nazbyt często spotykane w rozmaitych „budujących“ sztukach. Wystarczy zresztą pójść do kina na pierwszy lepszy reklamowany, religijny film, aby móc te wszystkie wady w spotęgo-

wanym jeszcze stopniu zaobserwować. Jeśli dodamy do tego, że przeżycie religijnego dramatu wymaga ze strony odtwórców wysokiego wewnętrznego poziomu i wyjątkowego psychicznego nastawienia, gdyż w przeciwnym razie jaskrawo wystąpi dysharmonia między formą sceniczną a religijną treścią, — to zrozumiemy, iż było dosyć powodów, aby u wrażliwego widza pojęcie dramatu religijnego łączyło się z poczuciem nudy i niesmaku.

Ale obok wzmiankowanych trudności nasuwają się jeszcze inne, bardziej subtelne wątpliwości. Dotyczą one kwestii tragiczności dramatu i tragizmu bohatera. Rozpatrzymy je po kolei w najzwięźlejszym skrócie.

A więc najpierw zagadnienie, czy katolicyzm ze względu na swoją optymistyczną strukturę stwarza możliwości pełnego tragizmu? Wszak tragiczne rozdarcie jest możliwe tylko tam, gdzie człowiek sam musi zmagać się ze swą dołą, kiedy jego własne czyny zwracają się przeciw niemu, kiedy z tego tragicznego koliska nie widać wyjścia. Tymczasem w Kościele człowiek nigdy nie jest opuszczony — do ostatnich chwil jego życia puka do niego zwycięska łaska i wystarczy jeden akt jego dobrej woli, aby tragedię zamienić na *Boską Komedię*.

W związku z tym pozostaje problem drugi: tragizmu bohatera. Tragiczny jego konflikt nie może się uwypuklić w całej pełni, brak tutaj tej wyzywającej przeznaczenie prometejskiej postawy człowieka, „co błyskawic łąknął, chrztu i chryzmatu gromu, lawiny łoskotu, pragnął nad sobą... tęsknił za gromem, który w proch rozbija wielkość i ciosem uświęca“. Nie jest on w stanie wyzyskać pełnej skali swojego bohaterstwa, bo nie jest działalność swą przyczyną pierwszą, tylko łaska Boża, słowem katolik nie jest w stanie wznieść się na wyżyny wielkości prawdziwie tragicznej.

Czy może ją osiągnąć ten, który jest katolicyzmu istotnym bohaterem: Święty? Utarło się przekonanie, że cnota nie jest w swym plastycznym wyrazie uchwytne dla sztuki, że bohater cnotliwy musi być jednostajny i papierowy, bo jest za mało ludzki, że właśnie dopiero człowiek upadły, z dynamiką swoich namietności przedstawia odpowiedni dla artystycznej twórczości temat. Przekonanie to wywarło pe-

wien wływ i na literaturę katolicką, która najchętniej śledziła duchowe przemiany konwertytów ostatnio zaś (Mauriac!) rozpoczęła krytyczną analizę „dobrych katolików“, obrazując ich słabości, natomiast zagadnienie świętości pozostawiała hagiografii lub ostatnio modnym w beletrystyce romanśom biograficznym, obcych niekiedy duchowi Kościoła pisarzy,¹⁾ albo też tuzinkowej pisaninie.

Przedyskutowanie szczegółowe i rozwiązanie tych wszystkich nieporozumień wymagałoby nierównie rozleglejszego ujęcia niż to, do którego musimy się z konieczności zacieśnić. Najogólniej rozważana sprawa przedstawiałaby się następująco:

Nie ulega wątpliwości, że przedstawienie tej najbardziej uduchowionej postawy człowieka, jaką jest świętość, jest zadaniem niezwykle wysokiej miary, niemniej przecież w pewnych granicach osiągalnym. Jest to bardzo charakterystyczną rzeczą, że Papini w *Żywym Dancie* energicznie zwalcza zdomowiony w literaturze pogląd o wyższości artystycznej *Piekle* nad *Rajem*, wykazując, że w tej właśnie ostatniej części, próbującej zobrazować temat zdawałoby się nieuchwytny dla poetyckiej ekspresji, twórca *Boskiej Komedii* wzbił się na najwyższe szczyty, a prof. Folkierski w swojej ślicznej przedmowie do *Księcia Niezlomnego* jest zdania, że Calderon wyszedł zwycięsko z tej trudności jaką było przedstawienie bohatera jako świętego w pełnym tego słowa znaczeniu, a zarazem uczynienie go dramatycznie interesującym. Zresztą wspaniała rzeczywistość przewyższyła wszystkie marzenia sztuki, bo czyż jest ktoś bardziej tragiczny, bardziej święty, a równocześnie i bardziej ludzki od Chrystusa?

Przyznać trzeba, że w dawniejszej hagiografii, a nawet i w katolickiej sztuce, świętość była często ujmowana nazbyt statycznie, jakby jakiś wrodzony stan duszy, a za mało podnoszono jej dynamiczną strukturę, że jest ona najpiękniejszym owocem nieustannej walki, która towarzyszy świętemu niekiedy aż do zgonu. Jednakże ostatnio spotykamy się już z rewizjonizmem na tym polu. Znamiennym przejawem ta-

¹⁾ Por. na ten temat uwagi Calvet'a w książce: „O twórczości i krytyce katolickiej“.

kiego ujęcia jest książka pisarza katolizującego, ale bynajmniej nie katolickiego, Bernanosa: *Pod słońcem szatana*. Bohaterem powieści jest wzorowany na św. Janie Vianney'u asceta ksiądz, który nie przestaje w straszny sposób udęczać swego ciała. A kiedy do jego cichego probostwa zawita wytworny uczony sceptyk, łaknący estetycznych wrażeń religijnych i zacznie mu się marzyć jakiś sielankowy żywot nawróconego, wśród gwaru pszczoł i poszumu drzew słodko zasypiającego w Panu, wtedy niespodzianie, jak grom, uderzy go martwa twarz Świętego, który do ostatniej chwili czuwał męczeńsko niezmordowany na swym posterunku, w konfesjonale, twarz, która zdaje się do niego wołać: „Chciałeś spoczynku Świętych, oto go masz“! O ile ostatnie antynomie rozwiązują się jak widzimy dosyć łatwo, a nawet możemy zaobserwować, że nie brak poczynai przewyciężających dotychczasowe uprzedzenia, to nie tak prosto przedstawia się postawione powyżej zagadnienie, czy w ramach światopoglądu katolickiego da się zmieścić postawa *par excellencie* tragiczna? I znowu nie wchodząc szerzej w ten problemat, musimy się zadowolnić kilku ogólnymi stwierdzeniami, podkreślając tylko niektóre momenty tej kwestii. Otóż stwierdźmy już na początku, że istotnie tragizm bez wyjścia, prometejski, mimo całej swojej nęcającej koncepcji, nie da się uzgodnić z duchem ideologii katolickiej. Ale dodajmy odrazu — kto udowodnił, że to jest właśnie najwyższe, najgórniesze stanowisko? Tragedia Golgoty nie przestała być tragedią najszczytniejszą, chociaż później nastąpił triumf Zmartwychstania. Tragizm, chociaż zostaje przewyciężony, nie traci nic ze swojej wysokiej dostojności, a w każdym razie nie musi tracić.

A skoro tak jest, to nie potrzebujemy się obawiać o wielkość katolickiego bohatera dramatycznego. To prawda, że jego wartość nie jest tylko wyłącznie jego dziełem, ale i tego działania Bożego, które się zowie łaską, ale za to posiada ona pewne walory, których nawet najdostojniejszy antropocentryczny heroizm jest w zupełności pozbawiony. Przecież właśnie w tym, że człowiek nie wie ile ~~w każdym~~ czynie jest jego pokornego wkładu, że nie sobie samemu tylko jest wdzięczny, leży jego pokorna wielkość. On nie tylko nie

nie wie o tym, że jest wzniosły — on nawet nie ma prawa o tym wiedzieć. Zaiste katolickiemu heroizmowi nie grozi pokusa „układania dramatu“¹.

A czy ta koncepcja, że poprzez czyny ludzkie przebija wyższa Myśl i wyższa Wola, nie znosząc w niczym ich swobody a jednak przedziwnie skierowując je do swoich tajemnych celów, jest tak bardzo prawdziwej tragedii obca? Czy nie towarzyszyła ona w niedoskonałej postaci jako pojęcie fatum najszczytniej pojętym dziełom tragedii greckiej?

Równocześnie zaś samo podstawowe założenie katolicyzmu Boga Stwórcy i Boga Odkupiciela, Boga Człowieka, — wychodzącego naprzeciw ludzkości, podejmującego „trud, który go zabijał“ i ludzkości podejmującej poprzez wieki powolną, ale nieustanną ku Bogu wędrówkę, — otwiera olbrzymie horyzonty dla dramatycznej dynamiki, nasuwa nie przebraną moc zagadnień, w których przedziwnie się kojarzą natura i łaska, skończoność i nieskończoność, stworzenie i Stwórca. Subtelność i bogactwo tej, tak jednolitej w swojej organicznej strukturze a zarazem tak złożonej problematyki powiększa jeszcze fakt, że ludzkość odbywa swoją drogę w tej cudownej organizacji Bosko-ludzkiej jaką jest Kościół, organizacji, która ma uczynić zadość tak najsłabszym potrzebom poszczególnych jednostek, jak i społecznej naturze człowieka, organizacji z Bożego ustanowienia i do wiekuistego zmierzającej przeznaczenia, a jednak organizacji składającej się z ułomnych ludzi, a jednak organizacji bytującej swoją doczesną stroną na tym świecie.

To ostatnie zagadnienie stało się jednym z naczelných motywów dramatycznych *Pierwszego Legionu*,¹⁾ którego skomplikowana i obfitująca w filozoficzną tematykę akcja, jest pięknym dowodem na to, jak liczne a niewyzyskane jeszcze dostatecznie wątki stoją otworem przed katolickim dramaturgiem. I dlatego też w dalszych wywodach postaramy się nieco dokładniej oświetlić tę stronę zagadnienia, pomijając inne, jak np. sceniczność czy charakterystykę

¹⁾ Dramat ten grano z wielkiem uznaniem w Krakowie i w Poznaniu. Istnieje uzasadniona nadzieja, że pojawi się także na scenie w stolicy.

osób, niewątpliwie z poprzednim związane, które jednak mogą być rozważane całkiem osobno.

* *

Rozpatrując zasadnicze cechy katolickiego poglądu na świat, musimy ze szczególnym naciskiem podkreślić ten osobliwy związek, jaki zachodzi między życiem wewnętrznym jednostki, a społecznością wiernych. Łączność ta nie ogranicza się wyłącznie tylko do ram organizacji Kościoła, ale przybiera jeszcze niekiedy w jego obrębie formy organizacji ściślejszej, jaką stanowią zakony, które mają na celu w pełnijszy od działania jednostkowego sposób zrealizować pewne szczególne zadania Kościoła, a zarazem prowadzić swoich członków ku szczyblom chrześcijańskiej doskonałości.

Ale właśnie w tym ujęciu życia w każdej organizacji kryje się tragiczne niebezpieczeństwo, że forma zacznie górować nad treścią, że dążności organizacyjne i dyscyplinarne skrepują swobodę jednostki, dozwolą zapanować duchowi podejrzliwości, szpiegostwa i donosicielstwa, że nadmierny rygoryzm stłumi poczucie radości życia i własnej indywidualności, że się człowiek będzie traktować jedynie jako konieczne kółko w maszynie, że dobro organizacji zacznie górować nad chwałą tej idei, do której ona zmierza. Do syty możemy się dzisiaj napatrzeć tym wszystkim zwyrodnieniom, których klasycznym wprost reprezentantem jest współczesny bolszewizm.

Niestety, zagrażają one jednak i organizacjom katolickim, zwłaszcza tam, gdzie mamy do czynienia, jak np. w zakonie jezuitów ze szczególnie mocną więzią organizacyjną. Podejmując w swojej sztuce ten motyw Emeryk Lavery nie zadowolnił się jego powierzchownym ujęciem, ale przedstawił go w kilku umiejętnie stopniowanych fazach. Pierwszy stopień dramatycznego konfliktu polega na tym, że jednostki (O. O. Foulton i Rawleigh) męczą się w pętach bezdusznej często dyscypliny, że się nie mogą wyżyć, że im nie wolno, jak to dobitnie określa bohater dramatu, posługiwać się ich własnym stylem. Jednakże tak ujęty problem nie odbiegałby nazbyt daleko od znanego, banalnego już niemal schematu

nie przedstawiałby jeszcze możliwości prawdziwie dramatycznych. Ale akcja posuwa się naprzód dzięki wypadkowi, który odrazu otwiera nowe perspektywy i umożliwia tragiczny konflikt o wysokim napięciu dramatycznym między jednostką a autorytetem.

W klasztorze nastąpiło niespodziewane wyzdrowienie O. Strelskiego sparaliżowanego od wielu lat, które wszyscy Ojcowie uważają za cud, a tego samego zdania jest nie tylko wyleczony kapłan, przypisujący wyzdrowienie swe wstawiennictwu bł. Józefa Martin, jezuita, ale nawet i doktor klasztoru Morelli, zdecydowany ateista. Wątpliwości co do nadprzyrodzonego charakteru tego zjawiska żywi tylko jezuita, O. Marek Ahern, znakomity prawnik, gorąco przywiązany do swojej organizacji. Nieprzekonany wcale wywodami swych towarzyszy, zapatruje się sceptycznie nie tylko na ten wypadek, ale i na dalsze cudowne wyleczenia, które się raz po raz zdarzają, wśród przybywających masowo na wiadomość o cudzie, pielgrzymów. Tymczasem jest woła rektora zakonu, ażeby właśnie O. Ahern podjął się roli postulatora w procesie kanonizacyjnym bł. Józefa, który zakon w związku z ostatnimi wydarzeniami myśli zainicjować.

Nie dosyć już wyzbyć się swego własnego stylu; teraz trzeba poddać i swój rozum pod rozkaz przełożonego, jak tego wymaga w swym liście o posłuszeństwie święty zakonodawca Ignacy. I O. Ahern ulega. Działa wprawdzie wbrew własnemu przekonaniu, ale jest to bądź co bądź tylko jego subiektywny sąd, więc jako karny zakonnik podporządkuje się władzy. Inaczej jednak przedstawi się sprawa wówczas, gdy chodzić będzie już nie o osobisty pogląd, wobec którego można stosować zasadę: *in dubiis libertas*, ale o dowodnie stwierdzoną prawdę. Tak się przynajmniej wydaje Ojcu Ahern, kiedy mu doktor Morelli czyni pod tajemnicą spowiedzi straszliwe zwierzenie. Oto nieprawdą jest co doktor powiedział o rzekomym cudzie. On chciał sobie tylko z jezuitów poprostu zakpić, gdyż nagłe uleczenie O. Strelskiego da się w sposób przyrodzony z łatwością wyjaśnić. Ale teraz ze zgrozą widzi, że następstwa tego kroku uderzą w jego własne serce, gdyż ukochany jego siostrzeniec, mały chłopczyk, od urodzenia pozbawiony władzy w nogach, uległ

ogólnej sugestii i wierzy, że do pierwszej Komunii św. przystąpi o własnych siłach, a to jest przecież niemożliwe. To właśnie było by już bezspornie cudem. Zdawałoby się więc mogło, że położenie O. Marka jest obsolutnie bez wyjścia. Usłuchać przełożonego znaczyłoby tyle, co działać wbrew sumieniu, znaczyłoby nie tylko popierać fałsz przeciwko prawdzie, ale i utwierdzać w błędnym mniemaniu napływające tłumy wiernych. Nie wolno mu też wytlumaczyć się ze swojego oporu, bo ma przysięgą kapłańską zamknięte usta — musi więc wystąpić z organizacji. Sytuacja już istotnie tragiczna, bo tragiczną jest dola zakonnika tak przywiązanego do swego stowarzyszenia, że widzi w nim nie tylko swą rodzinę, ale cały swój świat a jednak zmuszonego odejść w milczeniu. Nie jest przecież ta sytuacja fikcyjną; urzeczywistniała się już ona nieraz, a ile kosztować może, wiemy z autentycznych zeznań; wszak nie kto inny, ale niespożyty, twardy, szorstki O. Beyzym, bohater z Madagaskaru wybuchnął bolesnym płaczem, kiedy mu przyszło już nie przeżyć, ale tylko wyobrazić sobie podobny cios.

Ale nie o przedstawienie tragizmu obowiązku milczenia, niewątpliwie doniosłego, niemniej jednak już oklepanego jako motyw literacki chodziło autorowi. Raczej pragnął on — i w tym tkwiła świeżość jego koncepcji — wykazać, że nawet w tak wyjątkowym wypadku, jak wspomniany, autorytet nie przekroczył, jakby się można było spodziewać, swoich uprawnień. Umierający rektor dorozumiał się tajemnicy tak lekarza, jak i swojego podwładnego i przed zgonem przepowiedział O. Ahernowi, że jednak kiedyś to pojmie, iż wydając mu polecenie podjęcia się sprawy kanonizacyjnej miał przecież rację. Jakoż O. Ahern zrozumiał, bo niezadługo stała się rzecz, która przeszła wszelkie spodziewanie i ta jednym zamachem uwolniła go z duchowej rozterki. Stał się cud, tym razem już ponad wszelką wątpliwość prawdziwy. Siostrzeniec doktora Morelli nagle wyzdrowiał, wstał o własnych siłach, tak, że nawet niedowiarkowi lekarzowi pozostaje na ten dziw jedna już tylko odpowiedź: *Te Deum laudamus...*

Pieśń tę śpiewa również i dusza O. Marka, który uświadamia sobie wreszcie jedno, że od samego początku mylnie zajmował stanowisko. On nie powinien był twierdzić, że

cudu absolutnie nie było tylko dlatego, że dany wypadek mógłby być w naturalny sposób wytłumaczony; on powinien być się tylko ograniczyć do stwierdzenia, że cud nie został dostatecznie uzasadniony. Nigdy bezwzględnie przy takim wydarzeniu nie możemy powiedzieć, że ono nie jest cudem. Nie wierzył w możliwość następnych cudownych uzdrowień dlatego tylko, że nie wierzył w prawdziwość pierwszego — jakież niesłuszne rozumowanie! Z tego bowiem, że cud się niewydarzył w pewnym czasie nie wynika wcale, żeby się nie mógł zdarzyć później. Być może, że wiara w nadprzyrodzone uzdrowienie O. Strelskiego była pomyłką, ale nie była pomyłką wiara, że Bóg za przyczyną błogosławionego może sprawiać cuda, nie była pomyłką, skoro cud drugi, oczywiście prawdziwy, istotnie się ziścił.¹⁾

Aczkolwiek temu zakończeniu sztuki można pod względem dramatycznym — jak to poniżej wykażemy — postawić pewne zarzuty, to jednak tkwiąca w nim idea rozciąga przed nami szczególnie szerokie horyzonty, kiedy oderwawszy się od dosłownego ujmowania akcji, spróbujemy ją rozważać w przenośnym, bardziej symbolicznym znaczeniu. I my, podobnie jak bohater sztuki, błądzimy po tym świecie po omacku, niezdolni sami ze siebie wypowiedzieć zbawcze słowo, któreby nam odsłoniło najgłębszy sens życia, nie jesteśmy w stanie o własnych siłach stworzyć najwyższej wartości — musimy czekać aż ona sama miłościwie ukaże nam swoje zakryte oblicze! Tak! największym chyba dla nas cudem jest objawienie się utajonej bezwzględnej wartości, bo ona jest zawsze łaską przewyższającą wszystkie nasze możliwości.

*

*

*

Ale ta konkluzja, że człowiek nie jest w stanie wyznaczyć granicy między przyrodzonym a nadprzyrodzonym, nie rozwiązują jeszcze bynajmniej głównego problemu sztuki. Nie o stosunek rozumu do wiary w niej chodzi, jak głosił w Krakowie podtytuł sztuki; O. Ahern jest głęboko wie-

¹⁾ Pomijamy bliższe rozwiązania tego problemu, gdyż szerzej omówiła go p. Starowieyska-Morstinowa w swojej subtelnej i wnikliwej recenzji sztuki Lavery'ego. Por. *Kultura*, 10. V. 1936.

rzącym i w samą możliwość cudu bynajmniej nie wątpi, tylko doszukiwanie się cudów uważa w czasach dzisiejszych za niepotrzebne i obawia się braku dostatecznego krytycyzmu, tak koniecznego przy ustalaniu nadnaturalnych zjawisk. Jest to zagadnienie obecnie bardzo aktualne nawet i u nas; dość wspomnieć niedawną polemikę między Arcybiskupem Teodorowiczem a Ojcem Siwkiem T. J. na temat cudowności zjawisk w Konnersreuth, polemikę, w której stanowisko O. Siwka niemało przypominało postawę Ojca Ahern'a.

Wprowadzenie do dramatu motywu cudu i związanej z nim dialektyki, acz postawione niewątpliwie ciekawie i zajmująco, odbiło się jednak niekorzystnie na kompozycji sztuki, dając w rezultacie nie dosyć zharmonizowaną dwuczłonowość akcji. Problem pochodny, odgrywający w stosunku do zasadniczego problemu tragizmu organizacji rolę tylko pomocniczą, wzrósł niespodziewanie do godności zasadniczego zagadnienia i stał się osią krystalizacyjną sztuki spychając w cień dotychczasowy wątek dramatyczny, który autor zagubił, lub co najmniej potraktował bardzo pośpiesznie. Tragiczna strona organizacji została w zakończeniu zupełnie zapoznana przez dramaturgą, który się zadowolił wyraźnie optymistycznym zakończeniem. Wszak nawet tam, gdzie konflikt między jednostką a stowarzyszeniem zdawał się być najbardziej natężonym i wprost nie do przecięcia, znalazło się — jak widzieliśmy — pomyślne, błogosławione niemal rozstrzygnięcie. Nic dziwnego, że i inne ujemne strony organizacji zostaną w dramacie przezwyciężone i to w sposób wybitnie sztuczny, bo za coś innego można uważać pomysł wysłania wizytatora, który usunie rygorystów i odda władzę w ręce tych, którzy się nie dali zmechanizować rutynie organizacji.

Otóż niepodobna się oprzeć wrażeniu, że Lavery nie docenił powagi zagadnienia i zadowolił się mocno uproszczonym a niezbyt przekonującym rozwiązaniem. Jednostronnemu duchowi zwolenników przesadnej dyscypliny przeciwstawi równie jednostronne hasła, które głoszą jako sposób wyjścia z sytuacji tragicznej ufność braterską, miłość wzajemną, radość życia etc. Trudno nie dopatrzeć się w tym

wszystkim wpływu modnych obecnie, russoizujących teoryj pedagogicznych. Zapewne, że niedobłą jest karność przechodząca w bezduszną tresurę, że stosunki ludzkie, zwłaszcza w zakonie, powinny się opierać na wzajemnym zaufaniu, ale z tego przecież nie wynika wcale, aby ramy organizacyjne mogły przestać istnieć, aby je można było zastąpić samą tylko dobrą wolą podwładnych, aby zaufanie, pod grozą zamienienia się w naiwną łatwowierność, nie musiało znaleźć swego ograniczenia w roztropności, która nie pogardzi tak koniecznym środkiem pedagogicznym, jak nadzór, aby silna wola przełożonego nie musiała niekiedy: *compelle in fratre*.

Droga wiodąca z tej antynomii z pewnością nie polega ani na przerzucaniu się w jedną czy drugą krańcowość, ani na wyjaskrawieniu formy, ani na jej niwelowaniu, ale na umiłowaniu zarówno indywidualnej, jak i społecznej natury człowieka, na tej równowadze formy z treścią, która nie da się ująć w przepisy, bo jest wynikiem nie teorii, ale czynu, równowadze, która jest owocem świętości. Ten kto ją osiągnął, potrafi bezpiecznie znaleźć złoty środek między lekko-myślną dufnością a ciasną podejrzliwością, między autorytetem, któremu grozi popadnięcie w despotyzm, a między swobodą, której grozi przemiana w swawolę. Ale też świętość rozwiązuje nie tylko te formy tragizmu; ona jest w stanie przezwyciężyć cały tragizm doczesności. Im więcej jednak będziemy mieć do czynienia z niedoskonałą naturą człowieka, tym konieczniejszą będzie potrzeba ujęcia jej w tryby organizacji.

W historii Kościoła, tego nieporównanego znawcy natury ludzkiej, możemy znaleźć na potwierdzenie tej tezy wspa-
niały dowód. Jest w niej scena o wymiarach olbrzymiej wielkości, a bohaterem jej nie byle kto: biedaczyna z Assyżu. I on marzył o swobodnym zrzeszeniu swoich *fraticelli* i wzdygał się przed ujęciem tego porywu w tamy reguły, pragnąc zostawić duszy ludzkiej swobodę nieskrępowaną formułami. Ale marzenie duszy Franciszkowej nie zostało spełnione; na wielkie dla ludzkości szczęście Kościół nie podjął testamentu poverella i dokonał ogromnego cywilizacyjnego dzieła narzucając jego zwolennikom klasztorną organizację.

I nie mogło być inaczej. Kościół okazał się większym, roztropniejszym od Franciszka. Pozornie dzieło jego zacieśnił i pomniejszył, ale w rzeczy samej zepewnił mu trwałość i podstawy naturalnego bytowania. Bo Franciszek w pokorze swojej zapomniał o jednym: że po świecie krążył wprawdzie człowiek, którego współcześni nazywali *alter Christus* i temu więzy reguły były niepotrzebne; on mógł się zupełnie spokojnie trzymać augustyńskiego wezwania: *ama et fac quod vis!* — ale Franciszek był tylko jeden. Zastosowanie takiej samej metody w stosunku do szerokich mas groziło nieuchronnie, wcześniej czy później, straszliwą, podkopującą fundamenty kultury anarchią.¹⁾

Ale właśnie dlatego, że organizacja, acz w swojej istocie konieczna, bo wywodząca się ze społecznej natury ludzkiej, może ulec zwyrodnieniu i nierzadko mu ulega; w tym właśnie ujęciu osobowości jednostki w ramy organizacji tkwią załóżki tragizmu.²⁾ Przejawiające się w postaci organizacji społeczne tendencje są nie tylko same w sobie dobre, ale co więcej bez nich pełne rozwinięcie osobowości nie jest możliwe. Z tym wszystkim jednak mogą się one dla niej stać hamulcem i przeszkodą wtedy, kiedy wybijają ponad miarę tłumiąc słuszne prawa indywidualności. Lecz to jedna tylko ujemna strona problemu organizacji, która przy dobrej woli może zostać usunięta. Istnieje jednak jeszcze druga, która w bezwzględny sposób rozwiązana być nie może, a która poprzez dzieje uzbierała bodajże najwięcej tragicznych kart. Koncentruje się ona w tym zapytaniu: w jaki sposób przeprowadzić linię podziału między interesami i prawami społeczeństwa a interesem i prawem jednostki?

Tego ostatniego motywu nie podjął twórca *Pierwszego Legionu* i dodajmy odrazu na jego obronę — podjąć nie

1) Por. na ten temat uwagi Chestertona w sprawozdaniu A. Dybolskiego: *Święty Franciszek z Assyżu*. Kraków. Nakł. Krak. Spółki Wydawniczej 1928. str. 207—208.

2) Mówiąc o organizacji myślimy tutaj o jej najdokładniejszym typie, natomiast nie możemy na tym miejscu rozważać ciekawego problemu, czy i o ile formy życia organizacyjnego przyczyniają się do wypaczenia jego treści.

mógł. Nie mógł go przedstawić dla tej prostej przyczyny, że właśnie w życiu zakonnym możliwości takiego konfliktu nie istnieją. Spotykamy tutaj przecież zupełne i dobrowolne wyrzeczenie się przez jednostkę praw osobistych na rzecz przełożonej władzy, której zakres miarkowany jest tylko przez prawo Boże i kościelne. Nadużycie władzy przez zwierzchność jest zarazem przekroczeniem tych praw i tym samym podwładny jest w takim wypadku zupełnie zwolniony z obowiązku posłuszeństwa.

Stąd też Lavery był zmuszony stworzyć konflikt na innych podstawach sięgając do motywu tajemnicy spowiedzi, ale nie wyciągnął z niego tkwiących tam tragicznych konsekwencji. Rozwiązanie, jakie wybrał autor, nie było przecież wcale konieczne i z łatwością można by tak przerobić akcję, że przybrałaby ona charakter nie pozornie, ale istotnie tragiczny. Ot, wyobraźmy sobie tylko, że w danym wypadku nie idzie już o to, czy się cud rzeczywiście zdarzył, czy nie, ale o to, czy świadczy on rzeczywiście o świętości orędownika, którego pośrednictwu jest przypisany. Zróbmy takie paradoksalne założenie, że chodzi tu nie o już błogosławionego, ale dopiero o kandydata na błogosławionego, że O. Ahern jest świadom jego ludzkich, arcyłudzkich ułomności, ale musi je przemilczeć związany tajemnicą Sakramentu. Wtedy by również O. Ahern nie mógł się podjąć roli promotora i musiałby tym razem już nieodwołalnie wystąpić z zakonu. Podobnych sytuacji można by naturalnie wymyśleć całe mnóstwo.

Czy jednak tak pojęty motyw byłby w bezwzględnym tego słowa znaczeniu tragicznym? Myślimy, że nie, bo nie ma na świecie organizacji poza Kościołem, do której by człowiek koniecznie przynależeć musiał. Jezuici, to nie Kościół pada takie zdanie w *Pierwszym Legionie* i pada najzupełniej słusznie. Natomiast nie ma i nie może być takiej sytuacji, w której by jednostka dobrej woli musiała się znaleźć poza Kościołem. Jest to jednak zbyt szeroki problem, żebyśmy go mogli na tym miejscu rozważać.¹⁾ Dość na tym,

¹⁾ W przesadny sposób i niezgodny z nauką Kościoła zarysował tragiczny konflikt między jednostką a autorytetem w Kościele, zasłużony skądinąd apologeta Benson w swojej powieści *Brzask Wszechzreczy*. I tam,

że raz jeszcze stwierdzić musimy, cośmy już napomknęli na początku, że ideologia katolicka nie dopuszcza beznadziejnego, nieprzewyciężalnego tragizmu, bo nie jest wiarą tych, którzy nadziei nie mają.

*

*

*

Aczkolwiek o tego rodzaju tragizmie w *Pierwszym Legionie* mówić nie możemy, trzeba jednak przyznać, że położenie O. Aherna nosi na sobie znamiona tragizmu wysokiej miary. Czyż można inaczej nazwać przeżycie bohatera, którego duszę szarpie ból i z tego powodu, że wbrew swoim najgorętszym pragnieniom popadł w zatarg z umiłowaną organizacją i musi ją opuścić, bo tak mu nakazuje sumienie i dlatego, że nie może przeciwdziałać szerzącemu się — w jego mniemaniu — błędowi. Goryczy jego losu nie pomniejsza ten fakt, że tej sytuacji, zdawałoby się bez wyjścia, nie spowodowała tragiczna wina bohatera, ale, że została mu ona narzucona od zewnątrz, jakoby wyznaczona tajemniczym palcem Przeznaczenia. Nie pomniejsza, bo czyż tragedia O. Aherna jest mniej straszna dlatego, że nie jest zawiniona? Okropną jest rzeczą poczucie, że wartości niszczą z naszej winy, ale czy mniej przerażające jest, kiedy ulegają zatracie mimo nas, a my na to musimy patrzeć bezsilnie? Chociaż więc O. Marek (A.) nie jest zagrożony w samych podwalinach swej wiary, chociaż nie chodzi tutaj o wartość najwyższą, to przecież targającym serce musi być jego przekonanie, że najukochańsza na świecie rzecz — jego zakon, ulega tak fatalnej i ośmieszającej pomyłce.

Ale gdy o tragiczności bohatera mowa, musimy wygłosić jedną i to wcale doniosłą pod adresem autora prefensję. Konflikt O. Aherna jest konfliktem tylko w dziedzinie pojęciowej; wynika on stąd, że oparł się on na błędnych prze-

podobnie jak u Lavery'ego, motyw cudu jest przedmiotem walki między organizacją kościelną a kapłanem, sprzeciwiającym się zresztą nie nauce Kościoła, ale *comuni opinioni teologorum*. Za swój opór zostaje ksiądz skazany na śmierć, który to wyrok z rezygnacją a nawet uznaniem jako tragiczną konieczność przyjmuje. Bensonowi należy się pierwszeństwo pomysłu, ale konsekwentnym rozwiązaniem problemu góruje Lavery nad swoim poprzednikiem.

słankach. Z chwilą kiedy się cała sprawa wyjaśni, kiedy ukryta prawda ukaże się przed jego oczyma, problemat tragiczny rozwiąże się automatycznie, bez żadnego z jego strony wysiłku. I nie w tym trudność, że rozcięcie dręczącego węzła przyniesie dopiero cud. *Pierwszy Legion* jest dobrym przykładem na to, że wprowadzenie do dramatu motywów teologicznych, przedstawienie nawet dwukrotne cudu nie jest bynajmniej równoznaczne z posługiwaniami się cudownością. Cud, który się zdarza, służy za pierwszym razem jako punkt wyjścia do nawiązania podstawowego zagadnienia, za drugim decyduje o jego rozwiązaniu, nie jest więc czymś dowolnym i przypadkowym, ale motywem organicznie z całością akcji związanym. Lavery pisząc sztukę jako dramat problemowy musiał się oprzeć na pewnym światopoglądzie i wybrał taki, w którym nadprzyrodzone nie jest jakąś mitologiczną dekoracją, czy piękną poetycką fikcją, lecz najwyższą rzeczywistością z światem doczesnym związaną niewidocznymi wprawdzie ale mocnymi węzłami. Uwagi powyższe można zastosować do wszystkich sztuk analogicznego pokroju, nawet do tak świetnych jak *Magia* Chestertona. I tam przecież dla konstrukcji dramatycznej decydującą jest interwencja nadludzka, tylko w przeciwieństwie do *Pierwszego Legionu* nie interwencja Boża, ale magia złego ducha. Naturalnie wspomniane ujęcie zadowolić może tylko takie umysły, które poprzez migotliwą falę wypadków są w stanie dojrzeć głębszy sens życia i wierzą w tę podwójną, wzajemnie się przenikającą rzeczywistość świata przyrodzonego i nadprzyrodzonego. Dla innych pozostaną tego rodzaju utwory kunsztowną, ale nie przekonującą myślową architekturą.¹⁾ Nie samo więc wprowadzenie cudu, ale ustosunkowanie się do niego bohatera nie zostało dostatecznie przemyślane przez dramaturga. Rozwiązanie tragicznej trudności odbywa się w sferze wyłącznie intelektualnej, a nie woluntarnej, bohater pozostaje biernym, pojawienie się cudu nie pozostaje w żadnym związku z jego dramatyczną działalnością. To prawda, że cud jest łaską,

¹⁾ Nie tylko dramat katolicki ale i tragedia greka. Dla pozytywisty na przykład struktura greckiej tragedii, oparta na interwencji fatum, będzie czymś obcym i niezrozumiałym.

a więc i czymś nie zasłużonym, ale rozpatrując rzecz pod kątem widzenia interesu dramatycznego wolelibyśmy, żeby ta łaska była odzewem na wołanie duszy bohatera, żeby ta ucisząca wewnętrzną burzę prawda była nie tylko mu objawiona, ale także przez niego wywalczona, żeby jej uzyskanie pozostawało w ściślejszym związku z jego wartością, decydowało o jego wielkości. Ten sam zarzut można zrobić i innym postaciom autora. Bez żadnego duchowego przygotowania odbędzie się nawrócenie doktora ateusza na sam tylko widok cudu; pod jego wrażeniem odzyskają zapał zachwiani w powołaniu Ojcowie, dla których przecież jako dla ludzi wierzących w cuda nierównie większe, jakie dokonywują się codziennie przy ołtarzu, nie powinno być wydarzenie powyższe wstrząsającą niespodzianką.

Są to bodajże najważniejsze niedomagania sztuki pod względem dramatycznym. Problematyka akcji, choćby pomysłowo skomponowana, ma w różnych dziedzinach literatury np. w powieści wdzięczne dla siebie pole, nie wystarcza wszakże sama przez się do stworzenia dobrego dramatu. A skoro mamy jeszcze coś powiedzieć o błędach tej skądinąd bardzo interesującej sztuki, to wyznamy szczerze, że nie bardzo fortunnie wyszedł Lavery na podejściu do charakterystyki osób z tym mauriacowskim zabarwieniem, które usiłuje poddać krytycznej analizie słabości własnego obozu. Mniejsza na razie o słuszność takiego stanowiska, dla nas w tej chwili ważnym jest to, że bardzo łatwo przy nim pisarzowi przeciągnąć strunę krytyki, tak, że zamiast portretu psychologicznego otrzymuje się karykaturę. Jeżeli niedociągnięcia te nieraz się już zaznaczyły w powieściach Mauriaca, to w wyższym jeszcze stopniu musiały się zarysować w sztuce realistycznej, zwłaszcza w żywej interpretacji na deskach teatru.

Józef Świącicki.

Dzisiejsza młodzież szkół powszechnych.

(Nieco z wyników naszej szkoły i wychowania)

Wiemy dobrze, jakie nadzieje pokładano w szkolnictwie niepodległej Polski. Jeszcze, mógłby ktoś powiedzieć, nie istniało, bo były tylko wieczne próby, a już podnoszono w przemówieniach i rozpisywano się w dziennikach i czasopismach na temat nadzwyczajnych wyników, jakie miało przynieść krajowi. Potępiano zaś ryczałtem dawne metody nauczania i wychowania w szkołach zaborczych, nie bacząc na to, że przecież cała elita świata naukowego dzisiejszej Polski z nich właśnie wyszła.

Szerokie sfery społeczeństwa z radością przyjmowały te zapewnienia i z niecierpliwością czekały na realizację czynionych mu nadziei. A choć po upływie kilku lat mniej się już łudziły co do postępów na polu naukowym, to jednak liczyły ciągle na wychowawcze wyniki nowej szkoły polskiej. Nieustannie powtarzano im przecież o zarzuceniu „pruskich” i „rosyjskich metod”, a wprowadzeniu w życie zasad „nowoczesnej pedagogiki”, które pozwolą wychować młodzież pełną radości życia i twórczej inicjatywy, a przy tym moralnie zdrową i wysoko uspołecznioną. Takie przeświadczenie wpajało zwłaszcza w dusze adeptów stanu nauczycielskiego, którzy wyruszali też na pole pracy z wiarą, że stworzą cud.

I co osiągnęli? — Niech oni sami, nauczyciele szkół powszechnych, nam opowiedzą.

Cokolwiek bowiem przytoczylibyśmy ujemnego o młodzieży, powołując się ufartym zwyczajem na to, co „słyszeliśmy od innych osób” i zaczerpnęliśmy „z kompetentnych źródeł”, mogłoby się spotkać u wielu z niedowierzaniem

albo i oburzeniem, a w każdym razie naraziłoby nas na zarzut nieuzasadnionego uogólniania. Co innego, jeśli to samo wyjdzie z ust nauczycieli. Ci zanaadto kochają młodzież i cenią swój warsztat pracy, a przy tym zdają sobie sprawę, że każdy sąd ujemny o młodzieży szkolnej rzuca pewien cień na ich własną pracę. Jeżeli więc mimo to odważają się na taki krok, to najwidoczniej zmuszają ich do tego poważne racje i nie dająca się ukryć rzeczywistość.

I właśnie taki zbiór świadectw o obecnej młodzieży naszych szkół powszechnych leży przed nami. Napisany przez samych jej wychowawców, uwzględniający szkoły różnego poziomu, różnych środowisk społecznych i różnych stron kraju, zamieszczony w oficjalnym organie „Związku Nauczycielstwa Polskiego”, w numerach 32—37 *Głosu Nauczycielskiego*, od dnia 10 maja do 14 czerwca 1936 r., pod tytułem „Przywrócić zwichniętą równowagę”. Zamieszczono tu pewną tylko liczbę nadesłanych sprawozdań, sądząc jednak z wyboru dokonanego przez Redakcję, odzwierciedlają one poglądy ogółu uczestników ankiety. Możemy więc chyba z całą ścisłością powiedzieć, że zestawiając je poniżej w streszczeniu, podajemy Czytelnikom obraz dość wierny — jak przedstawia się dziś pod względem wychowawczym młodzież naszych szkół powszechnych, tj. ta, która już od roku, paru lub kilku lat korzystała z dobrodziejstw szkoły i stąd powinna być świadectwem wyników jej działalności.

Niewesoło wygląda ów obraz. Byłoby lepiej go nie widzieć, gdyby nie to, że polityka ukrywania niedomagań (istnieje i taka!) nie prowadzi nigdy do celu, jeśli braki te przybrały zbyt wielkie rozmiary.

Przede wszystkim uderza w szeregach młodzieży zanik karności i poszanowania swych przełożonych. W rażącej formie zachodzi on wprawdzie u nielicznych stosunkowo jednostek, ale te działają demoralizująco na resztę klasy, która w dużej nieraz części traci poczucie karności szkolnej. Oczywiście nauczycielstwo stara się temu wszelkimi siłami przeciwdziałać, ale ze zmiennym szczęściem, a niekiedy wprost bezskutecznie, bo nie ma dostatecznych sankcyj w klasie, ani pomocy z zewnątrz. Szczególnie w miejscach,

w których pod wpływem biedy i agitacji wytworzyły się wśród ludności miejscowej prądy antyspołeczne i wywrotowe, sytuacja nauczyciela staje się niesłychanie trudna, czasem wprost beznadziejna.

W jak okropnych warunkach musi pracować niejedyn nauczyciel, dowiadujemy się ze wspomnianych sprawozdań. P. B. uczy w szkole znajdującej się w dzielnicy robotniczo-rzemieślniczej; jego klasa liczy 60 dzieci, w połowie rodziców bezrobotnych. Przeważna część tych dzieci „tylko po to przychodzi do szkoły, aby zjeść drugie śniadanie (często pierwsze), otrzymać jakieś odzienie, posiedzieć w ciepłym pomieszczeniu i — dokuczać innym dzieciom i nauczycielowi. Nic godniejszego dzieci takie nie interesuje. Jeść i robić awantury — to treść ich życia szkolnego. Nic się nie chcą uczyć. W klasie jest 40% niedostatecznych na papierze, a powinno być co najmniej 75%. O wpływie wychowawczym, poza nauczaniem jako jednym z środków wychowania, nie ma mowy w takich warunkach. Dzieci wogóle nie uznają nauczyciela“. Nauczycielce śpiewu dzieci te nie pozwoliły uczyć; skończyło się na tym, że kierownik szkoły musiał przychodzić na jej godzinę i pilnować karności. To znowu „uczeń trzeciej klasy powiedział nauczycielowi wobec całej klasy, że go ukrzyżuje... Innym razem, że mu wypuści wnętrzności. „My się spotkamy na ulicy“ — grozi nauczycielowi uczeń tejże klasy. Nauczycielki zwłaszcza, jako kobiety, są w szczególnie trudnym położeniu. — Dzieci gonia po ławkach, śmieją się, dokuczają, nawet szarpią ją za suknię, po prostu co chcą, to robią. Nauczycielka musi się zamknąć z nimi w klasie, aby jej wogóle nie uciekły z lekcji“. W innej szkole nauczycielka dostała od ucznia w twarz.

W trudnym tym położeniu nauczyciel zwraca się o pomoc do rodziców. Niewiele to jednak pomaga. Istnieje wprawdzie piękne i słuszne hasło: współpracy domu i szkoły, lecz niestety tej pomocy ze strony rodziców często nie można się doczekać, zwłaszcza w bardziej zaniedbanych środowiskach robotniczych, w rodzaju powyżej opisanego. Wielu rodziców jest „destrukcyjnie nastawionych“ i współpraca z nimi „rwie się“ ciągle.

Na wsi jest nieco lepiej, ale nie zawsze. P. A. D. pisząc o środowisku wiejskim nadmienia, że „stosunek rodziców do szkoły jest bardzo często wprost wrogi. Rodzice, zwłaszcza na kresach wschodnich, uważają, że ich dzieciom nauka jest zupełnie niepotrzebna, bo i tak pozostaną na roli i nie będą miały do czynienia z książkami ani pismami, a i liczyć nie będzie czego, skoro nie zawsze są pieniądze na sól i naftę”.

Trzeba rzeczywiście podziwiać tych spośród nauczycielstwa naszego, którzy w warunkach powyższych trwają na posterunku — ale też nie można dziwić się, jeśli niejeden straci cierpliwość, gdy mu zanadto dokuczy ta „gehenna zaszczytnego zawodu”, jak pewien z nich nazwał „obecną sytuację wychowawcy w szkole”.

I tu dochodzimy do sprawy zasadniczej. Uczestnicy ankiety, na której się opieramy, nie poprzestają bowiem na malowaniu ponurych na ogół obrazów dzisiejszej młodzieży szkół powszechnych i pracy nad nią, ale zastanawiają się głębiej nad tym zagadnieniem i pytają: gdzie leży przyczyna tego stanu rzeczy?

Odpowiedź na to znajdują głównie w przepełnieniu klas, braku nauczycieli i uposażenia szkoły, oraz w wyjątkowych warunkach, spowodowanych dzisiejszym kryzysem gospodarczym i społecznym i rozprzężeniem życia rodzinnego. Ale obok tych powodów ogólnej natury podkreślają także inne, wpływające z ustroju naszego szkolnictwa i jego programów, a utrudniające pracę nauczyciela naukową i wychowawczą.

Jakież są te ostatnie przyczyny?

Przede wszystkim, zdaniem nauczycielstwa, zbyt silny jest dziś rozdzźwięk pomiędzy życiem a szkołą.

„Pod pewnym względem — pisze p. N. — stosunki w szkole powsz. dziwnie kolidują z tym, co się dzieje w społeczeństwie. W szkole powsz. nie ma przymusu, nie ma żadnych sankcyj, a we wszystkich innych dziedzinach życia spotykamy się z przeciwnym stanem rzeczy. Szkoły średnie, wyższe, kształcące, wojsko, władze administracyjne i samorządowe, pracodawcy itp. stosują na każdym kroku wo-

bec osobników niepodporządkowujących się zarządzeniom rozmaite środki represji, od najłżejszych do najdotkliwszych w swych skutkach włącznie. Jedynie szkoła powszechna, mająca zadanie przygotować młodzież do późniejszego życia w społeczeństwie zorganizowanym i karnym, nie posiada żadnych środków obrony względem osobników destrukcyjnych. Jakże nieszczęśliwym będzie dziecko, które przyzwyczajone w szkole do niekarności i samowoli, spotka się w późniejszym życiu z karami, nakładanymi na nie przez najrozmaitsze czynniki“.

Innymi słowy: rodzice karzą dzieci nieposłuszne, państwo karze surowo obywateli występnych — podczas gdy nauczycielowi poleca się, aby wyłącznie „słowem i uczuciem z gorącego serca wpływał wychowawczo na dzieci“, a nie daje mu się do ręki żadnego środka karnego na te spośród nich, którym powyższa metoda nie wystarcza i które działają destrukcyjnie na inne. Podczas gdy wszędzie poza szkołą istnieje „twardy przymus zewnętrzny“, w szkole powszechnej pozostawia się nauczyciela bez realnej możliwości wywarcia w potrzebie takiego przymusu. I na tym właśnie — podkreśla z naciskiem p. B. — „polega paradoks dzisiejszego systemu wychowawczego“ w szkole.

Taka zaś źle rozumiana „nietykalność“ dziecka nie tylko nie pomaga wychowaniu młodzieży szkolnej, lecz owszem szkodzi mu i przyczynia się do szerzenia złego. Dziecko, które lekceważy sobie obowiązki szkolne i osobę nauczyciela, a w domu przyzwyczajone jest do posłuchu tylko wobec metod przymusowych, rozzuchwała się przez bezkarność jeszcze bardziej, a jego przykład działa zachęcająco na inne dzieci. I wówczas dzieje się to, co tak trafnie zauważa p. A. Dż.: „Bekarna tyrania destrukcji klasowej w klasie i poza klasą hula w pełni. Bolesny jest widok terroru tych rozbójników klasowych uprawianego na słabszych kolegach. Jest to jaskrawe zaprzeczenie zasady nietykalności dziecka“.

Co ma jednak robić nieszczęsny nauczyciel, który posiada właśnie takiego lub takich „rozbójników“? — Jeśli chodzi o drogę legalną, powiedzmy szczerze, jest bezbrony.

„W obecnych warunkach pracy — pisze p. A. Dż. — wychowawca staje całkowicie bezradny z chwilą, gdy zawiodą

wszystkie środki pedagogiczne, oparte o swobodę w wychowaniu. Stosowanie przymusu... jest niemożliwe. Sytuacja staje się wtedy dla wychowawcy nieznośna, a wychowanka oddaje w orbitę anarchii szkolnej“.

Nauczyciel, który nie chce jednak dopuścić do takiej anarchii, nie chce pozwolić na to, żeby dziesiątki dzieci ponosiły umysłowe i moralne szkody z powodu bezkarności jednej, drugiej jednostki, chwyta się wtedy, z rozpacz, ostatniego środka — bicia. Czuje odrazę do tego, zdaje mu się, że popełnia coś ohydneho, ale nie znajduje innego wyjścia, „Nasze umiłowania wychowawcze — pisze p. M. M. uczący w klasie przeludnionej w małym miasteczku — niejednokrotnie z wielkim trudem przemyślane, trafiają bardzo często w próżnię lub też nie odnoszą pożądanego skutku“ i wówczas „w większości wypadków jedynym lekarstwem na wszystkie wykroczenia dziecka jest kij“.

P. W. K. „poświęca swój artykuł tragedii nauczyciela-ideowca, który z gorącym sercem szedł „w lud“, wierzył w możliwość pracy wychowawczej nawet przy skromnych środkach materialnych wiejskiej szkoły, ale który po kilku zaledwie latach pracy załamuje się i — doprowadzony do ostatecznej granicy ludzkiej wytrzymałości — chwyta się radykalnego środka, kary cielesnej, aby — o ironio! — uzyskać upragnioną ciszę dla nauki“.

Jakże triumfować może obecnie p. Jan Sobolew! Przed paru laty wydał książkę *Karanie wychowawcze jako oddziaływanie na duszę w okresie chłopięcym* (Wilno, 1933) i ściągnął na siebie gromy oburzenia także sfer nauczycielskich, że śmiał przemawiać w obronie kary cielesnej; a przecież żądał jej tylko w bardzo rzadkich wypadkach i z licznymi zastrzeżeniami. A oto teraz przedstawiciele tej samej organizacji nauczycielskiej, która wówczas rozdzierała szaty z oburzenia, uznają, że to jest czasem „jedyne“ sposob wyjścia, owszem niektórzy wprost domagają się swobody użycia go w sytuacjach szczególnie trudnych.

Tak! Domagają się i to licznie. Wyczuwa się to nawet u przeciwników tej metody. A domagają się nie tylko dlatego, że, jak zaznacza p. L. W., „wraz ze zmianą systemu wychowawczego, pozbawiającego nauczyciela środka zastęp-

czego, zmuszającego do posłuchu i karności, skazano nauczyciela na tortury". Ale żądanie to, objaśnia pani W. N. (osobiście zresztą przeciwniczka bicia), „wypływa z niemożliwości osiągnięcia minimalnych nawet wyników nauczania przy obecnych warunkach pracy”.

„Jeżeli nas niestać — pisze p. B. P. — na wyposażenie klas w odpowiednią ilość pomocy i środków naukowych, jeżeli nie jesteśmy w stanie oddzielić dzieci anormalnych od normalnych, jeżeli nie potrafimy zmniejszyć liczby dzieci jednej klasy do 35 uczniów, to stoimy wobec pytania, czy sytuacja, w jakiej znaleźliśmy się, nie wymaga zalegalizowania tego ostatecznego środka — kary mechanicznej, mimo że wszyscy uznajemy ją za tak niebezpieczną. W życiu starszego społeczeństwa, a także w życiu dlatwy w domu, nie w szkole — stosuje się sankcje. Względę humanitarne ustępują w życiu przed twardą koniecznością”.

Oczywiście tylko przed „twardą” koniecznością. „Większość wychowanków szkoły powszechnej — powiada p. W. R. — można prowadzić bez żadnych egzekutyw, wystarczy im słowo i perswazja. Są jednak typy trudne do prowadzenia, typy zepsute już przed przyjsciem do szkoły, lub będące pod silnym wpływem ujemnego oddziaływania środowiska. Nie zawsze można liczyć na to, że umiejętnym podejściem, łagodnością i własnym przykładem możemy zmienić najgorsze dziecko. Rozzuchwalone bezkarnością stanie się niebezpiecznym typem w klasie, będzie demoralizować kolegów podrywając w ich oczach autorytet nauczyciela. W życiu nie potrafi podporządkować się twardym rygorom prawa; będzie elementem zapełniającym areszty i więzienia. Niebezpieczeństwo jest duże i nie należy go lekceważyć. Dbając o przyszłe pokolenie Polski musimy je należycie wychować i przystosować do warunków, w jakich będzie musiało żyć. — Bicie dzieci w szkole jest ohydne, ale bezradność nauczyciela, brak jakichkolwiek rygorów i sankcyj prowadzi życie szkolne do destrukcji i rozkładu”.

Głosy w rodzaju powyższych są tak liczne, że p. H. załamuje ręce i woła: „Gdy czytam wynurzenia nauczycielstwa o dzisiejszej sytuacji szkolnej, to wielki ból chwyta mnie za serce. A więc do tego już doszło, że... mamy iść na kom-

promis z metodami, których tradycja sięga mroków średniowiecza?”

Widocznie jednak te „metody średniowieczne” są dziś potrzebne, skoro nie tylko nauczyciele, ale i rodzice nieraz ich żądają. „Od jakiegoś czasu — pisze pani W. N. — na konferencjach nauczycielskich i na zebraniach rodzicielskich... wyczuć można pewną tęsknotę za przywróceniem kar cielesnych w szkole powszechnej”.

Rodzice bowiem, rzecz wiadoma, używają ich od dawna, nie tylko w sferach robotniczych, lecz także wśród inteligencji i to nieraz „z dobrym skutkiem”, jak dodaje p. L. W. Gdziekolwiek ten środek wychowawczy jest tak rozpowszechniony, że, jak mówi p. O. „pomiędzy tym, czego od nauczyciela i szkoły wymaga współczesna nauka pedagogiczna, a stosunkami, w jakich żyje dziecko w swym środowisku, istnieje olbrzymia przepaść”. Dzieci takie w szkole, gdzie bić nie wolno, czują się bezkarne i stają się nieposkromione, a rodzice reagują na to domaganiem się stosowania kary fizycznej. „W pojęciu większości rodziców — podnosi p. L. W. — szkoła, która nie ma prawa karania dzieci, jest instytucją niedołężną; na konferencjach rodzicielskich, wywiadówkach około 80% rodziców żąda stosowania kary cielesnej w szkole” (choć oczywiście chcieliby, żeby biło cudze dzieci, a nie ich własne).

W ten sposób zwyczaje „życie” i „twarda konieczność”. Wymownym tego świadectwem jest, że Redakcja *Głosu Nauczycielskiego*, reasumując pod koniec głosy uczestników dyskusji, sprzeciwia się (oczywiście) posługiwaniu się karą cielesną, ale — nie znajdując żadnego innego środka zastępczego — oświadcza się równocześnie przeciw surowym dochodzeniom dyscyplinarnym, wytaczanym nauczycielstwu uciekającemu się w ostateczności do kary bicia. „Niższe urzędy administracji szkolnej — pisze tamże — brną nadal w obłudnej polityce rygorów i dyscyplinarek w stosunku do tych nauczycieli, którzy popadli w konflikt z zasadą kar cielesnych, tak, jakby przyczyną była zawsze ich zła wola, a nie fatalne warunki pracy i zupełne wyczerpanie fizyczne i nerwowe”.

Nauczyciel, od którego żąda się bezwzględnie pozytywnych wyników pracy, a równocześnie nie daje środków do ich osiągnięcia, czuje się jednak zapędzonym do ślepego zaułka i konsekwentnie zwraca się przeciw tym, którzy go tam zapędzili. Pyta ich z gorzkim wyrzutem, dlaczego przedstawiali mu ciągle pracę zawodową w złudnych barwach i ukrywali rzeczywistość, dlaczego dziś pozostawiają bezradnego na pastwę losu, zamiast dać mu do ręki środki dostosowane do potrzeb chwili?

Tragicznie odczuwa zwłaszcza ten zawód młody nauczyciel! — P. N. maluje właśnie obraz „okrutnej ironii losu, jaka spotyka nauczycielstwo, idące w życie i w zawód z wiarą w wartości tzw. normalnego stosunku wychowawcy do wychowanka. Wiarę tę wpojono w młodego kandydata do zawodu nauczycielskiego podczas studiów w seminarium nauczycielskim, potem, już na posadzie, jest ona podtrzymywana przez jakiś czas sztucznymi zastrzykami w formie lektury pedagogicznej i przeróżnych oficjalnych kursów — ale w końcu, po syzyfowych zmaganiach z rzeczywistością, nadchodzi okres czarnej apatii i ostatecznego zniechęcenia. Z niezmogoną siłą narzuca się zmęczonemu umysłowi tragiczny wniosek, że wszystko to było tylko piękną teorią, która dla życia pozostanie zawsze mrzonką niewykonalną.“

Zrozumiałą jest więc rzeczą, że nauczycielstwo domaga się zarzucenia „doktrynerskiego stosunku do zagadnień szkolnych, zwłaszcza ze strony czynników decydujących“ i żąda, żeby wymagania władz szkolnych szły w parze z możliwościami wykonawczymi.

Żądania te idą w kierunku bardziej przedmiotowego i sprawiedliwego ustosunkowania się do nauczyciela i do dziecka. „Twierdzą stanowczo — pisze p. B. — że pedagogika nowoczesna przeceniła dziecko. Oto dzisiaj dziecko jest wszystkim, a o nauczycielu nie ma mowy. Nie znam przypadku, ażeby wizytujący zgromił poważnie dzieci za to, że się nic nie uczą i niszczą zdrowie nauczyciela. Ale za to znam fakty, że wizytujący z jednej strony gromił nauczyciela na oczach dzieci, a z drugiej chwalił je, jakby chciał uczynić na złość nauczycielowi. Dziecko dzisiejsze wie o tem, że jest w szkole nietykalne. I nic dziwnego, że nie uznaje

nauczyciela, który nie posiada żadnych możliwości egzekutywy.“

Powtóre, domaga się nauczycielstwo dania mu do ręki takich metod pedagogicznych, które byłyby dostosowane do konkretnych warunków dzisiejszych, a nie unosiły się w obłokach i zmuszały zrozpaczonego wychowawcę do uciekania się na własną rękę do środków ostatecznych.

P. W. J. podkreśla, że praktykowane u nas systemy pedagogiczne „wymagają gruntownej rewizji. Są one zbudowane na teoretycznych przesłankach, głównie psychologicznych, a nie uwzględniają rzeczywistych warunków współczesnego życia kulturalnego i społecznego.“ Są one — dodaje p. J. E. — „robione na wyrost i posiadają dużo utopii... możnaby je realizować w idealnych warunkach pracy, ale nie w naszych warunkach“.

Że głosy powyższe nie są odosobnione, świadczy najlepiej, że solidaryzuje się z nimi widocznie sama Redakcja *Głosu Nauczycielskiego*. „W syntetycznym ujęciu wyników dyskusji — pisze pod koniec — stwierdzamy, że jest ona wyrazem głębokiej dysproporcji, jaka wytworzyła się między postulatami współczesnej pedagogiki a realnymi możliwościami działania wychowawczego w obecnych warunkach polskiego życia, jest wyrazem krzywdy, która się dzieje szkole i nauczycielstwu... Ogół osób, biorących udział w dyskusji, podkreśla tę sprzeczność między teorią a praktyką. Współczesna pedagogika, postulując usunięcie kar cielesnych ze szkoły, daje równocześnie wychowawcy cały szereg środków pozytywnego oddziaływania wychowawczego, którego podstawowym warunkiem jest należyte materialne wyposażenie szkoły. Nasza oficjalna pedagogika, wprowadzając zakaz mechanicznego przymusu zewnętrznego w szkole, nie stworzyła jednak materialnych warunków pracy szkolnej a obecnie w okresie załamывania się trwa nadal w ślepym postulowaniu i nie zdobywa się na poważną akcję, by warunki te naprawić.“

Ograniczyliśmy się dotychczas do przedstawienia obrazu niektórych stron naszego szkolnictwa powszechnego i wyników jego pracy, w świetle wypowiedzi samych nauczy-

cieli tychże szkół. Dowiedzieliśmy się rzeczy, o których się zwykle nie czyta a mało słyszy. Dla czytelników, przyzwyczajonych do szumnych tylko dytyrambów na temat poziomu naszej szkoły i jej działalności wychowawczej, są to rzeczy po części wprost rewelacyjne.

I co dziwniejsze — podane przez samych nauczycieli i to nie opozycjonistów, lecz członków tej organizacji, która na formowanie tegoż szkolnictwa, układanie jego programów i ostatnie reformy ustrojowe miała przemożny, można powiedzieć, decydujący wpływ. Tym bardziej można zatem wierzyć, że w obrazie tym nie ma żadnej przesady, owszem raczej mniej powiedziano o ciemnych stronach, niż jest w rzeczywistości.

Że niedobrze wypadł ten obraz, przyzna każdy.

Ale i zdziwi się głęboko. — Jakto, więc po kilkunastu latach niepodległości i tylu reformach młodzież szkół powszechnych przedstawia się gorzej, niż za czasów zaborczych? Gdziekolwiek w takim stopniu, że żadne metody pedagogiczne „nowoczesne“ nie wystarczają i zrozpaczony nauczyciel musi się uciekać do „średniowiecznych“, żeby ratować pozycję swoją i szkoły?

Więc do tego doszliśmy po długim okresie wyętej pracy, że czasem lepiej byłoby nie posyłać dziecka do szkoły, niż tam je narażać na zepsucie? A jednak taką przestrożę daje nam p. N.: „gdy się głębiej zastanowimy nad wartością wpływu wychowawczego naszej dzisiejszej szkoły powszechnej, dochodzimy do paradoksalnego, ale uzasadnionego wniosku, że w wielu wypadkach szkoła, zamiast wychowywać, tj. wpływać dodatnio na rozwój osobowości wychowanka, oddziaływa wręcz szkodliwie“. I dlatego kończy swe uwagi słowami: „Mówi się słusznie: jaką jest dzisiaj szkoła, takim będzie przyszłe społeczeństwo, lecz biada nam, jeżeli przyszłe społeczeństwo będzie tak mało karne, jak obecna działwa szkolna“.

Oczywiście tylko gdzieś jest tak źle. Ale wystarczy, że jest w wielu miejscach, jak to wynika z materiału dyskusyjnego, który nie zawiera zastrzeżeń łagodzących i prawie w całości nastrojony jest na nutę minorową.

Ocena powyższa jest wszakże nie tylko sprawozdaniem, ale zarazem oskarżeniem. Dzieci, o których tu jest mowa, to

dzieci „szkolne“, czyli które rok, dwa, siedem i więcej (repetenci) pozostawały pod ręką nauczycieli i wpływem szkoły. A wiemy, że szkoła nasza — w ustach niektórych jej przedstawicieli — rości sobie wysokie pretensje wychowawcze, że nieraz stawia się wyżej od rodziny, chce ją zastąpić, naprawiać błędy rodziców, usunąć ich na dalszy plan. Jeśli więc taki jest owoc wychowania, to co sądzić o wychowawcy?

Skoro mówimy o „wychowawcy“, to mniej myślimy o nauczycielstwie. Uważalibyśmy za ciężką krzywdę, gdybyśmy na ludzi, którzy ostatkiem sił w najcięższych niekiedy warunkach trwają na stanowisku, chcieli zwać winę powyższych niedomagań. Pracę nauczycielstwa szkół powszechnych ceniliśmy zawsze wysoko i wyrażaliśmy się o nim, jeśli chodzi o ogromną większość, stale z wielkim uznaniem. Wiemy wprawdzie i pamiętać winno o tym społeczeństwo, że wśród nauczycieli ukrywa się pewna liczba komunistów, lecz narazie stanowią oni prawdopodobnie niewielki odsetek, który nie może wchodzić w grę, gdy mówi się o nauczycielstwie wogóle.

Sąd to więc nie nad wychowawcami, lecz nad systemem, nieżyłowym i nierealnym, oraz tymi, którzy go stworzyli i podtrzymywali. W liczbie ich znajdują się również, żyjący i nieżyjący, wybitniejsi ludzie ze Związku Nauczycielstwa Polskiego; oni więc niech odpowiadają dziś przed społeczeństwem. Jest przecież rzeczą powszechnie wiadomą, że Związek Nauczycielstwa Polskiego był od początku wyjątkowo czynnym i wpływowym w układaniu i przeprowadzaniu planów ustroju szkolnictwa powszechnego. Dziś, jak widzieliśmy, sami członkowie Związku N. P. wystąpili z potępieniem wychowawczej części tych programów, a Redakcja *Głosu Nauczycielskiego* zdaje się zajmować takie samo stanowisko. Czyżby solidaryzowała się z nimi? Gdyby tak było, należałoby się cieszyć i oczekiwać naprawy obecnego stanu rzeczy.

Obawiamy się jednak, że radość ta jest przedwczesną a nadzieje płonne.

Przed wszystkim ani żaden z nauczycieli, biorących udział w ankiecie (nb. o ile głosy ich zostały tu podane),

ani Redakcja *Głosu Nauczycielskiego* nie podają żadnych doraźnych środków zaradczych, choć o nie właśnie chodzi dziś nauczycielstwu — chyba, żeby za taki przyjąć milczące uznanie „przymusu szkolnego”. Dwa zaproponowane środki: wydalenie ze szkoły „szkodliwych i niepoprawnych osobników”, względnie „izolowanie” ich w szkołach specjalnych, są nierealne, z powodu dużej liczby takich dzieci.

O ile zaś chodzi o dalsze, zasadnicze uleczenie stosunków szkolnych — co prawdopodobnie nierychło jeszcze nastąpi — dyskusja nie wniosła nic nowego. Wszyscy wiemy, że jak się poprawią warunki gospodarcze i społeczne, jak zniknie przepełnienie klas i powiększy się liczba uczących, to będzie lepiej. Znamionym natomiast jest ostatnie słowo Redakcji *Głosu Nauczycielskiego* w tej sprawie.

Redakcja, zabierając głos na zakończenie dyskusji, tłumaczy naprzód nauczycielowi, znane mu zresztą od dawna rzeczy, że „zagadnienie szkolne jest znacznie szersze i wykracza daleko poza mury szkoły”, wskutek czego, chcąc ratować sprawę, trzeba pamiętać „o całym splocie zjawisk i wpływów, które kształtują szkolną rzeczywistość”, a więc o światowym kryzysie ekonomicznym, nędzy szerokich mas, przeciwieństwach społecznych. Na tym jednak nie koniec. Istnieje bowiem inny jeszcze, ukryty wróg, istnieje „światowe działanie elementów reakcji kulturalnej, które w obawie o swój stan posiadania... dążą do jak największego ograniczenia roli szkoły powszechnej”. Przed tymi czynnikami musi się nauczycielstwo szkół powszechnych bronić i dlatego Redakcja — uderzywszy jeszcze po drodze w administrację szkolną za jej liczne „zaniedbania” — wzywa je do walki „o demokratyczną kulturę”, o szkołę „demokratyczną i postępową”; w walce zaś tej zjednoczyć się powinny z nauczycielstwem „wszystkie postępowe żywioły społeczeństwa”.

Taka jest recepta Redakcji na „stworzenie normalnych warunków pracy szkolnej, umożliwiających nauczycielowi normalną pracę wychowawczą we właściwym znaczeniu tego słowa”.

Czytelnik myśli może, że przez pomyłkę przytoczyliśmy jakiś inny tekst z *Robotnika* czy *Naprzodu*? — Nie. Tak

przemawia Redakcja na stronie 702-703 numeru 37 *Głosu Nauczycielskiego*, z dn. 14 czerwca 1936 r.

Redakcja ta dodaje jednak zaraz, że to nie jest ostatnie jej słowo i że do sprawy tej powróci „w innej formie” po wakacjach. Byłoby rzeczywiście bardzo do życzenia, żeby organ Związku Nauczycielstwa Polskiego „w innej formie” poruszył tak doniosłe zagadnienie. Z naszej strony pozwolimy sobie — jako interesowani wraz z całym społeczeństwem polskim — poddać jej parę myśli, których realizacja mogłaby przyczynić się skutecznie do pozytywnego rozwiązania kwestii wychowania młodzieży szkół powszechnych.

Pierwsza z nich dotyczy roli rodziny. Wszelkie plany podniesienia poziomu wychowawczego młodzieży szkolnej i ułatwienia nauczycielstwu pracy w tym kierunku będą daremne bez pomocy rodziny. Dom bowiem jest pierwszą i główną instytucją wychowawczą, nie szkoła. Jeśli więc szukamy skutecznych środków zaradczych dla „przywrócenia zwichniętej równowagi”, to jednym z pierwszych winna być troska o rodzinę, zabezpieczenie jej bytu i moralnego poziomu. Nauczycielstwo — we własnym i szkoły interesie — może tu dużo dopomóc przez popieranie u dzieci autorytetu rodziców, przez pracę społeczną na rzecz rodziny i, obecnie zwłaszcza, na rzecz takiego prawa małżeńskiego w Polsce, które zabezpieczyłoby świętość i nierozzerwalność związku małżeńskiego. Bez tego „anarchia” w społeczeństwie i wśród młodzieży będzie się posuwała dalej, straci może rażące dziś zewnętrzne formy, ale sięgnie za to głębiej, do duszy dziecka!

Drugi, najważniejszy punkt dotyczy wychowania religijnego. Dobrze pojęte, znajdujące swe uzupełnienie w praktykach i organizacjach religijnych, stanie się ono najlepszym sprzymierzeńcem nauczyciela, nie tylko jako solidny fundament jego akcji wychowawczej, ale w wielu wypadkach także jako doraźny środek zaradczy, który, jeśli nawet nie zneutralizuje doszczętnie zła w klasie, to przynajmniej osłabi je i uforuje drogę do usunięcia go. Niestety, nie wszyscy nauczyciele doceniają należycie doniosłość tego środka, a kierownicy niektórych szkół, wbrew opinii Ministerstwa W. R. i O. P., zwalczają zawzięcie nawet Krucjatę Eucha-

rystyczną dzieci, jakby ta piękna i stworzona dla uszlachetnienia młodzieży organizacja groziła upadkiem szkole i zgubą państwu! Redakcja *Głosu Nauczycielskiego* przysłuży się rzetelnie polskiej szkole i polskiej młodzieży, jeżeli wpłynie na górne sfery Związku Nauczycielstwa Polskiego i lewe skrzydło członków tegoż, by pozytywnie ustosunkowały się do wymienionych powyżej postulatów.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

KRAKÓW, 1 września 1936 r.

Agonia złotego cielca.

I. Odprężenie.

W ciągu ub. lata na arenie naszej walki z kryzysem gospodarczym nie zaszło wprawdzie nic rozstrzygającego, jednak nie brakło faktów i objawów godnych uwagi.

W dalszym ciągu zaznaczyło się pewne odprężenie kryzysowego nacisku. Poza dawniejszym już wzrostem produkcji w przemyśle ciężkim wyraziło się ono głównie dość ożywionym ruchem budowlanym, zwyczajnym zresztą w tej porze roku spadkiem bezrobocia, lekkim wzrostem katastrofalnie niskiej siły nabywczej wsi, oraz bezdeficytowym wpływem dochodów skarbowych. Prasa przypisała przeważnie tę poprawę automatycznemu wpływowi koniunktury międzynarodowej, zwłaszcza wzmożonemu w ciągu pierwszych siedmiu miesięcy r. b., w porównaniu z odpowiednim okresem r. ub., obrotowi handlowemu z zagranicą. Jednak przyczyniły się tu również zarządzenia państwowe. W zakresie rolnictwa już od ub. roku popierają one dział hodowlany i odpowiedni eksport co okazało się w pewnej mierze skuteczne. Najsilniej bodaj podtrzymał doraźną ulgę w kryzysie dekret dewizowy. Wewnątrz kraju uniemożliwił ucieczkę od banknotu do złota w celu tezauryzacji, tym samym zmuszając lękliwych posiadaczy gołówek do angażowania jej w dobra rzeczowe i obrót gospodarczy. Pomimo, że to zarządzenie niestety zostało później częściowo cofnięte i zakup złota za granicą dozwolony, jednak doraźny, dodatni skutek nie chybił. Na zewnątrz zaś ograniczenie obrotu dewizowego dało podstawę do ukła-

dów z wierzycielami zagranicznymi o rozszerzenie wywozu towarów polskich tak, by wzmożony eksport stał się źródłem wzmożonego dopływu dewiz, pozwalającego pokrywać obsługę długów.

Dekret zatem dewizowy, choć w porównaniu z innymi państwami tak spóźniony, a przy tym niedość konsenkwentnie przeprowadzany wykazał na polskim gruncie, jak dalece walka z kryzysem może być skuteczną tylko przy pomocy środków ograniczających liberalizm, czyli „nakręcających koniunkturę”. Szczególnie znamiennym wydaje się wpływ ożywiający, jaki na działalność gospodarczą wywarło niedostępnie szerszemu ogółowi zakupów walut i złota, które wytwarza najniebezpieczniejszą pokusę tezauryzacji. Gdyby nasz dekret dewizowy wszedł w życie i był surowo stosowany choćby od początku r. 1933, gdy Roosevelt w Ameryce zaczynał „nakręcać koniunkturę” od „odżłocenia” obrotu i zobowiązań, to zasób płynnego kapitału w kraju mógłby być o dobrych kilkaset milionów większy niżli jest obecnie. Ingerencja przymusu w zjawiska gospodarcze, których automatyczne funkcje zwracają się podczas kryzysu na tor samobójczy, stanowi nieubłaganą konieczność, której unikać można tylko do czasu i nie inaczej, jak płacąc za to drogo ciężkimi stratami. W naszym wypadku zapłaciliśmy odpływem złota z Banku Polskiego, oraz spotęgowaniem ciasnoty pieniężnej i zastoju lat ostatnich.

Gdy o tym mowa, trudno wreszcie nie wspomnieć, że także dla kapitałów, które „uciekły za granicę” szukając tam „pewniejszych” niżli w kraju lokat, możnaby znaleźć bodźce repatriacji, i to niekoniecznie tak prostolinijnie przymusowe, jakie zastosowano we Francji w ramach niedawnej polityki deflacyjnej Laval'a. Znacznie trwalszą w tym względzie skuteczność rokowałoby „równanie w górę” cen krajowych, przy waloryzacji zobowiązań, oraz stałości kursu zewnętrznego waluty, o którym pisałem poprzednio. Kapitały lokowane za granicą poczęłyby wtedy gwałtownie topnieć, o ile nie powróciłyby czym prędzej do kraju, gdzie zresztą i tezauryzacja wewnętrzna stałaby się niemożliwa i utraciłaby wszelki sens. Łącznie tedy ze schowków krajowych i zagranicznych mamy do wydobycia przeszło miliard zło-

tych autentycznego, normalnie nagromadzonego kapitału, bez potrzeby kredytowania go wartością własną pieniądza, w nowych jego emisjach.

Wypłoszyła ten kapitał z obrotu gospodarczego „automatyczna” panika, wobec niemniej automatycznej uległości, z jaką srogiej koniunkturze kryzysowej pozwalaliśmy dotąd szamotać naszą gospodarką pomiędzy hyperdeflacją a widmem inflacji. Częściowo tylko i niedostatecznie powrócić go nam może „poprawa” tej miary, którą daje się zauważyć obecnie, niezależnie od tego czy jest automatyczna, lub też paliatywnie „nakręcona”. Uruchomić w pełni wszelki kapitał, który „zamroziła” już to zła koniunktura, już też strach przed nią, mógłby tylko albo automatyczny powrót koniunktury dobrej w jej pełnym rozkwicie, co najmniej przedkryzysowym, albo też niemniej stanowcze „nakręcenie” jej do tego powrotu. Pierwsza z tych ewentualności jest mało prawdopodobna, druga wymagałaby rozważnego, ale i odważnego przejścia z utartych szlaków na nowe drogi.

Tymczasem u nas nie zanosi się ani na jedno, ani na drugie. Zapowiedziany wiosną program państwowej polityki gospodarczej opiera się na fakcie zwrotu koniunktury z kierunku bezwzględnie rozkładowego na częściowo dodatni. Zwrot ten ma być nadal pielęgnowany powściągliwymi jak dotąd środkami, głównie za pomocą robót publicznych. W tym punkcie program idzie formalnie naprzeciw dążeniom inwestycjonistów amb. Filipowicza, jednak w granicach „klasycznej” polityki walutowej i kredytowej. Jedynie kwota przeznaczona rocznie na inwestycje ma być podniesiona z pierwotnie projektowanych 200 do mniej więcej 400 milionów złotych. Zmobilizowana ma być częściowo ze źródeł budżetowych, przede wszystkim zaś ze źródeł kredytu wewnętrznego, dotąd znajdujących się w dyspozycji życia gospodarczego. W takiej postaci musiałby więc ten program zaostrzyć ciasnotę kredytową i pieniężną, tym bardziej wobec już zaznaczonego i mogącego jeszcze wzrosnąć ożywienia produkcji, a więc wzrostu popytu na kapitał obrotowy. W sukurs przyjdzie tu zapewne nowa pożyczka francuska.

Do tej sprawy powrócę jeszcze. Tymczasem jednak wśród godnych uwagi a dotyczących walki z kryzysem wydarzeń ub. lata podnieść należy fakt, że chociaż państwowa polityka gospodarcza trzyma się na razie dalej utartych dróg, wszakże myśl o ich niewystarczalności uforowała już sobie drogę nawet do głównego organu deflacionizmu *Gazety Polskiej*. W lipcu ukazał się tam artykuł red. Witwickiego pt. „Możliwe niemożliwości”. Zyskał on niemniejszy rozgłos od poprzednich w tymże piśmie prac min. Matuszewskiego, gdyż sądzono, że podobnie jak one, zapowiada pewien nowy kurs rządowej polityki ekonomicznej. Artykuł red. W. komentowano więc jako gwałtowny „zwrot 180°” od stanowiska liberalnego klasycyzmu i deflacji do metod „nakręcania koniunktury”. Okazało się, że artykuł nie ma tego znaczenia praktycznego, jakie mu przypisywano. Mimo to zachował on swoją wagę, jako teoretyczny wyraz uznania, iż koniunkturę „nakręcać” można, ale tylko wtedy, jeśli się świadomie porzuca liberalny ustrój gospodarczy i polityczny, a przechodzi w obu dziedzinach do ustroju autorytatywnego, oraz społecznie radykalnego.

Na pierwszy plan głębokich przemian, które na tej drodze musiałyby być przeprowadzone wysunął autor etatyzację wytwórczości, reformę rolną i antykartelizm. Te postulaty miały niewątpliwie w intencji autora aktualne uzasadnienie taktyczno-polityczne, zbyt jednak upraszczają zawiły problem przebudowy ustroju. Poza ogólną bowiem dążnością do sprawiedliwości społecznej, którą kapitalizm depce, problem przebudowy racjonalnej, organicznie z konieczności życiowych wyprowadzonej, mało ma wspólnego z klasową demagogią współczesnego, społecznego radykalizmu. Przeciwnie, jego konkretne, aktualne hasła mogą zadanie przebudowy raczej komplikować i utrudniać. Znacznie bliżej istotnych potrzeb czasu orientowali się ci politycy sejmowi, którzy dążą do zorganizowania rolnictwa polskiego w osobny stan, czy korporację, uprawnioną do reglamentowania i nadzorowania produkcji rolnej, w ramach ogólnopństwowej gospodarki planowej. To jest rzeczywisty szlak przyszłości, chociaż inicjatywa wejścia nań ze strony odosobnionej grupy społecznej może być trudna. Powitać ją

należy jednak jako pierwszą jaskółkę polskiego korporacjonizmu.

Dobrze w sedno obecnego przejściowego położenia utrafił artykuł ogłoszony w sierpniu w *Kurjerze Porannym* pt. „Niebezpieczeństwa poprawy gospodarczej”. Dobrze wprowadzie nie dlatego, że i on podobnie jak red. W. w *Gazecie Polskiej* domaga się radykalnej polityki społecznej przeciwko większej własności rolnej i kartelom przemysłowym. Ale dobrze z tego powodu, że osiągniętą poprawę określa jako nikłą, raczej pozorną, a kładzie nacisk na głęboki niedorozwój i strukturalną ułomność gospodarstwa polskiego. Walka z tą ułomnością równoznaczna jest z walką o byt narodowy, wymaga przeto wyteżonej energii i śmiałości poczynać. Autor obawia się i ostrzega, by odprężenie dopuszczające dalszą doraźną wegetację nie oddziaływało, jak środek nasenny na inicjatywę i energię w dziedzinie naprawy zasadniczej. Czy obawa ta jest uzasadniona? Wysoce niesamodzielny i krótkowzroczny charakter polskiej polityki gospodarczej od czasu odbudowy państwa nasuwa odpowiedź twierdzącą. Pozornie za taką odpowiedzią przemawia również fakt, że gdy „poprawa” odjęła nam nóż od gardła, natychmiast z pierwszego planu życia publicznego usunięto troskę gospodarczą na rzecz społeczno-politycznej. Prasa i opinia w ciągu ub. lata mniej zajmowała się polityką gospodarczą, więcej zaś wewnętrzną polityką *sensu stricto*, oraz zagadnieniem ustroju państwa. Ustrój jednak polityczny, społeczny i gospodarczy nierozdzielnie się ze sobą kojarzą. To też rzeczą jest naturalną, że ku jesieni w dyskusjach publicznych popularna partyjna użerka o to, kto w państwie ma sprawować władzę, poczęła się podnosić na nieco wyższy poziom, w kierunku zagadnienia jak sobie wyobrażają ci co rządzą, lub ci coby rządzić chcieli nieuniknioną, zasadniczą przebudowę Polski. Pewien, choćby nieznacznym jeszcze, zwrot świadomości publicznej w tym kierunku budzi nadzieję, że również polityka gospodarcza nie poprzestanie na utartych szablonach i doraźnych odruchach obronnych wobec doraźnych niebezpieczeństw. Trzeba jednak, by publicystyka nasza nie zaniedbywała kuć żelazo póki gorące.

II. Pożyczka.

„Niebezpieczeństwo poprawy gospodarczej“, na które zwrócił uwagę *Kurjer Poranny* zagrażać może obecnie najbardziej od strony pożyczki francuskiej. Gdyby, co jest możliwe, zaakcentowała ona wyraźniej dotychczasową lekką ulgę w kryzysowej depresji, to zapewne ożywiłaby również złudzenie niepoprawnych liberałów, którzy już w ciągu ub. lata usiłowali głosić, że kryzys się kończy, bo dobra koniunktura powraca automatycznie, na zasadzie klasycznego „falowania“.

Na pozór mają oni nawet słuszość, boć jeżeli w epoce kapitalistycznej, od wojen napoleońskich do ostatniej wojny europejskiej, koniunktura przefalowała kilkanaście razy od *prosperity* do krachu i odwrotnie, to również okres powojenny w tempie jeszcze spieszniejszym, przechodzi od klęsk inflacyjnych do gospodarczego „rozkwitu“ w latach 1924—1930, potem na lat sześć zapada w kryzys, obecnie zaś znów dźwigać się poczyną. Tak jest istotnie, z tym wszakże zastrzeżeniem, że „fale“ przedwojenne wzbierały i rozplywały się na pełnym morzu wielkokapitalistycznego rozwoju. Wynurzać się zeń mogły wprawdzie przejściowo zjawiska nieprzewidziane, podlegające lub hamujące automatyczny wzrost, przerost, kryzys i ponowny odrost produkcji i zbytu, ale jednak te czasy nie znały takich raf strukturalnych, jakie wywołały ostatnią klęskę nadmiaru. To też rafa ta, zarówno krajowe jak międzynarodowe, zarówno społeczne jak techniczne, nowa fala „dobrej koniunktury“ zdołała opłynąć tylko bardzo powierzchownie, częściowo, gdzieniegdzie; a co najznamienniejsze, nie tylko nie automatycznie, lecz na odwrót, wyłącznie dzięki „nakręceniu“.

Nie będę tu powtarzał tego, co pisałem poprzednio o „opanowaniu kryzysu“ przez mocarstwa anglo-saskie. Podkreślę tylko, że sam fakt wielkiej wojny, wywołanego przez nią przewrotu międzynarodowego, oraz teraźniejszych przewrotów ustrojowych, likwidujących parlamentaryzm, świadczy dostatecznie o wielkiej odmianie charakteru epoki i jej konieczności życiowych, w stosunku do przedwojennego liberalizmu i kapitalizmu. Nie dziw tedy, że i falowanie koniunktur, choć jeszcze nie zupełnie wygasło, gruntow-

nie jednak zmieniło swą naturę. Byłoby tedy ze strony polskiej lekkomyślnością nie do darowania, gdybyśmy w objęcia nowej „fali koniunkturalnej” mieli rzucić się równie ufnie, jak to uczyniliśmy wobec jej poprzedniczki za rządów premiera Bartła. Jeśli bowiem tamta, z lat 1924—1930, dobra koniunktura międzynarodowa opierała się na tak kruchej podstawie, jak łącanie powojennych „dziur w produkcji” oraz przeładowywanie Niemiec kredytami, to „fala” obecna jest jeszcze bardziej powierzchowna i przelotna. Jej podstawę stanowi wzrost produkcji na skutek wyścigu zbrojeń, który musi wyładować się w nowej wojnie, oraz anglosaskie i inne „nakręcenie” koniunktury, które jednak słabą tylko ulgę przynieść mogło kontynentowi europejskiemu. To też przed nim w całej pełni piętrzy się nadal groza tych zasadniczych raf strukturalnych w budowie życia gospodarczego, społecznego i politycznego, których „nakręcić” i włączyć w nową, dodatnią „falę” dotąd nie zdołano. Stosuje się to w pierwszym rzędzie do Francji, Niemiec i Polski.

Pewien wgląd w wynikające stąd perspektywy uzyskać można przyjmując za punkt wyjścia projektowaną pożyczkę francuską dla Polski. Jak oddziałać może ten spodziewany sukurs kredytowy w naszym życiu wewnętrznym i w stosunkach międzynarodowych? O ile wiadomo w chwili gdy piszę, przeznaczenie jej ma być wyłącznie wojskowe, w wysokości 350 milionów złotych. Wysokość ta, jak na nasze stosunki, wydaje się dość znaczną. W porównaniu jednak z kwotami jakie na zbrojenia poświęcili nasi wielcy sąsiedzi oraz mocarstwa zachodnie, owe 350 milionów zł. są wkładem nikłym, bezwzględnie niedostatecznym nawet w tej specjalnej dziedzinie, którą ma podtrzymać na wysokości jej doniosłych zadań. Pod względem gospodarczym kredyt ten pozostanie bezpośrednio martwy w tej swej części, która wejdzie do kraju z zagranicy w postaci gotowego materiału wojennego. Ta część natomiast, którą przypuszczalnie będziemy mogli zainwestować w zamówieniach dla krajowego ciężkiego przemysłu, oraz robotach np. fortyfikacyjnych oddziała dodatnio jako pewien przypływ długoterminowego kapitału. Może on odciążyć w pewnej mierze nacisk państwowego programu robót publicznych na ubogi nasz we-

wewnętrzny rynek kredytowy, rezerwując go dla wytwórczości prywatnej. Taby mogło dopomóc nam w dalszym przełamaniu zastoju gospodarczego, podciągnąć wyżej dotychczasową ulgę w kryzysie. Tym bardziej, że spłata tego kredytu francuskiemu wierzycielowi mogłaby by mieć miejsce jedynie przy odpowiednio wzmożonym eksporcie naszego towaru do Francji, lub gdzie indziej, co znów oddziaływać by musiało ożywiająco na krajową produkcję.

Tak się przedstawiają niewątpliwe strony dodatnie tej perspektywy kredytowej. Zależnie od rozmiaru i warunków pożyczki zagranicznej te jej bezpośrednie efekty mogą się okazać nawet dość znaczne. Na dłuższą wszakże metę oddziaływać one będą mogły pozytywnie tylko wtedy, jeżeli się nie przeceni ich wartości doraźnej, nie pozwoli przez nią uśpić nieodzownych, samoistnych poczynañ równoległych, lecz przeciwnie pożyczkę racjonalnie z nimi się skoordynuje. Kredyt zagraniczny, taki o jakim dotąd mowa, a więc polityczny i ograniczony ilościowo, może być pożądanym jako pomoc częściowa, ale bezwzględnie nie wystarczy jako podstawa zasadniczej odbudowy zacołanego i ułomnego naszego narodowego gospodarstwa. Tym bardziej wobec grozy nowej wojny światowej, która nad Europą zwisa chwilami tak jakby już miała wybuchnąć, w najlepszym zaś razie pozwala nam liczyć najwyżej na kilkoletni *delaí de gráce*.

To krótkie odroczenie zmarnowalibyśmy beznadziejnie i sami byśmy się pograżyli, gdybyśmy je wypełnić chcieli biernym osunięciem się na łaskę i niełaskę „dobrej” koniunktury. Ażeby to odroczenie należycie wyzyskać musimy wyteżyć wszystkie siły i rozwinąć *maximum* celowej inicjatywy, stając do finału w zawodach międzynarodowych nie tylko na gruncie zbrojeń. Nasz narodowy byt lub niebyt zależy od tego, by w rekordowym tempie w ciągu tych kilku lat przeprowadzić nasze gospodarstwo ze stanu organicznego niedorozwoju i kryzysowego rozkładu, w jakim się znajduje, w stan odrodzenia i maksymalnej żywotności. Ten zaś cel nie da się osiągnąć automatycznie, lecz bezwzględnie wymaga, ażeby koniunkturę „nakręcić” tak wysoko i radykalnie jak nam tego potrzeba, i to zarówno od wewnątrz, jak od zewnątrz. Że w konsekwencji wypadnie pożegnać się z ustró-

jem liberalnym, a przejść do nowego, gruntownie odmiennego, to tym lepiej, bo wynik będzie bardziej skuteczny i trwały.

Od wewnątrz można radykalnie „nakręcić” koniunkturę tylko w taki sposób jak to przedstawiłem w poprzednim artykule. Długoterminowy kredyt zagraniczny może zadanie przebudowy strukturalnej odciążyć zwłaszcza w zakresie ciężkich długoterminowych inwestycji, które najtrudniej jest finansować przez emisję środków obrotowych. Równolegle jednak i nieodzownie należałoby uruchomić wskazany w poprzednim artykule system na rzecz ożywienia i zrównoważenia szybkiego obrotu spożywczego pomiędzy rolnictwem a przemysłem przetwórczym.

III. Możliwe niemożliwości.

Tyle na razie o wewnętrznej, krajowej perspektywie pożyczki francuskiej. Interesująca jest również, a zasadniczo nawet głębsza, perspektywa międzynarodowa. Byłoby oczywiście pożądanym, ażebyśmy uzyskali kredyt zagraniczny, nie tylko wojskowy, lecz także inwestycyjno-gospodarczy i to możliwie największy. Stoją temu jednak na przeszkodzie okoliczności niezmiennie znamienne dla współczesnego światowego przesilenia.

Na rynku światowym Francja utrzymuje z trudem swą pozycję, bo wobec obniżonych cen i zdevaluowanych walut jej towar jest stosunkowo drogi. Bilans handlowy posiada więc Francja obecnie dość silnie, niepokojąco nawet dla franka, bierny. W obrocie jednak z Polską bilans dawał dotąd zawsze poważne saldo czynne na korzyść Francji. Na skutek świeżo zawartych układów bilans ten zapewne poprawi się nieco na korzyść Polski, poprawiać się zaś będzie musiał tym więcej, im więcej kredytu udzieliła by nam Francja, gdyż spłacać go możemy jedynie wzmożonym wywozem naszej produkcji. Im więcej jednak Francja wpuści obcego, w danym wypadku polskiego, towaru na swój rynek wewnętrzny, tym bardziej go zacieśni dla zbytu swych własnych wyrobów; jeśli nie bezpośrednio to pośrednio, to znaczy redukując swój obrót z innymi państwami, ażeby móc go rozszerzyć z nami. Zacieśnianie zaś rynku wewnętrznego,

to przecież typowy objaw kryzysowy, powodujący zastój wytwórczości i bezrobocie. Dlatego właśnie państwa zwalczały kryzys ograniczając import obcego towaru, dlatego też zanikał na skutek kryzysu handel, a wślad za nim i kredyt międzynarodowy. Teraz wprawdzie znowu się wzmógł, ale nie wszędzie jednakowo, we Francji zaś tylko po stronie przywozu. Stąd wolno przypuszczać, że w obecnych warunkach Francja nie będzie skłonna zbyt szeroko otwierać swój rynek dla zwiększonego przywozu z Polski. Tym samym otworzy nam kredyt raczej tylko w takim zakresie, jaki uważa za konieczny ze względów politycznych i wojskowych; zwłaszcza że ogólne handlowe, polskie saldo czynne spadło niemal do zera i trudno je będzie odbudować kosztem jakiejś strony trzeciej.

Inna rzecz, że Francja wkracza obecnie na drogę radykalnej wewnętrznej polityki społeczno-gospodarczej o charakterze „inflacyjnym” i że chętnie „nakręciłaby” sobie na tej drodze koniunkturę, gdyby tylko wiedziała jak się do tego zabrać. Na razie idzie naprzeciw postulatów klasowych stronnictw robotniczych w kierunku zwyczajki płac, skrócenia czasu pracy, oraz wielkich robót publicznych. Zagroza to wzrostem kosztów produkcji i cen, spadkiem zbytu wewnętrznego i eksportu, zastojem, bezrobociem, spadkiem dochodów skarbowych; koniec końców zaś naruszeniem równowagi tak bilansu zagranicznego, jak budżetu państwa, a więc i kursu franka, wysoko zresztą pokrytego złotem. Nie dziw, że odpływa ono znów wraz z kapitałami za granicę, głównie do Anglii.

Swego czasu w Ameryce stanął Roosevelt wobec zastój, bezrobocia, deficytu itp. i rezolutnie przystąpił do walki za pomocą „kodeksów pracy”, czyli planowej reglamentacji produkcji, z drugiej strony wspomagając ją inflacją kredytową. Roosevelt liczył na to, że — choć narzuca zakładom przemysłowym warunki deficytowe, bo krótki czas pracy i zwiększenie liczby robotników, przy niezmnieszonej płacy, a niezwiększonych cenach — ale te deficyty pokryje tani i prawie nieograniczony kredyt. Tymczasem zaś wzrost zatrudnienia i spożycia rozszerzy zbył, poruszy produkcję, zniży więc jej koszt, koło przyczyn i skutków przestawi

z biegu rozkładowego na pozytywny i po pewnym czasie osiągnie nowy stan równowagi. Plan Roosevelta był w zasadzie trafny, chociaż istotnie tak radykalny, że słusznie otrzymał nazwę „nowego podziału“ bogactw między warstwami i jednostkami w społeczeństwie. Plan ten mógłby zostać w pełni przeprowadzony tylko kosztem znacznego, conajmniej kilkakrotnego wzrostu cen, czyli „równania w górę“, oraz proporcjonalnej doń inflacji kredytowej lub pieniężnej. Ponieważ zaś nie przewidywał waloryzacji, przeto stopniały by w nim wszelkie dotychczasowe fortuny czysto kapitałistyczne, podniósł by się zaś natomiast wysoko poziom wartości rzeczowych oraz dochodu warstw pracownicznych. To wszystko jednak zostało w Ameryce przeprowadzone tylko częściowo, gdyż od wewnątrz przyszło w sukurs „błogosławieństwo nieurodzaju“, które podniosło ceny i wzmogło siłę nabywczą rolnictwa; od zewnątrz zaś powszechna reglamentacja handlu międzynarodowego i anglosaska dewaluacja „nakreśliły koniunkturę“, poprzez spadek cen, do ponownej, ilościowej odbudowy obrotów, a więc i ożywienia produkcji. Wprawdzie na skutek wzmożonego popytu wzrosły ostatnio także ceny i wartość handlu międzynarodowego, co może go ponownie zredukować ilościowo — jednak zwrot dotychczasowy wystarczył, by doraźnie przywrócić do równowagi gospodarczej kolosalne aparaty produkcyjne i rynki zbytu, jakimi rozporządzają, u siebie i w świecie, Ameryka i Anglia. Dlatego eksperyment Roosevelta mógł się okazać doraźnie zbędnym i został wstrzymany.

Ale w stosunkowo małych, mniej zasobnych i gospodarczo inaczej zbudowanych krajach Europy kontynentalnej kryzys nie dał się „opanować“, nawet doraźnie, takim tanim kosztem jak u Anglosasów. We Francji, Niemczech, Polsce nastąpiły tylko podrzędne odprężenia, które niewiele nacisk kryzysu osłabiły. Tutaj przeto, zwłaszcza we Francji i w Polsce, w dalszym ciągu wysoką doraźną aktualność zachowuje idea Roosevelta. Polega ona zasadniczo na tym, ażeby dyspozycję kapitałem, kredytem i walutą, która przy gospodarce liberalnej odbywa się żywiołowo i wyłącznie pod kątem zysku przedsiębiorstw i osób, zcentralizować

w ręku państwa i uczynić z niej narzędzie gospodarki planowej, czyli regulacji procesów ekonomicznych pod kątem celowości przede wszystkim społecznej.

W krajach, gdzie istnieje potężny zasób nagromadzonego kapitału może gospodarka planowa w pierwszym rzędzie na nim się oprzeć, wcale lub mało posiłkując się emisjami pieniężnymi. Niezależnie jednak od tego, możliwość i obowiązek ze strony państwa dostarczenia kapitału, przynajmniej obrotowego, w takiej ilości jaka jest potrzebna, i skierowywania go tam, gdzie jest potrzebna, a wycofywania z kierunków niewłaściwych, otwiera niezmiernie rozległe perspektywy przebudowy ustroju gospodarczego, społecznego i politycznego. Perspektywy, w których staje się w zasadzie wykonalnym taki, irracjonalny ze stanowiska liberalnego „cud” ekonomiczny, taka „możliwa niemożliwość”, jak wymarzone ideały sprawiedliwości społecznej: skróć czasu pracy, wyższa zarobków, kosztów produkcji, cen, a zarazem sfinansowanie konsumpcji, a więc zapewnienie zbytu drogiemu towarowi. Wszystko to staje się możliwe w drodze „równania w górę” z chwilą, gdy naczelny dysponent gospodarki planowej tj. państwo dostarczy potrzebnej ilości środków obrotowych na organizację zarówno wytwórczości jak spożycia.

Oczywiście cudów ekonomicznych rzeczowych przy tym być nie może, mogą być tylko „cuda” organizacyjne i psychologiczne. Nie da się np. skrócić czasu pracy tak dalece, ażeby to wywołało deficyt w produkcji obniżając ją poniżej popytu i wywołując brak. Nie da się również rozłożyć jakiejś pracy na tak wielką liczbę pracowników, której potrzeb nie zdoła pokryć rzeczowo część społeczeństwa konsumująca wytwory tej pracy. Dlatego gospodarka planowa musi reglamentować nie tylko pracę, płacę i ceny, lecz także ilościowo musi stosować produkcję do konsumpcji. Nie da się ilościowo redukować pracy poniżej ogromnych zadań, jakie musi ona wypełnić, ażeby odrobić zaoferowanie ekonomiczne niektórych krajów, jak np. Polski. Natomiast w krajach ekonomicznie przodujących znamienne dla nich „bezrobocie techniczne” może i powinno być oparte w drodze „równania w górę”, znosząc żywiołową

tyranie maszyny, poddając ją człowiekowi, wyzwając jego energię dla spraw i prac kulturalnych. Wreszcie, o czym już pisałem, nie da się zastępować kapitału zakładowego obrotowym inaczej jak tylko w wąskim zakresie i z uwzględnieniem równoległego rozwoju szybkiego, spożywczo-prze-twórczego obrotu. Przy zachowaniu jednak pewnych naturalnych granic gospodarka planowa, za pomocą dyspozycji finansowej, może zapewnić pełną harmonię wytwórczości ze spożyciem oraz sprawiedliwy społeczny podział dóbr. Równa się to trwałemu i absolutnemu „nakręceniu koniunktury“, ale zarazem wymaga odpowiednich głębokich przeobrażeń społecznych, politycznych i psychicznych.

Punkt wyjścia takiej fundamentalnej przebudowy (która niewątpliwie aż fantastyczną może się wydać niejednemu prawowiernemu liberałowi) stanowi to właśnie, co teraz w Polsce i we Francji znajduje się na porządku dziennym: ożywienie i zrównoważenie życia gospodarczego za pomocą środków o charakterze antydeflacyjnym. Gdyby to zadanie zostało należycie postawione i dostatecznie rozwinięte wewnątrz krajów, to zarazem mogłoby się stać podwaliną aktywizacji handlu i kredytu międzynarodowego. Gdybyśmy wyobrazili sobie, że np. Francja rozporządzająca obfitym kapitałem inwestycyjnym zdecydowała się zastosować politykę gospodarczą „równania w górę“ metodą Roosevelta, i konsekwentnie przeprowadzała ją do końca, to nie tylko odzyskałaby wewnętrzną równowagę pomiędzy grupą szybkiego i powolnego obrotu wewnątrz swego narodowego gospodarstwa, ale zarazem uzyskałaby możliwość ograniczenia swej produkcji na rzecz importu zagranicznego, pokrywającego zwrotem wypożyczonego kapitału — bez obawy zwiększenia bezrobocia. Taka zdolność mogłaby się okazać nader płodną nie tylko w stosunku Francji do Polski, lecz wogóle dla gospodarczego podniesienia krajów kapitalistycznie niedorozwiniętych, przez dopływ kapitału inwestycyjnego z krajów obciążonych jego nadmiarem.

Być może, iż zdolność planowej reglamentacji wewnętrznej życia gospodarczego pozwoliłaby także krajom Europy kontynentalnej na utworzenie związku preferencyjnego, w którym dałoby się jeszcze przez jakiś czas uchro-

nić przeludnione Niemcy od głodu i rozkładu społecznego, a zarazem powstrzymać je od źle przygotowanej wojny, grożącej powszechną katastrofą. Wszak Europa może dostarczyć Niemcom żywności i surowców, biorąc od nich wzamian fabrykaty i urządzenia techniczne podnoszące poziom gospodarczy państw środkowo-wschodnich.

*

*

*

Oto jakie perspektywy nasuwają się, jeśli się rozważy położenie wewnętrzne Polski i Francji na tle kryzysu gospodarczego oraz wzajemnego tych zaprzyjaźnionych narodów stosunku. Praktycznie najważniejszym dla nas jest przede wszystkim problem spiesznej aktywizacji gospodarczej Polski, osiągalny jedynie na nowych drogach. Równoległe i w organicznym z nimi związku rozwijać się muszą nowe formy ustrojowe. Do tych spraw pulsujących już bezpośrednio pod powierzchnią życia powrócę innym razem. Teraz zaznaczę tylko, że idea gospodarki planowej nie da się prawidłowo rozwinąć w formach skrajnego etatyzmu i kapitalizmu państwowego o typie sowieckim. „Równanie w górę” opiera się w szerokiej mierze na przyrodzonych właściwościach gospodarującej natury ludzkiej, zostawia w pewnych granicach pole nawet automatyzmowi zjawisk życia gospodarczego; aczkolwiek odbiera mu cechę żywiołowej potęgi, kielzna go i poddaje rządzącej woli ludzkiej. Gospodarka tego typu zmienia swą podstawową zasadę w stosunku do liberalizmu w tym sensie, że indywidualnej inicjatywy gospodarczej i dążeń do zysku osobistego nie znosi, lecz podporządkowuje celom i działaniom wyższego, społecznego rzędu. W związku z tym wymaga ona ustroju politycznego nie parlamentarnego jak przy liberalizmie i nie despotycznego jak przy kapitalizmie państwowym, lecz autorytatywnego, a zarazem żywo współdziałającego z rządzonymi, których rola w gospodarce planowej jest wybitnie czynna. Tym koniecznościom odpowiada idea ustroju autorytatywno-korporacyjnego.

Wreszcie jeden jeszcze, może bardziej zewnętrzny, ale charakterystyczny moment podnieść się tu godzi na zakończenie. Oto symbolem tych sił duchowych, które stanowią

istotę gospodarczego liberalizmu jest naczelny przedmiot żądzы zysku — pieniądz. Pieniędзем w liberalnym tego słowa pojęciu jest przede wszystkim złoto, kruszec, budzący chciwość. Drogi wyjścia z obecnych klęsk wiodą do nowego porządku po przez gruntowne przeobrażenie funkcji pieniądza. Nie to w nim staje się najcenniejsze, iż może on zaspakajać chciwość, lecz to, że oddaje nieodzowną usługę obrotową, że podtrzymuje równowagę społecznego podziału i wymiany dóbr. Dlatego pieniądz coraz bardziej traci swą wartość rzeczową, kryzys odrywa go od złota. Dunikowski podjął nań zamach od strony odkrycia technicznego, Sowiety zaś od strony produkcji górniczej, która w czerwonym imperium tak się wzmacza, że nie za długo zagrozić może deprecjacją światowej ceny kruszcu.

Żłoty cielec nabożnie czczony przez wyznawców kapitalizmu wkracza tedy w stan agonii. To zapowiedź wielkiej przemiany duchowej, która na progu nowej ery nastąpić musi.

St. Szczutowski

P. S. Po odwiedzinach min. Bastid w Polsce rozeszła się w prasie nieurzędowa wiadomość, że pożyczka francuska wyniesie bez mała miliard złotych, czyli więcej niż oczekiwano. Z tego, w liczbach okrągłych, 350 milionów otrzymalibyśmy w gotowym materiale wojennym francuskim, 150 milionów w surowcach sowieckich, które Francja zapłaci swymi fabrykatami, 150 milionów do swobodnej dyspozycji polskiej, oraz 350 milionów kredytu redyskontowego w Banku Francji dla Banku Polskiego. Wkrótce po tej wiadomości p. wicepremier Kwiatkowski zwołał „małą naradę gospodarczą“, na której oświadczył, że się spodziewa „mocnego skoku wzwyż“ w naszym życiu gospodarczym.

Istotnie, spośród wyżej wymienionych sum, około 300 milionów w sowieckich surowcach i kredycie dyspozycyjnym, mogą być dla życia gospodarczego wartościowe szczególnie w dziale ciężkiego przemysłu oraz inwestycji. Natomiast kredyt redyskontowy między bankami państwowymi, mógłby wprowadzić rozszerzyć uszczuploną swobodę ruchów naszej instytucji emisyjnej w obrocie wewnętrznym, jednak jego główne przeznaczenie zdaje się być inne. Sukurs Banku Francji dla Banku Polskiego może być nieodzowny, jeżeli spłata długu zagranicznego nie da się w całości pokryć wywozem, wywoła bierne saldo płatnicze, a tym samym trudności walutowe dla Polski. Asekuracja redyskontowa po-

zwala się domyślać, że sprawa proporcjonalnego do rozmiarów nowej pożyczki zwiększenia naszego wywozu do Francji nie została jeszcze rozwiązana. Francja podobno pragnie zwołać nową światową konferencję gospodarczą, któraby mogła się zająć problemem ogólnego rozszerzenia obrotów handlu międzynarodowego. Niestety poprzednie takie konferencje okazały się najzupełniej bezskuteczne.

Punkt redyskontowy w projekcie nowej pożyczki przemawia za tym, iż jest to transakcja o niezbyt długim oddechu i niezbyt pewnej przyszłości. Jej doraźny pomyślny rozwój zależy wyłącznie od natężenia i trwałości dodatniej „fali koniunkturalnej“, którą „światowa konferencja“ w najlepszym razie mogłaby zdopingować jakimś paliatywem. Ale zasadniczo kredyt międzynarodowy nie da się postawić „na mocnych nogach“ bez głębokich zmian strukturalnych w chorej gospodarce wewnętrznej nie tylko Polski, lecz także Francji, Niemiec i innych krajów kontynentalnych. Ta sprawa zasługuje, ażeby stać się przedmiotem międzynarodowego kontaktu i koordynacji.

Oczekiwany zaś okres ulgi należałoby przede wszystkim ustrzec przed „niebezpieczeństwem poprawy gospodarczej“. Zagroza mu ono w postaci wegetatywnej drzemki umysłów na „fali koniunktury“. Gwarnej dyskusji, wszczętej nad radykalną przebudową gospodarczą wówczas, gdy nóż był na gardle, nie należy przerywać. Należy przeprowadzić ją spokojnie i gruntownie tak, by ustaliła kierunek śmiałej inicjatywy na tę niedaleką przyszłość, kiedy się ona znów okaże nagląco nieodzowna.

Wobec hiszpańskich wypadków.

Aczkolwiek ludzkość daleka jest od doskonałości, to jednak jej sfery, przynajmniej te, które nie są pozbawione ludzkich uczuć i pewnej choćby naturalnej etyki, potępiają zazwyczaj, chociażby siłą ludzkiego instynktu, wszelką zbrodnię lub gwałt, szczególnie, gdy dokonują ich czynniki, które z racji swego stanowiska winny byłyby raczej je zwalczać. Jest też zjawiskiem nawskroś naturalnym, gdy głos przeciw czynom nietycznym z całą już świadomością podnoszą sfery, stojące na wyżynach etyki, kultury i cywilizacji.

Byłoby więc rzeczą wprost zdumiewającą, gdyby objawy niebywałego barbarzyństwa, których terenem stała się obecnie skomunizowana część Hiszpanii, nie wywołały z tej właśnie strony odruchów największego oburzenia.

Prawa wojny są wogóle surowe, z największą jednak może bezwzględnością dają się one odczuwać podczas wojen domowych, kiedy to zazwyczaj stają do walki odmienne ideologie polityczne i zdolne są rozpalać pośród współrodaków najbardziej zawziętą nienawiść. Gdy wszakże obie walczące strony łączy wspólna najogólniejsza kultura, należałoby przewidywać, że nawet w walce zachowają przynajmniej najbardziej elementarne zasady humanitaryzmu, które do serc rodaków przemówią łatwiej, niż do serc ludzi dla siebie obcych.

Chciałoby się też wierzyć, że są zjawiska, które bez względu na to, z czyjej strony pochodzą i w stosunku do kogo są skierowane, winny mobilizować całą uczciwą ludzkość bez różnicy społecznych, politycznych czy religijnych

przekonań. Do takich właśnie zjawisk należą te, których się od szeregu tygodni dopuszcza komuna hiszpańska. Wielka siła uczciwości polega przecież na tym, że zdobywamy się na potępienie nawet najlepszych przyjaciół czy krewnych oraz zrywamy z nimi stosunki, gdy gwałcą zasady etyki, a tym bardziej, gdy popełniają jawne i wyraźne zbrodnie. Pomimo, że zaślepienie w dziedzinie ideologicznej nie oszczędza nawet umysłów skądinąd światłych, i że zawziętość w obozie lewicowym w odniesieniu do religii i Kościoła bywa nieraz bardzo silna, uważalibyśmy za rzecz zupełnie normalną, gdyby nieludzkie gwałty, jak rozstrzeliwanie zakładników, profanacje kościołów i przedmiotów religijnego kultu, znęcanie się nad duchowieństwem i zakonnikami... zostały potępione w imię kultury oraz poszanowania cudzych przekonań również ze strony inteligencji ateistycznej. Można, jeśli ktoś nie chce, nie współczuć ani nie sympatyzować z hiszpańskimi powstańcami, ale od braku sympatii dla wojsk narodowych daleką powinna być droga do deklarowania się po stronie komuny hiszpańskiej wobec jej autentycznych zbrodni, które prześcigają nawet okrucieństwa sowieckie i wszystko to, co nawet najbardziej wybujała wyobraźnia mogłaby stworzyć.¹⁾

Jeżeli więc możemy pewne podstawowe wymagania w zakresie etyki stawiać nawet swym przeciwnikom ideologicznym, to cóż mówić o jednostkach, należących do elity umysłowej i kulturalnej, stojącej zresztą zasadniczo na platformie wspólnej nam ideologii. Dla umysłów pospolitych zło, oglądane z daleka, szczególnie gdy ich osobiście nie dotyka, traci nieraz na sile. Dziwi nas natomiast, gdy ludzie, których możemy zaliczyć raczej do niepospolitych, przyglądając się wypadkom hiszpańskim, uznają za właściwe zajmować w stosunku do nich stanowisko neutralne. Należy do nich niestety zaliczyć wybitnego pisarza francuskiego, Fr. Mauriac'a, a to na podstawie paru lecz bardzo charakterystycznych jego enuncjacji, ogłoszonych w swoim czasie

¹⁾ Ostatnio b. premier hiszpański, radykał Lerroux w liście do jednego z radykałów stanowczo wypowiedział się przeciw stronie czerwonej a zarazem na rzecz powstańców widząc, co każda ze stron przedstawia.

w *Figaro*, w związku z wystosowanym przezeń apelem do rządu francuskiego o nieangażowanie się w sprawach hiszpańskich. Apel ten zwrócony do rządu Bluma a domagający się neutralności należało uważać ze względów charakterystycznej w tej chwili dla Francji polityki państwowej za całkiem słuszny. Niestety jednak Mauriac sformułował go w sposób, który u przedstawiciela wysokiej kultury oraz pisarza o ideologii katolickiej musimy uznać przynajmniej za wysoce dziwny. Znaleźliśmy przecież w jego enuncjacjach takie myśli, jak np. że Francja nie powinna brać udziału we wzajemnym mordowaniu się i bratobójczej walce, oraz że Francuzi kochają całą Hiszpanię i nie czynią różnicy pomiędzy stronnictwami, na które dzieli się jej naród. Słowa te są wysoce znamienne. Ktoś nie obeznany z przedmiotem słysząc je, mógłby wywnioskować, że sprawa dotyczy cudzych sporów o charakterze całkiem lokalnym, i że w stosunku do nich należy okazać całkowite *désinteressement*. Czyż rzeczywiście znakomity pisarz-analityk dopatrywał się w tragedii hiszpańskiej jedynie obopólnych zbrodni i walk pomiędzy dwu obozami o normalne zdołbycze polityczne czy ekonomiczne i czyż uważa za właściwe, nawet z punktu widzenia chrześcijańskiej miłości bliźniego, obdarzać równą sympatią tych, co niszczą kościoły, mordują i bezczeszczą ich sługi, oraz tych, co nowoczesnym barbarzyńcom wypowiedzieli śmiertelną walkę w obronie kultury i narodu? Czyż ze strony tak popularnego i cenionego pisarza nie byłoby bardziej słuszne zająć się mobilizacją opinii światowej przeciw dokonywanym w Hiszpanii przez tzw. front ludowy zbrodniom? Można by się raczej spodziewać, iż właśnie Mauriac zacznie namiętnie demaskować tę szaloną obłudę, do której na swą obronę ucieka się rząd madrycki, a w której dopomaga mu wszechświatowa prasa i propaganda komunistyczno-masońsko-lewicowa? Czyż to bowiem nie cyniczna obłuda, gdy komuna hiszpańska twierdzi, iż walczy w obronie republiki i demokracji, jak gdyby powstańcy chcieli tę republikę i demokrację obalić; lub gdy prasa lewicowa określa akcję powstańców, jako „bunt przeciw prawowitej władzy”, i gdy np. nasz *Robotnik* dochodzi już do takiego zamroczenia, że akcję obrony przed komu-

nizmem nazywa najcyniczniejszą „zdradą państwa”, nie uświadamiając sobie, że właśnie podobne twierdzenia są największym cynizmem? Jeżeli w dalszym ciągu czynniki etyczne i praworzadne będą kunktatorsko czy doktrynersko zastanawiać się nad neutralnością, to można się spodziewać, iż lewica z różnymi „Robotnikami” na czele posunie się w swej obronie barbarzyństwa hiszpańskiej komuny do pouczenia świata cywilizowanego, iż skoro „front ludowy” w Hiszpanii „legalnie” doszedł do władzy, to ci, co przeciw niemu występują, sprzeniewierzają się zasadzie, że wszelka władza pochodzi od Boga i że ma być szanowana!

Lewicowcy mogą sobie tak argumentować, choć inaczej sądził b. prezydent Zamorra, który aczkolwiek radykał, z rozpaczą stwierdził, że nieszczęście, jakie dotknęło Hiszpanię i wywołało wojnę domową, zostało spowodowane przez masońców i antyklerykalnych bojowników. Naszym zdaniem zawiła tam grubo przede wszystkim ta część katolickiego społeczeństwa, która przez lata zamykała oczy na konieczność reform społecznych, a która ostatnio pozwoliła lewicowym i radykalnym czynnikom opanować władzę, a nawet oddała im tę władzę głosując przy wyborach za lewicą. Wszystko to można z bólem stwierdzić, ale nie podobna tych, którzy się ocknęli i stanęli w obronie wyższych wartości traktować na równi z komuną, trzymającą się kurczowo władzy, podstępnie oraz w przewrotnych zamiarach zdobytej. Wątpimy zresztą mocno, czy tenże Mauriac, tak bardzo neutralny w stosunku do swych sąsiadów hiszpańskich, równą sympatią obdarza w swojej ojczyźnie Doumergue’a, Tardieu, Laval’a i... Bluma. Niewątpliwie Mauriac, wraz z całym cywilizowanym i etycznie nastawionym światem, potępia zbrodnie hiszpańskiej komuny, dziwnie jednak brzmiały w ustach tego pisarza słowa o wzajemnym mordowaniu się oraz o równych dla wszystkich Hiszpanów uczuciach, jak gdyby obie strony równe ponosiły winy i na równe zasługiwały współczucie. Dziwnie też przytoczone zapatrywania wyglądają na tle przemówienia Piusa XI do uchodźców hiszpańskich w dn. 14 IX b. r. oraz wystąpień biskupów różnych krajów, którzy do omawianych wypadków podchodzą jedynie pod kątem widzenia bezwzględnego po-

tepienia zbrodniarzy komunistycznych oraz współczucia dla ich ofiar.

Miłość bliźniego jest podstawą i jednym z najpiękniejszych postulatów chrystianizmu, podobnie jak walka klas, oparta na nienawiści klasowej, jest podstawową cechą ideologii lewicowej, stojącej na gruncie marksizmu. Wszakże miłość bliźniego winna być czynnikiem realnym, który umie potępić zbrodnię, choć litością i przebaczeniem darzy nawracających się zbrodniarzy. Trudno miłością bliźniego wywalczać swobodę dla zbrodni. A czyż obecna walka z komuną hiszpańską, nieprzejednanym wrogiem krzyża, nie jest *sui generis* krucjatą, skierowaną przeciw zbrodniczemu barbarzyństwu? Gdy się mówi o miłości bliźniego, powstaje możliwość zgody lub kompromisu. Czyż jednak w obecnym wypadku zachodzą podobne ewentualności? Wszak jedna strona występuje tam w obronie cywilizacji i ładu, druga zaś uosabia ciemne siły, zmobilizowane przede wszystkim przez wrogów Kościoła. Zwycięstwo jednej będzie równoznaczne z wywalczeniem normalnego bytu dla narodu oraz z bezwzględnym zgnieceniem hydry komunizmu (bo przecież tylko naiwni mogą wierzyć w to, że w walce tej czerwonym chodzi o obronę republiki i demokracji), zwycięstwo zaś drugiej narzuci temuż narodowi kajdany niewoli bolszewickiej, otaczającemu zaś światu będzie zagrażało dalszą pożogą. — Jakieś dojście do zgody lub kompromisu, gdyby nawet było wyjściem realnym, okazałoby się tu złudą, grożącą nowymi nieszczęściami: wszak życie poucza, że jest nie do pomyślenia normalna współpraca tam, gdzie się ścierają z sobą skrajnie przeciwne przekonania, cele i metody działania. Komunizm musiałby przyjąć elementarne zasady etyki, by można z nim wejść w jakieś pakti współzycia czy kompromisy w rządzeniu.

Dalecy jesteśmy od ujmowania wzniosłej zasady miłości bliźniego w sposób oportunistyczny. Miłości jednak, propagowanej przez Mauriac'a, nie możemy inaczej określić jak oderwaną, nieżyciową, tchnącą jakąś literackością. Kto zna jego utwory, śledził linię jego ewolucji religijnej, lub jest z nią obznajmiony choćby tylko na podstawie doskonałego studium K. Górskiego, zrozumie poniekąd, że to jest linia, na której ortodoksyjność katolicka narażona była niekiedy

na bardzo indywidualistyczną interpretację. Może ten fakt wyjaśni dziwny stosunek Mauriec'a również do sprawy hiszpańskiej.

Przy ustalaniu moralnej postawy wobec wypadków hiszpańskich, poza podejściem zasadniczym ideowo-etycznym, przy którym, o ile uczciwie i rozsądnie zapatrujemy się na sprawy, nie może być dwu zdań, odgrywają rolę doniosłą względy praktyczne, sięgające przede wszystkim w sferę polityki. Podchodząc do omawianych spraw pod tym właśnie kątem widzenia, jedni gotowi są sympatyzować z powstańcami jako rzecznikami ideologii narodowej, inni przeciwnie, opanowani strachem przed faszyzmem, skłaniają się ku hiszpańskiemu frontowi ludowemu. Tak np. niejeden Francuz, niekoniecznie nawet ze skrajnej lewicy, pragnie raczej zwycięstwa czerwonej Hiszpanii rozumując, że jakkolwiek oznaczać to będzie zwycięstwo wpływów sowieckich, nie będą one zbyt groźne dla Francji, jako pochodzące od kraju oddalonego, podczas gdy porażka czerwonych pociągnie za sobą wpływy bliższego terytorialnie hitleryzmu. Rozumowanie bardzo krótkowzroczne. Wystarczy bowiem zwrócić uwagę na metody działania komuny hiszpańskiej, która przecież pozwoliła dokładnie siebie poznać już przed wojną domową, szczególnie zaś podczas obecnej krwawej rozprawy. W świetle niewątpliwych faktów można zrozumieć, że mamy tutaj do czynienia nie z brakiem kultury lub dzikością, lecz z nowoczesnym tworem określonej a przede wszystkim, antychrześcijańskiej kultury, której heroldowie nie poprzestaliby na zagarnięciu samej władzy, lecz niezwłocznie przystąpiliby do przebudowy czy raczej niszczenia dotychczasowej kultury, na której od wieków opiera się cały świat cywilizowany. Co się zaś tyczy ustosunkowania się do obozu powstańców, to jakkolwiek nie wiemy dokładnie, jakie są ich ustrojowe plany, obliczone na przyszłość, dla nas musi być narazie wystarczającą świadomością, że walczą oni zdecydowanie z marksizmem, i że jedynie terrorystyczne metody rządzenia, stosowane bezwzględnie przez jego wyznawców, były głównym, jeśli nie wyłącznym powodem powstania. Wiemy równocześnie, że bądź co bądź obozowi powstańców nie można czynić nawet w drobnej mierze tych zarzutów,

jakie wciąż rozlegają się pod adresem drugiej strony. Ludzie trzeźwo na życie patrzący nie mogą iść za przykładem tych niepoprawnych i zaślepionych optymistów, którzy widząc objawy złe, gotowi są pomimo to usprawiedliwiać je lub spodziewać się pomyślnych następstw, lub też iść za przykładem takichże pesymistów, którzy nie mogąc stwierdzić nic złego skłonni są do dopydejrzeń, czy to zło gdzieś się przypadkiem nie tai. Stanowczo też krzywdzące byłoby sympatyzowanie z powstańcami z tego jedynie względu, że, jak niektórzy twierdzą, z dwojga złego należy wybierać mniejsze.

Wszystkie więc rozumowania przemawiają za tym, że świat cywilizowany winien pragnąć zwycięstwa powstańców hiszpańskich. Szczególnie na tym stanowisku winny stanąć sfery katolickie, skoro powstańcy wystarczająco dowiedli, że nie tylko szanują tak okrutnie przez swych przeciwników beczeszczoną religię i Kościół, lecz i czynnie to demonstrowują. Przypomnijmy fakta, że na swych sztandarach powstańcy umieszczają hasła religijne, sami noszą emblematy religijne, a w miejscowościach, zajętych przez siebie, przywracają natychmiast nabożeństwa i naukę religii w szkołach.

W naszych rozważaniach byłaby to więc pierwsza teza, że w tym stanie rzeczy, jaki znamy, powinniśmy bezwzględnie stanąć po stronie walczącej z wrogami chrześcijaństwa oraz chrześcijańskiej kultury. Niesłusznem wszakże byłoby poczytywanie tej właśnie postawy za jakieś *malum necessarium* oraz uzasadnianie jej wątpliwością, czy wobec ogromu klęsk i ofiar, jakie teraz nawiedziły Hiszpanię, warto było w ogóle rozpoczynać całą akcję oraz, jeżeli chodzi specjalnie o katolicyzm — czy nie poniósł on tu niczym nie dających się powetować szkód, tracąc tysiące najlepszych swych rzeczników w krwawej wojnie domowej. Cóż bowiem ostatecznie katolicyzm zyskać może w tej przerażającej masakrze?

Powyższe wątpliwości przenikają istotnie do umysłów katolickich na Zachodzie. Ostatnio zaś podobne stanowisko znalazło wyraz w miesięczniku: *Blackfriars*, wydawanym przez dominikanów angielskich, a powołującym się na poparcie swego stanowiska na artykuł, podpisany przez Via-

tora w *The Catholic Herald*.¹⁾ Jeżeli się zważy, 1) że obrona wielkich spraw czy idei zawsze pociąga wielkie ofiary i tym większe, im cel jest poważniejszy, 2) że praktyka rządów komunistycznych w Hiszpanii już przed wybuchem powstania wyraźnie wskazywała, w jakim kierunku potoczą się wypadki, czego należało się spodziewać, i jaki los spotkałby Kościół katolicki oraz jego wyznawców i 3) że gdyby zawsze uzależniało się przeciwstawianie złu, a jak w danym wypadku komunizmowi, od tego, czy można ręczyć za pomyślne wyniki, i czy walka nie pociągnie za sobą zbyt wielkich strat — nikt nigdy nie przystępowałby do obrony lub do walki. Jeżeli zaś chodzi o to największe zło społeczne dzisiejszych czasów, jakim jest bezwątpienia komunizm, to przy takim nastawieniu oponentów ogarnęłoby ono z łatwością cały świat. — Jeżeli więc wymienione przesłanki weźmiemy pod uwagę, będziemy zmuszeni powyższe stanowisko, przeniknięte wahaniem i sceptycyzmem, by nie powiedzieć defetyzmem, uznać za wysoce niebezpieczne i krótkowzroczne. Słuszne też jest stanowisko tych przedstawicieli świata i Kościoła katolickiego — również i u nas — którzy nie wahają się orzec, że komunizm, występujący czy to w całej swej nagości czy pod płaszczykiem frontów ludowych i tp. obłudnych formacyj, winien być bezwzględnie i wszelkimi godziwymi środkami zwalczany a więc oczywiście także w drodze walki czynnej, jeżeli ta walka okaże się jedynym, ostatecznym środkiem. Stanowisko to musimy przyjąć jako drugą tutaj zasadniczą tezę. Jeżeli już świat nowoczesny nie jest zdolny do organizowania krucjat, to przynajmniej na terenach lokalnych może i powinien wypowiadać zdecydowaną walkę komunizmowi, który z chwilą powstania państwa bolszewickiego stał się niebezpieczeństwem dla całego świata. Pod tym względem wzór hiszpańskich powstańców ma epokowe znaczenie.

Wierzymy w patriotyzm oraz dzielność armii francuskiej, nie chcielibyśmy też, aby jej stanowisko wobec krzewiącej się we Francji zarazy komunistycznej ukształtowało się na modłę, jakiej niedawno dał wyraz

¹⁾ Cfr. September 1936. Str. 704 i nast.: *Extracts and comments*.

w *Figaro* pewien autor, wyrażający opinię sfer wojskowych, które rzekomo zajmują takie stanowisko, iż gdyby armię chciano zmusić do służby pod czerwonym sztandarem sowieckim, oficerowie gremialnie podaliby się do dymisji. Wynikałoby wszak stąd, że w stosunku do komuny możliwą byłaby albo wierna i uległa służba czy też współpraca, lub też — bierne defetystyczne przyglądanie się (w stanie spoczynku) niszczeniu państwa, Kościoła i wielowiekowej kultury. Nie wahamy się twierdzić, że, przeciwnie, w obliczu takiej alternatywy musiałaby się toczyć walka do ostatniej kropli krwi w obronie ładu i dobra i tylko faryzeusze radykalni, którzy chętnie dla swych celów partyjnych rozpolitykują wojsko, mogliby nazwać taką akcją mieszaną się armii do polityki.

Pomimo, że społeczeństwa katolickie pragną w każdym kraju jak największego triumfu dla chrystianizmu i dla swego Kościoła, w obliczu jednak strasznego wroga, grożącego zagładą cywilizacji — nie jakiejś abstrakcyjnej, lecz tej łacińsko-chrześcijańskiej, na której czele po przez wieki chwalebnie kroczył Kościół — mogą czasowo i na pewnym odcinku zrezygnować z pewnych słuszych prerogatyw dla większego ogólnego dobra. Tak ostatnio Episkopat niemiecki, jakkolwiek energicznie zwalczał neopogańskie zakusy hitleryzmu, czuł się taktycznie zmuszony, wobec grożącego światu niebezpieczeństwa komunistycznego, postawić tym razem pytanie, co jest większym złem i złagodzić, oczywiście nie w rzeczach wiary, swe stanowisko wobec tegoż hitleryzmu, a to wobec zdecydowanej jego postawy względem komunizmu.

Miejmy nadzieję, że w razie zwycięstwa powstańców hiszpańskich chrystianizm i Kościół katolicki dozna ze strony nowego rządu należytego poparcia i obrony, i że stosunki ogólne okażą się bez porównania normalniejsze od tych, jakie właśnie wywołały wybuch powstania. Wszak należy pamiętać, że ludzie ci walczą nie o władzę, lecz w obronie zasadniczych wartości życiowych. Należy też pragnąć, aby po tej wojnie Kościół nie tylko powrócił w chwale do tego kraju katolickiego, lecz aby doznał niezbędnego tam odrodzenia.

Wypadki posuwają się szybko. Niewiadomo też, jaką postać przybiorą w chwili ukazania się powyższych uwag. W każdym razie uwagi te będą miały charakter krytyki retrospektywnej, która może być zastosowana do wszelkich podobnych wypadków a można, niestety, przypuszczać, że próba narzucenia komunizmu w Hiszpanii nie jest ostatnią. Jak długo istnieją Sowiety, tak długo obawiać się trzeba nowych prób i nowych pożarów.

Jan Pfaszycki.

Przegląd piśmiennictwa.

Chanoine Armand d'Agnelet Dr. d'Espiney. Direction de conscience. Psychotérapie des troubles nerveux. 7 edition aug. 1935. str. 480 in 8^o Paris. Têqui.

Dziedziny niedomagań moralnych i psychiczno - nerwowych tak często dziś zachodzą jedna za drugą, że kierownik sumienia musi nieraz być w pewnej mierze psychiatrą, a psychiatra lekarzem duszy. Wyborna książka niniejsza, napisana wspólną pracą kapłana i lekarza odpowiada właśnie potrzebie połączenia i koordynacji tych dwóch, na pozór tak odmiennych sposobów oddziaływania na chore wnętrze człowieka. Podają nam tu autorzy nie luźne uwagi, ale całą, głęboko pomyślaną, metodę psychoterapii, polegającą na tym, żeby, nie przez płonną analizę przeżyć wewnętrznych, jak to usiłował robić Freud, ale przez systematyczne a stopniowe stosowanie pewnej gimnastyki myśli i woli doprowadzić chorego do kontrolowania w świadomości wpływających z podświadomości wyobrażeń, odczuć i popędów. Niezmiernie cenną właściwością tej książki jest, że rozważania i wskazówki psychologiczne opiera ciągle o naukę starych mistrzów duchownego życia poczynawszy od św. Augustyna, Bernarda, Tomasza z Akwinu, Ignacego Loyoli, Franciszka Salezego, Teresy z Avili aż do Fenelon'a Bossuet'a, Gratry'ego i wielu innych. Nieraz zdumiewać się trzeba jak dalece myśli tych starych autorów, jakkolwiek inaczej wyrażone, pokrywają się z wynikami nowoczesnych psychologiczno - moralnych dociekań. Dotyczy to zwłaszcza zrozumienia wagi i określenia funkcji owego podświadomego życia, które w psychologii i psychoterapii dzisiejszej tak ogromną odgrywa rolę. Obok dużej subtelności analizy i ścisłości wyrażen, cechuje autorów ostrożność i umiar w sądach. Nie mówią np., jak to nieraz się czyta w podobnych książkach, że „każda choroba nerwowa jest chorobą duszy” i moralnymi środkami usunięta być może, ale unikając powyższej szkodliwej przesady doskonale uzasadniają tezę, że wobec częstego powikłania nerwowych i duchowych chorób, rozumna psychoterapia i duszy

i systemowi nerwowemu wielkie przynieść może pożytki. Na poważnym studium niniejszej pracy mogą wiele zyskać i lekarze i kierownicy dusz. Co się tyczy samych chorych czytanie tych uwag jest dla nich mniej wskazane. Natomiast zapoznają się z nimi nie bez wielkiej korzyści osoby psychicznie i moralnie zdrowe, którym stanowisko wychowawców, przełożonych zakonnych i t. p. nakłada obowiązek kierowania wewnętrznym światem powierzonych sobie dusz.

Ks. J. Rostworowski T. J.

Stanisław Stankiewicz: *Pierwiastki białoruskie w polskiej poezji romantycznej*. Cz. I. do r. 1830 wydawnictwo T. P. N. imn. L. i E. Wróblewskich — 5 zł. Wilno 1936.

Badanie nad Mickiewiczem zyskuje coraz bardziej na pogłębieniu i wyrazistości. Poza sejmowym wydaniem dzieł, które zbiera z pietyzmem każdy nawet ślad myśli wieszczą, zjawiają się studia o jego osobowości, nacechowane wskazaniem charakterologii, analizy dzieł pełne erudycji historycznej i sprawności formalnej, syntezy o dużym podkładzie o charakterze genetycznym. Nieliczne przyczynki odkrywają znaczenie pewnych szczegółów, na które niegdyś mniej zwracano uwagi. Uwypatnia się też silniej i wpływ poety na innych w koncepcji bohaterów, akcji, ideologii w mierze daleko szerszej, niż dawniej sądzono.

O istnieniu pierwiastków białoruskich w polskim a zwłaszcza mickiewiczowskim romantyzmie wiadano dawno. Ale nikt nie zbadał tej sprawy wszechstronnie, choć chodziło przecież o zbadanie roli ludowości w poezji największego z wielkich. Wiadomo zaś, że zainteresowanie folklorem cechuje badania w XIX. Okazują je i filomaci, skoro są związani z ziemią białoruską już samym pochodzeniem, jak czerpiący do swych nowel motywy ludowe Zan, Czeczot, który i formę od ludu niejednokrotnie zapożyczał i regionalne zabarwienie swym twórcom dawał, Pietraszkiewicz, Łoziński wreszcie Mickiewicz. Pieśni ludowe, baśnie, wierzenia przemawiały wcześniej do jego wyobraźni. Z ludowej twórczości wywodzą się pomysły wielu jego ballad, co autor roztrząsa nader skrupulatnie, skoro zna materiał nie tylko z książek ale i z własnych poszukiwań etnograficznych. Mickiewicz postępował z motywami ludowymi nader samodzielnie, zopatrując je w wyższe myśli i dając im głęboki i mocny wyraz poetycki.

Zasługą też autora jest, że podkreślił rolę folkloru białoruskiego, gdy dotąd użytkowano folklor rdzennie polski. Ujawnia się to znamienne przy analizie wileńsko-kowieńskich „Dziadów”. Dotąd znajdowano w nich wpływy demonologii średniowiecznej i nauki neoplatoników. Obecnie widać z wywodów autora, że wierzenia ludowe weszły do poematów w dużej ilości, a przede

wszystkim zagadnienie winy i pokuty. Na tle tego zagadnienia rozsnuły się pomysły nowe i ponętne, gdy dotąd wyjaśniano je etyką racjonalistyczną i mitologią klasyczną. Pierwiastki ludowe występowały sporadycznie i później w twórczości Mickiewicza, co musi stosować się i do jego języka w zakresie fonetyki, morfologii składni. Na tym polu otwiera się dla naszych językoznawców wdzięczne pole do pracy nie tylko nad Mickiewiczem, ale i jego otoczeniem typu Odyńca i Chodźki. Wielką zasługą autora jest, że zwrócił uwagę badaczy, na te sprawy i innych do dalszych badań zachęcił.

T. Grabowski

Georges Bernanos. *Journal d'un curé de campagne*. Roman. Paris. Plon. 1936. str. 366 in 8^o.

Forma literacka pamiętników młodego kapłana dni dzisiejszych nadawała się autorowi bardzo dobrze do wyrażenia różnych myśli na temat kapłańskiego życia w rozmaitych jego przejawach i na temat stosunku kapłana do społeczeństwa począwszy od ludu, skończywszy na klasach wyższych. Myśli te są subtelne, charakterystyki wnikliwe, obrazki wzięte z życia bez żadnego upiększenia czy kierowania wątku wydarzeń do pewnych wyników czy też ilustracji pewnych tez, a jednak, pomimo bardzo wielu literackich walorów trudno w tej książce odkryć jakiś pozytywny wpływ na duszę czytelnika. Ani nie buduje, ani nie wzrusza, ani nie interesuje naprawdę, ani nie poucza, ani nie daje wybitniejszych estetycznych zadowoleń. Młody, chorowity, pobożny ale bardzo przewrażliwiony proboszcz parafii wiejskiej pasuje się w swej pracy kapłańskiej z mnóstwem wewnętrznych i zewnętrznych trudności, a nareszcie po kilku miesiącach, zaledwie zdążywszy zrobić coś dobrego, umiera na raka w żołądku w przygodnej gościnie u dawnego kolegi z seminarium, dziś żonatego człowieka, który porzucił stan kapłański. W to smutne, bezbarwne życie wplata się cicha tragedia kilku kobiet, t. j. matki, córki i nauczycielki z dworu, oraz małej dziewczynki wiejskiej, po ludzku zakochanej w swym proboszczu. Z zawikłań tej tragedii wychodzi bohater książki przed Bogiem z sumieniem pięknie, ale przed ludźmi z opinią nieroztropności i nietaktu, opinią, której przez dyskrecję prostować nie chce. Zanadto w nim jednak jest naiwności, nieporadności, bezsilności życiowej, żeby ten epizod mógł naprawdę budować lub ujmować za serce. Zamyka się książkę z nierozwiązanym pytaniem, co właściwie autor chciał powiedzieć i czemu opis tego urywku z życia ma służyć. Rzecz jest szczerze katolicka, ale wątpię by mogła do koncepcji katolickiej kogoś pociągnąć. Przygodnie rysują się pod adresem dzisiejszego katolicyzmu pytania i zarzuty, których autor nie próbuje nawet wyjaśnić. Nie potrzeba dodawać, że nie tylko tło fabuły, ale prze-

ważnie i charaktery osób noszą piętno wybitnie francuskie. Gdyby ta rzecz miała być przełożona na polski język, byłaby tylko dla tych w pełni zrozumiała, którym Francja jest dobrze znana.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Ks. Jan Poplatek T. J.: Błogosławiony Andrzej Boboła Towarzystwa Jezusowego. Życie — męczeństwo — Kult. Kraków 1936. Nakładem wydawnictwa Apostolstwa Modlitwy. Str. 331 in 8° Zł. 7.

O błogosławionym Andrzeju Boboli ogłoszono 33 biografie (w języku polskim, łacińskim, francuskim, niemieckim, angielskim) różnej wartości. Żadna jednak z nich nie da się porównać z żywotem świeżo skreślonym, wybornym piórem ks. Poplatka T. J.

Autor w 12 rozdziałach przedstawia, na szerokim tle historycznym, żywot Błogosławionego aż do śmierci męczeńskiej w dniu 16 maja 1657 r., dzieje kultu Męczennika od początku aż do naszych czasów, przebieg procesu beatyfikacyjnego i nieukończonego jeszcze kanonizacyjnego, w dodatku zajmuje się pochodzeniem rodziny Bobolów, rozwiązując z właściwą sobie spostrzegawczością i bystrością umysłu wiele zawiłych kwestii.

Naszej hagiografii, do nielicznych dobrze opracowanych żywotów świętych, przybyła krytycznie i naukowo opracowana biografia bł. Andrzeja Boboli. Udało się autorowi w opracowaniu życiorysu Apostoła Pińszczyzny połączyć kierunek krytyczny z praktycznym, odtworzyć na tle dostępnych źródeł dzieje współdziałania łaski Bożej z naturą w życiu Błogosławionego, zaspokoić w ten sposób wymogi nauki i potrzebę serca ludzkiego.

W oparciu o krytyczne zbadanie źródeł, tworzy autor biografię odpowiadającą rzeczywistości. W heurezie wyzyskał skrzętnie i umiejętnie materiały archiwalne, znajdujące się w Uniwersyteckiej Bibliotece Publicznej w Wilnie, Głównym Archiwum Towarzystwa Jezusowego w Rzymie, archiwach kolegiów jezuickich w Polsce, rękopisy Biblioteki Jagiellońskiej, Akademii Umiejętności, Muzeum Czartoryskich i inn. Za mało, moim zdaniem, wykorzystał źródła znajdujące się w archiwach warszawskich i przy Bibliotece Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie, gdzie spotykałem rękopisy jezuickie z czasów bł. Andrzeja Boboli.

Po należytej krytycznej ocenie materiałów, wiernie i rzeczowo odtwarza autor oblicze Męczennika. Podkreśleniem właściwości naturalnych bł. Andrzeja (temperamentu cholerycznego z domieszką sangwinistycznego, słabości i wad zbytniego przywiązania do swego zdania, łatwych wybuchów niecierpliwości, ledwo przeciętnego opanowania strony uczuciowej, słabego panowania nad językiem, braku pilności w naukach, przeciętnych zdolności), przedstawieniem łamania się Apostoła Pińszczyzny ze słanno-

ściami temperamentu, ustawicznej pracy nad wyrobieniem charakteru, zdobyciem cnót, zakończonej pomyślnym wynikiem, wyraźnie zarysowuje nam sylwetkę Świętego Męży, jego indywidualność. To nie żywot świętego wzięty z „komunału“, utworzony z góry na jakąś modłę, lecz o wyraźnie zarysowanym obliczu duchowym i fizycznym Świętego Męży. Autor nie pasuje Andrzeja Boboli od kolebki na bohatera cnoty, lecz przedstawia jego walkę duchową z całą szczerością, dając w ten sposób praktyczny kurs ascezy.

Słusznie poddał autor zasłużonej krytyce prace swoich poprzedników o bł. Andrzeju Boboli z powodu nieumiejętności w wyszukiwaniu niezbędnych materiałów, mało krytycznego ich zużytkowania, niewolniczego powtarzania pewnych, opartych na tradycji, choć nieuzasadnionych źródłowo wiadomości, dowolnych konstrukcyj i amplifikacyj, lęku przed poruszaniem pewnych problemów lub przyznawaniem się do niemożności ich rozwiązania.

Ks. Poplatek nie tylko unika tych błędów, lecz śmiało rozwiewa legendy (nawet pomija tak ponętą legendę jak dotyczącą zmartwychwstania Polski) około osoby Męczennika, poddaje rewizji utarte poglądy i twierdzenia, otwarcie stawia na ich gruzach źródłowo uzasadnione hipotezy. Nie cofa się przed rozwiązaniem najtrudniejszych problemów, dotyczących pochodzenia, rodziny bł. Andrzeja, miejsca i czasu jego urodzenia. I przyznaje z całą otwartością, że wobec braku źródeł, pozostanie wiele kwestii na przyszłość otwartych, i że w jego pracy nie zabraknie luk i niedomówień.

Ożywia pracę i czyni ją więcej interesującą doskonale odmalowanie tła historycznego, czasów Apostoła Pińszczyzny, czasów chmielniczyzny i Potopu. Na podstawie opracowań i źródeł archiwalnych należycie oświeśla stan unii i katolicyzmu na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, walki prawosławia z unią i jej szerzycielami, nasilenie momentu religijnego w buntach kozackich, obok momentu politycznego i socjalnego.

Praca ks. Popłatka, oparta na bogatym materiale archiwalnym, opracowana ściśle naukowo z zastosowaniem metody historycznej, napisana dobrą polszczyzną, jasno i przejrzysto, stanowi bardzo pokazny dorobek naszej literatury hagiograficznej.

Autor nie postawił od razu Świętego Męży na takich wyżynach świętości, by czytelnik uznał je za nieosiągalne, lecz po przyjrzeniu się dodatniemu wynikowi walki nabierze otuchy do pracy nad sobą.

Stąd też pracę ks. Popłatka, dobrze zapowiadającego się historyka, o bł. Andrzeju Boboli można gorąco polecić tak uczonym jako też wiernym, pragnącym mieć wzór do naśladowania.

Ks. Dr. E. Nowak

Jerzy Putrament: *Struktura nowel Prusa*. — Wilno 1936. Skł. D. K. P. — 3'50 zł.

Wileński młody formalista Putrament zajął się strukturą nowel wielkiego polskiego realisty Prusa. Zastanawia się zatem nad formalnymi cechami noweli, podnosząc w niej krótkość, jedność zdarzenia, ciążenie ku zakończeniu, konkretność. Rozważając nowele jako dzieło sztuki czyli kompleks elementów formalnych, bada każdy element w związku z całością dzieła. Zaczyna od pierwszych zarysów nowel jeszcze bez nici fabularnej lub wysokiego opisu. Te zarysy są raczej reportażami, anegdotami, fejletonami. Z czasem rozbudowuje się w nich akcja, intryga, motywacja, charakterystyka. Plączą się i krzyżują motywy fabularne, zarysowują się pewne czyny i akty psychiczne, wysubtelnia i pogłębia się problem.

Chwyty kompozycyjne stają się coraz więcej celowe i ciekawe. W noweli-szkicu badacz stwierdza silny rozrost ekspozycji; tendencja uplastycznienia miejsca akcji rozsądza dzieło. Motywy fantastyczne w noweli występują też dość często. Miał Prus w ogóle własne koncepcje twórcze, podążając od noweli do powieści, gdzie problemy mogły rozwinąć się swobodnie. Stłuszenie zauważa zaś badacz, że podstawą ewolucji było społeczne pojmowanie roli pisarza, świadome traktowanie literatury jako narzędzia w pewien swoisty sposób pojętej pracy społecznej. Może dobrze byłoby zająć się i powieściami z tego stanowiska. Rola ideologii jako elementu struktury wystąpiłaby tu w sposób może więcej wyrazisty, niż w dotychczasowych studiach o charakterze genetyczno-ideologicznym. Próba zastosowania metody formalnej przedstawia się niewątpliwie korzystnie. Wynika z tego, że formalizm stosowany rozsądnie może być pożytecznym.

T. Grabowski

Ks. Remigiusz Dąbrowski: *Dymitr Rostowski jako obrońca prawdy wiary nieuznawanych dziś przez prawosławie*. Warszawa 1936; str. 53.

Dymitr Tuptało, od Rostowa, gdzie był biskupem, zwany Rostowskim — to jedna z najwybitniejszych postaci w dziejach Cerkwi prawosławnej w Rosji w XVII w. Gorliwy duszpasterz, dbały o uświadomienie religijne swych owieczek, autor *Żywotów świętych*, które jak u nas *Żywoty świętych Skargi* były po wielokroć wydawane, wybitny teolog prawosławny — został policzony w poczet świętych prawosławnej Cerkwi rosyjskiej. Prawdy wiary nieuznawane dziś przez prawosławie, których on w swych pismach broni — to dogmat o Niepokalanym Poczęciu Najśw. Maryi Panny oraz nauka o przeistoczeniu chleba i wina w Ciału i Krew Pańską we Mszy św. mocą słów Chrystusa „to jest ciało moje“, „to jest krew moja“, nie zaś mocą następującej po tych

słowach w liturgiach wschodnich epiklezy, czyli wezwania, by Duch św. zstąpił na przygotowane dary i pszemienił je.

Praca ta zainteresuje głównie teologów jako cenny przyczynek do argumentu *ex traditione* i do odpowiedzi na wysuwany przez prawosławnych zarzut, że katolicy odstąpili od tradycyjnej nauki chrześcijaństwa.

Ks. B. Waczyński T. J.

M. Arct: Słownik ortograficzny języka polskiego. Nowa pisownia, uchwalona przez Komitet Ortograficzny Polskiej Akademii Umiejętności w roku 1936. Wydanie VI, str. 380. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1936. Cena zł. 10.—; opr. zł. 13.—

M. Arct: Słowniczek ortograficzny i zasady pisowni polskiej według uchwał Komitetu Ortograficznego Polskiej Akademii Umiejętności w r. 1936, str. 224. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1936. Cena zł. 1.—

Można się oburzać na nową pisownię, można polemizować z jej twórcami, wykazując im brak logiki i daleko posuniętą dowolność w przeprowadzeniu reformy — ale chcąc się do niej dostosować w praktyce niepodobna obejść się bez ortograficznego słownika.

Otóż jednym z najlepszych, jeśli nie najlepszym, jest bezwątpienia słownik, wydany przez znaną a w tej dziedzinie nie od dzisiaj wyspecjalizowaną firmę M. Arcta. Firma ta wypuściła na rynek księgarski dwa tomiki jeden bardzo obszerny, wyczerpujący, obejmujący ponad 60.000 słów, drugi znacznie mniejszy, ale odznaczający się doskonałym doбором 18.000 słów trudniejszych. W jednym i drugim wydaniu znajdujemy zasady nowej pisowni, opracowane przez prof. St. Szobera. Wydanie obszerne jest przeznaczone dla szerszych warstw inteligencji, wydanie skrócone przeznaczone dla szkół. Przy opracowaniu zasad nowej pisowni zastosowano system pomysłowych a bardzo praktycznych marginesów, które zastępują skutecznie skorowidz a całość czynią niezwykle przejrzystą.

Wyraźny druk i estetyczne okładki podnoszą wartość tych praktycznych a dzisiaj niezbędnych dziełek.

Ks. E. Kosibowicz T. J.

Aleksy Deruga. Piotr Wielki a Unici i Unia kościelna 1700—1711. Wilno 1936, str. XX + 296. Nakładem Instytutu naukowo-badawczego Europy Wschodniej.

W A. Derudze zyskuje nauka historyczna poważnego pracownika. Za przedmiot swych badań wziął on ciekawy odcinek naszych stosunków z Moskwą, mianowicie lata kiedy car Piotr W., w roli sprzymierzeńca i przyjaciela króla Augusta II, buszował w Polsce jak w kraju własnym, a nawet jak w jakimś kraju nieprzyjacielskim. Było to pierwsze wtargnięcie Moskwy do wewnętrznych

spraw Rzeczypospolitej. A. Deruga rozpatrzył stosunek twórcy imperium rosyjskiego do unii kościelnej w Polsce, a nawet do zagadnienia unijnego wogóle. Stosunek ten odrazu był wrogi, prześladowczy. Zaznaczył się w r. 1705 masakrą Bazylianów w Połocku i porwaniem biskupa Zabokrzyckiego z Łucka. Był to pierwszy biskup katolicki, wywieziony z Polski przez Rosję — a osadzony aż na dalekich Sołowkach, miejscu kaźni współczesnych nam męczenników za wiarę. Z pracy Derugi widać jakim czynnikiem spajającym ludność kresową z Rzeczypospolitą była właśnie unia kościelna i jak to właśnie państwowe jej znaczenie dla Polski ściągało na nią nienawiść ze strony moskiewskiego autokraty, pod względem religijnym wcale obojętnego i cynika. Publicyści nasi, którzy w interesie pewnych tez krótkowzrocznej polityki, skłonni są do upatrywania w unii jednej z przyczyn rozbiorów Polski, mogliby się z historii Piotra W. nauczyć jak właśnie unia osłabiała podstawy prefensji Moskwy do wschodnich połaci Rzeczypospolitej. I w tym leży wartość książki nie tylko naukowa, ale praktyczna także, jakkolwiek autor nie miał zamiaru służenia jakiegokolwiek politycznej koncepcji i utrzymał się w ramach naukowego obiektywizmu.

J. Urban

Oprócz tego nadesłano do Redakcji.

Nakładem różnych:

- Ks. Dr. Władysław Rosłan: *Idea Zon w pismach Ojców Apostolskich*. Warszawa, Seminarium Metropolitalne 1936. Str. 39.
- Ks. K. Drzymała T. J.: *Działalność jezuitów wileńskich w XVI w. Bąkowie pod Chyrowem* 1936. Str. 43.
- Ks. Dr. Piotr Stach prof. U. J. K.: *O potrzebie nowego polskiego przekładu Pisma świętego*. Lwów 1936. Odbitka z „Collectanea Theologica” XVII (1936) f. 3. Str. 32.
- M. Smolarski: *Dawna Polska w opisach podróżników*. Lwów — Warszawa 1936, Książnica-Atlas. Str. 175.
- Tadeusz Meissner: *Dokoła świata na „Darze Pomorza”*. Lwów-Warszawa 1936. Książnica-Atlas. Str. 320.
- Zapyski czynu św. Wasilja Wełykocho. Tom VI, zes. 1—2. Lwów, OO. Bazylianie. Str. 480
- Ks. Dr. Kowalski: *Obowiązek i charakter pracy dla Kościoła*. Lublin 1936. Str. 14.
- Ks. Andrzej Rejowski: *Homilje na wszystkie niedziele i święta*. Tarnów, 1936 nakł. Autora. Str. 272.
- Ks. Dr. Michał Sopoćko: *Miłosierdzie Boże*. Wilno 1936. Str. 20.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pokłosie krwawego terroru w Hiszpanii. — Przewrotne oskarżenia. —
Orędzie Episkopatu polskiego. — Echa i repliki.

Watykan ogłosił ostatnio bilans krwawego terroru w Hiszpanii. Opierając się na autentycznych zeznaniach hiszpańskich uchodźców i informacjach zebranych przez oficjalne czynniki, ustalono prowizorycznie, iż, w okresie obecnego reżimu, zwolennicy komuny, maskowanej „ludowym frontem” zniszczyli ponad 200 kościołów a całe mnóstwo innych uszkodzili częściowo lub sprofanowali.

Jeden z czołowych komunistów, uprzednio wyższy sowiecki urzędnik, wygłosił w czasie komunistycznego mitingu w Barcelonie te charakterystyczne słowa.¹⁾ „W Hiszpanii było do rozwiązania wiele problemów, ale republikańska burżuazja nie troszczyła się o nie. Dopiero my (komuniści) rozwiązaliśmy problem Kościoła, bośmy nie zostawili ani jednej świątyni”.

Słowa te starczą za program. Dowiadujemy się z najbardziej autentycznego źródła, iż system zastosowany najskrajniej w Barcelonie i Katalonii miał objąć całą Hiszpanię, by według rosyjskich wzorów „rozwiązać problem Kościoła”. „Nie zostawiliśmy w Barcelonie ani jednej świątyni” wołał z triumfem czerwony leader komuny! Przyszynajmy, iż trochę przesadził, gdyż na 180 kościołów ocalały dotychczas 4, katedra oraz 3 najbliższe; ale i te świątynie zbeszczeszczono brutalnie, wyrzucając z nich ołtarze i religijne ozdoby a zamieniając katedrę na generalną kwaterę komuny. Wszystkie inne spalono a wśród nich i takie cenne zabytki jak *S. Pablo del Campo* z X wieku i *S. Pietro de las Puellas*, znane wszystkim historykom sztuki. Spłonął też kościół św. Anny,

¹⁾ Tekst podajemy za barcelońską *La Vanguardia*.

który archeologowie uważali za najpiękniejszy zabytek romańskiej architektury w Hiszpanii. Pastwą płomieni padł prześliczny kościół *S. Maria del Mar*, który swą gotycką strukturą, strzelistą wieżycą i niezliczonymi statuami nadawał niezwykle urok całej dzielnicy. Spalono świątynię *S. Maria del Pino*, która zdaniem fachowców uchodziła za najpiękniejszy pomnik katalońskiego stylu. Czerwony tłum szalał i dokonywał dzieła zniszczenia; specjalnym płynem wybuchowym zlewano dachy i mury sędziwych świątyń, które patrzyły na narodziny hiszpańskiej kultury i przetrwały okres jej świetności; w godzinie waliły się w gruzy dzieła, które stworzył pietyzm i wiara przez wieki. — Ale za to komunistyczny towarzysz mógł zawołać z triumfem do swych czerwonych kompanów: „rozwiązaliśmy problem Kościoła”.

Jeżeli z dziką furją zaatakowano martwe mury świątyń, to można sobie wyobrazić jaki los zgotował komunistyczny motłoch sługom ołtarza i duchownym przewodnikom ludu. Wyżej wspomniana statystyka podaje, iż zamordowano mniej lub więcej okrutnie 217 zakonników z rozmaitych kongregacji zakonnych. Około 200 kapłanów świeckich padło pod kulami komunistów, niektórzy z nich konali w najokropniejszych torturach. Ponad 500 księży przetrzymuje się dotychczas w więzieniach jako zakładników. Śmierć męczeńską poniosło 4 biskupów, 4 innych pozostaje we więzieniu, o jednym brak wszelkiej wiadomości. Ponad tysiąc zakonnic zniknęło bez wieści. Przypuszcza się, iż w tej liczbie około 200 padło ofiarą krwawego terroru, inne rozbiegły się z klasztorów, szukając w przebraniu schronienia po prywatnych domach. „Krwiożerczymi pasożytami” nazwała komuna zakonnice, które w Barcelonie poświęciły swe życie opiece nad obłąkanymi, chorymi i sierotami. Za te „zbrodnie” czekała je śmierć, śmierć niekiedy okrutna, bo nawet na krzyżu lub w płomieniach, poprzedzana orgią wyuzdania, które miało zabić dusze bezbronných męczenniczek. Wobec tego wszystkiego błedną krwawą kartę rzymskiego martyrologium.

Szkody materialne, wyrządzone w kościołach oraz klasztorach oblicza się na 500 milionów lirów, nie uwzględniając oczywiście licznych o bezcennej wartości dzieł religijnej sztuki i bibliotecznych zbiorów, które przepadły na zawsze dla Hiszpanii i dla ludzkości.

Ta sucha statystyka przygnębia i przeraża, ale nie oddaje wstrząsającego obrazu okrutnego prześladowania katolików, jakie od trzech miesięcy szaleje w Hiszpanii, koncentrując się przede wszystkim w stolicy anarchii, w Barcelonie.

Sceny opisywane przez uchodźców, naocznych świadków potwornych okrucieństw mogą chyba iść w zawody z analogicznymi scenami tortur dalekiego Wschodu.

Nie będziemy mnożyć opisów okrucieństwa i zniszczenia, bo trochę szczegółów podaliśmy już w poprzednim zeszycie. Postawmy raczej pytanie w czyich rękach spoczywała inicjatywa i organizacja tych o pomstę wołających zbrodni. Można by przypuszczać, iż całe to wyuzdanie barbarzyństwa było odruchem nieodpowiedzialnego w swych niszczycielskich zapędach motłochu, pariasów zdegenerowanych szumowin podmiejskich. Niestety tak nie jest. Jeśli nie chcemy zamknąć oczu na oczywiste dowody, to musimy przyznać; iż w bezbożniczych orgiach hiszpańskich jest widoczny system, a cała akcja była sprytnie zorganizowana. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż sprężyną tych bezbożniczych występów byli kwalifikowani agenci Moskwy. Oni opanowali hiszpańską sekcję komunistycznej międzynarodówki i stali się jej kierownikami.

Pamiętamy, iż Komintern w czasie posiedzenia 20 sierpnia ub. r. przyjął oficjalnie budżet na poparcie komunistycznej akcji w Hiszpanii. Budżet ten przewidywał jako pierwszą transzę sumę 5 milionów pesetów.

Międzynarodowa czerwona samopomoc przeznaczyła ze swej strony sumę 1,567.289 pesetów na cele komuny w Hiszpanii, w tym 1,400.000 pesetów z samej Rosji. Wiemy pozytywnie, iż był to tylko początek w subsydiowaniu hiszpańskiej komuny. Po wybuchu wojny domowej popłynęły z różnych stron wydatne subsydia a prym w tej ofiarności dźwierz sowiecka Rosja; jako najświeższy przykład podajemy sumę 36 milionów franków, przekazaną w ostatnich tygodniach hiszpańskiej komunie jako ofiarę rosyjskiego proletariatu.

I gdyby tylko chodziło o pieniężną pomoc. Cała technika niszczenia kościołów i klasztorów, przeprowadzanie rewizyj i masowych egzekucyj, to technika wypróbowana przez Belę Kuna najpierw na Węgrzech a potem na Krymie. A jest absolutnym pewnikiem, iż Bela Kun od 4 miesięcy przebywa w Barcelonie, w luksusowym hotelu Ritz. Proletariacka olimpiada, którą właśnie wówczas zorganizowano stała się znakomitą płaszczyką, okrywającym przyjazd licznych czołowych agentów Kominternu z Moskwy. Czyż zresztą bluźniercze orgie barcelońskie nie przewyższają swego pierwowzoru rosyjskiego, który w okresie swej piątiletki bezbożniczej lubował się w niszczeniu kościołów i klasztorów, w mordowaniu i deportowaniu kapłanów, w urządzaniu bluźnierczych maskarad i procesyj?

W chwili kiedy piszemy te słowa, Alvarez del Vayo, minister spraw zagr. Madrytu, przy pomocy ambasadora sowieckiego Rosenberga, który wraz z nim jednym samolotem przybył z Hiszpanii i w tym samym w Genewie zamie-

szkał hotelu — rozwija gorączkową a perfidną akcję, by międzynarodową uchwałą Ligi wymóc potępienie zbrojnej insurekcji powstańców. Żyd Litwinow, min. spr. zagr. Sowietów, popiera usilnie tę akcję, stwarzając coraz to głębszy zamęt w europejskich stosunkach. A równocześnie radio sowieckie przy akompaniamencie radykalnych pism Zachodu apeluje do opinii publicznej, aby zechciała zrozumieć, że antyreligijne rozpasanie komuny hiszpańskiej wywołane zostało przez sam Kościół, który rzekomo stale, od samego początku, od pięciu lat, występował aktywnie przeciwko ustrojowi republikańskiemu. Obecna wojna domowa to obrona republiki przed faszyzmem, dyktaturą i czarną reakcją kleru. Inni adwokaci czerwonej Hiszpanii idą jeszcze dalej, bo rozgłaszają uparcie, że duchowieństwo katolickie bierze czynny i liczny udział w obecnym powstaniu przeciwko demokratycznemu rządowi Madrytu.

Jakaż jest w istocie prawda? Niech nas w tej kwestii wyręczy nie podejrzański, bo świecki ale obiektywny i uczciwy publicysta. Oto, co na ten temat świeżo pisał B. Koskowski.¹⁾

Najpierw godzi się przypomnieć, że pierwszy prezydent Rzplitej hiszpańskiej, p. Alcala Zamora, był praktykującym katolikiem. W pierwszym zaś republikańskim ministerium wzięli udział tacy bezsporni katolicy, jak Fernando de los Rios, Miguel Maura, d'Oliver, Ossorio y Gallardo.

Paryska *L'Aube* przypomina fakty pełniejsze wymowy.

W r. 1931, we dwadzieścia cztery godziny po zainstalowaniu się rządu republikańskiego, nuncjusz apostolski złożył wizytę ministrowi spraw zagranicznych, p. Lerroux, aby go zapewnić, że władze religijne udziela całego swego poparcia rządowi, opartemu na większości narodowej.

Na tym stanowisku stanął też niezwłocznie cały episkopat hiszpański (z nielicznymi wyjątkami, których politycznie nikt nie mógł brać w rachubę). Kardynał-arcybiskup z Tarragony, biskupi z Walencji, Burgos, Barcelony wystosowali do wiernych orędzia, nakazując lojalne podanie się władzom ukonstytuowanym.

O ówczesnej postawie duchowieństwa katolickiego można się dodatkowo poinformować z artykułów watykańskiego *Osservatore*, z wielokrotnych oświadczeń madryckich dzienników katolickich (*El Debate* i innych), ze stwierdzanych tam faktów, iż wielka masa katolików hiszpańskich oświadczyła się odrazu za przewrotem republikańskim oraz — co więcej — że wielu znakomitych katolików wzięło niezwłocznie udział w republikańskiej działalności politycznej.

Jak się już rzekło powyżej, bywały wyjątki. Zdarzały się, zresztą zupełnie odosobnione, wypadki niezrozumienia przez poszczególnych przedstawicieli Kościoła istoty wskazówek Watykanu. Ale te epizody były szybko regulowane ku zadowoleniu rządu republikańskiego. Kardynał Segura, nie umiejący pogodzić się ze wskazówkami politycznymi Stolicy Apostolskiej, był wezwany do Rzymu i tam pozostał.

Znany historyk i publicysta francuski, p. René Pinon, pisząc w zachowawczej *Revue des Deux Mondes* pod adresem obu stron walczących w Hiszpanii surowe *verba veritatis*, stwierdza zarazem, że kiedy koła katolickie w Hiszpanii ogarniał coraz głębszy prąd odnowieni duchowego i gorliwości socjalnej, to właśnie wtedy nastąpiła dzika ofena

¹⁾ Zob. *Kurier Warszawski* z dn. 27. IX. b. r.

sywa niszczycielskiego ateizmu. Już na wiosnę r. 1932 Pinon widział w Madrycie, jak anarcho-komuniści palili domy katolickie. Jeszcze wcześniej, zaledwie w sześć miesięcy po zainstalowaniu się nowego rządu republikańskiego nastąpiło podpalanie kościołów oraz masakrowanie księży i zakonnic, na co władze państwowe patrzyły raczej z założonymi rękami.

I w kołach katolickich nie przeczy się, że pewna część duchowieństwa hiszpańskiego nie miała ani zmysłu socjalnego, ani dostatecznej gorliwości charytatywnej. Przyznawali to publicznie wybitni reprezentanci Kościoła, jak np. O. Aznar, jak sam nuncjusz papieski, rezydujący w Madrycie. Jednakże był widoczny i drugi, ważniejszy fakt: że w szeregach duchowieństwa wiał już silny prąd społeczny, wyrażający się w licznych inicjatywach socjalnych. Czas szybko i skutecznie pracował na rzecz zbliżenia, zgodnie z naukami Encyklik i duchem Kościoła, księży do ludu. Nawet tak radykalny publicysta francuski, jak Pierre Dominique, zauważył tę wybitną tendencję podczas swej podróży hiszpańskiej. W ramach nowego ustroju, w ramach republiki Kościół szczerze szukał pola do pracy, może właśnie tym obszerniejszego, tym silniej opartego o warstwy ludowe, że trzeba było działać już bez owych gwarancji prawnych, których udziela monarchia.

I właśnie w takim to momencie anarcho-komuniści wszczęli z katolicyzmem śmiertelną walkę. Z katolicyzmem? Nie. Z religią w ogóle.

U anarchistów okrzyk: „ani Boga, ani pana” jest zwykłą *nourriture de l'âme*. U komunistów bezbożnictwo jest solą programu, jest warunkiem ich bytu i ochrony. O tym wiemy. Na to jest świat przygotowany i przeciwko temu się zbroi jeszcze więcej, niż przeciwko zarazie przewrotu socjalnego.

Trudno nam w tej chwili przewidzieć czy w Genewie zwycięży zdrowy rozsądek i uczciwość sumienia, czy też intrygi Litwinowów i Rosenbergów. Przykład Urugwaju, który zdobył się na odwagę przekonań, powinien być apelem do wszystkich państw chrześcijańskich.

Z dumą wspominamy uniezależnienie się naszej polityki zagranicznej w momencie, kiedy nagonka Litwinowa pchała Europę w beznadziejną politykę antywłoskich sankcyj. Męskie wystąpienie p. min. Becka zyskało aplauz społeczeństwa a uprzedziło słynne cofnięcie się innych mocarstw. Czyżby w chwili obecnej, kiedy Moskwa montuje sankcyjny front przeciw hiszpańskim powstańcom, nie powinna Polska wystąpić z inicjatywą w obronie daleko słuszniejszej niż poprzednio sprawy?

Świeżo podczas otwarcia kongresu prasy katolickiej w Watykanie zwrócił się Kardynał Pacelli do delegacji polskiej z tym znamienym oświadczeniem:

Zapowiadam wam, synowie szlachećnej Polski, że jak kiedyś ojczyzna wasza broniła kraje Zachodu od najazdu hord muzułmańskich, tak i obecnie — jak się wydaje — za szczególnym zrządzeniem Opatrzności, szlachećny wasz naród przeznaczony został na wał ochronny do obrony cywilizacji Zachodu przed północno-wschodnim barbarzyństwem...

Do czego to barbarzyństwo dąży powiedział niedawno Ojciec św. w swej pełnej smutku przemowie do 450 uchodźców hiszpańskich:

Możnaby powiedzieć, że w tym szlachetnym kraju zapaliły nienawiść i prześladowania przeciw religii i Kościołowi katolickiemu te satanistyczne przygotowania, które dały już tak smutne wyniki w Rosji, Chinach, Meksyku i Południowej Ameryce. Istnieje propaganda powszechna i szczególnie zręczna, obliczona na opanowanie całego świata, która zhałamuciwszy i podnieciwszy masy, uzbraja je i rzuca przeciw każdej instytucji Boskiej i ludzkiej. A niebezpieczeństwo będzie tym większe i nie dające się oddalić, jeśli wskutek mylnych rachub i fałszywych interesów, wskutek egoizmów i zgubnych sporów ci wszyscy, którzy są do tego powołani, nie przedsięwzięmą środków celem zahamowania postępu zła, zanim nie będzie za późno...

Czyż tej ostatniej przestrogi nie należałoby właśnie skierować pod adresem aeropagu Ligi?

Jeśli zaś chodzi o nastroje polskiego społeczeństwa, to są one niedwuznaczne. Episkopat polski dał wyraz swym przekonaniom w zbiorowym posynodalnym liście pasterskim, gdy w mocnych słowach napiętnował okrucieństwa hiszpańskiej komuny oraz wskazał odważnie na ukrytą rękę, która wyreżyserowała te zbrodnie:

Dziś w naszych oczach i na skinięcie wodzów z rosyjskiego Kremla ileż świątyń, a w nich ileż świetnych pomników przeszłości i sztuki, pożar położony przez nienawiść szatańską, obraca w perzynę i zgłiszcza.

Nero w swoich ogrodach przemienia w pochodnie płonące setki męczenników. Ale nawet poganin i to poganin nienawidzący chrześcijaństwa, jak Tacyt, gorszy się postępkiem Nerona zarówno nikczemnym, jak potwornym i okrutnym.

Nero szukał przynajmniej pozorów winy chrześcijan, a dziś w oczach naszych na męczenniczej hiszpańskiej ziemi zapłonęły na nowo nerońskie pochodnie i nie w jednym tylko miejscu, ale rozsiane gęsto po kraju. Tam, na stosy płonące rzuca się bez sądu ofiar męczenniczych tysiące.

Z czymże da się porównać ta potworna zbrodniczość, to wyrafinowane okrucieństwo, które przewyższa wszystko, co dotąd w dziejach złość, przewrotność i nienawiść wymyśliła i czego dokonała...

We wszystkich stronach naszego kraju mnożą się zbiorowe protesty przeciw zbrodniom hiszpańskiej komuny. Cała np. diecezja przemyska modliła się w ostatnią niedzielę września za prześladowanych katolików hiszpańskich. Z Częstochowy wysłano powstańcom piękną kopię cudownego obrazu jasnoogórskiego z dedykacją, wyrażającą współczucie dla katolików hiszpańskich, cierpiących za Boga i ojczyznę. W współczuciu tym dla prześladowanych a w potępieniu okrucieństw i zbrodni hiszpańskiej komuny łączy się cała prasa polska, z wyjątkiem pism radykalnych, socjalistycznych i bezbożniczych.

Sądźmy więc, iż jest to dostatecznie silna podstawa dla śmiałej inicjatywy naszego rządu, za którym stoi olbrzymia większość społeczeństwa katolickiego.

Wspomniawszy o zbiorowym liście polskiego Episkopatu nie możemy pominąć milczeniem doniosłych wskazań, jakie zawiera on i dla naszego narodu. Hydra komunizmu wciska

się przez wroga propagandę, wyzyskującą ekonomiczny kryzys, także i w łono naszego społeczeństwa i przed tą właśnie zarazą przestrzega Episkopat w swoim orędziu:

...ta sama propaganda kierowana przez rękę komunizmu rosyjskiego już się rozpętała i u nas. Nie dosięga ona jeszcze świątyń, ani nie rzuca kapłanów na stos, bo to są już dojrzałe owoce posiewu piekieł. Ale wprawna ręka agitatora, omotującego i bałamucącego niekrytyczne umysły rzuca siejbę nienawiści religijnej i społecznej w dusze mas, szczególnie młodzieży. Truje ona i oślepia dusze, czyniąc je podatnym narzędziem planów swych i zamierzeń. A za tą propagandą wszędzie się wciska nierozdzielnie propaganda bezbożnictwa, tego nieodrodnego dziecka komunizmu.

Tu nas zaskoczy jakiś błędny ogień apoteozy jego apostołów w piśmie, poświęconym wychowaniu młodzieży; ówdzie pismo warstw oświeconych przebieśnie raptem oświadczeniami w stronę rosyjskiego Kremla, to znowu obja się o uszy nasze nawet głos tego czy tamtego męża nauki, biorącego udział w publicznych wyścigach z ulicą w apoteozie komunizmu.

I u nas też się już mówi głośno o tzw. „Frontie ludowym” skrojonym wedle wzorów z zagranicy, sprzymierzonym również, jak i gdzieindziej z masonerią. Front ten chyba w tym jednym usprawiedliwia swą nazwę „ludowy”, że w planach jego tkwi okucie ludu, podobnie jak w Rosji, w kajdany najsroźszej moralnej, społecznej i politycznej niewoli.

A gdybyśmy chcieli publicznie odkrywać szczegóły nam znane, toby przerażenie ogarnąć mogło na widok tworzących się i istniejących już komunistycznych jaczejek, podchodzących pod różne organizacje, a wzorowanych ściśle wedle modły rosyjskiej i stamtąd też wspomaganych i kierowanych. Nie tylko Kościół jest przedmiotem ataków tej komunistycznej propagandy, ale i państwo, wszelki ideał moralny, narodowy, kulturalny.

Musimy też stwierdzić, że wszelkie kompromisy z radykalizmem wydają najgorsze owoce, które zgarnie i spożyje czyhający na nie komunizm.

Tak dzieje się wszędzie. Ten proces możemy zauważyć także u nas, naprzykład w dziedzinie wychowawczej. Dokądże to zawiodły te metody stosowane do młodszego pokolenia, gdy sprzymierzyły się z radykalizmem?

Kończyły się one wchodzeniem młodzieży do tajnych organizacji, nastawionych przez komunizm, których ostrze niejednokrotnie wprost się skierowywało przeciwko państwu. Jesteśmy w przede dniu najcięższych i najniebezpieczniejszych kataklizmów zwolna dojrzewających, jeżelibyśmy przyszłość opierać mieli na schlebianiu radykalizmowi i na forytowaniu go w dziedzinie życia rodzinnego, wychowawczego i społecznego...

Orędzie to powtórzyły w całości lub w wyjątkach wszystkie prawie dzienniki polskie. Na polemikę odważył się jedynie „teolog”, socjalistycznego obozu Czapinski na łamach *Robotnika*.

Dziennik ten, który od miesiący kłamliwie naświetla hiszpańskie wypadki, nie mógł oczywiście ścierpieć tak autorytatywnego oskarżenia. Niestety zamiast rzeczowej dyskusji zadawała się bezczelnym twierdzeniem p. Czapńskiego, że w Polsce niema mowy o jakimś niebezpieczeństwie komunistycznej propagandy. Nie zamierzamy polemizować z *Robotnikiem*, bo wywody nasze nie dosięgną jego czytelników, wychowanych w atmosferze kłamstwa oraz nienawiści.

Podamy zato niektóre fakta, wskazujące na głęboką prawdę zawartą w orędziu Episkopatu.

Mamy właśnie pod ręką jeden z numerów b. r. komunistycznego pisma: *L'Internationale Communiste*, wychodzącego w Paryżu. W piśmie tym towarzysz J. Lenski zamieścił obszerny artykuł, prawie że broszurę, pt. *Pour une politique bolchévik de masse, pour des cadres fermes*. Jest to dokładny bilans obrazujący robotę komunistyczną w Polsce, równocześnie rachunek sumienia z zaniedbań i błędów w pracy, oraz szczegółowy program, jak w dalszym ciągu akcję komunistyczną prowadzić należy w myśl wskazań VII kongresu, „według żywych wzorów partii komunistycznej w Sowietach, a pod genialną dyrektywą towarzysza Stalina” (str. 414).

Radzilibyśmy redakcji *Robotnika*, w szczególności p. Czapieńskiemu, przestudiować dokładnie tę broszurę, bo znajdzie tam nie podejrzany komentarz do zacytowanego wyżej ustępu z pasterskiego listu. Znajdzie może i więcej, niż się spodziewa, bo gotowy plan, jak należy zlikwidować polską partię socjalistyczną a zastąpić ją bez reszty „leninowskim marksizmem, którego wcieleniem jest towarzysz Stalin” (str. 404 i nast.). Znajdzie wypracowaną ideologię „frontu ludowego”, który ma się stać w Polsce narzędziem komunistycznej partii (str. 406—409).

Jest rzeczą zdumiewającą, jak mało polska P. P. S. nauczyła się z światowych eksperymentów komunistycznej międzynarodówki! Przywódcy socjalistów w wielu krajach na Zachodzie zrozumieli, że nawoływanie do tworzenia „frontów ludowych” jest tylko jednym sprytnym manewrem, który ma oddać Kominternowi władzę nad masą proletariatu. Zrozumiała to doskonale *Labour party* w Anglii, która na kongresie w Plymouth postanowiła całkowicie zerwać z komuną i jej agentami. Niedawno ta sama ewolucja nastąpiła w Belgii, a socjalista minister pracy Delattre stwierdził dobitnie, w swej programowej mowie w Mons, że wszystkie projekty tworzenia „frontów ludowych” mają służyć wyłącznie komunizmowi, że nie istnieje żadna międzynarodówka komunistyczna, ale tylko rząd sowiecki, który wydaje komunistom wszystkich krajów suwerenne rozkazy. Przywódca szwedzkich socjalistów Hansson, który obecnie tworzy rząd, zapowiedział z góry, że nie będzie współpracował ani z komunistami ani z półkomunistami.

Natomiast ideałem naszego *Robotnika* jest chyba „ludowy front”, bo dla czego z takim entuzjazmem pismo to referuje codziennie rzekome sukcesy hiszpańskiej komuny a pieni się na samą myśl o możliwości zwycięstwa powstańców, zaś „teologowi” swego obozu nakazuje atakować orędzie Episko-

patu, za ostrzeżenie przed agentami komunizmu, bo tych jego zdaniem w Polsce niema.

List pasterski podkreśla dobitnie fakt, że komunizm przenika powoli także w szeregi młodzieży. Fakt ten niesłychanie smutny, który stwierdzono tu i ówdzie nawet wśród młodzieży gimnazjalnej, występuje jawnie lub w masce wśród młodzieży wyższych uczelni. Pamiętamy o procesie wileńskim, który odsłonił smutne dzieje ideowego wykołajenia się poważnej grupy młodych inteligentów. Można przypuszczać, iż zło zostało usunięte a przynajmniej zepchnięte w podziemia. Natomiast jawnie szerzy się dalej w ramach legalnego związku lewicowego bloku w którego skład wchodzi uniwersytecka P. P. S., Legion Młodych — Frakcja oraz Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Komunizm nie występuje tu jawnie, zato skrajny radykalizm reklamuje się bezkarnie, zatruwając młode dusze i torując drogę dla haseł komunistycznych. W dziedzinie reformy ustroju gospodarczego dąży ten lewicowy obóz do skrajnego syndykalizmu; religię i etykę katolicką wyraźnie odrzuca.

W chwili obecnej, na początku roku akademickiego kolportują zwolennicy Z. P. M. D. propagandowe ulotki, w których przedstawiono ideologię tej organizacji.

Czytamy tam między innymi:

Żądamy zerwania konkordatu, który zapewnia protekcję państwową obcym interesom Watykanu. Stwierdzamy, że kościół skupia ogromne majątki niezgodnie z przykazaniami ewangelicznymi, że jest wrogiem postępu gospodarczego i że oduczył Polskę myśleć samodzielnie.

Wolność sumienia wymaga ślubów cywilnych wprowadzonych przez państwo i dobrowolnej nieprzymuszonej nauki religii w szkołach.

Wbrew zasadniczej nazwie organizacji, która pozuje na obrońcę demokracji, wodzowie Związku gotowi są nawet na przyjęcie w Polsce dyktatury, byle ta dyktatura zwróciła się przeciw czarnej reakcji.

Sądzymy, że dyktatura w walce z pewnymi tradycyjnymi lub anonimowymi czynnikami w Rzeczypospolitej jest konieczna. Musi być dokonana bolesna operacja wyzwolenia Polski z pod hegemonii kleru, z pod ucisku schyłkowego kapitału, z pod serwilizmu wobec zagranicy i tradycji warcholstwa partyjnego.

Dyktatura powinna przeto iść naprzód, jako powołana do przebudowy socjalnej. Taka dyktatura byłaby bardziej demokratyczna niż obecna rzeczywistość i zyskałaby pełne zaufanie mas...

Przypominają się słowa orędzia Episkopatu, iż

...wprawna ręka agitatora omotuje i bałamuci niekrytyczne umysły, rzuca siejbę nienawiści religijnej... w dusze mas a. szczególnie młodzieży.

Tego bałamucenia i siania nienawiści religijnej nie brak i na innych odcinkach naszego życia publicznego. W walce

tej odznacza się także czołowa frakcja Związku Nauczycielstwa Polskiego. Już nieraz poruszaliśmy ten bolesny temat, wracamy jednak do niego nie dla jałowej polemiki słownej, ale dla podania nowych i rzeczowych dowodów.

Głos Nauczycielski, organ rzeczonoego Związku, prawie w każdym numerze zamieszcza ataki na duchowieństwo, podrywając systematycznie nie tylko jego autorytet ale sięjąc pośrednio nienawiść do katolickiego Kościoła.

Poziom tych ataków nie wysoki a argumenty obliczone na naiwność i grubą ignorancję w dziedzinie historii.

Oto, co czytamy w jednym z ostatnich numerów:¹⁾

Zawód nauczycielski, a zwłaszcza te jego grupy, które dążą do wychowania niepodległego, uspołecznionego ducha w narodzie, stale były, są i będą przedmiotem szykan, napaści i oszczerstw ze strony czynników wstecznych i społecznie samolubnych. Historia wszystkich krajów ukazuje nam przykłady walki o wolność wewnętrzną w wychowaniu i walki przeciw tej wolności. W starożytności, w średniowieczu aż do czasów współczesnych zawód nauczycielski bronił się mniej lub więcej skutecznie przed ingerencją sił, pragnących podporządkować sobie niewolniczo szkołę i nauczyciela, zamknąć drogę do wiedzy szerokim masom, by stały się tym bardziej bezbronne wobec wszelkiego wyzysku i fałszu, nieświadome swej krzywdy moralnej i materialnej.

Walka ta rozgrywała się i rozgrywa przede wszystkim w dziedzinie poczyniń wychowawczych między klerem, roszcującym sobie prawo do tytułu jedyne go wychowawcy narodu, a powołaną do obowiązków wychowawczych szkołą publiczną i zawodem nauczycielskim. Przez długie wieki kler i wszelkie na nim oparte i przez kler działające sfery reakcyjne, zainteresowane w ciemnocie mas ludowych, trzymały prym; szkoła miała przeważnie charakter czysto zakonny lub od kleru bezpośrednio zależny, a poziom możliwie najniższy. Nawet zakony, które propagowały udostępnienie niesfałszowanej wiedzy szerszemu ogółowi, były w dziejach zaciekle zwalczane przez całą hierarchię duchowieństwa, jako szkodliwe i niebezpieczne dla spokoju świata; nawet każdy indywidualnie głębszy duch, prawdziwy, wychowawca spośród kleru przechodził cierniową drogę prześladowania. Cóż tu mówić o zawodzie nauczycielskim i o szkole prowadzonej przez ludzi świeckich: były one traktowane jako instytucje podwładne, a „rząd dusz“, który pełniły, był im stale, konsekwentnie i nieraz skutecznie wyrwany.

To, co przeżywa dziś Z. N. P. jest tą samą, oby ostatnią falą walki kleru z wyzwolonym już z pod jego opieki zawodem nauczycielskim. Wszystko, do czego Z. N. P. dąży, co stworzyć pragnie w duszy nauczyciela i dziecka polskiego dzięki swej szczerze demokratycznej postawie i bezinteresownej służbie obywatelskiej — wszystko to jest solą w oku klerowi.

Łatwo zrozumieć, jak niewygodnym jest dla kleru wielkie skupienie nauczycielskie, które nie tylko dopomogło nauczycielom wyłamać się z pod władzy czynników kościelnych, nie tylko potrafi utrzymać swoją niezależność, ale i w lud niesie hasła świadomej, twórczej samodzielności. To się nazywa w języku naszych wrogów „masonerią“, „zbrodniczą działalnością wywrotową“ itp.

...Zwalczani będziemy zawsze i coraz, coraz silniej. Zawsze — bo nigdy nie wypali się walka czynnika reakcji i samolubnego interesu

¹⁾ Cfr. Nr. z 6 września b. r. str. 57.

z czynnikiem sprawiedliwości i postępu. Coraz silniej, bo coraz wyżej podnosić będziemy sztandar niezależnej szkoły, coraz bezwzględniej przeciwstawiać się będziemy wszelkiej reakcji, skądkolwiek płynąć będą jej fale.

Każdy przyzna, iż tego rodzaju artykuł mógłby z powodzeniem znaleźć się na łamach *Robotnika* czy *Wolnomyśliciela*.

Na tym samym zresztą poziomie znajdują się inwektywy na Kościół i duchowieństwo, wytaczane w ramach kursów wakacyjnych, organizowanych dla nauczycielstwa przez Związek. Jesteśmy przekonani, że Ministerstwo W. R. i O. P. nie wie zupełnie, jakie tematy porusza się na tych pozorach nauki zakonspirowanych posiedzeniach. Naszym zdaniem nie tylko kler może mieć w tym względzie wielkie zastrzeżenia... Dla wtajemniczonych zaś czy poinformowanych dziwną co najmniej wydać się musi postawa moralna tej garstki radykalnych menerów Związku, którzy potem dla zmylenia pozorów, deklarują wysoki fundusz na cele obrony państwa. Nieźle pomyślana gra, zobaczymy jakim będzie jej finał.

Z akcentem najgłębszego przekonania musimy powtórzyć słowa cześnia Episkopatu, iż „wszelkie kompromisy z radykalizmem wydają najgorsze owoce”. Owoce te dojrzały w Hiszpanii, oby nigdy nie dojrzały w Polsce — dla dobra naszego narodu i państwa.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

27 września.

Stolica ku czci ks. Piotra Skargi.

Dnie 11, 12 i 13 września zapisały się dużymi literami w kronice Warszawy. Oglądały uroczystość czterechsetlecia urodzin Skargi. Kraków i Lwów już w 1836 i w 1912 r. obchodziły rocznicę ku czci największego w Polsce kapłana i obywatela, Warszawa, stolica Polski, tego dopiero roku — knut moskiewski nie pozwalał na podobne świętowania — oddała po raz pierwszy hołd pamięci wielkiego jej syna. Imponującymi nazwał speaker radiowy te manifestacje katolickiego ludu i rządu. A dzienniki wszystkie poczynawszy od *Kurjera W.* i *Czasu* czy *Dziennika Narodowego*, aż do najmniejszych, ba nawet radykalnych jak *Kurjer Poranny*, nie szczędziły przymiotników takich jak ogromne, niewiędziane dotychczas, wielotysięczne itp.

Istotnie. Ostatnie 3 dni Tygodnia Warszawy miały charakter świąteczny i manifestujący. Świąteczny dla nastroju i mnóstwa gości, którzy zjechali na te dni do stolicy, a manifestujący dla ducha, w którym była utrzymana całość dni skargowskich. Jak z gazet dobrze wiadomo, na uroczystości skargowskie w Warszawie złożył się podwójny program: ogólnopolski kongres publicz-

stów i działaczy katolickich w dniach 11 i 12 ub. m. i kulminacyjny pochód wszystkiego co katolickie w stolicy i kraju celem zmanifestowania, że Polska jest katolicką.

Szczegółów pomniejszych z tych uroczystości powtarzać już nie będziemy. Znałe są wszystkim z dzienników i przeróżnych czasopism. Zbierzemy tylko pokrótce całokształt zakresłonego i wyczerpanego programu samych uroczystości i podkreślimy ważniejsze momenty.

Na podkreślenie nasamprzód zasługuje udział Ministerstwa W. R. i O. P. przy uroczystym otwarciu kongresu publicystów i działaczy katolickich „...władze i instytucje oświaty polskiej pragną udziałem swym w uroczystościach jubileuszowych wydatnić jak najsilniej postać tego narodowego pisarza, mówcy i wychowawcy — dla którego służba ojczyźnie była ustanowieniem Bożym”. Te słowa p. wicemin. Ferek-Bleszyńskiego wypowiedziane „w imieniu Ministerstwa W. R. i O. P. oraz wszystkich jemu podległych uczelni i szkół”, są wyrazem tego, co się powoli, ale niewątpliwie dokonywuje w ministerstwie oświaty. Era „jędrzejowszczyzny” minęła i da Bóg nie wróci. W tymże duchu utrzymane było przemówienie wiceprezyd. miasta p. Pohoskiego, składającego w imieniu stolicy hołd i uznanie ks. P. Skardze. Jeżeli do tych występów przedstawicieli rządu i stolicy dodamy wielką pomoc i szczerą życzliwość, okazywaną komitetowi skargowskiemu przy zorganizowaniu samych uroczystości, to śmiało powiedzieć możemy, że stosunek Kościoła i państwa w Polsce idzie w kierunku coraz to większej współpracy.

Referaty¹⁾ wszystkie zmierzały właściwie do jednego celu, do wykazania wzgl. pogłębienia albo i uzasadnienia „jedności Polski z katolicyzmem”. Ks. prał. Nowakowski na szerokim tle historycznym wykazał skuteczniczenie tej jedności jako główną zasługę Skargi. „Wielcy królowie rozszerzali Polskę, Skarga ją spajał katolicyzmem i w katolicyzmie”. Myśl przezeń rzuconą podjął następnie dyr. Błażejewicz. Omawiając dzisiejsze destrukcyjne prądy nakreślił szereg wytycznych i ramowych wskazań dla „dzisiejszych katolickich działaczy i publicystów” ku zrealizowaniu tej właśnie jedności.

Pięknym uzupełnieniem tych odczytów, było odważne wystąpienie Rusina, adw. dra Nazaruka ze Lwowa, wykazującego na tle przykładów historycznych, że „kwestia bytu/ziem wschodnich to utrzymanie łączności z Polską na płaszczyźnie katolickiej”.

Na popołudniowej sesji piątkowego zebrania przemawiali Dr. K. M. Morawski na temat „Upadek Polski a Skarga”, i marszałek kongresu prof. O. Halecki, „Skarga a kultura Polski”. Nazwiska same mówią za treść i poziom opracowania. „...Gniew

¹⁾ Jest nadzieja, że wszystkie referaty *in extenso* pojawią się w specjalnej jubileuszowej księdze.

i radości Skargi nie były zaprawiane beznadziejnością... była w nich wiara w lepszą przyszłość" podkreślił p. Morawski w zakończeniu, odsyłając logicznie do znanych słów Skargi: „wracajmy się do Pana Boga naszego... a trzeciego dnia wzbudzi nas". Podejmując tę samą myśl przewodnią, którą na rannej sesji podkreślono: „jedność Polski z Kościołem katolickim" — Prof. Halecki wykazał to samo w głębokiej socjologicznej syntezie udowadniając, iż Skarga, w przeciwieństwie do Kochanowskiego, wytyczył kulturze polskiej nowe szlaki i nowe z niej wydobył wartości; Skarga pierwszy pojął i zrozumiał, że siła kulturalna Polski leży w katolicyzmie".

W sobotnich sesjach po pięknym odczycie Mgra A. Romera, „Skarga a sejm", charakteryzującym poglądy polityczne autora kazań sejmowych, znowuż w naświetleniu i na podkładzie myśli i religii katolickiej, doszedł do głosu przedstawiciel młodzieży, wiceprzewodniczący Central. Kom. Akad. Pielgrzymki Jasnogórskiej inż. Cz. Polkowski. „Młodzież polska nie zna dostatecznie postaci i dzieł Skargi, ale duch tego wielkiego Polaka i katolika w młodzieży naszej żyje"! Liczne oklaski w toku samego przemówienia wymownie świadczyły, że duch Skargi wśród młodzieży naszej żyje. Po p. Polkovskim J. Em. ks. bp. Gawlina naszkicował przepięknie w jednym odczycie postać „duchownego od dusz żołnierskich". „Naczelne dowództwo armii, padały słowa dostojnego mówcy, pragnie, by kwestii wychowania żołnierzy nie rozwiązywać bez pomocy Kościoła". Polska zbrojna i Kościół katolicki chcą i muszą tworzyć jedno. Odczyt p. Kosak-Szczuckiej o „Beatyfikacji Skargi" był misterną ozdobą w całokształcie referatów. Jeżeli Skarga jest wcieleniem ideału Polaka-katolika — tak by można ująć logiczne podłoże tego odczytu — jeżeli ma być wzorem wzywającym rozgłoszenie a z namaszczeniem z góry do wejścia na tę drogę, którą sam kroczył — wtedy na ołtarze wynieść go trzeba. Na ołtarzach naszych chcemy go widzieć!

Zreasumowaniem, ujęciem praktycznym i podkreśleniem „Najważniejszych postulatów katolicyzmu w Polsce", które się bądź to wyłoniły, bądź logicznym wnioskiem samorzutnie płynęły ze wszystkich poprzednich odczytów i dyskusyj, był odczyt O. Jana Rostworowskiego T. J. Jasny, treściwy i pełen autorytetu — jak zawsze. Żądamy: 1. Ustawowego uznania katolicyzmu za religię panującą i państwową w Polsce. 2. Uzgodnienia ustawy o prawie małżeńskim z wymaganiami Kościoła. 3. Ustanowienia szkoły wyznaniowej a zanim to nastąpi zwiększenia ilości godzin religii w szkole i zapewnienia życzliwego stosunku nauczycielstwa i administracji szkolnej do religii katolickiej. 4. Zmiany ustroju społeczno-gospodarczego w duchu korporacyjnym, opartej na encyklikach papieskich *Rerum Novarum* i *Quadragesimo anno*, nie narzuconej z góry, ale wytworzonej przez porozumienie warstw i stronnictw politycznych. 5. Inicjatywy rządu na forum między-

narodowym w sprawie właściwego rozwiązania kwestii żydowskiej, od czego zależy religijna, narodowa i ekonomiczna przyszłość ojczyzny. — Oto dobitne sformułowanie postulatów i rezolucyj zjazdu skargowskiego. O ich ważności i aktualności nikogo przekonywać nie potrzeba. Oby tylko postulaty te nie pozostały papierową uchwałą. Najwięcej szans powodzenia zdaje się mieć jeszcze rezolucja, którą „zebrani na Ogólnopolskim Kongresie Skargowskim postanawiają jak najsilniej poprzeć młodzież akademicką w jej pracy nad odrodzeniem religijnym i gospodarczym narodu, przez ułatwienie pracy referatowej i organizacyjnej, która prowadzona będzie na terenie całej Polski, oraz w pracy przy zakładaniu i prowadzeniu kas bezprocentowych”. Popierać i realizować te doniosłe rezolucje będzie obowiązkiem każdego.

Depesze gratulacyjne Ojca świętego, J. Em. ks. kard. Hłonda, Episkopatu polskiego, znakomitych katolickich pisarzy zagranicznych, jak Claudel’a, Maritain’a, Martindale’a, Sygrydy Undset, Gemelli’ego... uświetniły obrady i podniosły nastrój.

Kulminacyjnym punktem dni skargowskich był obchód niedzielny. Poranna msza św., celebrowana przez J. E. Ks. Kardynała Kakowskiego na placu Zamkowym, zebrała faktycznie całą Polskę w przedstawicielach swoich. Głowa państwa p. Prezydent, generalny inspektor sił zbrojnych, gen. Śmigły-Rydz, p. premier Składkowski, obaj marszałkowie, episkopat, generalicja i rząd, przedstawiciele wszystkich organizacji, stowarzyszeń i związków, poczty sztandarowe szkół, towarzystw i parafii, kompanie honorowe wojska, korporacje i strzelca... Wzruszająca defilada przed pamiątkową fablicą Skargi.

Dla widzów — dla tłumów tysięcznych naprawdę widok potężny a podniosły. „*Vivant* wszystkie stany” — chciało się wołać patrząc na tę zjednoczoną w przedstawicielach swoich Polskę. Przecież tym samym szlakiem poprzez plac Zamkowy ciągnęły tłumy do katedry św. Jana w owym pamiętnym dniu 3-im maja święcąc święto zjednoczonej wewnętrznie Polski. A kiedy po kazaniu O. Rostworowskiego, wielbiącego zwięźle a z mocą swego współbrata zakonnego, z tysięcznych piersi popłynął potężny Ojców naszych śpiew: *Boże coś Polskę* — niejedno serce goręcej zabiło.

Zakończeniem przepięknym uroczystości skargowskich była defilada „Na Rozdrożu”. Ten, który otworzył zjazd i dni skargowskie, J. E. Ks. Kard. Kakowski, rzucając w pięknym przemówieniu słowa Skargi: „Bóg żąda od nas roboty i męskiego serca”, ten je i zamknął, odbierając „w hołdzie Księdzu Skardze” pokłon chylących się sztandarów i gromki krok stowarzyszeń katolickich.

Tak wyglądał dzień, w którym Polska była zjednoczona, w którym doszła do możliwie największego zjednoczenia w duchu. I to można postawić i oznaczyć jako owoc uroczystości skargowskich. — Jeżeli na jakimś polu jest możliwe zjednoczenie wszyst-

kich umysłów po polsku czujących, to tylko na polu religijnym, tylko w ramach katolicyzmu. Wszystkie inne zawodzą i zawodzić muszą — dla swej partykularności. A piękniejszej i bardziej czołowej postaci, któraby cechy Polaka-katolika i wyobrażała i w harmonijnej zgodzie, w prawdziwie męskim typie w sobie łączyła, nad Skargę, nad jego wzniesione ramię i natchnioną mowę, nie znajdziemy. I dlatego raz jeszcze słuszne żądanie: apostołem Polski i jej świętym stać się musi Skarga.

Maluczkim tylko a wcale nie pożądanym incydentem w tym odruchu wszystkiego, co zdrowe i silne a katolickie w ojczyźnie naszej, było fatalne przesunięcie godziny pochodu z godz. 14 na godz. 11, dane zleceniem z góry w 24 godzin przed rozpoczęciem pochodu, a rozgłoszone przez radiostację warszawską na całą Polskę. Jak takie pociągnięcie podcina zaufanie do organizatorów, jakie szerzy rozgoryczenie, na jakie naraża straty i w pieniądzach i w moralnych wartościach — tłumaczyć nie potrzeba. Widać komuś manifestacja katolicka była kolcem w oku i bardziej niebezpieczna od pochodu „krwawej środy”. Więc ją zepsuł. I przyznać trzeba, że mu się to w dużej mierze udało. — Mimo tego jednak incydentu to, co się odbyło w dniach 11, 12, i 13 ub. m., było potężne wielkie i do głębi wzruszające.

Równolegle z uroczystościami w Warszawie obchodził i Grójec, miasto rodzinne Ks. Piotra Skargi, swój dzień skargowski. Uroczysta msza polowa na rynku miasta, celebrowana przez J. E. ks. biskupa Sonika, kazanie ks. prał. Nowakowskiego, 25 tysięczny pochód organizacji, młodzieży i parafian, odsłonięcie pamiątkowej tablicy w przytułku ufundowanym przez Skargę, przemianowanie miejscowej szkoły średniej na gimnazjum im. Ks. Piotra Skargi i uroczysta akademія *sub divo* — złożyły się na program tego dnia.

Za Grójcem i Warszawą, a dokładniej za Krakowem, Warszawą i Grójcem, bo Kraków pierwszy uczcił 400-lecie urodzin Skargi, diecezje wszystkie — radośnie to notujemy — przystępują do organizowania obchodów ku czci Skargi. Daj Boże, aby owocem tych dni skargowskich było zbudzenie duszy skargowskiej w polskim, katolickim narodzie.

Ks. Józef Warszawski T. J.

Camera obscura „Wiadomości Literackich”.

Redakcja *Wiadomości Literackich* zachęca gorąco czytelników swoich do zbierania i nadsyłania materiału do działu *Camera obscura*, mającego dawać przegląd nieśmiertelnej głupoty ludzkiej. Idąc za tym wezwaniem zbieramy wcale spore snopeczki tego siana na własnych łamach *Wiadomości*. Należałoby tym panom przypomnieć przysłowie: *medice, cura te ipsum!* Oczywiście nie

podobna Czytelników *Przeglądu* i opinii publicznej zajmować wszystkimi kwiatkami, pozbieranymi na łamach *Wiadomości*, za wielki by je zaszczyt spotykał; ale od czasu do czasu warto uszczknąć jeden lub drugi kwiatusek.

Tym razem wybieramy artykuł W. Charkiewicza p. t. *Papieżyca ojców jezuitów* (nr. 22, z 17. V b. r.). Ukazał się on wprawdzie dość dawno, bo jeszcze w maju, ale uroczystości skargowskie, którymi piszący te słowa był zajęty, oraz bliskość wakacyj, nie sprzyjających poważniejszej dyskusji, skłoniła nas do przełożenia rozprawy z Charkiewiczem na jesień, by ta rozprawa nie uszła uwagi powszechnej.

Charkiewicz, wileński publicysta i pseudo-historyk, znany ze swej niechęci do zakonu jezuickiego, zaciekle zwalczający akcję unijną, w zwalczaniu zniechędzonej organizacji posuwający się aż do ogłaszania w dziennikach prywatnej korespondencji, pragnąc w opinii społeczeństwa zożydzić jezuitów ogłosił w *Wiadomościach* długi, w pozory naukowości i źródłowości przybrany, artykuł. Stara się w nim udowodnić, że jezuita rozżaleni na papieża za kasatę zakonu zerwali z Rzymem, wyparli się papieża, wybrawszy sobie na jego miejsce, z wdzięczności za zachowanie zakonu na Białorusi, Katarzynę, „namiestniczą osobę Boga, pierwszą po Bogu”. Jezuita, nie chcąc się poddać breve kasacyjnemu, przez swoje intrygi i machinacje zawarli niepisany układ, w którym za cenę ultralojalności swojej i szlachty pod ich pozostającej wpływem, otrzymali zakaz ogłoszenia breve. Zachowanie zakonu ogromnie osłabiło Kościół katolicki w Rosji, przekonało bowiem, że papież nie jest tak wszechwładny, jak to się mogło wydawać; interes Kościoła wymagał zniesienia jezuitów, interes egoistyczny jezuitów przeważał nad interesem religii. Otrzymawszy upragnione zachowanie ogłosili oficjalnie przez swojego poetę, „jezuitę” Konstantego Benisławskiego, w *Pieniach całodziennych i całonocnych*, wydanych w r. 1780, swoje zerwanie z papieżem, ogłosili Katarzynę za namiestniczkę Boga, pierwszą po Bogu osobę. Nie przestali i potem popierać jej następców, pracować dla carów uprawiając antynapoleońską politykę, dzięki której udało się im usposobić masę szlachty niechętnie dla Napoleona w czasie wyprawy w r. 1812. — Tak w krótkości przedstawiają się „uczzone” tezy Charkiewicza.

Biorąc pełną odpowiedzialność za własne słowa, w imię prawdy zmuszony jestem stwierdzić, że tezy te, o ile chodzi o odpowiedzialność jezuitów białoruskich, są jednym wielkim oszczerstwem.

Zacznijmy od faktu najwyższego, rewelacyjnego w pojęciu Charkiewicza, od *Pieni* Benisławskiego. One mają niezłomie doprowadzić już nie tylko czołobitności, oportunistów jezuitów białoruskich, ale wprost zerwania z papieżem, mają być oficjalnym wypowiedzeniem się jezuitów przez nastawione przez nich Be-

niślawskiego. Otóż trzeba najpierw stwierdzić, że z *Pieniami* Benisławskiego jezuita białoruscy nie mieli nic, literalnie nic wspólnego. Kim był Konstanty Benisławski? Urodzony w r. 1745, wstąpił do jezuitów w r. 1761. W roku kasaty zakonu, t. j. w jesieni 1773 r. zaczynał dopiero trzeci rok teologii w Wilnie. Przełożeni Akademii, pragnąc 17 starszym teologom (z drugiego i trzeciego roku) ułatwić znalezienie pracy i chleba po rozwiązaniu zakonu, ofiarowali im święcenia kapłańskie, by jako kapłani mogli być przyjęci przez biskupów do ich diecezji. Wśród 12 wyświęconych był i Benisławski. Na tym się kończy jego stosunek z jezuitami: nastąpiła kasata zakonu i on pozostał w kadrach duchowieństwa świeckiego. Dalsze jego losy nie są nam znane, w każdym razie nie pozostał on w Akademii wileńskiej, jak wielu jego zakonnych kolegów, ani nie przeniósł się do Połocka, do jezuitów nie wrócił, jezuitą zatem w r. 1780 nie był. Jego nazwiska nie podaje żaden katalog prowincji białoruskiej, nie znajdujemy go również w księgach nekrologów białoruskich kolegów, jak i w katalogach zmarłych na Białorusi jezuitów. Oczywiście z tego wniossek, że wystąpienia Benisławskiego nie można w żadnym wypadku brać za wyraz poglądów jezuitów białoruskich, chyba gdyby się udowodniło, że został on przez nich do tego upoważniony, delegowany. Charkiewicz tak twierdzi, ale popełnia kompromitującą gafę. Najpierw przeocza czy przemilcza okoliczność miejsca wydania *Pieni*, tak że czytelnik ulega wrażeniu, że książka musiała wyjść z jakiejś oficyny jezuickiej na Białorusi. Tymczasem i z tym rzecz się miała inaczej. *Pienia* ujrzały światło dzienne w Wilnie, które wówczas, w r. 1780, należało przecież do Polski nie do Rosji, i w którym już zakon jezuitów nie istniał ani drukarni nie posiadał (zob. Bibliografię Estreichera t. XII, str. 477). Czyż zachowani na Białorusi jezuita, gdyby *Pieniami* chcieli uczcić Katarzynę szukaliby drukarni aż poza granicami państwa, w którym się znajdowali? Idźmy dalej: Benisławski wydał swoje *Pienia* „od poddaństwa prowincji dźwińskiej“, jako „jeden z najpoddanych poddanych“; Charkiewicz tak rzecz przedstawia jakoby tu chodziło o prowincję zakonu jezuitów. Tymczasem nigdy takiej prowincji jezuickiej ani po kasacie, ani przed kasatą zakonu nie było i prowincja białoruska nigdy tej nazwy nie nosiła. Oczywiście autor *Pieni* pod prowincją dźwińską rozumiał geograficzno-polityczną okolicę Dyneburga, w której zapewne po kasacie zakonu osiadł, a pod „poddanymi“, w imieniu których hołdy nowej władczyni składał, mógł rozumieć tylko ludność, względnie szlachtę tej okolicy. Charkiewicz utożsamiał tę „prowincję“ z prowincją jezuicką, a „poddanych“ ze „zbuntowanymi przeciwko papieżowi“ jezuitami białoruskimi. Jeśli to zrobił przez nieznamość rzeczy, to co sądzić o nim jako historyku? A jeśli pomieszaniami tego dopuścił się świadomie, to jakie świadectwo wystawia sobie, jako człowiekowi?

W ten sposób pocisk grubej berty, który miał sponiewierać nienawistnych jezuitów, jest tylko chybioną kulą w płu. Wystarczy zresztą przeczytać uważnie te ustępy, jakie Charkiewicz przytacza z *Pień*, aby od razu nabrać wątpliwości w prawdziwość jego komentarzy. *Pienia* są naprawdę wstrętne, ohydne, ale w nich nie ma mowy o jezuitach, poza jedną drobną wzmianką, gdy B. wśród licznych zasług Katarzyny wymienia także i zachowanie jezuitów.

Podobnie „prawdziwe i naukowe” są i inne zarzuty, stawiane jezuitom białoruskim. Charkiewicz głosi, że nie chcieli się poddać breve kasacyjnemu, że zawarli niepisany układ z Katarzyną ofiarując za zachowanie obietnicę lojalności, że zerwali z Rzymem, zbuntowali się przeciw Stolicy św.

Skąd takie wiadomości? Historia uczy, że było wprost przeciwnie. Jezuiti połoccy chcieli się rozejść, a biskup Massalski, do którego jurysdykcji należał Połock, pod rygorem posłuszeństwa surowo i bezwzględnie zakazał im się rozchodzić, opuszczając kolegia i zajęcia; przełożeni otrzymali nakaz zatrzymywania wszystkich poddanych pod sankcjami kar kościelnych. A jako powód tego dekretu, a zarazem dla uspokojenia sumień jezuitów, podał Massalski fakt, że breve kasacyjne nie zostało prawnie przezeń ogłoszone, *tametsi nondum legaliter in Natione Nostra per publicam infimationem sit proclamatus*. (List Massalskiego z 29. XI 1773 r. w Archiwum Prow. Małopolskiej w Krakowie). Jezuiti mimo to nie dali za wygraną. Wiceprowincjał Czerniewicz, w największej rozterce duchowej, przedstawił całą sprawę nuncjuszowi Garampi, a w Petersburgu podziękował Czerniszzewowi za opiekę i życzliwość, oświadczył jednak równocześnie, że z opieki tej skorzystać nie może, że prosi o ogłoszenie breve i pozwolenie na rozejście się. Czerniszew, zaskoczony niespodziewaną prośbą jezuitów, polecił przedstawić sobie memoriał, na który przez cztery tygodnie nie dano żadnej odpowiedzi. Gdy delegacja jezuitcka czekała w stolicy na upragnione pozwolenie, w Połocku i innych domach białoruskich doszło do formalnej rewolucji; poważna część zakonników domagała się ogłoszenia breve, poddania się woli papieża. Zamieszanie to powiększała niepewność jutra i gwałtowne ataki na jezuitów za nieposłuszeństwo władzy Kościoła. Nic jednak nie pomogły przedstawienia Czerniewiczza! Katarzyna nie zgodziła się na ogłoszenie breve i rozejście się jezuitów; nuncjusz Garampi na błagalne listy Czerniewiczza, by interweniował w Petersburgu, odpowiedział frazesem życzenia, aby starania jezuitów o ogłoszenie breve osiągnęły lepszy skutek.

Tak się przedstawiał pokrótce rozwój wypadków w pierwszych miesiącach po wydaniu breve: *Dominus ac Redemptor*. Są to wszystko rzeczy znane, opisał je Załęski w V tomie swej historii; dokumenty leżą w Archiwum Prowincji Małopolskiej — a Charkiewicz głosi swoje rewelacje o niepisanej umowie jezuitów

z Katarzyną, o zerwaniu z papieżem itd., *Wiadomości* zaś drukują te pseudo-historyczne bzdury.

Podobnie przedstawia się sprawa i z innymi zarzutami Ch. Że jezuita nie zachwycali się Napoleonem, nie można się im dziwić. Sława gwałciciela swobód Kościoła nie tylko jezuitów niechętnie doń usposabiała: w *Panu Tadeuszu* mamy wyraźne echo niechęci, jaka poprzedzała wielką armię na Litwie. Przesadza jednak Ch., gdy wyolbrzymia wpływ i znaczenie jezuitów na Litwie i Białorusi; a mija się z prawdą, gdy jezuitom przypisuje rusyfikację Białorusi, zestawiając ich działalność z działalnością Murawiewa. Trzeba być naiwnym albo zacierzwionym, aby uwierzyć, że obchodzenie imienin czy urodzin carów, wygłaszanie panegiryków, wystawianie emblematów miało jakiś głębszy wpływ na młodzież czy społeczeństwo. Obchody i galówki były z góry nakazywane, do ukazów musieli się stosować wszyscy; urządzano je i w Wilnie, wogóle w całym zaborze rosyjskim. Oczywiście wolelibyśmy, aby frazeologia panegiryków, zwłaszcza dla Katarzyny, była mniej napuszysta, było by nam bardzo miło, gdyby jezuita białoruscy wogóle tych parad nie urządzali. Ale czy to było możliwe? Czy mogli nie słuchać ukazów, gdy ich słuchało całe polskie społeczeństwo, gdy powiaty jeden po drugim składały Katarzynie hołdy poddańcze.

Charkiewicz popełnia jeszcze jedną nieuczciwość naukową! Cały długi okres od roku 1773 do 1820 traktuje jako epokę jednolitą, gdy tymczasem lata te zamykają w sobie także zbliżenie Polaków do Rosji, czasy liberalizmu Aleksandra. Najwięksi patrioci polscy ludzili się wtedy nadzieją, że Rosja odbuduje Polskę. Wszak niewiele brakowało, a mielibyśmy odę Mickiewicza na cześć cara. Śp. prof. Kallenbach opowiadał nam na jednym z wykładów, że Mickiewicz miał witać panegiryczną odą cara w Wilnie; przyjazd nie doszedł do skutku, więc i oda nie została napisana, a Boy stracił znakomitą sposobność do obdarzenia *Wiadomości* nową sensacją. Należy wreszcie pamiętać, że po latach 90-tych 18 stulecia wśród jezuitów białoruskich bardzo poważny procent stanowili cudzoziemcy, którzy z całej Europy ściągali do zachowanego zakonu. Ci cudzoziemcy inaczej patrzyli na Rosję niż Polacy; szukali zakonu, marząc przy tym o nawróceniu Rosji, a po zatwierdzeniu cichym, a potem uroczystym, zachowanego zakonu przez papieża nie mogli nie odczuwać wdzięczności dla tych ludzi, którzy w ich słusznym mniemaniu stali się narzędziami Opatrzności. Że zaś na kasacie Towarzystwa Jezusowego nie zyskał katolicyzm, a że jego zachowanie na Białorusi i później przywrócenie na całym świecie było naprawdę opatrnościowe dla interesów i dobra Kościoła, tego chyba udowodniać nie potrzeba.

Artykuł Charkiewicza o „papieżyca jezuitów” nie znalazł odgłosu w prasie codziennej i publicystyce; zbyt jaskrawo prze-

bija z niego złośliwość, by można go brać poważnie! Jedno tylko pismo, organ bezbożników, *Wolnomyśliciel Polski*, podzielił się rewelacją Charkiewicza ze swoimi czytelnikami. Od tego jest „Wolnomyślicielem”.

P. S. *Wiadomości Literackie* za najlepszy, najpikantniejszy materiał do działu *Camera Obscura* dają pieniężne nagrody. Stajemy do konkursu; szanse mamy pierwszorzędne!

Ks. St. Bednarski T. J.

Bolszewizm w walce z religią.

Liberalnej Europie, która uznała Bolszewię za ostatnią nadzieję prawdziwej demokracji, wymierzono z Kremla bezcere-monialny policzek moskiewskiego procesu. Na rozgorączkowanych twarzach „światowego socjalizmu” i ugrupowań umizgających się do kombinacji „frontowych” zajaśniał znak chamskiej łapy jako order za naiwność. „Tak rozumiemy demokrację i taką wam przyniesiemy”, podniosła Moskwa głos zrozumiały już nie tylko dla klerykalno-reakcyjnych głów. Wszak bezgraniczny cynizm komunistycznej moralności zastosowano teraz nie do „generała-zdrajcy lub byle klechy”, lecz do jej własnych twórców i długoletnich a gorliwych wyznawców.

Sądźmy więc, że dobrze będzie przypomnieć w tej chwili sprawę prześladowania religijnego w Bolszewii. Trudniej będzie teraz zdławić wszystko silnym frazesem o hitler-faszystowskim oszczerstwie; bezsilniejsze będą pozory i metody mające przesłonić wstrząsającą rzeczywistość.

Za główny środek oszukiwania świata przez Sowiety uznać trzeba hermetyczne zamknięcie granic. Tylko z trudem zdoła się przedrzeć na zewnątrz drobna garść wiadomości ułamkowych i nie wystarczających do dokładnego odtworzenia całości obrazu. W danych statystycznych stale musi się używać słowa „około” z tym zastrzeżeniem, iż w chwili ich podania będą już zbyt optymistyczne. Zmiana bowiem na gorsze jest stała, nieustępliwa i niewątpliwa. O. G. P. U. potrafi cierpliwie pracować przez szereg lat, by np. bez gwałtownego morderstwa zlikwidować „wykonawcę kultu”. Toteż wiemy tylko w przybliżeniu, ilu duchownych różnych wyznań znajduje się już w trybach niezawodnej maszyny więzień, karnych robót, zesłań i obozów koncentracyjnych. Ponadto przedostaje się do nas tylko to, co ukryć się nie da, jak np. burzenie ważniejszych cerkwi. Reszta wiadomości jest celowa i ma służyć za niezbite dowody przeciwko istnieniu prześladowania.

Powyższego twierdzenia nie osłabi powoływanie się na wpuszczanie do Rosji zagranicznych turystów i obserwatorów.

Znaną jest rzeczą, że głąb kraju jest im zupełnie niedostępny poza ściśle określonymi liniami, otoczonymi specjalną opieką. Jest to raczej misternie wyzyskiwana droga wypuszczenia na szeroki świat obiektywnych stwierdzeń tendencyjnie stworzonych faktów. Do nich należy pozostawienie na tych szlakach nielicznych świątyń (np. w Moskwie z 500 istniało przed dwoma laty tylko 30, dziś podobno około 10; w Wołogrodzie i Archangielsku z dawnych 16—18-u pozostało tylko po jednej i to na krańcach miast itd.). Dopuszcza się w nich mniej więcej normalne wykonywanie kultu. Ten geszefciarski liberalizm w miarę potrzeby posuwa się dość daleko. I tak w bieżącym roku, ze względu na wymagania znanej gry, obliczonej na naiwność demokratycznej Europy, pozwolono w Moskwie na dość uroczyste obchodzenie świąt Wielkiejnocy i to bez szykan ze strony władz(!) ani bluźnierczych korowodów bezbożniczych.

Drugim środkiem wprowadzenia w błąd jest art. 5 konstytucji, który uległ pogorszeniu w 1929 r. W miejsce wolności propagandy tak antyreligijnej (organizowanej przez państwo), jak i religijnej (która w rzeczywistości nigdy nie istniała!) wstawiono słowa: „podczas gdy wszystkim obywatelom przyznaje się wolność wyznawania religii, względnie wolność propagandy antyreligijnej”. „Bezbożnik” (6. II. 1930) z naciskiem podniósł to opuszczenie i wysnuł stąd wniosek, iż na przyszłość propagandę religijną trzeba uznać za prawnie wzbronioną i za zbrodnię przeciw ustrojowi sowieckiemu. Stylistyczna więc zdawałoby się zmiana ma większe znaczenie, niżby to mógł przypuścić europejczyk czytając podobny tekst. A przez propagandę religijną nie rozumie się wcale wydawania ulotek, czasopism, umieszczania plakatów, urządzania publicznych zebrań itp. (te sposoby propagandy zostały wzbronione już w 1918r.), lecz najzwyczajniejsze, codzienne sposoby dawania świadectwa wyznawanej prawdzie. Zmiana ta wszakże większego znaczenia nie ma, gdyż zbliża jedynie „martwą” literę prawa do barbarzyńskiej rzeczywistości, oświeśla jednak dobrze komunistyczne metody. Rozwiązuje się zupełnie ręce urzędniczej swawoli, lecz, na użytek dyplomatycznych przedstawicieli Bolszewii i międzynarodowych sługusów wolnej myśli i ateizmu, zatrzymuje się narzędzie mamienia nieświadomych, względnie uciszania niewygodnych. Z tak sporządzonym dokumentem w dłoni wykazywano ludziom prawym nieznaną rzecz lub kłamstwo.

Tymczasem w gruzy szły tysiące świątyń. Inne zamieniano na kina, kawiarnie, śpichlerze lub ustępy publiczne (np. boczna kaplica cerkwi św. Tychona w Moskwie, stara cerkiew św. Błażeja w Jarosławiu). Oczywiście, wolnościowa ta działalność, bo uwalniająca szóstą część świata od pomników religijnych, ostatnio znacznie osłabła. Bynajmniej jednak nie z powodu szczęśliwej ewolucji zapatrywań komunistycznego cara i jego czynowników, lecz dla prostej okoliczności, że niewiele już zostało, co by można

zbezczścić lub zniszczyć. Nie zamariał wszakże i nie zamrze aż do pełnego skutku, chyba że komunizm zczęźnie wcześniej.

Według obliczeń¹⁾ z marca b. r. tylko 1200 duchownych prawosławnych sprawuje jeszcze obowiązki pasterskie. Katolickich kapłanów było „na wolności” może 30, pastorów protestanckich 18. Według najświeższych informacji prof. Arseniewa²⁾ — ma ich być już tylko 8-u. 40000 duchownych prawosławnych zostało zamordowanych albo oczekuje niechybnej, choć powolnej śmierci. Wobec tych danych wiadomość rzucona niedawno z wielkim hałasem w świat o rzekomym synodzie plenarnym należy uznać za beczelną drwinę. Widocznie krwawy Kreml uważa społeczeństwa zachodnie za gromadę skończonych głupców, których można z łatwością mamieć niewielką ilością naiwnych bajeczek. Cóż bowiem innego znaczyć ma łaskawe pozwolenie na używanie dzwonów (rozporządzenie z przed paru tygodni „o wprowadzeniu w życie wolności religijnej”), których od lat już nie ma; albo obietnica lepszej doli dla duchownych, gdy ich skatowane a wierne swym przekonaniom dusze opuściły już lub wnet opuszczą umęczone ciała, lub gdy ze szponów G. P. U. wyjdą tylko smutne łachmany ludzkie!

Oto parę szczegółów wyrwanych z przebiegu największego i najbardziej udanego prześladowania, jakie zna historia chrześcijaństwa i religii w ogóle.

Wszelkie złudzenia na temat wolności religijnej pod reżimem komunistycznym są naiwne i niebezpieczne. Propaganda frontowo-ludowa pod batutą komunizmu usilnie pracuje nad ich wywoływaniem i utrzymaniem, gdyż zmniejszają one czujność społeczeństw zachodnich na najważniejszym odcinku. Bo komunizm bardziej jest materialistycznym światopoglądem niż programem społecznym. Podczas gdy ten ostatni w ważnych punktach załamał się w Rosji i został już częściowo porzucony, założenia materialistycznych nie odstąpiono nigdy i nigdzie, walki z religią nie zaniechano ani na chwilę. Każdy dotychczas znany wysiłek zaprzeczenia był najgrubszym kłamstwem lub próbą mydlenia oczu, każde robienie nadziei na przyszłość było, jest i będzie jedynie pragnieniem taktycznego wprowadzenia w błąd przed morderczym uderzeniem. Pamiętać zaś trzeba nieustannie o tym, że pojęcia etyczne u nas a u komunistów są całkowicie różne, że kłamstwo, oszustwo, okrucieństwo itd. nie znajdują w ich światopoglądzie żadnej wewnętrznej zapory; że mogą być i są normalnymi i głównymi narzędziami walki. Dlatego osądzanie ich zapewnień, powiedzeń, dokumentów na podstawie naszych kryteriów jest zwykle mylne, jest naszą klęską i jako taka jest z góry

¹⁾ Zobacz *Oriens* art. wstępny Ks. J. Urbana T. J.

²⁾ *Die russische Kirche hinter dem Schleier* Hochland 1935/36 str. 512—525. Z art. tego zaczerpnęliśmy szereg danych do obecnej notatki.

eskontowana przez Kreml. Na tej tragicznej pomyłce, na kłamliwym podszywaniu się pod europejską terminologię komunizm buduje swe fanatyczne nadzieje i całą zewnętrzną ekspansję od czasu VII Kongresu Kominternu.

A więc bez złudzeń. Zwycięstwo komunizmu to śmierć religii; taka lub owaka, gwałowna lub powolna zależnie od warunków, ale zawsze pewna śmierć. A ponieważ religia nie istnieje inaczej jak w ludziach wierzących, i ponieważ nie można jej zgładzić inaczej jak przez ich zgładzenie, więc komunizm to śmierć ludzi wierzących, śmierć poprzedzana zazwyczaj latami udręki moralnej i fizycznej. Jest to główny pewnik dla wszystkich wierzących, którzy nie zechcą się zhańbić zdradą swych najgłębszych i najdroższych przekonań. Wszystko poza tym i ponad to jest tylko mętnym „może” i „gdyby”, obliczonym jedynie na skuteczniejsze okrażenie i zaskoczenie. A na wybór miejsca już nie ma. Wyboru dokonał historyczny komunizm. Można mu tylko zamknąć dostęp do naszego społeczeństwa.

J. P.

Złoty jubileusz konwiktu w Chyrowie.

Pragnąc w mym krótkim zestawieniu nakreślić choćby w najogólniejszych zarysach obraz 50 letniej działalności konwiktu chyrowskiego, przypomnę w kilku słowach najważniejsze momenty z jego dziejów, a na kanwie kronikarsko-statystycznej będę się starał uwydatnić znaczenie wychowawczo-kulturalnej pracy konwiktu chyrowskiego, wskazując równocześnie na jej właściwe źródło i istotną przyczynę.

Kolegium chyrowskie zrodzone i wypieszczone w wielkim umyśle i szerokim sercu O. Henryka Jackowskiego, naszkicowane i rozpoczęte przez architekta Antoniego Łuszczewskiego, zaczęło swą wychowawczo-naukową działalność dnia 15 września 1887 r. przyjmując do swych świeżych murów 131 uczniów. Pierwszym rektorem chyrowskim był O. Juliusz Chrystian, pierwszym prefektem generalnym O. Ignacy Miskiewicz, pierwszym dyrektorem O. Jacek Stopka.

Od roku 1886 w murach zakładu rosnących i dźwigających się powoli aż do roku 1891, pobierało swe wychowanie i wykształcenie z górą 6000 młodzieży polskiej. Maturę zdało w Chyrowie 1049 abiturientów. 152 chyrowiaków zdobyło stopień doktora, przeszło 120 stopień inżyniera w różnych dziedzinach; 144 po studiach agronomicznych obrało zawód ziemiańsko-leśniczy; 92 zajmuje różne urzędy państwowe; 22 pracuje w ministerstwach wolnej Rzeczyposp. Polskiej; 70 służy zawodowo w wojsku; 66 kupców-przemysłowców; 40 lekarzy; 36 profesorów szkół średnich; 16 profesorów wyższych uczelni; 33 sędziów; 26 adwo-

katów; 32 urzędników bankowych; 30 kapłanów świeckich i zakonnych, a w ich gronie dwu księży biskupów — dał Chyrów społeczeństwu polskiemu; zaś 174, mam w Bogu nadzieję, zalicza do swych wdzięcznych orędowników — w szczęśliwej wieczności.

Jeżeli zwrócimy na to uwagę, że słusznie czy nie słusznie, nasza statystyka uwzględnia li tylko tych, co w konwiktach zdali maturę, a pomija tych, co ją gdzieindziej złożyli, to na konto chyrowskiego zakładu będziemy mogli zapisać wiele większą liczbę wybitnych i zasłużonych ludzi, byłych wychowanków chyrowskich, którzy w tych murach przez pewien czas przebywając uczyli się kochać Boga, i wiernie służyć na każdym posterunku polskiej ojczyźnie.

Choć bowiem zakład chyrowski od roku 1886 do 1918 tj. przez 32 lat istniał pod zaborem austriackim, choć w gronie swoich profesorów miał zawsze pewien odsetek nie Polaków; to jednak w działalności wychowawczo-naukowej zakładu chyrowskiego tętniał zawsze i pulsował duch rdzennie patriotyczny polski; księżom profesorom przyświecały zawsze w wychowaniu młodzieży chwalebne i zaszczytne tradycje komisji edukacyjnej, które przez jezuitów białoruskich przez Połock i Tarnopol zostały przeszczepione na grunt chyrowski; a regulamin wychowawczy zakładu chyrowskiego, to wierne echo wskazań pedagogicznych: Bohomolca, Naruszewicza, Poczubuta, Wyrwicza i Piramowicza. Kto o tym pamięta, ten śmiało powiedzieć może, że zakład chyrowski — „to arka przymierza między nowymi — a starymi taty” — to ten szczerp szlachetny, który te same ideały i zasady jezuickiego wychowania — przeniósł do ukochanego Wilna i na kresach stojącego Pińska. Ongiś w Polsce przedrozbiorowej, przed kasatą zakonu do roku 1773, jezuita mając na ziemiach polskich 66 gimnazjów i 15 konwiktów, ponosili odpowiedzialność za program, treść i zakres nauczania, za co zakład chyrowski nie odpowiadał, bo zakres i program nauki od rządu austriackiego przyjmował, chcąc dla siebie zdobyć tak zwane prawo publiczności. Dziś w Polsce niepodległej, gimnazjum chyrowskie, nie wchodząc w obiektywną wartość programów i metod przepisanych, do nich wiernie, lojalnie i integralnie się stosuje. Walna zatem zasługa 50 letniej pracy zakładu chyrowskiego tkwi nie tyle w dziedzinie programowo-oświatowo-naukowej, ile raczej w dziedzinie metodyczno-wychowawczej. Krótka więc możnaby walor 50 letniej pracy zakładu chyrowskiego określić, że był on i chce być nadal szkołą solidnych, rzetelnych charakterów, szkołą wiernych i światłych synów Kościoła katolickiego, prawych i lojalnych miłośników ojczyzny w wolnym i niepodległym państwie polskim.

Gdy Polska, rozdarta na trzy części, jęczała pod jarzmem niewoli, konwikt chyrowski, rok rocznie dla stu kilku Polaków z pod zaboru rosyjskiego był ostoją i schronieniem przed zale-

wem rosyjskiego nihilizmu i pozytywizmu; tutaj na długo przed zmartwychwstaniem ojczyzny zacierają się różnice dzielnicowe, znikają zgubne uprzedzenia w atmosferze przyjaźni i koleżeństwa. Dla Małopolski, śmiało powiem dla całej wolnej Polski, wychował konwikt te kadry patriotycznego, obowiązkowego, sumiennego urzędnika, ziemianina, kupca, przemysłowca, lekarza, profesora, adwokata, a przede wszystkim dobrego wierzącego ojca rodziny. — Nie brak — w każdej dziedzinie wybitnie i zaszczytnie znanych byłych chyrowiaków; czy to na polu nauki, techniki, medycyny, beletrystyki, agronomii, handlu i przemysłu; pokażą falangę ich imion, dzieł i zdobyczy kreśli *Księga pamiątkowa*, która dopiero co wyszła z druku¹⁾; nie brak, dzięki Bogu tych, co dziś w wolnej ojczyźnie zaszczytne i czołowe zajmują stanowiska, ale sądzę, że największą chlubą i zasługą konwiktu chyrowskiego jest to, że wydał i wydaje dziesiątki, owszem setki solidnych, rzetelnych obywateli potriotów, katolików uczynkiem i prawdą, którzy w każdej dziedzinie, na każdym stanowisku, w każdym zawodzie czy urzędzie stanowili i stanowią ten element zdrowy, ważki, twórczo-zachowawczy, na którym się można oprzeć, na który liczyć można.

Jeśli zaś spytałby ktoś gdzie i przez co w chyrowskim zakładzie wyrabiali się ci solidni, wartościowi dla każdej dziedziny ludzie, to króciutko odpowiem: Ich serca, ich wola, ich hart, męstwo, obowiązkowość, szlachetność wyrabiały się, szlifowały, tężały i przeżyły się do czynu podczas długich godzin spędzanych w muzeum i klasie szkolnej, przy licznych zdawkach, korepetycjach, pogawędkach z profesorami po za szkołą. I teatr i muzyka, wycieczki w pobliskie okolice, rekreacje, gry i zabawy nie przeszły bez wpływu na ich młodociane serca i umysły. Co mówić o tylu przyjacielskich, braterskich, ojcowskich radach, upomnieniach, naganach a nawet karach danych im przez przełożonych prefektów, ich zastępców i spowiedników. W ich świetle w ich cieple — pod wpływem łaski Bożej ukształtowały się powoli twórcze walory — wychowanków konwiktu chyrowskiego.

¹⁾ Do nabycia w Wydawnictwie Księży Jezuitów w Warszawie, w cenie 8 zł za egzempl. brosz., 10 zł za oprawny. Liczne ilustracje.

Ks. Władysław Lohn T. J.

NACZELNY REDAKTOR: *Ks. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Autorytet prawa.

Kilkanaście miesięcy temu, w chwili dla Polski bardzo doniosłej i trudnej, wobec pustki, jaką w dziedzinie publicznego życia wytworzyła śmierć marszałka Piłsudskiego, pułkownik Sławek jako szef rządu rzucił hasło wzmocnienia autorytetu prawa.

Znamienny to był objaw, ale nie wesoły. Lekkie traktowanie prawa musiało w Polsce przybrać niezwykle rozmiary, skoro już nie jakiś zawodowy moralista, albo dziennikarz opozycyjnego obozu, ale sternik nawy państwowej uważał za potrzebne głośno przypomnieć konieczność przywrócenia prawu należnego mu w życiu publicznym miejsca.

Rzucone hasło w prasie znalazło silny oddźwięk, ale w obyczajach, o ile można sądzić na podstawie kilkunastomiesięcznej obserwacji, nie doczekało się jeszcze urzeczywistnienia. Dziś nie mniej jak wówczas możnaby biadać nad zanikiem poszanowania dla prawa, nad jego deptaniem w sposób nierzadko wprost cyniczny.

Czemu to przypisać?...

Odpowiedzi na ten fakt trzeba szukać w prawach psychiki społecznej. Autorytet, a raczej jego uznanie, może wyrósć jedynie w odpowiedniej atmosferze moralnej, której niestety u nas nie zdołano dotychczas wytworzyć. Jak słusznie powiada Skiński¹⁾ „tej odbudowy (poczucia prawnego), nie można dokonać „przykręcaniem śruby“, systemem bezdusznych nakazów, otaczaniem aureolą czci starostów i wojewodów. System działania musi pójść w głąb psychiki spo-

¹⁾ Por. *Tyg. Ilustr.*, 11. X. 1936.

leczeństwa, odbudować to, co zostało zniszczone, odrestaurować naszą wyobraźnię prawną“.

Autorytet, to pewna aureola, co, opromieniając bądź osobę, bądź jej akty, własną mocą budzi dla nich u innych szacunek. Powstaje na skutek promieniowania moralnej wartości danej osoby i tego, co od niej pochodzi — jej myśli, jej słów, jej nakazów. Brutalna siła nie jest w stanie go wytworzyć.

Prawo — prawdziwe prawo — zawsze posiada w sobie samym ten wewnętrzny autorytet, choć nie wszyscy i nie zawsze go uznają. Posiada na mocy wewnętrznego związku, jaki zachodzi między nim, a najwyższym autorytem, źródłem wszelkiego prawdziwego autorytetu, Bogiem. Nawet najbardziej cyniczne deptanie prawa z wewnętrznego autorytetu nie zdoła go odrzeć. Bo na czym piętno Boże jaśnieje, to choćby zostało sprofanowane, nie przestaje być świętym.

Takim jest prawo natury — to prawo, które każdy człowiek w sobie nosi, płynące z samej istoty rzeczy i ich wzajemnych stosunków, którego wykładnikiem jest ludzkie sumienie. Podaje ono w najogólniejszych zarysach zasady, jakich człowiek winien się trzymać w swoim indywidualnym życiu i w swych stosunkach z bliźnimi. Narzuca mu się jako święte, jako nietykalne. Zdeptane, budzi w duszy wyrzut, niepokój, zawstydzenie.

W chwili pokusy, ciągnącej na stronę przeciwną, człowiek, który w sobie nie stępił doszczętnie moralnej wrażliwości, odczuwa lęk, obawę. Czuje, że stoi nad jakąś przepaścią, że coś ciągnie go do przekroczenia bariery, po za którą czeka go hańba. Jeśli pokusie ulegnie, czuje, że dopuścił się karygodnego czynu, szuka dla niego wobec siebie, a przynajmniej w oczach innych jakiegoś usprawiedliwienia.

Nikt nie dopuszcza się wyraźnej krzywdy bliźniego bez wewnętrznej w sobie reakcji w formie co najmniej wyrzutu sumienia. Nikt nie nurza się lubieżnie w swojej zwierzęcości bez uczucia niesmaku i bez utraty szacunku dla siebie. Wewnętrzne, a często i zewnętrzne zawstydzenie, idzie w ślad za przekroczeniem tej linii postępowania, jaką sam rozum czy sumienie człowiekowi nakreśla.

I prawo ludzkie w autorytet się przyobleka, jeżeli pochodzi od władzy prawowitej i nakazami swoimi nie przekracza granic, nakreślonych przez prawo natury... Powaga samego Boga wewnętrznie na nie spływa poprzez prawo przyrodzone, które jest odbiciem myśli, a tym samym istoty Boga. Tylko ten nakaz ludzkiego prawa domaga się pełnego dla siebie szacunku w sumieniu ludzkim, który poprzez prawo naturalne da się sprowadzić do swego pierwszego źródła, Boga. Dzięki temu wewnętrznemu związkowi, jaki, acz pośrednio, przecież rzeczywiście zachodzi między nim a Bogiem, nabiera ono cechy czegoś w sobie świętego, nie-tykalnego.

Takie jest jedyne źródło trwałego, niewzruszonego autorytetu prawa, z którego nie zdoła go odrzec nawet najbardziej cyniczne deptanie. Wszystkie inne autorytety, choćby w pewnym momencie, w stosunku do pewnej grupy ludzi bardzo silnie działały, prędzej czy później kruszeją; rozkładowego procesu nikt i nic nie zdoła tu zahamować.

Ale w życiu publicznym nie chodzi tylko o ten wewnętrzny autorytet prawa, który jest jego nieodłączną własnością, ale także o autorytet zewnętrzny, czyli o publiczne i trwałe uznanie jego moralnej wartości i o szacunek dla niego; o to, by z prawem powszechnie się liczone jako z normą obowiązującą, i to obowiązującą w sumieniu, by nie tylko obawa kary powstrzymywała ludzi od wykroczeń przeciw niemu, ale i wyższe moralne względy, by poczucie prawa przeniknęło masy tak, żeby jego zachowanie było zjawiskiem, płynącym z głębin duszy, samorzutnie.

O takim autorytecie prawa myślał pułk. Sławek, o takim mówią różni publicyści, o takim pisze Skiwski nazywając odbudowanie jego „jednym z naczelných zadań organizatora politycznego w wielkim stylu“.

Ale takiego autorytetu nie wywoła się zaklęciem prawodawcy, do jego wytworzenia nie wystarczy zalecany przez Skiwskiego „system dobrze obmyślonych haseł, inteligentnej, przemyślanej, twórczej propagandy“ — potrzeba tu nad to harmonijnego współdziałania najrozmaitszych czynników, wytwarzających w masach nawyk patrzenia, zgodnie zresztą z naturą rzeczy, na prawo jako na pewnego rodzaju świę-

tość. To też św. Tomasz z Akwinu w traktacie o prawie ludzkim,¹⁾ gdy dotyka kwestii zmiany istniejącego prawa, przestrzega, by czynić to z wielką oględnością, by raczej zadowolić się, przynajmniej do czasu, normami prawa mniej doskonałymi, ale głęboko zwyczajem zakorzenionymi w duszach, aniżeli przez częstą i zbyt pochopną zmianę prawa, choćby i na lepsze, narazić prawo na poderwanie w masach szacunku dla niego. Co nie posiada trwałości, co ustawicznie się zmienia — trudno, żeby było uważane za nietykalne i święte.

Nie inaczej na tę rzecz zapastrują się wybitni prawnicy. I oni także w stosunku do norm prawnych przejawiają raczej zachowawcze skłonności. Są na ogół zdecydowanymi przeciwnikami innowacji, chyba że życie pewnych zmian, czy to ustrojowych, czy innych koniecznie się domaga.

Z zasadą tą u nas niestety nie bardzo się liczone. Ciągłe zmiany w dziedzinie norm prawnych, i to nieraz nawet najbardziej podstawowych, odebrały porządkowi prawnemu cechy stałości, a tym samym osłabiły jego powagę w oczach ogółu obywateli państwa. Troszczono się, i nie bez skutku, o stabilizację naszej waluty — nie pomyślano w dostatecznej mierze o stabilizacji naszego porządku prawnego. „Radosna twórczość” i na tej dziedzinie, niestety, wycisnęła swoje piętno. Niesłusznym więc jest przypisywanie słabego poczucia prawnego w narodzie wyłącznie wpływowi zaborców. I my sami w niemałym stopniu ponosimy za to winę. Po odzyskaniu niepodległości to poczucie nie tylko że się nie wzmocniło, ale przeciwnie — uległo znacznemu osłabieniu.

Bardzo też osłabia poczucie prawa, a tym samym jego szacunek, odrywanie go w myśli ludzkiej od głównej jego podstawy i naturalnego źródła — od obiektywnego, w swojej istocie niezmiennego porządku rzeczy, a tym samym od stojącego za nim Boga jako pierwowzoru wszelkiego ładu, wskazywanie natomiast jako na ostateczne źródło prawa na jakiś czynnik, podlegający zmianom — czy to osobę, choćby najbardziej czcigodną, czy instytucję, nie wyłączając

¹⁾ 1, 2, q. 97, a. 2, c.

państwa. Odziera to prawo z jego nietykalnego charakteru, pozbawia aureoli świętości, ściąga je do rzędu dzieł ludzkich, tworów li tylko ludzkiego ducha... Powstaje wówczas w dziedzinie moralnej zjawisko, które możnaby nazwać częściowym lub też pełnym zaćmieniem prawa. Między nim a źródłem jego świętości staje coś obcego, co nie pozwala prawu występować wobec ludzi w pełnym blasku, jaki nań spływa poprzez obiektywny porządek rzeczy, czyli prawo naturalne, z jego praźródła — Stwórcy.

Jawna propaganda bezbożnictwa, której centralą był Związek Polskich Wolnomysłicieli, cieszący się do niedawna dużym i bardzo skutecznym poparciem pewnych czynników rządowych, poczyniła w szerokich masach wielkie spustoszenie, które odbiło się i na ich stosunku do prawa. I tu więc wina, przynajmniej częściowo, po naszej stronie, a raczej po stronie tych, którzy do osłabienia poczucia religijnego w masach przykładali rękę. Nie potrzeba ich palcem wskazywać...

Co wszelako najbardziej podkopuje powagę prawa w oczach ludzkich, to to, gdy widzą, że ci, co prawa stanowią, sami praw nie szanują; że domagają się szacunku dla praw, przez siebie innym narzuconych, a sami nie liczą się z prawem, nałożonym wszystkim przez samą naturę.

Trzymanie się przez tych, co są piastunami władzy, w stosowaniu prawa podwójnej miary — innej dla siebie i swoich przyjaciół, a innej dla swych politycznych przeciwników — podrywa wiarę w wartość całego prawnego porządku w szerokich masach, niezdolnych do głębszego, samodzielnego myślenia, a w słabszych i wewnątrznie mniej wyrobionych jednostkach budzi niezadowolenie, uczy ulegać prawu li tylko z twardej konieczności, budzi chęć obejścia prawa lub wyłamania się spod niego za wszelką cenę — a tym samym powagę prawa radykalnie niszczy.

Może to się wyda paradoksem, a przecie jest prawdą, którą potwierdza doświadczenie, że spotęgowanie siły władzy publicznej w państwie po za pewną granicę zwyczajnie pociąga za sobą osłabienie poczucia prawa w społeczeństwie. To osłabienie poczucia prawa jako siły moralnej, wszystkich wiążącej, nie rzadko występuje przede wszystkim u tych,

co piastują władzę. Zwraca na to uwagę między innymi i św. Tomasz z Akwinu.¹⁾ W sumie teologicznej, kiedy mówi o różnych formach ustrojowych państwa, powiada, że monarchia sama w sobie rozpatrywana jest formą najlepszą. Wszakże skutek wielkiej władzy, w jaką wyposażony jest monarcha, panowanie jego z łatwością przeradza się w tyranie, chyba że ten, któremu tak wielką władzę się przyznaje, jest mężem gruntownej, doskonałej cnoty... Taką zaś cnotę — dodaje — niewielu posiada. Zaś w dziele *De regimine principum* pisze:²⁾ Z powodu złości tyranów władza królewska staje się dla wielu ludzi wstrętna. Niektórzy zaś, pragnąc monarchicznych rządów, popadają w okrutne ręce tyranów; większa część bowiem władców pod pretekstem władzy królewskiej tyrańskie rządy uprawia.

Czasy nasze, to czasy nagminnie szerzącego się w świecie przerostu władzy. Najpełniejszym tego wyrazem są państwa totalne. Wprawdzie daje to tym państwom nie mało doraźnych korzyści, bo żelaznymi obręczami policyjnego przymusu utrzymuje masę ludzką w karchach zewnętrznego ładu, ale równocześnie otwiera szerokie pole dla najrozmaitszych nadużyć, które pociągają za sobą osłabienie w społeczności ludzkiej poczucia prawnego. Boć poczuciem prawnym nie jest tylko bezwzględny i ślepy posłuch władzy. To bizantyzm. To duch służalstwa.

Nasza konstytucja kwietniowa, wprowadzona pod hasłem wzmocnienia władzy państwowej, mimo pewien totalitarny posmak, zakreśla władzy państwowej granice. Najwyższemu jej piastunowi przypomina, że ciąży na nim odpowiedzialność za sprawowane rządy przed Bogiem i przed historią. Jeżeli te słowa nie mają być pustym frazesem — a bez obrazy twórców naszej konstytucji przypuścić tego nie

¹⁾ *Regnum est optimum regimen populi, si non corrumpatur. Sed propter magnam potestatem, quae regi conceditur, de facili regnum degenerat in tyrannidem, nisi sit perfecta virtus eius cui talis potestas conceditur... Perfecta autem virtus in paucis invenitur* (1 2, q. 105, a. 1. ad 2-um).

²⁾ *Multis quidem propter tyrannorum malitiam redditur regia dignitas odiosa. Quidam vero dum regimen regis desiderant, incidunt in saevitiam tyrannorum; rectoresque quam plures tyrannidem exercent sub praetextu regiae dignitatis* (*De regimine principum*, lib. 1, cap. 4).

można — zakreślają one władzy państwowej granice, przewidziane przez prawo Boże. O tym winni pamiętać wszyscy, którzy na mocy danego sobie z góry mandatu sprawują władzę w większym lub mniejszym zakresie. Od trzymania się tego w praktyce zależy ład moralny w państwie. Niestety, nie wszystko tu u nas w porządku. Obok karygodnych przejawów oporu władzy, przez sądy surowo ściganych, możnaby zestawić całą listę, wypełniającą długie szpalty, nie mniej karygodnych, a najczęściej płazem puszczanych wypadków nadużycia władzy. Obfitego materiału dostarczyłyby mogły choćby takie praktyki urzędników skarbowych, na które tyle światła czy raczej ponurych cieni rzuca ostatni wielki proces radomski. Także postępowanie innych organów administracji państwowej, nie wyłączając tak bardzo z natury swojej delikatnego, jak służba publicznego bezpieczeństwa, daje szeroką podstawę do zarzutów. Nie trzeba nad tym szerzej się rozwodzić, wszystko to dobrze znane z głośnych procesów politycznych ostatniej doby.

Pan premier w jasnych i mocnych słowach zapowiedział walkę z wszelkiego rodzaju nadużyciami. Widmo Berezzy zamajaczyło przed tymi, co postępowaniem swoim wprost czy pośrednio zagrażają publicznemu porządkowi i wewnętrznej zwartości państwa. W imię tych samych ideałów, w imię najwyższego dobra państwa, dla wzmocnienia prawdziwego szacunku władzy i wewnętrznego poszanowania prawa karę tę rozciągnąćby należało przede wszystkim na tych, którym ściśle przeprowadzone dochodzenie sądowe wykazałoby nadużycie władzy. Tak! dochodzenie sądowe, bo tylko ono może skutecznie chrnić od nadużyć, tylko ono może być pełną gwarancją bestronności.

Postulat ten najściślej się wiąże z istotą praworządnego państwa. Jego urzeczywistnienie jest bezwzględnie koniecznym warunkiem moralnej sanacji narodu przez wzmocnienie poderwanego w szerokich masach wewnętrznego poszanowania prawa. Dopiero wtedy ludzie słabi poczną traktować cały porządek prawny jako świętość, gdy będą widzieli, że i ci, co mają siłę, z poczucia obowiązku moralnego do norm prawnych w najszerszym tego słowa znaczeniu zawsze się stosują, gdy będą widzieli, że deptanie prawa, dla wszystkich

jednakiego, nikomu bezkarnie nie uchodzi. Ale żeby to osiągnąć, na to trzeba lat długich, okresu pewnie nie krótszego od życia całego pokolenia. Na tę drogę wszakże co prędzej wejść trzeba. Wszystko o to woła. Jedyne ten nawrót może zażegnać szerzącego się w szerokich masach ducha buntu. Jedyne tak pojęty i realizowany autorytet prawa może nas wszystkich wewnętrznie scementować i wytworzyć w państwie silną więź moralną.

Ks. Edmund Elter T. J.

Imperium Brytyjskie w nowej fazie rozwoju.

I.

Imperium Brytyjskie, noszące obecnie oficjalne miano *British Commonwealth of Nations*, obejmując swymi granicami znacznie ponad czwartą część całości ziem globu, oraz stanowiąc z 470 milionami mieszkańców prawie takąż samą część jego zaludnienia, niewątpliwie jest najciekawszym zjawiskiem społecznym i politycznym naszej doby. Jeżeli wprawdzie inne narody potrafiły również w przeszłości skupiać dookoła siebie olbrzymie imperia, obejmujące tak rozległe terytoria, jak liczną i różnorodną ludność, to miały one jednak całkowicie inny charakter. Imperium Rzymu obejmowało właściwie tylko kraje basenu śródziemnomorskiego, a chociaż sięgało i dalej w głąb lądu tworząc ciągłą i zwartą masę posiadłości, kryło jednak szereg cech znacznie je różniących od Imperium Brytyjskiego. Blask natomiast, rozciągany przez Imperium, „w którym słońce nigdy nie zachodziło“, spowodowany był raczej osobistymi sukcesami władcy Karola V; zaczął też natychmiast przygasać, gdy jego twórca opuścił ten padoł ziemski.

W innym zupełnie świetle przedstawia się światu dzisiejsze Imperium Brytyjskie. Łączy ono pod wspólnym berłem masę krajów, rozsianych na pięciu kontynentach, zamieszkałych przez rozmaite rasy o wszelkich kolorach i odcieniach skóry, wyznające najróżnorodniejsze religie i wierzenia, dysponujące najbardziej rozległą skalą kulturalnego i cywilizowanego bytowania, od najniższego prymi-

tywu do najwyższego wyrafinowania. Ludy te posługują się najbardziej odmiennymi od siebie językami czy narzeczami, zachowują też w swym życiu najróżnorodniejsze oraz najdziwniejsze obyczaje. O ile Imperium Karola V i Filipów hiszpańskich było raczej tworem monarchów, osiągających swe zdobycze europejskie dzięki posunięciom politycznym, a zamorskie przez subsydiowanie hiszpańskich i włoskich odkrywców i konkwistadorów, to Imperium Brytyjskie jest dziełem zbiorowym całego narodu angielskiego i jego gospodarczej przedsiębiorczości.

Potężny rozwój Brytyjskiego Imperium opierał się przede wszystkim na imperatywnej potrzebie bogactw i korzyści gospodarczych, tak żywiłowo odczuwanej przez realistyczny umysł brytyjski. Konieczności też zadośćczynienia tym potrzebom wpływały decydująco na każdorazowe ustosunkowanie się metropolii do jej posiadłości zamorskich.

Wybitnie gospodarcze nastawienie, które skłaniało Brytyjczyków do użytkowania każdego rejonu geograficznego stosownie do jego możliwości klimatycznych i ekonomicznych, jak i do przystosowania każdej rasy do określonych zadań, najbardziej odpowiadających jej zdolnościom i stopniowi jej kultury — miało zabezpieczyć tym zdobywcom świata maksymalne korzyści tego właśnie systemu. Wszelkie rozważania na temat równości człowieka wobec Boga i ludzi jest z tego systemu myślowego całkowicie wykluczone, gdyż zbyt komplikuje czy hamuje możliwości całkowitego i rentownego wyzysku gospodarczego. Stąd też zrodziło się pojęcie *White man's burden* jako misji cywilizacyjnej, włożonej przez Opatrzność na barki białego człowieka, uosobionego oczywiście przede wszystkim w Brytyjczyku; stąd też jednak i konieczność poszukiwań możliwości współpracy, jako najlepszej metody dla osiągnięcia materialnych korzyści. Ten to brytyjski ideał, specjalnie jaskrawo występujący we wzajemnych stosunkach samych Brytyjczyków, pozwalał im również na dotychczasowe koordynowanie współzycia części składowych Imperium, rozsianych po pięciu kontynentach.

Imperium Brytyjskie, przechodziło w swym kilkowiekowym trwaniu szereg rozmaitych przekształceń. Każda

zmiana gospodarczych i politycznych warunków, jawiąca się we współżyciu narodów, jak i doktryn panujących w tej społeczności, wywoływały natychmiastowe przekształcania się węzłów, łączących składowe części Imperium.

W ogólnych zarysach dziejów imperialnych można dokładnie wyróżnić trzy zasadnicze etapy. Pierwsze Imperium Brytyjskie, zaczynające się formować w XVII wieku, naśladując metody kolonialne swych poprzedników i współczesnych, wychodziło z założeń doktryny merkantylnej, a więc z niczym nieliczącego się przymusu kolonialnego. Kryjąc w sobie wszystkie wady tego systemu, zakończyło swój żywot wraz z oderwaniem się Stanów Zjednoczonych. Kosztowne doświadczenie, wyniesione z tej pierwszej próby, decydująco wpłynęło na zmianę metod brytyjskiego postępowania. Dlatego to drugie Imperium, opierając się na coraz to rozszerzanej autonomii politycznej i wolności ekonomicznej kolonij, zwycięsko przeszło cały wiek XIX powiększając znacznie swój stan posiadania. Początki wieku XX wyraźnie zarysowały nowe przekształtowania i nowy etap rozwoju. Poszczególne części Imperium, początkowo związane z metropolią węzłami przymusu, warunkowanego ich historycznym rozwojem, upodabniają się coraz bardziej do państw suwerennych, złączonych z nią węzłami dobrowolnego porozumienia. Stąd też Imperium Brytyjskie staje się coraz mniej podobnym do państwa jednolitego, rządzonego przez metropolię, a zbliża się coraz bardziej ku formie wolnej Federacji niepodległych narodów.

Tendencje autonomiczne, rysujące się wyraźnie w poszczególnych koloniach, w miarę zwiększania się ich ludności i konsolidowania się ich organizacji społecznej i politycznej, znalazły swój odpowiednik także i w zmienionych nastawieniach doktryny kolonialnej. Tak samo jak oderwanie się Stanów Zjednoczonych wpłynęło na zastąpienie zbyt rygorystycznej doktryny merkantylnej nowymi bardziej liberalnymi przesłankami, tak samo zbyt kosztowne doświadczenie, zdobyte w wojnie z Burami, dało impuls do nowych poszukiwań doktrynalnych. W początkach bieżącego wieku Cecil Rhodes i lord Milner, twórcy potężnego afrykańskiego Imperium W. Brytanii, dają początek ugrupowaniu *Round*

Table, będącego twórczą komórką nowej doktryny. Wychodzi ona z założenia, że dla uchronienia imperium od rozpadnięcia się, koniecznym jest zastąpienie starego centralistycznego aparatu imperialnego, stojącego jako groźne memento nad autonomiami poszczególnych części imperialnych, systemem nowym, otwierającym przed każdą z kolonij możliwości stania się równoprawnym członkiem federacji narodów brytyjskich.

W nowych zatem tendencjach rozwojowych, tak doktryny, jak i realnych przejawów życia, nowe Imperium Brytyjskie usiłuje zastąpić węzły przymusu, spajające dawniej kolonie zamorskie z metropolią, węzłami wspólnego interesu i dobrowolnego porozumienia. Tendencje takie, cechujące dawne kolonie o przeważnym, lub przynajmniej bardzo znacznym zaludnieniu brytyjskim i prawie bez zastrzeżeń aprobowane przez metropolię, zaczynają stopniowo występować także i w koloniach, posiadłościach lub protektoratach, gdzie olbrzymią masę ludności stanowi element tubylczy. Zbyt wielkie jednak różnice, zachodzące we wszystkich prawie dziedzinach pomiędzy metropolią, a tymi ostatnimi posiadłościami, kryjąc w sobie szereg pewnych lub możliwych niebezpieczeństw, czynią metropolię bardziej oporną wobec tych dążeń. O ile czynniki natury intelektualnej i tradycyjnej w takimże samym stopniu co czynniki materialne spajają jedność metropolii z koloniami o zaludnieniu brytyjskim, o tyle w stosunku do kolonij właściwych odpadają całkowicie pierwsze, zaś związki oparte wyłącznie na podstawie materialnych korzyści czynią tę unię z metropolią coraz bardziej chwiejną.

II.

Posiadłości Imperium Brytyjskiego, rozciągające się szeroko po globie, odznaczają się najbardziej urozmaiconym obrazem, tak ze względu na swe warunki geograficzne i ekonomiczne, jak również i ze względu na sposoby ich użytkowania i zadania, które im w całości Imperium system imperialny wyznacza do spełnienia. W całości Commonwealth'u wyraźnie możemy wydzielić trzy zasadnicze grupy, różniące się między sobą swymi warunkami geopolitycz-

nymi. W pierwszym rzędzie, są to więc dawniejsze kolonie, zaludnione, bądź całkowicie, bądź w przeważnej masie, bądź wreszcie przynajmniej w bardzo znacznym stopniu przez emigrantów z wysp brytyjskich, lub wogóle przez europejczyków. Kolonie te, znane obecnie pod mianem dominiów, cieszą się dzisiaj całkowitą prawie samodzielnością. Następna grupa, tworzą kolonie we właściwym znaczeniu tego wyrazu, gdzie element brytyjski, bardzo cienką warstewką pokrywając masę obywateli miejscowych, administruje nimi, zgodnie z wyraźnymi dyrektywami Londynu i eksploatuje je gospodarczo dla własnych korzyści. Trzecią grupę tworzą drobne posiadłości, rozsiane na wszystkich drogach świata, których przeznaczeniem jest służyć jako bazy morskie, lub stacje węglowe i ropne, dla niezliczonych jednostek floty wojennej i handlowej Union Jack'u.

Dostarczając takiej różnorodności form w płaszczyźnie polityki i ekonomii, niemniejszym urozmaicheniem form odznacza się całość *British Commonwealth of Nations* także i w prawnej strukturze poszczególnych swych części składowych, jak również i w ich związku z metropolią. W tej dziedzinie możemy wyraźnie rozróżnić pięć podstawowych grup:

- 1) Wielką Brytanię, której system rządów i parlamentaryzmu jest zbyt znany, żeby trzeba było go tutaj omawiać. System ten, jeszcze do tak niedawna, nienagannie funkcjonujący i bezapelacyjnie rządzący z Westminster'u całością olbrzymich posiadłości Imperium, dziś formalnie może być stosowany tylko na przestrzeniach własnych brytyjskich kolonii i posiadłości. Spod jego bezpośredniego zarządu wymykają się bowiem obecnie terytoria dominialne, reprezentujące w obszarze terytoriów Commonwealth'u (35 milionów km²) prawie 57%, jak również (wprawdzie w znacznie mniejszym stopniu) i terytoria Indyi, obejmujące przeszło 13% tej całości. Co dotyczy pozostałych 30% tych terytoriów, to przynajmniej na połowie z nich, jak w Sudanie, będącym brytyjsko-egipskim kondominium, lub w mandatach międzynarodowych, władza brytyjska jest też znacznie skrepowana. Pod względem ludnościowym stosunek tych części Commonwealth'u układa się zupełnie inaczej. Z pośród bo-

wiem 470 milionów ludności Imperium, na dominia przypada tylko 7⁰/₀, na metropolię z jej właściwymi koloniami 20⁰/₀, na same natomiast Indie prawie 73⁰/₀.

2) Dominia: Kanada, Związek Australijski, Związek Południowo-Afrykański, Nowa Zelandia, Nowa Ziemia i Irlandia, jako prawie pełnoprawne ustroje państwowe, posiadają formalnie, jeżeli nie zupełnie faktycznie, takiż sam głos w sprawach Commonwealth'u jak i sama Wielka Brytania. Fakt powierzenia niektórym z nich międzynarodowych mandatów kolonialnych jeszcze bardziej upodabnia ich sytuację prawną do sytuacji państwa samodzielnego. Dominia te, złączone z Brytanią tylko formalnym węzłem wspólnoty głowy państwa, którą dla nich wszystkich jest król Wielkiej Brytanii, posiadając wspólną cechę w postaci rządów parlamentarnych, różnią się w wielu wypadkach pomiędzy sobą w swych formach ustrojowych. Pierwsze trzy dominia reprezentują państwa federalne, o mniej lub więcej zaakcentowanych prerogatywach władzy centralnej. Trzy następne natomiast są państwami jednolitymi, jednakowoż również z szerokimi prawami autonomicznymi terytorialnych działów administracyjnych. Wśród tych ostatnich Irlandia reprezentuje typ najbardziej uniezależniony od metropolii, o ile bowiem we wszystkich wypadkach, zgodnie z zasadą rządów parlamentarnych, premiera mianuje król za pośrednictwem gubernatora, to w wypadku irlandzkim wybiera go parlament, a on' natomiast mianuje ministrów.

3) Indie, których ustrój ulega w ostatnich latach ciągłym prawie przeobrażeniom, usiłują osiągnąć prawną pozycję dominiów, jednak w wielu punktach dalekie są jeszcze od tego. Posiadłość indyjska, o składzie etnicznym całkowicie obcym, nie zbyt gwarantującym lojalność wobec metropolii, zmuszoną jest, w teoretycznie szerokim swym samorządzie, podlegać bardzo jeszcze ścisłej kontroli *Indian Office'u*. Aczkolwiek, podług ostatniej konstytucji, cesarstwo Indyj stało się państwem federalnym, w skład którego wchodzi tak dawne prowincje, podległe bezpośrednio administracji brytyjskiej, jak również i kilkaset księstwek rozmaitej wielkości i stopnia cywilizacyjnego, to jednak przy względnie szerokim samorządzie w sprawach lokalnych, zagadnienia

obrony kraju, jego polityki zagranicznej i cel, a do pewnego stopnia i całości polityki ekonomicznej, jak również sprawy bezpieczeństwa i wyznań zarezerwowane są do wyłącznej kompetencji, bądź gubernatorów poszczególnych prowincyj federalnych, bądź samego generalnego gubernatora. Te to właśnie zastrzeżenia, wprowadzone do ustroju Indyj, znane pod nazwą gwarancji, mając zapewniać istotną lojalność indyjską wobec Brytanii, stwarzają w ramach Commonwealth'u właściwą różnicę pomiędzy pozycją Indyj a stanowiskiem dominiów, których rządy nie są poddawane żadnemu gwarancyjnemu nadzorowi metropolii.

4) Kolonie, we właściwym znaczeniu tego wyrazu, różnią się od dominiów tym, że nie posiadają swojego rządu a administracja spoczywa w rękach urzędników, pozostających pod kontrolą sekretarza stanu, kierującego resortem spraw kolonialnych. Chociaż więc we wszystkich takich koloniach nie ma rządów odpowiedzialnych przed ich własnymi ciałami reprezentacyjnymi i wszystkie one podlegają londyńskiemu ministerstwu kolonij, to jednak szereg z nich korzysta z szerokiej nawet niekiedy autonomii. Do tychże kolonij zalicza się normalnie także i protektoraty, w których rządy wykonują rozmaici lokalni królicy, pod ścisłą jednak kontrolą brytyjskiego rezydenta. Rozmaitość form ustrojowych i ich odcieni, szeroko reprezentowana w masie posiadłości kolonialnych W. Brytanii liczącej około 200 różnych jednostek, jest tak znaczna, że nawet sami Anglicy nie mogą się w niej dokładnie zorientować.¹⁾

5) Poza tym do składu Imperium Brytyjskiego należą rozmaite przybudówki, które tworzyły się w ciągu wieków dookoła głównego gmachu, nie wchodząc całkowicie w jego skład. W ten sposób Imperium nabyło cały szereg formalnych uprawnień (nie tylko więc polityczną przewagę) w kilkunastu rzekomo niepodległych państwach. Prawa takie, obejmowane wspólną nazwą brytyjskich zon wpływów, uzu-

¹⁾ Keith np. mówi: *It is impossible to draw any clear logical distinction between a colony and a protectorate in the British Empire system, for the status of the different parts of the Empire has been largely determined by historical accident and not regulated by any definite legal theory.*

pełniając łańcuch ich baz morskich, poddają brytyjskim dyrektywom i eksploatacji takie państwa, jak Egipt, Irak, Oman, Zanzibar, prawie całą Arabię, Nepal, Butan, Tybet i parę pomniejszych. Do tejże kategorii należy właściwie zaliczyć także i kraje mandatowe grupy „A”.

III.

Zasada współpracy, dająca normalnie najlepsze wyniki i dlatego tak ceniona przez Brytyjczyków, oraz praktykowana bez zastrzeżeń w stosunkach między nimi, znalazła swój najwyższy wyraz, tak w ustroju parlamentarnym Brytanii, jak i we wzajemnym ustosunkowaniu się *Civil Service*, czyli administracji państwowej, do *Local Government*, czyli władz municypalnych. Stosunek tych dwóch prawnych instytucyj ustroju metropolitalnego nacechowany jest wyraźnym znamięm współpracy, gdzie zasada subordynacji ustępuje na drugi plan wobec potrzeb koordynacyjnych. Taż sama idea przyświecała nowym przekształcaniom się stosunków metropolii z dominiami. Zbyt cienka warstwa Brytyjczyków, pokrywająca zwartą masę różnorasowego składu Indyj i pozostałych kolonij, powodując zbyt wielkie różnice w ich mentalnościach i politycznych nastawieniach, spowodowała, że, przyznając im niekiedy swobodę własnych decyzji, otacza się je jednak bardzo ścisłą i surową kontrolą metropolii.

Raport Balfour'a, przyjęty na konferencji imperialnej w Ottawie w 1926 r. i uważany za *Magna Charta* dzisiejszego *British Commonwealth of Nations*, zastanawiając się nad możliwościami nadania tak całości Commonwealth'u jak i poszczególnym członkom jednolitej i skodyfikowanej, bodaj w zasadach, konstytucji, dochodzi do wniosku, że takie postępowanie byłoby niewłaściwym. Niewłaściwym byłoby to dla samych dominiów, ponieważ każde z nich posiada swe charakterystyczne i tylko dla niego właściwe cechy, wypływające z jego rozwoju historycznego, jego położenia geograficznego i ekonomicznego, jak również i z różnaitości stopni cywilizacyjnych, osiągniętych przez dominia, oraz poszczególne ich części; byłoby to niewłaściwym również

i dla całości Commonwealth'u, jako nie dającego się wtłoczyć w żadne ramy teoretycznych pierwowzorów, oraz nie posiadającego podobieństwa z żadną z istniejących organizacyj politycznych. Najogólniejsze zasady, przyjęte przez raport i rozwijane na następnych konferencjach i w Statucie Westminster'skim, podkreślają, że:

a) w zakresie swych państwowych kompetencji i w sferze swej działalności parlamenty poszczególnych dominiów będą posiadały uprawnienia równe prawom parlamentu Westminster'skiego;

b) że rządy poszczególnych dominiów będą wyłącznymi doradcami korony w sprawach ich dotyczących;

c) że we wszystkich wypadkach, obchodzących interesy kilku członków Commonwealth'u, każda decyzja poprzedzona będzie ich porozumieniem się.

Stosunek między Brytanią a dominiami (nie koloniami), upodabnia się więc prawie całkowicie do stosunku dwóch zupełnie niezależnych państw. Generalny gubernator, rządzący pierwotnie z ramienia metropolii kolonią, w dominium dzisiejszym jest tylko zastępcą króla, którego ten ostatni może mianować wyłącznie za wyraźną zgodą rządu dominialnego. Stąd też rola generalnego gubernatora w dominium upodabnia się coraz bardziej do roli króla w Wielkiej Brytanii, spełniającego zadania przyjaznego i doświadczonego doradcy, gotowego ponad to do przedkładania rządowi dominium życzeń korony, jak i tłumaczenia przed tą ostatnią motywów, powodujących zajęcie przez dominium tej lub owej pozycji.

Rządy parlamentarne przyjęte, wzorem dawnej matczy, we wszystkich dominiach, odpowiadając przed swymi parlamentami, mogą udzielać tylko takich porad koronie, oraz kontrasygnować tylko takie jej zarządzenia, o których są pewne, że zostaną one aprobowane przez odnośne ciała przedstawicielskie. Chociaż więc jest rzeczą niewątpliwą, że korona, jak w każdym kraju konstytucyjnym, dzięki swej prerogatywie mianowania premiera, czy to bezpośrednio przez króla czy za pośrednictwem gubernatorów, posiada bardzo znaczny wpływ na rządy dominiów, to jednak duch samodzielności, panujący w niektórych z tych dominiów,

jak i formalna litera prawa (np. w Irlandii) zmniejszają nieustannie takie możliwości.

O ile w dziedzinie władzy wykonawczej każde z dominiów posiada kompletną niezależność od władz metropolitalnych, uniezależnione są one od tej ostatniej również i w dziedzinie władzy ustawodawczej oraz sądowej. Statut Westminsterki, znosząc ustawę z 1865, obalającą każde prawo dominialne, niezgodne z ustawodawstwem metropolii, — wyraźnie mówi, że prawa tej ostatniej nie mogą być na przyszłość stosowane w dominiach bez ich wyrażonej na to zgody. Ponadto, tenże statut postanawia, że wszelkie zmiany dynastyczne na tronie brytyjskim mogą być dokonane tylko za zgodą całości członków Commonwealth'u. Dotychczasowa możliwość odwoływania się od wyroków trybunałów dominialnych do Prywatnej Rady Królewskiej, działającej w takich wypadkach jako Sąd Najwyższy, w świetle ostatnich orzeczeń straciła również swą dawną wagę.

W celu faktycznego skoordynowania działalności dominiów, politycznie i prawnie kompletnie niezależnych, z działalnością Wielkiej Brytanii, odbywają się periodyczne Konferencje Imperialne. Postanowienia jednak tych konferencji nie mają żadnej siły prawnej, dopóki ich nie potwierdzą swymi uchwałami kompetentne czynniki każdego z dominium, lub nie zostaną one przez ich rządy, na własną wobec swych parlamentów odpowiedzialność, wprowadzone w życie. Konferencje te, zwoływane pierwotnie sporadycznie, i obradujące początkowo pod mianem Konferencji Kolonialnych, stopniowo stawały się periodycznymi. Zwoływane w regularnych odstępach czasu przybierają na swym znaczeniu ze względu na swój skład osobowy; ministra bowiem kolonij, przewodniczącego początkowo ich obradom zastąpił premier Brytanii, a jej członków, premierowie dominiów. W miarę rozwijania się zakresu działań konferencji i przekształcania się ich w stałą instytucję polityki imperialnej, rozbudowywały one swą organizację, tworząc stały sekretariat, oraz łącząc swe wysiłki z działalnością *Dominion Office*, które przejęło sprawy dominiów od dawniejszego *Colonial Office*; temu ostatniemu pozostawiono w ten sposób tylko sprawy kolonij właściwych. W świetle tego faktu, działalność kon-

ferencyj imperialnych, posiadając jako organ koordynujący olbrzymie znaczenie w płaszczyźnie politycznej, w dziedzinie prawa odgrywa tylko rolę organu doradczego.

O ile konferencje imperialne, zwoływane co kilka lat, nadają ogólny kierunek wspólnym poczynaniom Commonwealth'u, to dla skoordynowania działań jego członków w zakresie polityki bieżącej służą wysocy komisarze metropolii w dominiach, a komisarze dominiów w metropolii. Podobnie jak i we wszystkich dziedzinach angielskiego systemu prawnego, ulegającego w drodze precedensów stałej ewolucji, pozycja tych komisarzy nie jest jeszcze ostatecznie ukształtowaną. Wykonują oni bowiem przeważnie zadania gospodarcze, pozostawiając czynności polityczne, a szczególnie sprawy doniosłe, tak zwane *of cabinet importance*, bezpośredniemu porozumieniu się poszczególnych rządów. Jednak zaczyna się już zarysowywać stopniowa ewolucja władzy komisarzy w kierunku zdobywania prerogatyw przedstawicielstwa dyplomatycznego. Jeśli chodzi o podział zadań pomiędzy gubernatorem generalnym a komisarzem imperialnym w danym dominium, to pierwszemu przypada rola reprezentanta władzy królewskiej, informowanego o wszystkim jedynie dla jego całkowitego zorientowania, natomiast na barki drugiego, jako reprezentanta rządu metropolitalnego, spadają coraz rozleglejsze funkcje ułatwiania porozumienia się dwóch rządów.

Jeżeli w dziedzinie stosunków prawnych możliwości dominiów są nieograniczone, a jak chcą niektórzy nie wykluczają nawet całkowitej secesji, o tyle w realnych stosunkach życia codziennego są one znacznie uszczuplone. Po pierwsze bowiem, mimo posiadania przez każde z tych dominiów własnych sił zbrojnych, lądowych, morskich i powietrznych, istotne bezpieczeństwo całego Commonwealth'u spoczywa prawie wyłącznie na zdolnościach i potędze floty Union Jack'u. Po drugie, mimo posiadania przez dominia wszelkich możliwości własnej polityki gospodarczej, a również i wypływających z niej reperkusyj politycznych, ich słabe zaludnienie i skapitalizowanie zasobów, którymi dysponują, czyni je bardzo zależnymi finansowo od metropolii. Na rynkach natomiast tej ostatniej zawsze mogą one, zgod-

nie z *Colonial Stock Act*, otrzymać wszelkiego rodzaju pożyczki na warunkach znacznie dogodniejszych niż każde inne państwo. To też choćby tylko te dwa czynniki, wsparte przez szereg innych natury raczej intelektualnej i tradycyjnej, tym niemniej jednak bardzo ważkiej w dziedzinie stosunków brytyjskich, walcie przyczyniają się do utrzymania jedności Commonwealth'u.

IV.

Traktat wersalski, na którym dominia położyły swe podpisy, oraz Liga Narodów, której są one członkami, wprowadziły je na szerokie przestrzenie międzynarodowe.

Autonomia dominiów w ich sprawach zagranicznych, wyraża się w zdobytym przez nie uprawnieniu do załatwiania za pośrednictwem własnych przedstawicieli, swych spraw z sąsiadami lub z mocarstwami, z którymi łączą je jakiegokolwiek bądź stosunki. Stąd też Kanada, Irlandia, Związek Południowo-Afrykański i Australijski, są reprezentowane w Washingtonie, posiadają też u siebie reprezentację Stanów. Również w Paryżu, Tokio w Rzymie i Hadze przedstawiciele niektórych z tych dominiów reprezentują ich interesy. O ile niewątpliwym jest, że tak przyzwalanie na mianowanie obcego przedstawiciela w dominium, jak i udzielanie *exequatur* obcemu konsulowi jest prerogatywą króla, to jednak we wszystkich tych czynnościach korona może działać tylko za wyraźną zgodą rządu dominialnego. Zdobywając w ten sposób możliwości wykonywania dyplomatycznych czynności, oraz stopniowo rozszerzając agendy działań swych przedstawicieli w obcych krajach, dominia zostały zmuszone powołać do życia specjalne urzędy, koncentrujące tę ich działalność i nią kierujące. Stąd organizuje się w ramach ich władzy wykonawczej, bądź specjalne Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z odpowiednio niezależnym ministrem na czele, bądź specjalne departamenty, podporządkowane kierownictwu premiera.

Jeżeli przedstawicielstwo dominiów we wszystkich innych krajach obcych, jak również i ich czynności konsularne, wykonują odnośne organa metropolii, zawieranie z obcymi państwami układów, obciążających w tej lub

innej formie dominia, lub rozciągających na nie swe działania, może być wykonywane tylko za ich wyraźną zgodą i podpisem. Na konferencjach imperialnych poruszano kilkakrotnie sprawy zawierania traktatów przez całość Commonwealth'u, oraz przez poszczególne dominia i przyznano tym ostatnim całkowite prawo do umawiania się z obcymi mocarstwami w sprawach wyłącznie ich obchodzących. W ten sposób na obradach konferencji zostało stwierdzone formalnie, to co osiągnęły już w drodze faktycznej ewolucji dominia z Kanadą na czele, inicjującą tę walkę o ich międzynarodowe uprawnienia. Ona to, przy okazji przedłożonego do jej ratyfikacji traktatu z Lozanny, przeciwstawiła dotychczasowej praktyce nowe twierdzenia, że:

a) Rząd dominialny nie może wziąć na siebie odpowiedzialności za traktat, w którego negocjacjach nie brał on udziału, tym samym nie może go przedłożyć do ratyfikacji swych ciał parlamentarnych;

b) Tenże rząd, jako władza wykonawcza w państwowym systemie parlamentarnym nie może sam, bez zgody swych parlamentów, ratyfikować traktatu międzynarodowego.

W tym ewolucyjnym dążeniu dominiów do wyzwolenia swych spraw międzynarodowych z pod opieki metropolii, Irlandia przyczyniła się do zarysowania nowego etapu, przez zarejestrowanie swej umowy z Brytanią w sekretariacie Ligi Narodów. W samej rzeczy, rejestrując w myśl art. 18 paktu swój traktat z Brytanią, przeniosła ona niejako strefę jego działania z ram imperialnych w płaszczyznę spraw międzynarodowych, poddając tym samym swe stosunki z Brytanią kontroli międzynarodowej.

Międzynarodowe uprawnienia zdobywane stopniowo przez dominia, dając im coraz większą swobodę w ich postępowaniach w stosunku do obcych państw, przyczyniają się równocześnie do rozluźnienia węzłów, spajających je w całości Commonwealth'u. Starając się temu zapobiec, też same konferencje imperialne postanawiają, że przystępując do negocjacji o traktat z jakimś obcym państwem, każde z dominiów winno je poprzedzić zbadaniem ewentualnych następstw, jakie może wywołać zawarcie takiej umowy na całość Commonwealth'u, jak również i na każdego z jej

członków. Ponadto winno ono przez zawiadomienie pozostałych członków Commonwealth'u umożliwić im wzięcie udziału w negocjacjach i bronienie swych interesów.

Chociaż więc w świetle tych postanowień i dzięki niewątpliwej przewadze i większemu doświadczeniu metropolii ogólną politykę zewnętrzną całego Commonwealth'u prowadzi i nadal *Foreign Office* z Londynu, to jednak we wszystkich sprawach bezpośrednio dotyczących określonego dominium, może ono samo zawierać umowy, jak i czuwać nad ich wykonaniem. Również i w dziedzinach kolektywnego życia narodów, wyrażonego bądź w konferencjach sporadycznych, bądź w zgromadzeniach rozmaitych organów Ligi Narodów, dominia są zawsze reprezentowane, o ile obrady tych ciał dotykają ich interesów.

Specjalnie w sprawach, rozstrzyganych przez organa Ligi, w której Zgromadzeniu prócz Brytanii reprezentowanych jest pięć dominiów, koordynowanie polityki międzynarodowej całości Commonwealth'u stało się, jak mówi prof. Oxfordu Zimmern, jednym z ważniejszych czynników, zacieśniających więzy pomiędzy członkami Imperium. Pośrednio tę opinię wypowiedział także i Chamberlain, zaznaczając na jednym ze Zgromadzeń Ligi, że zważywszy, iż na każdą decyzję, obciążającą dominia, otrzymuje on ich zgodę, przeto uważa się za reprezentanta całości narodów Commonwealth'u i mało go wzrusza anormalność sytuacji, wpływająca z wielogłowego składu reprezentacji brytyjskiej w Lidze.

Ligowe członkostwa dominiów, przeciwstawiając konstrukcję prawną Commonwealth'u nowemu porządkowi prawnemu społeczności narodów, nasuwa parę wątpliwości teoretycznych. Taka np. wątpliwość może się wyłonić z możliwości ewentualnego stosowania artykułu 10 paktu Ligi Narodów, gwarantującego całość terytorialną członków Ligi przeciwko agresji z zewnątrz. Czy więc w świetle tego przepisu, ekspedycję wojenną metropolii przeciwko któremuś z dominiów należałoby uważać za sprawę czysto wewnętrzną Imperium, nie pociągającą za sobą konieczności wykonania przez pozostałe państwa ich zobowiązań, czy też może przeciwnie należałoby ją traktować jako agresję z zewnątrz,

zmuszającą tak dominia, jak i całość członków Ligi do interwencji?

Przystąpienie dominiów do klauzuli trybunału haskiego, obowiązującej je do poddawania arbitrażowi trybunału wszelkich sporów międzynarodowych, wywołało również szereg niejasności w ustroju Commonwealth'u. Komplikacje z tego tytułu spowodowała jednak dotychczas tylko Irlandia, która, w odróżnieniu od wszystkich pozostałych dominiów, przystąpiła do tej klauzuli bez żadnych zastrzeżeń, gdy natomiast inne wyłączyły z kompetencji trybunału spory między członkami Commonwealth'u.

Ścisłe stosowanie w płaszczyźnie międzynarodowej nowego statutu imperialnego nasuwa również szereg wątpliwości na wypadek wojny, w której Wielka Brytania wzięłaby czynny udział. Najwyraźniejszą pozycję posiada pod tym względem Irlandia, która na zasadzie art. 49 jej umowy z Brytanią, obowiązana jest interweniować tylko w wypadku efektywnej inwazji. Również premier Kanady oświadczył w 1922 r. w parlamencie, że: „W ramach naszego systemu rządów odpowiedzialnych, parlamentowi kanadyjskiemu przysługują całkowite prawa decyzji w kwestii czynnego przystąpienia Kanady do działań wojennych, prowadzonych przez innych członków Imperium, lub powstrzymania się od tego”. Wyjątek stanowi efektywna inwazja lub jej groźba. Traktat irlandzki i oświadczenie kanadyjskie rezerwują więc ich ciałom parlamentarnym suwerenną decyzję w prawach zachowania neutralności lub przystąpienia do wojny, prowadzonej przez innych członków Commonwealth'u. Wątpliwym jest jednak, czy ewentualny przeciwnik brytyjski będzie uważał za zgodne z zachowaniem neutralności korzystanie przez Brytanię z baz morskich tych dominiów, a przecież prawo użytkowania tych baz jest wyraźnie zastrzeżone dla floty brytyjskiej np. w traktacie z Irlandią. Pojęciu neutralności, to znaczy obowiązkowi zachowania jak najściślejszej bezstronności, sprzeciwia się wyraźnie statut Commonwealth'u, nawet obecnie tak znacznie rozluźniony, przyzwala on bowiem jego członkom na cały szereg możliwości, których są pozbawione państwa, nie wchodzące w skład Commonwealth'u.

V.

Normy prawne, regulujące współpracę brytyjskich narodów w ramach Commonwealth'u, zgodnie z brytyjskim poglądem na każdą normę, ustanawiającą prawidła społecznego postępowania, przeobrażają się nieustannie. Słusznie więc, jak sądzimy, zwraca uwagę Stoye na to, jako na charakterystyczną cechę dzisiejszego Imperium, mówiąc: *Alles ist im Fluss, und die tatsächliche Entwicklung ist immer der geistigen Erfassung weit voraus, da beim Engländer Regel und Handlung zusammenfallen*. Podobną opinię znajdujemy i w pośłaniu Mac Donald'a do narodów Commonwealth'u: „Struktura naszego Imperium jest nielogiczną, jednak w prawach politycznych nadmiar logiki niejednokrotnie prowadził mężów stanu do upadku. Żyjemy zgodnie z duchem nie z formą, przeto Imperium, jako twór żywy, winno, w miarę jak następują generacje, przybierać coraz to nowszą formę, dla tym właściwszego wyrażenia swego istotnego ducha”. Niemniej wyraźnym w tej sprawie jest również pogląd prof. Zimmern'a. Twierdzi on, że „Imperium Brytyjskie z dnia dzisiejszego nie jest Imperium Brytyjskim z roku 1914. To są dwa całkowicie różne imperia, czego dotychczas nie potrafiły dostatecznie zrozumieć ani obce narody, ani nawet sami brytyjscy obywatele”.

Nie zważając na to, że w naturze brytyjskiej nie leży specjalne przywiązanie do ściśle określonych form doktrynalnych, zgóry utrwalających pewne postępowania, ukształtowaniu się nowego imperium przyświecały trzy podstawowe zasady. Pierwsza z nich to *self-government*, rozszerzająca ewolucyjnie i stopniowo przesłanki samorządu na coraz liczniejsze rzesze kolonij, w miarę konsolidowania się ich układu społecznego i powiększania się ich brytyjskiej ludności. Druga zasada, to *self-support*, nierozzerwalnie związana z pierwszą i będąca jej warunkiem, zgodnie z ideą, że tylko kraj, gospodarczo samowystarczalny, może domagać się samorządu. Zasada trzecia, *self-defence*, zaczynająca nabierać konkretnych form od pierwszych konferencji imperialnych, jest z nich wszystkich najmniej zbliżoną do swego ideału, ponieważ, nie zważając na to, że każde z dominiów posiada swe własne siły zbrojne,

gros ciężaru obrony Imperium spada na barki sił metropolitalnych.

O ile stopniowe dojrzewanie określonej kolonii coraz bardziej ją czyni zdolną do zadośćuczynienia trzem powyższym zasadom i podnosi jej stanowisko w hierarchii imperialnej, o tyle też zanik któregoś z tych warunków, może spowodować obniżenie tego hierarchicznego stanowiska. Podobny wypadek zdarzył się z Nową Ziemią, której upadłość finansowa spowodowała chwilowe zawieszenia jej samorządu i poddała ją opiece metropolii. Mniej więcej podobna sytuacja miała miejsce i na Malcie, gdzie cele, stawiane przez *self-government* wyspy, nie bardzo odpowiadały poglądom brytyjskim, spowodowały więc poddanie jej powrotnie kurateli metropolitalnej.

Oceniając sytuację Commonwealth'u jako całości w zespole społeczności międzynarodowej, i zastanawiając się nad możliwościami jej przyszłej ewolucji, będziemy musieli stwierdzić, że, o ile cały szereg czynników przyczynia się do istotnego scementowania Imperium, nie brak jednak i takich momentów, które tej jedności poważnie zagrażają.

Do kategorii pierwszej należy zaliczyć tradycyjne i feudalne prawie przywiązanie do korony, identyczność wszelkiego rodzaju zwyczajów życia publicznego i prywatnego, cechująca tak najstarsze jak i najmłodsze dominia; dalej identyczne poglądy na system rządzenia państwem i wreszcie niewątpliwa materialna przewaga Wielkiej Brytanii i płynąca stąd stała zależność tak finansowa jak i dyplomatyczno-militarna dominiów.

Do kategorii drugiej niewątpliwie zaliczyć należy w pierwszym rzędzie olbrzymie rozrzucone po globie rozmaitych części Commonwealth'u, powodujące różnorodności ich warunków gospodarczych i politycznych. To rozrzucone i te różnorodności nie tylko przyczyniają się do częstych sprzeczności ich interesów, lecz także wywołują niejednokrotnie ostre antagonizmy i ataki czynników poza imperialnych. Utrudniając skoordynowanie polityki imperialnej, wymagają one niekiedy zbyt dużych ofiar ze strony członków Commonwealth'u. Oczywiście zawsze można znaleźć wspólny język porozumienia, ale porozumienie to bę-

dzie tym trudniejsze, im bardziej wzrastać będą ofiary wymagane przez rację stanu Imperium.

Wracając znowu do prof. Zimmern'a, znającego dobrze tak swych rodaków jak i sprawy imperium, znajdujemy u niego potwierdzenie tych nowych piętrzących się trudności: „Na skutek wojny światowej zaszły kolosalne zmiany tak w międzynarodowej sytuacji Imperium Brytyjskiego jak w jego stosunkach zagranicznych. Podstawy polityki zagranicznej prowadzonej w ciągu XIX wieku przez Imperium Brytyjskie dadzą się streścić w czterech zasadniczych regułach: *splendid isolation*, przewagi morskiej, przemysłowego warsztatu świata i dobroczynnego despotyzmu. Otóż dzisiaj wszystkie te warunki podstawowe brytyjskiej polityki zniknęły bezpowrotnie“. *Splendid isolation* zostało zniszczone przez lotnictwo. Przewaga morska zniknęła pod ciśnieniem amerykańskich i japońskich poczynąń. Warsztat przemysłowy ogłosił upadłość pod działaniem zwycięskiej konkurencji szeregu innych państw. Dobroczynny despotyzm, rozciągający opiekę nad gospodarstwem światowym, przynoszący gros zysków Brytyjczykom, przestaje być uznawanym na olbrzymich przestrzeniach Afryki i Azji, ulegającym coraz bardziej wpływowi zrodzonych w Europie nacjonalizmów. To ostatnie niebezpieczeństwo jest szczególnie groźne, bo nie tylko uderza w same podstawy dobrobytu brytyjskiego, lecz również stawia je wobec sytuacji całkowicie dla Anglików nowej, bowiem, jak mówi, Zimmern: „Tutaj jesteśmy zmuszeni stawić czoło nie jakiejś nowej sytuacji ekonomicznej lub strategicznej, lecz przeciwstawiać się nowym nastawieniom psychologicznym, co dla konserwatywnego i pozbawionego wyobraźni narodu naszego jest daleko trudniejsze“.

Pomijając jednak te niebezpieczne możliwości politycznego rozpadu Imperium jako sprawę być może jeszcze bardzo daleką, a szukając konkretnych dróg, na które Imperium w swej dalszej ewolucji może wkroczyć, pozwolimy sobie powtórzyć opinię prof. Siegfried'a: „Można powiedzieć, że z punktu widzenia politycznego, Imperium Brytyjskie rozwinęło obecnie wszystkie konsekwencje swych założeń. Nową drogą rozwoju, która może się otworzyć dla dalszej ewolucji Imperium, będzie współpraca nie tylko na polu

politycznym, lecz także i w płaszczyźnie ekonomicznej. Stworzyć pozytywną i wspólną podstawę ekonomiczną dla całości Imperium, oto jest program o olbrzymim zasięgu, lecz również i o potężnych i skomplikowanych trudnościach realizacyjnych“. Jeżeli dla znakomitego francuskiego znawcy brytyjskich spraw imperialnych zagadnienie przyszłej ewolucji Commonwealth'u związane jest z rozwojem współpracy ekonomicznej, to dla brytyjskiego męża stanu, jak A. Chamberlain, jest ono sprawą dalszych jeszcze przekształceń konstytucyjnych, bowiem jak wyraził się on na jednym z bankietów politycznych: „Mogę sobie wyobrazić, że przyjdzie kiedyś czas, że parlament brytyjski metropolii, zostanie zastąpiony parlamentem znacznie większym, w którym będziemy mogli ujrzeć przedstawicieli całości narodów brytyjskiego Commonwealth'u“.

Roman Piotrowicz.

Potrójne oblicze katolicyzmu.

Przeżywamy okres potężnych wstrząsów dziejowych. Rozpoczęte krwawą tragedią czteroletniej wojny światowej, poprzez kryzys gospodarczy, rewolucje społeczne i walkę nieprzejednanych, a obejmujących całe narody ideologii, zdają się one prowadzić świat współczesny do jeszcze straszniejszych kataklizmów. Ulegają gruntownej przemianie pojęcia i hasła, które ongiś uważano za idealne i niezienne, powstają i wzrastają na sile ustroje polityczne o skrajnych dążeniach. Z takim trudem zdobyte ongiś na absolutyzmie swobody demokratyczne są deptane i gwałcone zarówno przez zwolenników faszystowskiego cezaryzmu jak i wrogiej mu dyktatury proletariatu. Nie ulega wątpliwości, że kiedyś, po upływie lat wielu, gdy już z perspektywy historycznej umysł ludzki będzie mógł bardziej wszechstronnie a tym samym i bezstronnie ocenić całość rozgrywającego się dziś dramatu, gdyż będzie widział jego rozwiązanie ukryte jeszcze dla nas w tajemniczej przyszłości — okres obecny zostanie policzony do przełomowych chwil w dziejach ludzkości. Agonia starożytnego świata oraz głębokie przemiany, które położyły kres wiekom średnim a zrodziły tak odmienne od nich czasy nowożytne, wydadzą się może czymś mało znaczącym wobec wypadków i przemian, których nasze pokolenia są świadkiem i czynnym uczestnikiem.

Trudność sytuacji, w jakiej znajduje się cała ludzkość, nie jest bez znaczenia i dla katolicyzmu. Nie znajduje się on gdzieś na obłokach, ale na tejże prozaicznej ziemi, która jest terenem i widownią krwawych rozgrywek, tytanicznych zmagañ i wzrastających niepokojów. Członkowie Kościoła

są równocześnie członkami skłóconych na wewnątrz i zewnątrz społeczeństw i narodów. Kto bez uprzedzeń bacznie śledzi bieg wypadków i stan obecny katolicyzmu, ten znajdzie dosyć powodów do smutnych rozważań a nawet poważnych obaw o jego najbliższe losy.

Uderzyć może najpierw fakt, że po dziewiętnastu wiekach istnienia liczba jego wyznawców nie jest wcale tak wielka, jakby sobie tego życzyć należało. Z dwu miliardów ludzi zamieszkujących naszą ziemię tylko 19 procent zalicza się do katolicyzmu. Z natury swego powszechnego posłannictwa oraz na mocy wyraźnego rozkazu Chrystusa dąży on do pozyskania wszystkich narodów. Jeżeli jednak ten proces rozrostu odbywać się będzie tylko w takim tempie jak dotychczas, to dopiero za 80 wieków będzie on mógł wreszcie wypełnić w całości owo zlecenie. A czekać aż do roku 9.999 to dosyć długo i daleko! Czy mamy zaś pewność, że praca pójdzie naprzód choćby tak szybko jak dotychczas? Świat muzułmański, liczący przeszło dwieście milionów, okazał się nadzwyczaj nieprzystępny dla prozelityzmu katolickiego, a Indie, przedmiot wielkiej nadziei św. Franciszka Ksawerego, dały Kościołowi pomimo niebываłych wysiłków misjonarzy ledwie półtrzecia miliona dusz z całego olbrzymiego mrowiska 300 milionów. Podobnie Chiny i Japonia, powołane, jak się zanosí, do spełnienia wielkiej misji w dziejach ludzkości przyszłego tysiąclecia, daleko są jeszcze od katolicyzmu!

A i na starym terenie Europy, już od tak dawna oznaczonej znakiem krzyża, jest aż nazbyt wiele smutnych pod względem religijnym objawów. Pomijamy fakt, że chrześcijaństwo zostało tu boleśnie rozdarte i osłabione przez schizmę wschodnią oraz protestantyzm i nie ma wcale nadziei, by szkody stąd wynikłe można było łatwo i w krótkim czasie naprawić.

Co gorsze, sama idea chrystianizmu, potęga Kościoła katolickiego oraz wpływ jego nauki zdają się nie mieć w świecie współczesnym tego znaczenia, jakiego należałoby się spodziewać, gdy się zważy nieocenione skarby prawdy i łaski, jakie otrzymał od Boga, by je przekazywać ludzkości. Jest to wprawdzie „potęga o silnym samopoczuciu, ma-

jąca pewność wiecznego trwania, i olbrzymie prawa do całego, niepodzielnego człowieka. Katolicyzm wydał potężne postaci świętych, na których i dziecię świata patrzeć może tylko z podziwem. Wytworzył naukę teologiczną, która nie tylko dawnymi ale i najlepszymi nowymi pracuje metodami. Ugruntował ascezę, która z ludzi potrafi uczynić świętych. Stworzył księgę praw, regulującą wszystkie stosunki chrześcijańskiego życia społecznego i prywatnego i wiążącą je z Kościołem. Rozwinął liturgię, która uchodzić może za najwyższy wyraz społecznej pobożności. Ale to chrześcijaństwo żyje obecnie przeważnie jakby za bramami „ghetta“. Życie przepływa obok niego, albo ono samo snuje się obok życia. Nie jest rozczynem, który ludzkość i wszystkie stosunki winien przenikać, by uczynić je miłymi Bogu. Nauka i moralność, handel i gospodarstwo, prywatne i publiczne życie społeczności — mało, albo wcale się z nim, ani z jego wymaganiami nie liczą. Zauważyć to było można w ostatnich czasach w tym braku wpływu, w tej bezradności przodujących sfer religijnych wobec zagadnień palących i aktualnych, jako to: gospodarczych, obyczajowych, rodzinnych, małżeńskich, oświatowych, oraz wobec kultury fizycznej. Zdawałoby się mogło, że religia nie ma już w sobie siły, świat odradzającej, jakoby nie była już katolicką, a więc nie wypełniała i nie obejmowała wszystkich stosunków ludzkich“. Takimi słowami maluje dzisiejszy stan katolicyzmu wielki teolog z Bonn, Arnold Rademacher.¹⁾

Na tysiącnych katedrach uniwersyteckich w Starym i Nowym Świecie zasiadają często uczeni albo wręcz wrodzy Kościołowi, uważający go za przeszkodę postępu, albo w najlepszym razie obojętni. O jego nauce i historii wiedzą czasem tylko tyle, że dano na indeks dzieła Kopernika, więziono Galileusza i spalono na stosie Giordano Bruno.

Tak olbrzymi i świetny postęp w naukach, zwłaszcza przyrodniczych, który mógłby być wielką lekcją objaśniającą wszechmocną mądrość i piękno Boga, w rzeczywistości nie tylko w znacznej mierze dokonywa się niezależnie i jakby obok religii ale nawet często bywa źródłem podnoszonych

¹⁾ Religia i życie. str. 50 i 59.

przeciw niej zarzutów. Filozofia, historia, nauki społeczne także dostarczają broni zaczepnej.

Największa może dziś potęga, prasa, przenikająca do najszerszych warstw, jest w przeważnej części obojętna, w wielkiej mierze wroga. Mimo znacznych wysiłków, prasa katolicka nie dorównywa jej ani nakładem, ani niestety nie-raz poziomem treści czy formy.

Wielka polityka światowa obywa się bez katolicyzmu. Odbywa swoje narady i zawiera paktów tak, jakby go prawie wcale nie było na ziemi.

Masy proletariatu, upojone świadomością swej siły, gnane pragnieniem zaspokojenia swych żądań społecznej sprawiedliwości, nie tylko w swej przeważnej części znajdują się poza obrębem jakiegokolwiek wpływu Kościoła, ale nawet upatrując w nim sojusznika kapitalizmu i reakcji, jawnie głoszą, że raj ludu może powstać dopiero na ruinach kościołów. A ruch ten wzrasta i potężnieje. Podobnej psychozie poddaje się powoli nawet konserwatywny dotychczas lud wiejski, szczególnie w młodszym pokoleniu. A i liczna młodzież uniwersytecka ulega w wielu krajach takim hasłom, że z pewnością da masom proletariatu jak i wiejskim rzeszom szeregi ideowych, wykształconych a bardzo i zasadniczo wrogich dla Kościoła przewodników i organizatorów.

Ma się wrażenie, że siły, które właśnie będą kształtować najbliższą nam, ale jeszcze nieznaną przyszłość, nie tylko znajdują się poza wszelkimi wpływami katolicyzmu, ale nawet są dlań zdecydowanie wrogie i uważają jego zniszczenie za konieczny etap w rozwoju ludzkości na drodze do przyszłego szczęścia.

Ta jakaś bezsilność Kościoła, zanik wpływów i niepopularność powinna tym więcej zdumiewać, że stan katolicyzmu wewnętrzny jest pod wielu względami nie tylko znacznie lepszy niż bywał w poprzednich stuleciach, ale nawet w niejednym względzie wprost świetny. Wystarczy choćby pobieżnie znać historię Kościoła, by stwierdzić, że poziom naukowy i moralny kleru oraz zakonów, znajomość zasad wiary u laików, gorliwość w pracy misyjnej, mnogość organizacyj na terenie kościelnym oraz inne tym podobne składniki wewnętrznego życia katolickiego dorównują jako-

ściowo i ilościowo najświetniejszym okresom w przeszłości. Jeżeli zaś porówna się je z czasami początków średniowiecza lub latami poprzedzającymi reformację protestancką, to okres dzisiejszy wyda się chlubnym, pełnym siły i rozwoju.

Przedewszystkiem gorliwość nad szerzeniem i obroną wiary i moralności chrześcijańskiej, usilne zabiegi nad zorganizowaniem życia katolickiego, nad jego pogłębieniem teorytycznym i praktycznym są faktem, którego mimo wielu innych niedociągnięć nie da się zaprzeczyć. Przyznają to nawet ludzie z wrogich mu obozów.

Dlaczego więc jest taka rozbieżność między potężnym nurtem życia dzisiejszego świata a katolicyzmem nie posiadającym nań decydującego wpływu? Skąd te wielkie i jak gdyby nieuleczalne uprzedzenia przeciw niemu? Skąd ta pozorna czy rzeczywista bezsilność katolicyzmu wobec wypadków i przemian dziejowych? Jest ona dziś kamieniem obrazy dla narodów Azji. Oto powiadają, Europa przez tyle wieków była pod wpływem chrześcijaństwa i doświadczenie pokazało, czego ono warte. Nie jest szczęśliwszą ani lepszą niż te narody, które nie przyjęły Chrystusa, — a co więcej ona sama, ta stara Europa, wyzwała się z pod wpływów jego!

Nie wystarczy tu oczywiście samo narzekanie na trudne czasy albo na złość ludzką. Nie wystarczy zwalanie całej winy na tych, co katolicyzmu nie znają lub nie chcą. Trzeba przede wszystkim zastanowić się, czy niema jakich przedmiotowych powodów tego stanu rzeczy. Jak długo nie usunie się przeszkód, o które rozbijają się wysiłki apostołskie, tak długo nie można będzie nawet marzyć o znaczniejszej a długotrwałej poprawie w tym kierunku. Pierwszym warunkiem skutecznego zaradzenia złemu jest zawsze poznanie źródła, skąd zło pochodzi. A może ono znajdować się i po naszej stronie.

W czasie długiego studium i rozmyślenia nad tym palącym zagadnieniem znaleźliśmy kilkanaście powodów paraliżujących wydatny wpływ katolicyzmu na świat współczesny. W niniejszym artykule chcielibyśmy wskazać tylko na jedną wielką przeszkodę utrudniającą a nawet uniemożliwiającą ten wpływ.

Jest nim fakt, że nie dość podkreślamy w teorii i praktyce bardzo elementarną a zasadniczą prawdę rozróżnienia między pierwiastkiem boskim a ludzkim i to podwójnym.

Na konkretną postać katolicyzmu składają się bowiem trzy całkiem odrębne elementy: pierwiastek boski, obejmujący pewien zespół prawd objawionych i instytucyj pochodzących bezpośrednio od założyciela; następnie element ludzki w znaczeniu dodatnim i pozytywnym, na który składa się to wszystko, co w ciągu wieków katolicyzm przyjął z otaczającego go świata kultury, przejął w siebie i zachowuje; wreszcie element ludzki w ujemnym znaczeniu, czyli to wszystko co pochodzi z ciasnoty umysłów lub złej woli jego przedstawicieli i dlatego nawet nie stanowi części składowej katolicyzmu, atoli nieraz silnie rzuca się w oczy i przesłania prawdziwe jego wartości.

Są to jakby trzy różne oblicza katolicyzmu: boskie, ludzkie i karykaturalne, że się tak wyrazimy.

To rozróżnienie jest wszystkim dawno dobrze znane i w teorii nikt temu nie zaprzecza. Niestety gdy idzie już nie o ogólną zasadę ale o szczegółowe zjawiska w katolicyzmie, nie zawsze dosyć przestrzega się w praktyce, by nie mieszać prawd i instytucyj boskich z ludzkimi tradycjami i urządzeniami i ma się skłonność do przypisywania im wartości bezwzględnej, niezmiennej, nie podlegającej żadnym krytykom ani zastrzeżeniom. Żąda się ich przyjęcia i pochwalenia bez względu na to, że może należałoby je zastąpić innymi. Bardzo chętnie przyznaje się, że różne niedociągnięcia moralne nie mogą być brane na rachunek katolicyzmu, bo do niego nie należą, owszem są przeciwne jego zasadom. Nie tak łatwo przyznaje się, że ten lub ów objaw dodatni, taki czy inny sposób myślenia, pewne formy życia czy ustroje społeczne nie są wcale nierozzerwalnie związane z katolicyzmem. — A jednak one stają się nieraz kamieniem obrazy. Przejdźmy nieco do szczegółów.

Pierwiastek boski w katolicyzmie jest nader bogaty w treść i taki wspaniały, że odpowiednio przedstawiony a nie zeszpecony żadnymi dodatkami ludzkimi, bardzo łatwo może zachwycić umysł i serce człowieka.

Należy tu przede wszystkim sama idea jedyne go prawdziwego Boga, który jest Pełnią Bytu, nieograniczoną Doskonałością, która w jednej niepodzielnej Rzeczywistości jest nieskończoną Prawdą, samym Dobrem i niewymownym Pięknem i to nie w jakimś biernym stanie, ale tak że cały jest czystą Czynnością, jednym wiecznie trwającym, bez zmęczenia zawsze świeżym Aktem Mądrości, która się utożsamia z całą Jego Istotą i sama dla siebie jest nieskończoną i niewyczerpalną Treścią. Ten Bóg jest równocześnie cały najpotężniejszym Aktem ekstatycznej Miłości, ukochania wszystkiego co się w tej nieskończonej wielkiej Istocie zawiera, jest błogosławionym Zachwytem wobec Prawdy, Dobra i Piękna, którym jest On sam.

Wszechmocną siłą swej twórczej woli powołał On do bytu ten nasz realny świat a w nim niezliczone mnóstwo istot żyjących i nieżywo tn ych, roślin, zwierząt i ludzi oraz zapełnił przestworza tysiącami tysięcy mgławic i gwiazd. Przez swoją twórczą działalność, przez którą ustawicznie utrzymuje je w istnieniu, Bóg ten jest blizki każdemu stworzeniu, przenika je na wskrós, jest obok i poza każdym z nich, nieogarniony niezmiernymi światami, lecz wszystkie ogarniający Sobą. Cały świat ze wszystkimi istotami jest w Bogu, *w Nim bowiem żyjemy i ruszamy się i jesteśmy* (Dz. Ap. 17, 28).

Daje się poznać przez wszechświat, tę wielką i ciekawą księgę przyrody, którą roz tworzył przed naszymi oczyma, abyśmy czytając ją i podziwiając jej treść i formę, sami wzrastali w mądrości i przyswajając sobie tę prawdę, którą On w nią włożył, postępowali w poznaniu samego Autora.

Ponadto przez objawienie nadprzyrodzone odkrył umysłowi ludzkiemu horyzonty, do jakich rozum sam nigdy by nie dosięgnął, pouczył nas o tajemnicach swego życia boskiego, o tym że On Jedy ny żyje jednak w trzech Osobach, oraz że przeznaczeniem naszym, przewyższającym nawet najśmielsze marzenia, jest życie wieczne w jego własnym szczęściu, życie w Bogu bezpośrednio poznany m w swej niepojętej Piękności.

Objawił nam swe wielkie względem nas plany i drogę doń wiodącą, i w Jednorodzonym Synu swym, który

stał się człowiekiem i naprawdę bratem naszym, wyszedł niejako naprzeciwko ludzkości pielgrzymującej doń, aby ją prowadzić, umacniać i zapewnić jej osiągnięcie najwyższego Ideału.

Wiara katolicka silnie akcentuje wielkość człowieka. Stworzony na obraz i podobieństwo Boże, mający nieśmiertelną duszę z tak cennymi władzami rozumu i wolnej woli, otrzymał on na własność ten wielki i piękny świat, aby korzystał z jego dóbr, rozwijał wszechstronną kulturę i doskonalił sam siebie, świadomie i dobrowolnie urzeczywistniał we współdziałaniu ze Stwórcą to arcydzieło, jakie z niego zamierza zrobić najwyższy Artysta.

Dla urzeczywistnienia tego ideału ma człowiek zachować przede wszystkim dwa przykazania: miłości Boga ponad wszystko i miłości bliźniego jako siebie samego; dwa obowiązki wynikające z samej natury rzeczy, tak słuszne i przez się zrozumiałe, że żaden rozumny człowiek nie może przeciw nim podnieść najmniejszego zarzutu.

Centralną prawdą Dobrej Nowiny głoszonej przez Chrystusa a stanowiącej główną ośnowę całego objawienia to idea królestwa Bożego, czyli nowego a szczęśliwego stanu rzeczy, w którym Bóg ma wszechstronnie panować w umysłach i sercach ludzi, zespolić ich w jedno przez prawdę, sprawiedliwość i miłość, i doprowadzić ich do ostatecznego triumfu i pełni życia w nieskończonym szczęściu wieczności.

Ten zespół prawd objawionych, wysokie przeznaczenie i niepojęte dobra, jakie Bóg przedkłada człowiekowi w swoich wielkich względem niego zamiarach, oraz obowiązek prowadzenia życia zgodnie z tym wysokim powołaniem dzieci Bożych jest ideałem, który może łatwo zachwycić każdą istotę rozumną i wolną.

Nie sprawiałoby trudności i to, że odpowiednio do socjalnej natury człowieka Chrystus nadał społeczności przez się założonej ustrój oparty na zasadzie hierarchii. Z woli bowiem Mistrza w Kościele inne obowiązuje prawo niż w tych ustrojach politycznych, gdzie jedna grupa lub kasta ludzi despotycznie panuje a druga służy. Kler ma na wzór Syna Bożego służyć duszom w wielkim dziele zbawienia, a nie przychodzi na to, aby kazać sobie służyć.

Oto Jego wyraźny rozkaz w tym względzie. *Wiecie, iż książęta narodów panują nad nimi, a którzy więksi są, władzę wywierają nad nimi. Nie tak będzie między wami, ale któkolwiek między wami chciałby być większym, niech będzie sługą waszym. A kto by między wami chciał być pierwszym, niech będzie ostatnim ze sług waszych. Jako Syn człowieczy nie przyszedł, aby mu służyło, ale aby służyć i dać życie swe na okup za wielu* (Mt. 20, 26 — 8). *Wy nie nazywajcie siebie nauczycielami, albowiem jeden jest nauczyciel wasz, a wy wszyscy braćmi jesteście. I ojcem swoim nie nazywajcie nikogo na ziemi; albowiem jeden jest Ojciec wasz, który jest w niebieszech* (Mt. 23, 8 — 9). Zasadnicza równość ludzi, z których każdy jest bliźnim i bratem, sprawiedliwość społeczna i powszechne braterstwo, te podstawowe hasła chrystianizmu a zarazem najbardziej demokratyczne ideały, przeprowadzone na serio w życiu, już same przez się porywałyby ludzi.

Wiara otwierająca przed umysłem ludzkim wielkie horyzonty, nadzieja osiągnięcia z pomocą Bożą wysokiego, idealnego przeznaczenia, bo posiadania pełnego szczęścia przez uczestnictwo w życiu samego Boga, miłość najwyższego Dobra i Piękna oraz miłość ludzi między sobą, porządek społeczny oparty na równości i sprawiedliwości, poszanowanie godności człowieka obrazu Bożego, który ma prawo i obowiązek poznawać prawdy, stwarzać swym wolnym wysiłkiem coraz dogodniejsze warunki życia, rozwijać swe władze duchowe i fizyczną doskonałość ciała — te podstawowe prawdy i zasady katolicyzmu, stanowiące jego boski element i siłę wewnętrzną, są rzeczywiście wspaniałe i ponętne. To boskie oblicze Kościoła jaśnieje chwałą bez żadnej skazy. Jego urokowi trudno się oprzeć.

Ma jednak katolicyzm także swoje oblicze ludzkie. Zespół prawd objawionych i wspaniałe obietnice Boże nie miały pozostać gdzieś zawieszone w różanych obłokach, lecz stać się fermentem przetwarzającym całą ludzkość. Pierwiastek boski miał wejść w życie jednostek i narodów i musiał zetknąć się z otaczającym instytucję boską światem kultury. Łączył się z najrozmaitszymi wartościami ludzkiego pochodzenia, przetwarzał je, chrystiani-

zował to wszystko, co znalazł dobrego u narodów, które swym wpływem obejmował. Jest on w tym całkiem podobny do żywego nasienia, które włożone w ziemię czerpie z otaczającej go ziemi i atmosfery surowe materiały, przerabia je dzięki swej sile żywotnej na własne tkanki i wzrasta rozbudowując swój własny organizm.

Powstało chrześcijaństwo i rozszerzało się w czasie pełnego rozkwitu kultury helleńsko-rzymskiej i przyjęło z niej wiele form i urządzeń. Język Romy stał się oficjalnym i liturgicznym językiem całego zachodniego katolicyzmu a grecka myśl filozoficzna posłużyła do naukowego pogłębiania i usystematyzowania prawdy objawionej. Znanym jest, jak wiele przyczynił się do teologicznego rozwinięcia idei Boga neoplatonizm, który przede wszystkim przez św. Augustyna oraz dzieła przypisywane tzw. Dionyzemu Areopagicie miał przemożny wpływ na całą scholastyczną teologię. Najbardziej katolickie techniczne nazwy: ekklesia, episkopos, diecezja, liturgia i inne zostały zaczerpnięte z rzeczy i urządzeń całkiem „świeckich“. Duch prawa i organizacji rzymskiej także silnie przeniknął do życia społecznego Kościoła. Chrystus nie określił w szczegółach ani sposobu odprawiania nabożeństw, ani drobiazgów z zakresu organizacji, lecz zostawił to historycznemu rozwojowi i roztropności Kościoła kierowanego Duchem Św. Nawet sam krucyfiks, który dziś wydaje się niejednemu czymś nieodłącznym od wyznania katolicyzmu, nie był wcale w użyciu w pierwszych wiekach.

Podobnie łączył się katolicyzm w średniowieczu z najrozmaitszymi wartościami ludzkiego pochodzenia, wcielał je w swe własne konkretne życie i przyswoił je sobie tak ściśle, że niejednen nie jest w stanie należycie i ściśle rozróżnić, co należy do katolicyzmu jako takiego, a co jest tylko pewnym jego przejawem, zależnym od epoki oraz środowiska kulturalnego. Jeżeli się zrobi przekrój historyczny przez wszystkie wieki Kościoła i zbada się je według słynnej zasady św. Wincentego z Lerin: *quod semper, quod ubique, quod ab omnibus*, wówczas w całej pełni wystąpi i niezmiennosc pierwiastka boskiego i rozmaitość a tym samym wielkie bogactwo form ludzkich życiowych, sposobów myślenia

oraz zewnętrznego wyrażania religii. Trzeba znać rozwój i zmienność tradycji ludzkich a nie mieszać ich z niezmienną tradycją dogmatyczną! Dobrze mówi chińskie przysłowie: badaj stare, a dowiesz się nowego!

Przenikał katolicyzm kulturę ludów Europy, nie niszczył obyczajów ani urządzeń, które były zgodne z prawami natury i tylko podnosił te różne przejawy życia do poziomu nadprzyrodzonego.

Atoli nie utożsamia się on z żadną kulturą ani też nie jest wewnętrznie i nierozdzielnie związany z kulturą europejską. Równie dobrze mógłby połączyć się z formami kultury chińskiej czy hinduskiej. Niezmienna jest jego prawda, zmienne są formy życia, które ma przenikać i uświęcać. Zachowuje z nich to, co jest ogólnoludzkie, ale musi ustawicznie wymieniać to, co jest z natury swej zmienne, zależne od epoki, charakteru narodu, rozwoju ekonomicznego, społecznego i naukowego. Inaczej nastąpiłoby skostnienie. Robiłby też wrazenie przeżytku nie mającego aktualnej wartości.

Ponieważ co innego jest prawda boska a co innego jej ludzkie ujęcie, dlatego nawet tak ściśle, bo ideologiczne związanie prawd wiary z panującą dziś wszechwładnie w Kościele filozofią perypatetyczno-scholastyczną jest tylko względne, podległe kontroli rozumu i koniecznym z postępem czasu poprawkom. Dawno już zasadę tę silnie podkreślił Leon XIII. Oto w encyklice *Aeterni Patris*, w której polecił i nakazał czerpać światło z dzieł św. Tomasza z Akwinu, powiada jednak na końcu: „głosimy, że należy chętnie i z wdzięcznością przyjmować cokolwiek przez kogośkolwiek było mądrze powiedziane, cokolwiek użytecznego wynalezione i wymyślone. Cokolwiek zaś doktorzy scholastyczni albo z przesadną rozstrząsali subtelnością, albo nie dość zgadza się z pewnymi już naukami czasów późniejszych, cokolwiek wreszcie pod jakimkolwiek względem nie jest prawdopodobne, tego żadną miarą nie mamy zamiaru przedkładać naszym czasom“. Słowa zasługujące, by je złotymi zgłoskami wyryć na frontonach wszystkich wyższych uczelni katolickich oraz żądać ich wiernego wypełniania! Zaniedbanie tej zasady, a nawet co gorsza cza-

sem prześladowanie i podcinanie tych wybitnych umysłów, którzy samodzielną pracą głębiej rzecz przenikając, chcieli wypełnić praktycznie zlecenie wielkiego odnowiciela scholastyki, było jedną z przyczyn, że świat naukowy dziś jeszcze, zresztą niesłusznie, uważa katolickie studia filozoficzne i teologiczne za pogrążone w „mrokach średniowiecza“, i że brak nam wspólnej platformy, na której mogłoby przyjść przynajmniej do wymiany myśli.

Jak długo będzie panowała ta psychoza wzajemnej podejrzliwości i lekceważenia, tak długo nie można będzie nawet marzyć o tym, by prawda katolicka przeniknęła znowu sfery zostające obecnie poza jej wpływami.

Człowiekowi wogóle dość trudno przychodzi wniknąć w jakąś obcą mu umysłowość, zrozumieć, że może być inaczej, aniżeli sądzą w jego własnym środowisku, zdać sobie sprawę, że to co może dziś uważa się za idealne, konieczne i nienaruszalne, wcale takim nie jest a tylko wydaje się wskutek przyzwyczajenia i nieznajomości historii.

Zbytnie łączenie praktyczne samego katolicyzmu z zewnętrznymi formami zaczerpniętymi z kultury europejskiej ogromnie hamowało postęp ewangelizacji u wielkich narodów Azji. Przyszedł on do nich obarczony dodatkami, które ustawicznie przypominały im, że to import obcy. Cóż z tego, że teoretycznie mówiono im, że katolicyzm to prawda boska, wielkie obietnice dane ludzkości w Dobrej Nowinie, skoro de facto najczęściej rzucały się w oczy pierwiastki ludzkiego pochodzenia, formy kultu i życia może dobre dla świata grecko-łacińskiej kultury, ale nie dla Hindusa, Chińczyka czy Japończyka.

Nie brakło wprawdzie wielkich umysłów, które widziały konieczność i słuszność takiego połączenia owych prastarych kultur z katolicyzmem, jak niegdyś połączył się z nim świat helleńsko-rzymski. Dość wspomnieć o poczynaniach jezuitów w XVII i XVIII wieku w Chinach i na Malabarze. Okrzyczano to jako brak prawowierności, przez zakulisowe intrygi podcięto tę pracę — a milionowe rzesze do dziś zostały w buddyźmie.

Nienaruszalnym jest pierwiastek boski, nie wolno zaniedbać ni zmienić ani jednego dogmatu czy ogólnoludzkich

zasad etyki, atoli wszystko to, co katolicyzm przyswoił sobie od zewnątrz, zmienne jest i może być zastąpione przez nowe formy. Zbytnią obroną tych pierwiastków ludzkich, nieraz przestarzałych i nieodpowiednich dla innych rodzajów kultury, przesadne zachowywanie tego wszystkiego, co ongiś było dobre w innych warunkach, bojaźliwe uprzedzenie do wszystkiego, czego nie było w średniowieczu, może się wydawać gorliwością i zachowaniem pierwotnego ducha, ale w rzeczywistości jest praktycznym zaprzeczeniem różnicy między pierwiastkiem boskim a ludzkim i ogromną przeszkodą, by wieczne wartości katolicyzmu jaśniały zawsze świeże.

Trzebaby dobrze zastanowić się, czy jakieś rzeczy ludzkie nie odrącają dusz od skarbów boskich.

Oblicze ludzkie katolicyzmu nie może zasłaniać jego oblicza boskiego i dlatego musi być zawsze i starannie odróżniane, nie tylko w ogólnej teorii, ale także w szczegółowym jej zastosowaniu do wszystkich objawów życia w Kościele.

Trzecim pierwiastkiem, tylko pasożytniczym, jest element także ludzki, ale już w ujemnym znaczeniu. Składa się nań to wszystko, co pochodzi jedynie z ciasnoty umysłów, złej woli lub niedołęstwa wyznawców i przedstawicieli katolicyzmu, jak np. zbytne łączenie chrześcijaństwa z niektórymi formami ustrojów politycznych, społecznych czy ekonomicznych, — niesprawiedliwość, okrucieństwo lub inna niemoralność, występujące czasem pod pozorem religijności. Nie należy on wcale do katolicyzmu samego, jest mu nawet przeciwny, ale często robi wrażenie, jakoby z niego właśnie wynikał. To karykaturalne oblicze nieraz bardzo silnie uderza w oczy zwłaszcza tych, co będąc mu obcy obserwują go tylko z zewnątrz i niejako z daleka. Tutaj należy zwalczanie w imię religii teoryj naukowych, które w rzeczywistości nie są przeciwne wierze, tylko wydają się takimi dla umysłów nie dość rozwiniętych lub zbyt bojaźliwych, albo utożsamiających swoje formuły i rutynę myślową z tradycją i dogmatem. Także bezkrytyczne powtarzanie legend i żądanie wiary w nie, upatrywanie cudowności tam, gdzie jest tylko cudaczność, przeładowanie religii praktykami zewnętrznymi przy równoczesnym zaniedbaniu miłości i sprawiedliwości,

nadużywanie religii dla wyzysku materialnego lub choćby obrony interesów kasty czy klasy, zaprzeczanie lub co gorsza, obrona nadużyć, jakie niestety wykazuje historia Kościoła, to również rysy tego trzeciego oblicza. Można np. tłumaczyć istnienie inkwizycji specjalnymi warunkami czasu, wskazywać, że i sądownictwo świeckie używało wówczas okrutnych tortur, ale bronić jej lub nie chcieć przyznać, że okropne nadużycia nie mogą się pogodzić z nauką Chrystusa to bardzo szkodliwe. Z pewnością odzwierciedla stanowisko milionów ludzi to, co pisze jeden tygodnik wcale nie lewicowy ani antykatolicki:¹⁾ „Jeżeli mi ktoś mówi o inkwizycji i pragnie jej powrotu, mam dla niego te same uczucia i życzenia, co dla tego, który mi przezwyczajkę zaleca. Uczucia rzetelnej pogardy i szczerze a serdeczne życzenie, żeby go związali jako niebezpiecznego wariata. Kto się na myśl ludzką porywa, ten tylko takiego godzien jest traktowania. Tylko myśl może przyjąć prawdę (objawioną), a już w każdym razie tak ją ukształtować, ażeby ją innym podawać, tylko myśl może dać jakiegokolwiek prawdzie jej „mowę“. Jeżeli zaś myśl będzie zbyt skrępowana, to nie będzie zdolną do ścigania tajemnicy... Ktokolwiek wierzy niezłomnie, że jego myśl jest w posiadaniu prawdy, nigdy nie będzie się obawiał wolności myśli, bo myśl, która działa swobodnie, prędzej czy później w prawdę ugodzi“.

Może ktoś robić tu zastrzeżenia, jeśli chce, ale pewnym jest, że jeżeli w obozie katolickim nie usunie się tego wszystkiego, co wynaturza wielkie dzieło Boże, i co pochodzi jedynie z ciasnoty i małostkowości ludzkiej, a nie pozwoli się na swobodne wypowiedzenie myśli ludziom chcącym pracować dla sprawy królestwa Bożego, to katolicyzm nie zdobędzie dominującego znaczenia, a może stracić jeszcze wiele z tego, co posiada. Chrystus zapewnił nas, że bramy piekielne nie przemożą Kościoła, ale nie zaręczył nam, że nie może on znowu stać się tylko „małą trzódką“, stracić wszelkie znaczenie w tym lub owym narodzie. Nie cała wina byłaby po stronie „świata“. Jakże żądać od niego, by dobrze odróżniał potrójne oblicze katolicyzmu, jeżeli

¹⁾ *Prosto z mosfu*, 5 stycznia 1936, K. L. Koniński

my sami nie wskażemy mu tego? Nie wiele potrzebowałby obrony sam pierwiastek boski, byle go nie zasłaniały karykatury ludzkie. Dobra, jakie przynosi ludzkości, hasła równości, sprawiedliwości, braterstwa — te ideały uciśnionej ludzkości porywają same przez się. Cóż dopiero perspektywy wielkiej szczęśliwej wieczności, do której zdążamy?

Ks. Bronisław Bojułka T. J.

Przełom w nauce.

Einsteinizm i teoria kwantów.

Teoria względności Einsteina głosi, że zasada względności ważną jest nie tylko w mechanice, to znaczy w odniesieniu do ruchów, ale również w dziedzinie zjawisk elektrycznych i optycznych. Niema zatem takiego zjawiska fizycznego, któreby pozwoliło stwierdzić istnienie prostoliniowego i jednostajnego ruchu układu odniesienia. Wyjaśnienia zaś tego faktu szuka Einstein we względności oznaczeń czasu i przestrzeni, które zmieniają się zależnie od przyjętego rusztowania przestrzennego w ten sposób, że maskują one i nie pozwalają stwierdzić istnienia absolutnego ruchu układu odniesienia. W myśl tego, wszystkie wielkości, stosowane przy pomiarach przestrzeni i czasu, są względne i zależne od przyjętego rusztowania przestrzennego. Nie istnieją nawet absolutne odległości, ta sama bowiem odległość mierzona przez jednego obserwatora na jednej gwiazdzie różnić się będzie od tejże odległości mierzonej przez innego obserwatora na drugiej gwiazdzie. Wraz ze względnością elementów przestrzeni stają się względnymi również inne wymierne wielkości fizyczne, a w pierwszym rzędzie masa, która zgodnie z teorią względności wzrasta wraz z szybkością ciała i staje się nieskończenie wielką dla ciała, poruszającego się z prędkością światła. Masa wogóle przestaje już być w nowym ujęciu natury czymś stałym i niezmiennym, jak w dawnej mechanice klasycznej, lecz zmienia się zależnie od zasobów energetycznych ciała, zależnie od pochłaniania czy też wysyłania przez ciało energii; innymi

słowy, nowa teoria przypisuje energii, tej wielkiej niewiadomej nauki, również pewną, chociaż minimalną masę bezwładną. Materia zaś w nowym ujęciu staje się jakby skondensowaną energią, która się wyłania w olbrzymich ilościach przy dematerializacji minimalnych jej ilości. W związku z tym dwie odrębne zasady dawniejszej nauki, zasada zachowania masy i zasada zachowania energii, zlewają się w jedną, głoszącą niezniszczalność energii.

Za jeden z najważniejszych wyników teorii względności należy uznać rewizję naszych pojęć o eterze, który był poprzednio obdarzony chociaż pewnymi cechami materialnymi. Eter uważano dawniej za pewien rodzaj galarety nieważkiej, posiadającej jednak pewne materialne cechy fizyczne; pod wpływem teorii względności zdematerializował się on ostatecznie, znikło zupełnie pojęcie szybkości ciał w stosunku do niego, a pozostały tylko względne szybkości w odniesieniu do rozsianych w przestrzeni rozmaitych punktów materii widomej. W związku z tym dawniejszy kopernikowo-newtonowski obraz natury zaczyna się stopniowo zacierać w umysłowości ludzi nauki i ustępować miejsca innej rodzącej się koncepcji świata materialnego. Dawny wszechświat nauki był wszechświatem galaret i modeli mechanicznych dla każdego zjawiska; obecnie koncepcja taka już nie wystarcza, gdy ułatwia się podstawowe podłoże do tworzenia się takich modeli, to znaczy eter i gdy się wyjaśnia względność przyjętego schematu fizyki. Obecnie nauka, oparta na teorii względności, uznaje, iż wszelkie własności jakiegobądź ciała, podane w terminach wielkości fizycznych, stanowią właściwie tylko wiedzę o reakcji przyrządów mierzniczych na obecność tego ciała i nic poza tym. Zaczął się kryzys ustalonych od paru wieków poglądów.

Równolegle z rozwojem teorii względności ulega zmianie dawna koncepcja trójwymiarowej i nieograniczonej przestrzeni oraz czasu płynącego jednostajnie, niezależnie od przestrzeni. Jak wiemy na koncepcji tej oparła się dawniejsza galileuszowo-newtonowska czyli tak zwana klasyczna mechanika, która przypisywała względny charakter tylko współrzednym przestrzeni, natomiast czas posiadał tu charakter bezwzględny, nie powiązany zupełnie z elementami

przestrzeni. Nowe prądy w nauce prowadzą do koncepcji tak zwanego czterowymiarowego continuum Minkowskiego, gdzie czas spełnia niejako rolę czwartego wymiaru splatając się razem z przestrzenią, od której nie da się już oddzielić. W myśl tej nowej koncepcji nie da się już rozdzielić żadnego zjawiska na dwie części, jedną przebiegającą odrębnie w przestrzeni, a drugą w czasie, niema już następstwa czasowego stanów substancji w przestrzeni trójwymiarowej, istnieje tylko jedność w postaci czterowymiarowego continuum zdarzeń, które zawiera w sobie nieskończenie wiele przestrzeni trójwymiarowych. A ujmując to samo inaczej możemy powiedzieć, że chwilowy stan świata jest tylko przekrojem przez to czterowymiarowe continuum. Przy odpowiedniej symbolice badania świata fizycznego dadzą się sprowadzić w tym wypadku do badania stosunków geometrycznych w czterowymiarowym continuum zdarzeń, fizyka przeobraża się tu jakby w geometrię, jednak w geometrię symboliczną, która nie odpowiada istniejącemu obecnie w nas odczuciu rzeczywistości, ale wydaje się być tylko jakimś przeczcuciem możliwego, innego odczucia tejże rzeczywistości.

Świat Minkowskiego posiada jeszcze w zasadzie charakter euklidesowy z tą jednak różnicą, że do trzech wymiarów przestrzennych dołącza się nowy, symboliczny niejako, czwarty wymiar w postaci czasu. Bo zarówno w przestrzeni ściśle euklidesowej, jak przestrzeni Minkowskiego, ciałom sztywnym przypisuje się niezależność ich rozmiarów od miejsca i ich orientacji względem osi odniesienia. Rozwój jednak teorii względności, dążenie do jej możliwego rozszerzenia musiały w końcu skłonić fizyków do wzięcia rozbratu z koncepcją euklidesową i tworzenia koncepcji przestrzeni nieeuklidesowej, której nadaje się każdorazowo tyle wymiarów, ile wymaga tego najprostsze rozwiązanie, a raczej ujęcie danego zagadnienia. Nad kwestią tą dłużej zatrzymywać się nie będziemy.

Jako dalszy etap w rozwoju nowych pojęć naukowych przychodzi teoria grawitacji Einsteina, która ściśle się wiąże z nowym nieeuklidesowym ujęciem przestrzeni. Grawitacja w ujęciu newtonowskim była to siła działająca na odległość z jednego ciała na drugie, siła przejawiająca się w postaci

jakiegoś ciągnięcia. Newton sam nie starał się nawet tłumaczyć istoty grawitacji, twierdził tylko, że rzecz tak się ma, jakby istniała taka siła grawitacyjna wprost proporcjonalna do masy i odwrotnie proporcjonalna do kwadratu odległości, opisywał jej własności nie siląc się nawet wyjaśniać jej treści, co jak wiemy nie udawało się też nigdy jego następcom. Grawitacja wymykała się zawsze wszystkim próbom mechanicznej interpretacji, wszystkim próbom tworzenia dla niej mechanicznego modelu za pomocą ośrodka, eteru, przenoszącego tę siłę w ten lub inny sposób.

W myśl koncepcji newtonowskiej, która przetrwała do początków naszego wieku, materia i przestrzeń są niezależne od siebie; przestrzeń przedstawia się tu jako jakieś naczynie bez końca i granic, w którym są zawieszone gdzieś gdzieś małe kuliste ciała materii w postaci kulistych ciał niebieskich, obecność przy tej materii nie wpływa zupełnie na stosunki geometryczne w przestrzeni, a przedstawia się tylko w postaci siły wzajemnego oddziaływania między dwiema bryłami materii, zaś ruchy ciał w przestrzeni odbywają się zgodnie z dynamicznymi zasadami Newtona.

W myśl nowej teorii grawitacji Einsteina przestrzeń i czas nie są już od siebie niezależne. Przestrzeń sama przez się jest czymś zupełnie nierealnym, nie istnieje niezależnie od materii, cechy zaś jej są zmienne i zależne od rozmieszczenia mas. Na miejsce dawnej newtonowskiej koncepcji grawitacji jako ciągnięcia, nowa teoria wprowadza pojęcie zdeformowania wielowymiarowego continuum przestrzennego w sąsiedztwie masy. Zgodnie z tym założeniem, planeta zostaje spychana z prostoliniowego toru nie wskutek działania grawitacyjnej siły ciągnięcia, lecz wskutek zakrzywienia wielowymiarowego continuum dzięki obecności danej masy. Dawna więc newtonowska koncepcja trójwymiarowej przestrzeni euklidesowej, czasu płynącego niezależnie od ruchu substancji w niej i sił wzajemnego oddziaływania między masami, ustępuje na rzecz nowej, zupełnie już abstrakcyjnej koncepcji jakiegoś wielowymiarowego continuum zdarzeń, w którym zakrzywienie w jakimś wyższym wymiarze zaczyna odgrywać rolę siły w dawniejszym ujęciu. To wielowymiarowe continuum, w myśl wywodów Einsteina, nie jest już

nieskończone, tylko skończone lecz nieograniczone dzięki zakrzywieniu w jakimś wyższym wymiarze, jak skończoną lecz nieograniczoną jest powierzchnia kuli dzięki zakrzywieniu jej w trzecim wymiarze.

Wobec zmian w ujęciu przestrzeni, jakie zaznaczyły się w ostatnich czasach, a także wobec wywodów teorii względności, która kwestionuje nawet jednoznaczność odległości między dwoma punktami, dziwnym może się wydawać, że astronomowie doby obecnej obstają w dalszym ciągu przy swych zawrotnych odległościach przestrzennych, które dosięgają już absurdalnej cyfry milionów lat świetlnych. Fakt ten da się wytłumaczyć chyba wrodzonym ludziom nauki konserwatyzmem, przede wszystkim jednak brakiem nowego wyraźnego systemu świata. Bo dla każdego obznajomionego z nowoczesnymi metodami mierzenia odległości gwiazd jest najzupełniej jasnym, że wszystkie obliczenia upadają właściwie wraz z odrzuceniem euklidesowej budowy przestrzeni, a tym samym prostolinijnego rozchodzenia się światła w nieskończoność, że w takich warunkach należy uważać je tylko za jakąś fantastyczną grę wyobraźni, która niema odpowiednika w rzeczywistości. W każdym razie stwierdzamy, że nowa, nieskrystalizowana wprawdzie jeszcze koncepcja budowy wszechświata skłania się do uznania jego skończoności, nie wyrzekając się jednak jeszcze wyraźnie fantastycznych odległości, ustalonych na podstawie poprzedniego obrazu świata, opartego na idei nieskończoności przestrzeni.

Reasumując dotychczasowe wywody stwierdzamy, że ogromne zmiany, jakie dokonały się w ujęciu świata makroskopowego, związane są przede wszystkim z uznaniem zasady względności w stosunku do wszelkich wielkości i zjawisk fizycznych, które stają się zależne od układu odniesienia, przy czym uznanie tej zasady prowadzi do uznania niemożliwości stwierdzenia w jaki bądź sposób istnienia ruchu absolutnego wogóle, a w odniesieniu do eteru w szczególności, co właściwie prowadzi do zaprzeczenia istnienia tego hipotetycznego ośrodka. Następnie widzimy, że nowoczesna nauka wyrzeka się dawnej idei o rozdzielnosci czasu i trójwymiarowej przestrzeni euklidesowej, która w małej tylko

części wypełniona jest substancją, a poza tym jest absolutnie próżna. Na miejsce tej idei wstępuje koncepcja wielowymiarowego continuum zdarzeń, w którym czas i przestrzeń splecione są nierozdzielnie. Poza tym materia i przestrzeń przestają również być czymś rozdzielnym, niezależnym jedno od drugiego, przestrzeń bez materii zostaje uznana w ogóle za coś zupełnie nierealnego, a cechy jej za zmienne i zależne od rozmieszczenia mas. Wreszcie na miejsce dawniejszej grawitacyjnej siły ciągnięcia wprowadzona zostaje koncepcja zakrzywienia przestrzeni, które zaczyna odgrywać rolę siły, innymi słowy mechanika w przestrzeni trójwymiarowej zaczyna ustępować miejsca jakiejś wielowymiarowej nieeuklidesowej geometrii.

Jak widzimy, koncepcja budowy świata makroskopowego uległa ostatnimi czasy olbrzymiej ewolucji, jeżeli się jednak w dalszym ciągu zwrócimy do świata mikroskopowego, to stwierdzimy tu już nie ewolucję, lecz raczej rewolucję w całym znaczeniu tego słowa, która wstrząsnęła samymi podstawami nauki, doprowadzając nawet do zaprzeczenia istnienia przyczynowości w świecie zjawisk. Zniknął przede wszystkim dawny sztywny atom, będący ośrodkiem sił przyciągania i odpychania, a miejsce jego zajął atom pusty, składający się z protonu, naładowanego elektrycznością dodatnią, i krążących dookoła niego elektronów o ładunku ujemnym. Do świata mikroskopowego została jakby żywcem przeniesiona koncepcja, zaczerpnięta z świata makroskopowego; atom stał się niejako układem planetarnym w skali mikroskopowej. Gdy jednak w świecie makroskopowym zaczyna powoli znikać pojęcie siły grawitacyjnej w dawnym newtonowskim znaczeniu, a miejsce takowej zajmuje pojęcie zakrzywienia wielowymiarowej przestrzeni nieeuklidesowej, to w świecie atomów pozostaje dawne pojęcie siły, nadaje się jej tylko charakter elektryczny. Poza tym atom, według nowej koncepcji, zatracą jakby swój dawny charakter materialny, zgodnie jednak z zasadami fizyki klasycznej przypisuje mu się pewną masę.

Jeżeli zmiana w ujęciu natury atomu wydawać się może radykalną, to nie posiada ona mimo to charakteru wyraźnie rewolucyjnego, ponieważ to nowe ujęcie daje się jednak

włożyć w ramy dawnego schematu fizyki klasycznej. Właściwą rewolucję w ujęciu świata mikroskopowego stanowi dopiero teoria kwantów Plancka, która zrywa z ideą ciągłości energii, a nadaje takowej strukturę ziarnistą, atomową. Energia w tym nowym ujęciu przestaje być czymś ciągłym, podzielnym do nieskończoności, lecz składa się z niepodzielnych kwantów, pewnych osobników, jeżeli się można tak wyrazić. Dotyczy to w pierwszym rzędzie energii promienistej, która poprzednio uważana była za ruch falowy w hipotetycznym eterze, posiadała przeto charakter ciągłości. Obecnie teoria kwantów nadała tej energii raczej charakter korpuskularny, bo składa się ona jakby z elementarnych, niepodzielnych atomów energii promienistej, tak zwanych fotonów, przy czym niektóre zjawiska świetlne odnajdują swe wytłumaczenie tylko przy takim ujęciu natury światła, wówczas gdy cały szereg innych zjawisk może być należycie interpretowany tylko na podstawie dawnej falowej teorii. Energia promienista posiada wobec tego jakby jakiś dwoisty charakter, z jednej strony korpuskularny, a z drugiej falisty.

Przewrót wywołany przez teorię kwantów polega przede wszystkim na tym, że obala ona zasadę ciągłości, która jest zgodna z prawami naszego myślenia, odnajdującymi swój wyraz w rachunku infinytezymalnym, zaś w związku z tym okazuje się, że do ruchu elektronów nie można stosować praw tak zwanej fizyki klasycznej, i że w świecie mikroskopowym nie można odnaleźć ścisłej przyczynowości, istnienie której uwarunkowane jest uznaniem ciągłości stanów poszczególnych zjawisk. W myśl dawnych pojęć uważano, że można określić jednocześnie pozycję elektronu w przestrzeni i jego szybkość, obecnie uważa się to już za niemożliwe. Gdy określamy jednoznacznie pozycję elektronu, nie możemy określić jednoznacznie jego szybkości i odwrotnie. Zanika również ścisła przyczynowość i związany z nią determinizm. Nie możemy na przykład, wytłumaczyć na podstawie praw mechaniki, dlaczego przy procesie rozpadu radu ten, a nie inny atom jego zostaje wyrzucony, to samo dotyczy również szeregu innych zjawisk.

Deterministyczny schemat dawnej nauki, która, jak zaznaczyliśmy poprzednio, była właściwie światem widm naszego myślenia, znika, gdy zetknęliśmy się bliżej ze zjawiskami świata mikroskopowego. Obecnie stanęliśmy już niejako w obliczu bezpośredniego laboratorium przyrody, w obliczu bezpośrednich zjawisk, którym nie możemy narzucać praw naszego myślenia, opartych na zasadzie ciągłości.

Poprzednio wszelkie obliczenia, oparte na tej zasadzie, obarczone były zawsze pewną nieściśłością, pewną rozbieżnością między wynikami teorii, a danymi obserwacji, rozbieżność tę przypisywano jednak nieuniknionym błędom obserwacji, przyczynowość przeto i determinizm panowały wszechwładnie w świecie zjawisk fizyki teoretycznej, które pokrywały się w przybliżeniu z zjawiskami rzeczywistego świata zmysłowego. Obecnie teoria kwantów doprowadza wogóle do mniemania, że nieściśłość i niepewność są nieodłączne od wszelkich zjawisk, które wogóle nie ulegają deterministycznemu wyznaczeniu. W myśl nowego ujęcia natury, w świecie mikroskopowym, w świecie atomów nie da się stwierdzić żadnego determinizmu, co zaś do rzekomych praw, rządzących światem makroskopowym, to według zdania konsekwentnych indeterministów, prawa te są wyłącznie natury statystycznej. Bo jeżeli ruchy i działania każdego poszczególnego atomu w jakimś materialnym ciele, czyli agregacie atomów, nie są ściśle wyznaczalne, to mimo to suma działań ogromnej ilości tych atomów, zawartych w danym agregacie, daje w przybliżeniu zawsze taki sam wynik, innymi słowy wahania w tę lub inną stronę sumarycznej wielkości działania mogą być tylko nieznaczące. Wpływa to z matematycznego prawa wielkich liczb, opartego na rachunku prawdopodobieństwa.

Za doskonały przykład takiego statystycznego prawa może służyć zależność ciśnienia gazu od jego gęstości i temperatury. W myśl zasad kinetycznej teorii gazów ciśnienie gazu na ścianki naczynia wywołane jest uderzeniami olbrzymiej ilości bombardujących chaotycznie ścianki cząsteczek gazu. Jeżeli zgodnie z tym założeniem obliczymy ciśnienie gazu, to stwierdzimy, że jest ono w przybliżeniu proporcjonalne do gęstości gazu i kwadratu przeciętnej prędkości cząsteczek. Zgadza się to w dostatecznym stopniu z pomia-

rami, o ile będziemy uważać temperaturę za miarę prędkości cząsteczek. Tak więc znane prawa Boyle-Mariotta i Gay-Lussac'a występują w tym ujęciu wyraźnie jako prawa statystyczne, oparte na zasadzie wielkich liczb. W ten sam sposób da się również wyjaśnić szereg innych praw fizycznych, które przeto w ostatecznym wyniku stają się prawami statystycznymi, opartymi na zasadach rachunku prawdopodobieństwa. Widzimy z powyższego, że nowe ujęcie natury, wypływające z teorii kwantów, prowadzi w prostej linii do zakwestionowania zasady przyczynowości, a w dalszej konsekwencji do indeterminizmu.

Poprzednio nauka ujmowała świat w ten sposób, że wyobrażała go sobie jako agregat, jako sumę nieskończenie wielkiej ilości cząsteczek czy też atomów, których stan w każdej chwili był jednoznacznie wyznaczony. Albowiem pozycja i szybkość każdej cząsteczki wpływały nieubłaganie z poprzedniego jej stanu i oddziaływania na nią innych cząsteczek, innymi słowy każdorazowy stan jej był funkcją czasu. Gdy zaś los każdej cząsteczki był jednoznacznie wyznaczony, tym samym był jednoznacznie wyznaczony los całego świata, jako sumy tych wszystkich cząsteczek. Determinizm w świecie makroskopowym był w tym ujęciu konsekwentnym wynikiem determinizmu w świecie atomów.

Jak widzimy nauka XIX wieku, zgodnie z swą analityczną metodą, wychodziła z elementów, to znaczy atomów, i z nich budowała całość jako zsumowany agregat tych elementów, nie uważała natomiast, by całość była czymś odmiennym od takiej sumy. Nie wchodziło na ogół w grę zupełnie pojęcie organizacji jako czegoś nadrzędnego, wyróżniającego całość. Dopiero wprowadzenie do nauki o energii pojęcia entropii zrobiło pewien wyłom w tym ściśle analitycznym ujęciu istoty świata fizycznego. Entropię określa się zwykle jako miarę rozproszenia energii lub też, co wychodzi na jedno, miarę wzrostu przypadkowości czy też dezorganizacji w świecie. Drugie prawo termodynamiki głosi, że entropia świata stale wzrasta, to znaczy wraz z biegiem czasu jego bytowania wzrasta element przypadkowości czy też, inaczej mówiąc, element dezorganizacji

energii w świecie, co musi prowadzić nieubłagane do energetycznej śmierci świata.

Pojęcie entropii jest właściwie jedynym, ważniejszym, syntetycznym pojęciem w nauce XIX wieku, odnosi się bowiem do świata jako całości zorganizowanej. Samo to pojęcie było jednak czymś w rodzaju intruza w całokształcie analitycznych pojęć ówczesnej nauki, która, wyróżniając zasadniczo energię od materii, nie miała jednak żadnych sprecyzowanych pojęć co do natury energii, a tym samym nie mogła mieć również żadnych sprecyzowanych pojęć co do tego, na czym właściwie może polegać wzrost dezorganizacji energii w świecie. Pojęcie organizacji, powtarzamy, nie odgrywało żadnej prawie roli w nauce XIX wieku, która, jak zaznaczyliśmy poprzednio, dążyła do tworzenia modeli mechanicznych dla poszczególnych zjawisk, a w rezultacie dla całego świata na podstawie tkwiących immanentnie w materii sił.

Całkiem inaczej przedstawia się rzecz w nowym ujęciu natury. Widzieliśmy, że determinizm tu znika, nie odkrywamy bowiem obecnie żadnych praw, któreby rządziły losem poszczególnego atomu. Świat musiałby się rozprząc w chaosie, gdyby nie istniała jakaś nadrzędna nadana elementom materii organizacja, która sprawia, że wszystko składa się ostatecznie, pomijając pewne odchylenia, na harmonijną całość. Nauka przeto w myśl swej własnej logiki musi obecnie uznać istnienie i nadrzędność organizacji świata, oddaje być może wbrew własnym intencjom hołd takowej.

Wracając obecnie do teorii kwantów stwierdzamy, że nowa koncepcja budowy atomu rozwija się w dostosowaniu do wymogów tej teorii. Wymogom tym czyni zadość przez pewien czas model atomu Nielsa Bohra, który początkowo był przyjęty przez naukę z wielkim entuzjazmem. Nie będziemy się tu zatrzymywać na szczegółach koncepcji tego modelu, wychodziłoby to bowiem za ramy niniejszej rozprawy, zaznaczamy tu tylko, że idee Bohra co do budowy atomu przedstawiały dziwną mieszaninę pojęć nowej fizyki kwantowej z pojęciami dawnej fizyki klasycznej. Zresztą takie dowolne mieszanie pojęć jest jedną z zasadniczych cech

współczesnej fizyki, które nadaje jej piętno kompromisu i w pewnym stopniu chaosu.

Model Bohra nie wytrzymał jednak przez dłuższy czas naporu nowych faktów, a w roku 1925 załamał się definitywnie. Przychodzi nowa teoria kwantów, rozwinięta przez Husenberga, Schrödingera i Deraca. W ujęciu tej nowej teorii elektron zatracą ostatecznie swą treść substancjonalną, wszystko przemienia się w świat symboli jakiejś niesamowitej mistyki matematycznej, niedostępnej zupełnie dla nie-matematyków. Schrödinger stwarza tak zwaną mechanikę falową na podłożu jakiegoś fikcyjnego subeteru. Atom czy też elektron jest tu tylko małym burzliwym obszarem w tym subeterze, sam zaś subeter nie istnieje w przestrzeni fizycznej, lecz w przestrzeni urojonej, symbolicznej, której nadaje się każdorazowo tyle wymiarów, ile tego wymaga rzekome wyjaśnienie danego zagadnienia. Elektron występuje tu już to jako cząsteczka, już to jako fala, staje się on ostatecznie czymś zupełnie nieokreślonym, jakimś środkiem fali pewnej funkcji, mierzącej pewne prawdopodobieństwo.

Analogia elementów świata mikroskopowego z bryłami świata makroskopowego, na której opierał się dawniejszy obraz świata, nie wytrzymała naporu faktów. Świat mikroskopowy począł się dematerializować, rozplýwać w nicość, substancja materialna znika, a pozostaje tylko świat czystej myśli, świat symboli matematycznych. Na miejsce mechaniki, powiązanej z substancją materialną, przychodzi czysta matematyka w formie oderwanych symboli. Duch ludzki jakby opisał błędne koło i wrócił do samego siebie nie otrzymując żadnej odpowiedzi na pytanie, czym jest świat fizyczny, czym jest substancja materialna, bo na pytanie to wogóle nie może być odpowiedzi, bo ostateczna natura substancji materialnej, jako rzeczy samej w sobie poza sferą naszej myśli, musi z natury rzeczy pozostać niepoznawalną.

Ewolucja, jaką przeszła nauka ścisła, uwidoczniła nam wyraźnie, że tak zwane prawa natury są albo tożsamościami, które wypływają z konstrukcji naszej myśli, i przy odkrywaniu których zmysł otrzymuje zpowrotem tylko to, co sam w nie włożył, albo też prawami statystycznymi, opartymi na poznawaniu jedynie przeciętnego skutku działania agregatu

indywidualu niezależnie od poszczególnych stanów tych lub innych atomów. Gdy zaś stanęliśmy bezpośrednio w obliczu tajemniczego laboratorium świata mikroskopowego, to nie można było już w nim dojrzeć żadnych wyraźnych praw, bo znika tu ciągłość, będąca warunkiem stosowania analizy matematycznej zgodnie z prawami naszego myślenia. Dla tego też próby kompromisu pomiędzy dawnymi ideami, wpływającymi z pojęcia ciągłości, a nowymi ideami, odpowiadającymi kwantowej strukturze energii, musiały doprowadzić do unicestwienia samej substancji materialnej, przeobrażenia jej w pewnego rodzaju fikcyjne falowanie, gdzie zmysł ludzki powraca do ciągłości, innymi słowy powraca do samego siebie, do swych własnych praw.

Obecny stan nauki charakteryzuje przede wszystkim dążności do upraszczania i eliminowania wszelkich pojęć, które stoją na przeszkodzie do budowy nowego symbolicznego obrazu świata, dalszy zaś rozwój nauki, o ile w obecnych warunkach wogóle może być mowa o takowym, będzie, zdaje się, kroczył w kierunku niczym niekrepowanego przystosowania myślenia do faktów przez wybór pojęć użytecznych i rugowanie pojęć nieodpowiednich, które hamują ruch naprzód, chociażby fikcyjny. Nauka wyzbywa się już obecnie dawnych idealnych dążeń do wyjaśnienia, zrozumienia natury, jak to było w okresie jej młodości, w czasach Kopernika, Keplera, Newtona, lecz upraszcza, dostosowuje, podfasowuje nawet często świadomie sofistycznie konstrukcje myślowe, by w rezultacie jednak coś wyszło.

Doskonałym przykładem sofistyczności i bezceremonialności, że się tak wyrażę, nauki współczesnej, może służyć istnienie poglądów na naturę geometrii, w myśl których przestrzeń nie jest ani euklidesowa ani nieeuklidesowa, wybór bowiem jednej lub drugiej jest sprawą konwencji, i możemy wobec tego posiłkować się taką geometrią, jaka się nam podoba, jaka lepiej się nadaje do interpretowania danego zagadnienia. Poza tym ruguje się, jak zaznaczyliśmy przed chwilą, pojęcia, które w obecnym stanie nauki nastroczają nieprzezwyciężone trudności, chociażby pojęcia te były zupełnie zgodne z prawami naszego myślenia, że wymienimy

tu takie pojęcia, jak pojęcie ruchu absolutnego, absolutnej jednoczesności lub też pojęcie energii istniejącej w układzie niezależnie od pomiaru. Pojęcia te nie tylko nie są sprzeczne z prawami naszego myślenia, lecz odwrotnie narzucają się bezpośrednio naszemu umysłowi, usuwa się je jednak, bo tego wymagają współczesne tendencje do upraszczania, tendencje do takiego ukształtowania fizykalnego obrazu świata, by nie było w nim nic, prócz rzeczy niezbędnych, by gmach nauki ścisłej był możliwie prosty. Tendencje te pozwolilibyśmy sobie określić jako dążenia stabilizacyjne, które zresztą przejawiają się również z wielką siłą w innych dziedzinach ludzkiego życia, co zdaje się wskazywać niezbicie na to, że cykl rozwojowy naszej cywilizacji zbliża się ku swemu nieubłaganemu zakończeniu.

Na tym kończymy nasze z konieczności krótkie rozważania na temat współczesnego stanu nauki, obecnie zaś dokonamy jeszcze krótkiego zreasumowania podstawowych zmian, jakim uległ dawniejszy obraz świata, wywodzący się z koperniko-newtonizmu. Więc w pierwszym rzędzie mamy uznanie względności wszelkich wielkości wymiernych, poczynając od elementów czasu i przestrzeni, jako też względności wszelkich zjawisk wogóle, które stają się zależne od układu odniesienia, co prowadzi do usunięcia eteru jako podłoża do tworzenia obrazu świata, opartego na podstawie ścisłego rozdzielenia trójwymiarowej przestrzeni od czasu. Wraz z tym zaczyna tracić swą poprzednią jasność i przejrzystość dawna mechanika klasyczna i wypływający z niej obraz świata, oparty na tworzeniu modeli mechanicznych dla każdego zjawiska. Na miejsce trójwymiarowej przestrzeni i czasu płynącego niezależnie od zjawisk przestrzennych, wkracza idea wielowymiarowej czaso-przestrzeni, w której nie da się już przedstawiać przebiegu zjawisk odrębnie w czasie, odrębnie w przestrzeni. W myśl nowej koncepcji przestrzeń jest skończona, lecz nieograniczona dzięki zakrzywieniu w jakimś wyższym wymiarze, przy czym nie istnieje realnie bez materii, zaś jej geometryczne własności są zależne od rozmieszczenia mas. Światło w takiej przestrzeni nie biegnie już po liniach prostych w nieskończoność, lecz może obieć świat cały wracając do swego punktu

wyjścia, zaś rolę dawnej siły w ujęciu newtonowskim obejmuje w ujęciu Einsteinowskim zakrzywienie czaso-przestrzeni.

W dalszym ciągu teoria kwantów zadała stanowczy cios panującej dotychczas w nauce idei ciągłości, zaś w związku z tym rachunek nieskończonościowy zaczyna zatracać swe dawne znaczenie zasadniczego narzędzia myśli do teoretycznego badania zjawisk fizykalnych i obecnie zaczyna się już mówić bez osłonek o fiasko Newtonowskiej analizy różniczkowej. Poza tym kwantowe ujęcie struktury energii zacierają już niejako dawną zasadniczą różnicę między materią a energią, które w nowym ujęciu natury zaczynają się zlewać w jedną całość. Materia może dematerializować się wyzwalając olbrzymie ilości energii, innymi słowy materia staje się już jakby skondensowaną energią, zaś z drugiej strony energii przypisuje się na wzór materii pewną chociaż nieznaczną masę bezwładną. W ten sposób dwie podstawowe zasady dawniejszej nauki zachowania masy i zachowania energii zlewają się w jedną zasadę, głoszącą niezniszczalność energii, a jeden z wybitnych współczesnych angielskich fizyków i astronomów Jeans nie wahał się już oświadczyć, iż zgodnie z opisem książki Rodzaju, cały świat materialny mógł zostać rzeczywiście utkanym z energii promienistej.

Nowa teoria kwantów, która powstała w związku z załamaniem się modelu atomu Bohra, doprowadza w mechanice falowej Schrödingera do zupełnej już prawie negacji substancji materialnej. Elektron w tym najnowszym ujęciu zatracą już ostatecznie prawie wszelką treść fizykalną, a staje się właściwie tylko wytworem czystej myśli, przeistaczając się w jakieś burzliwe miejsce w fikcyjnym subeterze, istniejącym w przestrzeni o siedmiu wymiarach, elektron sam staje się jakąś falą. Niektórzy fizycy dochodzą nawet do tego, że uważają fale elektronowe za fale prawdopodobieństwa, których natężenie jest w każdym punkcie miarą prawdopodobieństwa, znajdowania się tam elektronu. W takim ujęciu fizyka właściwie już znika, a pozostaje tylko jakaś niesamowita mistyka symboli matematycznych.

Wskazemy wreszcie na najgorszą być może zmianę, jaka dokonała się w ujęciu świata materialnego w ostatnich

czasach, jest to, jeżeli jeszcze nie obalenie, to w każdym razie poważne zachwianie podstawowej zasady całej nauki nowych czasów, zasady przyczynowości. Bo w świecie mikroskopowym obserwacja nie stwierdza już istnienia tej zasady, zaś w świecie zjawisk makroskopowych konsekwentni badacze dopatrują się jedynie istnienia praw statystycznych, opartych na zasadzie wielkich liczb. W związku z tym znika również dawniejsze pojęcie nieubłaganego determinizmu, tkwiącego immanentnie w samym świecie, a na to miejsce przychodzi z natury rzeczy uznanie istnienia początkowej organizacji, która jednak może stopniowo wyczerpywać się w nieznanym nam sposób.

Widzimy z powyższego, że nowy obraz świata, a raczej próby tworzenia nowego obrazu świata idą po linii zupełnej prawie negacji dawnego fizykalnego światopoglądu, tkwiącego swymi korzeniami w koperniko-newtonizmie.

Inż. Adolf Kliszewicz.

Masoneria w polskim szkolnictwie.

Główne centrale masonerii już od XIX wieku zwracają baczną uwagę na młodzież i dzieci od pierwszych lat życia. Jeden z dygnitarzy loży Wielkiego Wschodu Francuskiego w ten sposób uzasadnia potrzebę wychowania młodzieży w duchu masońskim: „Jeżeli jakie usiłowania masonerii mogą osiągnąć wyniki, to przede wszystkim te, które zmierzają do moralnego i obywatelskiego urobienia dziecka. Dusza dziecka jest miękkim woskiem, na którym odbijają się najłżejsze dotknięcia, sumienie jego jest bezwyznaniowe, gdyż dziedziczność nie włada nim jeszcze niepodzielnie. Dusza dziecka stanowi idealną materię, najzdadniejszą do do naszej pracy. Masoni mają u dziecka cudowne pole działania. Zanim myśleć będziemy o szerzeniu masońskiej moralności na zewnątrz, zając się musimy przede wszystkim dziećmi i młodzieżą, która później ma wejść w skład masońskich stowarzyszeń”.¹⁾

Powyższe wynurzenia menera masonerii francuskiej zostały poparte w r. 1934 uchwałami loży Wielkiego Wschodu szczególnie energicznie w chwili, kiedy pod wpływem skandalicznej afery Stawiskiego front masoński zaczął się kruszyć, a liczne dezercje członków masonerii spowodowały wybitne uszczuplenie jej wpływów. Wówczas to masoneria francuska postanowiła wypełnić powstałe w swych szeregach luki wciągnięciem do łóż kobiet i młodzieży. Na rozkaz loży Wielkiego Wschodu zdwoiła masoneria we wielu krajach świata swą działalność w kierunku zdobycia duszy

¹⁾ Marquès - Rivière: *Wolnomularstwo a szkoła*. 1936.

młodzieży i sparaliżowania jedynej przeszkody, która słabą i bezbronną młodzież ratuje, tj. religii katolickiej. Od tego czasu datują się wszędzie gwałtowne i przyspieszone zarządzenia masonerii na terenie szkolnictwa, spowodowane przez oddanych sobie ludzi, aby wychowaniu i nauczaniu młodzieży nadać charakter laicki, nauczycieli - katolików pozbawić wpływu na młodzież lub zgniebić, zaś rodziców - katolików szykanami pieniężnymi i moralnymi steroryzować. W Polsce na ten czas przypadały rządy braci Jędrzejewiczów, którzy pod pretekstem ideologii Marszałka Piłsudskiego w sposób niesłychanie brutalny i bezlitosny zgnieśli wszelką wolną myśl i krytykę nieszczęsnych swych reform szkolnych, zdeprawowali w wysokim stopniu stan nauczycielski, zamieniając szkołę polską, to najdroższe ukochanie polskiego społeczeństwa, w prawdziwy mur płaczu. Na społeczeństwo wyczerpane materialnie i moralnie spadły nieprawdopodobne ciężary finansowe, egzekwowane w sposób drakoński i bezwzględny przez władze szkolne. Jedynie społeczeństwo żydowskie jako materialnie zasobniejsze wyszło z tej niesamowitej dyktatury obronną ręką.

Pod protektorem i mozną opieką braci Jędrzejewiczów powstały też związki młodzieżowe: Legion Młodych i Straż Przednia, których zadaniem było bezpośrednio przygotowanie adeptów, do akcji partyjno - politycznej, pośrednio zaś dzięki radykalnej ideologii i do łóż masońskich. Inspirałorem i kierownikiem tych związków był niedawno zmarły Adam Skwarczyński. Czy takie istotne przyświecały mu cele nie chcemy i nie możemy decydować. Chociaż związki te skompromitowały się w oczach opinii publicznej licznymi przestępstwami natury moralnej, mimo to prowadzą w dalszym ciągu swą propagandę, znajdując zamaskowanych protektorów w osobach zajmujących wysokie i wpływowe stanowiska.

Żywą działalność rozwinęła na terenie szkolnictwa masoneria hiszpańska bezpośrednio przed wybuchem rewolucji. Do związków młodzieżowych wciągnięto nawet 12-latków, którzy odznaczyli się potem w czasie wojny domowej bestialskim terrorem w Barcelonie, stosowanym do duchowieństwa i świeckich katolików. W Meksyku zduszono szkolnictwo katolickie prywatne, a państwowe poddano najwyraźniej wpływom

komuny. Gdziekolwiek masoneria zdołała swój wpływ na młodzież utrwalić, wszędzie tam zjawia się demoralizacja jako nieodstępny towarzysz etyki masońskiej. Społeczeństwa zlaicyzowane, zatraciwszy zupełnie wrażliwość moralną, przyjmują objawy zepsucia młodzieży jako zjawisko normalne. W demoralizacji tej przoduje oczywiście młodzież sowiecka, wychowana w szkole bezbożników rosyjskich.

Francja jednak jest macierzystym krajem masonerii świata. Tam też powstał wzór, naśladowany następnie we wszystkich krajach, w których masoneria zdobyła wpływ na rząd, oraz szerokie warstwy społeczeństwa. Doświadczenia francuskiej masonerii na polu wychowania i szkolnictwa wyzyskiwane są skrzętnie przez masonów innych krajów i przystosowywane odpowiednio do trudności, z jakimi w realizacji bezbożnictwa spotykają się na innych terenach. Dlatego niezmiernie pouczającym jest zapoznanie się z planem i metodami tej akcji rozwiniętej na wielką skalę i w najdrobniejszych szczegółach opracowanej.¹⁾

Podstawą, na której się opiera masoneria francuska, jest słynna Deklaracja Praw Człowieka, stanowiąca fundament konstytucji francuskiej. Wprawdzie Deklaracja Praw Człowieka głosi w teorii zasadę wolności sumienia każdego obywatela, ale w praktyce określenie tego pojęcia uzależnia od większości francuskiego parlamentu. Ta właśnie większość zadecydowała, że zarówno wychowanie, jak i nauczanie w państwowych szkołach francuskich ma być laickie tj. świeckie. Do r. 1905 rozumiano we Francji „świeckość” jako wyraz oznaczający uniezależnienie się od jakiegokolwiek wyznania, jako nieokreślony deizm, jako pewną formę wierzeń możliwą do przyjęcia przez wszystkich obywateli, a wreszcie jako złośliwą przyjemność bronienia idei Boga przeciw Kościołowi i wywyższania Go ponad wszelki Kościół. Laicyzm w początkowej fazie był ekstraktem różnych wiar i łączeniem tego, co było im wspólnym. Od r. 1905, od kongresu młodej generacji, wychowanej w duchu laickim, słowo

¹⁾ Źródłem, z którego czerpię informacje jest dzieło: pt. *L'école d'aujourd'hui* napisane w r. 1906 przez wybitnego historyka kultury Jerzego Goyau, a opatrzone ścisłymi dokumentami kongresów masonerii i masońskiego nauczycielstwa.

„świeckość“ nie oznacza już jakiejkolwiek wiary w Boga, ale wiarę w Rozum, wyzwolony od jakichkolwiek wpływów religii. Jednym słowem, „świeckim“ nazywa się ten, kto jest przeciwnikiem wszelkiej religii.

Pierwszą ofiarą ewolucji słowa „świeckość“ był Bóg. W podobny sposób postąpiono we Francji ze słowem „ojczyzna“. Wyraz ten, tak ważny w wychowaniu państwowym, obejmował zrazu pojęcie dumy i honoru narodowego, obrony narodowej i jej istoty, tj. armii. Od kongresu w Tours, na którym młodzież francuska zlaicyzowana oświadczyła się za pacyfizmem, zaczęto zwalczać takie pojęcie ojczyzny i narodu jako szowinistyczne i reakcyjne, a zastąpiono je pojęciem proletariatu, który „ma prawo wymagać, aby ojczyzna coś dla niego zrobiła“. W ten sposób z rozwiniętymi sztandarami stanęła laicka młodzież francuska w obozie socjalistycznym, a całe współczesne szkolnictwo państwowe we Francji znalazło się w krótkim czasie pod wpływami socjalizmu i radykalizmu. Dziś górę bierze komunizm.

Odstępstwo od szczytnych, tradycyjnych haseł Boga i Ojczyzny pod pozorem wprowadzenia świeckiego wychowania i nauczania w szkole, było pierwszym etapem w zdobywaniu przez masonerię francuską wpływu na szkoły.

Drugim etapem były wysiłki masonerii, aby znieść zupełnie szkolnictwo prywatne, które choć kosztowniejsze, znajduje się prawie wyłącznie w rękach katolickich. Ponieważ oficjalne zniesienie tego szkolnictwa stoi w krzyczącej sprzeczności z wolnościową Deklaracją Praw Człowieka, postanowiono je zniszczyć podstępnie przez mnożenie trudności finansowych, przez odmówienie praw publiczności, a wreszcie przez zabronienie nauczycielom państwowym nauczania w szkołach prywatnych.

Trzecim i ostatnim etapem,¹⁾ do którego masoneria dąży, jest ujednolajnienie szkolnictwa. Przez ujednolajnienie to rozumieją masoni przede wszystkim zmonopolizowanie szkolnictwa w rękach państwa, ale także usunięcie nie tylko wszystkich nauczycieli - katolików, ale i wszystkich niekatoli-

¹⁾ Marquès-Rivière: *Wolnomularstwo a szkoła*.

ków, którzy pod względem religijnym czy narodowym nie odpowiadają wymaganiom prawowierności masońskiej. Pomysłano też o systemie bezwzględnych represyj wobec opornych rodziców, którzy by się wahali przyjąć narzucony im masoński system wychowawczo - dydaktyczny. Dyktatura masonerii ma być bezlitosną i bezwzględną.

Masoneria francuska stworzyła metodę, która i w innych krajach jest naśladowana z mniejszym lub większym powodzeniem. Głównym środkiem służącym do opanowania szkolnictwa jest obsadzenie administracji szkolnej masonami. Zarówno ministrowie jak i szefowie departamentów ministerstwa oświaty we Francji rekrutują się z masonów. Okiem w głowie masonerii jest szkolnictwo powszechne. Ponieważ nauczycielstwo szkół powszechnych uzależnione jest od inspektorów szkolnych, więc główny nacisk masonerii zwrócony jest w tym kierunku, aby stanowiska inspektorów znalazły się w rękach ludzi oddanych masonerii. Szerokie masy nauczycieli szkół powszechnych zorganizowane są w związki, których dyktatorami są notoryczni masoni.

Drugim środkiem pomocnym we wpływie na nauczycielstwo jest podwójny wywiad: policyjny i masoński. Przedmiotem wywiadu są nauczyciele katolicy nie tylko w swym życiu szkolnym, ale i prywatnym. Wywiad sięga nawet do kandydatów seminariów nauczycielskich, którzy zanim otrzymają posadę, już mają przez wywiad określoną notę prawomyślnych lub nieprawomyślnych.

Na terenie zaś samej szkoły masoneria usiłuje przeznaczyć punkt ciężkości z nauczania na zajęcia poza lekcyjne. Młodzież francuska odrywana jest od nauki szkolnej przez różne organizacje społeczne, których celem jest odwrócenie uwagi od życia wewnętrznego, a zwrócenie ku zewnętrznemu. Jednym z dalszych środków zeświecczenia szkoły jest urządzenie periodycznych świąt młodzieży, mających zastąpić święta kościelne. Szczególnym zainteresowaniem masonerii cieszy się wychowanie fizyczne. Niemal wszystkie ośrodki wychowania fizycznego we Francji znajdują się w rękach ludzi oddanych masonerii. Celem ich pracy jest szerzenie poglądów na życie płciowe odmiennych od poglądów Kościoła, dalej propaganda nudyzmu i swobody

obyczajowej. Ostatnim wreszcie środkiem, służącym celom masonerii, jest koedukacja. Wyliczyłem oczywiście tylko ważniejsze ze środków, stosowanych z sukcesem we Francji a których pewne analogie można odnaleźć bez trudności także i w Polsce. Nie wymieniam sposobów, za pomocą których wywiera się we Francji nacisk na rodziców, aby ich materialnie i moralnie zmusić do wyrzeczenia się religii. Na dzieci naprzykład przystępujące do Komunii św. wywiera się taką presję, że w dniu przyjęcia przez nie Komunii św. prowadzono je w niektórych wypadkach do szkoły i zmuszano terrorem do ślubowań antyreligijnych. Zrzeszenia rodzicielskie i stowarzyszenia młodzieży pozaszkolne są specjalnym przedmiotem czujności masońskiej. Oto w szkicowym skrócie całokształt metod, za pomocą których opanowują masoni wychowanie i nauczanie. Te środki działania spotkały się jednak z energicznym przeciwdziałaniem ze strony francuskich katolików i odwołają chwilę zwycięstwa masonerii na nieokreślony czas. Z tego też powodu masoneria francuska łączy się dziś niedwuznacznie z żywiołami rewolucyjnymi, a przede wszystkim z komunistami w tej nadziei, że przez rewolucję osiągnie za jednym zamachem to, co wymaga długiego wysiłku lat i wytężonej pracy. Eksperyment masonerii hiszpańskiej czy meksykańskiej ma swoje znaczenie.

*

*

*

Jeśli plan i metody działania masonerii francuskiej na polu szkolnictwa porównamy z tym, co się w Polsce w tej dziedzinie dokonało, to musimy zauważyć, że chyba i u nas działała ta sama tajemnicza organizacja, choć oczywiście na mniejszą skalę i z mniejszym sukcesem. Wystarczy bowiem zestawień każdy z punktów planu masonerii francuskiej z faktami dokonanymi w Polsce, by ulec tej narzucającej się sugestii. A więc nasamprzód postawmy pytanie: czy szkoła polska jest wyznaniową? Program ministerialny głosi wprawdzie, że wychowanie młodzieży ma być religijne i moralne, nie określa jednak nigdzie, zgodnie zresztą z konstytucją, co przez religijność i moralność rozumieć

należy. De facto mamy szkolnictwo międzywyznaniowe. Z określenia samego programu wynika, że religia w wychowaniu może być w dość dowolny sposób tłumaczona. Określenie to brzmiało zresztą podobnie także w programach francuskich. Rzeczą masonerii było, aby religijność tę pojmowano jako nieokreślony deizm, wrogi religii objawionej, zanim przystąpiono do całkowitego wyrugowania i tej namiastki. I w Polsce byłoby może doszło z czasem do podobnej interpretacji programu, gdyby minister oświaty Bartel nie wydał rozporządzenia, które tę sprawę wyjaśniło zgodnie z brzmieniem konkordatu. Rozporządzenie ministra Bartla ustaliło, że wychowanie i nauka religii katolickiej jest w szkole dla młodzieży katolickiej obowiązującą. Pamiętamy wszyscy zaciekły atak pewnych sfer na okólnik min. Bartla. Masoneria polska, nie mogąc jednak wycofać tego rozporządzenia, spowodowała przynajmniej jego osłabienie. I tak minister oświaty Jędrzejewicz wydał ostrożnie i mętnie zrehabilitowane polecenie kuratoriom szkolnym, że nauka religii katolickiej ma być uwzględniana tylko w tych szkołach, w których zgodzi się na to inspektor szkolny. To znaczy, że uczenie religii zależało w dużej mierze od dobrej woli inspektora. Rezultaty tego okólnika ministerialnego okazały się niebawem. W całym szeregu kuratoriów, a głównie w okręgu szkolnym lwowskim, wołyńskim, wileńskim, krakowskim, śląskim i warszawskim, znaleźli się inspektorowie szkolni, którzy pod różnymi pozorami nie dopuszczali do wykładu nauki religii w szkołach powszechnych, wywołując nawet nieraz lokalne strajki szkolne. Dopiero energiczna postawa polskiego episkopatu zlikwidowała te sporadyczne zajścia. Zdarza się jednak jeszcze dotąd, że naukę religii w szkole powszechnej powierza się nauczycielom, nie posiadającym odpowiednich kwalifikacyj, a nawet nie brak wypadków, że religii uczą nauczyciele ateści.

Drugi postulat masonerii, aby znieść szkolnictwo prywatne został wysunięty jako żądanie całego Związku Nauczycielstwa Polskiego. Deklarację taką zgłosiła nawet ostatnio deputacja tegoż związku na ręce naczelnego wodza Rydza-Śmigłego, składając równocześnie sto tysięcy na F. O. N. Za czasów ministerstwa panów Jędrzejewiczów polskie szkoły

prywatne były jak wiadomo w specjalny sposób szykowane. Gnębiono je moralnie i materialnie. Wiele szkół prywatnych, powszechnych i średnich, które nie mogły zakupić kosztownych i luksusowych urządzeń, bibliotek i laboratoriów, zamknięto. Kierownikami szkół prywatnych mogły być tylko osoby przez kuratoria polecane. Postępowanie takie było jawnym nadużyciem. Nie robiono więc tego otwarcie, ale drogą prywatną informowano zakłady szkolne, że dany kandydat na kierownika nie jest u władz mile widziany. To samo zdarzało się w sprawie przyjmowania sił nauczycielskich. Narzucono szkołom prywatnym osoby, które dla kierunku szkoły były zupełnie nieodpowiednie. Pojawiające się periodycznie żądania zniesienia szkół prywatnych w Polsce należy uważać za prowokację masońską.

Trzeci zato postulat masonerii ujednostajnienia szkolnictwa jest już w Polsce częściowo zrealizowany. Szkoły prywatne mają ten sam program wychowania i nauczania, który jest w szkołach państwowych, te same plany naukowe i metody dydaktyczne, wreszcie te same podręczniki. Podlegają kontroli organów państwowych i podzielone są na poszczególne kategorie; wyższe i niższe. Podział szkół prywatnych na kategorie otwiera szerokie pole do nadużyć, gdyż radykali ministerialni uzależniali nieraz nadanie wyższej kategorii od swojego widzimisie, by nie mówić o tajnych instrukcjach. Ponieważ większość szkół prywatnych znajduje się w rękach katolickich, nic więc dziwnego, że zarządzenia ministerialne robiły wśród nich formalne spustoszenie. Niestety społeczeństwo polskie katolickie nie umiało dotąd należycie bronić własnej sprawy. Zadaniem najbliższej przyszłości będzie sprawę tę wszechstronnie przez prasę oświetlić a społeczeństwo musi zażądać jej unormowania.

Według zaleceń masonerii propaganda wolnomularska powinna posługiwać się przede wszystkim zrzeszeniami zawodowymi i władzami administracyjnymi. Wymarzonym terenem dla propagandy masońskiej okazał się u nas Z. N. P. Istniejące w tym związku koło „spasowiaków” było pierwszą komórką wolnomyslicielstwa wśród nauczycielstwa polskiego. Z niego wyszli obecni dyktatorzy Z. N. P., niektórzy szefowie departamentów ministerstwa oświaty, kuratorzy niektórych

okręgów. Okres rządów braci Jędrzejewiczów szedł świadomie czy podświadomie ale faktycznie po linii marzeń masonerii. Od tego też czasu Z. N. P. stał się jak gdyby nieoficjalnym ministerstwem oświaty, które rozstrzygało o najważniejszych sprawach programowych, organizacyjnych i osobowych. Wpływy swoje na administrację szkolną okupił Z. N. P. olbrzymimi ofiarami. Wyliczę najważniejsze: cofnięcie dotychczasowej pragmatyki nauczycielskiej, przeszeręgowanie nauczycielstwa, redukcje płac nauczycielskich i przeprowadzenie nowej reformy szkolnej. W rezultacie tego układu Z. N. P. oddał do dyspozycji radykalnej administracji szkolnej wielotysięczne rzesze nauczycielstwa. Na nauczycielstwo spadły niesłychane ciężary natury wychowawczej i społecznej, których celem było faktyczne prowadzenie młodzieży według wytycznych masonerii. Rozpoczęła się zażarta walka ukryta i jawna z duchowieństwem i religią, wytężona praca nad zeświecczeniem młodzieży, objawiająca się w licznych szczegółach i urabianie w tym duchu rodziców, a wszystko to działało się w imię rzekomej ideologii marszałka Piłsudskiego. Niechętnych i opornych nauczycieli przetrzucano tysiącami z jednego końca Rzeczypospolitej na drugi, łamano moralnie i fizycznie. Inspektorzy szkolni spełniali niejednokrotnie rolę knuta carskiego. Do chwili obecnej całe nauczycielstwo szkół powszechnych żyje w ciągłym strachu i przygnębieniu. Jedynie zaufani możnych prefektorów cieszą się zupełną bezkarnością, swobodą i bagatelizowaniem wszystkiego. Oślawił się przy tej sposobności jako mistrz w gnębieniu nauczycielstwa, szef biura personalnego w ministerstwie W. R. i O. P., dziś już na szczęście usunięty z tego stanowiska. Dalszym środkiem stosowanym bez wątpienia przez masonerię, a służącym do steroryzowania nauczycielstwa jest wywiad policyjny i zawodowy. Nauczyciel szkół powszechnych na wsi zależny jest niekiedy w swej egzystencji od posterunkowego policyjnego, który informuje władze administracyjne o publicznym i prywatnym życiu nauczyciela. Według podejrzeń nauczycielstwa istnieją nawet w kołach zawodowych wywiadowcy, którzy swe opinie o kolegach przesyłają już to władzom politycznym, już to szkolnym. Nici tego podwójnego wywiadu skupiają się w biurach perso-

nalnych pojedynczych kuratoriów. Biura te prowadzą równocześnie kontrolę nad życiem urzędników kuratorskich.

Duch podejrzliwości i nieufności, podsycany przez wywiady rozluźnił do reszty organizację szkoły. Wałą przysługę oddały tajemniczym czynnikom rządzącym polską szkołą tajne kwalifikacje nauczycielstwa, wydawane przez władze szkolne.

Podobnie jak we Francji odczuwa się w Polsce wpływ masonerii na wychowanie fizyczne. Jeżeli zadaniem masonerii jest dążenie do wyemancypowania się młodzieży z uczucia wstydu przez wychowanie fizyczne, to należy przyznać, że jest wiele ćwiczeń cielesnych, wprowadzonych do szkół zwłaszcza żeńskich, które skutecznie prowadzą do stępienia jeśli nie całkowitego zabicia wstydlivosti. Nie jest to uwaga moralisty, ale twierdzenie oparte na obserwacji tej młodzieży szkolnej, która te ćwiczenia przeszła. Równolegle z ćwiczeniami fizycznymi, prowadzącymi do stępienia wstydlivosti, uprawia się szeroko rozwinętą w szkole dancinomanie. Dzisiejsze tańce, wywodzące się z murzyńskiego kultu płci a zalecane przez szkoły, przyczyniają się wśród naszej młodzieży do przedwczesnego rozbudzenia popędu płciowego, często nawet do rozpusty.

Także w dziale pracy społecznej możemy zauważyć te same dążności jakimi się kierowała masoneria we Francji. Pod pokrywką uspołecznienia odrywa się młodzież od nauki i pracy domowej, odzwyczajają ją od skupienia i kultury wewnętrznej, a zmusza ją niemal do życia zwróconego na zewnątrz i przeważnie bezmyślnego.

Na wzór francuski wprowadzono u nas koedukację w szkołach powszechnych i częściowo średnich. Jak zawsze tak i tym razem masoneria posługiwała się kłamliwymi pozorami twierdząc, że koedukacja w Polsce wskazana jest względami oszczędnościowymi. Nazbyt częste i jaskrawe naruszanie tych zasad przez władze szkolne, a w szczególności przez inspektorów szkół powszechnych, obudziło jednak narreszcie czujność sfer katolickich i wywołało skuteczny protest. Na razie koedukacja ograniczona jest do wypadków sporadycznych.

Zżycie się młodzieży polskiej z liturgicznym rokiem kościelnym starała się masoneria polska osłabić przez wpro-

wadzenie świąt młodzieży o charakterze czysto świeckim. Wspomnę tylko święto matki, dziecka, lasu itp. Bardzo silny wpływ masonskiej ręki odczuwa się w dziedzinie zrzeszeń rodzicielskich. Rolę patronatu ogranicza się w szkole do spraw finansowych. Natomiast rodzice, należący przymusowo do patronatów, są w specjalny sposób straszeni i niepokojeni. Tego ducha szykany w tych organizacjach zawdzięczamy również b-iom Jędrzejewiczom, którzy wymyślili fiskalny sposób maltretowania rodziców. W czasie największego kryzysu ekonomicznego w Polsce wyśrubowali opłaty szkolne do granic niemożliwych, a nadto w szkołach powszechnych zmusili rodziców do ciągłych świadczeń finansowych na potrzeby szkolne. Kto bacznie obserwuje całą reformę szkolną zarówno w szkołach powszechnych jak i średnich, ten mógł zauważyć, że rezultatem wszystkich dotychczasowych reform było obniżenie poziomu naukowego i moralnego młodzieży przy równoczesnym fizycznym i moralnym steroryzowaniu nauczycielstwa oraz rodziców. Wolnomysłiciele polscy upozorowali konieczność reformy wymaganiami nowoczesnej pedagogiki i dydaktyki. Było to oczywiście kłamstwo. Wszystko, co w nowoczesnej pedagogice jest najmniej realnym i wartościowym, albo co już zostało zarzucone jako błędne, wprowadza się z amerykańską reklamą do szkół polskich. Kłamstwo to jest już zresztą widoczne podobnie, jak we wszystkich poczynaniach masonskich.

Rządy wolnomysłicielskiego radykalizmu, by nie powiedzieć masonerii pogrążyły szkolnictwo polskie w otchłań ciemnoty i zacofania. Stanowią one czarną kartę w kulturze polskiej. Wpływ tych rządów trwać będzie dziesiątki lat, zanim wszystkie fatalne skutki ich działania znikną. A są one wprost przerażające. Milion dzieci w Polsce bez szkoły. Te dzieci, które ukończyły tak szumnie reklamowaną siedmioklasową szkołę powszechną, wpadają w powtórny alfabetyzm. Młodzież, która kończy dzisiejsze szkoły średnie ani pod względem moralnym, ani pod względem intelektualnym, ani wreszcie pod względem fizycznym nie przedstawia w znacznych odsetkach większej wartości dla przyszłości państwa. Stan nauczycielski, świetnie się zrazu zapowia-

dający, jest zdemoralizowany lub zradykalizowany. Rodzice i społeczeństwo zniechęcone. Kłamstwa masonerii wydały swe zatrute owoce.

Z tych mroków i ciemności trzeba polską szkołę dźwignąć. Niech w miejsce dotychczasowych kłamstw zapanuje w polskiej szkole znów prawda. Niech duch podejrzliwości i nieufności, zasiany przez wywiady, ustąpi nareszcie duchowi zaufania i dobrej woli. Tylko w atmosferze swobody i nieprzedawnionych ideałów religijnych może polska szkoła odżyć. Ale oczywiście nie będzie to już szkoła idąca po linii ideałów masońskich, ale szkoła Chrystusowa. Im szybszy będzie zwrot ku tym ideałom w naszym społeczeństwie, tym rychlejszy powrót do światła. Przyznać też musimy, iż obecny kierunek ministerstwa W. R. i O. P. poprawił już niektóre błędy poprzedniego reżimu a spodziewać się można, że z drogi tej nie zboczy. Tempo życia dzisiejszego nie jest sielankowe i powolne, ale dramatyczne i żywiołowe. W tym leży zapowiedź, że i odrodzenie szkoły polskiej może przyjść w sposób nieoczekiwany i gwałtowny. Tylko trzeba czuwać i pracować.

Franciszek Lasoła.

Przebudzenie lwa.

Alkazar.

Śmiało rzec można, że od czasu wielkiej wojny i rewolucji bolszewickiej w Rosji nie zdarzyło się nic równie wstrząsającego jak obecne wypadki hiszpańskie. Więcej nawet. Wojny domowej o podobnym natężeniu wojskowym i duchowym trzeba szukać w historii chyba tylko wstecz, gdzieś w początkach ub. stulecia, i nie w każdym kraju by się ją odnalazło. A wojny zewnętrznej bodaj również.

Niektóre epizody lat 1914—18, jak szturmy niemieckie nad Izerą w Belgii albo pod Verdun, rozmiarem krwawej hekatomby przewyższyły niemal całą dotychczasową kampanię hiszpańską. Ale walki te nosiły poniekąd charakter masowego „mechanicznego uboju”. Straszliwe żniwo śmierci, którego dokonały było przede wszystkim dziełem maszynowej broni palnej, w mniejszym zaś stopniu psychiki bojowej stron walczących, jak to ma miejsce w Hiszpanii.

Rewolucja bolszewicka wyróżnęła lub zagłodziła koło 2 milionów rosyjskiej inteligencji względnie burżuazji, ale głównie krwawym terrorem nad bezbronnymi. Działania wojskowe przewrotu październikowego trwały niedługo i poszły stosunkowo gładko. Wojny z Denikinem i Kołczakiem były właściwie odparciem najazdów interwencyjnych, organizowanych z zewnątrz i nie odbiegały zbyt od szablonu. Bitwa pod Warszawą w 1920 roku, wspaniała jako czyn militarny, politycznie niezmiernie doniosła, nie była bardziej krwawą niżli inne bitwy tej samej historycznej miary. Wreszcie najświeższa wojna abisyńska, to łatwy triumf broni

maszynowej i organizacji wojskowej nad źle uzbrojonym, źle wyćwiczonym i niesfornym wobec swego dowództwa przeciwnikiem. Doniosłe zaś społecznie przewroty wewnętrzne we Włoszech i Niemczech dokonane zostały prawie bez rozlewu krwi.

Czegoś podobnego zatem jak teraz w Hiszpanii dawno już w Europie nie było: takiego niesłychanego rozstrożenia psychiki bojowej, takiej niemal średniowiecznej walki „nie na życie, ale na śmierć”. Potworny terror nad bezbronnymi odgrywa tu nie mniejszą stosunkowo rolę niżli w wielkiej rewolucji francuskiej lub ostatniej rosyjskiej. Jeńców przeważnie nie biorą, boby ich nie upilnowali i nie wyżywili. Jednak w samych działaniach wojennych ujawniły się ponadto inne jeszcze cechy, jakby atawistyczne, które w „normalnych” wojnach nowoczesnych już przybladły. *Totaler Krieg* — to prawda. Wojna bez litości i bez pardonu jak między Turkami a powstańcami greckimi dwudziestych lat ub. wieku. Ale z tego ponurego, dantejskiego tła raz wraz wystrzelają płomieniste róże takiego przedziwnego bohaterstwa, że osłupiałymi oczyma spogląda na nie współczesny świat jak na wcielające się w życie legendy.

Ten ginący świat materializmu oddał wszak swą duszę chuci żywota aż do ostatnich kresów idiotyzmu i upodlenia. Francuscy radykałowie „idei pacyfistycznej” nie wstydzą się publicznie głosić, że lepsza jest od wojny... niemiecka niewola. Dla tych ludzi więcej warte jest psie życie niżli lwia śmierć. Sztuka dumnego umierania stała się dla nich do tego stopnia niepojętą, że zdeprawowaną swą duszą zdolni są odczuwać ją tylko jako „pozę”. Jak wygląda „zracjonalizowana” według tych zasad śmierć, to współcześnie już z wojną hiszpańską zademonstrowała moskiewska „egzekucja szesnastu”. Zapowiedział im prokurator czerwonego cara, że ich wystrzela jak psy i jak psy do tego strzału przywarowali liżąc dłoń kata. Nie myli się więc wdowa po Leninie, że wraz z nimi rozstrzelany został międzynarodowy komunizm. Bo takie psie wsparcie nie może być krwawym posiewem żadnej idei. Ono idee topi w hańbie.

Lecz gdy tak w Moskwie okazano światu, jak zdychają psy, które na swą modłę chciały wszak przekształcić czło-

wieczność, na przeciwnym krańcu Europy z dymu pożarów i kurzu krwi wynurzyły się obrazy śmierci lwiej. Takiej śmierci, o jakiej z uniesieniem woła wielka nasza poetka, że to nie śmierć, lecz życie. W Hiszpanii zmartwychwstaje rycerstwo. Nikt, komu materializm nie wyżał jeszcze z duszy czci dla wielkich cnót bojowych, nie mógł bez wzruszenia czytać opisów szturmów na Irun. To nie były walki maszyn i mas spędzonych na pole bitwy przede wszystkim poborem, a żelazną dyscypliną miotanych w ogień. To przede wszystkim były walki nielicznych, dobranych zastępów ludzi, świadomie oddających życie za ideę, której triumfu pragną. Podobnie jak polska bitwa o Warszawę rozmiarem swym i charakterem silniej niżli epizody wojny światowej opierała się o duchowe wartości natury ludzkiej, tak też obecnie dzieje się w Hiszpanii, z jeszcze może wyrazistszym akcentem indywidualistycznym.

Alkazar w Toledo sięgnął tutaj szczytów, którym cała epoka materialistyczna okazała się niegodną dostarczyć analogii, aż wstecz po naszą redutę Ordon, greckie Misolungi, hiszpańską Saragossę, polsko-hiszpańską Somosierrę. Epicki bój na miarę tytanów. Tysiąc paruset młodych uczniów szkoły kadeckiej (co za materiał oficerski dla armii hiszpańskiej!) zamknęło się wśród grubych murów średniowiecznego zamczyska, by służyć tu przeciw komunistycznemu powstaniu. Jak każdej twierdzy, tak i ich tutaj zadaniem wojskowym było związać znacznie liczniejsze od załogi siły oblegające, odciągnąć je z frontu, zwiększyć o tyleż widoki bojowe strony, do której forteca należy. Zadanie to spełniają kadeci w Alkazarze wytrwale i mężnie przez cały czas kampanii. Wreszcie wkroczyła ona w stadium rozstrzygające strategicznego ataku wojsk powstańczych na stolicę. Oswobodzenie sił związanych przez Alkazar w Toledo i wzmocnienie nimi obrony Madrytu staje się nagłą koniecznością dla czerwonego dowództwa. Skoro wielokrotne szturmy nic nie wskórały, uciekł się rząd madrycki do pośrednictwa jednego z ambasadorów zagranicznych, gwarantując tym niejako, że jeśli kadeci poddadzą twierdzę, to nie zostaną zmasakrowani, lecz będą mogli odejść, może nawet z bronią na front powstańczy. Kadeci odmawiają. Nie

dla heroicznej „pozy“. Oni wiedzą, że odeszłaby ich na front tylko garść, milicji zaś czerwonej nierównie więcej. Któż wie, atak na Madryt może skutkiem tego zostałby zahamowany. Więc znowu szturmy, znów bezskuteczne. Wreszcie podkopy saperów i dynamit. Walą się w gruzy potężne, prastare baszty. Załoga zdziesiątkowana do 200—300 ludzi zdolnych do boju, efektywu jednej kompanii na stopie wojennej. Ale stoi jeszcze reszta budowli. Więc dalej, z gmachu do gmachu, z pięter do suferyn, gdy bombardowanie zwali piętra. Nowe podkopy i wybuchy. Pośród dymiących, krwią zbryzganych zgłiszcz, znów obrona każdego węgła, każdej piędzi drogiej, fortecznej ziemi. Nie tylko z poza osłon. Ci ludzie wynędzniali, wyczerpani, wygłodzeni, do upiorów podobni raz wraz wycieczkują, kontratakują, granatem, bagnetem, walką wręcz, pierś o pierś; zwyciężają, odrzucają wroga szaleńczym rozpędem niepohamowanego, nadludzkiego męstwa.

Nareszcie nadeszła radosna wieść, że odsiecz zdążyła w porę, lwy Alkazaru ocalone, Toledo zdobyte, dostępy strategiczne do Madrytu obsadzone przez wojska powstańcze. Nawet straty w bohaterskich ludziach okazały się mniejsze, niż można się było obawiać. To pewna, że twierdzy broniły młode lwy, zdolne swą śmiercią krześć życie. Za ich sprawą zmartwychwstaje stara moc i chwała rycerska Hiszpanii. Wielką jest duchową rozkoszą nisko pochylić czoło w hołdzie wobec odrodzenia tej chwały.

Krzyż i miecz.

Odrodzenie jest nie tylko piękne, ale i ważne. Ważne nie tylko dla Hiszpanii, lecz i dla świata. Dla Hiszpanii dlatego, że przywraca jej równowagę kompensując równocześnie rozbudzoną, starą, narodową wadę — okrucieństwo. Wada to, nawiasem mówiąc, także rosyjska, lecz w Bolszewii — nieskompensowana. Dla świata zaś ważne jest „przebudzenie lwa“ w Hiszpanii dlatego, że wprowadza w duchową atmosferę czasu antitoksyne, zdolną niszczyć jady rozkładu, którymi ją zatrują konający materializm na zachodzie i wschodzie.

Ponadto jednak zarówno dla Hiszpanii jak dla świata szczególną doniosłość przedstawia prawdopodobieństwo, że jeśli ten kraj wyjdzie zwycięsko ze straszliwego paroksyzmu, który nim wstrząsa, jeśli uniknie śmiertelnego niebezpieczeństwa nierozegranej, któraby go wtrąciła w bardziej niż kiedykolwiek beznadziejny bezwład, to niewątpliwie wynurzy się ponownie na arenie dziejowej jako czynna siła twórcza. Byłoby to dla ginącego świata kultury materialistycznej *novum* niemal równie niespodziewane i złowróżbne jak odbudowa Polski.

Kimże jest ta ociekająca krwią w ciężkim porodzie nowego życia Hiszpania? Jaki jej narodowy wkład w skarbnicy dziejów człowieczeństwa? Jak on ukształtował jej oblicze duchowe, którego zasadnicze rysy już się znów rozpoznawać dają wśród bolesnego skurczu rewolucji.

W otchłani wieków dwoje miała rodziców Hiszpania: rzymskie chrześcijaństwo i wojnę z niewiernymi na ziemi rodzinnej. Chrześcijaństwo spłynęło na nią wprost z krwią męczeńską aren starożytności. Wojna z niewiernymi ugodziła w nią wtedy jeszcze, gdy jako państwo liczyła nie więcej niż dwieście lat, jako naród zaś ledwie poczęta była w łonie historii. Najstarszą jest w Hiszpanii wiara, młodszym od niej państwo, najmłodszą — narodowość.

Z początkiem ósmego stulecia na trzysta lat zajęli Maurowie cały półwysep, prócz niedostępnych, pirenejskich dolin, mających oparcie w księstwach frankońskiej Galii. Karol Wielki w swej wyprawie przeciw Arabom pierwszy ośmielił te niedobitki autochtonów Iberii do prób ofensywnych przeciwko najeźdźcy. Choć sam z takiej próby wyszedł z ronsewalską klęską grafa Rolanda, jednak głos jego legendarnego rogu zbudził Hiszpanię do historycznego życia. Odtąd powstają na stokach Pirenejów drobne państewka kresowe, chrześcijańskie, których istnienie całkowicie wypełnia nieustająca, bezlitosna, eksterminacyjna walka z pohanami o ziemię ojczystą. Sypiając, jak mówi historyk, przeważnie w stajniach u kopyt osiodłanych koni, w ledwo rozluźnionym pancerzu, z dłonią na głównej miecza, podpirenejskie królewątka i ich wasale, w zmiennej kolei zwycięstw i porażek, z nieprawdopodobną wytrzymałością, piędź

za piędźią wydzierają Hiszpanię wyznawcom Mahometa. Zwolna rozwinęły się stąd większe państwa o charakterystycznych nazwach „królestwo lwie” lub „ziemia warowna” (Leon i Kastylia), bo każdą jej zdobytą połać natychmiast fortyfikowano. Przychodzi wreszcie w pomoc równoległy wielki prąd dziejowy krucjat, powstają narodowe hiszpańskie zakony rycerskie, w chwilach krytycznych spieszy chętnie pod kastylskie sztandary rycerstwo z zagranicy. Dopiero jednak po półtysiącletniej maurytańskiej przewadze, w trzynastym stuleciu następuje stanowczy przełom. Odtąd „tylko” jeszcze przez dwieście lat wykończy rycerstwo hiszpańskie wyzwolenie rodzinnego kraju z pod maurytańskiego najazdu.

Ażeby rozwinąć się jako państwo, narodzić zaś jako naród musiała Hiszpania naprzód odzдобыć na niewiernych, w całości prawie, swą chrześcijańską ojczyznę. Przez to dokonała zarazem pierwszego swego dziejowego czynu jako zachodnie „przedmurze chrześcijaństwa” w tysiącletniej, światowej walce Krzyża z półksiężycem. Gdy na wschodzie padało pod ciosami Turków Bizancjum, na zachodzie powstawała na gruzach Maurytanii nowa wielka potęga katolicka. Duchowe jej oblicze uformowane zostało przede wszystkim przez tę wczesną walkę o byt zarazem religijny i narodowy. Długotrwałość i natężenie tej walki wytworzyło bezprzykładnie głęboki związek pomiędzy patriotyzmem i wiarą. Pięć wieków nieustającej wojny, krzyżowej i narodowej, a straszliwie „totalnej”, pięć wieków skąpanych we krwi i pożodze, odrębujących powiat za powiatem, miasto za miastem, dzielnicę za dzielnicą od granic wroga ojczyzny i wroga wiary, to dość, by krzyż, miecz i miłość kraju stopiły się w poczuciu narodowym, od samej jego kolebki, w jednolite nieomal zjawisko. I to zarazem dość, by w charakterze narodowym jako cechy dominujące ustalić waleczność, dumę, okrucieństwo i fanatyzm.

Wiara bowiem z tych ziemskich związków niezupełnie wyszła bez szwanku. Mimo wspaniałych kwiatów świętości indywidualnej Wielkiej Teresy, Ignacego Loyoli, Franciszka Ksawerego, Jana od Krzyża i tylu innych, wiara i Kościół stały się podświadomie dla wielu hiszpanów przedmiotem

namiętnej miłości przede wszystkim ziemskiej, jako podstawy kultury narodowej i potęgi państwa. Stąd tym większa fanatyczna zawziętość, dziś przerzucona na ideologie społeczne, za czasów zaś inkwizycji czynna w dziedzinie religijnej, na pograniczu jej ze sprawami świeckimi. Wyzwolone w XV w. od walk z Maurami energie bojowe poczęły anarchizować życie społeczne. Długotrwałe władztwo muzułmańskie najeźdźcy pozostawiło w kraju gęsty osad ludności obcoplemiennej i różnowierczej, oraz jej wpływów, grożących ruchami odśrodkowymi tak w stosunku do Kościoła jak świeżo zjednoczonego państwa. Inkwizycja hiszpańska z właściwą narodowi i epoce srogością strzegła przede wszystkim jedności wiary. Ale jako urząd królewski, pośrednio, kształtowała również psychikę narodową na korzyść jedności państwowej i absolutnej monarchii. Trudne to było zadanie zwłaszcza wobec dumnego i niesfornego rycerstwa. Jeśli powiodło się aż nazbyt doskonale, to głównie dlatego, że otwarty został nowy szlak dziejowy, który nadmiar energii odprowadził w innym kierunku.

Wielkie mocarstwo hiszpańskie, zjednoczone przez Ferdynanda i Izabellę, wypędziwszy Maurów do Afryki, ruszyło na podbój oceanu. Przyniosło Staremu Światu w darze Świat Nowy. Historycznie rozwinięte z maleńkiej, górskiej Nawary, za Karola V i Filipa II wyrosło na pierwszą potęgę Europy i pierwsze imperium, „gdzie słońce nigdy nie zachodzi“. Olbrzymie zasoby sił biologicznych, bojowych i kulturalnych wyładowane po tamtej stronie Atlantyku zlatynizowały większą część lądu amerykańskiego od San Francisco i Meksyku aż po Patagonię. Ale ten zbyt silny odbiór społeczny wyzuł metropolię z żywiołów najdzielniejszych i zwolna począł ją pogrążać w zastój. „Floty srebrne“ i złote znosiły z Nowego Świata do Hiszpanii nieprzebrane skarby cennego kruszcu, które ona rozprawadzała po Europie przygotowując przewrót ekonomiczny na rzecz gospodarki pieniężnej i kapitalistycznej. Ale ten nadmiar bogactw okazał się klęską, bo zdemoralizował i rozpróżniaczył naród.

Wreszcie ostatnim wielkim czynem hiszpańskim była potężna i płodna „reakcja katolicka“ XVI i XVII stulecia. Poprowadził ją św. Ignacy Loyola i jezuita jako duchową

odsiecz przeciw reformacji dla Kościoła Rzymskiego, który z materialną odsieczą krucjat spieszył na pomoc Hiszpanii w średniowieczu. Równocześnie zakwitła Hiszpania wielką swą sztuką renesansową. A potem kulturalnie i politycznie zdrętwiała.

Fale dziejowe.

Dzieło historyczne Hiszpanii jest ogromne i bezwzględnie ją kwalifikuje jako naród wielki. Włącza się autonomicznie w system rzymsko - katolickiej polityki uniwersalnej, która aż po koniec XVII stulecia nie przestaje przodować światu z watykańskiego wzgórza. W systemie tym Hiszpania sprawuje naczelne kierownictwo zachodniego, oceanicznego skrzydła. Świetnie wypełnia swą misję latynizując religijnie, kulturalnie i językowo $\frac{3}{4}$ amerykańskiej części globu, potężną „reakcją” wspierając zagrożone przez reformację, europejskie centrum katolicyzmu. Na zachodnim, oceanicznym teatrze przeprowadza Hiszpania zadanie którego równoległym, śródlądowym członem wschodnim miał być triumf żywotnej jeszcze w XVII wieku idei krucjatowej, wyzwolenie Bizancjum oraz unia Kościołów i państw za sprawą i przewodem Rzplitej Polskiej.

Zawrotne te dążenia dochodzą do skutku tylko w połowie. To wystarczyło, ażeby je okryć blaskiem najwyższej chwały pod Lepanto i Kandią, Warną, Kremlem moskiewskim i Wiedniem. Ale to nie wystarczyło, ażeby uchronić całokształt tych działań od zdrętwienia lub załamania w epoce, która wtedy już nadchodziła, epoce wielko-mieszczkańskiego materializmu. Opadły więc w dół podniebne wzloty twórczego ducha w dziedzinie wiary, sztuki i kierownictwa losami świata. Na czoło dążeń człowieka wysunęła się sprawa chleba i dostatku oraz opanowania przyrody celem ich zdobycia. Do zadań tego rodzaju mniej się nadawała psychika katolickiej Hiszpanii, Włoch i Polski. Ważkie socjologiczne przyczyny miejscowe, jak nadmierny odpływ za ocean energii społecznej, a nadmierny przypływ z za oceanu „srebrnych flot” wtrąciły zachodnie skrzydło katolickiego frontu w bezwład tyranii. Inne zaś, lecz pokrewnej natury przyczyny pograżyły na wschodzie Polskę

w anarchii. Katolicyzm i narody mu wierne odsunięte zostały od głównego nurtu dziejów przez zmaterializowane reformacją narody protestanckie.

Minęło wszakże dwieście lat przewagi triumfów kultury materialistycznej. I oto doprowadzony przez nie do niebywałego materialnego rozrostu świat europejski zderzył się z nowymi zadaniami, które się przed nim organicznie z dziejowego nurtu wynurzyły. Podołać im nie jest w stanie podobnie jak kultura katolicka zadaniom wieku XVIII i XIX. Świat materializmu wkroczył więc w stan niebywałego zagognienia walki o byt, niebywałego rozstrożenia antagonizmów społecznych i międzynarodowych, raz wraz wybuchających wojnami lub przewrotami. Na tle pojęć, uczuć i urządzeń, wyhodowanych przez materializm, osiągnięty wreszcie przezeń, a tak upragniony „ideał” obfitości dóbr ziemskich przekształca się w groźną „klęskę nadmiaru” i wytwarza upiorne zjawisko „nędzy pośród bogactw”. Rozjątrzone, rozpaczające, oszalałe, namiętności ludowe, klasowe i rasowe, żywiłowo stają przeciw sobie lub już rzuciły się do krwawej między sobą rozprawy wewnątrz i zewnątrz państw. Ziemia w posadach drży i płonąć poczyną pod stopami Europy. Lada rok, jeśli nie miesiąc, zerwać się mogą z łańcucha rozgorzałe rozpacz mas, głodzonych przez barbarzyństwo kapitalistyczne pośród „rogów obfitości”, które się wylewa w morze dla podtrzymania cen. Jeśli te rozpacz wybuchną, jeśli się te ślepe siły na szerokiej arenie międzynarodowej zewrą w śmiertelnym boju o nieznaną drogę ocalenia, to nie tylko materialistyczna, ale wszelka wogóle kultura pójdzie z dymem pożarów i zatonie w morzu krwi. Na rozległym cmentarzysku Europy wieczne wtedy znajdą ukojenie dziesiątki milionów „ludzi niepotrzebnych” a dziś tak wzburzonych.

Bodźce to dostatecznie potężne, ażeby pod ich naciskiem zwolna poczęła się w swym biegu odwracać fala dziejowa. Pierwszy zwrot z wojny światowej wyprowadził ponownie na historyczną widownię wskrzeszoną Polskę. Ciche z początku, potem coraz głośniejsze, coraz powszechniejsze wołanie o Miłosierdzie Boże zwraca myśl i uczucie ku katolicyzmowi. Kościół zstępując z odosobnionych dotąd kul-

turalnie wyżyn Stolicy rzymskiej zwolna wyrusza naprzeciw reakcji antymaterialistycznej, zbliża się do skłębionego wiru dziejów, wyciąga ponad nim swą dłoń potężną i dobrośliwą. Wreszcie na południowo-zachodnim skrzydle starego szyku bojowego katolicyzmu, w gorąco krwistej, namiętnej Hiszpanii pękają najpierw tamy cierpliwości. Rozjątrzone siły społeczne ugodziły w siebie wzajem tratując i rozdzierając żywe ciało kraju, niegorzej niżli za wojen z niewiernymi. Zawisła nad krajem tym straszliwa groza ostatecznego upadku, jeśliby podjęta przezeń próba życia i śmierci miała pozostać nierozegraną lub wypaść na korzyść wyznawców kultu materii. Dla całej Europy, podminowanej przez te same siły, płynie stąd sygnał ostrzegawczy przed rozpętywaniem walki na ślepo, z woli „karabinów, które same zaczynają strzelać”.

A jednak z pola tej śmiertelnej walki, ciągnie ku Europie nie tylko ponura groza, ale także świeży powiew nadziei. Ze skrwawionym bagnietem w dłoni walczyli młodzi obrońcy Alkazaru, gotowi zginąć śmiercią lwów, by zrodzić godne lwów życie. Po skamieniałym w letargu obliczu tego narodu spływają strugi jego gorącej krwi. I oto drgnęły surowe dostojne rysy. Otwierają się snem materii obciążone powieki. Dreszcz niezmiernego cierpienia wstrząsa zdrowym, lecz zeszytniałym ciałem. Palona ogniem upiornej wojny pręży się, porywa, by wstać i wkroczyć ponownie w dzieje — Hiszpania.

Dyktafura miecza.

Jeśli zmartwychwstanie do historycznego czynu, to w głównym swym zrębie zmontowane by zostały trzy podstawowe człony starodawnego szyku bojowego katolicyzmu: Hiszpania na zachodzie, Polska na wschodzie, oraz Stolica Apostolska między nimi jako czynnik wiążący i syntetyczny. Zadania międzynarodowe dziś wprawdzie nasuwają się zupełnie inne niżli za czasu Ligi Chrześcijańskiej przeciwko Turkom. Są jednak olbrzymie i mogą mieć doniosłość rozstrzygającą dla pomyślnego sforsowania przełomu ku nowej epoce.

Inna rzecz, że te zadania nie są jeszcze należycie określone. Zachodni i wschodni człon dawnego i ewentualnie

przyszłego obozu państw katolickich zaledwie podejmuje pierwsze próby wydzwignięcia się ponad chaos rozjątrzonych nędzą, gotujących się do masowego mordu ślepych namiętności zbiorowych. Zarówno wskrzeszona Polska jak uruchomiona politycznie Hiszpania wciągnięte są w złowrogą wróżbę „frontów” marksizmu i rasizmu; w odmiennych zresztą niż gdzie indziej warunkach i dlatego słabiej. Ani w Hiszpanii, ani w Polsce żaden z tych rozjuszonych przeciwników nie okazał się dotąd dostatecznie silnym, by móc stotalizować państwo na swoją korzyść. W Polsce powstała władza autorytatywna niezawisła od nich obu. W Hiszpanii nastąpił już wprawdzie wybuch i w toku jest wstrząsająca rozgrywka, jednak fizjognomia ideowa tylko jednej ze stron, marksistowskiej, odpowiada rozpowszechnionemu szablonowi, a nawet wyraźnie zbliża się do „klasycznego” moskiewskiego wzoru.

Lenin był zdania, że poza Rosją, komunizm znajdzie najpodatniejszy w Europie grunt w Hiszpanii, tam więc najwcześniej da się przeszczepić bolszewicka dyktatura proletariatu. Sądził tak zapewne dlatego, że podobnie jak Rosja, tak też Hiszpania jest krajem o tradycjach despotycznych, znacznym odsetku analfabetów, przeludnionej i wynędzniałej wsi, rażących latyfundiach magnackich a niedostatecznej urbanizacji i uprzemysłowieniu. To wszystko prawda, jak również, że Hiszpania posiada gęstość zaludnienia nie dochodzącą nawet 50 głów na klm² oraz nieograniczone, tradycyjne tereny emigracyjne w pobratymczej Ameryce łacińskiej. Stąd żadnej nie ma konieczności ekspansji, żadnego przemożnego bodźca dla namiętności nacjonalistycznej pośród mas, która w przeludnionych Niemczech i Włoszech rozgorzała aż do totalizmu. Skoro zaś istnieją w Hiszpanii warunki podlegające do przewrotu społecznego, brak zaś warunków, któreby masy mogły porwać do faszyzmu, tym bardziej przeto kraj zdaje się być podobnym do Rosji, a zdanie Lenina prawdopodobne.

Rzeczywistość jednak rozstrzygnęła inaczej. Hiszpański faszyzm okazał się zbyt słabym do walki z komuną, ale tę walkę podjęła — armia. Tu leży moment zasadniczej odrębności, która powstanie hiszpańskie różni zarówno od

przewrotu rosyjskiego, jak włoskiego, lub niemieckiego. Wszędzie w tych krajach armia pozostała „wielką niemową”, służebnicą obrony zewnętrznej, martwą w życiu wewnętrznym społeczeństw nawet w chwilach najtragiczniejszych przełomów. Totalne dyktatury — bolszewicka, faszystowska czy hitlerowska wyrosły i żerują na rozżarzonej w tym lub owym kierunku namiętności ludowej, która, zwłaszcza we Włoszech i Niemczech, systematycznie musi być podtrzymywana w stanie wrzenia. To też dyktaturę w Niemczech i Włoszech sprawują genialni agitatorowie, dodatkowo posiłkujący się terrorem. W Rosji stosunek jest odwrotny: terror partyjny dodatkowo posiłkuje się agitacją. Jaki zaś charakter mógłby mieć nowy *regime* hiszpański, w razie gdyby zwyciężyło powstanie wojskowe?

Armia hiszpańska wyruszając na wojnę przeciwko komunie przyjęła na siebie rolę trzonu życia narodowego, broniącego swej przez dzieje ukształtowanej indywidualności przed materialistyczną deprawacją. Z armią połączyła się słabsza, antymaterialistycznie i tradycjonalistycznie usposobiona część narodu. Tak powstał obóz powstańczy hiszpański, którego oblicze ideowe określone zostało wyraźnie raczej tylko w kierunku negacji marksizmu.

Pozytywna strona ideologii powstańczej jest dotąd niewykształtowana. Umiarkowany nacjonalizm, do którego się jego kierownicy przeważnie przyznają, nie wystarcza jako sztandar ideowy dla państwa o bardzo silnej egzekutywie, z natury skłonnej do totalizmu. Gdyby zaś powstańcy zwyciężyli po tak bezprzykładnie ciężkiej wojnie domowej, to niewątpliwie kierownicza „junta” jeneralska objęłaby nad krajem władzę tak nieograniczoną i potężną jak żadna inna dyktatura współczesna, prócz chyba moskiewskiej. Pewność tego przewidywania wydaje się tym większą, że podobnie jak w Moskwie ta nowa władza mogłaby wkroczyć w wyłobioną koleinę starej narodowej tradycji absolutystycznej, że mogłaby i musiałaby nawet wyciągnąć konsekwencje nie tylko z własnego zwycięstwa, nie tylko z powszechnego zmierzchu parlamentaryzmu, ale i stąd, że jest on przeciwny naturze hiszpańskiej. Wszechwładna oligarchia wojskowa, długo zapewne nie potrzebowałaby wysilać się na demago-

gię w zabiegach o entuzjazm mas, tak intensywnie uprawianą w Niemczech, Włoszech, nawet w Rosji. Ale zarazem stałaby wobec jednej, przemożnej konieczności: opanowania kryzysu gospodarczego i przebudowy społecznej kraju.

In hoc signo vinces.

To jest najbardziej naglący spośród problemów dziesiętowego przełomu, nigdzie i przez nikogo dotąd nierozwiązany. Nie podołała mu żadna z trzech wielkich dyktatur totalnych: włoska, niemiecka i moskiewska. Nie podołałaby sama przez się także odbudowa najsilniejszej nawet władzy w Hiszpanii. Rozwiązanie tego problemu wymaga odkryć w zakresie diagnozy i twórczych posunięć w zakresie terapii społeczno-gospodarczej. Od nich zależy byt lub niebyt narodowy nie tylko Hiszpanii. Z drugiej strony dotychczasowe doświadczenia wskazują, że przebudowa społeczno-gospodarcza, oraz ustrojowo-polityczna nie zdoła rozwinąć się należycie ani pod znakiem liberalizmu, ani dyktatury totalnej, lecz jedynie na linii syntezy harmonizującej wolność z autorytetem, prawa jednostki z prawami zbiorowości.

Harmonia ta jest nieosiągalna w atmosferze rozkiełzanych chuci materializmu. Prowadzi ku niej jedynie taka postawa duchowa i dążność ustrojowa, jaką przyjęła sąsiednia, przyjazna powstaniu, Portugalia. To droga rozwoju dla przebudzonej do życia historycznego Hiszpanii. Droga rządów autorytatywnych, lecz ograniczonych prawem Bożym i prawem natury. Droga korporacjonizmu i katolicyzmu.

Materialistyczna „pycha żywota“, zrodzona w dobie renesansowej, wykarmiona w Hiszpanii i w Polsce wczesnym nadmiarem wielkomocarstwowego sukcesu, nie mało się przyczyniła do wykoszlawienia ustroju tych państw w dwu jednakowo dysharmonijnych, choć odwrotnych kierunkach: nadużycia władzy i nadużycia wolności. Polska swój grzech opłaciła upadkiem, Hiszpania — letargiem politycznym. Jedna i druga zdobyły w ten sposób dotkliwsze niż którekolwiek doświadczenie, z którym z kolei wchodzi w konflikt ginący świat kultury materialistycznej, szamocąc się między liberalizmem a totalizmem.

Przez dwieście lat wytracone poza główny nurt życia, Hiszpania i Polska wkraczają w nowy przełom z anachroniczną do pewnego stopnia psychiką i budową społeczną. Tym się tłumaczy, że częściowo tylko ulegają tym samym co inne społeczeństwa bodźcom przewrotu, marksizmowi i rasizmowi. Odsuwając je lub łamiąc, wództwo narodów polskiego i hiszpańskiego w niebezpiecznym przejściu dziejowym objęły podstawowe moce państwowe — armię.

Stało się tak w pełnej zgodzie z logiką dziejowego rozwoju. W Polsce dlatego, że zanik siły zbrojnej jako ostoji władzy w państwie ubezwładnił Rzplite Szlachecką również wobec wrogów zewnętrznych i sprowadzał jej upadek. W upadku zato heroiczny cykl walk niepodległościowych głęboko wyrył w świadomości narodowej przekonanie, iż wojsko jest najważniejszym fundamentem państwa. Hiszpania zaś zrodziła się historycznie z krzyża i miecza. Gdy przeto atak wojującego materializmu począł podkładać ogień pod świątynie, miecz ponownie zabłysnął na ziemi hiszpańskiej w obronie ducha i kultury narodowej, zrosniętej organicznie z krzyżem.

Od tej strony wdrożona ewolucja ustrojowa nie może się rozwijać według szablonu marksistowskiego, czy rasiistowskiego. Mogłaby natomiast popaść, jeśli nie w totalizm monopartyjny, to w innego rodzaju „statolatrię” absolutystyczną, rozrywającą łączność duchową między narodem a państwem. Od takiego ponownego skoszlawienia osi rozwojowej ustroju ocalić może tylko, gruntowniejsza jeszcze niżli to miało miejsce w przeszłości, chrystianizacja państwa i społeczeństwa. Są wielkie widoki, że tak się stać musi zarówno w Polsce jak w Hiszpanii. Stanie się zaś tym pewniej, im prędzej twórcza myśl katolicka odkryje drogi praktyczne, którymi należy prowadzić duchowy i materialny przełom współczesnego życia.

W tym kierunku coraz żywiej mobilizuje swe siły katolicka Polska. Hiszpania wciąż jeszcze broczy krwią torując sobie przebojem drogę odrodzenia.

Bóg jednak czuwa nad Hiszpanią. Godna jest ona ze wszech miar gorącej, serdecznej, polskiej modlitwy, prywatnej i publicznej, jaką w niektórych naszych diecezjach zarządzono.

Zdaje się, iż obrona Alkazaru odegra w kampanii hiszpańskiej rolę zwrotnego punktu, podobną w pewnej mierze obronie Jasnej Góry podczas szwedzkiego najazdu na Polskę. Mimo to czeka jeszcze wojska hiszpańskiego obozu antymaterialistycznego ciężka, zacięta, krwawa robota bojowa przy zdobywaniu stolicy oraz likwidacji czerwonej pozogi na objętej przez nią, znacznej części kraju.

W wywiadzie z polskim dziennikarzem oświadczył niedawno generał Franco, że podobnie jak Polska w r. 1920 ocaliła Europę przed zalewem bolszewizmu od zewnątrz, tak obecnie to samo zadanie podjęła armia hiszpańska w swoim kraju, od wewnątrz. Istotnie od takiego czy innego wyniku wojny hiszpańskiej zależy w szerokim zakresie również dalsza ewolucja ideowa i ustrojowa Zachodu, zwłaszcza Francji. Jeśli w Hiszpanii zwycięży wojskowa rewolucja antymaterialistyczna i jeśli poda jej rękę skądinąd renesans idei, programu i metod społecznych katolickich, to falę dziejową, odradzającą świat, z pomocą Bożą, znów poprowadzą jak ongi — *viribus unitis* — narody katolickie. Polska, Hiszpania, Italia i — Francja.

Stanisław Szczutowski.

Czteroletni plan inwestycyjny.

Czteroletni plan inwestycyjny zapowiedziany dnia 10 czerwca br. został przyjęty w całej Polsce z zadowoleniem, mimo dość liczne głosy krytyki, naogół umiarkowanej i życzliwej. Słusznie Pan wicepremier Inż. E. Kwiatkowski wysunął plan „inwestycyj“, a nie hasło „wielkich robót publicznych“, które nie budzą zachwyty, bo już nauczono nas łączyć „wielkie roboty“ z akcją społeczną, opartą na ofiarności funduszków publicznych na rzecz obywateli pozbawionych pracy; a przecież dwie nasze największe, pomnikowe inwestycje, Mościce i Gdynia, zostały wykonane bez posługiwania się tym właśnie hasłem.

Już przemówienie pana wicepremiera z dnia 15 października 1935 r. wzbudziło w nas nadzieję, że przyjęta przed kilku laty metoda opanowania kryzysu przez zaciskanie pasa, metoda równania w dół, a co zatem idzie, równania na pauperyzację została zupełnie wykreślona z programu polityki gospodarczej Rządu. Zdaje się, że i dotychczasowi obrońcy zasady poddawania się kryzysowi dochodzą do przekonania, że czas już najwyższy, aby przystąpić do uzupełniania naszych ogromnych braków inwestycyjnych i stopniowej odbudowy zniszczeń, chętnie, by nie powiedzieć nagminnie, przypisywanych temu kryzysowi.

Trafne uwagi na ten temat wypowiedział p. dyr. Martin mówiąc w końcu września br. o „mobilizacji gospodarczej“.

Należymy do społeczeństw o kulturze zachodniej, chociaż porównanie z zachodem wypada dla nas fatalnie, przodujemy w Europie śmiertelnością dzieci, charłactwo młodzieży męskiej w wieku poborowym, spowodowane nie-

dostatecznym odżywianiem i fatalnymi warunkami zdrowotnymi, wzrasta z roku na rok, analfabetyzm wzbiera; — znamy nasze opłakane drogi, zaniedbane miasta, nieuporządkowane rzeki i potoki i nieodpowiednie pomieszczenia naszych Władz, urzędów i szkół, dla których zresztą i brak dostatecznej ilości budynków.

Ubóstwo nie pozwala nam na wyzyskanie w odpowiedniej mierze zdobyczy zachodniej kultury i cywilizacji, ale prawdopodobnie przyczyniła się do tego i niepewność naszej sytuacji gospodarczej i ten chroniczny stan wiecznej reorganizacji.

Przecież życie rozwijać się może tylko wówczas, gdy istnieje pewność jutra, bo nie znosi ono dorywczych działań, ciągłych zmian w poglądach czynników kierujących i eksperymentów, dyktowanych dyletantyzmem lub doktrynerstwem.

Lecz ciągłe uświadamianie sobie i rejestrowanie braków nie wiele pomoże; zresztą braki te znamy i wiemy dobrze, że zaspokojenie naszych potrzeb inwestycyjnych wymaga wielkich wydatków i dłuższego czasu. Nie wiemy tylko, czy zastanowiono się nad kolejnością, w jakiej należałoby usunąć te braki, co nie jest znowu rzeczą łatwą, ponieważ po zniesieniu Ministerstwa Robót Publicznych nie posiadamy organizacji technicznej, obejmującej całokształt tych zagadnień, rozdzielonych obecnie między kilka różnych urzędów centralnych. Fundusz Pracy nie zastąpi Ministerstwa Robót Publicznych, zresztą utworzono go dla spełniania innych zadań, a nie dla inicjowania i realizowania umiejętnej akcji inwestycyjnej, to też i wyniki dobroczynnej akcji Funduszu Pracy mierzy się ilością przepracowanych dniówek, a nie zwiększeniem majątku i wyposażenia narodowego, uzyskiwanym w miarę zużywanych kredytów budowlanych.

Szczegóły czerwcowego planu inwestycyjnego nie zostały jeszcze ogłoszone, nie wiemy więc, które z tak licznych potrzeb ma ten plan zaspokoić i w jakiej kolejności; obejmie on zapewne tylko inwestycje „publiczne”, a więc mające na celu przede wszystkim wzmoczenie obronności Państwa, bo tego wszyscy pragniemy, dalej ułatwienie rozwoju gospodarczego i podniesienia kultury ogólnej i zdrowotnej kraju.

Lecz zdajemy sobie doskonale sprawę z trudności, która uniemożliwiła usunięcie najpilniejszych braków w dziale „inwestycji publicznych” przez obecne, a może i następne pokolenie, przy użyciu wyłącznie funduszków publicznych.

Wiele cennych uwag na ten temat wypowiedziano na naradzie gospodarczej, głównie na komisji, względnie podkomisji inwestycji publicznych i inicjatywy prywatnej, omawiając możliwości rozwoju publicznego ruchu inwestycyjnego.

Pan wicepremier przemawiając dnia 10 czerwca br. wyrażał też przekonanie, że zrealizowanie planu inwestycyjnego stworzy nowe pole pracy dla inicjatywy prywatnej, co chyba w ten sposób rozumieć należy, że inicjatywa prywatna przyjdzie Rządowi z pomocą biorąc na siebie obowiązek zaspakajania pewnych potrzeb, przejmując część programu rządowego do zrealizowania na własny rachunek i własnymi środkami finansowymi. Zastanówmy się więc, jakiego rodzaju inwestycje mogłyby zainteresować przedsiębiorczość prywatną.

Inwestycje publiczne można podzielić na dwie grupy. Do pierwszej należą urządzenia, z których każdy obywatel może korzystać dowolnie i bez ograniczeń. Nikomu nie można zabronić korzystania ze zwiększonego bezpieczeństwa publicznego, używania publicznych dróg, ulic, placów, chodników, korzystania z oświetlenia miasta, uregulowanych rzek itd., a więc z urządzeń, będących własnością Państwa lub Samorządów, przynoszących wprowadzić ogólną korzyść, ale nie dających właścicielowi bezpośredniego dochodu, z którego możnaby opłacać koszty obsługi włożonego kapitału i koszty utrzymania tych urządzeń w dobrym stanie, dlatego finansowanie budowy takich urządzeń dokonywane jest z kredytów nie przeznaczonych do amortyzacji, innymi słowy są to wydatki, które się nie amortyzują. Otóż inicjatywa prywatna nie podejmie się budowy i prowadzenia takich urządzeń na własny rachunek, chyba, że inicjator zechce bawić się we wspaniałomyślne dobroczyńcę.

Do drugiej grupy inwestycji publicznych należą zakłady i przedsiębiorstwa publiczne.

Organizacje publiczne lub prywatne mogą objąć zaspakajanie pewnych potrzeb obywateli i świadczyć im za

opłatą różnego rodzaju usługi, spełniając w ten sposób czynności do pewnego stopnia przemysłowo-handlowe (koleje, poczta, telegraf, telefon, elektrownie, gazownie, wodociągi, tramwaje itp.). Z usług tych zakładów może korzystać również każdy obywatel w rozmiarach zależnych od własnej woli, lecz tylko na podstawie porozumienia z właścicielem i za opłatą, odpowiadającą ilości otrzymanej usługi.

Zakłady takie powinny przynosić dochód, wygospodarowany z włożonego kapitału, wystarczający na obsługę tego kapitału i na wydatki eksploatacyjne, w przeciwnym razie koszty utrzymania tych zakładów będą pozycją rozchodową w budżecie właściciela. Państwo i Samorząd chętnie występują jako właściciele tego rodzaju zakładów; pewne słuszne względy wymagają istotnie, aby niektóre przedsiębiorstwa publiczne były bezwarunkowo w ręku Państwa, np. niektóre koleje, poczta, urządzenia telekomunikacyjne, lecz wiele przedsiębiorstw publicznych, także i takich, które stanowią wyłączne uprawnienia Państwa lub Samorządów, można, i to nawet z korzyścią dla obywateli, pozostawić inicjatywie prywatnej, np. w drodze koncesji, jak się to dzieje nie tylko zagranicą, ale i u nas.

Gdyby więc zrealizowanie tych zagadnień pozostawić przedsiębiorczości prywatnej, to wówczas publiczne środki finansowe, odciążone od pewnej ilości zadań, potrafiłyby w krótszym czasie i większym rozmiarze zaspokoić braki w dziale inwestycji pierwszej grupy (budowa dróg, szkół, regulacja rzek, porządkowanie miast itp.), które z natury swojej nie mogłyby być obsługiwane przez inicjatywę prywatną.

*

*

*

W kolejnym porządku naszych potrzeb państwowych pierwsze miejsce zajmują inwestycje, zwiększające obronność, a obejmują one także zagadnienia komunikacyjne. Stosunkowo najlepiej mamy uporządkowane kolejnictwo, mimo rzadkiej sieci w centrum i na Kresach Wschodnich. Także urządzenia pocztowe i tele-komunikacyjne są dobrze wyposażone i sprawnie działają. Dalszym, bardzo ważnym obiektem komunikacyjnym są drogi bite i drogi wodne, które jak wiadomo były u nas zawsze w zaniedbaniu, a po

zniesieniu Ministerstwa Robót Publicznych zostały zepchnięte na dalszy plan kolejności potrzeb państwowych, — tak przynajmniej sądzić można przeglądając preliminarze Ministerstwa Robót Publicznych do roku 1931/32, zaś od 1932/33 Ministerstwa Komunikacji. Według zamknięć rachunkowych wydawano od r. 1928/29 na roboty wodne i na drogi bite z budżetu tych Ministerstw następujące kwoty w milionach złotych:

	Roboty wodne:	Drogi i mosty:
1928/29	36.2	55.4
1929/30	32.4	55.2
1930/31	25.6	36.3
1931/32	8.97	26.5
1933/34	4.08	28.3
1934/35	3.2	35.6
1935/36	2.3	28.3
Budżet na 1936/37	2.2	25.3

Na roboty wodne wydano właściwie tak w r. 1933/34 jak i w r. 1934/35 więcej, ponieważ Fundusz Pracy zasilał środki budżetowe Ministerstwa Komunikacji. Podobnie i w r. 1935/36 wydano znaczną kwotę poza budżetem tak z Funduszu Pracy jak i z dodatkowego kredytu na usunięcie szkód powodziowych. Wreszcie ustawa z 2. IV. 1936 r. o finansowaniu inwestycji wodnych (Dz. U. poz. 208) upoważnia ministra skarbu do operacji kredytowych do sumy 20 milionów złotych na budowę zbiorników, regulację rzek i górskich potoków i na wydatki wodno komunikacyjne, to też dodatkowe kredyty na roboty wodne w r. 1936/37 mają wynosić 12 milionów złotych, razem więc ma być do dyspozycji do końca marca 1937 r. 14.2 milionów złotych, co stanowi 40% wydatków z okresu 1928 — 1930. Tymczasem przecież sześćioletnie „oszczędzanie” spowodowało wzrost istotnych potrzeb inwestycyjnych, które inż. Tillinger w 5-letnim „kryzysowym” programie najpilniejszych robót na drogach wodnych oblicza na 168.5 milionów, czyli średnio po 33.7 milionów złotych rocznie, tj. mniej więcej tyle, ile wydawano na wszystkie roboty wodne łącznie z melioracjami przed r. 1930.

A teraz przejdźmy do dróg. Wydatki Funduszu Drogowego wyglądają pozornie znośnie, ale kwoty budżetowe od r. 1933/34 obciążone są znacznymi sumami na spłatę zaległości z lat poprzednich, na co użyto kolejno 15.8 — 14.2 i 20 milionów złotych, a w obecnym budżecie przeznaczają się na ten cel 18.5 milionów złotych, — pozostaje więc do dyspozycji $25.3 - 18.5 = 6.8$ milionów złotych, no i to, co się wyda na roboty kredytowane, których koszt nie jest ujawniony, oraz to, co się uzyska tytułem zasiłku z Funduszu Pracy.

Z tej reszty kredytu 6.8 milionów złotych przeznaczają się w drukowanym „Budżecie” na bieżący okres budżetowy na wydatki administracyjne 6.23 milionów złotych zaś na wydatki rzeczowe 0.57 milionów złotych!! (vid. Ustawa Skarbowa z 30. III. 1936 r. Dz. U. Nr. 23, poz. 185, str. 418, dz. 4 „Państwowy Fundusz Drogowy”).

Wracając do lat poprzednich widzimy, że kwoty wydane w r. 1935/36 spadały stopniowo od roku 1929/30 dla dróg do 51%, zaś dla robót wodnych do 7.1%. Wiemy, że dążenie do osiągnięcia równowagi budżetowej, którą dopiero obecny wicepremier potrafił uzyskać, zmuszała do redukcji najkonieczniejszych wydatków inwestycyjnych, lecz ogólny budżet w wydatkach na bieżący okres spadł tylko do 70% preliminarza z roku 1929/30, widać więc, że redukcje dotknęły nieproporcjonalnie silnie budżet techniczny, zaś ze szczególnym upodobaniem obcinało się budżet wodny; a przecie szkody spowodowane w roku 1934 kilkudniową powodzią lipcową (ponad 200 milionów złotych) wyniosły 100 razy więcej niż budżet wodny Ministerstwa Komunikacji na rok następny po powodzi.

Cyfry te wymagają jednak dla ścisłości pewnych wyjaśnień. Dział wodny budżetu Ministerstwa Robót Publicznych obejmował rzeki żeglowne, rzeki spławne, sztuczne drogi wodne, potoki górskie, zbiorniki, obwałowania i tzw. melioracje podstawowe oraz wodociągi i kanalizację. Po zlikwidowaniu Min. R. P. obwałowania i melioracje podstawowe przejęło Ministerstwo Rolnictwa, wodociągi i kanalizację (także budownictwo państwowe, policję budowlaną i część spraw pomiarowych) Ministerstwo Spraw Wewnętrz-

nych, zaś Ministerstwo Komunikacji przejęło drogi wodne naturalne i sztuczne oraz potoki górskie i zbiorniki (a także drogi bite i mosty i pomiary kraju). Odejmując od sum wydanych przez Min. R. P. w dziale wodnym koszty robót przejętych później przez Ministerstwo Rolnictwa otrzymamy nieznaczne zmniejszenie rzeczywistej redukcji budżetu wodnego Ministerstwa Komunikacji, które wyniesie nie 7.1⁰/₀ lecz 10⁰/₀ wydatków z r. 1929/30.

Fundusz Pracy utworzony z wiosną 1933 r. uruchomił w krótkim czasie różne roboty udzielając pomocy finansowej instytucjom państwowym, związkom samorządowym i niektórym większym organizacjom (Polmin, Okręgowe Elektrownie itp.). Znaczne sumy w charakterze pożyczek i dotacji otrzymały gminy miejskie na wykończenie dawniej rozpoczętych budynków, głównie szkolnych, na wodociągi i kanalizację, rzeźnie, hale targowe, na urządzenie ulic, placów itd. Ta pomoc Funduszu Pracy wprowadziła znaczne ożywienie na rynku robocizny i zamówień materiałowych dodając siłę upadającemu wówczas życiu gospodarczemu; działalność Funduszu Pracy okazała się bardzo korzystną i celową już w pierwszym roku, który przecież oparty był z konieczności na programie prawie że improwizowanym.

Pomoc Funduszu Pracy na różne roboty wynosiła w milion. złotych

w roku	1933/34	1934/35	1935/36
	51.10	79.52	94.19
Wkłady budujących (państwo, samorządy, instytucje)	23.68	74.01	brak ścisłych danych
Wydano ogółem na roboty	74.78	153.53	brak ścisłych danych

Ponieważ u nas prawie wszystkie większe roboty finansuje Fundusz Pracy, z wyjątkiem robót Funduszu Kwaterunku Wojskowego i prywatnego budownictwa mieszkaniowego, więc wyniki akcji Funduszu Pracy znajdujemy w sprawozdaniach tego Funduszu, ogłoszonych za lata 1933/34 i 1934/35.

Ważniejsze roboty i wydane na nie kwoty podaje następujące zestawienie:

Roboty:	1933/34 r.		1934/35 r.	
	Wykonano	Całkowity koszt w mil. zł	Wykonano	Całkowity koszt w mil. zł
Linie kolejowe	151 km	10,23	191 km	
Linie kolejowe w budow.			274 "	21,10
Nowe drogi bite	195 "	—	407 "	—
Odbudowano dróg	2.059 "	—	375 "	—
Wydano na drogi	—	19,25		48,96
Nowe wały nad rzekami	119,6 "	—	107,6 "	—
Wydano na melioracje	—	11,89	—	11,82
Kanałów miejskich:	39,2 "	5,10	76,0 "	8,28
Sieci wodociąg.	28,8 "	4,05	123,3 "	9,02
Linie tramwajowe	17,3 "	—	3,5 "	—
Uporządkowane nowe ulice w miastach	74,4 "	—	59,5 "	—
Wydano na roboty komunikacyjne miejskie	—	6,42	—	11,33
Nowe gmachy szkolne	9	—	30	—
Nowe gm. szkol. wykończ.	46	—	121	—
Inne gmachy publiczne kubatura	69.800 m ³	—	353.300 m ³	—
Razem na bud. publicz.	—	5,70	—	14,77
Budownictwo mieszkaniowe — kubatura	40.900 m ³	0,60	116.300 m ³	3,18

Uderza wielkie stosunkowo ożywienie w budownictwie publicznym i mieszkaniowym. W Niemczech, które są na ogół przeinwestowane i nawet zagrody wiejskie są trwale budowane, wydano na budownictwo w ostatnich 4 latach kwoty wprost zawrotne, uwzględniając nawet, że w r. 1935 większość tych sum wydano na tajne roboty o charakterze wojskowym.

Według sprawozdania Banku Budowlanego i Tow. Robót Publicznych za rok 1935 (*Bericht der Deutschen Bau-und Boden-bank und der Deutschen Gesellschaft für öffentliche Arbeiten über die Bauwirtschaft im J. 1935*) wartość budynków wykonanych od r. 1932 wynosiła w miliardach marek niem. (1 MK = 2'12 zł):

	1932	1933	1934	1935
Budynków mieszkaniowych	0,8	0,9	1,5	1,6
„ przemysłowych	0,6	0,6	0,7	0,9
„ publicznych	0,9	1,7	3,5	5,0
Razem	2,3	3,2	5,7	7,5

Sprawozdanie Nr. 10 Niemieckiego Instytutu Badania Koniunktur z 11 marca 1936 podaje znowu, że kwoty 1,5 i 1,6 miliardów MK na budownictwo mieszkaniowe były zebrane w następujący sposób:

	1934	1935
Publiczny kredyt ulgowy	275	220 milion. marek
Prywatne zakłady kredytowo-pożycz.	283	478 „ „
Kapitał własny, prywatne pożyczki i kredyty krótkoterminowe	942	902 „ „
Razem	1.500	1.600 milion. marek

W Polsce ruch inwestycyjny został podjęty głównie celem dostarczenia pracy, lecz nie zwraca się dostatecznej uwagi, że pracowników, również dobrze, a nawet lepiej, bo stale, tj. przez cały rok zatrudnić można w produkcji. Ruch budowlano-inwestycyjny powoduje bowiem ożywienie liczne- go rzemiosła oraz wytwórni materiałów budowlanych, a w związku z tym stwarza dalsze możliwości zatrudnienia poza miejscem robót. Tak np. każda tona wyrobów hutniczych (rury, dźwigary żelazne itp.), zawiera w sobie 20 dniów- wek pracowników wysoko kwalifikowanych, produkcja 100 jednostek cementu zużywa 50 jednostek węgla, a nawet zwykłe roboty faszynowe przy regulacji rzek na każde 100 ro- botników, zajętych bezpośrednio przy budowie, dają zatrud- nienie dalszym 80 robotnikom poza miejscem budowy przy cięciu, wiązaniu i dowozie materiałów. Toteż rozwój akcji inwestycyjnej ożywił u nas dostawy, co znowu zwiększyło zatrudnienie poza miejscami robót.

Pouczający przykład daje następujące zestawienie do- staw cementu i rur, które wykazują od roku 1933 stały

wzrost, dochodzący do poziomu dostaw przedkryzysowych:

Lata:	1928	1929	1930	1931	1932	1933	1934	1935	1936 d. 30 VI
Cement w tysiącach ton	1018	—	774	—	364	—	757	772	435
Rur żeliwnych w tysiącach ton	14,9	13,9	7,1	5,2	3,1	5,8	8,1	7,8	8,3
Długość rur stalowych (tylko dla wodociągów) w km	—	—	—	—	10,4	14,9	72,0	101,2	—

Zbliżamy się więc do poziomu z roku 1928, toteż przejeżdżając po Polsce widzimy większość miast rozkopanych; porządkuje się i utrwala nawierzchnie ulic, zakłada różne rurociągi, buduje zieleńce, stadiony, kąpieliska, domy ludowe itp., a poza miastami wykonuje się inwestycje o znaczeniu ogólnopaństwowym jak drogi i regulacje rzek. Dzięki Funduszowi Pracy zbudowano wodociągi w kilku miastach, które miały od dawna gotowe projekty, Rzeszów miał nawet rury dostarczone w ostatnich tygodniach przed wojną światową. W roku 1934 budowano już nowe wodociągi i kanalizację w kilkunastu większych miastach, zaś w innych uzupełniano istniejące urządzenia (w Warszawie, Lwowie, Krakowie, Poznaniu, Katowicach, Gdyni itd.). Użytkowano dalej kilkaset kilometrów nowych linii kolejowych, wiele nowych dróg, wykańcza się zbiornik na Sole w Porąbce i buduje nowy w Rożnowie na Dunajcu; wogóle nastąpiło wydadne porządkowanie miast i kraju.

*

*

*

Wyżej podane zestawienie zamówień, dorywczo wybranych, lecz wyżej wartościowych materiałów budowlanych jak cement i rury, jest najlepszym dowodem silnego rozwoju zapotrzebowania, wywołanego ruchem inwestycyjnym. W Nr. 6 (wrzesień 1936) kwartalnika *Biuletyn Wodociągowo-Kanalizacyjny*, w artykule pt.: „Obecny ruch inwestycyjny” autor artykułu podkreśla wzrost zużycia rur, lecz zaznacza, że występuje również nierównomierność dostaw w poszcze-

gólnych miesiącach, ruch inwestycyjny osiągnął zdaje się za silne tempo w stosunku do prac przygotowawczych, a w planach roboczych nie uwzględniało się programu zamówień, które z tego powodu były dokonywane zbyt późno i chaotycznie. Zwracałem na to uwagę już przed 3 miesiącami w *Codziennej Gazecie Handlowej* Nr. 145 z 25 czerwca 1936, str. 5, w artykule pt.: „Program robót, zamówień” wykazując, że stosunek między maksimum a minimum dostaw miesięcznych, np. dla rur wynosił 2,6 w r. 1934 i wzrósł w r. 1935 do 27, a w pierwszych miesiącach 1936 nawet do 36; otóż wzrost tego stosunku jest właśnie dowodem chaotyczności zamówień a więc i dostaw i tragicznym obrazem zatrudnienia, które w pewnych okresach czasu nie mogą podołać silnym zamówieniom.

Wpływa na to wiele przyczyn, przede wszystkim — jak to na wstępie zaznaczono — brak programu¹⁾ zaspakajania potrzeb i planu działania oraz późne przyznawanie kredytów publicznych, które z reguły mają jednoroczny okres zużycia. Rok budżetowy rozpoczyna się 1 kwietnia, więc często już po rozpoczęciu sezonu budowlanego, ale budujący nie zna jeszcze wysokości kredytów i nie wie, w jakim rozmiarze będzie mógł roboty rozwinać, gdyż często przydział kredytów następuje dopiero w drugiej połowie roku, kiedy już zbliża się koniec sezonu roboczego i zachodzi obawa, że przyznany kredyt nie będzie mógł być w całości wyzyskany do końca marca następnego roku, a nie zużyta reszta przepadnie; z konieczności więc powiększa się rozmiar robót lub rozpoczyna nowe,²⁾ nieraz bez dostatecznego przygotowania.

Dotychczasowa działalność Funduszu Pracy polega na budowie „na raty”; rozpoczyna się naraz wiele robót, aby zatrudnić możliwie największą ilość bezrobotnych w różnych miejscach kraju, nie mając zapewnionego pokrycia całko-

¹⁾ O ile chodzi o zadania Rządu, program taki opracowało w swym dziale b. Min. Rob. Publ. z inicjatywy b. Ministra prof. Matakiewicza w r. 1931; ogłoszony drukiem przez jego następcę gen. inż. M. Norwid-Neugebauera.

²⁾ Tak np. w Warszawie w jesieni br. przystąpiono do rozpoczęcia kanalizacji Saskiej-Kępy!

witych kosztów budowy; w końcowym wyniku podraża to koszty wykonania, a także zachodzi obawa, że wiele inwestycji rozpoczętych a nie ukończonych ulegnie zniszczeniu, zaś wydane fundusze, o które tak trudno, będą zmarnowane, to też w obecnych warunkach zalecałoby się rozpocząć takie roboty, które o ile możliwości w ciągu jednego sezonu mogą dać fragmenty gotowe do eksploatacji.

Fundusz Pracy jest właściwie publicznym czynnikiem finansującym, przeznaczonym do zwalczania skutków kryzysu, innymi słowy ma charakter czasowej interwencji państwowej, to też kredyty przyznawane na ten Fundusz muszą być uważane za pomoc ulgową z funduszy publicznych, która to pomoc powinna być celowo, umiejętnie i najprodukcyjniej wyzyskana. Dlatego w Niemczech rozporządzenie wykonawcze do ustawy z 1 czerwca 1933 r. wyraźnie zastrzega, że z publicznej pomocy ulgowej mogą korzystać tylko roboty wykonane na podstawie zatwierdzonych projektów i oddawane do wykonania na podstawie przetargów, co także stosowane jest i w innych krajach. Tymczasem większość naszych miast ma specjalne upodobanie do tzw. gospodarczego systemu robót we własnym zarządzie łudząc się, że w ten sposób robota będzie wykonana taniej i lepiej niż przez przedsiębiorcę; a przecież ten sposób gospodarczy podraża koszty wykonania, choćby tylko z tego powodu, że administracja publiczna ulegać musi różnym ubocznym wpływom politycznym i socjalnym, co powoduje niewłaściwe zyskanie sił roboczych, wysokie koszty budowy i naogół małe wynagrodzenia, a w rezultacie marnowanie kapitału i marnowanie korzyści, jaką daje ulgowa, publiczna pomoc finansowa, na którą przecież składa się cały naród.

Inwestycjom publicznym we własnym zarządzie nie wykonują ani Włochy, ani Szwajcaria, Belgia, Holandia, Anglia itd., dlatego też w tych właśnie krajach znajdują się wielkie przedsiębiorstwa budowlane, pracujące w całym świecie, a także i u nas np. w Gdyni, Rożnowie i przy magistrali węglowej.

Aby jednak program inwestycyjny — o ile chodzi o techniczno-budowlane wykonanie — mógł być prowadzony celowo, i aby z trudem zebrane kredyty zostały naj-

lepiej wyzyskane, muszą być ściśle przestrzegane pewne zasadnicze reguły. Przede wszystkim nie ma u nas naczelnej organizacji technicznej, przewidzianej zresztą w dawnym statucie organizacyjnym Ministerstwa Robót Publicznych, tak zwanej Naczelnej Rady Robót Publicznych jako organu doradczego, opiniodawczego, badawczego i rewidującego zbyt wybujałe pomysły i projekty energicznych inżynierów i „ludzi czynu”; radę taką posiada Francja, jest to tak zwany *Conseil général des Travaux Publics*, mają ją i Włochy i Czechosłowacja i inne kraje kulturalne, jest ona niezależną od ministra robót publicznych, którego u nas także niema; braku takiej Rady nie zastąpi utworzone u nas Biuro Kontroli Inwestycji.

Dalej trzeba sobie uświadomić, że zatwierdzony projekt i pieniądze nie wystarczają jeszcze do dobrego i ekonomicznego wykonania robót; potrzebne są jeszcze prace przygotowawcze, projekt roboczy, narzędzia, materiały i umiejętna organizacja aparatu roboczego.

Następnie należy oddzielić kredyty inwestycyjne od kredytów administracyjnych, do których zalicza się także zwyczajne, corocznie powtarzające się wydatki na bieżące remonty wykonanych urzędzeń.

Otóż kredyty inwestycyjne na nowe roboty są wydatkami jednorazowymi, realizowanymi w ratach, w ciągu kilkuletniego okresu budowy, to też kredyty te muszą posiadać dwu do trzechletni okres użycia i nie powinny przepadać z upływem roku budżetowego. Natomiast zupełnie słusznie powinny przepadać niez użyte kredyty administracyjne, bo to będzie istotną oszczędnością. Za to nie zużyte reszty kredytu inwestycyjnego powinny być przenoszone z tym samym przeznaczeniem na następny okres budżetowy.

Wspomniane wyżej zasadnicze postulaty można sprowadzić do następujących reguł:

1. Powołanie do życia Naczelnej Rady Robót Publicznych.

2. Roboty mogą być podejmowane tylko na podstawie zatwierdzonych projektów szczegółowych i kosztorysów i po zapewnieniu sposobu finansowania.

3. Kredyty muszą być przyznawane i otwierane przed rozpoczęciem sezonu budowlanego, na który są przeznaczone.

4. Kredyty inwestycyjne przewidziane w budżecie powinny mieć dwu i trzyletni okres zużycia.

5. Przed rozpoczęciem każdej roboty musi być ustalony dokładny program zamówień i plan roboczy, opracowany dla poszczególnych okresów całego czasu budowy.

6. Roboty mają być oddawane do wykonania tylko na podstawie przetargów.

Kończąc wypada podkreślić, że podstawą musi być zawsze zasadniczy program inwestycyjny, bo dobry program to połowa zwycięstwa, jak powiedział dr. Ley.

Wracając do uwag podanych w części pierwszej należy pamiętać, że doprowadzenie w szybkim tempie do porządku naszej komunikacji drogowej i wodnej jest pierwszym obowiązkiem. Pan podsekretarz stanu w Ministerstwie Komunikacji inż. Bobkowski słusznie domaga się przez Ligę Drogową kilkuset milionów złotych na realizację czteroletniego programu budowy najpilniejszych dróg, które przecież mają tak doniosłe znaczenie dla podniesienia życia gospodarczego kraju. Straty jakie codziennie ponosi to życie na utrudnionych przewozach i niszczeniu pojazdów przedstawiają ogromne kwoty, to też program inwestycyjny, jaki ma być opracowany, nie może pominąć zagadnienia drogowego. Ale i drogi wodne i regulacja rzek są również zagadnieniem bardzo ważnym i doniosłym. Ruch żeglugowy na Wiśle w Warszawie przekroczył już dwukrotnie obroty przedwojenne i stale wzrasta, mimo redukcji taryf kolejowych na obszarze zasięgu żeglugi, zaś większość transportów to bezpośredni import z Gdyni i Gdańska Wisłą do Warszawy; a ruch na Wiśle wzrośnie, gdyż w najbliższym czasie ma być rozpoczęta budowa kanału Warta-Gopło, który połączy drogą wodną Wartę z Wisłą na jezioro Gopło i Bydgoszcz.

Na te roboty potrzebne są fundusze publiczne, trudno o nie, ale jeżeli się odciąży Fundusz Pracy z zadań,

które mogą zainteresować inicjatywę prywatną, to wówczas będą do dyspozycji znaczne środki na drogi i na regulację rzek. Przeznaczenie tych sum na komunikacje lądowe i wodne będzie z większą korzyścią dla Państwa i Społeczeństwa niż finansowanie urzędów, na które niekoniecznie potrzebne są fundusze publiczne.

Inż. Alfred Konopka.

Przegląd piśmiennictwa.

Herminia Naglerowa: *Krauzowie i inni*, tom trzeci, (Mordkowicz). — Maria Dąbrowska: *Szkiełko*, (Biblioteczka nowel i opowiadań. Mordkowicz). — Janusz Meissner: *Pierwsze kroki*, (Rój). — Kpt. Mieczysław B. Lepecki: *Sowiecki Kaukaz*, (Instytut wydawniczy, „Biblioteka Polska“). — Amelia Łączyńska: *Dachy płoną*, (skład główny Gubrynowicz).

Ogniową próbą dla powieści cyklicznej jest czytanie dalszych jej tomów po kilkumiesięcznej przerwie. Z tej próby wychodzi zwycięsko ostatni tom *Karier Herminii Naglerowej, Krauzowie i inni*. Tyle się dziś czyta, że biorąc ten tom do ręki przypuszczamy, że zamyliły się już nam postacie tej historii, zamylił się jej powieściowy wątek, splątawszy się z tłumem powieściowych osób i powieściowych wątków, które w międzyczasie przewinęły się przez nasz umysł. Tymczasem od pierwszych zaraz kart tego trzeciego tomu *Krauzowie i inni* stają przed nami w całej swej świeżości i zindywidualizowaniu. Okazuje się odrazu, że sprawy ich nie stały się nam obce ani dalekie. Do Borów wracamy z przyjemnością, czujemy się tu tak bardzo w domu, jakbyśmy ich wogóle nie opuszczali...

Tu w tym ostatnim tomie doskonałej powieści Naglerowej rysuje się nam wyraźniej niż w poprzednich szkielet wewnętrzny całego utworu. Dostajemy odpowiedź na to najważniejsze dla każdej książki pytanie: *cui bono* napisana została, co było wewnętrznym motorem jej poczęcia, co jest jej krystalizacyjnym ośrodkiem. Otóż tym ośrodkiem jest niewątpliwie słowo tytułowe „kariery”, kariery ludzkie. Bo choć *Krauzowie i inni* są powieścią historyczną (rzecz dzieje się około roku 1866) ich historyczność, tak jak każda artystycznie twórcza historyczność, przesycona jest współczesnością, a raczej przesycona jest elementem ponadczasowym, ogólnoludzkim, w tym sensie, że psychika ludzi uwikłanych w polityczne i społeczne warunki pewnej epoki, a zwłaszcza ich problematyka moralna, jest psychiką i problematyką mającą „obieg” i dzisiaj i zawsze. Może to być stosunek kontrastu, w obecnym wypadku chodzi o stosunek analogii. Za-

gadnienie ludzkich „karier“, ambicji i chciwości, konfliktu między czystym ofiarnym idealizmem a życiowym utylitaryzmem i osobistym egoizmem jest zagadnieniem otwartym i aktualnym. Ten stosunek przedstawia nam Herminia Naglerowa na szeregu postaci. Widzimy tu pospolitych karierowiczów, jak Karowicz, ambitnych „selfmademanów“, jak Kostek, mąż Loli, ludzi o łatwych płaskich kompromisach sumienia, jak Burgrabia, chwiejnych i lękliwych, jak Rakuski. Widzimy „idealistów czystych“, ludzi nie znających kompromisów, idących wytrwale całe życie po jednej linii, jak Ładnowski. Obok Ładnowskiego drugim czystym idealistą jest ksiądz Kudrys, nawiasem mówiąc, jedna z pięknych, wzniosłych postaci kapłańskich naszej literatury. Ci obaj nie „zrobili kariery“, obaj ponieśli życiową klęskę, ale bez nich dwóch społeczeństwo Borów byłoby społeczeństwem skąpców, materialistów, egoistów. Ich idealizm choć pozornie zbankrutował, był jednak jedynym głosem sumienia tego małego społeczeństwa, nie pozwolił mu ugrzęznąć definitywnie w przyziemności i upadającym austriackim lojalizmie. Między tymi dwoma skrajnymi biegunami, po jakich chadzą ludzkie „kariery“, stoi w powieści Naglerowej najlepsza, najżywsza postać, postać bohatera Stanisława Krauzego, postać najbardziej skomplikowana, postać „kompromisu“. Kiedyś w jakimś towarzystwie wyrażono się z przekąsem o pewnym młodym człowieku, żeniącym się z bardzo bogatą panną, podkpiwając z jego rzekomych uczuć. „Przecież można kochać także bogatą“ powiedział wśród tej rozmowy pewien dobrotliwy mądry człowiek. Takim właśnie człowiekiem „kochającym się w bogatej“ jest Stanisław Krauze. Jemu służba publiczna, idealizm, łączą się bardzo wygodnie z karierą własną. Stanisław Krauze, cierpiący całe życie na „inferiority-komplex“, pożerany ambicją i zazdrością, uważający się zawsze za poniżonego i pomijanego, zasługuje się dobrze rodzinnemu miastu i wskutek tego dochodzi do najwyższych w nim godności. Nie jest jedynie karierowiczem, zbyt silnie obciążony jest tradycją rodzinną, tradycją ojca powstańca i gorącego bezinteresownego patrioty. Ale także zanafto pożerany jest ambicją, aby pochwalić tę „zbytnią“ bezinteresowność, która skłoniła ojca do sprzedania za bezcen pięknego browaru jedynie „dla sprawy“; zanafto jest „rozsądny“, aby tak jak jego dawny towarzysz Ładnowski stać na stanowisku bezkompromisowego polskiego nacjonalizmu. Potępia Ładnowskiego, uważa go za szaleńca, który doprowadził do ruiny siebie i swoją rodzinę. A jednak czuje się w pełni szczęśliwy nie wtedy, kiedy zasiada po raz pierwszy na kurulnym krześle burmistrzowskim, ale wtedy, kiedy ojciec staruszek mówi mu, że postępuje jak Ładnowski... właśnie ten pogardzany, wyśmiewany Ładnowski. Wtedy Stanisław jest szczęśliwy: życie wygrał, a jednak jest wielkim idealistą, pracującym dla sprawy! Tak, miał szczęście, zakochał się w bogatej, kompromis się udał.

Mimo iż w tym tomie trzecim widzimy ideowy szkielet powieści, tę drabinę, po której ludzie ku karierom idą lub z nich spadają w czystym idealizmie, w pospolitym egoizmie lub w ich różnorodnych kompromisach — jednakowoż nawet i poprzez ten trzeci tom wyczuwamy jakiś niedosyt książki Naglerowej, ten niedosyt artystyczny, o którym mówiłam pisząc o dwóch pierwszych tomach (*Przegląd Powszechny*, lipiec-sierpień 1936 r.). Mimo doskonałej roboty, mimo barwy i życia tej książki brak tu jednak czegoś. Coś jest niedociągnięte czy nie pogłębione. Książka interesuje, ale nie wrusza, jest doskonałym obrazem życia, nie jest za dumą nad nim. Mówi wiele trafnych i prawdziwych rzeczy o człowieku, nie dociera jednak do najgłębszych strun ludzkiej duszy, naszej duszy. Oddychamy tu niewątpliwie powietrzem doskonałym, ale ani razu nie możemy się nim zaciągnąć do głębi. Tego oddechu tu brak, brak jakichś nieuchwytnych a decydujących imponderabiliów. Brak tego wzruszenia, tej emocji, tego niepokoju, który niewidoczną (jakby powiedział marynarz „martwą”) falą rozkołysuje prozę Dąbrowskiej czy Berenta, Sygrydy Undset czy Iwazskiewicza, i która sprawia, że czytając ich nie tylko podziwiamy ich dzieło, ale się nim wzbogacamy, przeobrażamy, rozgrzewamy, niepokoimy. Właśnie tego niepokoju twórczego nie wnosi w nasze serca epopeja Naglerowej. Ale sam fakt, że nawet mówiąc o brakach jej dzieła mówimy o nich w zestawieniu z Dąbrowską czy Sygrydą Undset, fakt, że tam szukamy dla niego porównań i miary, świadczy o wysokiej klasie *Krauzów*. *Krauzowie i inni* są niewątpliwie jednym z najdonioślejszych wydarzeń literackich obecnego sezonu.

Tom trzeci odznacza się większą niż poprzednie prostotą stylu, mniej tu sztuczności i męczącego metaforyzmu. Wychodzi mu to niewątpliwie na dobre.

Od dawna — od ukazania się ostatniego tomu *Dni i nocy* — nie słyszeliśmy powieściowego głosu Marii Dąbrowskiej. Często, coraz częściej, spotykamy jej artykuły: wspomnienia z podróży, rozważania na tematy społeczne, artystyczne, literackie. Artykuły te biorą nas zawsze już „od zewnątrz”, właściwą Dąbrowskiej prostotą wyrazu, biorą nas przede wszystkim głęboko przemyślaną treścią. Niektóre — jak artykuł z *Pionu*: „Czy piękno obowiązuje” — pozostaną na zawsze wyrte w pamięci i sumieniu każdego piszącego człowieka. Ale mimo doniosłości tego rozumowanego słowa, Dąbrowska pozostanie dla nas przede wszystkim powieściopisarką, to też nawet tak skromna co do rozmiarów broszurka jak świeżo w „biblioteczce nowel i opowiadań” wydane *Szkiełko*, witamy z zaciekawieniem i radością. *Szkiełko* to odprysk *Dni i nocy*, nie zużyty w tej epopei fragment historii uwięzienia Marcina Śniadowskiego w r. 1905. Władze rosyjskie nie bardzo wiedzą o co mają Śniadowskiego oskarżać,

czują, że tkwi on w jakiejś „anty państwowej” konspiracji. Dręczą go wyrafinowanymi sposobami rosyjskiego śledztwa. Sniadowski wypiera się wszystkiego, ale nerwy zaczynają mu wypowiadać posłuszeństwo. Czuje się w potrzasku, czuje że słabnie, że może się załamać, a nawet zgubić drugich. W beznadziejnym swym osamotnieniu znajduje skarb: kawałeczek szkła w szparze więziennej celi. Tym szkłem będzie mógł sobie odebrać życie, gdy poczuje, że może się załamać. Do tej ostateczności nie dochodzi. Świadomość, że nie jest bezbronny wystarcza. Zniechęcone władze rosyjskie wypuszczają go na wolność. Szkielko zostawia Marcina w szparze; może ono tak jak i jego ocalić kiedyś jakiegoś innego więźnia! Treść prawie żadna, temat zdawałoby się oklepany i zużyty jak żaden. A jednak... ileż życia, ile plastyki, ile wzruszenia wydobywa się z tych kilkudziesięciu kartek. I to właśnie odbanalizowanie banału bez szukania oryginalności, ta nowość wyrazu, posługującego się tysiąc razy używanymi środkami, to wzruszenie nigdy nie wyrażane, ten patos w prostocie, ta symbolika w najprostszym realizmie — to są oznaki wielkiego talentu, to sekret wielkiej twórczości, to pieczęć nieomylna, położona na tych kilku kartkach pozornie błahej noweli. I tego sekretu wielkiej twórczości nie wyłomaczy i nie zanalizuje żadna krytyka, żadne badania. I tylko z pod pióra Marii Dąbrowskiej zapada ta prosta historia w głąb serca, a przede wszystkim wraca w nie refleksją, wzruszeniem, rozbudzeniem sumienia. Tylko w jej rękę to nic nieznaczące szkielko staje się zwierciadłem, w którym oglądamy siebie i doniosłe sprawy naszych serc i sumień. Zaznaczyć jednak musimy, że teza tej noweli nie zgadza się z postulatami katolickiej etyki.

Pierwsze kroki Janusza Meissnera są równie zajmujące, żywe i miłe do czytania jak wszystkie jego książki. Na tom ten składa się cykl opowiadań sportowych. Autor nie występuje tu jak zwykle jako as lotniczy, mówiący nam o swoich zwycięstwach w trudnych lotach, wyścigach i ekspedycjach, lecz charakteryzuje się na sportowego „patafacha” i kpiąc z samego siebie opowiada swoje niepowodzenia początkującego narciarza, niedoświadczonego myśliwego, opowiada o emocjach pierwszego lotu na szybowcu i wolnym balonie, o kompromitacjach szczura lądowego na jachcie. To cofnięcie się sportowego wygi do zupełnego sportowego niemowlęcia ma swój urok. Robione jest dobrze, z humorem, temperamentem i z tak sympatyczną zawsze u Meissnera prostotą. Ale mimo, iż całość jest udana, Meissner najlepszy jest zawsze tam, gdzie pisze o lotnictwie. Najbardziej lubimy go na maszynie. Tam jest w swoim żywiole. Tam porusza piórem z taką samą precyzyjną swobodą, z jaką napewno porusza dźwigi i stery. A jeżeliby należało sądzić o sportowych uzdolnieniach autora wedle wartości jego nowel, to najświetniejszą

kariere możnaby mu wróżyć na polu łowieckim. *Wiosenne foki*, opowiadające o trudach i niepowodzeniach poprzedzających pierwszego głuszca, są wyjątkowo udane. Pełne świeżości, barwy, wyczucia przyrody. Tu wierzymy autorowi, że jest nowicjuszem, ale nowicjuszem bardzo obiecującym... Gdyby ruchliwa i żywotna firma wydawnicza „Rój” robiła staranniejszą korektę swych książek, beztraska przyjemność czytania tych nowel nie byłaby niczym zatruta. A może to samemu autorowi tak niefortunnie skakał ołówek na korektowych arkuszach, poruszających się w fakt rozlicznych wehikułów lądowych, wodnych i powietrznych, na których świat przebiega i zwozi nam swoje doskonałe nowele?...

Kto wie, czy nie „przyjdzie się” naszej armii wystawić nowego pułku, pułku pisarzy... Najlepszym znawcą i krytykiem poezji jest dziś oficer wojsk polskich K. W. Zawodziński, najlepszym pisarzem sportowym oficer lotnictwa Meissner, a kapitan Mieczysław B. Lepecki opíše niedługo cały glob ziemski w swoich książkach podróŜniczych. Niema co mówić, piśmiennictwo w naszej armii stoi dobrze... Kpt. Lepecki pracuje obecnie w Azji. Po ślicznym zeszłorocznym *Sybirze bez przekleństw*, daje nam teraz ciekawy tom pt. *Sowiecki Kaukaz*. Kijów, Odessa, Batum, Tyflis, Erywań, Baku oto główne etapy jego ostatniej podróŜy. Podróż ciekawa, temat bogaty i niebanalny. Te dalekie przestrzenie u stóp Kaukazu, biblijnego Araratu, zamieszkałe są przez narody przedziwne, przedziwnie pomieszane i przedziwnie nieustabilizowane. Ormianie, Gruzini, Tiurkowie, Grecy, Turcy, Rosjanie i całe mnóstwo plemion o nazwach nie do wymówienia kłębią się tam, tłoczą, wzajemnie wypierają, tępią i wycinają w nieustannej walce, w nieustannych wędrówkach, napadach, ucieczkach, emigracjach. Rozplątuje te zawikłane nici kpt. Lepecki; daje nam zwięzłe przejrzyste zarysy historyczne egzotycznych ludów. Przypatruje się ich życiu współczesnemu. Całe to życie, jak wiadomo, odbywa się dzisiaj pod reŜymem sowieckim. Trzeźwo, bez złudzeń, ale i bez uprzedzeń patrzy autor na ten reŜym. Na jego bene trzeba zapisać skuteczną walkę, jaką prowadzi z analfabetyzmem, dodatnie skutki tej pracy oświatowej widoczne są nawet tu, w tych zupełnie dzikich zakątkach ziemi. Ale to prawie wszystko, co na dobro reŜymu zapisuje Lepecki. Widzi jego techniczne niedociągnięcia, jego zatraćające komizmem załamywanie się w zwykłą burżuazyjność, tylko ze zmianami personalnymi na stanowisku klasy uprzywilejowanej, widzi przede wszystkim i wszędzie podkreśla ten jakiś ponury smutek, ciążący na ludności w sowieckich republikach. Przejmujące są opisy zdevastowanych, zniszczonych świątyń wszelkich wyznań i obrządków, opisy systematycznego, perfidnego tępienia wszelkiej wiary w ludzkich sercach. Widzimy doskonale ze zwięzłej treściwej książki Lepeckiego, jak sowiecki reŜym pozostawiając nawet poszczegół-

nym ludom wolność narodową jeździ po nich ciężkim marksistowsko-leninowskim walcem, „gleichszaltując“ wszystko i wszystkich, jak pozostawiając ludziom ich język i złudzenia narodowej wolności sięga swym działaniem jeszcze głębiej, jak od podstaw niszczy ludzką indywidualność i wolność, jak zaciera wszelką barwę życia, wszelką jego radość i uśmiech. Ciekawa ta książka pełna ścisłych informacji historycznych i ekonomicznych, zaprawiona jest sporą dozą humoru, który sprawia, że czyta się ją lekko i gładko. Z autorem rozstajemy się na komorze celnej między Sowiecką Rosją a Persją. Należy się spodziewać, że niedługo i ten tak mało znany kraj zwiedzimy pod jego sympatycznym przewodnictwem.

Ziemiaństwo ma stanowczo złą prasę: nie ma szczęścia ani do sympatii rządu, ani do warunków ekonomicznych, ani nawet do literatury, a raczej do własnych powieściopisarskich „dziejopisów“. Współczesne powieści z życia ziemiańskiego nie są udane. Nie stanowi tu „szczęśliwego wyjątku“ ziemiańska powieść Amelii Łączyńskiej: *Dachy płoną*. Łączyńska opisuje życie ziemian Małopolski Wschodniej, przedstawia szereg dworów, borykających się z finansowymi trudnościami, opisuje wszystkie charakterystyczne dla wsi momenty: polowanie, żniwo, siewy, pożar, posiedzenie związku ziemian, święcone itd. Te wszystkie momenty potrzebne do oddania całości ziemiańskiego życia połączone są ze sobą intrygą powieściową, polegającą na romansie pana Przybyłowskiego z praktykantką i na romansie pani Ładosiowej z „wytwornym“ dyplomatą. Nurt ideowy tkwi w teoretycznych rozmowach i przemowach o roli, obowiązkach, trudnościach i wadach ziemiaństwa. Amelia Łączyńska życie ziemian najoczywiściej zna, nie spotykamy w jej książce takich bredni à la fortepian z lapislazuli, do których jesteśmy w powieściach ziemiańskich przyzwyczajeni, ale mimo to książka jej jest od książek Mniszchówny na pewno gorsza. Od pierwszych kartek uderza nas niezwykle nieporadnością słowa i kliszowatością obrazów, sytuacji i wyrażen. Ci ziemianie pachnący stajnią nawet w smokigach (choć się myją, zapewnia nas autorka), ci inni, wykwintniejsi, którzy „roztaczają dookoła siebie czar towarzyskiej ogłady“, te damy „zebrane w sobie“ lub napastliwe „jak lwice“ — to klisze doskonale nam znane... Wszyscy ziemianie są dziarscy, sztuczna atmosfera „buduaru i szminki“ jest jak się patrzy przeciwstawiona zdrowej atmosferze kniei. Wogóle z tą knieją jest dużo zamieszania; zdaje mi się, że Weysenhoff we wszystkich swoich powieściach myśliwskich nie użył tyle razy tego poetycznego słowa, co pani Łączyńska w dwóch rozdziałach opisujących skromne polowanie na zające. Wyrażenia w typie „miot był gąszczem“, „Rodzina Przybyłowskich zażywała rodzinnego współżycia“ kompletują pojęcie o tym, czym jest styl pani Łączyńskiej i czym cała jej w najwyższym stopniu nieudolna

i aż śmieszna w swej nieporadności powieść. Moment nie najmniej humorystyczny stanowi dopisek wydawcy (str. 158) „tu kulminuje dramat powieści”. Nota bene dramat, koncentrujący się w sprawie zawiązującej się spółki mleczarskiej, nie jest bardzo emocjonujący, bo od początku było wiadomo, że spółka się nie zawiąże (jeszcze zdaje się powieść nie wymyśliła innej ilustracji dla wykazania braku solidarności wśród ziemianstwa), ale sam pomysł dopisku podobał mi się. Co za ułatwienie pracy dla krytyka i recenzenta... I żadnych już możliwych omyłek co do zamierzeń autora! Już zawsze będziemy wiedzieć, gdzie dramat i myśl autora „kulminuje”. Oby tylko wydawcy chcieli pójść za tym zbawiennym przykładem...

Zofia Starowieyska-Morsfinowa.

Paul Valéry: Utwory wybrane. André Gide: Persefona. Paul Claudel: Młodość Violeny. Tłum. R. Kołoniecki. Wydawnictwo „Droga”. Warszawa.

Dziwne naprawdę panują u nas stosunki na rynku księgarskim, jeżeli chodzi o przekłady z literatury obcych a zwłaszcza z literatury francuskiej. Mamy tłumaczenia książek Zevaco, Leblanc’a, Benoit’a, Kessel’a i innych mniej wartościowych pisarzy, a na palcach możemy liczyć przekłady z Jammes’a, Pesquidoux, Carco, Giraudoux, no i takich mistrzów jak Valéry’ego, Gide’a i Claudel’a. Zajął się już tą sprawą P. A. L., ale poprawa będzie zależała w dużej mierze od dobrej woli wydawców. Nie można odmówić tej dobrej woli wydawnictwu „Droga”, które od pewnego czasu wydaje naprawdę cenne przekłady tak pod względem wartości wewnętrznej dzieł jak i porządnego tłumaczenia.

Paul Valéry jest mało znany w Polsce; dostępny dla znających język francuski i tym zdaje się zbyt trudny, obcy i zagadkowy. Między nim a czytelnikiem staje słowo, słowo, które według Valéry’ego ma wartość własną, nie opartą o fakt i niezależną od prądu poznania mistycznego. A więc poezja czysta, święto intelektu według powiedzeń Valéry’ego. Ks. Bremond na łamach *Nouvelles Littéraires* usiłował określić istotę *Poezji czystej* i stąd powstały nieporozumienia. Czym właściwie ma być poezja? Czym jest twór literacki? „Książka jest — mówi Valéry — ostatecznie skrótem monologu jej autora. Człowiek, czyli dusza, przemawia do siebie; autor dokonywa wyboru wśród tych słów”. Wybór ten zależy od miłości własnej autora. To wszystko. Zresztą, by poznać Valéry’ego i jego sądy trzeba koniecznie go czytać. By poznać Valéry’ego — autora, czytać *Literature*, *Dusza i taniec*, wiersz p. t. *Poezja*; by poznać Valéry’ego człowieka, trzeba czytać *Cmentarz morski* no i *Semiramidę*. A jak potem czytelnik określi autora, czy nazwie go egoistą lub idealistą, indywidualistą czy społecznikiem w wielkim społeczeństwie ducha,

to jego rzecz. Musi jednak zastosować metodę, poleconą przez pracę Valéry'ego — osądzać dzieło na podstawie stosunku między planem autora a jego urzeczywistnieniem, a nie na podstawie stosunku między dziełem a czytelnikiem lub dziełem a ogółem czytelników. Wtedy zrozumiemy Valéry'ego i należycie ocenimy jego wielkie wartości już nawet bez umiejscawiania go w prądach literackich czy też systemach filozoficznych. Potem dopiero możemy badać wartość jego dorobku myślowego w odniesieniu do nas. Jedno i drugie uprzystępnił szerokiemu ogółowi czytelników pan R. Kołoniecki dając ścisły i jasny przekład utworów, które najlepiej charakteryzują twórczość Valéry'ego. A nie było to rzeczą łatwą.

Autor *Cmentarza morskiego* jest poetą - filozofem, stąd nadzwyczajne piękno i ścisłość wyrażen, co w tłumaczeniu często może zostać zniekształcone. Na szczęście przekład oddaje dobrze piękno i wyrazistość obrazu. Naprawdę nie odczuwa się wcale trudu tłumaczenia. Ale bo też p. Kołoniecki jest poetą.

O autorze *Falszerzy* pisano u nas więcej z okazji jego „nawrócenia” się na komunizm wyidealizowany i teoretyczny. Pisano też o jego wielkim wpływie na młodzież, której stał się przewodnikiem na drodze buntu przeciw wszystkiemu i wszystkim. Był dla niej mistrzem w pogardzaniu zasadami tradycyjnymi i tym, co nazwano mieszczaństwem ducha. Dziwny był do niedawna jeszcze stosunek młodzieży francuskiej do trzech wielkich pisarzy: Claudel'a, Valéry'ego i Gide'a. Chłubiła się ona pierwszym, podziwiała drugiego, lecz szła za Gide'm. Obecnie młodzież czego innego pragnie; już nie burzenia dla samego burzenia, lecz dla przygotowania miejsca nowej budowli świata. I kto wie, czy to nie młodzież pociągnęła mistrza. W *Persefonie* występuje silnie pierwiastek społeczny. Nie Pluton porywa córkę Demetry, lecz nagle objawienie strasznych cierpień świata podziemnego zmusza ją do zejścia w podziemie. Poznaje tam całą nędzę błądzących cieni, wraz z nimi tęskni za słońcem i za czystym błękitem, wreszcie skosztowawszy jabłka granatowca, wraca na ziemię. Lecz tutaj nie może zapomnieć o cierpiących w królestwie Plutona i znów dobrowolnie schodzi do nich.

„Zobaczyłam, co ciemność więzi w swym ukryciu. I odąd strasznej prawdy zapomnieć nie mogę. Z własnej woli z Merkurym wyruszę dziś w drogę...”

I krok za krokiem zdążając, mozolnie, powoli, zajdę na dno rozpacz — na dno ludzkiej doli”.

Czego brak w dramacie to oświadczenia, w imię jakich ideałów i dlaczego jednostka powinna się poświęcić dla dobra innych — cierpiących. Persefona przypadkiem, schyliwszy się nad kwiatem narcyza, ujrzała „tłum tych, co nadziei nie znają — niespokojny, posępny, szary”. Sam widok a później nawet wspomnienie o cudzych cierpieniach wskażą jej drogę poświęcenia. To jest logiczne,

ale nie ogólne. I nie dla wszystkich to wystarczy. Zostaje więc znów pytanie, jaki musi być nasz stosunek do innych — szczęśliwych i nieszczęśliwych?

Odpowiedź daje Claudel w dramacie *Młodość Violeny*. Dwie siostry Violena i Mara kochają jednego, Jacka Hury. Przypomina to *Balladynę* — tylko bez dzbanka malin. Mara odbiera Violenie Jacka oszczerstwem. Violena pozostaje sama i sama musiałaby bronić swej miłości wobec matki uległej Marze i wobec łatwo-wiernego narzeczonego. Nie czyni jednak tego, nie chce stać na drodze szczęścia Mary. Wyrzeka się więc miłości, wzgardzona przez Jacka, wypędzona z domu, oślepiona garścią popiołu, który rzuciła jej w oczy Mara. A potem po kilku latach Mara przychodzi do niewidomej z synkiem ślepym od urodzenia. Dziecko odzyskuje wzrok — taka jest zemsta Violeny. Potem przynoszą ją konającą do domu Jacka. Następuje długa rozmowa a raczej spowiedź dwóch serc. Violena przyznaje się do wielkiej miłości i wyjaśnia Jackowi, dlaczego musiała się jej wyrzec. Tylko ze względu na Marę, by Mara nie cierpiała, bo: „Bywają ludzie, dla których ból jest rzeczą korzystną; dla innych cierpienie jest złem i trucizną”. A więc poświęcenie własnego szczęścia, choćby największego, jest obowiązkiem, jeżeli przez nie oszczędzi się innym bólu — źródła zła. Violena umiera nakłoniwszy Jacka do przebaczenia Marze.

Utwór bardzo prosty o sprawie zwykłej, o zbrodniczej zdrości na tle miłosnym a przez to bardzo ludzki i rozwiązanie najbardziej ludzkie, bo katolickie. Tak pisać i tak patrzeć na życie i innych tego uczyć potrafi tylko katolik. Violena to katolik wobec życia, pełnego życia — nic więcej tylko katolik i to wystarczy.

Br. Wójcik T. J.

Michał Janik: *Na drogach myśli ludowej*. Lwów 1936 —

Niemalý jest dorobek, który zawdzięczamy autorowi podpiśnemu na tomie zawierającym szereg mniej lub więcej cennych studiów. Rozległość zainteresowania autora ogarnia dzieje wymowy polskiej, sprawy reformy państwa w przedrozbiorowym okresie majowym, czasy politycznych walk na emigracji, literaturę syberyjską, charakterystyki wielkich twórców. Jest u autora erudycja, szeroki horyzont widzenia, temperament polemiczny i mąjący niekiedy przedmiotowość badawczą.

Zebrane studia poprzedził wstępem wybitny znawca spraw ludowych w Polsce i uczony lwowski Bujak, chwalać znajomość literatury, umiłowanie przedmiotu i obecne usiłowanie autora jako zaczątek badań naukowych nad polskim ruchem ludowym. To też z wielkim zainteresowaniem śledzi się te usiłowania w kierunku pokazania początków myśli ludowej, względnie myśli o ludzie, jakie

pochodzą w dużej części przed i po rozbiorach od szlachty. Obawiam się, że autor zapomina nieco o tej charakterystycznej okoliczności.

Mnóstwo ciekawych uwag zawierają rozprawy o kwestii włościańskiej na Litwie w XIX w., o stosunku romantyków do ludowości, o pokrewieństwach myśli między Berwińskim a Wyspiańskim. Za najlepszą uważam rozprawę o motywie zemsty ludu w poezji polistopadowej, kiedy to rodzi się nowoczesna idea ludowa w łonie emigracji, a nawet paragrafy powstańczych przepisów nazywają najwyższą władzę — zemstą ludu. Motyw zemsty powtarza się wtedy często na emigracji i w kraju, gdzie na najmocniejsze tony społeczne zdobywają się Zmorski i Berwiński, wreszcie Słowacki. Można być wdzięcznym autorowi, że zebrał dużo ważnych świadectw ówczesnych nastrojów. Jego praca może zachęcić wielu do kontynuacji podjętego zamierzenia w duchu niewątpliwie obiektywnym, choć szczerze oddanym sprawie, o którą chodziło przeszłym generacjom i chodzić musi w trudnych warunkach działającej ludowej polskiej generacji.

T. Grabowski.

Ostap Ortwin: *Próby przekrojów. Ze studiów nad teatrem liryka i powieścią 1900 — 1935.* Lwów 1936 Połoniecki, 5 zł.

Niemalą zasługą lwowskiej elity jest przypomnienie oświeconemu ogółowi o istnieniu krytyka, którego winą jest, że nie lubi o sobie przypominać. Jest nim rzadko na łamach literackich czasopism występujący Ostap Ortwin, typ krytyka odkrywcy niedostępnych, jak mówi Kleiner, zrazu ogółowi walorów sztuki. Należy on właściwie do epoki impresjonizmu. Ale wybił się nad towarzyszy swym intelektem, darem analizy, wnikliwością estetyczną. Przemawia w jego stylu człowiek raczej dzisiejszy, uzbrojony w metodę i świadomy swej zasadniczej postawy.

Miarą wyżyn krytyki Ortwina są nie tylko jego studia o Wyspiańskim, ale i powojenne artykuły szczególnie o liryce i wartościach lirycznych. Mało jest podobnych rzeczy nawet na Zachodzie. Wskazuje to, że krytyk dociera do istoty rzeczy, gdy mówi wbrew biografistom i w ogóle psychologistom, że wypada zachować prosty i naturalny stosunek do poezji, że jej strony duchowe są wspólne i niczyje, że liryka jest zawsze algebrą uczuć i ich abstrakcją, a stan liryczny nie jest bezpośrednim doznaniem subiektywnych uczuć, ale ich estetyczną kontemplacją.

Trzeba wczytać się w uwagi krytyka o Wyspiańskim, Staffie, Wolskiej, Kasproviczu, Berencie, by ocenić całą głębię uwag człowieka, co umie nie tylko teoretyzować, ale i wartościować. Interesujące są uwagi na temat zachowania się Feldmana, który nie lubił obiektywności dla współczesnych krytyków, którzy nie

liczą się z dorobkiem poprzedników. Mogłby powiedzieć o tym wiele i podpisany. Dzieło Ortwina winno znaleźć się w każdym polskim domu.

T. Grabowski.

Ks. Dr. Kowalski: Obowiązek i charakter pracy dla Kościoła. Lublin 1936, str. 14.

Ks. Dr. Kowalski rozwija bardzo żywotny a mało wśród katolików znany i odczuwany temat o mistycznym ciele Chrystusa i z niego z całą sobie właściwą głębią myśli i ujęcia wyprowadza obowiązek i charakter pracy katolika. Nawet teolog, któremu nie obce są obszerne prace, ostatnimi laty w tej materii wydane, z zajęciem przeczyta ten wnikliwy skrót a świecki z wielkim pożytkiem, bo naprawdę z tematem rzadko się na ambonie spotyka. Tylko zaznaczyć trzeba, że ten świecki czytelnik musi być inteligentny. Ścisłość logiczna myśli wymaga uwagi natężonej. Szkoda tylko, że autor nie unika wyrażen obcych, tam gdzieby je można dobrze polskimi zastąpić. Nie zawsze też autor szczęśliwie posługuje się wyrażeniami polskimi. „Średniota“, urobiona wprawdzie prawidłowo, ale język zna tylko średniość. Z osobami „pojedynczymi“ walczy duch języka, by się pozbyć tego germanizmu, bo chyba nie ma podwójnych ani potrójnych osób. Do błędów drukarskich zaliczam na str. 4 „obojętności“ zamiast obojętność; na str. 6 „przepowieści“ zamiast przypowieści; „wykazu“ zamiast nakazu; na str. 9. Św. Tomasz przyjął „od swej Sumy“ zamiast do swej Sumy. Oczywiście jedno „m“ wystarczy; na str. 11 drukarz z wysokim poważaniem pisze naszą wolę przez wielkie „w“.

Ks. W. Rejowicz T. J.

Ks. Dr. Walery Jasiński: Na przełomie myśli wychowawczej. Poznań, 1936. Biblioteka Akcji Katolickiej. Str. 42.

Rozprawka X. Dra Jasińskiego jest referatem z dwu części złożonym. Pierwsza przedstawia „kryzys pedagogiki współczesnej“, druga wartości wychowania chrześcijańskiego. Na ten temat przemawiał autor na zjeździe nauczycielstwa w Katowicach 1936 r., a ogłaszając obecnie swą syntezę w Biblioteczce Akcji Katolickiej miał niewątpliwie na oku zwrócenie uwagi na zagadnienie szerszym warstwom. Niewiele ona nowego przynosi. Zresztą sam autor nie tai, że opracował ją na podstawie encykliki „O chrześcijańskim wychowaniu“ oraz naprawdę wartościowego dzieła Schrötelera *Die Pädagogik d. Gegenwart in d. grossen Kulturländern*. Czasem autora ponosi polot retoryczny, jak np. we wstępie, to znowu wpada w akcent popularnej moralizacji, względnie kaznodziejskiego biadania. I tak jednak rozprawka ta, mimo nieomal

nagłówkowego traktowania rzeczy, może przynieść komuś pożytek. Może jako dobry skrót służyć do rozwinięcia bardziej plastycznego w różnych odczytach czy pogadankach pedagogicznych, tym bardziej, że autor odsyła do prac poważnych, które mogą być prelegentom pomocne.

W. R.

Labrousse-Mollière: Liga Praw Człowieka i Obywatela. Katowice, 1936. Drukarnia i Księgarnia Katolicka. Str. 100,

Broszura ta należy do najlepszych pośród tego rodzaju wydawnictw. Rozkład jasny, dokumentacja nadzwyczaj ścisła, styl rzeczowy, spokojny i kulturalny. Praca L. - M. daje nam nie tylko dużą ilość wiadomości o omawianej organizacji, lecz nadto piękne opracowanie właściwego pojęcia wolności. Na str. 73—100 znajduje się tekst 6-ciu głównych dokumentów.

J. P.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji.

Nakładem różnych:

- Zdzisław Stahl: *Polityka polska po śmierci Piłsudskiego*. Wydawnictwo Organizacji Myśli Politycznej, Lwów—Warszawa 1936. Str. 121.
- „Słowak”: *Rola Słowaczyny w militarnym sojuszu Czechów z bolszewicką Rosją*. Odbitka z „Nasza Przyszłość” t. 47 (1936). Warszawa. Str. 42.
- Melchior Wańkowicz: *Strzępy epopei*. Wyd. 3-cie, powiększone. Rój, Warszawa 1936. Str. 293.
- Stanisław Piasecki: *Prawo do twórczości*. Bibl. „Prosto z mostu”, Warszawa 1936. Str. 303.
- Jerzy Andrzejewski: *Drogi nieuniknione*. Bibl. „Prosto z mostu”, Warszawa 1936. Str. 189.
- Giovanni di Jasio: *C'era una volta*. Casa edit. „Quaderni di poesia”, Milano. Str. 177.
- Władysław Orkan: *Czantoria i pozostałe pisma literackie*. Gebethner i Wolff, Warszawa 1936. Str. 300.
- Roman Zawada: *Książka Rezerwisty*. Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy, Warszawa 1936. Str. 443.
- Witold Hulewicz: *Gniazdo żelaznego wilka*. Książnica - Atlas, Lwów - Warszawa 1936. Str. 71.
- Dr. Feliks Burdecki: *Telewizja*. M. Arct, Warszawa 1936. Str. 57.
- Ksawery Zdański: *Przyczynki do dziejów powiatu brzesko-liteńskiego i ziem nim objętych*. Nakł. Autora; skład gł.: Gebethner i Wolff, Warszawa 1936. Str. 132.
- Ks. Julian Unszticht: *Kazania dla wychodźców na niedziele i święta*. Nakł. Autora, Paryż 1936. Str. 142.
- Ks. Michał Rękas: *Msza święta chorych*. Nakł. Apost. Chorych, Lwów 1936. Str. 140.
- Tenże: *Apostolstwo chorych w Polsce*. Nakł. Nacz. Instytutu Akcji Kat., Poznań - Lwów 1936. Str. 18.

- Encyklopedia Nauk Politycznych. Zagadnienia społeczne, polityczne i gospodarcze. Zeszyt 1 (luty 1936) — od Aargau do Anarchizmu. Zeszyt 2 (kwiecień 1936) — od Anarchizmu do Banki. Zeszyt 3 (czerwiec 1936) — od Banki do Bojkot. Str. 484, format 18,5x26. Cena zesz. 6 zł., w przedpłacie 31,80 zł. za 6 zeszytów. (Całość obejmie 4 tomy po 6 zeszytów). Wydawnictwo Instytutu Społecznego i Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska”, Warszawa, Nowy Świat 23-25.*
- Prof. dr. Friedrich Schneider: *Bildungskräfte im Katholizismus der Welt seit dem Ende des Krieges.* Herder 1936. Str. XXII+403.
- Ks. Feliks Bodzianowski: *Pełnia życia.* Nakł. Autora, Owińsko pod Poznaniem 1936. Str. 100+112+99.
- Ks. Kazimierz Grodzki: *Małżeństwo w świetle prawa i życia.* Skład gł.: Księgarnia św. Wojciecha, Warszawa 1936. Str. XXIV+275.
- Ks. Walerian Bodzianowski: *Wielka Tajemnica Psychiki Narodu Polskiego.* Poznań 1936. Str. 368.
- Dr. theol. Joseph Iwanicki: *Morin et les démonstrations mathématiques de l'existence de Dieu.* J. Vrin, Paris 1936. Str. 143.
- Alina Chodaczek: *De Prisciani Lydi Solutionum capite VI.* Gubrynowicz i Syn, Lwów 1936. Str. 42.
- Ks. dr. E. Dąbrowski: *Święty Paweł w Atenach (Dz. Ap. 17, 16-36).* Wyd. Księży Pallotynów. Warszawa 1936. Str. 56.
- Ks. dr. Wincenty Kwiatkowski: *U kolebki chrystianizmu.* Warszawa 1936. Str. VIII+121.
- Ks. dr. Jan Bochenek: *Stanisława Hozjusza nauka o Eucharystii.* Nakładem Polskiego Towarzystwa Teol. w Warszawa 1936. Str. XVI+163.
- Ks. Józef Pastuszka: *Filozofia Współczesna, t. II.* Tow. Nauk. K. U. L. Lublin 1936. Str. 316.
- Adam Bariński: *Słownik pseudonimów i kryptonimów pisarzy polskich oraz Polski dotyczących, t. II.* Gebethner i Wolff, Kraków 1936. Str. 240.
- Robert Bonczyk: *Stary Kościół Miechowski.* Wyd. 4-te krytyczne, opracował Wincenty Ogrodziński. Wyd. Instytutu Śląskiego. Katowice 1936. Skład główny Kasa im. Mianowskiego. Warszawa Str. LXXII+266.
- Bolesław Olszewicz: *Najdawniejsze opisy geograficzne Śląska.* Wyd. Instytutu Śląskiego. Katowice 1936. Skład gł. Nasza Księgarnia, Warszawa. Str. 65.
- Agnieszka Dobrowolska: *Wzory hafciarstwa Ludowego na Górnym Śląsku.* Wyd. Instytutu Śląskiego. Katowice 1936. Skład gł. Kasa im. Mianowskiego. Warszawa. Str. 9+21 tablic.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Legion Młodych Frakcja oskarża. — Program nowego Legionu Młodych. —
Zapowiedź nowej partii prorządowej.

Pierwsi w Polsce zwróciliśmy przed trzema laty uwagę na antyreligijne i komunizujące prądy, które zaczęły nurtować w prorządowej organizacjom łódzieży, znanej pod nazwą *Legionu Młodych*. Ówczesny organ Legionu: *Państwo Pracy* obrzucił nas za to wystąpienie stekiem ordynarnych wyzwisk, a część sanacyjnej prasy przyklasnęła odwadze i energii młodych. Powtarzano z tupetem wyświechtany frazes, iż księża nie powinni się mieszać do polityki i wymyślając nam od morderców ś. p. Narutowicza, przeniesiono całą dyskusję z platformy religijno-obywatelskiej na grząski teren partyjno-politycznych sporów. Tymczasem dalsza ewolucja wypadków przyznała nam w całej pełni słuszość. Nie pomogły zeszłoroczne uroczystości jubileuszowe Legionu, urządzane z wielką paradą i pompą przy udziale władz i delegatów ministerstw, pięcioletni jubilat zachorował na starczy uwiad i stanął nad grobem. Potężni protektorzy wycofali się co rychlej z kompromitującej sytuacji, a Legion Młodych zostawiony swej własnej sile uległ rozsadzającym fermentom i rozpadł się na frakcje.

Bez większego wrażenia przyjęło społeczeństwo polskie wiadomość, iż w myśl deklaracji z dn. 1 maja br. Legion Młodych porozumiał się z młodzieżą socjalistyczną oraz z P. Związkiem Mł. Dem. celem utworzenia wspólnego radykalnego frontu. Był to tylko logiczny wynik radykalnych i antyreligijnych dążeń, które opanowały zespół ideowych wodzów Legionu. Ale sojusz z socjalistami nie jest zbyt intratny. Młodelegioniści przywykli do innej tradycji w okresie tłustej piatiletki, kiedy to magicznie mnożyły się orga-

nizacyjne pisma, płynęły od wystraszonych kapitalistów pieniądze za łamy ogłoszeń, rosły maszty specjalnej stacji nadawczej, otwierały się bramy urzędów, w których rozdzielano lub obiecywano posady. Czyżby miał minąć sen nocy letniej, a honory i synekury miałyby się zamienić na twardą i niezyskową robotę partyjną wśród czerwonych towarzyszy? Fakt, iż w trzy miesiące po ogłoszeniu majowej deklaracji Legion Mł. wykonał zwrot, zameldował się w obozie politycznym pułk. Koca i ofiarował bez zastrzeżeń swe usługi gen. inspekt. Rydzowi Śmigłemu. Wobec jednak tego nowego skoku młodolegionowej ideologii, część członków stworzyła secesję i jako *Legion Młodych - Frakcja* pozostała wiernie pod czerwonym sztandarem.

Mamy więc w tej chwili dwie brygady Legionu Młodych białą i czerwoną, prorządową i opozycyjną.

Historia Legionu jest dla nas niezmiernie pouczająca. Bo oto teraz dopiero rozwiązują się języki i niejedna zakulisowa prawda wychodzi na jaw.

Może najbardziej charakterystycznym jest głos tow. Z. Zapasiewicza, b. komendanta Legionu Młodych a naszego ideowego przeciwnika, który niejednokrotnie zbijał nasze rzekomo niesłuszne zarzuty i twardo stawał w obronie szczytnej ideologii Legionu. Teraz w obliczu klęski, na ruinach organizacji, którą montował i której przewodził, rozpoczyna filipikę pod adresem tych, którzy Legion wypiaścowali, możliwym otoczyli protektorem, daleko idące przyznali mu wpływy na rząd dusz polskiej młodzieży.

Tow. Zapasiewicz podległ organizacyjnej czystce już w maju r. 1934, kiedy to rządząca Polską grupa ludzi, przerażona dziełem własnych rąk, postanowiła skończyć ze skrajnie radykalnym, czerwonym kierunkiem, w jakim popchnął organizację jej komendant oraz klika jego zwolenników.

Dziś pragnie tenże b. komendant „wziąć w obronę honor kilkuset członków Legionu Młodych, na których cała prasa reakcyjna wylewa przy każdej okazji kubły najrozmaitszych wyzwisk”.¹⁾

Tow. Zapasiewicz chcąc ustalić faktyczną odpowiedzialność za stan, jaki się wytworzył w Legionie Mł., stwierdza wyraźnie, że „Legion powołano do życia w r. 1930 jako organizację akademicką, mającą na celu walkę z młodymi endekami na terenie wyższych uczelni”. Legionem chciano więc rozbić ideologię narodową, a potężnemu i niezniszczalnemu hasłu obrony religii i narodu chciano przeciwstawić

¹⁾ Cfr. *Światło*, miesięcznik socjalistyczny. Nr. 8, sierpień 1936 r. „Ewolucje Legionu Młodych”. Str. 23 — 27.

mętną ideę państwowości, radykalizmu i nowej wyzwolonej etyki.

A był to okres, gdy system sanacyjny posiadał jeszcze duży kapitał zaufania w społeczeństwie. Postać Józefa Piłsudskiego wywierała magiczny wpływ na psychikę młodego pokolenia. Atmosfera polityczna, panująca wówczas w Polsce wskazywała na słabość opozycyjnych do sanacji partyj, a hasło, umiejętnie udokumentowane, uzdrowienia moralnego życia politycznego naszego kraju znajdowało oddźwięk w dość szerokich rzeszach naszego społeczeństwa. — W tych warunkach nie było rzeczą trudną, rozporządzając przytem olbrzymimi możliwościami finansowymi oraz mając do swej dyspozycji cały aparat administracyjny, powołanie do życia młodych piłsudczyków.

Legion Młodych został powitany z dużym entuzjazmem przez prawie wszystkie grupy w obozie sanacyjnym — specjalnie gorąco witany był przez prasę konserwatywną, obawiającą się zbyt silnie narastających wpływów młodych endeków.

Organizacji, jak wyznaje b. komendant Legionu, narzucono z góry tak strukturę wewnętrzną jak i deklarację ideową, zastósowano nadto specjalną metodę wychowawczą, by uniemożliwić młodym legionistom jakikolwiek kontakt ideowy z prądami opozycji.

Był to również okres Brześcia, a Brześć naskutek potężnej reklamy stał się symbolem walki o silną władzę Piłsudskiego w oparciu o masy pracujące w kraju ponad głosami znienawidzonych partyjników.

Jasną jest rzeczą, wyznaje ze skruszą tow. Zapasiewicz, iż popełniliśmy straszną pomyłkę — ale należy zrozumieć, iż wierząc w uczciwe zamiary sanacji musieliśmy wyciągnąć odpowiednie wnioski praktyczne. — Młodzież trudno da się naginać do kompromisów, a raz postawiwszy sobie pewne dogmaty wiary pragnie je z całym entuzjazmem i energią realizować.

Bezspornie dominujący wpływ na postępowanie L. M. mieli nasi opiekunowie, którym ufaliśmy całkowicie. W kilka miesięcy później powołano Legion Młodych do akcji wyborczej. O wpływie wychowawczym tej akcji, przy stosowanych wówczas przez sanację metodach, trudno pisać spokojnie. Sekretariaty B. B. W. R. miały jasno wytkniętą zasadę: cel uświęca środki.

W praktyce swej stawały się one dla młodych legionistów szkołą cynizmu politycznego. — Całe zastępy najrozmaitszego rodzaju karierowiczów i aferzystów dostosowały się do obozu. Stwarzali oni specjalną atmosferę moralną, przykrytą pięknym i pustym frazesem ideologii państwowo-twórczej. Wszystko dla państwa — stało się hasłem, wszystko dla własnej kieszeni. Starzy piłsudczycy — nasi seniorzy organizacyjni tych rzeczy nie widzieli, a raczej nie chcieli widzieć. Młodych świeżo upieczonych członków Legionu Młodych zaprzężnięto do roboty wyborczej. — Uczono Legion Młodych, jak należy nienawidzić wszystko, co stoi poza obozem, a jak szanować każdego szuja, który do tego obozu przystąpił...

Starano się na gwałt wyniszczyć w duszach młodych wszelkie pierwiastki krytycyzmu i wyrobić, w myśl zasady hierarchii i karności, ślepe posłuszeństwo dla jego kierownictwa, — stosując w tym względzie niezawodny środek mafij politycznych.

Cała ta praca wychowawcza spowita była zasłoną dymną frazeologii moralnej: „Zobowiązałeś się to zrobić“, „Honor i Dobro Państwa“ etc. były

wkładane w głowy młodych legionistów z taką pozornie głęboką wiarą, że trudno było przypuszczać, aby wychodziły z ust ludzi, których jedynym pragnieniem było utrzymanie się przy władzy. Legion Młodych przechodził w swych początkach podwójną szkołę: w praktyce kształcono cyników, zdolnych do każdego czynu, teoretycznie zaś szkolono charaktery...

Wstrząsający to rachunek sumienia! Ale jeśli to bezwzględne oskarżenie zawiera prawdę, to tym trudniej pojąć, jak liczne zastępy akademickiej młodzieży mogły się garnać do Legionu, który był szkołą cynizmu i deprawował młode charaktery?

I na ten jednak zarzut daje odpowiedź tow. Zapasiewicz. Stwierdza on fakt, iż Legion Mł. stawał się organizacją masową, a nie wyklucza możliwości, że „cały szereg, może nawet znakomita część członków przychodziła do organizacji wierząc, iż otrzyma prędzej za jej pośrednictwem pracę”.

Oczywiście sama masowość wykluczała realne widoki na możliwość zapewnienia posad dla wszystkich młodolegionistów. Stąd rosły fermenty, zazdrości, intrygi, a skrzydło niezadowolonych poczęło tworzyć skrajnie lewicową frondę. Samo zresztą życie uczyło tych młodych zradykalizowanych a pozbawionych zasad etyki i religii ludzi... socjalizmu. „Każde posunięcie czynników miarodajnych musiało na potykać na ostrą reakcję”. Nie wystarczała już frazeologia o państwowo twórczej pracy, nie wystarczyło powoływanie się na ideologię Marszałka. „Wszelkie próby przeciwstawiania się... ewolucji członków Legionu Młodych czynione przez seniorów, a raczej przez urzędników, przydzielonych do tego rodzaju roboty, musiały kończyć się zdecydowanym fiaskiem”. Nie pomogła nawet majowa czystka w r. 1934. Radykalny odłam Legionu nie chciał już zawrócić z drogi.

Dziś tenże odłam oskarża bezwzględnie swych możliwych protektorów, oskarża ich system polityczny, „który dla utrzymania się przy władzy nie wahał się stosować metody dewastacji moralnej w społeczeństwie i stosował ją w sposób bezwzględny także do młodego pokolenia”.

Tow. Zapasiewicz kończy swą katylinarkę groźnym wykrzyknikiem:

Odpowiedzialność, jaką ci ludzie ponoszą wobec Historii naszego kraju popełniając tę zbrodnię nad młodym pokoleniem i wychowując karły moralne — nie minie bezkarnie. — Rachunek za nią wystawi klasa pracująca w Polsce.

Można sobie wyobrazić, z jakim uczuciem dumy i satysfakcji przeczyta te słowa b. premier Janusz Jędrzejewicz, który niedawno jeszcze, z miną triumfatora, sumował

na łamach *Zrębu* wyniki swojego dzieła.¹⁾ Jedno mogło dziwić, iż p. Premier przy skrętnym wyliczaniu swych zasług i rezultatów swoich wysiłków pominął milczeniem właśnie sprawę Legionu Mł. Wszak to chyba nie ostatnia pozycja w bilansie jego twórczości. Widocznie p. Jędrzejewicz wyparł się rodzzonego dziecka, które na okrojonej autonomii uniwersytetów miało wyrósć, by poskromić i rozbić zastępy młodzieży przejętej duchem narodowym. Wzrosło wprawdzie i to nadmiernie szybko, tylko że zakwitnęło purpurą czerwieni. Niewdzięczny pupil dziś kasa rękę, która go karmiła, chroniła, i z rozmachem wprowadzała w życie!

Pozostaje głęboka nauka, że sternikiem praworządnego państwa, zatroskanym naprawdę o jego mocarstwową siłę nie wolno bezkarnie igrać z radykalizmem, bo radykalizm wydaje wnet swoje zatrute owoce. Gdyśmy piętnowali rosnący radykalizm Legionu Mł., gdyśmy udowadniali, iż jego antyklerykalizm jest zamaskowaną walką z religią i etyką,²⁾ — padały na nas gromy, iż się bawimy polityką i uprawiamy opozycję w obronie czarnej reakcji. Historia ostatnich lat wykazuje jednak dowodnie, żeśmy bronili jedynie interesu państwa i narodu. Nie podkopywanie autorytetu religii przez radykalizm, ale zespolenie wrodzonego poczucia miłości narodu z umiłowaniem wiary prowadzi do potęgi polskiego państwa. Wszelkie inne poczynania, choćby osłonięte frazeologią o państwowo-twórczej pracy czy państwowym wychowaniu skończyć się muszą fiaskiem czy raczej logicznym przejściem radykałów pod komendę czerwonej międzynarodówki.

Ale w ewolucji, której uległ Legion Mł. kryją się jeszcze i inne przestrogi. Twórcy i kierownicy tej organizacji oparli swą wychowawczą pracę na kulcie państwowości polskiej odzęgnywując się zdecydowanie nie tylko od słowa naród, ale i od jego treści. Pamiętamy wywody b. premiera J. Jędrzejewicza, wygłoszone na posiedzeniu komisji budżetowej Sejmu w dn. 23 stycznia 1933 r. P. Jędrzejewicz oświadczył wówczas, iż „metodą jego myślenia i sprawdzianem decyzji jest interes państwowy... Naczelnym dobrem społeczeństwa jest państwo, rzeczą najwyższą jest interes państwowy i wszystkie inne muszą mu się podporządkować... Tę a nie inną myśl propagują rządy pomajowe”. Dlatego „w szkołach wszystkich typów i stopni chce wprowa-

¹⁾ *Zrąb*. numer 2-gi 1936.

²⁾ Por. broszurę: *Walka z duchowieństwem czy walka z Kościołem*. Wyd. Księży Jezuitów 1933.

dzić szczerzy, głęboki, na uczuciu i wiedzy oparty kult państwowości". Ten kult państwowości miał właśnie uprawiać na terenie wyższych uczelni Legion Mł., on miał również przez swych instruktorów krzewić statolatrię na terenie gimnazjów za pomocą Straży Przedniej.

W ideologii tej, pokrywanej znowu słusznie czy niesłusznie autorytetem Marszałka, zapomniano o zasadniczej prawdzie, że właśnie narodowość a nie jakiś abstrakcyjny humanitaryzm stanowi podstawę i zasadę wzajemnego porozumienia się narodów. Nie kult państwowości ma zapobiegać wojnom i imperializmowi, ale właśnie obrona własnych narodowości. Miłość i chęć służenia własnemu państwu może się opierać tylko na patriotyzmie, na miłości swej ojczyzny i swego własnego narodu. Tego prawa natury, płynącego z jaźni ludzkiej nie wyruguje żadna przemoc ni żadna ideologia.

I oto widzimy, że Legion Mł., który przyjął z entuzjazmem nową religię kultu państwowości w tej religii nie wytrwał.

Część członków, tworząc Frakcję, przeszła pod czerwone sztandary i przyjęła hasła międzynarodówki, które są oczywistym zaprzeczeniem nie tylko ideologii narodowej, ale i państwowej, tak jak ją rozumiał obóz pomajowy. Druga zaś część Legionu, która zgłosiła swój akces do obozu pułkownika Koca, wykonała ideowe salto mortale i stanęła na stanowisku prawie że narodowego szowinizmu. Wszak przed paru tygodniami na ogólnym zjeździe Legionu Mł. zapadła między innymi i taka uchwała:

Jesteśmy nacjonalistami, gdyż tylko w oparciu o zorganizowany naród można zdobyć dla Polski silne mocarstwowe stanowisko.

Dlatego też walczyć będziemy z wszelkimi czynnikami rozkładowymi, a przede wszystkim prowadzić będziemy bezwzględna walkę z Żydami, dopóki choć jeden Żyd przebywać będzie w granicach Polski. Na razie jako pierwszy etap, podejmujemy bezwzględną walkę z Żydami w dziedzinie kulturalnej i gospodarczej.

Czytając to sprawozdanie przecieramy oczy; czy to nie pomyłka drukarska, czy tu nie chodzi przypadkiem o zjazd młodzieży Obozu Narodowo-Radykalnego? Nie, to tylko ci, którzy na uniwersytetach mieli rozbijać ugrupowania endeckie stają z nimi do wyścigu.

Nie inny ton panuje i w młodolegionowej prasie. *Państwo Pracy*, które niegdyś przekpiwało nastroje uczuć narodowych, teraz publikuje z rozmachem takie manifesty:

„Głosimy, że Państwo Polskie jest przejawem politycznej woli Narodu Polskiego. Stwierdzamy, że pełnoprawnym gospodarzem w Polsce jest Naród Polski, określamy nasz stosunek do zagadnienia mniejszości na-

rodowych na płaszczyźnie ustosunkowania się tych mniejszości do Państwa Polskiego“...

Te pełne energii hasła zamieszczono w artykule pt.: „W Polsce nastąpić muszą zmiany“.¹⁾ Może prawdziwszym nieco byłby tytuł, że zmiany te muszą nastąpić nie w Polsce, ale w obozie jędrzejewszczyzny. I tam już zresztą one nastąpiły, bo ideologia, chcąc budować państwo bez narodu, musiała zbankrutować z kretesem, jak w dziki szowinizm musi się przekształcić kult narodu, zrywający z religią i jej etyką. Tylko taka hierarchia myśli i wartości wytrzyma próbę dziejową, u której szczytu jest Bóg a potem naród i ojczyzna. Legion Mł. przetasował karty swej ideologii, ale zdaniem naszym uczynił to niedostatecznie. Brak mu zerwania z radykalizmem, brak otwartego przyznania się do wiary ojców, do Kościoła i jego etyki, do szczytnej tradycji naszych dziejów, którym miłość Boga i ojczyzny nadaje swoiste piętno w wielkiej rodzinie narodów.

Tej luki w ideologii Legionu Mł., który znowu z rozmachem i poparciem pewnych czynników wkracza na arenę życia akademickiego, nie zastąpi § 9 programu, ogłoszonego w dn. 27 lipca br.:

Zasada wolności sumienia nakazuje tolerancję w zakresie wyznaniowym, przy uznaniu wpływu religii na kształtowanie się wartości etycznej człowieka. Wszelkie związki religijne powinny być jednak odsunięte od działalności politycznej.

Co zaś należy rozumieć przez to odsunięcie, wyjaśnia deklaracja programowa:

...Widzimy niemożliwość utrzymania stanu rzeczy, w którym zagadnienia natury politycznej byłyby wygrywane pod pretekstem akcji religijno-wyznaniowych. Widzimy konieczność separacji całkowitej tych zagadnień. W pierwszym rzędzie nasuwa się tutaj konieczność podporządkowania organizacyjnej strony działalności instytucji wyznaniowych pod kontrolę Państwa. Uważamy, że przede wszystkim powinien być poddany rzeczowej rewizji — konkordat. Przy czym wspomnianą zmianę konkordatu rozumiemy jako odciążenie Państwa z zobowiązań tak natury politycznej jak i finansowej na rzecz Kościoła.

Mętne to i nie przemyślane, ale dość zrozumiałe dla Polaków przywiązanych do wiary i do Kościoła. Legion Mł. ofiaruje nam łaskawie wolność sumienia pod kontrolą państwa! Żąda zmiany konkordatu w tym sensie, by państwo nie dopełniło swych słusznych zobowiązań. Żąda, by ratyfikowało grabież dóbr kościelnych, dokonaną przez zaborców, a utrzymanie kościołów i całego kultu oddało wyłącznie trosce wiernych jak w państwie Sowietów. Żąda, by katolicyzm stanowiący religię olbrzymiej większości narodu znalazł

¹⁾ *Państwo Pracy*. Nr. 10. 27. IX. 1936.

się na platformie łaskawego tolerowania go przez państwo, może na równi z sektami...

A teraz możemy zapytać, czy Legion Mł. pozwoli na Katolicką Akcję? Na ingerencję Episkopatu do szkolnictwa w zakresie przymusowego nauczania religii? Na obronę ślubów sakramentalnych małżeństwa i ich nierozzerwalności? — Jesteśmy przekonani, że na te i tym podobne pytania Legion Mł. odpowie kategorycznym: Nie, bo to polityka, bo to jest wygrywanie zagadnień natury politycznej pod pretekstem religii.

I dlatego sądzymy, iż znany list Episkopatu polskiego, potępiający Legion Mł. pozostaje nadal w całej mocy i że polskiej młodzieży katolickiej nie wolno wstępować w szeregi Legionu Mł., pomimo jego frazesów o narodzie i potędze państwa, bo powtarzamy raz jeszcze, iż nacjonalizm, nie oparty na religii katolickiej i nią nie prześwietlony, zwyrodnienie wnet w radykalny szowinizm, w taki czy inny hitleryzm, który z tradycją naszego narodu i naszej kultury nie ma nic wspólnego.

Legion Mł. zameldował się już u p. pułk. Koca, usiłuje też pozyskać sympatie, opiekę, może i przywileje ze strony wodza polskiej armii, gen. Śmigłego-Rydza. Nie wątpimy jednak ani na chwilę, iż wódz polskiej armii nie pójdzie na kompromisy z religijnym radykalizmem, bo tak jak armia należy on do całego narodu, a naród jest w swej olbrzymiej większości katolicki i katolickim pozostać pragnie. Pamiętamy też o obietnicy danej publicznie na początku br. akademickiego przez p. vice-min. Ujejskiego w porozumieniu z p. min. W. R. i O. P. — że na terenie akademickim nie będzie żadnych organizacji protegowanych, narzucanych, uprzywilejowanych! Niech Legion Mł., który niestety przywykł do innej tradycji, idzie teraz w życie o własnych siłach z swą ideologią, a nie wątpimy ani na chwilę, że wnet rozpadnie się po raz trzeci i nowej ulegnie likwidacji. A zlikwiduje go ideologia, która się przyzna otwarcie bez zastrzeżeń i bez kompromisów do służby Bogu i Ojczyźnie.

Pełna obywatelskiego rozumu zapowiedź pana vice-min. Ujejskiego prowadzi nas do wyciągnięcia jeszcze jednej przestrogi z historii Legionu Młodych. Przestrożę tę sformułował silnie już przed rokiem prof. Kołaczkowski na łamach *Marchofa*. Napiętnował on z mocą i głęboką prawdą system tworzenia organizacji i ideologii z góry drogą administracyjnych ukazów w miejsce współpracy ze społeczeństwem. U podstaw tych fałszywych metod tała się naiwna wiara, że siła rozkazu może wszystko, że nawet stwarza z niczego, że można najzawilsze procesy duchowe i społeczne

załatwiać metodą zbliżoną do ćwiczenia rekruta albo agitacji werbunkowej.

Najstraszniejszym złudzeniem, wiodącym do wyjałowienia rządu z realnych sił, na których można się oprzeć, i do zakłamania społeczeństwa jest to, gdy się żywi mniemanie, że można ideologię stwarzać, na obstalunek ją robić.

Tak jednak właśnie postępowano i wybierano speców według partyjnego klucza, którzy przy zielonym stoliku tworzyli ideologię wychowania państwowego, reformy uniwersytetów, krzewienia kultury teatralnej, uzdrowienia gospodarki itd. Takimi metodami szerzono, zdaniem prof. Kołaczковского, mimo woli, ale faktycznie, psychikę komunistyczną w duchu czysto rosyjskim.

Że metoda ta zbankrutowała u nas na całej linii na to mamy dowodów dziesiątki. Jedną z pozycji tego smutnego bilansu jest właśnie historia Legionu Młodych.

Rozchodzą się po kraju wieści, że rząd względnie p. pułk. Koc ma stworzyć w Polsce nową organizację pro-rządową na miejsce dawnego B. B. W. R. Prasa codzienna podaje raz po raz na ten temat mniej lub więcej sensacyjne wiadomości. Jawią się komunikaty i ich urzędowe czy pół-urzędowe zaprzeczenia i poprawki. Może w świetle wyżej zestawionych uwag, opartych nie na partyjnym aprioryzmie, ale na analizie doświadczeń wolno będzie sformułować życzenie, by doświadczenia te nie poszły na marne, by to nie była znowu robota z góry, narzucona przez administrację; by to nie była sztucznie stworzona ideologia przybrana w nowe frazesy o zbankrutowanej treści, ale by wyrosła ze społeczeństwa, z jego zdrowej tradycji, z jego kultury i przywiązań, które uszanować trzeba. A jest rzeczą absolutnie pewną, iż społeczeństwo nasze w olbrzymiej większości nie pójdzie na hasła międzynarodowego humanitaryzmu, bezbożnego radykalizmu i bezdusznego szablonu.

Z tym faktem muszą się liczyć ci, którzy by chcieli tworzyć obóz zjednoczenia. Muszą oni mieć odwagę, by, przy pełnej tolerancji dla innych wyznań i innych narodowości, stanąć na platformie umiłowania Boga oraz własnego narodu. Wszelkie inne próby zakończą się bezwzględny fiaskiem, a na nowy eksperyment pozwalać sobie nie wolno, bo w grę wchodzi podobno ostatnie atuty: honor armii i jej naczelnego Wodza.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Wielka rewolucja monetarna. — Wolny handel. — Polska w Lidze Narodów. — Kolonie i emigracja żydowska.

Sensacje finansowe górują ostatnimi czasy pośród innych. W ub. miesiącu rozeszła się przyjemna wieść o znacznej francuskiej pożyczce dla Polski oraz zamiarze rozszerzenia naszego obrotu handlowego z Francją. W parę zaś tygodni później nadbiegła wieść, jeśli nie przykra, to co najmniej niepokojąca — o urzędowej dewaluacji waluty francuskiej.

Jak, w jakich warunkach się to stało — wiadomo z dzienników. Stało się nie jednostronnie, lecz niejako z „gwarancją międzynarodową”. Rządy i banki emisyjne Ameryki i Anglii zawarły z rządem i bankiem Francji porozumienie, mocą którego obowiązują się czuwać i zapobiec ewentualnie dalszej tendencji zniżkowej franka francuskiego. W razie gdyby się taka tendencja ujawniła to znaczy, gdyby francuski bilans handlu zagranicznego popadł w znaczniejszy niedobór, gdyby zobowiązania przewyższyły należności, a tym samym złoto i waluty obce poczęłyby emigrować z banku Francji i z kraju, wówczas bank Angielski i Federal Reserve Board przyjdą bankowi francuskiemu z pomocą kredytową, by mu ułatwić przywrócenie zachwianej równowagi walutowej. Dewaluacja obecna miała zmniejszyć wartość jedynie waluty francuskiej, pozostawić natomiast na dotychczasowym, dawniej już obniżonym parytecie dolar oraz niewiele, o parę procent tylko opuścić kurs funta angielskiego. „Trójporozumienie walutowe” zaznaczyło w swej deklaracji, że zabieg ten ma na celu stabilizację wartości głównych walut świata na zbliżonym do siebie poziomie dla pobudzenia handlu międzynarodowego. Zalecono przy tym powszechną zniżkę barier celnych, ograniczenie reglamentacji wymiany towarów i kontroli obrotu środkami płatniczymi. Francja i Anglia wszczęły nawet w tym kierunku akcję w Lidze Narodów. Jednym słowem z punktu wyjścia francuskiej dewaluacji ma się, według jej realizatorów, rozwinąć generalna kontrofensywa przeciwkryzysowa na arenie międzynarodowej, zmierzająca do odbudowy liberalnego światowego gospodarstwa.

Rozwinęła się ona jednak na razie w kierunku raczej niezamierzonym. Zniżka franka znalazła natychmiast cały szereg naśladowców, jak Szwajcarię, Holandię, Czechosłowację i Włochy. Inne waluty wśród nich niemiecka, austriacka, a nawet polska znalazły się pod presją, która niezadługo włączyć je może w powszechny prąd deprecjacji pieniądza. „Złoty blok” walut w przeciwieństwie do „bloku sterlingowego”, broniący swego tradycyjnego kursu — runął. Jaka jest geneza, technika i perspektywa tego prądu, oraz w jakim sensie kompletuje ją nagminność zniżki?

Od dłuższego już czasu patrioci gospodarczego liberalizmu zauważyli, że „kryzys mija“, że „fala“ zlej koniunktury już się wyczerpuje i ustępuje miejsca fali dobrej. Bo jakże to, przecież w Anglii produkcja już przewyższyła ilościowo, choć nie pod względem wartości, poziom przedkryzysowy. Ceny światowe zaczynają wykazywać tendencję zwykłą. A więc zapotrzebowanie na towar w obrocie międzynarodowym widocznie wzrasta, rynek zbytu zapewne „chciałby“ się rozszerzyć, gdyby go nie krępowały złośliwe zapory celne i więzy reglamentacyjne. Obalić je zatem i rozwiązać! Wszak one to (w oczach liberałów) są właściwymi winowajczyniami całego wielkiego kryzysu. Zastój i bezrobocie rozwinęły się na skutek zaniku handlu międzynarodowego, a cóż skurczyło go tak katastrofalnie jeśli nie reglamentacja wymiany?

Tak rozumują liberałowie, są jednak w błędzie. Odwracają stosunek przyczyny i skutku. Kontyngentowanie handlu i kontrola dewiz istotnie skurczyły wymianę towarów, a więc rozmiar ich produkcji i stan zatrudnienia. Ale gdyby ich nie wprowadzono w pierwszych latach kryzysu to zalew nadmiaru dóbr z państw wysoko-wytwórczych do krajów ekonomicznie słabszych zrujnowałby ich produkcję, zniszczył waluty, budżety pograżył w deficytach; po prostu więc zniszczyłby kolejno gospodarstwa narodowe, naprzód słabsze a w następstwie również silniejsze i najsilniejsze.

Dziś jednak sytuacja się zmieniła. Światowy spadek cen w okresie nadmiaru udostępnił towar rynekom uboższym i nawet przy systemie wymiany kontyngentowanej pozwolił ją ilościowo rozwinąć do rozmiarów przedkryzysowych. „Błogosławieństwo nieurodzaju“ podniosło ceny rolne, a szal zbrojeń przemysłowe. Stąd światowa tendencja zwykła, która mało zdaje się mieć wspólnego ze wzrostem zdolności konsumpcyjnej i nabywczej poszczególnych rynków. Bezrobocie stopniało tu i ówdzie znacznie, ale tylko w mocarstwach anglosaskich w związku z organicznym rozwojem produkcji; zwłaszcza na rynku wewnętrznym oraz rynkach preferencyjnych, uprzywilejowanych lub od Anglii uzależnionych. Stan gospodarczy europejskich państw kontynentalnych pozostaje nadal, i to coraz krytyczniej, opłakany, pomimo pozornych sukcesów, pomimo redukcji bezrobocia w Niemczech i Włoszech, spowodowanej inwestycjami wszystkich sił kapitalistycznych danego kraju w roboty publiczne i zbrojenia. Niemcy gonią ostatnim tchem, bo wszelki rozporządzalny kapitał już w ten sposób zamrozili. Włochy mają na karku 7 miliardów kosztów wojny abisyńskiej. To nie przeszkadza, że robią minę, jakoby gotowe były jeszcze 11 miliardów lirów umieścić w zbrojeniach, ale mina ta wydaje się dość sztuczna. Wreszcie Francja, mimo reglamentacji handlu, ma od dłuższego czasu silnie naprężony lub bierny bilans handlowy i płatniczy, chronicznie bowiem cierpi na stosunkowo znaczną drożyznę swoich cen krajowych wobec poziomu

cen światowych. Ostatnia zaś fala radykalizmu społecznego, śrubująca kosztą produkcji (a więc i ceny i kosztą utrzymania w swego rodzaju *circulus vitiosus*) przyparła gospodarstwo francuskie wobec gospodarstwa światowego wręcz do muru. Jedyny ratunek, jaki pozostał, to zniżka cen eksportowych francuskich za pomocą dewaluacji waluty.

Mocarstwa anglosaskie chętnie udzieliły swego poparcia temu zamiarowi. Światowa bowiem tendencja zwyżkowa, oparta nie na wzroście popytu, lecz na redukcji podaży rolnej oraz wzroście cen wewnętrznych skutkiem rozděcia budżetów przez zbrojenia, zawiera w sobie moment niepokojący: prawdopodobieństwo nowego ilościowego skurczu obrotów, a więc i kryzysowego nacisku na stany produkcji oraz zatrudnienia. Chodziło zatem o przeciwdziałanie temu niebezpieczeństwu w możliwie szerokim zakresie. Kontrofensywę poprowadzono dwojakim torem: zniżki franka i apelu wolnohandlowego.

Te dwie akcje kojarzą się ze sobą, ale nie są identyczne. Czy ewentualna zniżka „barier” celnych oraz rozluźnienie sztywnych kontygentów wymiany mogłoby oddziaływać ożywiająco na handel międzynarodowy i w jakim zakresie? W zasadzie może się wydawać, że istotnie tak, gdyż chodziłoby tu przecież nie o co innego, jak o proces odwrotny w stosunku do kryzysowego rozkładu. Kryzysowy zastój i bezrobocie powstały z zaniku wymiany międzynarodowej, przeto rozwój wymiany międzynarodowej powinien by usuwać zastój i bezrobocie. W rzeczywistości tak być może tylko do pewnego stopnia, bo sprawa jest bardziej złożona, niż się to liberałom wydaje. Procesy zastoju i ożywienia przeciwstawiają się sobie nie tylko kierunkowo, nie wystarcza więc po prostu odwrócić bodźce, by przestawić rozwój ujemny na tor pozytywny. W grę wchodzi przede wszystkim te głębokie przyczyny strukturalne, które swego czasu zmusiły do reglamentacji kurczącej obroty handlowe. Jeśli te przyczyny w dalszym ciągu istnieją to powrót do wolnej wymiany szybko znów by je obnażył i wywołałby z ich strony nacisk wsteczny. Oto owe przyczyny: 1^o przeludnienie Niemiec oraz niedostateczna pojemność rynku światowego dla wchłonięcia ich pełno-ilościowej produkcji. 2^o Zasadniczy techniczny hyperprodukcjonizm, przerastający pojemność zarówno rynków wewnętrznych w produujących krajach, jakoteż samego gospodarstwa światowego. 3^o Niedorozwój gospodarczy i słaba zdolność obrotowa Wschodu wogóle, zaś europejskiego w szczególności. Wreszcie 4^o wewnętrzny chaos społeczno-gospodarczy na tle przestarzałej organizacji podziału w poszczególnych gospodarstwach narodowych, tak ostro obecnie widoczny we Francji, czynny zaś prawie wszędzie.

Na takim tle możnaby w drodze powrotu do wolnego handlu osiągnąć chyba tylko jakąś przejściową ulgę, o krótkim tchu a wielkim niebezpieczeństwie ponownego zagrożenia równowagi

tak międzynarodowej jak wewnętrzno-gospodarczej. W procesie liberalizacji handlu wystąpiłyby też szybko na jaw niebywale trudności. Jeśli kraj przyjmie większy import od kraju wzamian za odpowiednio zwiększony doń eksport, to wzmoże się stąd zarówno produkcja jak konsumpcja obu krajów. Jest to oczywiście, objaw dodatni, ale w praktyce da się zastosować tylko na pewnych dość wąskich szlakach oraz w dość ograniczonym zakresie, gdyż gospodarstwo narodowe normalne (tj. nie przeludnione jak Niemcy lub Anglia) nie może zbyt kurczyć swego obrotu wewnętrznego przesuwając jego punkt ciężkości na obrót zagraniczny.

Wszystko to, a zwłaszcza wyżej wymienione zasadnicze przeszkody strukturalnie sprawiają, że na serio walki z kryzysem przeprowadzić nie można inaczej, jak tylko zaczynając od opanowywania tych właśnie głębokich raf podwodnych. O tym się jednak dotąd w świecie i u nas myśli zbyt mało. Mało myśleli także inicjatorowie „rewolucji walutowej”. Walutowa jej strona przedstawia się jeszcze problematyczniej niżli „wolno handlowa”. Dewaluacja franka mogłaby istotnie ożywić eksport francuski, ale tylko przy szeregu ważkich i trudnych do zrealizowania zastrzeżeń. 1^o ażeby kraj importujący z Francji nie zniżył swojej waluty, bo wtedy ustaje dla Francji premia walutowa. 2^o ażeby ten kraj nie oparł się niższe cen wywozowych francuskich za pomocą wyższej ceł lub zapór kontyngentowych. 3^o z reguły musiałaby w tym celu Francja przyjąć u siebie odpowiednio zwiększony import z tego kraju, ale wtedy niższa waluty staje się zbędna i Francja musiałaby ją kompensować ustępstwami w cłach lub rozszerzeniem kontyngentów ze swej strony. Wreszcie 4^o Francja musi wogóle zniżyć cła, ażeby przeciwdziałać podrożeniu nieodzownego dla siebie importu, który działałby zwyklowo na wewnętrzny poziom cen francuskich i neutralizował efekt dewaluacji.

W tych warunkach wyniki dodatnie, jakie Francja może osiągnąć za pomocą dewaluacji swej waluty, przedstawiają się niezbyt obiecująco. Zyskać może najprędzej chyba tylko u Anglosasów, ponieważ oni nie wykonali równoległego posunięcia dewaluacyjnego. Także w krajach, które stosunkowo mało z Francją handlują i nie zareagują żadnymi środkami na spadek franka mogą się okazać jakieś korzyści. Czy to się opłaci, zważywszy że pewien choćby niewielki wzrost cen wewnętrznych nie da się uniknąć — to dopiero przyszłość pokaże. W każdym razie kraje, które francuskiej niższe przeciwstawiły równoległy krok ze swej strony, tym samym automatycznie zasłoniły się przed potaniem francuskiego towaru. Pozostaje więc jako środek zwiększenia wywozu, jedynie drogą zwiększenia przywozu, czyli rozwój obrotu w drodze układów z poszczególnymi państwami. Nie wymaga to jednak ani manipulacji wartością pieniądza, ani przejścia od systemu kontyngentowego do liberalnych form handlu,

do których zmierza trójporozumienie walutowe amerykańsko-anglo-włoskie. Podobno łącznie z Holandią, Belgią, Szwajcarią i Włochami nowy „blok dewaluacyjny” rozporządza miliardem funtów szterlingów funduszu wyrównawczego, mogącego chronić poszczególne waluty od załamania skutkiem fluktuacji wymiany przy wolnym handlu. Suma olbrzymia i chronić może te waluty skutecznie, ale nie bezterminowo a nawet niezbyt długoterminowo, gdyby kraje tego nowego bloku zechciały wybitnie zliberalizować swój handel np. z Niemcami.

Należy odczekać, czy i jakie wyniki praktyczne osiągnie ta międzynarodowa „rewolucja monetarna”. Z pewnością jednak nie usunie ona tych raf zasadniczych, które wymienilem, a które rozłożyły liberalne gospodarstwo światowe na rzecz autarchij gospodarstw narodowych. Ciekawy ten i na wielką skalę podjęty eksperyment walutowy nie posiada wielkich szans nawet w kierunku przeciwdziałania wyżce cen światowych, ponieważ rozpowszechnienie dewaluacji niszczy jej w tym kierunku skutek. To też trudno się spodziewać, by oddziałał analogicznie do kryzysowego spadku cen światowych, z którym mogła współdziałać dewaluacja anglosaska dlatego właśnie, że się nie rozpowszechniła. Wtedy następstwem spadku cen był wzrost ilościowy obrotów. Obecnie mogłoby to być osiągnięte tylko w drodze układów albo wolnej wymiany, czemu przeszkadzają wszakże „rafy” strukturalne.

Natomiast wewnętrzny stan gospodarczy kontynentalnych państw europejskich jest tego rodzaju, że istotnie nasuwa myśl i potrzebę solidarności wysiłku międzynarodowego. Tylko że drogi tego wysiłku żadną miarą nie mogą prowadzić do celu przez galwanizację zwłok liberalizmu, lecz muszą rozwijać planową gospodarkę wewnętrzną oraz rozszerzać ją w niemniej planowej współpracy regionalnych grup gospodarczych. Jako „region” nasuwa się tu przede wszystkim Europa kontynentalna z Francją, Polską i Niemcami na czele.

Jakie znaczenie przedstawia dla Polski dewaluacja franka łącznie z towarzyszącym mu orszakiem? Tendencja rozwinięcia obrotów handlu międzynarodowego, z którą związana była inicjatywa „trójporozumienia walutowego” byłaby dla nas oczywiście pożądana. Gdyby stała się ciałem, mogłaby w szczególności ułatwić kredyt francuski dla Polski umożliwiając Francji przyjęcie pewnej nadwyżki eksportu polskiego na spłatę długu. W praktyce jednak w obecnej chwili rzecz się ma raczej odwrotnie. Zniżka franka *et consortes* wywiera nacisk w kierunku zniżki złotego, dopóki bowiem ona nie nastąpiła nasz eksport do krajów bloku dewaluacyjnego podrożał, import zaś stamtąd potaniał. Chcąc uniknąć równoległej z naszej strony dewaluacji musielibyśmy albo podwyższyć nasze cła kurcząc przywóz proporcjonalnie do zmniejszonego wywozu, czyli redukując obrót, albo też uzyskać odpo-

wiednie kompensujące zniżki celne od państw bloku z Francją na czele.

Na razie jedynie wskazaną z naszej strony była postawa wyczekująca, którą władza państwowa zajęła. Zarówno w związku z „rewolucją monetarną” jak po części niezależnie od niej rozwinęło też przedstawicielstwo nasze wyjątkowo ożywioną działalność na tegorocznym zgromadzeniu Ligi Narodów. Wobec anglo-francuskiej inicjatywy „odreglamentowania” handlu zajęto stanowisko nie bez zastrzeżeń, kładąc nacisk na równoległą z rozwojem wymiany towarowej akcją ożywienia międzynarodowego ruchu kapitałów oraz „eksportu” rąk roboczych, czyli emigracji.

Problem emigracyjny postawiony został ze strony polskiej bardzo zasadniczo i szeroko, w związku z ogólnym zainteresowaniem sprawami kolonialnymi formalnie zgłoszonym przez p. min. Becka przy sposobności wyborów do komisji mandatowej. Podkreślono przeludnienie wsi polskiej, hipertrofię drobnego handlu żydowskiego oraz zajęcie przez ten żywioł miast, gdzieby nadmiar polskiej ludności wiejskiej winien znajdować naturalne ujęcie. Zagadnienie żydowskiej emigracji z Polski może być właściwie rozwiązane jedynie na drodze międzynarodowej współpracy, a to zarówno ze względu na konieczność znalezienia odpowiednich terenów (Palestyna nie wystarcza) jak też funduszków. Dotychczasowa, ilościowo niedostateczna emigracja żydów z Polski, silnie ciąży na naszym bilansie płatniczym. Gdzie jak gdzie, ale w tym zwłaszcza wypadku winien by współdziałać kredyt międzynarodowy nietyle gospodarczy ile humanitarno-polityczny. Zapowiedziano ze strony polskiej dalsze, bardziej konkretne postulaty w tej sprawie na następnych zebraniach genewskich. Osiągnięto rezolucję komisji gospodarczej w tym duchu oraz zwołanie specjalnej konferencji emigracyjnej pod egidą międzynarodowego biura pracy.

Andrzej Prawdź.

Rzymskie kongresy prasowe.

Z powodu 75 rocznicy watykańskiego dziennika *Osservatore Romano* otwarto na wiosnę b. r. w Watykanie *Międzynarodową Wystawę Prasy Katolickiej*, a na tle niejako tej Wystawy zorganizowano dwa kongresy poświęcone sprawom prasy.

Pierwszy, otwarty 22 września, miał cel i charakter zupełnie specjalny, poświęcono go bowiem wyłącznie sprawie przygotowania dziennikarzy do zawodu dziennikarskiego i publicystycznego w szkołach dziennikarskich. Większość referatów informowała o istniejących

szkołach dziennikarskich wogóle a katolickich w szczególności, o zadaniach tych szkół, programie wykładów itd. Pierwsza szkoła dziennikarska powstała w Stanach Z. A. P. w r. 1908 w Missouri na uniwersytecie Columbia, dawała ona wyłącznie czysto techniczne przygotowanie do zawodu dziennikarskiego bez uwzględniania przygotowania ogólnokulturalnego. Podobny program miały i inne potem przy amerykańskich uniwersytetach otwierane szkoły dziennikarskie. W r. 1920 Ks. Copus T. J. założył pierwszą katolicką szkołę dziennikarską przy uniw. Marquette; zajmuje ona dziś jedno z czołowych miejsc wśród 30 szkół dziennikarskich w Ameryce. Obecnie większość państw europejskich posiada również przynajmniej po jednej takiej szkole. Co do programu dzieli się one na dwie grupy; jedne mają charakter wyłącznie techniczny, inne zaś oprócz przygotowania technicznego uwzględniają także i przygotowanie ogólnokulturalne. Wśród tych licznych szkół dziennikarskich na kontynencie europejskim tylko dwie są katolickie, jedna istnieje w Lille przy tamtejszym uniwersytecie katolickim, a druga istniała do niedawna przy redakcji największego hiszpańskiego dziennika katolickiego *El Debate*. Obie uwzględniają w programach obok przygotowania technicznego i ogólnokulturalnego także specjalne przygotowanie katolickie, polegające na wyższym kursie wiedzy religijnej. Użyteczności a nawet konieczności takich szkół nie potrzeba udowadniać, jest ona oczywista. Dlatego też doskonały referat J. Demarteau, naczelnego redaktora *Gazette de Liège*, prezesa związku katolickich belgijskich dziennikarzy, o racji istnienia katolickich szkół dziennikarskich, był raczej rekapitulacją jasnych postulatów, zmierzającą do uchwalenia wniosku, wzywającego do zakładania takich szkół we wszystkich państwach. Interesujący był również referat o nauczaniu etyki dziennikarskiej, wygłoszony przez Ks. Evrarda, redaktora dziennika *La Croix du Nord*, równocześnie profesora deontologii czyli etyki dziennikarskiej w szkole w Lille. Uczestnicy kongresu odpowiedzieli na referat Ks. Evrarda gorącą prośbą o wydanie drukiem wykładów deontologii dziennikarskiej.

Po takim wstępie dnia 24 września w wielkiej auli dominikańskiego *Angelicum* otwarty został Drugi Międzynarodowy Kongres Dziennikarzy Katolickich. Pierwszy obradował w Brukseli w 1930 r., zamierzano na nim doprowadzić do stworzenia międzynarodowego związku dziennikarzy katolickich, z powodu jednak różnych trudności wyłoniono tylko komitet, który miał się zająć przygotowaniem statutu dla nowego związku i przygotowaniem drugiego kongresu.

Komitet przyjęte na siebie zadanie wypełnił. Kongres bieżący, drugi z rzędu obesłano wcale licznie: kart uczestnictwa członków czynnych wydano około 270. Obrady otworzył naczelnny redaktor *Osservatore Romano* hr. Dalla Torre, świetny mowca,

katolik wielkiej wiary i wielkiego zapału. Powitawszy gości i uczestników kongresu, oddał głos Sekretarzowi Stanu kard. Pacelli. Pierwszy Książe Kościoła zaczął mówić! Jego długa mowa była najpierw arcydziełem wymowy. Włosi słyną z wymowy, ale bywa ona u nich zbyt afektowana, lubują się w obfitości słów, przechodzących we frazeologię, w zbyt żywej gestykulacji i pozach aktorskich, atoli mowa Kardynała Pacelliego była wzorem wymowy najwyższej klasy, pełnej umiaru, harmonii i piękna. Określenie: arcydzieło wymowy nie oddaje jednak jeszcze właściwego charakteru przemówienia Sekretarza Stanu. Było w nim coś znacznie więcej, była przede wszystkim ogromna siła przekonania, rodząca się z wielkiej wiary, z jakiegoś jasnowidzenia prawd Bożych i prawd życia, była powaga autorytetu moralnego, który swoją nadprzyrodzoną mocą zniewala, przykuwa i porywa, i była mądrość niezwykła, złączona z przemiłą dobrocią i życzliwością. Jeżeli idzie o treść, to nie powiedział zasadniczo nic nowego, rewelacyjnego: nakreśliwszy w wielkich rysach obraz położenia współczesnego świata, rozbitego na dwa obozy, przedstawił wielkość powołania dziennikarza katolickiego, zadania prasy katolickiej, mającej bronić prawdy, bronić Kościoła, służyć nauce katolickiej w ścisłym, synowskim zjednoczeniu z Głową Kościoła. Ale te stare prawdy wypowiedziane zostały z takim naprzyrodzonym namaszczeniem, z taką siłą przekonania, z tak zniewalającą powagą, że dla wszystkich słuchaczy, a przede wszystkim dla przybyszów, stały się przeżyciem, o którym nigdy nie zapomną. Kulminacyjny punkt napięcia osiągnął Dostojny Mowca, gdy po wypowiedzianej po włosku części ogólnej, którą wyżej streściliśmy, nawiązując do słów św. Jana: *Saluta amicos nominatim*, przeszedł do powitania delegatów w ich własnych językach. Zaczął od dziennikarzy włoskich, potem mówił po francusku do Francuzów i Belgów, po hiszpańsku i portugalsku, po angielsku, po niemiecku do Niemców i Austriaków, dostosowując treść przemówienia do stanu i warunków każdego narodu. Nie mogąc zaś przedstawiciele reszty narodów powitać ich ojczystym językiem, przemówił na końcu po łacinie, wymieniając na pierwszym miejscu Polskę. Ustęp ten przytaczamy w całości, ponieważ technicznie wielką dla Polski sympatią i zawiera samą istotę dziejów Polski. „Synowie szlachetnej Polski! Jak niegdyś ocaliła ona kraje Zachodu przed gwałtownym zalewem islamizmu, tak i obecnie, zdaje się nam, jest powołaną w zamiarach Opatrzności do obrony prawdziwej europejskiej kultury, by mianowicie ten wielkoduszny naród stanął murem przeciw zgubnym błędom i przewrotnej działalności tych, co zniósłszy prywatną własność, śmiały buntować się przeciw samemu Bogu, odrzucają i depczą wszystko co święte... To niechaj wam będzie jakby upominkiem na drogę, siłą we walce, pociechą w trudach oraz ochroną i osłoną w tak bardzo trudnym, lecz i przepięknym waszym po-

ślannictwie, które wymaga męczących wysiłków, atoli napełnia umysły niebieskim weselem".¹⁾

Tym życzeniem zakończył Kardynał Pacelli swoją fascynującą mowę, swoje exposé Pierwszego Ministra Kościoła i Papieża. Burza oklasków i okrzyków wzruszonych i przejętych do głębi słuchaczy była podzięką za niezrównane prawdziwe katolickie powitanie. Dalla Torre nazwał je *un miracolo dell'eloquenza*, a siedzący obok mnie również doskonały i subtelny mówca, posiadający dar języków prof. Halecki swoje wrażenie wyraził powiedzeniem, że warto było przyjechać do Rzymu tylko dla wysłuchania tej mowy, która choć wygłoszona przy otwarciu Kongresu, była równocześnie jego kulminacyjnym punktem.

Głównym bowiem zadaniem Kongresu było opracowanie statutu i zawiązanie międzynarodowego Związku katolickich dziennikarzy. Cel ten osiągnięto, związek powstał. Celem jego jest utrzymywanie braterskiej jedności myśli, kierunków i czynu katolickiej pracy codziennej i periodycznej, dla spotęgowania skuteczności apostołstwa prasy w służbie Kościoła i Papieża. Związek jednoczy wszystkich pracowników prasy, a więc wydawców, redaktorów, współpracowników redakcyjnych, kierowników agencji prasowych i reklamowych oraz tych wszystkich, którzy zajmują się propagandą prasy katolickiej. Zadanie swoje Związek spełnia przez utrzymywanie ścisłej współpracy członków i przedstawicieli narodów, przez organizowanie i wspieranie szkół dziennikarskich i kursów przygotowawczych, przez kongresy międzynarodowe, itd. Władze Związku stanowi prezydium, rada i kongres międzynarodowy. Wykonawczymi jakby organami Związku jest *Biuro międzynarodowe dziennikarzy katolickich*, które skupia w sobie oficjalnych przedstawicieli narodowych związków dziennikarskich, oraz *Stała Komisja wydawców i dyrektorów względnie naczelników redaktorów dzienników* czy instytucyj wydawniczych katolickich. Same nazwy wystarczająco określają zadania obu podrzędnych organów. Prezydium Związku i Rada wybierana jest na lat cztery, kongresy międzynarodowe zwoływane będą co dwa lata. Najbliższy odbędzie się na zaproszenie rządu austriackiego we Wiedniu.

Kongres rzymski ograniczył się prawie wyłącznie do spraw organizacyjnych, zagadnienia ogólne poruszane będą na następ-

¹⁾ *Vobis inquam, nobilis Poloniae Fitti, quae ut olim regiones ad occasum versas ab exundantis Islamiticae gentis impressione sospites fecit, sic etiam in praesens ad id, coelestis Numinis consilio, vocata esse videtur, ut ad Europaeam veri nominis culturam incolumem servandam, magnanimum populum suum quasi vallum opponat, praesertim nefastis eorum erroribus pravisque eorum agendaе vitae rationibus, qui privatorum bonis possessionibusque publicatis et in commune redactis, in Deum ipsum temerario ausu rebellant, sacraque omnia detractant ac respuunt. ...spirituale veluti viaticum imperfite cupio, quod robur in pugna, in labore solatium ac columnen sit atque praesidium in perdifficili pulcherrimoque munere vestro, quod saepius mentis vires excruciat, debilitat, exhaurit, at animos supernis gaudiis replet.*

nych kongresach. Nie możemy jednak pominąć milczeniem bardzo znamiennej dla tendencji współczesnego katolicyzmu referatu wygłoszonego na plenum przez A. Michelin na temat religijnego wyrobienia i przygotowania katolickiego dziennikarza i publicysty. Referent po odpowiednim umotywowaniu przedstawił 4 postulaty, od których wypełnienia zależy skuteczność dziennikarskiej pracy katolickiego publicysty: codzienna modlitwa myślna lub przynajmniej codzienna lektura religijna, stała praca nad pogłębianiem uświadczenia i wykształcenia religijnego, częste przystępowanie do Komunii św., coroczne trzydniowe zamknięte rekolekcje.

Gdy wspaniała mowa Kardynała Pacelliego była punktem kulminacyjnym kongresu ściśle wziętego, to audiencja u Ojca św. w Castel Gandolfo stała się przeziętym uwieńczeniem, dzień przedtem zakończonych prac kongresowych. Po wspólnej Mszy św. wysłuchanej w Bazylice św. Piotra, w prześliczny pogodny dzień 27 września udaliśmy się autokarami do letniej rezydencji Ojca św., by tam z Jego ust usłyszeć słowa ojcowskiego napomnienia i ojcowskiego błogosławieństwa. Z naciskiem powtarzamy słowo: ojcowski, ponieważ rzeczywiście cała przemowa Ojca św. nacechowana była ogromną dobrocią i wzruszającym sentymentem. On sam nazwał przemowę swą *causeries paternelles*. Pius XI zaczął od reminiscencji z *Quo vadis* Sienkiewicza, gdzie w jednej rozmowie Petroniusz używa powiedzenia: *ne bis in idem*. Kardynał Pacelli wygłosił już wspaniałą mowę inauguracyjną, hr. Dalla Torre zamknął Kongres płomienną przemową, więc mowa Papieża byłaby już *ter in idem*, dlatego ogranicza się tylko do wyrażenia za św. Pawłem jednego uczucia i jednego napomnienia. Uczucie — to wdzięczność; *grati estote*, wdzięczność uczestników Kongresu za łaskę czy szczęście znalezienia się w Rzymie, w którym pobyt jest zawsze dla pielgrzyma prawdziwym przeżyciem, wdzięczność i podzięka Papieża za pracę dziennikarzy katolickich dla sprawy Bożej, za walkę w obronie prawdy Chrystusa i Kościoła (*grati sumus*). A w drugiej części swego przemówienia dał nam Ojciec św. oprócz błogosławieństwa za hasło, które mamy ze sobą zabrać, słowa św. Pawła: *Christo Domino servite*.

Uzupełnieniem jakby prac kongresowych było zwiedzanie dwu wystaw, diametralnie ze sobą sprzecznych, a jednak dziwnie się uzupełniających: *Międzynarodowej wystawy prasy katolickiej* w Watykanie i również *Międzynarodowej wystawy prasy komunistyczno-bezbożniczej*, urządzonej w Papieskim Instytucie wschodnim. Ponieważ jednak obie te wystawy zasługują na obszerniejsze omówienie, choćby tylko dlatego, że nasuwają zagadnienia i spostrzeżenia o pierwszorzędnej doniosłości przeto sprawozdanie o nich odkładamy do głównego numeru *Przeglądu*.

A teraz na zakończenie pragniemy podnieść i podkreślić pewne konsekwencje, jakie za sobą powinny pociągnąć oba omó-

wione Kongresy dla spraw polskich. Przyjęcie uchwał Kongresu, poświęconych sprawie szkół dziennikarskich, nakłada na nas obowiązek zorganizowania takiej szkoły w Polsce, względnie zdobycia takiego wpływu na istniejącą już w Warszawie szkołę dziennikarską, by można było uważać ją przynajmniej od biedy za szkołę katolicką. Możliwe jest jeszcze trzecie rozwiązanie, polegające na zorganizowaniu dla przyszłych dziennikarzy katolickich specjalnych, dodatkowych kursów czy wykładów, obok wykładów w szkole dziennikarskiej. Czysto techniczne, fachowe przygotowanie, a nawet ogólne wykształcenie uniwersyteckie nie wystarczy dla wyrobienia prawdziwego dziennikarza katolickiego, potrzebne jest również gruntowne wykształcenie religijne.

Założenie i ukonstytuowanie się *Międzynarodowego Związku dziennikarzy katolickich* zniewala oficjalnych przedstawicieli katolickiej prasy polskiej do zreorganizowania istniejącego już ale bardzo słabo działającego Związku pisarzy katolickich w Warszawie. Należy koła tego Związku zakładać po wszystkich miastach uniwersyteckich i wciągnąć do współpracy także dziennikarzy i publicystów, rozsianych po mniejszych miastach prowincjonalnych. Wnioski, jakie nasuwają nam obie Wystawy, które zamierzamy omówić w następnym zeszycie, wobec ogromnych niebezpieczeństw, zagrażających sprawie Kościoła i narodu, domagać się będą przede wszystkim od prasy i publicystyki katolickiej wielkiego i ofiarnego wysiłku. By ten wysiłek był skuteczny, musi być oparty na fundamencie zjednoczenia! — Trzeba będzie również rozwiązać nie łatwą sprawę stosunku naszego katolickiego Związku dziennikarzy i publicystów do istniejącego już, zawodowego Związku dziennikarzy Rzeczypospolitej. Dlatego uważamy za konieczne zwołanie krajowego zjazdu pisarzy i dziennikarzy katolickich, któryby zajął się przede wszystkim sprawami organizacyjnymi.

Ks. St. Bednarski T. J.

Z III-ciego Polskiego Zjazdu Filozoficznego.

III Polski Zjazd Filozoficzny, który odbył się w Collegium Novum U. J. w Krakowie w dniach od 24 — 27 września b. r. samą liczbą uczestników i prelegentów świadczył dobitnie o wzrastającym u nas zainteresowaniu dla zagadnień zasadniczych, światopoglądowych. Aula Magna U. J. musiała pomieścić oprócz z górą 200 członków zwyczajnych (uprawnionych do zabierania głosu) i c-a 50 nadzwyczajnych (bez prawa zabierania głosu) bardzo licznych gości. O tym samym świadczy bardzo poważna liczba zgłoszonych referatów: na plenum 12, a na sekcjach 91, (z tego 3 nie wygłoszono). Z pośród wielu poruszanych zagad-

nień na czoło zainteresowań prelegentów wybijały się logika względnie logistyka, stosunek filizofii do nauk i zadania filizofii. Przewagę tych zagadnień nad innymi tłumaczy w pewnej mierze ta okoliczność, że Zjazd pierwotnie projektowano na nieco odmienny sposób, zacieśniając temat odczytów i dyskusyj do dwu zagadnień zasadniczej natury. Pierwsze z tych zagadnień miało uwzględnić stosunek oczywistości logicznej do rzeczywistości ontologicznej, a drugie miało naświetlić rolę filizofii wobec nauk. Z logiczno-ontologicznych problemów punkt ciężkości przesunął się zdecydowanie na logikę formalną, a szczególności na logistykę.

Nie pomylimy się, jeśli drugie miejsce zjazdu przyznamy zagadnieniom etycznym i socjologicznym, które w sekcji socjologii i etyki cieszyły się dość poważną ilością referatów i stosunkowo dużą frekwencją słuchaczy. Również sekcja teorii poznania i ontologii oraz psychologii budziła dość żywe zainteresowanie. Natomiast frekwencja na sekcji historii filizofii i estetyki czyniła przygnębiające wrażenie świadcząc o małym zrozumieniu ważności podkładu historycznego dla pracy filizoficznej.

Trudno w ramach krótkiego sprawozdania zamknąć wszystkie kierunki uwydatnione na plenum i na sekcjach. Ograniczymy się więc do najogólniejszej charakterystyki. Ogólne nastawienie obecnego Zjazdu w porównaniu z dwoma poprzednimi zjazdami uważać trzeba za wybitnie prometafizyczne. Nie znaczy to, by pozytywizm nie znalazł wyrazu na Zjeździe, był jednak stanowczo zmajoryzowany przez sympatyków metafizyki. Nawet w obozie logistyków, posądzanym o skłonności pozytywistyczne, odezwał się głos niezwykle ciepły dla filizofii metafizycznej, głos tym poważniejszy, że pochodził od takiej firmy, jaką na terenie logistyki przedstawia prof. J. Łukasiewicz. Wyraziście występująca reakcja przeciw pozytywizmowi nacechowana była jednak dużą dozą ostrożności i nieśmiałością w stąpieniu po nowym gruncie. Może wskutek tego ujawniające się dążności metafizyczne wyrażały wielką rozbieżność, nie grupowały w jakimś kierunku większego zespołu pracowników, jeśli pominiemy małe grono wrocławskich i liczniejsze towarzystwo marksistów, produkujących się głównie na sekcji etycznej.

W ocenie ogólnego poziomu Zjazdu musimy z konieczności nieco więcej uwzględnić szczegółów, bo Zjazd przedstawiał pod tym względem bardzo wielkie nierówności. Ta nierówność poziomu uderzała przede wszystkim na sekcjach przechodząc całą gamę od naukowych wyżyn (np. prof. Heitzmana: Związki platonizmu odrodzenia ze średniowieczem) do naprawdę wiecowego referatu p. Lewińskiego M. z pod czerwonego znaku Marksa, odczytanego na sekcji historii filizofii. Nie był to jednak unikat pod tym względem, co potwierdzą biorący udział w sekcji etycznej.

Zbytecznym byłoby dodawać, że poziom w dyskusji, jak zwykle, tak i w tych wypadkach nie wyrastał ponad poziom odpowiednich referatów.

Na plenum i referaty i dyskusja utrzymane były w poważnym i rzeczowym tonie. Dopiero referat prof. Kotarbińskiego wniósł dużo niepoważnych elementów, które tym bardziej przykre pozostawiły wrażenie, że miały miejsce pod sam koniec Zjazdu. Najpierw przedstawianie się jako „wolnomyśliciela“ na filozoficznym zjeździe było całkiem nie na miejscu. Wolnomyślicielstwo nie jest kierunkiem filozoficznym i wiadomo, że w ostatnich czasach więcej ma do czynienia z policją niż z filozofią. Ostry kontrast zaznaczył się również między poważną pracą i wysiłkiem myśli u ogółu innych prelegentów na plenum a mizernym minimalizmem reistycznego nominalizmu, który nie może filozofować, dopóki nie zostanie wydany „słownik wyrazów filozoficznych“. Z tego słownika dowiemy się np., że transcendentálny idealizm i dyskusja nad nim to słowne nieporozumienie. Sądzimy, że profesor Kotarbiński nie mógł gorszej przysługi oddać nieszczęsnemu słownikowi, jak reklamując go w ten sposób. Kto przeczytał Kanta choć raz i nie bawiąc się słówkami, choćby „wolno“ myślał podążał za Kantem, ten idealizmu Kanta na pewno nie nazwie słowem bez treści i „słownik“, który oświadczył by się za tym, uzna za dzieło nihilizmu myślowego. Jeżeli prof. Kotarbiński nic więcej w Kanta idealizmie transcendentálnym nie wyczytał, jak tylko puste słowa, pod które nie mógł podstawić myśli, to z tego nie wynika, że u Kanta tych myśli nie ma, lecz że prof. Kotarbiński cierpi na organiczną niezdolność do filozoficznego pojęciowego myślenia. Można mieć inne poglądy niż Kant, ale trzeba mieć rozsądek i uznać przeciwnika, jeśli on przedmiotowo na to zasługuje. A chyba nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jeśli mamy wybrać między bezmyślnością i pustą frazeologią u Kanta, — który przecież tyle wpłynął na dzieje myśli ludzkiej, — a bezmyślnością jego krytyka, nie pozwalającą dopatrzeć się w nim wartości, to wybór będzie nazbyt łatwy i łatwo wpaść na osąd, która filozofia jest „papuzią filozofią“ słówek.

Prof. Kotarbiński projektuje w swym słowniku jeszcze grubo ciekawsze pomysły, jak np. ten, że metafizyki, a mianowicie metafizyki o charakterze idealistycznym, owszem wszelkiej religii szukać będziemy musieli pod „iluzją“. Słownik filozoficzny jakimś dziwnym sposobem jasno nam pokaże, że metafizyka, religia, to „papuzia filozofia“. Dlatego nauka, usuwająca iluzję zastępuje inteligentnemu człowiekowi religię.

Naukowość tych „powiedzonek“, obiektywizm filozofa, profesora uniwersytetu, mówiącego „ex cathedra“ wobec filozofów całej Polski, mówią zbyt jasno za siebie, by wymagały komentarza.

A kiedy w dyskusji między wieloma postawiono i ten zarzut, że pionierzy nauki byli pod rząd ludźmi religijnymi, że naukowiec Eddington widzi ideę nieskończoności u podstaw przyrody, to prof. Kotarbiński, zabierając głos w filozofii religii, z prostotą rozbrajającą pyta, co nieskończoność ma wspólnego z religią. Czy to pytanie uznać za nieszczerze czy złożyć na karb ignorancji? Gdyby to wszystko wypowiedziane było z mniejszą dozą pretensjonalności i dramatycznej powagi, może przez brak kontrastu nie wypadłoby tak groteskowo, iż *difficile est satiram non scribere*. Bo gdy profesor Kotarbiński procentami obliczał, ile w nim reisty a ile sceptyka, gdy „z prysiadami” i całą wymową gestów stawiał pytanie, „co z tego wszystkiego (tj. z pomieszania nominalizmu i sceptycyzmu) wyniknie” i nie umiał na nie odpowiedzieć, to zakrawało już na farsę, boć zbyt było oczywistym, że cokolwiek wyniknie, nie wyniknie na pewno nic wielkiego ani poważnego i z pewnością na dziejach filozofii nic to nie zaważy. Nie chcę dalej rozprowadzać tej przykrej historii, która może zatarłaby się łatwiej, gdyby był komitet organizacyjny schował omawiany referat w środku, a nie eksponował go przy końcu zjazdu i gdyby wyjątkowo liczna na tym odczynie publika żydowska, nie zaakcentowała swej sympatii do referenta frenetycznymi oklaskami, jakimi nie obdarzano innych prelegentów.

Ta ostatnia okoliczność nasuwała bardzo dużo refleksyj na temat związku między wolnomysłicielstwem a rasą semicką...

Poza tym wystąpieniem prof. Kotarbińskiego i paru innymi wystąpieniami marksystów na sekcjach, które obok banalności wносиły nieraz dużo zgryztu o posmaczku wiecowym, całość zjazdu wypadła bardzo dodatnio.

Wśród poważnie pracujących filozofów bez względu na wiek i stanowisko wyczuwać się dawała duża wzajemna sympatia, poczucie konieczności wspólnych wysiłków przy wzajemnej pomocy. Dużo pod tym względem dopomogło Prezydium Komitetu organizującego Zjazd, w którego skład wchodził prof. Wit. Rubczyński (prezes), prof. Tad. Garbowski (wiceprezes) oraz doc. dr. Heitzman Marian (sekretarz). Na samym zjeździe obrano prezesem honorowym zjazdu prof. Twardowskiego, nieobecnego, i pięciu urzędujących prezesów: prof. Kaz. Ajdukiewicza, prof. Tad. Czeżowskiego, prof. Jana Łukasiewicza, prof. Zygmunta Zawirskiego i prof. Wład. Heinricha (bawiącego w Berlinie).

Funkcje generalnego sekretarza zjazdu pełnił doc. dr. Heitzman, który biera materiały do księgi pamiątkowej. Księga ta ukaże się tradycyjnie jako osobny numer Przeglądu filozoficznego pod redakcją prof. Tatarkiewicza. Na uwagę zasługuje wniosek prof. Bron. Petroniewicza z Białogrodu, by następny (IV-ty) polski zjazd filozoficzny odbył się jako pierwszy ogólno-słowiański zjazd filozoficzny w Polsce. P. Szydłowski Jerzy poruszył

sprawę instytutu organizacyjnego nauki. Oba wnioski odesłano do prof. Twardowskiego. Poza tym ogół wypowiadał się za szybkim urządzeniem następnego zjazdu.

Ożywione zajęcie się prasy zjazdem filozoficznym świadczy obok wspomnianej powyżej dużej frekwencji o przełamanym zobojętnieniu wśród szerszego społeczeństwa do filozofii, zobojętnieniu, które szło w parze z dominującym u nas pozytywizmem.

Po naszkicowaniu ogólnego obrazu zjazdu, trudno nie wspomnieć o zebraniu odbytym w N. I. Ku., które było uzupełnieniem dyskusji otwartej na plenum zjazdu. O. prof. Bocheński i ks. dr. Salamucha, dwaj gorący zwolennicy logistyki, jako „jedynie dziś naukowej logiki“, zorganizowali zebranie dyskusyjne w zamkniętym gronie księży, zajmujących się filozofią, w którym wzięli także udział niektórzy filozofowie nieduchowni. Z pośród tych ostatnich, przede wszystkim wymienić należy prof. Łukasiewicza, prof. Tatarkiewicza i p. dr. Drewnowskiego. O ile można wnioskować z myśli referatów — (tradycyjna dążność do maksimum ścisłości we filozofii katolickiej, niedoskonałości logiki tradycyjnej w porównaniu z logistyką, teologia a logistyka) — chodziło organizatorom o rozwianie uprzedzeń i wyrobienie przekonania u filozofów katolickich, że tylko filozofia posługująca się logistyką jest filozofią naukową, ścisłą. W tym duchu przemawiał również prof. Łukasiewicz.

W dyskusji, która na ogół przyznawała logistyce dużo stron dodatnich, poczyniono również wiele zastrzeżeń. A więc jej trudność, brak definicji tych pojęć, które konieczne są do pracy w filozofii scholastycznej, trudność, czy w ogóle jest miejsce w logistyce na analogię pojęć, zbytne wyjaławienie pojęć, mechanizacja myślenia, dążności nominalistyczne i pozytywistyczne, oparte na konwencjonalizmie aksjomatyki i na wynikającej stąd wielowartościowości logiki. Na wytknięte trudności odpowiadał prof. Łukasiewicz, O. prof. Bocheński i ks. dr. Salamucha.

W atmosferze chęci wzajemnego wyrozumienia poczyniono sobie wzajemne ustępstwa, ale koncepcję więcej niż dwuwartościowej logiki, choćbyśmy za O. prof. Bocheńskim rozumieli ją psychologicznie, uważać należy za dość ryzykowną.

J. C.

NACZELNY REDAKTOR: KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.

Rocznice Skargi dotychczasowe a przyszłe.

I.

Mieliśmy szczęście obchodzić dwie rocznice Skargi i brać udział w ich urządzaniu; — w Krakowie, w r. 1912 obchodziliśmy trzechsetną rocznicę śmierci, obecnie w r. 1936 w Warszawie czterechsetną rocznicę urodzin.

I tu i tam stała przed pamięcią narodu ta sama wyjątkowa postać, której Bóg przeznaczył, by była słupem ognistym w dziejach Polski. Miał ten słup ognisty prowadzić naród ku szczytowi wielkiej Polski, ale w ten sposób, że na ten szczyt złożyć się miały w duszach polskich dwie wielkie miłości: miłość Kościoła Bożego i miłość Ojczyzny. Na szczyt wielkiej Polski Skarga narodu za życia swego nie wyprowadził, ale przez zjednoczenie tych dwu miłości w swoim sercu i przez nieustrudzoną swą działalność sprawił, że idea polskości spłotła się nierozzerwalnie z ideą katolicyzmu. I tego nie osiągnął od razu, w każdym razie nie w pełni za swego życia. Postawił naród przed alternatywą: albo szczyt wielkiego państwa, albo przepaść i katastrofa niewoli. I dopiero, gdy dosłownie spełniły się złowrogie przeczucia i przepowiednie Skargi, przestrogi jego urosły do rzędu pewnika historycznego i zawładnęły duszą narodu. Ci, co wobec puszczczenia upomnień Skargi przez współczesnych w niepamięć, mówią i piszą o tragizmie Skargi, patrzą tylko na jego ziemskie lata a nie na rolę, jaką Opatrzność mu wyznaczyła w całym biegu historii polskiej, dokonywującą się nawet w stulecia po jego śmierci. Dla pokoleń Polski pogrobowej

stał się Skarga głosem nieprzepartym sumienia narodowego i jego drogowskazem. Zobaczymy, czy to posłannictwo Skargi nie ma przed sobą jeszcze i dalszych przeznaczeń?

Takim Skarga był w pamięci narodu i dziś w r. 1936 i przy trzechsetnym jubileuszu jego śmierci, w r. 1912. Ale był pewien istotny rys, którym różniły się te dwa jubileusze.

W r. 1912 byliśmy jeszcze w niewoli. W dwu byłych zaborach, rosyjskim i pruskim, obchód jubileuszowy Skargi nie mógł wcale odbyć się, obchodzono go tylko pod trzecim zaborem, zwłaszcza w Krakowie. Na uroczystościach jubileuszowych krakowskich, szczególnie podczas kongresu, na którym omawiano duchową spuściznę po Skardze, widziało się wielu ziomków, którzy przekradali się przez kordony. Sam ich widok, widok oczu, w których raz po raz rozpalały się ognie, widok łez spływających po twarzy, głębokie przejęcie i zamyślenie spuszczonej ku ziemi głów, świadczyły wymownie, czym dla Polski pogrobowej jest Skarga.

Bo też ludzie ci czuli, jak dosłownie spełniły się na nich słowa Skargi: „Będziecie bez Ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwaj ważono, będą“. Wyraz „Polska“ w XIX wieku zdeptano doszczętnie a słowa pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła“ przytaczane były w całym świecie z sarkazmem jako objaw niepojęcie naiwnej lekkomyślności. Jeden „Kościół Boży“, matka, którą Skarga pragnął w sercach polskich zjednoczyć z drugą matką Ojczyzną, jeden on tylko pozostał Polsce wierny. Papieże nie uznając rozbiorów pisali encykliki „do biskupów Polski“; w liturgii kościelnej obchodzono co rocznie pamięć zwycięstw pod Grunwaldem, Chocimem i Wiedniem; pod sklepieniami kościołów płynęło ustawicznie ku niebu wezwanie litanii loretańskiej: „Królowo korony polskiej“ — zjednoczenie polskości i katolicyzmu stało się forteczną obroną polskości, z której szła siła ku przetrwaniu niewoli i ufność w lepszą dolę.

A że złowrogie przeczucia i przestrogi Skargi płynęły z najwyższej miłości Ojczyzny, że były bolesnym jękiem i rykiem broniącej swych szczeniąt lwicy, więc nic dziwnego, że ze wszystkich wielkich postaci historii polskiej Skarga był najbliższy sercu pogrobowców. To odczuł najlepiej i naj-

silniej wyraził wielki mistrz Matejko. Obchodów jubileuszowych było wiele, raz po raz jawili się przed pamięcią wielcy królowie, hetmani. Ale jawili się jako złudny miraż minionej przeszłości. Przesuwali się przelotnie po widnokregu naszej pamięci, po chwili zniżali się za widnokrąg i znikali. Wszystko, co mocą czynu i zasługi mogłoby dalej istnieć i żyć w potomkach, wszystkie żywe arterie przelewające dziedzictwo w następców, wszystkie ogniwa łączące Polskę królewską z Polską niewolników, wszystko to z upadkiem kraju rozsypało się w nicość i pogłębiło jeszcze przepaść, rozdzielając dni dzisiejsze od czasów minionych. Tylko jedna twarz wyrывała się z tego zamierzchłego tła wieków nieprzepartą siłą, twarz zatłona płomieniami proroczej prawdy i apostołskiego gniewu, zapałająca ze ścinającym krew przerażeniem w straszne dno przepaści i poniżenia, dno, w którym wschodziły i zachodziły dni naszego życia. Nad tym dnem królowała tylko twarz Skargi jako tego, który pierwszy przecierpiał mękę naszej niedoli i naszej tragedii.

Taki był naczelny nastrój, taka dominanta jubileuszu skargowskiego w r. 1912.

Któż wtedy mógł przypuszczać, że za lat sześć nastąpi zmartwychwstanie Polski?

Odmienny zupełnie był nastrój obecnego jubileuszu w odrodzonej Ojczyźnie, jubileuszu czterechsetlecia urodzin Piotra Skargi. Już nie w jednej dzielnicy, ale wszędzie jak kraj długi i szeroki, po miastach i wsiach, pod stropami świątyń i sklepieniami sal publicznych, w sztuce i prasie, w słowie mówionym i w książce, w pochodach przez ulice miast i w uroczystych zgromadzeniach publicznych — wszędzie pełnym blaskiem zajaśniało imię Skargi. Skarga szedł przez kraj jako ten poseł Boży, który pierwszy wskazał na „trzeci dzień“ zmartwychwstania.

W Warszawie, podczas mszy świętej na placu Zamkowym, skupił się cały majestat Rzeczypospolitej — a po mszy świętej najwyższy dostojnik państwa odsłonił spiżową tablicę, wmurowaną w ściany zamku królewskiego. Napis na tablicy stwierdzał, że złożyła ją w hołdzie „wdzięczna Ojczyzna“ — a treścią istotną tablicy były nieśmiertelne słowa Skargi: „Upominałem, aby obie matki swoje, Kościół Boży i Ojczyznę,

w jednym końcu złęczone, wiernie i uprzejmie miłowali". Na tym dostojnym miejscu został przekazany spiżowymi głoskami wszystkim pokoleniom Polski testament Skargi. Skarga stanął znowu jako słup ognisty, wiodący naród ku szczętom wielkiej Polski.

To tylko jeden motyw obrazu. Uczucia radości były słońcem, naokół którego jednak, kłębiły się czarne chmury. Po wojnie światowej przeszła cała Europa przez cyklon zawichrzeń i burz, na wszystkich polach: społecznym, politycznym, moralnym i religijnym, a zwłaszcza gospodarczym, zapanowały chaos i anarchia. Od lat kilkunastu patrzy cały świat z oszałamiającym zdumieniem na jeden z najtragiczniejszych momentów historii. Budowa, którą nowożytna ludzkość zaczęła wznosić przed pięciu wiekami, w naszych oczach jęła rozsypywać się w ruinę, całe piętra, całe skrzydła padają nieraz w jednej chwili w gruzy. Po wszystkich kątach świata wybuchają rewolucje i wojny domowe, nad którymi unosi się ustawicznie widmo nowej wojny światowej a w następstwie światowej rewolucji. Czy to przełom, czy skok w przepaść?

Rocznica Skargi przypomniła nam, że żył on w początkach tego okresu, na którego koniec obecnie patrzymy. Neopogański humanizm i reformacja, z których w prostej linii idą dzisiejszy anarchistyczny subiektywizm i laicyzm, wywoływały również za życia Skargi wstrząsy, chaos i anarchię. Na okopach zagrożonej chrześcijańskiej cywilizacji w Polsce stanął Skarga. Z całą prostotą i niezłomną stanowczością skreślił swój program w następujących słowach: „Na katolickiej wierze... Polska jest zbudowana. Tak stała 600 lat, tak Chrystusa prawego i Jego świętą Ewangelię piastowała... tak się rozkwitnęła i tak wiele narodów do siebie skupiła, tak nieprzyjaciołom odejmowała, tak sławy wielkiej u postronnych dostawała... Ten stary dąb tak rósł, a wiatr go żaden nie obalił, bo korzeń jego jest Chrystus. Ruszcież jeno tych fundamentów religii starej, a ujrzenie wielkie zarysowanie murów królestwa i Ojczyzny waszej; zatem i upadek, obroń Boże! nastąpi”.

Oto pogląd Skargi. To, co spełniło się na Polsce pod koniec XVIII wieku, to grozi Europie dziś. Istota walki dzi-

siejszej rozjaśnia się coraz bardziej — przeciwko Chrystusowi staje antychryst.

W tej walce, na ołtarzu posłannictwa położył Skarga siebie całego w ofierze. Zmienił się w płomień, który go spopielał, i w piorun, który raził wrogów. Ustokrotniał się i rozdzielał na wszystkie strony; żadna bolączka społeczeństwa nie była mu obcą. Był i apostołem i przewidującym mężem stanu i organizatorem i działaczem społecznym i publicystą i pisarzem i obrońcą warstw upośledzonych i jałmużnikiem. W ten sposób rocznica obecna objawiła nam Skargę jako najbardziej nowożytnego szermierza idei chrześcijańskiej, jako bezpośredni wzór na dni dzisiejsze.

To też pogląd Skargi, w którym gmach państwa opiera się na sześciu moralnych filarach, był podstawą jubileuszowego kongresu w Warszawie: miłość ojczyzny — zgoda współobywateli — religia katolicka — silna władza — prawa sprawiedliwe — moralność poddanych. Te myśli przewijały się przez wszystkie referaty, z których niestety kilka w ostatniej chwili odpadło. Wobec dzisiejszych wstrząsów i niebezpieczeństw szły wszystkie dążenia kongresu ku temu, ażeby wzmocnić wewnętrznie siły narodu. Przede wszystkim katolicyzm musi podjąć nieustraszoną walkę o moralność życia publicznego. Tu wspomniano na słowa Skargi przeciw letnim i oziębłym katolikom: „barszczykowie letni“, „strachy na wróble“. Tak, w takiej akcji trzeba mieć odwagę Skargi, jego ducha ofensywy, ducha ofiary i poświęcenia. Dzięki tym przymiotom Skarga nie tylko rozbił i unicestwił szyki i ataki wrogów, ale i stworzył dokoła siebie elitę duchową ówczesnej Polski, a więc to samo, co stworzyć ma dzisiaj „akcja katolicka“.

To są niezbędne warunki, by mógł powstać w Polsce katolicki front. W tym duchu zapadały też na tym kongresie stanowcze decyzje co do obrony praw katolickiej rodziny, katolickiej szkoły, zmiany społecznego ustroju, zmiany konstytucyjnego stanowiska katolickiej religii. To ostatnie jest ważnym precedensem dla akcji dążącej do tego, by w konstytucji dzisiejszej przyznano religii katolickiej to, co przez cały ciąg historii polskiej było jej przyznawane, co przyznała jej konstytucja trzeciego maja, mianowicie, że religia kato-

licka w Polsce jest religią państwową i panującą. To ostatnie postanowienie było hołdem godnym Skargi.

Na obrady kongresu patrzył Skarga z zawieszonoego na sali obrazu Matejki. Były chwile, w których zdawało się, że żywy Skarga jest wśród nas.

II

Na kongresie zapadła także rezolucja, ażeby rozpocząć starania o beatyfikację Skargi. Oto fakt, który pozwala nam mówić o przyszłych rocznicach Skargi.

Nie naszą rzeczą jest rozstrzygać sprawę świętości Skargi. Ale gdy opinia o świętości jest ogólna, powinno się wszystko uczynić, by uznanie jej przez Kościół osiągnąć.

Sprawa rozpoczęła się pod dobrym znakiem. Rezolucja o beatyfikacji, postawiona w znakomitym referacie p. Zofii Kossak-Szczuckiej, oddawała sprawę tę w opiekę najwyższych dostojników hierarchii katolickiej w Polsce. Jego Eminencja, ksiądz kardynał Kakowski, w prześlicznym przemówieniu, otwierającym kongres, poświęcił beatyfikacji Skargi następujące słowa:

„Świętość Skargi była tak wielka, że jak zaraz po jego śmierci, tak i dzisiaj Polska katolicka pragnie, aby go postawić jako męża świętego na ołtarzach naszych. Za mało jednak energii pokazujemy w przeprowadzeniu naszych szlachetnych chęci w stosunku do Skargi, podobnie zresztą jak i w stosunku do wielu świętych polskich, którzy przy pewnym staraniu i zachodzie, przy gorących modlitwach od dawna mogliby być zaliczeni oficjalnie w poczet błogosławionych i w poczet świętych. Miejmy nadzieję, że kongres obecny nie tylko przypomni Polsce świętość Skargi, ale pobudzi naród do bardziej energicznego zajęcia się sprawą jego beatyfikacji“.

I drugi pomyślny znak. Zaczęły się już, jak w Krakowie tak i gdzie indziej publiczne modły o beatyfikację Skargi. Co więcej. Powstają już fundacje corocznej mszy św., która w rocznicę śmierci Skargi ma być odprawiana na intencję jego beatyfikacji.

Sprawę merytoryczną świętości Skargi omówili już wymownie, i omawiać jeszcze będą inni. W tym miejscu, w myśl

naszego założenia, że przeznaczeniem Bożym jest, by Skarga był słupem ognistym w naszej historii, wiodącym naród ku szczytowi wielkiej katolickiej Polski, stwierdzić musimy, że słup ten ognisty ma przed sobą jeszcze wielką misję. W stuleciach po śmierci Skargi dojrzała w Polsce świadomość o jego szczególnym dla Polski posłannictwie. Dosłowne spełnienia się jego pryncypów i przepowiedni sprawiło, że Skarga stał się drogowskazem i sumieniem narodu, przynajmniej dla wielu w narodzie. Ale jakże daleko jeszcze do tego kresu, który był głównym celem Skargi! Skarga, którego już niejednokrotnie określano, jako przedziwne szarmonizowanie idealizmu i optymizmu w stawianiu programu a zarazem realizmu w ścisłym ujmowaniu szczegółów i wprowadzeniu ich w życie, zdawał sobie dokładnie sprawę, że wszystko zależy od moralnego stanu jednostek, od każdego serca polskiego. I dlatego z bólem rzucił wyzwanie: „to złodziejskie serce“.

Otóż co do tego serca sprawa od czasów Skargi po dziś dzień nie poszła wiele naprzód. Są ludzie, którzy twierdzą, że pod niejednym względem jest jeszcze gorzej niż było. Jest niewątpliwie garstka ludzi w każdym z pokoleń pogrobowych, która usiłuje serce swoje urobić na modłę Skargi i którą stać było na wielkie ofiary i poświęcenia dla ojczyzny. Ale ogół uznawał tylko teoretycznie stanowisko Skargi, w imię tego uznania potępiał ostro jego współczesnych, że nie poszli za jego głosem, w praktyce zaś czynił to samo, co famci.

Pisaliśmy już w innym miejscu, że w dzisiejszym sercu polskim płonie miłość ojczyzny, ale dodaliśmy, że gdy przyjdzie do rzeczywistego życia, odzywa się zaraz odwieczna arytmia serca i chorobliwy jego przerost. Przychodzi wtedy do głosu owo, przez Skargę wyklinane, ciasne, złodziejskie serce, które ojczyznę utożsamia ze swoją prywatą, ze swymi interesami klasowymi czy partyjnymi, które, gdy okręt ojczyzny tonie, myśli tylko o zabezpieczeniu swych tłumoczków, niepomne, że razem z zatonięciem okrętu i tłumoczki zatoną. Sroży się również dziś, jak za najgorszych czasów historii polskiej, waśń stronnicza, niezgoda sąsiedzka taka, że najsilniejsze węzły rozsypać się muszą. Wyklinali i wykli-

nają tę wadę wszyscy a ona jak zły duch towarzyszy każdemu poczynaniu na każdym kroku.

Trzeba wyklinać zło w polskim sercu, ale nie godzi się przeklinać serca polskiego. To serce jest tak dobre, że równych jemu w świecie niewiele. Jak mało gdzie indziej w porównaniu z nami, ciepła rodzinnego albo poświęcenia bohaterskiego w chwilach krytycznych. Ale to serce potrzebuje jeszcze pracy nad sobą. Trzeba jeszcze długo temu sercu perswadować, że w duszy ludzkiej istnieją poza nim i rozum i wola, że jasnowidzeniem uczuciowym nie zastąpi się rozumowi a chwilowym porywem szlachetnym nie zastąpi się woli, nie stwarza się rządu, lecz przeciwnie, stwarza się chaos i niezgodę. Z przerostu uczucia, które rozrasta się tak, że na rozum i wolę nie zostawia miejsca, trzeba koniecznie serce polskie wyleczyć.

Gdzież znaleźć środek leczniczy?

I oto znowu staje przed nami Skarga. Gdyby Skarga został ogłoszony przez Kościół świętym, to byłby przede wszystkim przedstawicielem i patronem wielkiej chrześcijańskiej miłości, miłości Boga, miłości Kościoła, miłości bliźniego i miłości ojczyzny. Ta ostatnia miłość była u Skargi nie tylko skłonnością przyrodzoną, ale i nadprzyrodzoną cnotą. Święty Tomasz z Akwinu nazywa miłość ojczyzny jako cnotę *pietas in patriam* i klasyfikuje ją jako poddział cnoty sprawiedliwości, jednej z kardynalnych cnot chrześcijańskich.

Czyż można zaś wymyśleć jakiś typ ludzki, któryby miał do polskiego serca dostęp łatwiejszy od Skargi? Skarga cały jest taki polski a przy tym posiada wszystkie wartości pociągające ku sobie serca w takim stopniu, że trudno go przewyższyć. I wielki szlachetny charakter i wielki umysł i wielki talent i wielka cnota i świętość i wielkie czyny i wielkie zasługi dla całej Polski i dla każdego Polaka. Uwielbienie dla Skargi jest pełna cała literatura polska. Biorę do rąk pierwszą z brzegu literaturę polską Tarnowskiego. „W Walhali wielkich duchów polskich — pisze Tarnowski — w pamięci i sercu potomnych, ten czarny habit ma swoje miejsce obok najświetniejszych koron i purpury, obok mieczów, buław i pancerzy, najbardziej poszczerbionych i krwią

rdzawych. A gdyby przyszło kiedyś do wybudowania jakiego narodowego pamiątek kościoła, w którym złożoneby były najdroższe po najlepszych relikwie, to w takim skarbcu pamiątek, obok miecza Chrobrego, obok księgi praw Kazimierzowskich, obok ślubnego pierścienia Jadwigi, obok pamiątek po Batorym, Żółkiewskim, Czarnieckim, obok buńczuków zdobytych przez Jana III i czerwonej czapki Kościuszki, schowalibyśmy niewątpliwie różaniec albo brewiasz Skargi. Dziwna istotnie postać tego człowieka, który niczym być nie chciał... tylko wiernym opowiadaczem słowa bożego, a jest jedną z największych chwał i jednym z największych dobroczyńców swego narodu, który sławy nie szukając, znalazł sławę jednego z największych reformatorów Polski..., a pomiędzy natchnionymi stał się jednym z najbardziej natchnionych“.

Wiemy wszyscy, że podobnych ustępów w literaturze wiele. Ze wspaniałego panegiryku Chrzanowskiego, następcy na katedrze po Tarnowskim, wybieram dla krótkości jeden tylko wykrzyk: „Jak nie kochać — jak nie czcić Skargi!“ Dodajmy, że Chrzanowski do patosu nie jest skłonny. A słowa Woronicza, Mickiewicza i całej plejady wielkich Polaków! Zresztą otworzyć gdziekolwiek Skargę i przeczytać jakiś jego zwrot! Na przykład taki: „Polak z Polski, brat z braty, krew ze krwią, sąsiad ze sąsiady ku dobremu rozmawiam. Prawda, że złe heretyctwo, ale ludzie dobrzy“. Czyż trzeba więcej, ażeby zrozumieć, czym dla Polski i Polaków jest Skarga?

Otoż, jeżeli ten tak drogi każdemu sercu polskiemu Skarga, jest zarazem człowiekiem świętym, a z przeznaczenia Bożego słupem ognistym, mającym prowadzić za życia swego i po śmierci pokolenia polskie do szczytów wielkiej katolickiej Polski, do wielkiej miłości Boga i ojczyzny, to czyż nie jest jasnym, że jedynym rozwiązaniem tego problemu jest beatyfikacja i kanonizacja Skargi!

Kultura ludzkiego serca, środki lecznicze na duchowe choroby serca posiada tylko chrześcijaństwo. Mistrzem tej kultury jest tylko Chrystusowa miłość. Gdy jednego dnia serce polskie będzie wyleczone przez miłość Chrystusową z przerostu, natura polska stanie się jednym z arcydzieł bo-

zych. Oczywiście, że wyleczenie takie nie może dokonać się w jednej chwili ani w jednym wieku, wyleczenie ze słabości plemiennej i rasowej jest jedną z najtrudniejszych spraw. Tak samo nie dokonywa się takie wyleczenie jednym tylko środkiem, wymaga stopniowania różnych zabiegów. W tym stopniowaniu może przyjść chwila, że miłość Chrystusowa raczy posłużyć się węzłami, jakie zadzierzgnęły się między Skargą a duszą polską.

I wtedy nastąpiłyby te przyszłe rocznice Skargi, w których dokonałby on posłannictwa, jakie rozpoczął za życia. Dziś, gdy co lat sto, w jakąś stuletnią rocznicę, zjawia się przed duszami polskimi Skarga, odczuwa się namacalnie, ile dobra w duszach z tego zetknięcia zostaje. Ale potem następuje stuletnia przerwa, w której Skarga znika w pamięci. Cóż by było, gdyby liturgicznym zwyczajem Skargą, jako święty uznany przez Kościół, zjawiał się przed sercami polskimi co rok, gdyby to coroczne obcowanie z tą umiłowaną postacią połączone było ze wszystkimi najdosłojniejszymi świętościami chrześcijaństwa, z sakramentami świętymi, ze mszą świętą, z kazaniem, z tymi potężnymi źródłami, z których płynie wielka i święta miłość Boga, bliźniego, Kościoła Bożego i Ojczyzny.

Tak, wtedy zamiary Boże, co do wielkiej katolickiej Polski, co do jej posłannictwa w budowaniu państwa Bożego na ziemi, mogłyby się spełnić.

A tak dziwnie wszystko składa się, jakby ku temu szło. Wielkie mocarstwa, przerafinowane kulturą materialną, rozsypują się dokoła — wszędzie widmo katastrofy. Na to miejsce wyprowadza Bóg zapomniane i wzgardzone kopciuszki. Wyprowadził zdeptaną Polskę i w dwa lata po jej powstaniu, w r. 1920, włożył jej w ręce sztandar przeciw bolszewickiemu antychrystowi i dał wiekopomne zwycięstwo w „ośmnastej bitwie światowej“ (lord d'Abernon). Drugim kopciuszkiem była Hiszpania, która po okresach świetności zapadła w wiekowy sen odrętwienia. Dziś ta Hiszpania w walce z tym samym antychrystem jest podziwem świata całego. A zanoszą się na przedłużenie tego frontu państw katolickich. Przed 20 laty modną była teza, że narody katolickie to wygasłe wulkany, przodownictwo zaś świata dźwiera

narody protestanckie. Nie tylko *donna e mobile*, ale i losy narodów.

Na widowni świata stanęły dziś przeciw sobie komunizm i nacjonalizm. Czy jednak nacjonalizm wszędzie jest taki, że pasować by go można na świętego Jerzego, pogromcę bezbożnictwa i obrońcę chrześcijaństwa? Niestety, wystarczy przypomnieć Niemcy. Nowożytna historia usiłowała zerwać wszystkie mosty, łączące ją z chrześcijaństwem — zerwała je też między chrześcijaństwem a ideą narodowości. I jaki wynik? Czy jest dzisiaj gdzieś kąć, z którego nie fosforyzowałoby potworne barbarzyństwo, fanatyczny, wiodący do powszechnej katastrofy brutalny egoizm i nienawiść międzynarodowa? Oszukano ludzkość, że chodzi tu o wyzwolenie i rozwój indywidualności, tak jednostki ludzkiej jak narodów, ze średniowiecznych mroków przygniatającej kopuły państwa bożego. W rzeczywistości zaś chodziło o to, by w miejsce obiektywnego ładu chrześcijańskiego prawa i prawości dać folę wszystkim subiektywnym instynktom i kierunkom. Subiektywizm, materialistyczny, anarchistyczny, zakłamanym subiektywizm, oto nowożytna historia i dzień dzisiejszy.

Dziś, gdy na tej drodze świat doszedł do absurdu, szuka się gorączkowo wyjścia z przepaści. Stworzyło się kopułkę Ligi Narodów w Genewie — ale cóż może zdziałać instytucja, której brak tych rozstrzygających moralnych sankcyj, jakie miało chrześcijaństwo.

Stąd dzisiejszy zwrot ku Kościołowi katolickiemu! Przed katolicyzmem stanęło wielkie zadanie, uchrześcijanienie dzisiejszego zwyrodniałego nacjonalizmu.

Ku temu celowi prowadzą różne drogi. Główna droga to odrodzenie wewnętrzne jednostek. Dziś koniecznie potrzeba Kościołowi świętych wielkich patriotów!

Skarga postawiony na ołtarze byłby apologią i wzorem chrześcijaństwa nie tylko w Polsce, ale w całym świecie — bo drugiego takiego patrioty w całej historii nie znamy.

Ks. Jan Pawełski.

O humanizm chrześcijański.

W literaturze i publicystyce ostatnich czasów, zwłaszcza przy rozstrząsaniu zagadnień pedagogicznych, często spływa z pióra wyraz „humanizm”. Hasłem humanizmu posługują się przede wszystkim zwolennicy ideologii radykalnych, niereligijnych. Socjaliści, nawet komuniści także poczynają określać swoje systemy jako humanizm. Humanizm staje się modnym.

Powstaje i rozwija się dość już nawet skomplikowana problematyka humanizmu. Dodaje się niekiedy określnik: „humanizm współczesny”. Chce się przez to powiedzieć, że pozostawia się poza sobą dawne pojęcie humanizmu, jako zespołu objawów życia naukowego i artystycznego związanych z wskrzeszeniem z pod gruzów zapomnienia zabytków literatury i sztuki antycznego świata i rozmiłowaniem się w nich ludzi epoki odrodzenia. Podobnie, kiedy mówimy o „humanizmie współczesnym”, chodzi nam nie o jakieś szczególne zagadnienie polityki oświatowej, naprz. czy utrzymać jako podstawę nauczania szkolnego dawne *humaniora*, dyscypliny humanistyczne, tj. języki tzw. klasyczne łącznie z historią Grecji i Rzymu, czy też punkt ciężkości przesunąć na nauki przyrodnicze; nie chodzi nam o wzajemny stosunek filologii i techniki, liczbowego rozkładu szkół o jednym i drugim typie. Pojęcie „humanizmu” znacznie się rozszerzyło, zbliżając się równocześnie do źródłosłowa: *homo*, człowiek. Kiedy dzisiaj mówi się o humanizmie, o humanizmie współczesnym, to ma się na myśli cały zespół dążeń, wysiłków i metod wychowawczych, zmierzających ku temu, by człowieka wznieść na

stopień możliwie najwyższy w człowieczeństwie, wydobyć z człowieka i rozwinąć, ile się tylko da, tkwiące w nim możliwości dodatnie.

Humanizm, jak dzisiaj jest pojmowany, nie stawia przed sobą jakiegoś zakończonego ideału, poza który nie chciałby już wyjść; nie chce, by społeczność ludzka stała się nareszcie, jak się Bergson wyraża, społecznością „zamkniętą”, czymś już zakończonym i skazanym na nieruchomą „statykę”; on chce, żeby ludzkość była czymś wiecznie „otwartym” dla dalszych perspektyw, by pozostawała w ciągłej „dynamice”, w nieprzerwanym ruchu ku coraz wyższemu doskonaleniu się. Jeżeli nawet stawia sobie jakieś skonkretyzowane ideały, to bierze je raczej jako etapy pośrednie na swej drodze. Gdy się do którego z nich zbliży, chce ujrzeć ideały dalsze, wyłaniające się z nieskończoności. W pojęciu humanizmu współczesnego mieści się założenie możliwości rośnięcia walorów ludzkich bez końca, wiara w nieograniczony ludzkości postęp.

Do pojęcia humanizmu współczesnego należy dalej, że on włącza w siebie dążenie do doskonalenia człowieka we wszystkich kierunkach. W usta człowieka humanizm wkłada stare słowa: „człowiekiem jestem i niczego, cokolwiek ludzkie, nie uważam za obce sobie”. Współczesnego humanistę charakteryzuje to, że nie zamyka się on w kole zawodowych zainteresowań, ekonomicznych czy naukowych, literackich czy artystycznych, lecz ma zrozumienie dla wszelkich wlotów ludzkiego ducha ku prawdzie, pięknu i dobru. Humanista współczesny ceni każdą zdobycz w dziedzinie prawdy, czy chodzi o przyrodę, czy o historię tworów ludzkiego ducha; nie są dlań obojętnymi ani opanowywanie przez człowieka sił natury, ani postęp techniki w posługiwaniu się nimi; życzliwie patrzy na fizyczną dzielność człowieka i na zabiegi higieny czy nawet eugeniki, zmierzające do uszlachetnienia fizycznej strony człowieka. Humanista dzisiejszy tym bardziej jest nie do pomyślenia, jeśli nie pragnie także wzrostu walorów moralnych człowieka, wzmocnienia jego twórczości, by życie uczynić bujniejszym, ale i bardziej pięknym i lepszym. Humanista prawdziwy naszych czasów nie przyzna się do ideału sybarytycznego sobkostwa,

jakie może cechowało wielu humanistów epoki odrodzenia; przeciwnie, podkreśla on wartość cnót społecznych i pragnie wyzyskania ich w największej mierze dla pożytku ludzkości zorganizowanej. Słowem, humanizm, który mamy na myśli, cechuje uniwersalizm zainteresowań, dążeń i wysiłków.

Niewątpliwie przy wzrastającym bezustannie ogromie wiedzy, a postępującej komplikacji życia, niepodobna, by taki uniwersalny humanizm mógł być urzeczywistniony w jednostkach, przez jednostki. Zmuszone są one zatem do coraz bardziej zróżniczkowanego podziału pracy, do coraz większej specjalizacji. Dlatego jednostki będą urzeczywistniały w sobie zaledwie jakieś okruchy humanistycznego ideału, takie czy inne, stosownie do swoich zamiłowań, szczególnych uzdolnień, zawodowych powołań, lub po prostu narzucających się im z zewnątrz konieczności. Te okruchy wszakże składają się na wspólne dobro, posiadane przez ludzkość. Przez zdobywcze geniuszów nauki, czy sztuki, czy świętości podnosi się ogólny poziom człowieczeństwa. Przy koniecznym podziale pracy, humanizmowi na jednym wszakże powinno zależeć, mianowicie, by ludzie nie pogrążali się w swoich specjalnych zatrudnieniach cali, bez reszty, by nie uważali swoich osobistych zainteresowań za najważniejsze, by przez zawodowy pedantyzm nie zamykali sobie horyzontów szerszych i nie tracili wspólnego z drugimi specjalistami języka. Chodzić winno im o to, by doskonalać się w swoim zakresie, mieli zrozumienie i uznanie dla specjalności innych i w ten sposób ułatwiali sobie korzystanie chociaż w jakiejś mierze z ich zdobyczy, a przede wszystkim, by pielęgnowali i rozwijali w sobie to wszystko, co wspólne jest ludziom jako ludziom. Humanizm nie może być wrogiem podziału pracy i specjalizacji, wrogiem jest natomiast tak często spotykanego u „specjalistów” zacieśnienia horyzontów myśli, wrogiem wyłączności i pedanterii.

Po podaniu definicji humanizmu współczesnego, a raczej opisaniu, co chcemy rozumieć przez humanizm współczesny, możemy już przejść do pytania, jaki jest stosunek katolickiego poglądu na świat i życie do takiego humanizmu.

Na to pytanie odpowiadali już i odpowiadają rozmaici ludzie, ale najczęściej gromadząc trudności pogodzenia humanizmu z katolicyzmem, a katolicyzmu z humanizmem. Sceptycy pod tym względem pochodzą przeważnie z kół niechętnych lub wrogich katolicyzmowi, ale nie brak ich w samymże obozie katolickim. Różnią się jedni od drugich tylko wnioskiem praktycznym, jaki z rzekomej rozbieżności humanizmu i katolicyzmu wyprowadzają. Jedni bowiem w imię ideałów humanizmu potępiają i odrzucają katolicyzm, drudzy chcą ratować swój katolicyzm potępiając i odrzucając humanizm.

Czy ta atoli alternatywa jest konieczna? Zadaniem niniejszego artykułu jest rozważenie bezzasadności owych wyłącznych stanowisk i dojście do wniosku, że humanizm i katolicyzm nie tylko nie wykluczają się wzajemnie, ale się dobrze godzą i uzupełniają. Chciałbym ułatwić zrozumienie, że możliwą jest i pożądaną synteza humanisty i katolika; że możliwym jest i pożądanym humanizm katolicki, lub, jeśli kto woli, humanistyczny katolicyzm.

Autor książki: *L'Humanisme et l'Humain*,¹⁾ F. Charmot, trudności pogodzenia humanizmu z katolicyzmem, podnoszone z kół niechętnych lub wrogich chrześcijaństwu, sprowadza do czterech punktów. Chrześcijaństwo — a w pierwszym rzędzie katolicyzm — ma rzekomo sprzeciwiać się humanizmowi swoim dogmatyzmem, swoim nastawieniem na transcendencję tj. na cele i czynniki zaświatowe, pozaludzkie, swoim pesymizmem w poglądach na przyrodę, a zwłaszcza na naturę człowieka, wreszcie swoim ascetyzmem, tj. odwróceniem się w zasadzie od wszystkiego, co ziemskie. Czyż może — powiadają krytycy chrześcijaństwa — czyż może być twórczym czynnikiem kultury ludzkiej i postępu katolik prawowierny, którego myśl krępują narzucone mu z zewnątrz hamulce dogmatów? Czy znajdzie w sobie dość zrozumienia dla wartości doczesnego życia ten, kto swoje cele i swoją ojczyznę umieszcza nie na ziemi, lecz w jakichś fantastycznych zaświatach? Czy wydobędzie ze siebie energię do nadawania życiu ludzkiemu

¹⁾ Paris, éd. Spes, 1934.

coraz bujniejszych kształtów, człowiek, który na swoją własną naturę patrzy jako na grzechem skażoną, nieudolną i zbawienia szuka nie w sobie, lecz w zewnętrznej pozaświatowej pomocy? Czy zechce tworzyć kulturę ziemską człowiek, który widząc w niej przeszkodę do zbawienia duszy, głosi wyrzeczenie się przyjemności, jaką mu niesie kultura a ideał doskonałości zakłada w rezygnacji, cierpieniu i w krzyżu?

Tak brzmią trudności i zarzuty, a wniosek z nich jeden: prawdziwy humanista, tzw. miłośnik wzrastania, bogacenia się, doskonalenia ziemskiego człowieczeństwa, nie może jednocześnie być zwolennikiem katolickich ideałów. Wniosek nawet sięga dalej, bo doprowadza do tego, że humanista musi odwrócić się od wszelkiej religii, stać się bezbożnym.

Tym deklamacjom o niekulturalności katolicyzmu przytakuje po cichu niejeden wierzący i pobożny katolik. Tak jest — mówi — dwom panom służyć nie można, niepodobna dążyć do wieczności, a kochać doczesność i pracować dla niej. Wobec tego żegnam was, humaniści, żegnam cię, ludzka mądrości, cywilizacji i kulturo! Mnie wystarczy moja wiara i moja nadzieja na dobra, trwalsze niż wasze, bo wieczne. Mając wybór między kulturą a krzyżem, wybieram krzyż Chrystusowy!

Czy atoli taka alternatywa jest dla katolika koniecznością? Czy sam Bóg nie nakłada na nas obowiązku wznoszenia kultury doczesnej, by przez nią przygotować ludzkość do osiągnięcia jej wiecznych przeznaczeń? Czy pracując dla zrealizowania pełniejszego człowieczeństwa w doczesności, musimy się sprzeniewierzyć drodze krzyża?

Rozpocznijmy od dogmatyzmu, rzekomego hamulca myśli ludzkiej. Prawda, że katolicyzm zobowiązuje swoich wyznawców do szeregu wierzeń, które uważa za dogmaty, to jest za niezmiennie, z Objawienia boskiego pochodzące, prawdy. Czy jednak ten dogmatyzm krępuje w czymkolwiek myśl ludzką na tych polach, na których tworzy się czysto ludzka humanistyczna kultura?

Możemy najpierw upewnić, że katolicyzm nie głosi ani jednego dogmatu w zakresie nauk ścisłych, przyrodni-

czych, ani w zakresie literatury, sztuki, techniki. Dogmaty odnoszą się do rzeczy i stosunków nadprzyrodzonych, którymi humanizm naturalny nie zajmuje się. Jak dotąd, żaden pewnik naukowy nie podważył żadnego dogmatu chrześcijańskiego. Tarcia bywały, ale tylko między hipotezami nauki, a opiniami teologicznymi, i takie tarcia przy dobrej woli stron obu będą zawsze wyrównane. Przynajmniej katolik jest dobrej pod tym względem myśli, bo wierzy, że jak Objawienie tak i rozum ludzki pochodzą z tego samego źródła, są udziałem w wiedzy Bożej. Tarcia wynikały, prawda, niekiedy z winy teologów, zbyt ufających swoim dedukcjom z dogmatu, ale często także z winy uczonych, wkraczających na obce im pole koncepcyj metafizycznych lub zagadnień religijnych.

Zasadnicza rozbieżność zachodzi tylko między wiarą w Boga-Stwórcę, wiarą zresztą opartą na rozumowych przesłankach, a dowolnym założeniem, że poza widzialnym światem i materią nic niema i głoszeniem tego założenia jako pewnika. Nie jest to wszakże przeciwstawność wiary religijnej z nauką, bo materialistyczny pogląd na świat w żadnym razie nie może uchodzić za naukowo stwierdzony pewnik. Utożsamianie nauki z materializmem jest czystą uzurpacją ze strony materialistów.

Częściej niż w zakresie teoretycznej wiedzy, „zarzut” dogmatyzmu bywa podnoszony, kiedy chodzi o moralność. W imię humanizmu żąda się etyki świeckiej zamiast etyki zależnej od wierzeń religijnych; jedynie moralność świecka ma być dźwignią prawdziwego postępu ludzkości, podczas gdy moralność religijna, w szczególności katolicka, ma być przeszkodą w rozwinięciu różnych walorów natury ludzkiej.

Mamy tu jednak do czynienia z wielkim nieporozumieniem, owszem z paru nieporozumieniami, jeśli nie z świadomym przeinaczaniem prawdy. Etykę religijną przedstawia się po prostu jako coś, co sztucznie i z zewnątrz zostało człowiekowi narzucone, jako dowolność ze strony przypuszczalnego Bóstwa, przy tym jako coś, co nie dopuszcza w sobie żadnej ewolucji i zmiany. Tutaj właśnie tkwi nieporozumienie. Prawdą jest, iż wedle nauki katolickiej zasady etyczne posiadają potwierdzenie woli Bożej, ale nie jest

prawdą, by to miało oznaczać, iż te przepisy w treści swej są dowolne, ze strony Boga arbitralne, albo naturze człowieka przeciwne lub obce. Nauka katolicka bowiem właśnie odwołuje się do prawa naturalnego i za normę etycznego postępowania uważa przede wszystkim wymogi samejże natury człowieka. Bierze pod uwagę wszystkie jego stosunki, jako istoty materialnej i duchowej, jako jednostki z indywidualnym przeznaczeniem, ale i jako istoty społecznej, obowiązanej żyć i działać wspólnie z podobnymi sobie ludźmi. To prawo nauka katolicka uważa za tak bezwzględne, że Bóg może je tylko uznać, zatwierdzić i sankcjami swymi opatrzyć, nie może natomiast ich odwołać i zmienić, skoro je sam włożył w naturę człowieka. Powtórzmy: włożył je w naturę człowieka stwarzając go, nie zaś dowolnie narzucił naturze już ukonstytuowanej i wbrew jej wymogom i tendencjom.

Zapytajmy teraz zwolenników etyki świeckiej: gdzie oni sami szukają wskazań do sądów, co pod względem moralnym jest dobre, a co złe, jak nie w analizie natury człowieka? I w tym właśnie zasadniczo spotykają się, zapewne o tym nie wiedząc, z etyką katolicką. Różnią się zaś od katolików w tym, że katolicy poza naturą człowieka widzą jej Stwórcę, od którego wymogi etyczne tejże natury czerpią uświęcenie, potwierdzenie i całą swoją obowiązkowość, podczas gdy zwolennicy etyki świeckiej nie umieją uzasadnić obowiązku, tj. konieczności stosowania czynów ludzkich do ich normy naturalnej. Dodajmy, że w systemie katolickim, zwłaszcza w nauce św. Tomasza z Akwinu, nawet same sankcje, jakimi opatrzone jest prawo naturalne, nie są bynajmniej czymś sztucznie do natury ludzkiej przyczepionym, lecz polegają na pełnym tejże natury rozwinięciu poprzez czyny etycznie dobre, zamieniające się niejako automatycznie w szczęście wieczności, a w wypadku życia złego na skrzywieniu i odwróceniu człowieka od jego celu, które też stanie się dlań przekleństwem i cierpieniem.¹⁾

Taką jest owa, zwalczana w imię humanizmu, etyka „dogmatyczna” katolicyzmu. Zwolennicy etyki świeckiej win-

¹⁾ Por. Sertillanges: *Les grandes thèses de la Philosophie thomiste*, Paris, Bloud et Gay, str. 232—239.

niby się uspokoić w swoich obawach co do „nienaturalności” etyki katolickiej. Mogą wprowadzić zająć między nimi a katolicyzmem, i często istotnie zachodzą, rozbieżności w interpretacji moralnych wymogów natury ludzkiej, lecz skąd oni — ludzie dzisiejsi dopiero — mają pewność, że lepiej tę naturę rozumieją, niż „katolicyzm”, wychowawca tyłu pokoleń?

Dla całości dodajmy, że etyka katolicka, obok prawa naturalnego, podaje także prawo pozytywne, przyjęte już to od Boga, już to wytworzone przez historię, już to przez Kościół ustanowione. Przepisy tego prawa, o ile nie są tylko bliższym określeniem i przystosowaniem prawa naturalnego, są węzłami spajającymi ściślej członków społeczności chrześcijańskiej i obowiązują tylko chrześcijan. Zasadniczo nie powinny one dziwić nawet najbardziej radykalnych wolnomyślicieli, jak bez zdziwienia przyjmują oni różne konwencjonalne przepisy życia towarzyskiego lub ustawy jakiegoś klubu, do którego należą.

Ale owa niezmiennosc etyki katolickiej, opartej przecież ostatecznie o prawo naturalne, ale boże, a przeto niezmiennie! Czy nie przekreśla ona swobodnej twórczości w zakresie obyczajów, objętej także przez humanistyczny ideał wszechstronnego postępu człowieka?

Możnaby to pytanie zaskoczyć pytaniem innym: czy żądanie takiej „swobodnej twórczości” w zakresie obyczajów nie jest równoznaczne z przekreśleniem wszelkiej etyki nawet świeckiej, jako systemu pewnych norm, mających rządzić postępowaniem człowieka? Czy nie otwiera wrót nie do postępu, ale do moralnego zdziczenia?

Zamiast czekać na odpowiedź na to pytanie, wyjaśnimy jeszcze jedno nieporozumienie. Oczywiście rzecz, że jeśli natura ludzka pozostaje niezmienną, pozostaną też niezmiennymi i oparte na niej zasadnicze nakazy i zakazy prawa naturalnego. Taką niezmiennosc zasad moralnych etyka katolicka w istocie podkreśla. Ale równocześnie uznaje ona niemałą zmienność w praktycznym ich stosowaniu.¹⁾

¹⁾ Por. nasz artykuł „Katolicyzm a kultura”, *Przegl. Powsz.* styczeń 1935 r.

Najpierw uznaje pewną ewolucję w świadomości moralnej ludzkości, zależną od ogólnego intelektualnego poziomu, od lepszego poznania samejże natury człowieka, od stopnia uspołecznienia ludzi. Jest to ewolucja etyczna w górę; stawia ona człowiekowi coraz to wyższe wymagania. Wymagania te na pewnym stopniu rozwoju zjawiają się może jako odległe ideały, dopuszczające tolerowanie niższej rzeczywistości, po pewnym czasie jednak mogą wystąpić w postaci kategorycznych zakazów lub nakazów. Mamy nadzieję, że tak się stanie z wojną, którą, przynajmniej obronną, jeszcze musimy tolerować, dopóki w organizacji światowej nie zaistnieją warunki, które wszelką wojnę uczynią zbyteczną, jak sądy publiczne uczyniły zbyteczną zemstę prywatną.

Inna ewolucja w zakresie obyczajów, jaką dopuszcza etyka katolicka, polega na redukcji zewnętrznych obserwacji i zakazów, które na niższym szczeblu rozwoju moralnego posiadają znaczenie symbolów i pedagogicznego środka, a z czasem stają się niepotrzebne i odpadają, gdy punkt ciężkości przesuwa się na wewnętrzną wartość człowieka. Redukcji takiej ulegają różne przepisy prawa pozytywnego lub zwyczajowego, które z prawem naturalnym stapiały się w jednolitą, zdawało się, całość, a powoli opadają z niego, jak więdnący powój z żywego dębu. Etyka wtedy ulega uproszczeniu, zmierzając wciąż, jako do ideału, do augustyńskiego powiedzenia: *Āma et fac quod vis*.

Sądzę, że wyjaśnienia powyższe usuną obawy, wytaczane z powodu rzekomego dogmatyzmu katolickiego w rzeczach etyki, tak jak już uspokojone zostały obawy o swobodę myśli w zakresie teoretycznej wiedzy.

Na zarzucie dogmatyzmu zatrzymałem się dłużej, uważając go za podstawowy. Jest to też zarzut najczęściej podnoszony i najbardziej popularny. Krócej już zatrzymam się przy zarzutach innych.

Katolicyzm ma być nie do pogodzenia z humanizmem współczesnym z powodu swej transcendencji, tj. nastawienia na inne światy i wyglądania pomocy i zbawienia skądinąd. Zauważmy, że zarzut ten godzi nie w katolicyzm tylko, ale w każdą religię. Wysuwać go w imię humanizmu znaczyło by utożsamiać humanizm z bezbożnością. W myśl

tego zarzutu człowiek sam ma być swoim własnym celem, twórcą w sobie coraz wyższych wartości, swoim własnym zbawcą, swoim własnym bogiem. Przeciwnicy transcendencji wskazują nawet na faktyczne osiągnięcia dokonane na różnych polach jakoby własnymi siłami człowieka, siłami, które pozostały by może bezczynne, gdyby się był oglądał na sukkurs zgóry.

Takie postawienie kwestii może schlebiało by dumie człowieka, gdyby nie to, że łamie ono zasadę przyczynowości, owszem przekreśla właściwie aspiracje humanizmu. Poczynając od tych aspiracji, czymże w rzeczy samej są owe tęsknoty ducha ludzkiego do coraz bogatszego rozwoju, do coraz wyższych form bytowania, jakimi określa się humanizm współczesny, jak nie porywem człowieka ponad samego siebie, jak nie transcendencją w kierunku nieskończonego jakiegoś absolutu, gdy wszystko na świecie jest ograniczone i względne? Dąży się do osiągnięcia absolutnej prawdy, do bezwzględnego dobra, do czystego piękna, całej owej platońskiej trójcy ideałów. Jest to w rzeczywistości dążenie natury ludzkiej w kierunku absolutnego Bytu, dążenie do Boga. Niekażda zmiana, niekażdy ruch jest wznoszeniem się, postępem naprzód; może bowiem być cofaniem się, dziczeniem. Lecz co będzie stanowić o prawdziwym postępie? W dziedzinie materialnej można to określić, stosując kategorię ilości: postępem będzie pełniejsze nasycenie żołądków, większa suma rozrywek. Lecz co uznać za postęp w dziedzinie duchowej, jak nie to, że zbliżamy się do jakiegoś idealnego celu, dla którego nie znajdujemy miary w swojej rzeczywistości? Chrześcijanin nazwie to zbliżaniem się do Boga przez coraz większy udział w Jego nieskończonej wiedzy, przez naśladowanie Jego w miłości, przez wcielanie w widome kształty Jego niewidomego piękna. Słowem, humanizm, jak go opisaliśmy, jest z natury swej teistyczny, chociaż może nie wszyscy humaniści zdają sobie z tego sprawę.¹⁾ Humanizm jakby wzdychał za tym,

¹⁾ Tak lwowskie *Sygnaly* podały świeżo (nr. 22) „tezy socjalistycznego humanizmu“, zaczerpnięte z przygotowanej do druku książki socjalisty belgijskiego L. Moulina. Z małym retuszem tezy te może przy-

co Chrystus swoim uczniom nakazał: „bądźcie tedy, tj. stawajcie się tedy, doskonałymi, jak Ojciec wasz w niebie jest doskonały”. Nie, między humanizmem a katolicyzmem nie tylko nie zachodzi żadna sprzeczność z powodu transcendencji katolickiego światopoglądu; przeciwnie i jeden i drugi wypowiadają jedną i tą samą dążność człowieka, którą chrześcijaństwo wypowiada przy tym silniej, bo w formie moralnego nakazu.

Co się zaś tyczy rzekomej wystarczalności sił człowieka do postępu, to należy ją zakwestionować wobec tego, że kłóci się ona z filozoficzną zasadą przyczynowości. Zasada ta głosi, że skutek nie może być doskonalszy od swojej przyczyny, ani nikt nie może sobie ani innym dać tego, czego nie posiada. I nic tu nie pomoże powoływanie się na rzekome doświadczenie, mające jakoby stwierdzać wznoszenie się ludzkości na coraz wyższy poziom kultury i ucłowieczenia jedynie własnymi siłami. Jeżeli w dziejach ludzkości, jak w przyrodzie, istnieje prawdziwa ewolucja, postęp, to zarówno z jednej jak z drugiej wolno i trzeba wnioskować o istnieniu także, poza widzialnymi czynnikami postępu, jakiejś niewidzialnej jego przyczyny. Przyczyny, która uzupełnia niedostateczność mniej doskonałych przyczyn do zrealizowania doskonalszych skutków, przyczyny, która z owych przyczyn wydobywa i realizuje te etapy rozwoju, które pozostawały tylko w sferze możliwości. Ewolucja, zarówno dziejów ludzkich, jak ewolucja przyrody nie czyni bynajmniej Boga zbędnym; przeciwnie, dostarcza ona metafizycznego dowodu, że Bóg istnieje, jako ostateczne źródło wszelkiego nowego stopnia bytu, każdej nowej doskonałości.

„Pesymistyczny” pogląd na naturę, „ascetyczny” stosunek do dóbr tego świata, te dwa ostatnie z wymienionych hamulców, które rzekomo uniemożliwiają katolicyzmowi czynny udział w tworzeniu kultury ludzkiej i stawiają je jakby poza nawiasem humanizmu, miałem sposobność

jąc katolik. Ale też mają one mało wspólnego z materialistycznym socjalizmem marksowskim i autor łudzi się, jeśli swój humanizm uważa za coś specyficznie socjalistycznego, w przeciwieństwie do katolicyzmu.

omówić w dwóch artykułach: „W poszukiwaniu człowieka” i „Katolicyzm, a kultura”. Nie będę się więc tutaj nad nimi dłużej rozwodził, odsyłając ciekawych czytelników do wymienionych artykułów.¹⁾

Na tym miejscu chciałbym zastrzec się przed składaniem na odpowiedzialność katolicyzmu, jakim on jest w swoich określeniach dogmatycznych, poglądów właściwych niektórym religiom poza chrześcijaństwem, a nawet pewnym sektom w chrześcijaństwie, lub wreszcie wypowiedzeń pewnych ascetów i pisarzy z samegoż katolickiego obozu.

Dualizm religii Zoroastra i sekt gnostyckich, dopatrujący się źródła wszelkiego zła moralnego w materialnym składniku natury ludzkiej, w ciele, zaciężył na myśl ludzkiej nadługo, nawet poza obrębem tych sekt. Zdołał on zabarwić sposób mówienia o człowieku nawet u katolików. Jest on wszakże zupełnie obcy autentycznemu chrześcijaństwu. W szczególności światopogląd katolicki jest bardziej optymistyczny, niż nawet filozofia Platona, dla którego ciało było tylko przymusowem więzieniem ducha. Dlatego, jeżeli neoplatonczyk Plotyn mógł mówić, iż wstydzi się tego, że jest człowiekiem, to katolik nie wstydzi się swego człowieczeństwa, wiedząc, że cała przyroda, z człowiekiem, z ciałem jego włącznie, wyszła z rąk Bożych, że wyszła z nich dobra, bo „widział Bóg wszystko co stworzył, że było bardzo dobre” — nie wstydzi się, że jest człowiekiem, skoro wierzy, że człowieczą naturę przyjął za swoją Syn Boży, przychodząc na świat dla naszego zbawienia i uświęcenia.

Mówi się, prawda, o spustoszeniu sprawionym przez grzech pierwotny. Ale właśnie co do tego dogmatu panuje najwięcej nieporozumień. Bardzo często katolicyzm czyni się odpowiedzialnym nawet za takie zapatrywania, które Kościół katolicki dawno potępił i odrzucił jako herezję. Nie dogmat katolicki, ale Luter a po nim Janseniści głosili o istotnym zepsuciu natury ludzkiej przez upadek pierwszych ludzi. Dogmat katolicki mówi wprawdzie o dziedziczeniu grzechu pierwotnego przez potomstwo Adama, lecz teologia objaśnia, jak ten grzech dziedziczny należy rozumieć.

¹⁾ Zob. *Przegl. Powsz.* luty 1934 i styczeń 1935.

Mianowicie wyjaśnia ona, że grzech ten nie pozbawił nikogo ani rozumu naturalnego, ani wolności woli, ani wogóle nie zniszczył nic z tego, co stanowi istotę człowieka i jest należnym jego naturze. Grzech pierworodny, według teologii katolickiej, polega na tym, że potomkowie Adama przychodzą na świat z brakiem wyższego ponadnaturalnego wyposażenia, jakie było udziałem pierwszego ich ojca przed upadkiem. Przez upadek ów wypadli wszyscy z nadprzyrodzonej godności dzieci Bożych, stając się tym tylko, czym są ze swej natury, tj. tylko ludźmi. Po owym grzechu mają oni zdobywać utracony przywilej przez łaskę Odkupiciela. W naturalnym porządku jednak są oni dobrzy, co oczywiście nie przeszkadza, że z woli Bożej wezwani są do tego, by przez nadprzyrodzone uświęcenie stali się lepsi. Jeżeli moralnie upadają, to upadają nie dlatego, że mają ciało, ale że wskutek nadużycia danej im wolności przekraczają w czymś prawo Boże, co możliwym jest zarówno dla synów łaski, jak dla zwyczajnych dzieci natury.

Oto katolickie rozumienie owego grzechu pierworodnego, z którego tak często czyni się okazję do ośmieszenia katolicyzmu. Humanista nie-katolik może nie wie o nadprzyrodzonym przeznaczeniu człowieka, głoszonym przez katolicyzm; niechaj przynajmniej uspokoi obawy o całość dóbr naturalnych w uznaniu katolicyzmu, bo katolicyzm nie po to przychodzi, by je potępiać, ale by i w nich widzieć dar Boży, nie po to, by je przekreślać, robiąc puste miejsce dla nadprzyrodzonego życia, lecz aby je uzupełnić, by na bujnym naturalnym podłożu posiać wyższe życie łaski, życie dzieci Bożych. Gdzie tu zatem przeciwieństwo katolicyzmu z humanizmem?

Na zakończenie musimy wypowiedzieć pewien żal pod adresem tych katolików, którzy przyczyniają się do podtrzymywania przekonania o rzekomym pesymizmie chrześcijaństwa i niemożności zgody między nim a humanizmem. Chrześcijaństwo dużo cierpi na utożsamianiu go z jansenizmem. Dawne jednak wpływy jansenizmu, dzięki takim jego przedstawicielom jak Pascal, zaciężyły niestety i na literaturze katolickiej. Mam na myśli liczne utwory ascetyczne, kaznodziejskie i pedagogiczne, najpierw we Francji,

a następnie i w innych krajach. Można by powiedzieć, że ta literatura oddaliła się od właściwej teologii katolickiej. Wytworzyła się dość duża rozbieżność między tezami teologicznymi o stosunku natury do łaski i o istocie grzechu pierworodnego, a słownictwem piśmiennictwa pobożnego i kaznodziejskiego o tychże przedmiotach. Rozbieżność tę teraz uświadamiają sobie i wytykają historycy pobożności katolickiej. Pesymistyczne nuty zbyt głośno brzmiały przede wszystkim w ascezie. Do niej przesiąkło niemało jansenistycznego rygoryzmu. Z pewnych praktyk ascetycznych, pewnych surowości i wyrzeczeń się, zrozumiałych i usprawiedliwionych w określonych powołaniach, jak w stanie zakonnym lub kapłańskim, wśród których się zrodziły, czyniono ideał chrześcijańskiego życia wogóle. Stopień zbliżenia się do tego ideału miał stanowić o wartości każdego człowieka jako chrześcijanina.

Gaszono w ten sposób niejedną niewinną radość życiową, uznając ją za nie licującą z nadprzyrodzonymi zadaniami człowieka, przekreślano przyjemność jako zdradę Chrystusowego Krzyża. W szczególności nie dość zrozumienia miano dla sztuki, widząc w niej w najlepszym razie rozrywkę, odciągającą chrześcijanina od życia na serio. Czyniono wyjątek co najwięcej dla sztuki religijnej, tj. służącej specjalnie celom kultu, lub moralnej, która miała być moralizatorską. Pod wpływem to jansenizmu zrywała się ta jedność między chrześcijaństwem a humanizmem, jaką tak wybitnie przedstawiali tacy teologowie katoliccy i święci zarazem, jak św. Robert Belarmin, lub św. Franciszek Salezy, a jaką trafnie określił H. Brémond jako „humanizm pobożny”. Katolicy natomiast opisanego typu, przekonani, że służą tym sprawie religii i świętości, pomagali w kopaniu przepaści między humanizmem a chrześcijaństwem i dostarczali broni tym wrogom chrześcijaństwa, którzy je zwalczali w imię humanizmu.

W ostatnich dziesiątkach lat dużo się pod tym względem zmieniło. Echa wpływów jansenistowskich może i dotąd niezupełnie zamarły, słychać je było w utworach wybitnych pisarzy, zwłaszcza świeckich, uważanych i uważających się — zresztą skądinąd słusznie — za pisarzy katolickich. Takim

w swoim czasie był Brunetière, jako krytyk literatury i sztuki. Do takich zaliczyć można współczesnego nam Mauriac'a, przynajmniej z dawniejszych jego utworów. Jest wszakże cała plejada pisarzy duchownych i świeckich, teologów i krytyków, którzy skutecznie otrząsnąwszy się z wszelkich infiltracji jansenistowskich, starają się wykazać, z katolicką dogmatyką w rękę, że między humanizmem a chrześcijaństwem sprzeczności nie ma. Są pisarze — imię ich jest legion — dla których ideałem chrześcijanina jest człowiek, mający zrozumienie dla wszystkiego, co w naturalnym człowieczeństwie jest dodatnie. Ideałem w ich rozumieniu jest człowiek, żyjący bogatym życiem nadprzyrodzonym, ale zaszczerpionym na również bogatym i wciąż do rozwoju i wzrostu dążącym człowieczeństwie, słowem, humanista katolicki.

Niektórym taki stosunek katolicyzmu do humanizmu wielce się nie podoba, bo usuwa im jeden z pretekstów do walki z katolicyzmem w imię kultury, w imię humanizmu. Tacy poprostu nie chcą spostrzec istnienia chrześcijańskiego humanizmu i walczą nadal z katolicyzmem w jego zubożonej i skarykaturowanej postaci. Innym synteza katolicyzmu z humanizmem nie podoba się dlatego, że pozbawia ich widoku walki. Do liczby takich pisarzy należy u nas np. J. E. Skiwski. Po wielekroć powraca on do zagadnienia stosunku katolicyzmu i humanizmu, ale predylekcją jego jest kłócić kulturę z Kościołem, moralność ze sztuką, wychowanie religijne z państwowym, słowem katolicyzm z humanizmem. Mistrz w wyławianiu kontrastów, owładnięty „kompleksem tragizmu“, jak o nim kiedyś napisał Irzykowski, Skiwski humanistom wykazuje niekulturalność katolicyzmu, a katolików, pragnących równocześnie być humanistami, straszy odstępstwem od ducha chrześcijaństwa, wstydzi płytkim kompromisem. Od katolików żąda świętości heroicznej, lecz niekulturalnej, zaś przedstawicielom kultury oznajmia, że utopią jest, by mogli pozostać dobrymi katolikami. W sztuce widząc przede wszystkim tragizm walki, ten tragizm walki chciałby utrzymać na stałe bez zawieszania broni i bez widoków porozumienia w stosunkach między religią a kulturą, między człowiekiem, a chrześcijani-

nem. Nie pragnie nawet przechylenia szali zwycięstwa na tę czy inną stronę, bo zwycięstwo zakończyłoby walkę i życie zostałoby pozbawione jego zdaniem swego tragicznego piękna.

Katolicyzm także głosi wojnę świętą, ale wojnę tylko przeciwko temu, co jest złe, a nie przeciwko temu, co jest dobre, chociaż może nie najdoskonalsze. Katolicyzm, śmiem powiedzieć — katolicyzm autentyczny, katolicyzm właśnie dogmatu stworzenia i wcielenia, nie widzi w humanizmie wroga, któregooby należało za wszelką cenę zniszczyć. W humanizmie, tj. w wysiłkach ludzkości do wszechstronnego rozwoju naturalnego człowieka, katolicyzm widzi przygotowanie gruntu dla swej boskiej misji: dania ludzkości wyższego i bogatszego jeszcze życia z Boga i w Bogu.

Ks. Jan Urban T. J.

Refleksy hiszpańskich wypadków.

Dojrzewa w opinii polskiej, jak i na całym świecie, proces krystalizacji dwóch jasno odgraniczonych obozów komunizmu i tak zwanego nieściśle faszyzmu czy nacjonalizmu, a który bym określił prościej i logiczniej, według ich zasadniczych funkcji, obozem destrukcji i konstrukcji. Uważam, że ten proces podziału jest koniecznym i zdrowym, pomimo zgrozy jaką to wywołuje wśród wielce szanownych Diogenesów, którzy ze świeczką liberalizmu szukają nie człowieka, ale pośredniej drogi i nie chcą widzieć, że ta ukochana ścieżka kompromisu prowadzi prosto do obozu wroga.

W dyskusji na ten temat, żeby się nie zgubić w pałęczyźnie dialektyki misternie motanej przez pewne pająki, należy przede wszystkim ściśle określić kto i dlaczego jest wrogiem, a kto sprzymierzeńcem dla nas Polaków i katolików? Zdawałoby się, że dla ogromnej większości takie pytanie jest poniekąd obrazą, bo chwala Bogu komunizm zasadniczo wśród Polaków znalazł stosunkowo mało adeptów, a jednak widzimy dziwne pomieszanie pojęć w związku z wypadkami w Hiszpanii, które są niezawodnym przebieżem stosunku ludzi do rozgrywającej się w skali światowej walki między destrukcyjnym satanizmem nienawiści a chrześcijańskim ładem i postępem. Jeżeli jest pożałowania godnym, ale zrozumiałym, że elementy grawitujące ku Moskwie starają się przedstawiać komunistów i anarchistów hiszpańskich jako obrońców demokracji i wolności, to nie mogę zrozumieć, gdy niektórzy nasi katolicy, lub podający się za takich, z taką trwogą spoglądają na coraz jaśniej rysu-

jące się kontury dwóch przeciwnych bloków, między którymi wybór jest nieubłaganą koniecznością.

Ojciec św. w swym przemówieniu do wygnanych z Hiszpanii biskupów, duchowieństwa i wiernych wyraźnie przestrzegł przed niebezpieczeństwem, jakie przedstawiają próby komunistów wciągnięcia katolików do ugodowej współpracy, przy czym najwyraźniej wskazał, że „tam, gdzie się zwalcza Kościół i religię katolicką i jej wpływ zbawienny na jednostki, rodziny, masy, tam się walczy w porozumieniu z siłami przewrotu na ich korzyść i dla tego samego celu“, a zatem, że wszyscy, którzy się wyraźnie nie odgradzają od obozu przewrotu we wszystkich jego przejawach i formacjach pracują na korzyść komunizmu a na szkodę chrześcijańskiej doktryny i kultury.

Tak samo Ks. Biskup Kubina w liście pasterskim na święto Chrystusa-Króla wzywa wiernych „do zajęcia jasnego stanowiska w walce o nowy świat i do wyraźnego wypowiedzenia się za jednym z frontów dzielących coraz wyraźniej świat dzisiejszy na obóz Chrystusowy i anty-Chrystusowy“. A dalej: „kto w tej walce stoi na uboczu i beczynnie się jej przygląda ten rozprasza i osłabia nie tylko nasze siły katolickie, ale równocześnie nasze siły polskie“.

Dlatego też jest obowiązkiem każdego Polaka, jako takiego i jako katolika, z bezkompromisową stanowczością odgrodzić się nie tylko od samego komunizmu, ale także od wszystkich jego świadomych, czy nieświadomych sojuszników. Jesteśmy obecnie w samym ogniu walki na śmierć i życie dwóch ideologii, tak wykluczających kompromis jak ogień i woda, a zatem opinia publiczna musi jasno zdawać sobie sprawę kto walczy z chrystianizmem i z zasadą zdrowego nacjonalizmu, tj. z tymi wartościami, które są dla nas Polaków fundamentem życia społecznego i państwowego.

Otóż po tamtej stronie barykady stoją nie tylko zdeklarowani komuniści, ale też może niebezpieczniejsi, bo przebrani, ich sprzymierzeńcy, rzekomo nieświadomi, którzy zarazę rozkładu rozsiewają w zdrowym dotychczas. organizmie narodowym. Ci pasożytniczy roznosiciele zarazków, stojący pozornie na przeciwległych od komunizmu krańcach politycznych, starają się odwrócić uwagę od sedna zagad-

nienia, jakim jest walka komunizmu z Bogiem. Charakterystycznym przykładem tego kamuflowania istoty zagadnienia jest powszechnie używany chwyt polemiczny polegający na określaniu w czambuł pogardliwym przezwiskiem faszyzmu wszystkiego, co reagując przeciwko komunizmowi nie odpowiada kanonom tego liberalizmu, który był dla przeszłych pokoleń synonimem wolności, a jest niestety w obecnym okresie walki o samo życie narodu niedostępnym zbytkiem, takim samym jak np. wolna wymiana towarów w handlu międzynarodowym.

W istocie rzeczy tak zwany „faszyzm“ jest tym zabiegiem leczniczym, który narody wiedzione instynktem samozachowawczym zastosowują przeciwko zarazie komunizmu. Że ta dieta wolności, nieraz bardzo gwałtowna, jest przykrą i krępującą z tym wszyscy są zgodni, ale dieta bolszewicka jest chyba jeszcze przykrzejszą?

W pewnych wypadkach, zamiast określenia faszyzm, używa się w tym samym krytycznym znaczeniu słowa „nacionalizm“ i tutaj świadomie popełnia się nieścisłość podstawiając pod to określenie zwyrodnienia nacionalizmu, jakimi są szowinizm, ksenofobia, krwawy antysemityzm itp. Że komuniści są przeciwnikami nacionalizmu to zupełnie zrozumiałe, gdyż jest on antytezą internacionalizmu, tej negacji narodu, ale miarą postępów internacionalizmu wśród pewnych naszych konwentyklów jest objaw, że się włosy wyrывa nad istotnie pożałowania godnymi ekscesami antysemitycznymi, a równocześnie stosuje się konspirację milczenia i pobłażliwego sceptycyzmu co do wyczynów rycerzy młota i sierpa w złanej krwi męczenników Hiszpanii. Co więcej w zapamiętałej zarozumiałości oskarża się Kościół katolicki o tolerowanie skrajnego antysemityzmu, co jest wierutnym kłamstwem, gdyż Kościół zawsze i wszędzie potępia nienawiść i gwałt, co jednak bynajmniej nie oznacza, żeby uważał samoobronę ekonomiczną za sprzeciwiającą się zasadom chrześcijańskim, jak to wyraźnie stwierdził Ks. Prymas w swym liście pasterskim w tej sprawie.

Czyta się nieraz zdanie, że będąc szczerym przeciwnikiem komunizmu można też być wrogiem ustrojów dyktatorialnych. Otóż w tym tkwi niebezpieczne nieporozumienie,

wyzyskiwane przez pajęczą robotę Kominternu, tej centrali rozkładu.

Jak się pali drewniany dom strzechą kryty, to zamiast dyskutować nad wyższością ogniotrwałych budowli najprzód wzywamy straż ogniową i sami jej pomagamy, pomimo, że przy gaszeniu ognia strażacy podeptali nasze kwietniki i nawet rozebrali ulubioną altankę, w której przywykliśmy odpoczywać po znojmym dniu pracy. Tymi kwietnikami, tą altanką, to nasze dawne przyzwyczajenia do ustalonych form ustrojowych, w których prawa rozwojowe człowieka były zabezpieczone przez gwarancje konstytucyjne swobód i wolności. Polska była ich pozbawioną w epoce niewoli, ale po odrodzeniu własnej państwowości z tym większym zapałem zanurzyła się w tym morzu swobód i wolności i to z takim zapamiętaniem, że od 1926 r. musiała się poddać radykalnej kuracji, jeszcze nie zakończonej, nie tylko dlatego, że ostateczne formy ustrojowe jeszcze się nie skryształizowały, ale także dlatego, że położenie międzynarodowe przechodzi przez nowy kryzys, wywołany na nowo rozgorzałym wybuchem wojującego komunizmu.

Tutaj należy zwrócić uwagę na inną dość u nas powszechną tendencję lekceważenia postępów komunizmu, którego wicherzenia na terenie międzynarodowym były jakoby największym niepowodzeniem w historii świata, z czego wysnuwa się wnioski, że o wiele groźniejszym wrogiem ludzkości jest nacjonalizm, który ma jakoby monopol prowadzenia do wojen i nędzy. Otóż nie siląc się tutaj na zbilansowanie roboty destrukcyjnej bolszewizmu wśród narodów świata warto może sprawdzić, czy istotnie polityka zagraniczna Sowietów, tej macierzy komunizmu, nie może się poszczycić pewnymi sukcesami.

Przypomnijmy sobie, że bolszewizm jako dyktatura państwowa przeszedł przez trzy fazy rozwojowe. Pierwsza to okres zdobywania władzy i próby zewnętrznej ekspansji, która według teorii Trockiego była nieodzownym warunkiem utrzymania się u władzy w Rosji, przez wywołanie rewolucji światowej. Ta recepta dzięki Polsce okazała się narazie nieziszczalną, po czym konieczności państwowe zmusiły Sowiety do wewnętrznej odbudowy ekonomicznej i woj-

skowej, a wykonanie różnych piatiletiek spowodowało rozwój pokojowej współpracy z burżuazyjnymi mocarstwami i zdawać się mogło, że rewolucja rosyjska, wzorem swoich poprzedniczek, przeradza się w państwo narodowe o fałszywej etykietce socjalistycznej, a istotnej dyktaturze jednostki. Przedstawiciel na zewnątrz polityki rosyjskiej Litwinow, ubrał się w szaty prawdziwego Europejczyka i stał się zajadłym obrońcą na forum międzynarodowym pokojowej współpracy narodów, wzmocnionej przymierzami według starej modły i gwarantowanej przez Ligę Narodów. Pomimo jednak pokostu międzynarodowej poprawności, która zresztą przyniosła Sowietom pozytywne korzyści w ekonomicznej odbudowie państwa, w oficynach kremlofskich nie przestał istnieć i pracować cały aparat komunistycznej ideologii, eksportujący swój towar rewolucyjny i poszukujący odpowiednich terenów dla kultury zarazków przewrotu. Z początku skierował swe wysiłki na daleki Wschód, gdzie starał się wypróbowanymi metodami carskiej dyplomacji podważyć stan posiadania Francji i Anglii. Ale widocznie rezultaty nie odpowiadały pokładanym nadziejom, na drodze wschodnich apetytów Moskwy stanęła potęga Japonii i pomimo powodzeń komunizmu w Meksyku, Sowiety zrozumiały, że te ekscentryczne pola działania nie dadzą pozytywnych wyników bez decydującego zwycięstwa rewolucji w Europie.

Stąd w myśl testamentu Lenina zwrócono uwagę na Hiszpanię, gdzie po upadku monarchii ustrój republikański i panowanie lewicy szczególnie pomyślną stworzyły koniunkturę dla rozsadek integralnej rewolucji według wzorów rosyjskich. Hiszpania z dwojakich względów jest podatnym obiektem polityki sowieckiej, najprzód społeczny ustrój nadawał się do zastrzyknięcia komunizmu, poza tym półwysep iberyjski w polityce światowej jest jednym z tych punktów newralgicznych, gdzie krzyżują się najważniejsze drogi komunikacyjne i ekspansji kolonialnej tak Anglii jak i Francji. Gdyby więc udało się usadowić u wrót Europy i Afryki nową twierdzę komunizmu na usługach Moskwy, trzymać by można w szachu największe potencje kapitalizmu.

Wobec tego powodzenie komunizmu w Hiszpanii, pod egidą miejscowego Kiereńskiego, jakim jest Azana, natych-

miast ożywiło rewolucyjną politykę Sowietów, które teraz ze zdwojoną energią popierają tam front ludowy i zabrały się z kolei do rozsadzania największej fortecy kapitalizmu, jaką jest Francja, także przy pomocy frontu ludowego. Francuskie wybory 3 maja rb. były nową wygraną bitwą przez centralę rewolucji światowej. W Hiszpanii, choćby nawet chwiliowa tylko dyktatura proletariatu, we Francji komuniści jeżeli nie w rządzie to u władzy, alians z Francją zabezpieczający od hitlerowskich zapędów, przymierze z Czechosłowacją dające dostęp do serca Europy, wreszcie pilnie przez różne międzynarodówki strzeżona zasada unikania bloków ideowych, to wszystko jednak nie może być poczytywane jako fiasco komunizmu.

A teraz co dalej?

Z azjatyckiej Nirwany zrodzona dzika żądza niszczenia raz jeszcze runęła na świat i w jałowym materializmie od Boga oderwanych tłumów znalazła sprzymierzeńca, ale w swej zarozumiałej nienawiści nie doceniła niespożytej siły chrześcijańskich pierwiastków ludzkości, która z wierności swych wierzeń, z przywiązania do swej ziemi, z ukochania swych domów wykuje broń, która raz jeszcze barbarzyńców zwycięży. Cud nad Wisłą był tego dowodem i zadatkiem nowego zwycięstwa.

Ale nie łudźmy się, byśmy potrafili ojczyznę i ludzkość od zguby wybawić innymi drogami, jak bezkompromisowym radykalizmem w zastosowaniu do życia społecznego zasad katolicyzmu i nauki Kościoła. W bogactwie tej skarbnicy znajdziemy jedynie skuteczne środki do zwalczania zarazy komunizmu, a także wskazówki, jak uniknąć rasistowskich zbrodni prowadzących do państwowej kontroli dusz i niewolnictwa umysłów.

Taka mobilizacja charakterów, zjednoczonych przez wiarę i patriotyzm jest dla nas Polaków tym bardziej teraz niezbędną, że kłębią się chmury na horyzoncie światowym, i że prawdopodobne zwycięstwo nacjonalizmu w Hiszpanii skoncentruje w Katalonii cały wysiłek bolszewizmu dla obrony tej ostatniej twierdzy komunizmu w Hiszpanii. Ten mały zakątek morza śródziemnego stanie się pewno widownią bardzo poważnych wypadków i komplikacji międzyna-

rodowego znaczenia. Przypuszczać bowiem należy, że Włochy i prawdopodobnie Niemcy nie będą beczynnie spoglądać na interwencję Moskwy w Hiszpanii, która to interwencja zwalczać będzie nie tylko przeciwne ideologie, ale też wkrazać w sferę najżywoźniejszych interesów wielkich mocarstw zachodnich. A tam zapalony pożar musi objąć odrazu całą Europę, bo konflikt włosko-niemiecki z Rosją sowiecką zbyt blisko obchodzi tak Francję jak i Anglię, których zasada nieinterwencji w walki hiszpańskie musi ulec rewizji z chwilą, gdy chodzić będzie o taką stawkę, jak hegemonia na morzu śródziemnym. Zlokalizować pożar będzie niezmiernie trudno, bo nie mówiąc już o imperialnych ambicjach Włoch, Niemcy nie poniekają tak pożądanej sposobności rozebrania, pod hasłem wojny krzyżowej z komunizmem, dawnych porachunków o swoje światowe znaczenie.

Niedarmo Hitler z takim rozmachem zamienia masło na armaty, żeby nie wyzyskać tak pomyślnych okoliczności, jak niedozbrojenie Anglii, moralne rozbrojenie Francji, podminowanej przez rządy frontu ludowego i wreszcie gotowość bojową swego potencjalnego, włoskiego sprzymierzeńca.

W tym właśnie tkwi niebezpieczeństwo dla pokoju świata i Polski w pierwszym rzędzie, że sztandar obrony cywilizacji znalazł się w rękach niemieckich, z winy Francji i Anglii, które uspięne pacyfizmem i materializmem wypuściły z rąk moralną hegemonię Europy, a historia nas uczy, że Niemcy zawsze umiały wyzyskać ideowe atuty dla bardzo realnych pożytków terytorialnych, dość przypomnieć, gdy mieczem chrzcili pogan Zakon Krzyżowy, ten protoplasta Fryderyków, Bismarków, no i dzisiejszych władców Niemiec.

Patrząc uważnie na biuletyn meteorologii politycznej Europy byłoby wysoce lekkomyślnym łączyć się, że nadciągająca burza Polskę ominie, toteż należy życzyć tym, w których rękach spoczywa ster nawy państwowej, by czujnie strzegli od wirów obcej zachłanności i w pogotowiu trzymali załogę narodową, świecąc jej przykładem świadomej niebezpieczeństw rozważli.

A społeczność katolicka musi się obudzić z tego kwietyzmu myśli i woli, nie dać się teroryzować wymysłaniem

od faszyzmu i nacjonalizmu, ale odważnie i z otwartą przy-
łbicą iść do boju przeciwko wszelkim perfidnym próbom
dywersji do jasno wytkniętego celu obrony wiary i narodu.

W tej dziedzinie walki z komunizmem wszelki kom-
promis jest kapitulacją przed wrogiem, który z szatańską
przebiegłością wyzyskuje nasze wrodzone zamiłowanie wol-
ności, by nam ją odebrać.

Władysław Sobański.

Dokoła moskiewskiego procesu.

14 sierpnia br. ogłoszono nagle proces przeciwko Trockiemu, Zinowiewowi, Kamieniewowi i ich przyjaciółom.¹⁾ Rozprawę zaczęto 19 sierpnia, a przewód sądowy zakończył się 25 sierpnia krwawą egzekucją szesnastu. Stara gwardia Lenina zniknęła z powierzchni ziemi. Nietrudno zrozumieć, iż te wypadki zdziwiły i zaalarmowały Europę. Wszak na krótko przed tą masakrą wieszczono narodziny nowej ery w Rosji sowieckiej. Nowa konstytucja miała zapewnić rosyjskiemu ludowi wszechludzkie braterstwo, demokrację, wolność religii. Tymczasem cóż się zjawilo na miejsce tych wspaniałomyślnych obietnic? — Olbrzymi proces z 16 wyrokami śmierci, proces zgodny zresztą całkowicie z okrutnym protokołem dyktatury proletariatu, nawrót do najbardziej ponurego azjatyizmu. Dreszcz przerażenia przeszedł po szeregach europejskich „frontów ludowych”. Podajmy choć jeden przykład. Przy końcu swego długiego artykułu o moskiewskich wypadkach, ogłoszonym w *Le Peuple*, 31 sierpnia, znany socjalista austriacki Otto Bauer wykrzykuje ze smutkiem: „Jestem przekonany i w przekonaniu tym trwam, iż obowiązkiem jest całego proletariatu świata skupić się dokoła sowieckiej Unii... wiem, iż światowy proletariat głównie dzięki naszym towarzyszom francuskim i hiszpańskim znacznie posunął się na drodze uznania tej konieczności. Ale też właśnie dlatego z przerażeniem stwierdzam, że ten nieszczę-

¹⁾ Podajemy ten artykuł wybitnego publicysty podług *Lettres de Rome sur l'athéisme moderne*. Nr. 11 — 12, wrzesień — październik 1936. Str. 161—8.

sny proces i to rozstrzelanie cofa nas daleko wstecz. To co zaszło w Moskwie jest nie tylko błędem, nie tylko zbrodnią, ale jest przede wszystkim okropnym nieszczęściem, które ugodziło w socjalizm całego świata bez różnicy partii czy kierunku". Dyskusje, jakie się rozpały dookoła tego procesu w środowiskach jak najbardziej między sobą różnych, dochodzą prawie wszystkie do tego samego wniosku: stoimy przed zagadką i darmo się trudzić nad jej rozwiązaniem. Oto pierwsze wyznanie. Nareszcie niektórzy zaczynają rozumieć, iż Azja to jednak inny świat niż Europa. Intelktualista Zachodu z chwilą, gdy w badaniu jakiejś kwestii odnalaż zasady logiki, nabiera przekonania, iż ją zrozumiał, ale to go wcale nie zbliża do przedstawiciela Wschodu, Azji. Myśl Azjaty nie biegnie szlakiem logicznego rozumowania, nie oderwała się ona jeszcze od rzeczywistości konkretnej. A tej rzeczywistości konkretnej nie wyczerpie nigdy ani w sobie nie zamknie jedna idea. Oscyluje ona między dwoma biegunami i łatwiej ją zrozumieć pod niejasnym natchnieniem instynktu niż przy pomocy refleksji oraz drobiazgowej analizy. I właśnie dlatego proces zwolenników Trockiego jest instruktywny, bo pozwala nam niejako dotknąć się życiowej rzeczywistości rewolucji rosyjskiej.

Uwzględniwszy więc naprzód ewolucję, która doprowadziła do tego wstrząsu, przestudiujemy przesłanki, które wchodzą jako integralna część w skład rewolucji, na koniec poddamy analizie sytuację sowieckiego państwa i bolszewizmu w chwili obecnej, usiłując wysnuć kilka przypuszczeń co do najbliższej przyszłości Sowdepłi.

I.

Podstawą filozoficzną bolszewizmu jest materializm. Słusznie więc twierdził gen. Hoffmann, świetny znawca Rosji, że „bolszewizm nie ma przed sobą żadnych możliwości ewolucji"; co najwyżej możnaby zburzyć wszystko, co wzniesiono na fundamentach materializmu. Oto cała przyszłość. I rzeczywiście ruch likwidacyjny w Rosji datuje się już od bardzo dawna. Można, biorąc Stalina za przykład, wskazać trzy różne stadia tej likwidacji. Obejmuje ona: zerwanie z osobistymi przyjaciółmi; osłabienie dyktatury partii

komunistycznej; porzucenie zasadniczych punktów doktryny partyjnej. Przy tym sam marksizm pozostał nadal nieetykalnym, przynajmniej w teorii.

Kilka słów objaśnienia pozwoli nam wnikać głębiej. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że między przyjaciółmi, którzy się znają doskonale i wiedzą o wszystkich zbrodniach, jakimi się każdy z nich obciążył, rodzi się wzajemna nieufność. Stalin, ze względu na swój charakter, szybciej niż pozostali towarzysze stanął u tej mety. Już Lenin przestrzegał przed nim swych współpracowników słowami: „Nie ufajcie Stalinowi“! Wkrótce po jego śmierci udało się stopniowe usunięcie Trockiego ze wszystkich zajmowanych przezeń stanowisk. Potem wyłoniły się różnice w poglądach między szefami Politbiura: Stalinem, Zinowiewem i Kamieniewem. Stalin usuwa swych rywali jednego po drugim i zostaje jedynym władcą Rosji. Wynikiem jednak tych zwycięstw było kolejne opuszczenie go przez starych przyjaciół. Fakt, że morderca Kirowa był członkiem partii komunistycznej dotknął go głęboko. Pewien szpieg polski, Poleszuk, zdołał przeniknąć do grona jego najintymniejszych przyjaciół. Gdy wreszcie spostrzeżono się, że chodzi o szpiega, Stalin uderzył w szefa G. P. U., Jagodę: „Cóż to za policja, powiedział, co w mym własnym biurze nie potrafi wykryć szpiegów“. Podejrzliwy Stalin stawał się coraz bardziej osamotnionym. Zerwanie z tylu towarzyszami walki musiało siłą rzeczy zdecydowanie oddalić go od partii. Konieczność podjęcia dzieła budowy nowej Rosji zmusiła go do zastąpienia zasady prostego podporządkowania się partii, zasadą dyscypliny opartej na sile. Partia wreszcie sama poza robotnikami wchłonęła w siebie szerokie koła chłopskie i inne warstwy społeczne. Partia chciała odrodzić państwo. Państwo musiało usunąć w cień zasadę partyjną. Na arenę polityczną wstępowało młode pokolenie, które, mimo czujnej opieki zaciekleńców partyjnych, mogło zażądać prawa pracy dla Rosji choćby tylko w imię dążności do samoistnego życia. To tłumaczy zaciekleń, w części brutalną walkę z przedstawicielami ducha partyjnego, jaki żył nadal w kole „starych bolszewików“ a nawet skazańców politycznych. A przecież ci starzy bojownicy rewolucyjni tworzyli, jak się zdawało,

nietykálną elitę. Zatem nie członkowie partii, lecz siły zbrojne narodu okazały się ostoją dyktatury. Armię przetworzono i uczyniono ponownie narzędziem w ręku państwa, tak jak była nim niegdyś. Nic więc dziwnego, że koncepcje teoretyczne, postawione wobec tych faktów i wobec konieczności liczenia się z nimi, uległy zmianie i nabrały dużej giętkości.

Rozwiązanie np. zagadnienia rodziny, jakie głosił marksizm, wydało ze siebie zjawisko tych tłumów opuszczonych dzieci i nieletnich zbrodniarzy, które w pewnym momencie osiągnęły nieprawdopodobną cyfrę kilku milionów. Przywrócenie pierwotnego, silnego autorytetu rodziców, stało się nieubłaganym imperatywem chwili. — Jeżeli nauczyciel nie cieszy się szacunkiem swych uczniów, szkoła bezwzględnie nie jest w stanie wychowywać dzieci ni kształcić umysłów, trzeba zatem było i w tym punkcie zrewidować dawne pojęcia. — Ateizm idzie często w parze z wzmożoną przestępczością. Toteż komsomolcy stali się prawdziwą plagą kraju i musiano im nałożyć kaganiec. Oczywiście zmiany te nie równają się świadomemu odrzuceniu marksizmu, którego trzymano się nadal w oczekiwaniu wypadków, jako zasadniczej doktryny. Mimo to jednak wyjątki tego rodzaju podważyły poważnie światopogląd partyjny i co najmniej zepchnęły go do poziomu dogmatyki pełnej sprzeczności i pozbawionej zupełnie cech żywotności. Stalin, który nigdy nie czuł zbyt wielu sympatyj dla teoretyków, obrał sobie własną drogę. Ten chłop i góral w jednej osobie, o zupełnie innym obliczu duchowym niż Lenin, a zwłaszcza Trocki, będący nowoczesnym intelektualistą, posiada trudny do wytłumaczenia dar wyczuwania rzeczywistości. Dlatego w sterowaniu Rosją ku nieznaney przyszłości socjalistycznej kieruje nim raczej instynkt. Celem jego bezpośrednim jest zmontowanie potężnego państwa socjalistycznego w Rosji, gdyż jawi mu się ono w formie koniecznego etapu w drodze do wywołania światowego przewrotu. Spodziewa się, że w nim znajdzie szeroką i pewną podstawę operacyjną. Prócz tego, Rosja musi być dla tego Gruzina czymś bliższym i rzeczywistszym, niż odległy kontynent europejski, o którym jednak bynajmniej nie zapomina. Trocki natomiast jest obrońcą „permanentnej rewolucji”. Przyszłość Rosji jako

takiej nic go nie obchodzi. Namiętnością jego jedyną jest światowa rewolucja. Wznieca więc ruchy rewolucyjne we wszystkich krajach bez zwracania uwagi na niebezpieczeństwa, jakie mogą wyniknąć z jego działalności dla interesów Rosji. Pierwszym i bezpośrednim celem dla Trockiego jest rewolucja powszechna, sama zaś Rosja, jeśli zechce, będzie mogła coś zyskać dopiero po triumfie światowego przewrotu.

W ten sposób Stalin oddalił się od linii Lenina i jego koncepcji wszechwładztwa partii. W ten też sposób poróżnił się z Trockim powierzchownym agitatorom światowej rewolucji. Wszyscy trzej zgadzają się wprowadzić w tym, co ma być celem zasadniczym, lecz chcą doń dojść bezwzględnie innymi drogami. Stalin zwyciężył. Zwyciężył dzięki sile swej rasy, dzięki góralskiej zawziętości, przebiegłości chłopskiej i chmurnemu romantyzmowi bandyty wielkich szlaków Kaukazu. W zestawieniu z Trockim a nawet Leninem, Stalin jest typowym synem dzikiej i przepaścistej natury kaukaskiej, dębem wrośniętym w twardą rolę, z której powstał.

II.

Stalin podjął się walki o państwo przeciw partii. Chce wywołać światową rewolucję przy pomocy silnej Rosji, wbrew opinii tych rewolucjonistów, którzy są wyłącznie agitatorami i sekciarzami. Lecz tym samym stanął w opozycji do Lenina i Trockiego. Nic więc dziwnego, że dwaj ostatni sprzysięgli się i że po śmierci Lenina Trocki konspirował z przyjaciółmi Lenina przeciw Stalinowi. Lecz poszczególne etapy walki i przewrotu ukrył i ukrywa nadal szczelny klosz straszliwego terroru. Tylko korespondenci prasowi co pewien czas przynoszą szerokiemu światu dalekie echo tego, co się właściwie dokonywa. W tym padła bomba hiszpańskiej rewolucji. Wpływ jej na proces moskiewski został podkreślony przez anonimowego redaktora polskiego tygodnika *Naród i Państwo* (Warszawa 6 września). Rewolucja hiszpańska niespodziewanie zdawała się przyznawać rację rozumowaniom trockistów. Powstało pytanie, czy naprawdę musi się przesunąć urzeczywistnienie zasadniczego celu — rewolucji światowej aż do chwili mniej lub więcej pełnego

zmontowania w Rosji państwa socjalistycznego? Europa zdawała się najoczywiściej dojrzałą do rewolucji. Dowodem wypadki w Hiszpanii i Francji. Wszystko przemawiało za tym, że właśnie tam ma się rozegrać rozstrzygająca bitwa. Ale czyż wobec tego nie należało uznać za zdrajcę naczelnika państwa rosyjskiego, który głosił zasadę nieinterwencji? Cała „linia Stalina” nagle znalazła się w niebezpieczeństwie. Gigantyczne pięciolatki stały we właściwym świetle, okazały się niekończącymi się zboczeniami z właściwej drogi... Głośno było o tym w środowiskach komunistycznych całego świata, w których Trocki cieszył się jeszcze dużym wpływem. Szeptano o tym nawet w samej Rosji w kołach wojskowych i między „zgorszonymi” członkami partii, wśród których Trocki zachował wielu przyjaciół, zwolenników i agitatorów. Stalin musiał szybko działać. Bo czyż rewolucja światowa nie jest codziennym, żarliwie upragnionym snem każdego, prawego bolszewika? Lecz w takim razie dyktatorem może być jedynie ten, kto w najkrótszym czasie doprowadzi proletariat do tej mety. I chociaż życie Stalina nie wchodziło w grę bezpośrednio, to jednak jego stanowisko zostało silnie zagrożone, w razie zaś utraty władzy i życie dyktatora mogłoby znaleźć się w niebezpieczeństwie. Stalin zatem nie miał wyboru, musiał uderzyć na oślep i natychmiast, bo ostatecznie któż wie, jaki obrót wezmą wypadki w Hiszpanii i w Europie Zachodniej. Stalin musiał wymierzyć cios, lecz właściwe znaczenie śmiertelnej walki między nim i Trockim nie mogło wyjść na jaw. Na wykonawców spadł psi obowiązek zagrania komedii w taki sposób, by Trocki i jego wyznawcy nie wyszli cało wobec opinii publicznej. Wyreżyserowano więc sztukę, w której Trockiemu przypadła w udziale rola wroga rewolucji i organizatora niebezpiecznych machinacji. Jest współwinowajcą razem z zabójcami Kirowa, spiskuje na życie Stalina, a nawet — bo kłamstwo, by się przyjęło, musi mieć rozmiary wręcz fantastyczne — współpracuje z faszyzmem, a co więcej z Gestapo Hitlera, wroga numer 1 bolszewickiej Rosji. A dowody? Dowodów dostarczą sami oskarżeni — odbędą spowiedź publiczną. Nie ma zaś obawy, by się nie zgodzili, wszak G. P. U. ma wprawę w tych eksperymentach. Otóż

istotnie oskarżeni wypowiadali się przykładnie; tylko ich wyznania były tak niedelikatne, tak sprzeczne z ludzką godnością, tak oburzające, że zbladły wobec nich wyczyny wszystkich potworów z braćmi Karamazow włącznie. Czy wymuszono te zeznania torturami? Być może, że wystarczyło tym ludziom zdruzgotanym i drżącym o swe życie przypomnienie procesu Ramzina, w którym ofiary uniknęły śmierci za cenę dobrowolnego przyznania się. Albo też poczucie honoru u tych starych rewolucjonistów było tak silne, że nie chcieli skompromitować Trockiego i że woleli raczej oddać głowę niż zdradzić plany rewolucji światowej i jego intrygi. Wymieniony wyżej publicysta polski sądzi, że te i tym podobne pobudki tłumaczą w pewnym stopniu zachowanie się więźniów. Być może. W każdym bądź razie „zbrodniarze” przyznali się i publicznie wypowiedzieli akt doskonałej skruchy: „Wyznaję mą winę; tym samym wyrzekam się nieodwołalnie wszelkiej walki skierowanej przeciw Unii Sowieckiej, składam broń, wypowiadam mój szczyry żal, itd. itd.“. Zapadł wyrok śmierci i został wykonany. Proletariat całego świata dowiedział się, że przez stanowczą interwencję Stalina raj sowiecki został wybawiony z groźnego niebezpieczeństwa! Powszechne zdumienie, liczne wątpliwości, fakt, że wielu za Leopoldem Schwarzschildem uważa oskarżenie utrzymywania ściślejszych stosunków z Gestapo za całkowicie bezpodstawne, wszystko to niewielkie ma znaczenie. Wszystkie uczucia i wszelkie oczywiste fakty tłumy i usuwa w cień jedyna zwycięska idea: przekonanie niezłomne, mistyczna wiara milionów robotników i proletariuszy świata, że ocalenie Unii Sowieckiej, ich ojczyzny jest i będzie zawsze najpewniejszą rękojmią spełnienia się obietnic socjalistycznych. Zasypano Stalina telegramami dziękczynnymi; nawet dzieci w liścikach wyraziły swą wdzięczność zbawcy Z. S. R. R. Przygotowano atmosferę na okropności nowego procesu przeciw Radkowi i jego towarzyszom niedawno wtrąconym do więzienia. Dla światowego proletariatu mimo wszystko i wbrew wszystkiemu Sowdepia pozostanie zawsze „Świątą Rosją“.

Nie należy też wcale przeceniać siły ciosu, jakim powinienby być ten krwawy i niespodziewany wyrok dla

prestżu Unii Sowieckiej w środowisku burżuazyjnym, do którego z pewnością zaliczyć trzeba socjalistów w rodzaju Otto Bauer'a.

Po tylu morderstwach systematycznie popełnianych przez kilkanaście lat — trupy szesnastu skazańców nie mają większego znaczenia. Co komu na nich zależy? Obietnice zaś mającej wejść w życie nowej demokracji brali na serio jedynie ci, którzy mieli nadzieję wejść w szeregi rosyjskiej armii. Zato nie można wcale niedoceniać pozytywnego wpływu, jaki te krwawe wyczyny wywierają na zdemoralizowaną ludzkość. Jest to środek rzeczywistej i skutecznej propagandy. W przeprowadzeniu bowiem rewolucyj zawsze biorą czynny udział zbrodniarze.

Większe jeszcze ma znaczenie fakt, że Trocki nie zaprzestał walki. W liście wysłanym do swego wydawcy w Nowym Jorku czuć zwycięską nutę: „Przypuszczenie, że w Rosji sowieckiej możnaby urzeczywistnić śmiałe plany polityczne przy pomocy rewolweru i granatu, jest śmieszną naiwnością. Ale jeśli rewolucja hiszpańska zwycięży, jeśli proletariát francuski zdobędzie władzę, a nowy podkop pozwoli wysadzić w powietrze całą Europę, proletariusze rosyjscy wyciągną właściwe wnioski bez cudzej pomocy. A wtedy ci bohaterzy przy biurowym stoliku, którzy obecnie uważają się za główne władza świata, pójdą w kąt, między ludzi, o których milczy historia. Jeżeli dyktatorzy kremlińscy nienawidzą mnie dlatego, że prowadzę lud rosyjski do zwycięstwa nad biurokracją rewolucyjną, przyznaję się: Tak, to moja wina!”

Kto zatem zwycięży ostatecznie? Dzieci światowego bolszewizmu znajdują się w niesłychanie kłopotliwej sytuacji. Jakże znajdą wyjście? oto pytanie, na które chcemy dać odpowiedź.

III.

Dla uniknięcia nieporozumienia musimy przede wszystkim rozróżnić dwa rodzaje komunizmu: z jednej strony komunizm zasadniczy, tak jak go ujęli Platon i bł. Tomasz Moore i który szukał w rozmaitych epokach i miejscach swego urzeczywistnienia; z drugiej strony bolszewizm w swej

konkretnej, rosyjskiej postaci. W dalszym ciągu będziemy mówić tylko o tym ostatnim, i choć co do tego punktu istnieją obecnie liczne zastrzeżenia, damy mu miano „marksizmu“. W każdym bądź razie punktem bezspornym jest twierdzenie, że najgłębszą podstawą bolszewizmu jest materializm. Dodajmy jednak, że w materializmie nie może znaleźć pełnego wytłumaczenia fanatyzm, z jakim liczni komuniści szli i idą na śmierć za swe przekonania materialistyczne.

Przyjrzyjmy się teraz sprzecznościom, jakie musiały się wyłonić z chwilą przystąpienia do pozytywnej budowy nowego świata rewolucyjnego przy pomocy systemu, który odrzuca istnienie Boga, pozbawia osobowość ludzką należnych jej praw, ogłasza dyktaturę jednej klasy i chce zniszczyć, razem z kapitalizmem, cały istniejący porządek, a zwłaszcza każdy światopogląd wybiegający poza ciasne ramy materii. Już w samych początkach bolszewizm nie mógł uniknąć prośby o pomoc właśnie tych sił kapitalistycznych, które chciał zniweczyć; musiał się zgodzić na postawione warunki i poprzeć świat kapitału grubymi zamówieniami. W ten sposób rząd komunistyczny pomógł niektóremu społeczeństwu kapitalistycznym w walce z kryzysem, we własnym zaś kraju musiał wprowadzić kapitalizm w najtwardszej formie kapitalizmu państwowego. Oczywiście, można to tłumaczyć koniecznością, ale nie można nie dojrzeć sprzeczności...

Każde dzieło twórcze, by żyć i rozwijać się, musi się oprzeć o czyjąś osobistą odpowiedzialność. Dlatego ci sami ludzie, którzy z człowieka chcieli zrobić numer i mechaniczne kółko, skończyli na gloryfikacji ruchów tej natury, jak ruch Stachanowa i innych pionierów awangardy. Pomiędzy tu już fakt, że cały ten kolektywizm principialny opiera się na tak ostro zarysowanych osobistościach jak Lenin, Stalin czy Trocki. Bezwątpienia to także konieczność, ale zarazem i potężna sprzeczność.

Materializm bezbożny zabija w zarodku każdą tęsknotę ku wyższemu światu, a tymczasem jego kapłani-muszą fabrykować nowy rodzaj wiary i mistyki z kapitalną wizją Rosji wyekwipowanej technicznie w bajecznych proporcjach, z kul-

tem Lenina, z mesjanizmem bolszewickiej rewolucji... tego zbawcy świata. Znowu bezlitosna konieczność, ale i sprzeczność! A możnaby jeszcze długo wyliczać. Chce się mieć silną Rosję, powiedzmy, coś w rodzaju „narodowego bolszewizmu“ wtedy, gdy poniekąd stał się on już rzeczywistością, lecz mimo to równocześnie tęskni się gorąco za rewolucją międzynarodową. Kto chce w świecie zniweczyć gruntownie stare wartości, zwłaszcza uczucia narodowe i religijne, musi dotrzeć do serca Zachodu i tam dokonać tego dzieła. Celu tego nie osiągnięto dotychczas, ale zabawnym jest, iż chce się go osiągnąć w chwili, kiedy właśnie w Rosji rodzi się i krwιά wzbiera nowe uczucie narodowe, duma z dokonanej rewolucji bolszewickiej jako zjawiska specyficznie rosyjskiego! Wystarczy posłuchać tylko rosyjskich stacji radiowych a uszom nie chce się wierzyć, że w „Międzynarodówce“ mogą tętnić akordy nacjonalistyczne. A zatem budować można przyszłą Rosję jedynie z pomocą sił, na które się targnięto! Nowa sprzeczność.

Po wyzyskaniu stosunków gospodarczych przyszła kolej na sojusze polityczne. Jeśli sojusz z Francją ma przedstawiać jakiś interes, Francja musi być silna. Tymczasem postulat rewolucji światowej wymaga, by przedtem wywołano we Francji społeczny oraz polityczny przewrót. Lecz podżeganie do walk i wstrząsów wewnętrznych równa się przecież osłabieniu narodu sojuszniczego. Gdzież znaleźć rozwiązanie? Mimo to podejmuje się próby pogodzenia ognia z wodą. Tworzy się więc wewnątrz armii francuskiej jaczejki mające za cel podkopanie starej dyscypliny a równocześnie zwraca się do rekrutów z apelami w tym guście: „Rekruci, synowie francuskiego narodu, bądźcie doskonałymi żołnierzami, w uniformie starajcie się pozostać nadal wolnymi obywatelami Republiki Francuskiej. Rekruci, wstępujcie do wojska silni ufnością“!

Trwałość pokoju jest warunkiem wzmocnienia i wewnętrznego rozrostu Rosji. Tej samej trwałości domaga się również żmudna praca nad przygotowaniem rewolucji światowej. Można się zgodzić na to, że życie jest pełne sprzeczności, sprzeczności jednak mogą być różnej natury, mogą być i zabójcze właśnie dla zycia!

Proces moskiewski przez splot sprzeczności, jaki w sobie zamyka, rzuca żywe światło na wewnętrzny tragizm całego szeregu innych jeszcze sprzeczności bolszewickiego świata.

W obecnej chwili, jeśli ktoś wogóle mógłby się wyrzec dzieła umacniania Rosji i ustrzeżenia jej przed awanturniczymi przedsięwzięciami, to w każdym razie nie Stalin. Dlatego to oficjalna polityka Z. S. R. R. opowiedziała się za zasadą nieinterwencji. Tylko konieczność zdobycia potężnego sojusznika mogłaby w tym położeniu uzasadnić bolszewicką interwencję. Ponieważ zaś, według koncepcji stalinowskiej, rewolucja światowa staje się niemożliwością w razie upadku Moskwy, Komintern postanowił poprzeć interesy rosyjskiej racji stanu i stworzyć w Europie przychylny dla Moskwy kurs przy pomocy „frontów ludowych”. Nie ulega więc żadnej wątpliwości, że celem głównym jest nadal rewolucja światowa mająca wstrząsnąć dotychczasowym porządkiem świata i obrócić go w niwecz oraz, że w tym zachowanym celu znajdują swe oparcie i pozostają nieknięte zasadnicze linie bolszewickiego światopoglądu.

Stalin sam, być może, zdołał się przekonać, że obydwie sobie przeciwstawne tendencje, węższa ściśle rosyjska, i szersza, międzynarodowa, mogą się równocześnie rozwijać w doskonałej zgodzie. Trudniej to jednak wytłumaczyć i uzasadnić licznym szeregom członków partyjnych, skrzykniętych i tresowanych od tylu już lat do fantastycznego boju z „wrażymi potęgami burżuazyjnego świata”. Mnóstwo okrucieństw popełnionych w Hiszpanii, tych nawet, których dopuścili się anarchiści a nie komuniści, przypisuje świat komunistom. Zaskoczyło to niemile zwolenników systemu stalinowskiego. Mimo to nie można było zaniechać popierania hiszpańskiego ruchu rewolucyjnego, więc się go skutecznie popiera, ale równocześnie trzeba było we Francji zachęcać żołnierzy do wiernej służby ojczyźnie. A zatem jak długo interes Moskwy i jej „wielkiej gry” na to zezwala, trzeba być rewolucjonistą i działać jak przystało na rewolucjonistę. Gdyby jednak z tego mogło wyniknąć niebezpieczeństwo, wówczas trzeba przekształcić się w zapalczego patriotę i śpiewać Marsyliankę względnie inny hymn narodowy. Czy można sobie

pozwoić nawet na przyjazne stosunki z państwami faszystowskimi? Czemu nie, jeśli konieczność zajrzy w oczy. Równie dobrze jak Stalin, „mąż stanu“, rozumie to Dymitrow, który też jest czymś więcej, niż tylko „człowiekiem partii“. Natomiast umysł tego rodzaju co Trockie nigdy nie zdoła przeniknąć podobnej taktyki. I dlatego potoczyły się głowy sekciarzy groźnych dla „linii Stalina“. Dlatego potoczą się jeszcze głowy tych, którzy odwołują się do pamięci Lenina przeciw Stalinowi; którzy wzywają do buntu przeciw rodzącemu się państwu socjalistycznemu. Śmierć im! *Pad stienku!* Sama Krupskaja, wdowa po Leninie, rozgrzeszy i pobłogosławi, bo w ten tylko sposób można zachować ideowy spadek Lenina. • *Qui potest intelligere intelligat!* Jeszcze długo będzie musiała Europa studiować „człowieka Wschodu“...

Na zakończenie postawmy pytanie, co może wyniknąć dla religii z chaosu, jaki zapanował w obozie bolszewickim. W znalezieniu odpowiedzi pomogą wyżej rozsnute rozważania. Trzeba było przedstawić położenie współczesne bolszewizmu tak, jak je nam odsłonił proces moskiewski. Niedawno temu podróż do Rosji prof. Madlena, dostarczyła nam kilku nowych szczegółów. Stwierdził on z całą stanowczością, że prześladowanie religijne szaleje w dalszym ciągu. Dowodem tego najświeższe wypadki przytoczone przezeń w ostatnim numerze periodyku czeskiego *Nediele*. Z drugiej strony śalwy plutonu egzekucyjnego i trupy najbliższych przyjaciół Lenina a zwolenników Trockiego głoszą całemu światu, że leninizm i trockizm zostały pokonane. Jeśli Stalin utrzyma w przyszłości sztandar zwycięstwa, Rosja podaży za gwiazdą jego myśli, a ta myśl chce i musi budować. Rozwiązania konkretne i realne coraz skuteczniej usuwać będą w cień wszystkie teorie i wszystkich zagorzałych doktrynerów, fanatyków idei.

Można zatem teraz zapytać, czy w bliskiej przyszłości słowa takie, jak rodzina, osoba, naród, a nawet „religia“ nie znajdą miejsca w języku obecnych władców Rosji? Rosja ma już swą arystokrację, ma kastę panujących „bonzów“, bo tak tych uprzywilejowanych nazywa się zwykle w kołach partyjnych. Strój europejski odzyskuje utracone prawa.

Wszędzie rozbrzmiewa wymawiane z zapalem słowo kultura. Powstały nawet grupy propagujące religię niby rodzaj nowej mody. Jak długo potrwa era „nacional-bolszewicka” zainicjowana z tak wielką energią, tego nikt nie potrafi przewidzieć. Dalszy jednak rozwój sytuacji zależeć będzie z całą pewnością w znacznej mierze od pozytywnego wpływu Kościoła: Kościoła zachodniego i Kościoła wschodniego. Bo ostatecznie, mimo największych wysiłków przeciwnych, nie będzie można, tak się nam zdaje, pozwolić na rozwój rosyjskiemu ruchowi narodowemu a równocześnie nie dopuścić Kościoła, który przez tyle wieków był głęboko związany z historią rosyjskiego narodu, do wzięcia udziału w dalszym jej kształtowaniu się. Przyjdzie dzień, w którym musi zająśnić ta wielka miłość, o której wspomniał Ojciec św. Pius XI w mowie swej wygłoszonej do uchodźców hiszpańskich w uroczyść Podwyższenia Krzyża św. Chrystus objawi się w nowym ruchu narodowym, tak jak już ukazywał się nawet na początku przewrotu w rewolucyjnych poezjach pisarzy tej miary co Bielyj, Jessini, Aleksander Bloch. Ufajmy, że ten Chrystus nie będzie tylko nowym „mitem Rosji” i najwyższym wyrazem myśli narodowej, ale Chrystusem świętego Włodzimierza.

Ks. Fryderyk Muckermann T. J.

Europa powojenna.

Polityka międzynarodowa wypełnia po brzegi łamy gazet. Mimo to, nie tylko ogół czytelników, ale niekiedy nawet sami redaktorowie orientują się w niej nader powierzchownie. Nie ma w tym nic dziwnego o tyle, że wypadki tłoczą się i gonią jedne za drugimi, dzienniki więc nie mają możliwości oświetlać ich inaczej jak pod kątem najbliższej aktualności. Ten jednak punkt widzenia nie wystarcza, gdyż wypadki, pomimo że się tłoczą i gonią, nie ukazują się na widowni w drodze improwizacji. Stanowią ogniwa łańcuchów przyczynowych rozwijających się w czasie i służących pewnym zasadniczym dążeniom. Niepodobna ich należycie zrozumieć, jeśli się nie rozporządza w pamięci odpowiednią perspektywą historyczną. Takiej właśnie perspektywy pragnę dostarczyć choć w minimalnym zakresie przypominając najważniejsze przemiany powojennej polityki międzynarodowej do chwili obecnej.

Wielka wojna podzieliła Europę na wersalski obóz zwycięzców oraz grupę państw poszkodowanych. Zarówno przebieg jak wynik tej wojny okazały się o wiele bardziej złożone, niż to przypuszczać i przewidzieć mogli uczestnicy w jej początkach. Dlatego też oba obozy powojenne, zwycięzców i zwyciężonych nie pokrywały się bynajmniej z trójporozumieniem mocarstw kresowych i trójpřzymierzem mocarstw centralnych, które pierwotnie do boju między sobą wystąpiły. Zespół prowersalski objął wprawdzie zachodnią „wielką ententę” anglo-francuską a pierwotnie również Włochy. Ale wypadła zeń Rosja weszła zaś natomiast „mała ententa” naddunajska, oraz Polska. Zespół poszkodowanych

zorganizował się nieco później w r. 1922 w postaci przymierza b. przeciwników, Niemiec i Rosji.

Racją stanu benefisantów pokoju wersalskiego była przede wszystkim obrona owoców zwycięstwa. Racją stanu grupy poszkodowanej — rewizja granic traktatowych. Na tym tle rozwinęła się zacięta choć bezkrwawa walka. Wypełniła ona pierwsze powojenne dziesięciolecie głębokim poczuciem chwiejności określonego przez traktat wersalski nowego porządku międzynarodowego. Dręczący ten i gospodarczo zabójczy niepokój jakby przewidział swego czasu w Brześciu Litewskim, podczas układów niemiecko-rosyjskich w 1918 r., ów komuno-anarchista, który na ścianie sali obrad wypisał hasło: „ani pokoju, ani wojny!”

Hasło tym wierniej odpowiadało powojennej rzeczywistości, że nie tylko zwycięzcy i poszkodowani stanęli między sobą w przewlekłej zwadzie, lecz także w obrębie każdej z tych wielkich grup czały się i stopniowo ujawniały rozbieżności. Na ogół grupa zwycięska zajęła postawę defensywną, ku obronie jednak nie tylko nowych granic europejskich, lecz bardziej jeszcze wielkich imperiów kolonialnych zamorskich (co bynajmniej nie leżało w interesie Europy wschodniej, nawet wersalskiej). Jako swój sztandar ideowy wysunęły zachodnie mocarstwa wersalskie pacyfizm, powierzając jego sprawę Lidze Narodów.

Idei wiecznego pokoju podporządkował się cały świat, gdyż była wyrazem reakcji wobec wielkiej wojny, oraz podobiała się masom ludowym, rozkołysanym przez przebyte wstrząśnienia i suwerennie dyktującym swą wolę tak rządów jak opinii. Ta wszakże zachodziła kapitalna różnica na tle pacyfizmu między zwycięzcami a zwyciężonymi, że pierwsi pragnęli pokoju jako uwiecznienia postanowień traktatu wersalskiego; drudzy zaś przeciwnie głosili, że warunkiem wstępnym wiecznej pacyfikacji musi być gruntowna terytorialna rewizja tegoż traktatu.

Te stanowiska okazać się oczywiście musiały nie do pogodzenia, tym bardziej, że obu stronom przytem stanowczo więcej zależało na zasadzie zachowania lub zmiany istniejącego podziału terytoriów niżli na pokoju, mniejsza o to czy „wiecznym” lub terminowym. Grupa przeto poszko-

dowanych z natury rzeczy wzięła w swe ręce inicjatywę rewizjonistyczną. Nie uczyniły tego pierwsze Niemcy zbyt osłabione klęską wojenną i z bliska kontrolowane okupacją Nadrenii. Podjęła natomiast ofensywę Rosja, rozporządzająca bogatszym zasobem sił i mniej od Niemiec wobec Zachodu eksponowana. Rewolucja bolszewicka odmłodziła ją wewnętrznie, bynajmniej nie niszcząc ustroju autokratycznego, ale wyposażając go w nowy personel rządzący, pełny żywiołowej energii. Zmieniła również wyznaczone panujące zastępując carsławie kultem proletariatu, a prawosławie doktryną Marxa. Ta nowa wiara o tyle gorętszym zainicjowała się fanatyzmem, o ile potężniejszą od dawnej carskiej biurokracji okazała się w inicjatywie zdobywczej nowa sowiecka kasta rządząca.

Tak przebudowana i odnowiona Rosja wkroczyła szybko na dawny swój szlak imperialistyczny, pod nowym, bardziej dynamicznym i szerszym hasłem rewolucji światowej. Odparta od Warszawy w r. 1920 przerzuciła się od metody zbrojnych najazdów, do podziemnych działań Kominternu, i rozwinęła je z czasem do rozmiarów wręcz monstrualnych, pod naczelnym kierownictwem komisarza spr. zagr. Cziczeryna. Po zawarciu sojuszu w Rapallo z Niemcami, od r. 1923 rozpoczyna się cykl wewnętrznych zamachów przewrótowych organizowanych naprzód na Bałkanie. Gdy te nie dają oczekiwanego wyniku, przesuwa Cziczerin kierunek swej ofensywy na inne tereny, zwłaszcza Azję Zachodnią i Wschodnią. W ścisłym porozumieniu z Turcją pomaga jej naprzód już w r. 1921 materiałem wojennym do obrony Konstantynopola przed atakiem greckim, popieranym przez Anglię. Nie za długo zaś później mobilizuje też Turcję przeciwko nowym posiadłościom angielskim, zwłaszcza bogatemu w naftę wilażetowi Mossul na pograniczu tureckim. W r. 1924 i 25 rozwija się ta kampania dochodząc do takiego napięcia, że całe lewantyńskie imperium Wielkiej Brytanii chwilami zdaje się wisieć na włosku, włącznie z Suezem i drogą do Indii. Równocześnie na Wschodzie Dalekim Rosja zawiera traktat regulujący jej stosunek do Chin, ale co ważniejsza interweniuje tajnie przez Komintern w wojnie domowej generałów chińskich, podsycy ją i niedwuznacznie zmierza do opano-

wania żółtego kolosa, który po skomunizowaniu i rozczłonkowaniu na miejscowe republiki miał wejść w skład światowego Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Dopiero w 1927 r. po zdobyciu Szanghaju przez południowców chińskich, załamuje się ten gigantyczny plan czerwonego imperiaлизmu, któryby mógł oddać pod przewagę Sowietów cały Stary Świat. Komintern w tym okresie szaleje nie tylko w Chinach i Mezopotamii, lecz poza te pierwszorzędne teatry przenika również do francuskiego Tonkinu, angielskich Indyj, holenderskich Malajów, francuskiej Syrii, Arabii i Marokka. Wszędzie sieje niepokój, lub wywołuje gwałtowne ruchy zbrojne, jak wśród Syryjczyków, oraz w maurytańskim powstaniu Abd-el-Krima, cichaczem popieranym również przez Niemcy.

W zasadzie zmierzały te działania do budowy światowego sowieckiego imperium, taktycznie zaś do tak ciężkiego zagrożenia kolonialnych interesów zachodnich mocarstw kapitalistycznych, któreby je zmusiło do uległości i otwarcia Rosji wielkich kredytów. Kredyty te zaś wydawały się nieodzowne dla gospodarczego rozwoju potęgi rosyjskiej. Plan się nie powiódł, ale wywarł wpływ przemożny na politykę wielkiej ententy wersalskiej. Nie chcąc zbyt komplikować tego pobocznego przeglądu, mimochodem tylko wspomnę, że do r. 1924 Anglia i Francja postępowały wobec Niemiec dość rozbieżnymi szlakami, co silnie się odbiło także i na Polsce. Rozbieżność doszła swego szczytowego punktu gdy francuska metoda silnej ręki wobec Niemiec doprowadziła do okupacji zagłębia Ruhr na prawym brzegu Renu. Wtedy Anglia usiłowała przystosować się do niemiecko-rosyjskiego sojuszu z Rapallo a nawet ratować go, zwracając Moskwę, obietnicą kredytów, przeciwko Polsce i Rumunii, to znaczy przeciw sojusznikom Francji, a na pomoc przyciśniętym Niemcom. Pamiętne to dla Polski lata „akcji dywersyjnej” bolszewickiej w województwach wschodnich. Udało się jednak socjalistycznemu pierwszemu gabinetowi angielskiemu Mac Donalda przeszczepić radykalizm i pacyfizm do Francji. Zrzekła się ona polityki silnej ręki Poincaré'go wobec Niemiec. Oba mocarstwa zsolidaryzowały się odtąd w dążności do rozerwania sojuszu z Rapallo przez pozyskanie Niemiec

za pomocą ustępstw. Komintern odtąd również tym gwałtowniej począł je atakować w koloniach.

Od roku zatem 1924 rozpoczyna się w powojennej historii Europy niezmiernie doniosły nowy okres. Wersalski zachód zawiera z Niemcami „pakt Dawesa” regulujący korzystnie dla nich sprawę odszkodowań. W roku następnym powstaje pakt gwarancyjny granicy reńskiej w Locarno. Na tle równoległej egzotycznej kampanii Kominternu, groźnej dla mocarstw kolonialnych, wytwarza się dla Niemiec optimum dogodnej koniunktury politycznej. Mogą stawiać zachodowi warunki, domagać się, żądać coraz nowych ustępstw. Żądają przede wszystkim rewizji granic kosztem Polski na Pomorzu. Zarazem pilnie się strzegą, by nie nadwyreżyc tak dla nich wdzięcznego sojuszu z Rapallo. Odnawiają go i precyzują w r. 1926. Osiągają też stopniową ewakuację Nadrenii, zniesienie kontroli wojskowej itp. W dziedzinie gospodarczej, obok i w związku z regulacją odszkodowań, osiągają Niemcy niebywały, kapitalny, niesłychanie doniosły dla całej powojennej ewolucji ekonomicznej świata sukces. Sukcesem tym staje się, (na zaufaniu do pacyfikacji Europy przez metody pacyfistyczne oparty) napływ olbrzymich wielomiliardowych kredytów, głównie amerykańskich, do Niemiec.

Okres ten, politycznie na zachodzie kierowany przez Brianda ze strony Francji, Stresemanna ze strony Niemiec, załamał się w swej bezpośredniej podstawie już w r. 1926—7, wraz z akcją Kominternu. Siłą wszakże inercji posunął się jeszcze nadal aż do konferencji w Hadze i nowego „ostatniego”, gospodarczego i politycznego paktu mocarstw zachodnich z Niemcami, zawartego w r. 1930. Ten nowy „pakt Younga” przyniósł Niemcom ostatni owoc polityki pacyfistycznej w postaci całkowitej ewakuacji Nadrenii oraz jednej jeszcze pożyczki. Ale był zarazem łabędzim śpiewem pacyfizmu. Trudności w zakresie spłaty międzynarodowych długów mocarstw zachodnich wobec Ameryki, automatycznie związane z wypłacalnością odszkodowań niemieckich na rzecz tychże mocarstw zachodnich, a także bezpośrednia obserwacja sposobu w jaki Niemcy zużytkowują potop kredytowy amerykański napływający do ich narodowego gospodarstwa, otworzyły nareszcie oczy Anglosasom. Doszli do trafnego

wniosku, że zbyt długo każe na siebie czekać rachuba, iż kredyty ładowane do Niemiec zostaną przez nie, we własnym ich kupieckim interesie, rozprowadzone pośrednio dalej na europejskim wschodzie i południo-wschodzie; że podniosą jego poziom gospodarczy, rozwiną obroty i pojemność konsumpcyjną rynków. Stało się wręcz przeciwnie. Niemcy zużytkowały kredyty nie według logiki kupieckiej, lecz wyłącznie politycznej. Nieustającym alarmem rewizjonistycznym wprost blokowali, w szczególności Polskę, przed dopływem obcego kapitału, nie tylko z ich rąk, ale i skądinąd. Sądzieli, że w ten sposób wywrą na nas presję polityczną w punkcie Pomorza. Kapitał otrzymany z zewnątrz Niemcy przejedli po prostu w inwestycjach już to społecznie luksusowych, już też przeznaczonych na udoskonalenie aparatu przemysłowego, nie troszcząc się o rozwój rynków zbytu, dla których miałyby produkować. Zauważyli więc w końcu wielcy mocarze zachodniego kapitału, że choć jego dopływem do Niemiec bilans płatniczy niemiecki utrzymywany był przez lat sześć w równowadze, choć za tę cenę otworzyli sobie szeroko niemiecki rynek zbytu, który w tym czasie znacznie silniej importował niż eksportował, to jednak taki stan rzeczy nie da się utrzymać na stałe, lecz musi znaleźć swój naturalny kres. Wyobrażali sobie, że Niemcy wyrobiją czynne saldo płatnicze na wschodzie Europy i w Azji, że stamtąd zaczerpną środki dla wypełnienia swych zobowiązań finansowych zachodnich. Skoro jednak na nic podobnego się nie zносиło, zachodni wierzyciele Niemiec musieli wreszcie wstrzymać kredyty i zażądać od Niemiec rachunku.

To nastąpiło równoległe z zawarciem „ostatecznego” paktu Younga i okazało się odeń znacznie donioślejsze, przynajmniej gospodarczo. Trwały ślad historyczny pozostawił po sobie ten układ jedynie w postaci całkowitej ewakuacji Nadrenii, wyczerpując tym samym do dna repertuar ustępstw politycznych, jakimi mocarstwa zachodnie mogły wygodzić Niemcom, nie naruszając bezpośrednio wersalskiego statutu terytorialnego. Poza tym jednak pakt Younga, wypracowany z ogromnym rozgłosem na konferencjach haskich, utonął szybko i bezpowrotnie w wielkim krachu finansowym

Niemiec, w niewypłacalności odszkodowań z r. 1930 i niewypłacalności generalnej z r. 1931.

Ten krach stanowi punkt zwrotny w historii powojennej, tak w zakresie gospodarczym jak i politycznym. Wstrzymanie kredytów zmusiło Niemcy do gwałtownej redukcji importu, oraz forsowania eksportu, ażeby zrównoważyć bilans handlowy. Na ogół cel ten osiągnęli, ale musieli silnie skurczyć całość swego obrotu handlowego z zagranicą. W łonie światowego gospodarstwa coraz wzmagająca się prężność produkcyjna wielkich potęg przemysłowych zachodnich wymagała rozszerzenia zbytu przez gospodarczy rozwój Wschodu i powierzyła tę funkcję Niemcom. Wynik zaś okazał się stąd taki, że wprawdzie rozszerzył się sam rynek niemiecki, dopóki weń wlewano kapitały, ale wschód pozostał nadal ekonomicznie zacofany. Ponadto zaś z chwilą cofnięcia kredytów zacieśnił się znów katastrofalnie zbyt w Niemczech, a do współzawodnictwa na rynku światowym wystąpił ze zdwojoną siłą eksport technicznie zrationalizowanego przemysłu niemieckiego.

W ten sposób znalazła swój kres powojenna „wysoka koniunktura” gospodarcza, ukazała się zaś na widowni „klęska nadmiaru” oraz wielki kryzys. Rozwijał się on w dwóch równoległych falach: handlowej i finansowej. Pierwszą z nich wzmogła wprawdzie poważnie także „żywiolowa klęska” urodzajów rolnych, jednak w zakresie przemysłu bodziec naczelny wyszedł z Niemiec. Pragnąc ześrubować do ostatniej możliwości przywóz, Niemcy pierwsze poczęły go kontyngentować oraz zastosowały reglamentację obrotu środków płatniczych tj. dewiz z zagranicą. W ślad podażyć musiała stopniowo większość gospodarstw narodowych, broniąc się ze swej strony przed przewagą importu z Niemiec i skądinąd, zwłaszcza forsowanego dumpingiem. Tak się rozszerzyła kryzysowa dążność do autarchii gospodarczej, wywołując zanik handlu międzynarodowego, zastój i bezrobocie. Druga równoległa fala kryzysu, finansowa, uderzyła głównie w naczelnych wierzycieli Niemiec, w mocarstwa anglosaskie, którym ogromne sumy zamrożono. Niewypłacalność Niemiec spowodowała bezpośrednio spadek funta angielskiego, odzew zaś bardziej pośredni, ale niemniej po-

teżny znalazła w wielkich amerykańskich krachach giełdowych.

Załamano się więc światowa polityka gospodarcza oparta na pacyfizmie i złudzeniu, że z Niemcami można się „pogodzić” zamykając je na wieki na ich przeludnionym terytorium oraz ofiarując im korzyści kupieckie. Nie mogło to nie spowodować równie doniosłych przemian także w zakresie polityki *sensu stricto*. Zamknięty został okres nie tylko sztucznej gospodarczej *prosperity* w Ameryce jak i gdzieindziej. Z chwilą całkowitej ewakuacji Nadrenii skończyła się w zasadzie także militarna przewaga zwycięzców nad pokonanymi Niemcami. Odzyskały one swobodę ruchów i inicjatywy. Odtąd też bezprzedmiotową się stała przewodnia tendencja polityki pacyfistycznej mocarstw zachodnich, by Niemcy oderwać od Rapallo, związać zaś z obozem wersalskim, zwrócić przeciwko Rosji i zabezpieczyć się w ten sposób przed nią w Azji. Stała się ta tendencja bezprzedmiotową najpierw dlatego, że ofensywa Cziczerina znalazła sama swój naturalny kres w Chinach, że stan gospodarczy czerwonego imperium osłabiał jego prężność zewnętrzną, oraz że na Dalekim Wschodzie ruszyła do czynu imperialistyczna Japonia. Z drugiej zaś strony zadecydowały o tym same Niemcy. Wyzyskały one do ostatka agresywność rosyjską, ażeby wydobyc od mocarstw zachodnich wszystko, co tylko w drodze pokojowej możliwe było do uzyskania. Odtąd Rosja przestała być dla nich użyteczną jako sojusznik. Natomiast kryzys gospodarczy, który ogarnął świat i Niemcy po zawieszeniu kredytów z natury rzeczy musiał spotęgować i zaktualizować niemieckie dążności terytorialno-ekspansyjne. Wyłamanie sobie wyjścia z ciasnoty europejskiej nie udało się Niemcom w wielkiej wojnie, gdyż rozpętali ją literalnie z całym światem. Nauczeni doświadczeniem postanowili odtąd bardziej jednostronnie orientować swoje wysiłki. Stąd hitlerowski program antyrosyjski.

Zwrot wywołany przez ewakuację Nadrenii, załamanie paktu Younga, cofnięcie kredytów anglosaskich oraz krach finansowy wywołał wewnątrz Niemiec potężny ruch hitlerowski w kierunku ofensywnej aktywizacji polityki niemieckiej. Aktywnie też ustosunkowali się doń sąsiedzi.

W pierwszym rządzie Polska i Rosja, nieco później również Włochy, Anglia i Francja.

W poprzednim okresie zachodniej polityki pacyfistycznej oraz sojuszu rapallitańskiego na wschodzie, Polska zachowywała się w polityce międzynarodowej na ogół biernie. Tak było po części dlatego, że rządzące wówczas krajem masy ludowe i oparte na nich partie, politykę międzynarodową traktowały podrzędnie w stosunku do wewnętrznej, rozumiały ją zaś niewiele głębiej niżli zachodnia „opinia pacyfistyczna”. Zdawało im się tedy, że polska racja stanu niczego więcej nie wymaga jak tylko konserwowania granic wersalskich w oparciu o przymierza ze współzainteresowaną Francją i Rumunią. Wszystkie siły i cała uwaga narodu tonała bez reszty w wewnętrznej walce o władzę, przeciwstawiając niemieckiemu naciskowi na Pomorze jedynie opór bierny. Ponadto zaś w kleszczach Rapalla z jednej strony, na tle zaś pacyfistycznej kołowaczyny Zachodu z drugiej strony, istotnie nie łatwo było wówczas coś przedsięwziąć.

Zwrot hitlerowski zmienił tę koniunkturę zasadniczo. Nadchodziła chwila, w której Polska nie mogła nie odczuć, że Opatrzność osadziła ją w takim punkcie Europy, gdzie długo bez ruchu trwać się nie da — pod grozą zagłady. Jakoż Polska wystąpiła z inicjatywą. Podjęta we właściwej chwili, osobiście i autorytatywnie przez ś. p. marszałka Piłsudskiego, przeprowadzona rozważnie, dalekowzrocznie i konsekwentnie inicjatywa ta wywołała rozległe reperkusje oraz potężny wpływ wywarła na dalsze przemiany międzynarodowego układu sił w Europie. Dowodzi to najoczywściej faktu, że w geopolitycznym położeniu Polski elementarną koniecznością życiową państwa jest współrozstrzygać o losach świata.

Hitler objął władzę w Niemczech na początku r. 1933. Spodziewając się stąd wzmożonego *Drang nach Osten* i pragnąc uprzedzić niebezpieczeństwo Polska zawarła z Rosją już w r. 1932 pakt nieagresji. Układ formalnie skromny zawierał niezmiernie głęboką treść w swych konsekwencjach pośrednich. Przede wszystkim faktycznie obalał Rapallo. Polsce zmuszonej dotąd militarnie liczyć się z wojną na dwa fronty, pozwalał skupić wszystkie siły na froncie za-

chodnim. Podwajał zatem potęgę naszego oporu przeciw Niemcom, podobnie zresztą, jak rozwiązywał ręce Rosji na Dalekim Wschodzie wobec Japonii. Co więcej równoległe z polsko-rosyjskim odprężenie rosyjsko-rumuńskie w ten sam sposób podwaja siły Rumunii wobec irredenty węgierskiej i bułgarskiej. Tym samym zyskała znakomicie na potęgę Mała Ententa i w początkach r. 1933 mogła się przekształcić w przymierze obronne przeciw Niemcom i Włochom.

Nie próżnuje coprawda i Zachód. Mussolini entuzjastycznie wita nowego berlińskiego „kolegę” w dyktaturze, ale speszony zostaje postawą Małej Ententy. Wpada przeto na pomysł „paktu czterech” czyli konstelacji włosko-niemiecko-angielsko-francuskiej mającej zapewnić Niemcom swobodę ruchu na wschodzie, zwłaszcza północnym. W odpowiedzi Moskwa markuje konsolidację obronną wielkiego „bloku wschodniego” pod hasłem „definicji napastnika”. Blok ten obejmował oprócz Polski i Rosji, również całą Małą Ententę i sprzymierzoną z Rosją Turcję. Łącznie z naturalną niechęcią Francji do paktu czterech wystarcza to, by gruntownie sparaliżować ten układ.

Z tego pierwszego starcia zapobiegawczego w stosunku do przewidywanej aktywizacji polityki międzynarodowej Niemiec pod wodzą Hitlera, rodzą się niezmiernie dalekośnośne następstwa. Hitler, któremu Zachód w pakcie czterech gotował się udzielić *carte blanche* na Pomorze i dalej, byle za tę cenę odwrócić niebezpieczeństwo agresji niemieckiej od zachodu, zastaje po objęciu władzy szlak *Drang nach Osten* szczelnie zabarykadowany. Więcej nawet, polski desant na Westerplatte pod Gdańskiem ostrzega Hitlera, że jeśli dopuści do konsolidacji „bloku wschodniego” to może na wschodzie nie tylko nic nie zyskać, lecz ponieść straty terytorialne. Ażeby więc odwrócić od Niemiec widmo uzależnienia, Hitler wystawia na ogniową próbę moc swej dyktatorskiej władzy wobec własnego narodu i wbrew jego najgorętszej przeciwpolskiej namiętności politycznej, zwraca politykę niemiecką na tor odprężenia niemiecko-polskiego. Proponuje pakt pokojowy równoległy do polsko-rosyjskiego. I otrzymuje go w początku r. 1934.

To nowy zwrot wysokiej doniosłości. Dzięki niemu upada konstelacja „bloku wschodniego“ jako faza przejściowa. Hitler otrzymuje wolną rękę od Polski dla działań politycznie zaczepnych wobec Europy zachodniej i południowej, która niedawno usiłowała zapewnić mu tę wolną rękę od siebie — przeciwko Polsce. Tę swobodę ruchów wyzyskuje dyktator niemiecki ku największej trosce mocarstw zachodnich przede wszystkim dla prób opanowania Austrii drogą „hitleryzacji“ tego kraju od wewnątrz. Następują znane zamieszki hitlerowskie w Austrii w latach 1933 i 34. Nie udają się, bo dyktatura katolicka w Austrii, oparta o Włochy, okazuje się dość silną, by odeprzeć zwycięsko ciosy. Natomiast Hitler, skutkiem tych prób popada w antagonizm z Włochami, dla których obrona niezawisłości Austrii od Niemiec jest podstawową racją stanu. Co więcej głęboko niepokoi się również nie tylko Mała Ententa, zagrożona austriackim *anschlusssem*, lecz także Francja, sprzymierzona blisko z Małą Ententą. Na tym tle dokonywa się nowa kapitalna przemiana: zbliżenie francusko-włoskie — w początku r. 1935. Niemcy nie mają już na to innej odpowiedzi jak poniechać Austrii, ogłosić dekret o powszechnej służbie wojskowej i zbroić się.

Włochy obok Niemiec są w Europie drugim ogniskiem przeludnienia oraz płynącej stąd organicznej konieczności rozszerzenia swego terytorium na ziemie nieprzeludnione. Na tym tle od r. 1926 wywiązała się między nimi a Francją ciężka rozterka. Włochy domagały się od Francji ustępstw terytorialnych w koloniach, wzajemian za poparcie przeciw Niemcom w Europie. Francja jednak wolała szukać nieprawdopodobnego zbliżenia do Niemiec za cenę dezorganizacji warunków pokojowych wersalskich i odrodzenia potęgi niemieckiej. Mussolini nie pozostał zresztą w tym względzie Briandowi nic dłużny. Spotkawszy się z francuską odmową przerzucił swe dążenia ekspansyjne do Europy, na sąsiedni Bałkan, przeciwko sprzymierzonej z Francją Jugosławii, osaczając ją i atakując równolegle z niemieckim naporem na polskie Pomorze, oraz solidaryzując się ostentacyjnie z niemieckimi hasłami rewizji traktatów. Jeżeli więc w r. 1935 dojść mogło do skutku odpreżenie włosko-fran-

cuskie, to spowodował je wprawdzie odwrócony od Polski, a zwrócony przeciw Austrii nacisk Niemiec, ale umożliwił to odprężenie tylko fakt, że dla ekspansji Włoch znaleziono kierunek nie wymagający ofiar ze strony Francji. Był to kierunek na Abisynię.

Włochy zeń skorzystały. Niestety okazało się, iż kierunek ten dogadza wprawdzie Francji, ale bynajmniej nie Anglii. Zagrozić jej może w Sudanie zarówno technicznie, przez opanowanie źródeł Nilu jak geopolitycznie, osaczając tenże angielski Sudan pomiędzy Abisynią a Libią włoską. Stąd rozterkę francusko-włoską zastępuje rozterka anglo-włoska. Rozpada się jednolity front Stresy, w którym na wiosnę 1935 Anglia solidaryzowała się z Francją i Włochami przeciwko niemieckiej powszechnej służbie wojskowej. W obronie imperium po raz ostatni mobilizuje Wielka Brytania pacyfizm i Ligę Narodów. Mocno naruszona w swej powadze już od r. 1931, gdy wykazała swą bezsilność wobec ataku Japonii na Mandżurię, Liga i jej pacyfizm załamują się na Abisynii w sposób nie do powetowania. Ważniejszym jednak jest fakt, że rozbita przez Abisynię solidarność przeciwniemiecka Zachodu, w kulminacyjnym momencie naprężenia przeciwko Włochom, umożliwia Hitlerowi — remilitaryzację Nadrenii.

Doniosły ten wypadek nie pozostaje bez związku z inną jeszcze odnogą ewolucji międzynarodowej, która znów Polski dotyczy. Oto gdy układ polsko-niemiecki z początku roku 1934 wywołał na zachodzie niebezpieczną obawę o zwrot zaczepny Niemiec przeciwko Austrii i Nadrenii, wówczas Francja, nieufna jeszcze co do możliwości zbliżenia się tanim kosztem (bez większych ustępstw kolonialnych) do Włoch, wpadła na pomysł rekonstrukcji swego przedwojennego przeciwniemieckiego sojuszu z Rosją i postanowiła pozyskać dla tej koncepcji Polskę. Wiosną 1934 r. przybywa w tym celu do Warszawy min. Barthou. Misja ta pozostaje jednak zasadniczo bez skutku, ponieważ projektowany „pakt wschodni wzajemnej pomocy” byłby równoznaczny z przymierzem militarnym polsko-swieckim, prowadziłby bezpośrednio do wojny niemiecko-rosyjskiej na ziemiach polskich i uzależniłby Polskę całkowicie od Moskwy. Podkreślimy, że myśl „paktu wschodniego” z r. 1934 zasa-

dniczo odbiega od myśli „bloku wschodniego” z r. 1933. Tamten bowiem rozwinął się z polsko-sowieckiego układu o nieagresji i nie był przymierzem, lecz jedynie pozwalał zwrócić wszystkie siły Polski i Małej Ententy przeciwko Niemcom oraz po części Włochom.

Polska odmowa nie odwiodła wprawdzie Francji i Czechosłowacji od nowego przymierza z Rosją, ale mocą warunków geograficznych zredukowała je do podrzędnego znaczenia. Stąd potężny nacisk na Francję w kierunku zbliżenia *quand même* do Włoch, co też się staje na początku r. 1935. Z kolei jednak wojna abisyńska i rozterka anglo-włoska na tym tle osłabiają również i tę gwarancję bezpieczeństwa Francji, co się wyraziło realnie w obsadzeniu Nadrenii przez wojska niemieckie w r. 1935. Berlin upozorował je jako protest przeciwko ratyfikacji paktu francusko-sowieckiego. Gdy zaś równocześnie gwałtownie postępowało naprzód zbrojenie Niemiec rozterka zaś anglo-włoska spowodowała ponowne próby zbliżenia włosko-niemieckiego, Francja ujrzała się zmuszoną powrócić nareszcie do zasadniczej podstawy powojennej równowagi przeciwniemieckiej w Europie, do swego przymierza z Polską. Nastąpiła wymiana odwiedzin naczelnych wodzów obu państw, oraz umowa o kredytach wojskowych, mających wzmocnić pogotowie militarne Polski. Dodatkowo do tego przymierza Polski z Francją ustosunkowała się z natury rzeczy również Mała Ententa. W ten sposób zarysowała się na szachownicy europejskiej myśl ustalenia chwiejnej dotąd równowagi międzynarodowej w oparciu o wzmocniony środkowy Wschód europejski.

Myśl ta logicznie wypływa z zastosowania przez Polskę zasady utrzymania równowagi pomiędzy Niemcami a Rosją za pomocą obustronnych z nimi paktów przeciwnapaśtniczych. Ta zasada okazała się jedynym nieruchomym elementem pośród powszechnej fluktuacji sprzecznych dążeń i zagrożeń. Do niej też jako do punktu oparcia skłoniła się w końcu polityka najwybitniej „wersalskich” państw na kontynencie. Więcej nawet, bo także polityka Niemiec. Od chwili swej aktywizacji pod wodzą Hitlera, oraz stwierdzenia przezeń siły oporu Polski, począł on głosić hasło solidaryzacji Europy przeciwko Moskwie. Formalnie zbliża się to hasło do

tendencji przeciwrosyjskich polityki pacyfistycznej Zachodu przed r. 1930, a w praktyce towarzyszyły mu ze strony Niemiec także wysiłki bezpośredniego wzmocnienia pozycji niemieckiej kosztem sąsiadów. Wysiłki te zostały uwieńczone powodzeniem w Nadrenii oraz uzbrojeniu, ale na tym wyczerpał się zakres pokojowo dostępnych możliwości. Ponieważ równocześnie zarysowały się nowe drogi umocnienia pozycji sąsiadów Niemiec, a zbrojenie wyczerpało Niemcy gospodarczo i walka z kryzysem znów tam weszła w stadium ostre, przeto ugodowa niemiecka skłonność pod adresem Francji i Polski może mieć w zasadzie pewien walor realny.

Rola Polski w całej tej dotychczasowej ewolucji była wybitnie czynna, nawet przodownicza. Droga dalszego jej postępu zarysowuje się w kierunku ściślejszej solidaryzacji kontynentu oprócz kresowych Rosji i Anglii. Ażeby na nią wkroczyć trzeba jednak przyjąć w rachubę także obecny stan ewolucji międzynarodowo - gospodarczej i wewnętrzno-ustrojowej, o czym już tym razem mówić nie będę.

St. Szczutowski.

Przełom w nauce.

Dodatnie i ujemne strony.

Po uwypukleniu zmian, które zaszły w naukowych poglądach, zamierzamy obecnie przystąpić do zasadniczego tematu niniejszej rozprawy, mianowicie do rozważania, czy przełom, jaki dokonuje się w nauce współczesnej, pozostaje w jakimś związku z ogólnym kulturalnym przełomem, jaki bezprzeczenie przeżywa ludzkość XX wieku. Bo do niedawna jeszcze panowało ogólne mniemanie, że umysł współczesnego badacza nie znajduje się w żadnej zależności od środowiska, i że przeto nauka ściśle jest obiektywnym badaniem przyrody, że jest ona niezależną od środowiska i ogólnego nastawienia myśli ludzkiej w danej epoce. Obecnie pogląd ten zaczyna stopniowo znikać, a świadczyć o tym może chociażby fakt, że fizyk takiej miary, jak Schrödinger, zajmuje już zupełnie wyraźne stanowisko w tej sprawie. Mianowicie w swej rozprawie p. t. *Środowisko, a nauki przyrodnicze* dochodzi do wniosku, że jednak ściśle obiektywne badanie przyrody nie istnieje i że nauka nosi na sobie zawsze ogólne piętno danej epoki. A Edington w swym dziele p. t. *Nowe oblicze natury* pisze w następujący sposób: „nasze umysły, nasze konwencje i zainteresowania odgrywają znacznie większą rolę w opisie zachowania się przedmiotów świata fizycznego, niż się nam wydaje.” Wiara w rzekomą obiektywność nauki zaczyna coraz więcej słabnąć, a poza tym pozostaje wogóle otwartym pytanie, co należy rozumieć pod obiektywnym badaniem przyrody, i czy takie pojęcie posiada jakiś rzeczywisty sens.

Zjawiska natury poznajemy przez nasze zmysły, które podają je naszej świadomości duchowej, sama jednak obserwacja, gromadzenie faktów i ich klasyfikacja nie stanowią jeszcze właściwie nauki, za którą należy uważać tylko te działy, które zajmują się najogólniejszymi prawami, rządzącymi przemianami materialnej substancji, to znaczy przemiany te, doprowadzane przez zmysły do naszej świadomości, porównują z abstrakcyjnymi wytworami naszego własnego umysłu. Taka jest droga nauki ścisłej, innej nie ma i być nie może. Dla tego też gdy obecnie przy obserwacji zjawisk świata mikroskopowego stwierdziliśmy istnienie zjawisk nie dających się w żaden sposób powiązać z wytworami naszego umysłu, którego podstawową cechą stanowi idea ciągłości, nasze rzekomo obiektywne badanie natury doprowadza nas do konieczności unicestwienia samej materialnej substancji i przeobrażenia jej w jakieś urojone falowanie, w którym powracamy znów do ciągłości, to znaczy do praw naszego myślenia. Gdy zdawało się nam, że jesteśmy już w obliczu rzeczywistego tajnego mechanizmu natury, zmuszeni zostaliśmy do wyrzeczenia się samej idei materialnej substancji.

Należy poza tym uprzytomnić sobie, że jakieś ściśle obiektywne badanie natury jest niemożliwe już z tego względu, że do badania natury możemy podchodzić z różnych stron, zaś przy nieskończonej wprost różnorodności zjawisk natury musimy siłą rzeczy wybierać tylko niektóre i przy nich się zatrzymywać, a nie ulega żadnej wątpliwości, że wybór ten zależeć będzie w pierwszym rzędzie od naszego nastawienia duchowego, przede wszystkim zaś od tego, czy umysł nasz nastawiony jest syntetycznie czy też analitycznie. Umysł grecki na przykład, miał jak wiadomo, nastawienie syntetyczne, dla tego też analityczne badanie przyrody, badanie przez rozdrabnianie było mu zasadniczo obce, a samo poznawanie natury posiadało dla Greka raczej cechy radosnego z nią obcowania. Średniowiecze znów naskutek swego pozaziemskiego nastawienia nie interesowało się zupełnie zagadnieniem istoty materialnej substancji i działania sił w świecie zjawisk. Wszelkie, tak zwane, obiektywne badanie natury było wówczas niemożliwe, bo duch ludzki dążył bezpośrednio

do Boga i pragnął raczej zniknięcia świata materialnego, jako zapory do realizacji królestwa Bożego. Idea chrześcijańska była tak potężną syntezą, że w ramach jej nie pozostawało miejsca ani dla analizy, ani też dla żadnej pomniejszej syntezy. Gdy jednak ludzie Zachodu poczęli stopniowo odwracać się od zaświatów, nadchodzi okres analitycznego badania przyrody. Bo jak to zaznaczyliśmy już na początku niniejszej rozprawy, chrześcijaństwo wbrew szablonowym mniemaniom przygotowało właściwie psychologicznie grunt do analitycznego badania przyrody, które, jak stwierdza historia, nie rozwinęło się dotąd nigdzie poza światem chrześcijańskiej kultury; nigdy bowiem przeciwstawienie ducha materialnemu światu zjawisk nie doszło do takiego napięcia, jak w okresie chrześcijańskiego średniowiecza. Człowiek wyzwoił niejako swego ducha z pod panowania materialnej przyrody, stanął po nad nią, a odwracając się od bezpośredniej drogi wiodącej ku Bogu, począł zagłębiać swój skalpel w świat zjawisk, narzucając mu podświadomie analityczne prawa swego myślenia.

Pierwsi wielcy uczeni z okresu analitycznego badania przyrody Kopernik, Kepler, Newton znajdowali się jeszcze pod wpływem poprzedniego chrześcijańskiego syntentycznego ujęcia przyrody, a swe badania łączyli bezpośrednio z wiarą w Boga, na której opierali znów wiarę w niezłomne prawa natury, nadane jej przez Stwórcę. Nie zdawali oni sobie, rzecz jasna, sprawy z ujemnych skutków, do jakich może doprowadzić w przyszłości nieokiełznana analiza świata, pozbawiona tradycyjnych podstaw syntentycznych, to też w miarę zacierania się tych podstaw nauka europejska nowych czasów przestała stopniowo dostrzegać Boga w przyrodzie, jako źródło harmonii i organizacji w świecie materialnym. Zaczęto odnajdywać w przyrodzie jedynie materię i siły, organizacja zaś świata miała tkwić immanentnie w nim samym, przechodząc deterministycznie kolejne stadia ewolucji. Jeżeli nawet niektórzy przyrodnicy XIX wieku łączyli tak zwane odkrycia naukowe z wiarą w Boga, to było to jedynie wyrazem ich indywidualnych skłonności, bo oficjalna nauka, będąca we własnym mniemaniu obiektywnym badaniem natury, nie odkryła Boga w przyrodzie.

Obecnie zdajemy już sobie dostatecznie sprawę z tego, co należy sądzić o rzekomym obiektywizmie nauki nowych wieków, wiemy już, że obraz świata stworzony przez nią, był właściwie światem widm naszego umysłu, światem symboli, w ramy których włączano stopniowo zjawiska świata materialnego, poznawanego przez nasze zmysły, a w związku z tym przestajemy już wogóle wierzyć, by mogło istnieć jakieś obiektywne badanie przyrody niezależne od epoki, środowiska i ogólnego światopoglądu. Gdy zaś stanęliśmy już raz na tym stanowisku, to nieodłącznie od niego staje przed nami pytanie, jaki może być faktyczny związek między analityczną nauką nowych czasów, a środowiskiem jej, to znaczy wszystkimi społeczeństwami, objętymi zasięgiem kultury rzymsko - chrześcijańskiej? Otóż stwierdzamy tu, że społeczeństwa te objęte są od czasów reformacji wzmagającym się wrzeniem; a w wieku XVIII i XIX następuje ostateczny rozkład konserwatywnego ongiś ustroju średniowiecza, opartego w zasadzie na syntezie chrześcijańskiej. Ten proces wrzenia posiada charakter analityczny, rozczłonkowujący społeczność chrześcijańską w ujęciu średniowiecznym na niezależne od siebie elementy, dochodzi zaś do swego szczytu w doktrynie Rousseau'a i rewolucji francuskiej. Miejsce wiary w Boga i społeczność chrześcijańską zajmuje stopniowo wiara w naukę i jednostkę, jako niezależny element społeczności ludzkiej, przy czym wiara ta mimo wszelkich pozorów była wytworem tych potężnych sił duchowych, jakie nagromadziły się w łonie ludzkości w okresie średniowiecza. Bo wiara w jednostkę wypływała z wiary w możliwość stałego jej doskonalenia się, zaś wiara w naukę opierała się na wierze w istnienie stałych praw rządzących światem i możliwość dla rozumu ludzkiego odkrycia i wyjaśnienia tych praw. Dlatego też wiara w jednostkę i naukę wywodzi się z wiary w Boga mimo tego, że chełpi się swą rzekomą niezależnością, obecna zaś niewiara zarówno w jednostkę jak i naukę łączy się bezpośrednio z poprzednim okresem niewiary w Boga.

Stwierdziliśmy więc analityczny charakter rozwoju społeczeństw europejskich w nowych czasach, analityczną naukę tej epoki można przeto całkiem słusznie uważać za odpo-

wiednik tego analitycznego procesu, który odbywał się w łonie społeczeństw zachodnich, a który zda się zbliżać w naszych czasach do swego nieubłaganego końca. Jednocześnie z tym stwierdzamy, że wywodząca się z chrześcijaństwa wiara w niezłomne prawa natury i w jednostkę sprzyjała w okresie wieku XIX rozwojowi pojęć demokratycznych, uznających prawa jednostki w społeczności ludzkiej. To też państwo XIX wieku stawało się coraz więcej państwem praworządnym, zmierzającym ku realizacji i obronie praw jednostki, jako równouprawnionej komórki społecznej, której odpowiada atom w świecie materialnej substancji.

Ideał socjalnej demokracji, która nadaje ton drugiej połowie XIX wieku, to naukowa, inżynierska niejako budowa społeczeństwa, w którym szanowane i broniące byłyby prawa jednostki bez oparcia o światopogląd i etykę chrześcijańską. Socjalizm i nauka XIX wieku pozostają w zupełnej zgodzie, istnieje między nimi harmonia, kontynuowana w dalszym ciągu w bolszewizmie rosyjskim, który należy właściwie uważać za kres analitycznego procesu, za nową antychrystyczną syntezę, pograżającą całkowicie jednostkę w nieodróżnioną zbiorowość. Mechaniczna nauka i mechaniczny światopogląd XIX wieku pozostają w zgodzie z tym procesem, podczas gdy obecny przełom w nauce odpowiada, jak to postaramy się wykazać w dalszym ciągu, temu tragicznemu przełomowi, jaki przeżywa obecnie cała kultura Zachodu. To też bolszewizm akceptuje w dalszym ciągu wywody nauki XIX wieku, odnosi się natomiast niechętnie do wszelkich zmian, jakie dokonywują się obecnie w światopoglądzie naukowym, i do wszelkich nowych teorii, a przede wszystkim teorii kwantów. Bo bolszewizm, jako ruch praktyczny *par excellence*, zdaje sobie należycie sprawę z tego, że nie istnieje i nie może nawet istnieć nauka o jakimś wyłącznie obiektywnym charakterze, jak w to wierzone w okresie atomizacji mieszczańskiej, lecz że nauka musi być w swej końcowej fazie na usługach stabilizowanego środowiska. Postępuje zaś bolszewizm w tym wypadku konsekwentnie, jak każdy totalny system, który dąży do stabilizacji stosunków ludzkich na podstawie podporządkowania sobie człowieka w całości.

Zdaje sobie bolszewizm również sprawę ze znaczenia ogólnego światopoglądu dla stabilizacji środowiska, dla tego też dąży do stworzenia własnej prawowiernej filozofii, która z natury rzeczy nie może być niczym innym, jak materialistycznym monizmem, dostosowanym do życiowych praktycznych zasad bolszewizmu. To też materializm w ujęciu bolszewickim odbiega zasadniczo od materializmu pierwszych materialistów francuskich XVIII wieku i ich następców, wogóle od materializmu wyznawanego przez środowiska mieszczańskie XIX wieku. Bo w ujęciu materialistów europejskich materia była czymś zupełnie martwym biernym, co musiało z natury rzeczy suponować wbrew zamierzeniom istnienie ducha, jako *primum movens*, wprowadzającego w ruch martwe atomy materii. Taki światopogląd mógł odpowiadać ideologii mieszczaństwa zachodniego, gdzie jednostka mimo swego nastawienia materialistycznego posiadała odczucie swej indywidualnej energii duchowej, przeobrażającej i przetwarzającej martwą materię w produkcji przemysłowej, światopogląd ten jednak nie może przypadać do gustu bolszewikom, którzy go też zupełnie słusznie zwalczają ze swego punktu widzenia, jako wytwór ducha burżuazyjnego. Natomiast ich prawowierna filozofia czyni substancję materialną jakby czymś żyjącym, czymś, co poza innymi atrybutami, posiada również zdolności do myślenia. Filozofii tej możnaby nadać miano hylozoizmu i zdaje się, że w dziele jej tworzenia największy udział przypada chyba żydowskiemu spinozizmowi i niemieckiemu heglizmowi. W myśl zasad tej prawowiernej filozofii bolszewickiej w łonie tej żyjącej substancji materialnej rozwija się proces dialektyczny, który dochodzi do swego szczytu w klasie proletariatu. Klasa ta staje się jakby tytanem tego procesu, główną osią i treścią rozwoju historycznego; jednostka zaś, jako taka, nie odgrywa żadnej roli w tym procesie, jest ona bowiem tylko ciągłą nierozzerwalną częścią jednostki zbiorowej, ludzkości, która jest znów tylko czasową falą, wzbierającą w łonie żyjącej materii.

Taka jest w zasadniczych rysach obecna prawowierna filozofia bolszewicka, króro, jak wszelki monizm wogóle, musi opierać się na idei ciągłości, przeciwnej i wrogiej

wszelkiemu pluralistycznemu światopoglądowi, dla tego też filozofia ta musi odnosić się w konsekwencji wrogo, jak to już zaznaczyliśmy poprzednio, do nowoczesnych prądów naukowych, a przede wszystkim do teorii kwantów, jako zaprzeczenia idei ciągłości. Tendencjom bolszewickim odpowiada, przynajmniej na razie, nauka XIX wieku z jej mikroskopowym światem sztywnych atomów, skutych w jedną całość więzami powszechnej siły grawitacyjnej, która nadaje światu materialnemu charakter ciągłości pomimo nieciągłości materii. Atom w tym ujęciu pozbawiony jest wszelkiego indywidualnego bytu w łonie substancji materialnej, jak popozbawiona go jest jednostka ludzka, pochłonięta całkowicie przez jednostkę zbiorową. Natomiast, w myśl teorii kwantów, znika ciągłość materialnej substancji, atomowi przyznaje się jakby pewien niezależny indywidualny byt, staje się on jakby monadą w ujęciu Leibnizowskim, a w związku z tym przywraca się właściwe znaczenie pojęciu organizacji, jako czegoś nadrzędnego, nie tkwiącego immanentnie w materii samej. Rzecz jasna, że taki możliwy nowy obraz natury musi być z gruntu wstrętny bolszewizmowi, który odrzuca wszelką organizację nadrzędną świata, uznając natomiast, że własności ewolucyjne materii tkwią immanentnie w niej samej.

Widzimy więc, że bolszewizm, jako konsekwentny socjalizm kontynuujący mieszczańską ideologię ruchu produkcji w nieskończoność, pozostaje narazie w zasadzie w zgodzie z nauką XIX wieku z jej materialistyczno-monistycznym kierunkiem, zmienia tylko i przystosowuje do wymogów swego praktycznego światopoglądu koncepcję samej materialnej substancji, odrzuca mianowicie ideę sztywnej i martwej materii, jako podłoża, które musiałoby suponować istnienie jakiejś nadrzędnej energii, czyni natomiast tę substancję czymś żyjącym, innymi słowy tworzy konsekwentny panteizm materialistyczny. Nie powinniśmy przy tym zapominać, że bolszewizm jest ruchem uniwersalistycznym, że dąży on do stworzenia ustroju stabilizowanego w całym świecie, że na razie ruch ten nie osiągnął swego zakończenia, lecz w razie swego zwycięstwa w skali światowej stabilizowałby on antychryścijnie nie tylko stosunki ludzkie, lecz bez

wątpienia stabilizowałyby na swój sposób również filozofię i naukę.

Szukaliśmy poprzednio analogii między kierunkiem nauki nowoczesnej a kierunkiem rozwojowym środowiska, to znaczy narodów europejskich, poczynając od reformacji, i zdawało się nam, że jesteśmy uprawnieni do przyjęcia tezy, iż analityczny kierunek nowych czasów odpowiadał analitycznemu procesowi rozszczepienia ogólnoludzkiej społeczności chrześcijańskiej, która w niedoskonałej wprawdzie formie wytworzyła się jednak w pewnym stopniu w okresie średniowiecza. Sądzymy również, że bolszewizm jest właśnie tym uniwersalistycznym ruchem syntetycznym, który na gruncie analitycznego rozszczepienia społeczności chrześcijańskiej zmierza do utworzenia nowej społeczności antychrystycznej; jest on niejako zakończeniem tego złowrogiego procesu analitycznego w łonie społeczności chrześcijańskiej, które zbiega się — należy wątpić, czy przypadkowo — z zakończeniem analitycznego kierunku nauki zachodniej. Obecnie mamy się jeszcze zastanowić nad pytaniem, jaki jest wewnętrzny sens przełomu, który dokonuje się w naszych czasach w sferze nauki ścisłej, w jakim stopniu odzwierciedla się w nim ogólny kulturalny przełom, przez który przechodzą obecnie narody świata zachodniego, wciągając jednocześnie w wir ogólnego chaosu narody świata wschodniego.

Wydaje się nam, że w współczesnym przełomie naukowym da się niejako wyróżnić dwie strony, jedną dodatnią, a drugą ujemną. Dodatnią stronę cechuje przede wszystkim głębsze zrozumienie istoty naszej niewiedzy i faktycznej niemożliwości przeniknięcia istotnej natury materialnej substancji. O tej stronie nauki współczesnej wzmiankowany już Jeans wyraża się w ten sposób: „najwyższą zdobyczą fizyki XX wieku nie jest ani teoria względności, ani teoria kwantów, ani też nowa koncepcja atomu, lecz zrozumienie, że nie zetknęliśmy się jeszcze z ostateczną rzeczywistością“. Wprawdzie znakomity fizjolog niemiecki XIX wieku Du Bois-Reymond ujął stan naszej nauki mniej więcej w ten sam sposób w swym słynnym referacie na zjeździe przyrodników, który zakończył słowami: *Ignoramus ignorabimus*. Jednakże ówczesny światopogląd naukowy był tego rodzaju, że słowa

powyższe nie odnalazły głębszego oddźwięku w szerszych kołach naukowych, dziś natomiast, dzięki całkiem innemu ujęciu natury, przytoczone powyżej zdanie Jeańsa odzwierciedla bezsprzecznie pogląd większości przyrodników.

Za dodatnią stronę obecnego ujęcia natury należy również uznać nową koncepcję przestrzeni na miejsce dawnej, wytworzonej na tle koperniko-newtonowskiego światopoglądu astronomicznego, która odpowiadając lepiej naszemu odczuciu rzeczywistości zdradza jednak wszelkie cechy nadzwyczajnej płytkości i prowadzi w ostatecznym wyniku do horendalnego wprost astronomicznego obrazu świata. Nowa koncepcja przestrzeni nie posiada wprawdzie przejrzystości dawniejszej, nie odpowiada naszemu odczuciu rzeczywistości, jest ona raczej symboliczna, każdy jednak człowiek, przyzwyczajony do abstrakcyjnego myślenia odczuwa, że mimo wszystko jest ona bliższą prawdy i tajemnicy budowy świata, że zahacza ona jakąś tajemnicę bytu nie wyświetlając jej wprawdzie, lecz podkreślając jej odmiennność od tego, co daje nasze zmysłowe odczucie. W tej dziedzinie nauka współczesna zaczyna stykać się niejako z metafizyką czyli raczej z mistyką, bo to, co ona nam tu podaje, należy właściwie już uważać nie za wytwór myśli naukowej w dawniejszym znaczeniu tego słowa, lecz za jakieś nowe mistyczne odczucie rzeczywistości. Wydaje się, że zaczyna powoli narastać w świecie jakaś nowa podświadomość, nie mająca już nic wspólnego z analizą, która, być może, poprzedza jakąś przygotowującą się w przyszłości wielką przemianę świata. Ta dodatnia strona nauki sięga, zdaniem naszym, w przyszłość i nie ma nic wspólnego z naszą groźną teraźniejszością.

Jako na inną stronę nowego ujęcia natury, wskazano jeszcze na narastające w nauce zrozumienie znaczenia organizacji dla porządku i harmonii świata, jako czegoś nadzrędnego, stojącego niejako ponad materialną substancją. Bo w poprzednim ujęciu organizacja świata tkwiła niejako immanentnie w nim samym w ten sposób, że pozycja w przestrzeni i los każdego atomu były jednoznacznie wyznaczone przez jego własne działania i oddziaływanie nań otaczających go atomów, co wyznaczało również jednoznacznie organizację i los całego świata, który był przeto podległy nieubłaganemu

determinizmowi. W nowym ujęciu atom odzyskuje niejako pewną wolność, los jego nie jest niczym predestynowany, w każdym razie ta predestynacja, gdyby nawet istniała, pozostaje dla nas obecnie zupełnie nieuchwytną, a wobec tego zjawia się nieodzowna konieczność uznania jakiejś siły organizacyjnej, która nadała początkowo i utrzymuje w dalszym ciągu organizację świata fizycznego. W ujęciu takim musi rzecz jasna, zniknąć tym bardziej pojęcie determinizmu w odniesieniu do woli człowieka, której przyznaje się pewną samodzielność w ogólnej organizacji świata duchowego. Mamy tu nawrót do pluralizmu.

Takie są naszym zdaniem główne dodatnie cechy nowego ujęcia natury. Zdawałoby się, że powinny one prowadzić w prostej linii do wskrzeszenia teistycznego światopoglądu, w rzeczywistości jednak nie da się jeszcze stwierdzić na szerszą skalę, by nowe ujęcie natury prowadziło do Boga. To też obserwujemy wzrost sceptycyzmu w stosunku do nauki, czy też odnajdujemy jakąś mglistą wiarę w dalszą świetną przyszłość nauki, przed którą mimo wszystko otworzą się w przyszłości jakieś nowe wspaniałe horyzonty, w żadnym jednak z tych wypadków nowe ujęcie natury nie łączy się jeszcze wyraźnie z uznaniem Boga w wszechświecie. Dla tego też nie wydaje się nam, powtarzamy, aby dodatnie cechy naszego ujęcia natury wiązały się w jakiś sposób z ogólnym stanem ludzkości w naszych czasach, uważać je należy raczej za jakąś intuicję, za jakiś rzut w przyszłość, z naszą smutną rzeczywistością natomiast wiążą się, zdaniem naszym, inne ujemne cechy współczesnego naukowego światopoglądu, do rozpatrzenia których przystąpimy obecnie. Do liczby ich zaliczamy sceptycyzm, upadek wiary w możliwość wyjaśnienia zjawisk natury, z którymi łączy się wzrastająca sofistyczność współczesnej nauki, poza tym zachwianie, jeżeli jeszcze nie obalenie zasady przyczynowości, tego kamienia węgielnego wszelkiej interpretacji zjawisk natury, wreszcie zupełnie dowolne upraszczanie lub eliminowanie pojęć, nastroczających większe trudności, innymi słowy ruch po linii najmniejszego oporu, byle osiągnąć wyniki chociażby pozorne.

Co do pierwszej ze wskazanych cech, to wprowadzić zrozumienie swej niewiedzy należałoby właściwie uważać, jak

to zaznaczyliśmy poprzednio, raczej za cechę dodatnią, która winnaby nas z powrotem prowadzić do teistycznego światopoglądu, gdyby nie fakt, że łączy się z nią jednocześnie wzrastająca sofistyczność, która zaczyna wprost żonglować pojęciami. Przecież w swoim czasie sofistyka grecka, która zaprzeczała możliwości poznania prawdy, mogła również wydawać się pogłębieniem myśli w porównaniu z dawnymi naiwnymi wierzeniami pierwszych filozoficznych szkół greckich, była ona jednak w rzeczywistości tylko wyrazem wzrastającej zgrzybiałości kultury helleńskiej. To też moglibyśmy analogicznie uznać, że współczesne kierunki naukowe mimo swej głębokości pod niektórymi względami są jednak przejawem zgrzybiałości, w okres której według wszelkich danych zaczyna już wyraźnie wstępować nasza kultura.

Jako przykład sofistyczności, która zaczyna panować w współczesnej nauce, przytoczę kilka zdań wzmiankowanego już parokrotnie dzieła Edingtona p. t. *Nowe oblicze natury*. Roztrząsając wszelkie możliwe tłumaczenia ruchu ziemi dookoła słońca, autor uznaje między innymi możliwość również takiego tłumaczenia, że ziemia wogóle biegnie w przestrzeni, jak się jej podoba. Oto są jego własne słowa: „Obstaję przy tym, że ziemia idzie tam, gdzie się jej podoba, tylko że to my musimy wykryć, dokąd się jej podobało powędrować. Zagadnienie nasze nie polega tu na tym, by odkryć to, co się stało z ziemią w niepoznawalnym absolutie, ukrytym poza zjawiskami, lecz by ją ulokować w naszym konwencjonalnym schemacie czasu i przestrzeni.“ A na innym znów miejscu: „Nie wypieram się poglądu, że jakieś błędzenie ziemi z samej natury niezmierzalne, nie może mieć pretensji do istnienia fizycznego. Nikt nie wie, co właściwie takie błędzenie ma oznaczać. Powiedziałem przedtem, że ziemia może wędrować, gdzie się jej podoba, ale nie dałem jej tego „gdzie“ do wyboru“. Lub też takie zdanie: „Prawo grawitacji nie jest surowym władcą, który rządzi ciałami niebieskimi, jest raczej czułym przyjacielem, który pokrywa wszystkie ich wybryki“.

Nie przeczymy, że zdania tu przytoczone zahaczają być może w sposób tajemniczy o jakąś nieuchwytną rzeczywistość, że jest w nich pewna mistyka i poezja nawet, nie można jednak nie uznać jednocześnie, że są one wyrazem sofistyczności

i dezorganizacji, jakie powstały w wykończonym pozornie gmachu nauki ścisłej. Nie możemy poza tym dziwić się temu, gdy zaczynają się załamywać same podstawy i cele naukowego badania, gdy zaczyna znikać sam podstawowy obiekt nauki ścisłej, substancja materialna z jednej strony, a z drugiej zostaje zakwestionowana podstawowa zasada naukowego myślenia, zasada przyczynowości. To załamywanie się zasady przyczynowości stanowi zdaniem naszym jedną z najważniejszych ujemnych cech nauki współczesnej, gdyż bez tej zasady nie można sobie po prostu wyobrazić istnienia nauki ścisłej. A widzieliśmy przecież, że w świecie mikroskopowym nie da się doszukać przyczynowości, nie da się w żaden sposób stwierdzić, co kieruje losem poszczególnego atomu, zaś prawa rządzące agregatami atomów nabierają w takim razie tylko cech praw statystycznych, opartych na zasadzie wielkich liczb czyli wyników przeciętnych.

W związku z tym dla każdego nieuprzedzonego umysłu, nie hołdującego przy tym pompatycznemu, lecz fałszywemu hasłom ciągłego postępu, staje się coraz więcej jasnym, że stanęliśmy w swym badaniu przed jakąś nieprzekraczalną ścianą, przed czymś, od czego odbijają się z powrotem wszelkie abstrakcje, jakie założyliśmy u podstaw przyrodoznawstwa. Wydaje się, że myśl ludzka obiegała już ostatecznie jakiś zaczarowany krąg, by wrócić do początkowego punktu wyjścia, to znaczy do samej siebie, zatracając w tej drodze poczucie przeciwstawności własnej i materialnej substancji oraz związku przyczynowego w świecie zjawisk świata materialnego.

Gdy zaś sprawy tak stanęły, nie pozostawało przedstawicielom wiedzy ścisłej nic innego, jak przystąpić do stabilizacji gmachu nauki drogą uproszczenia i eliminowania wszelkich pojęć, które związane były z poprzednim analityczno-przyczynowym ujęciem zjawisk natury, bez nowych prób wypełnienia powstałych luk, jak to zwykle czyniono dawniej. Poza tym zaczęto ułatwiać sobie fikcyjną pozorną interpretację zjawisk natury czyli upraszczać zadanie przez przyjęcie zasady dowolności obioru tej lub innej geometrii, to znaczy euklidesowej lub nieeuklidesowej, zależnie od tego, która z nich okaże się dogodniejszą dla interpretacji tego

lub innego zagadnienia; wreszcie przy zagadnieniach, które, w myśl dawnych pojęć, dopuszczały tylko jednoznaczną odpowiedź, unika się obecnie takowej, przez wymijającą i ułatwiającą odpowiedź: „to zależy.“ Wszystko to razem składa się, zdaniem naszym, na trzecią zasadniczą ujemną cechę współczesnej nauki ściślej.

Uwypukliliśmy trzy zasadnicze ujemne cechy współczesnego naukowego światopoglądu, załamanie się autorytatywnej zasady przyczynowości, sofistyczność, która kwitując z poznania rzeczywistości, zaczyna dowolnie żonglować pojęciami, wreszcie symplifikację całego gmachu nauki, mającą na celu ułatwić pozorne poznanie, a przez to prowadzić do pewnej stabilizacji naukowego myślenia, które stanęło obecnie przed jakąś nieprzekraczalną ścianą.

W myśl przyjętej zasady o związku między światopoglądem naukowym a środowiskiem postaramy się jeszcze odnaleźć odpowiednie analogie między zanalizowanym przez nas stanem nauki współczesnej, a stanem społeczeństw zachodniej kultury, w których łonie odbywa się obecnie proces przełomu światopoglądu naukowego.

Inż. Adolf Kliszewicz.

Przegląd piśmiennictwa.

Karl Anton Prinz Rohan: *Schicksalsstunde Europas. Erkenntnisse und Bekenntnisse. Wirklichkeiten und Möglichkeiten.* 1937. Leykam Verlag. Graz. Str. 432.

Austriacki potomek znakomitego rodu francuskiego znany jako redaktor miesięcznika politycznego *Europäische Revue* i jako organizator „Unij intelektualnych”, które także w Polsce zorganizowały swego czasu jeden ze swych zjazdów międzynarodowych, wydał obecnie duże, niezwykle ciekawe dzieło. Ciekawe w podwójnym znaczeniu, jakie ten przymiotnik ma w języku polskim. Książka to ciekawa czyli interesująca dla czytelnika, którego uwagę trzyma w napięciu od pierwszej do ostatniej strony, ponieważ brak w niej wszelkiej rozwlekłej frazeologii, a nie brak śmiałych skrótów myślowych i jędrnych aforyzmów. Ale jest też ciekawą — *ein neugieriges Buch*, jak ją określa przedmowa — gdyż śladem ciekawości swego autora dotyka najprzeróżniejszych zagadnień życia. Nie ma w niej wskutek tego takiej zwartości, tak logicznej budowy, jak w dziele o podobnym tytule i pokrewnej ideologii, fryburskiego profesora i poety Gonzague de Reynold. Ale sam fakt, że syntezę przemyśleń księcia Rohan można postawić obok świetnej *Europe fragile*, świadczy o wielkiej, nieprzemijającej wartości jego książki.

Składa się ona z czterech rozdziałów o nierównej objętości. Pierwszy najkrótszy, pt. *Erbgut Europas* jest jedną z wielu prób ściślejszego zdefiniowania Europy, nie pojęcia geograficznego, lecz ducha europejskiego. Próby te, zawsze pożądane, nigdy nie będą wolne od pewnego subiektywizmu. Stąd każda z nich daje pole do dyskusji. W danym wypadku niezmiernie trafnym się wydaje stwierdzenie związku między kulturą europejską a poszanowaniem osobowości ludzkiej, podczas gdy wątpliwości wzbudza twierdzenie o rewolucyjnym charakterze ducha europejskiego, którego chyba raczej cechuje dążenie do szlachetnego umiaru i zdrowej harmonii. Bezspornym jest tylko dla każdego nieuprzedzonego umysłu związek między tradycją europejską a kulturą chrześcijańską, a chrześcijańskie stanowisko autora występuje nie mniej wyraźnie w drugim rozdziale o znamienym tytule: *Zwischen Gottlosigkeit und Gottsuche*.

Zbytecznym byłoby dowodzić, że porusza on tutaj najistotniejsze, najbardziej zasadnicze zagadnienie naszych czasów, a właściwie wszystkich epok wogóle i nie samej tylko Europy. Więcej jeszcze od wnikliwej charakterystyki tego, co za Leopoldem Ziegler'em nazywa *mythos atheos*, zastanawia próba wytlómaczenia dręczącej nas wszystkich zagadki, dlaczego Europa dotąd nie stała się naprawdę chrześcijańską, skoro ateistyczny pozytywizm zawiódł ją tak gruntownie. Znakomicie wykazuje też autor niedostatki wszelkich „Ersatz'ów” religii, a trzeźwe jego uwagi krytyczne o „mitach” politycznych warto podkreślić tym bardziej, że — jak zobaczymy — w jednym z dalszych ustępów swego dzieła sam zdaje się o nich zapominać.

Przed tym jednak w blisko stu stronicowym rozdziale pt. *Persönlichkeit und Lebensgestaltung* pisze właściwie *de omnibus rebus et quibusdam aliis*. Stwierdzenie tego faktu nie ma być zarzutem. Przede wszystkim bowiem nawet tam, gdzie wspomina np. o gastronomii lub o modach kobiecych, Rohan umie rzucać spostrzeżenia będące co najmniej na marginesie filozofii. Co zaś ważniejsze, znajdujemy tu oświecenie tak ważnych zagadnień, jak zwłaszcza rola rodziny w życiu społecznym, a choćby nas nie przekonała całkowicie obrona psychoanalizy i zestawienie jej z ćwiczeniami duchownymi św. Ignacego, to w każdym razie całokształt tych rozważań jest zdrową, właśnie z punktu widzenia katolickiego pożądaną reakcją przeciwko spaceniu kultury europejskiej i chrześcijańskiej w życiu współczesnym.

Pokoleniem współczesnym, „człowiekiem 20-go wieku i politycznymi formami jego życia” zajmuje się autor w czwartym rozdziale, najdłuższym, bo stanowiącym większą część książki. Po dygresjach poprzedniego wracamy tu do zasadniczej myśli dzieła. Przeciwstawiając typowi „mieszczkańskiemu” 19-go wieku — dzisiejszego człowieka „antimieszczkańskiego”, książę Rohan, aczkolwiek solidaryzuje się właściwie ze światem współczesnym, charakteryzuje ten typ dzisiejszy bez jakichkolwiek złudzeń i w sposób nie wzbudzający zbytniej sympatii. Kładąc zaś słuszny nacisk na kwestię społeczną, wskazuje jako jej rozwiązanie zasady encykliki *Quadragesimo anno* „często wspominanej a za mało czytanej”, którą streszcza bardzo dokładnie. W pełni też zgadzamy się z nim, kiedy przeprowadza następnie krytykę komunizmu, rewolucji bolszewickiej. Gdy jednak przechodzi do form politycznych, które wytworzyła „kontr-rewolucja nacjonalistyczna”, to opuszcza go stopniowo spokojna, iście filozoficzna rozważa: rzeczowy wobec przeciwników, nie potrafi nim być wobec tych, którzy wywołują w nim entuzjazm bez zastrzeżeń. A jeśli takie zastrzeżenia odzywają się jeszcze tu i ówdzie w ustępie o faszyzmie, to na 50 mniej więcej stronach poświęconych hitleryzmowi milkną one całkowicie. Mamy tu jednostronną apologię narodowego socjalizmu, napisaną z niewątpliwym talentem, ze szczerem dążeniem do po-

godzenia jego doktryny z chrystianizmem, lecz jednak raz po raz wywołującą stanowczy sprzeciw, jak chociażby tam, gdzie mowa o Austrii, a w każdym razie daleko odbiegającą od tonu czy klimatu wszystkich innych części książki. Zrozumiałym jest, że autor wita z zadowoleniem ugodę z 11 lipca 1936 r., ale pisze o niej, jak gdyby jej owocność zależała naprawdę tylko od dobrej woli austriackiej strony, od *ehrliche Einschaltung der österreichischen Deutschen in das Gesamtdeutschtum und seinen Kultur — und Lebensstrom*. To przecież jest równoznaczne z *Gleichschaltung* z narodowym socjalizmem.

Do obiektywnego nastawienia wraca na szczęście część końcowa, szczególnie doniosła. Śmiało szkicuje tu autor możliwości dalszego rozwoju Europy, których widzi trzy. Pierwsza i ostatnia właściwie rozpaczliwe: stopniowa przemiana w kolektywne mrowisko albo nowa wojna o niebywałej potworności. To też wskazując jako jedyną możliwość ratunku wytworzenie się nowej elity o prawdziwym autorytecie, niezmiernie słusznie i przekonująco, choć może nie całkiem zgodnie ze swą tezą o rewolucyjnym charakterze Europy, nawołuje w zakończeniu do konserwatywnych, a więc ewolucyjnych metod działania, w przeciwieństwie do wszelkich radykalizmów. A choć podziela niechęć wszelkich polityków prawicowych do samego słowa pacyfizmu, nie odbiega przecież zbyt daleko od jego istoty i zdobywa się nawet na pełne zrozumienie dla idei Ligi Narodów mimo na wskroś negatywnego stanowiska wobec traktatów pokojowych, z którymi ją złączono.

W związku z tym ostatnim zastrzeżeniem trzeba stwierdzić, że Polakowi trudno się zgodzić z całym szeregiem poglądów autora na poszczególne kwestie polityczne. Byłoby jednak niewdzięcznością wobec niego, gdybyśmy się na tych szczegółach zatrzymali, zamiast podnieść na zakończenie jego sympatię i uznanie dla Polski. Jej jednej z pośród wszystkich państw wschodnioeuropejskich przyznaje własną fizjognomię polityczno-kulturalną: *Kompromisfreie, arteigene Gestalt*. Ona jedna — jego zdaniem — potrafiła pogodzić przynależność do frontu kontrrewolucyjnego ze zużytkowaniem twórczych pod względem narodowym sił dawnej demokracji. A oddając hołd zasługom marszałka Piłsudskiego, cytuje długie wyjątki z jego pism, zarówno na temat stosunku wojska do demokracji, autorytetu do wolności, jak również w związku z uwagami o charakterze wojny współczesnej.

Zaraz obok odezwalo się też w potomku dawnych książąt Bretanii tradycyjne przywiązanie do Francji, gdzie — jak pisze — nawet bolszewizm, faszyzm lub narodowy socjalizm musiałby przybrać kształty „bardzo fracuskie”. Jej „wielką misję” widzi w zdobyciu dla osobowości należnego miejsca w nowych formach ustroju państwowego, a to jest wszakże potrzeba całej Europy w jej dzisiejszej *Schicksalsstunde*.

O. Halecki.

Dr. Jan Hupka. Z czasów wielkiej wojny. Pamiętnik nie kombatanta. Niwiska. 1936. Str. 446 in 8°.

Jakkolwiek pisano już bardzo wiele o tych groźnych, niespokojnych czasach, w których, wśród walk, nieporozumień i pomyłek rodziła się pracowicie nowa Polska, nie może nie być pożądanym pamiętnik dobrego obserwatora i mądrego człowieka, który, jako bardzo czynny członek NKNu i sam dużo działał i miał sposobność przypatrywać się z bliska działaniu innych. Dr H. miał to dobre natchnienie, że od wybuchu wielkiej wojny prawie codziennie notował, co robił, co słyszał, na co patrzył, z kim się spotykał i dotrwał w tej dobrej praktyce aż prawie po rok 1920. Obecnie wydał te swoje zapiski bez zmiany, dodając tylko wstęp i zakończenie. Miłą cechą tych notatek jest, że ich autor bardzo mało się zajmuje własną osobą, nie roztkliwia się ani nad swoimi stratami, ani pracami, ani niepowodzeniami, tylko na pierwszy i prawie jedyny plan wysuwa zawsze dobro publiczne, dobro ojczyzny, którego całym sercem, wedle najlepszego swego rozumienia, usilnie szuka. Przyznaje bez ogródki w świetle późniejszych wypadków, że nieraz się mylił, ale były to omyłki, w które popadali wówczas wszyscy, z wyjątkiem chyba tego jednego człowieka, któremu Dr H. oddaje pod koniec pełne uznanie, z wyjątkiem wielkiego Marszałka. Obok omyłek jednak przebija na każdej stronie ogromna, szlachetna, bezinteresowna praca tych ludzi, którzy wówczas się składali na NKN, a praca walcząca z niepojętymi trudnościami, jakie wypływały po części z rozmaitych orientacyj w łonie samego narodu, po części ze zmiennego usposobienia i stanowiska walczących mocarstw. Doskonale jest uwydatniona przede wszystkim niepojęta, jakby nadprzyrodzona głupota, krótkowzroczność, ciasnota i małostkowość austriackiego rządu. Autor cytuje dosłownie bardzo liczne swe rozmowy z ludźmi po części dziś jeszcze żyjącymi. Pociesza się wprawdzie, że te niedyskrecje już nikomu nie zaszkodzą, ale mogą zrobić niejednemu przykrość, mogą też wywołać niejedne poróżnienia. Lepiej było tego rodzaju rozmowy pominąć. Zresztą cała książka pełna rozumnych, nadzwyczaj cennych uwag. Szkoda, że zewnętrzna jej szata jest bardzo niedbała i że ciągle się spotyka dużo przykrych błędów drukarskich.

Ks. J. Rostworowski T. J.

Leon Halban: Religia w Trzeciej Rzeszy. (Archiwum Tow. Nauk we Lwowie, dział II, tom XVII, zesz. 2). Lwów 1936, str. 403.

W szeregu tomów „Archiwum Towarzystwa Naukowego” lwowskiego ukazała się praca, która ma znaczenie zgoła nie archiwalne, lecz całkiem aktualne, życiowe. Gruby, 400-stronicowy, zeszyt poświęcony jest zagadnieniom religijnym w Niem-

czech hitlerowskich. Jest to publicystyka, tylko ujęta, powiedzmy, po profesorsku, z masą cytowanego materiału zarówno wypowiedzi urzędowych narodowo-socjalistycznych, jak i literatury ideologicznej prowodyrów Trzeciej Rzeszy. Autor sięga i wstecz, omawiając te prądy, które powoli przygotowywały ideologię państwową i światopoglądową hitleryzmu. Ale najwięcej miejsca poświęca tym ruchom religijnym, które uważają się za najpełniejszy wyraz mistyki rasistowskiej, jak *Deutsche Christen* i *Deutsche Glaubensbewegung* (neopoganizm), rozpatruje także chaos panujący w obozie protestanckim, wreszcie omawia treść konkordatu, zawartego przez Trzecią Rzeszę ze Stolicą apostolską i wykretne komentarze, jakim ten akt poddawany jest w rządzącym obozie, tudzież faktyczne położenie Kościoła katolickiego. Każdemu, kto interesuje się stosunkami religijnymi w współczesnych Niemczech, książka prof. Halbana odda nieocenione usługi bogactwem przytoczonego materiału. W świetle własnej ideologii rasistycznej i „religijnej”, obóz kierujący dziś Niemcami robi wrażenie szaleńca bardzo dla świata niebezpiecznego, bo silnego fizycznie a moralnie wobec innych nieskrępowanego. Znać dobrze mentalność takiego sąsiada nie jest rzeczą ciekawości tylko, ale naszym pilnym obowiązkiem. Praca prof. Halmana do wypełnienia tego obowiązku waleń nam dopomoże.

Ks. J. Urban.

Miscellanea Theologica. Praca zbiorowa profesorów Seminarium Metropolitalnego w Warszawie. — Ks. Dr. W. Rośtan; Idea życia w pismach ojców Apostolskich. — Ks. Dr. Majewski; Post z stanowiska tradycji kościelnej. — Ks. Dr W. Padacz; Podstawy prawne istnienia i działalności zrzezeń katolików świeckich. — Ks. Dr S. Mystkowski; Prawo małżeńskie w konkordatach. — Ks. Dr A. Pawłowski; Eucharystia jako sakrament solidarności chrześcijańskiej. — Ks. Lic. S. Ulatowski; Idea soteriologiczna u św. Hieronima. — Ks. Dr. E. Szlenk; Prawo do pracy w ujęciu historyczno-krytycznym. — Ks. Mg. T. Radkowski; Hebrajskie imiona Boże. — Ks. Dr E. Dąbrowski; Św. Paweł w Atenach. 1936, str. 305.

Pięknie i godnie, jak przystało na profesorów seminarium duchownego w stolicy, uczcili nauczyciele i wychowawcy kleru pięćdziesięcioletni jubileusz kapłański J. E. Kardynała Kakowskiego, wydając pracę zbiorową pt. *Miscellanea Theologica*, dedykowaną dostojnemu Jubilatowi.

Szereg rozpraw rozpoczyna gorąca i serdeczna przedmowa regensa seminarium ks. Henryka Fiatowskiego, który składa to dzieło Eminencji w hołdzie, jako szczególne podziękowanie za ukochanie tak uczelni jak i młodzieży seminaryjnej, której Arcypasterz poświęcił tyle ciepłych słów i tyle praktycznych wskazań w swym jubileuszowym orędziu.

Trudno jest napisać ocenę dokładną wszystkich rozpraw, obejmujących najrozmaitsze dziedziny wiedzy teologicznej, jedno tylko można stwierdzić z całą pewnością, że wspomniane prace stoją w przeważnej części na wysokim poziomie naukowym i nie tylko świadczą o głębokiej erudycji teologicznej autorów, ale także o należytym sposobie nauczania; ujęcie poszczególnych tematów i przedstawienie treści ma wielkie walory pedagogiczne i jeśli w ten sposób podaje się adeptom teologii „świętą wiedzę” usprawiedliwioną jest nadzieja, że z seminarium duchownego wychodząc będą kapłani uzbrojeni w tak konieczny dziś rynsztunek wiedzy, wierni zresztą obowiązującemu wiecznie od czasów apostołskich nakazowi *Rationabile sit obsequium vestrum*. Wielce pocieszającym faktem w odrodzonej Polsce jest rozwój nauk teologicznych, który znajduje swój wyraz w coraz to większej liczbie wydawnictw indywidualnych i zbiorowych. Uniwersytety i seminaria mają już w tym względzie swą chlubną kartę; nauka teologiczna jak ongiś królowała niepodzielnie w szkołach średniowiecznych jako święta umiejętność i tworzyła punkt wyjścia nie tylko dla życia indywidualnego, lecz i społecznego i państwowego, tak dziś chce odzyskać należne sobie miejsce w kręgu myśli współczesnej, przyswajając sobie nowe warunki wiedzy i metody naukowej. W ten sposób toruje drogę uznaniu zgody między wiedzą a wiarą i tej wielkiej prawdy, że duch katolicki i naukowy, to dwa różne wprawdzie, ale bliskie sobie pokrewne objawy, dwa uzewnętrznienia się jednego i tego samego ducha, ducha światła i prawdy.

Ks. Dr. Zygm. Kozubski.
profesor Univ. J. P.

Zdzisław Stahl: *Polityka Polska po śmierci Piłsudskiego*
Wydanie Organizacji Myśli Politycznej. Lwów - Warszawa, str. 123.

Broszura polityczna, reprezentująca myśl tego odłamu „narodowców”, którzy przed paru laty przyłączyli się do obozu marszałka Piłsudskiego. Napisana z werwą, polemizuje przeważnie z Stronnictwem Narodowym i z jego frondą młodzieży narodoworadykalnej, odpierając zarzuty, jakimi ta strona obarcza zwykle politykę i osobę marszałka. Autor zastanawia się nad politycznymi zadaniami Polski na dobę dzisiejszą, uważając, że najpilniejszym zadaniem jest konsolidacja ideologii społeczeństwa na gruncie naszej konstytucji kwietniowej. Umiejscowieni między bolszewicką Rosją a Niemcami hitlerowskimi, nie możemy przyswajać sobie żadnej z tych ideologii, lecz wytworzyć własną, niezależną. Jeżeli chodzi o ustrój polityczny Polski, autor go dość jasno określa (konstytucja kwietniowa, moralny autorytet woźdza itd.), ale jeśli byśmy zapytali ku jakim ideałom ma ten ustrój Polskę kierować, broszura nam na to nie odpowie. Zapewne autor innym razem odpowie na to pytanie.

J. Urban.

Dr Arnold Rademacher: *Religia a życie. Przyczynek do rozwiązania chrześcijańskiego problemu kultury*. Z niem. tłum. J. Kusztelówna. Poznań, księg. św. Wojciecha, str. XI+222, zł. 4.50.

Współczesność ująćby można syntetycznie jako rozbrat między religią a życiem, chrześcijaństwem a szlachetnym człowieczeństwem, katolicyzmem a kulturą, Kościołem a państwem! Świadomość tych poróżnień zaznaczyła się przed niedawnym czasem i w polskiej myśli publicystycznej w formie zagadnienia stosunku katolicyzmu do kultury. Wtedy to J. E. Skiwski w ogłoszonych w *Pionie* artykułach stwierdzał i dowodził istotnego i koniecznego między nimi rozdziału; natomiast ks. Jan Urban T. J., godząc się na łamach *Przeglądu Powszechnego*, na fakt aktualnego rozbratu, uważał go za sztuczny i nieszczęśliwy wynik niezrozumienia katolicyzmu i kultury, których przeznaczeniem jest współistnieć i współdziałać dla rozwoju życia jednostki i społeczeństw.

Książka, którą tu krótko omawiamy, zajmuje się obszernie stwierdzeniem faktu i następstw rozbratu między katolicyzmem czy chrześcijaństwem a życiem względnie kulturą — a następnie określa podstawy, formy i środki przeprowadzenia pożądaney między nimi unii. Autor, prof. teologii na uniwersytecie w Bonn, jest przekonany, że „w rozłamie między religią a życiem, między chrześcijaństwem a szlachetnym człowieczeństwem, katolicyzmem a kulturą świata — zbiegają się jak w ognisku wszystkie poszczególne kryzysy nowoczesne”; i „że ponowne połączenie religii i życia jest zatem założeniem i kluczem do rozwiązania dzisiejszych zagadnień ludzkości” (Przedmowa, str. V i VI). Uskutecznić je ma „aktywista religijny” — „mystyk zwrócony do życia”, i ten to typ nowoczesnego katolika, wymagany warunkami współczesnej sytuacji, stara się autor określić.

W krótkim omówieniu trudno jest podać treść tej bardzo ciekawej i arcyaktualnej książki, ale pozwolę sobie zwrócić uwagę na dwie główniejsze jej myśli: na prawo napięcia, określające współistnienie i współdziałanie religii i życia (str. 6—28) oraz na wzmiankowany wyżej typ religijnego aktywisty (str. 131—180).

Religia i życie to dwie żywiołowe potęgi istnienia — potęgi różne ale zarazem i pokrewne. Różne, bo religia chciałaby oddać człowieka Bogu, a życie chciałoby zdobyć człowieka dla swych doczesnych dóbr i darów. Oto napięcie różnic, kierunków, dążeń i pragnień, powodujące tęsknoty, walki i cierpienia. Ale religia i życie mają też coś wspólnego, oboje należą do natury ludzkiej — w obu chce ona się wyżyć i udoskonalić!

Na tym napięciu między tendencjami religii i życia trzeba umieć grać. Potrafi to ten, kto ma zrozumienie dla obu tych rzeczywistości. Aktywista religijny jest wynikiem, a potem i twórcą uporządkowanego napięcia między religią a życiem. Upragniony ten dla naszych czasów typ ludzki, prócz formacji własnej osobowości na podstawach napięcia między religią a życiem, ma za

zadanie na tej samej zasadzie znieść wiekowy rozdział między religią a życiem w masach dzisiejszego społeczeństwa.

Zadaniem teologii, która w przeszłości całą bogatą literaturę poświęciła mistyce odwróconej od świata, jest dziś określenie i uzasadnienie typu religijnego aktywisty czyli mistyka zwróconego do świata, który utrzymuje głębię życia nadprzyrodzonego, a jednocześnie jest przyjacielem życia i kultury. Asceza i mistyka religijnego aktywisty będzie inną, niż asceza i mistyka zakonników!

Przekład tej trafnie wybranej książki jest bardzo dobry. Kursywa celowo zaznacza ważniejsze terminy i myśli.

Lektura „Religii i życia” nie da się nigdy zbyt zalecić! Każdego inteligentnego i jako tako czynnego katolika nie mogą nie zainteresować takie zagadnienia jak: prawo napięcia w zastosowaniu do religii i życia, szkodliwość rozłamu między religią a życiem, objawy rozdwójenia w dzisiejszym życiu kulturalnym, religijno-mistyczny typ życia, religijno-aktywistyczny typ życia, ascetyka religijnego aktywisty itp.

Jestem pewien, że książka znalazła już wielu zadowolonych czytelników, a może i wpłynęła na zatytułowanie „Kulturą” powstałego ostatnio katolickiego tygodnika w Poznaniu! Jeżeli zaś nie — to po przeczytaniu „Religii i życia” uświadamiamy sobie słuszność takiego tytułu.

Ks. Z. Goliński.

Encyklopedia Wychowania pod nacz. red. Stanisława Łempickiego, t. I, Warszawa, Nasza Księgarnia Związku Naucz. Polskiego, 1933—1936.

Zakrojonej na trzy obszerne tomy *Encyklopedii Wychowania*, a poświęconej kolejno pedagogice, dydaktyce ogólnej i szczegółowej oraz organizacji nauczania i wychowania w Polsce i zagranicą — wychodzi już tom II. Oddany pedagogice tom I, którego omówienie tu podajemy, nie jest jeszcze ukończony. Brakuje mu opracowania końcowych, ale ważnych zagadnień o polskich tradycjach wychowawczych i polskim ideale wychowawczym. W ostatnio wydany, szesnasty zeszyt I tomu, rozpoczęto już druk rozprawy naczelnego redaktora prof. St. Łempickiego pt. „Polskie tradycje w wychowaniu”, ale zapewne kwestia polskiego ideału wychowawczego, wymagająca uwzględnienia różnych kierunków ideowych, powstrzymuje wydanie ostatniego już może, siedemnastego zeszytu I tomu. Oba wymienionym zagadnieniom warto będzie poświęcić osobne słowo, a tymczasem wypada podać i omówić istniejący już olbrzymi materiał I tomu.

Ale najprzód parę słów o całości. Wprowadza w nią przedmowa prof. B. Nawroczyńskiego (1—6), który zaznacza, że celem wydawnictwa jest zbiorowymi siłami poinformować społeczeństwo

polskie o współczesnym stanie rozwijających się bujnie najrozmaitszych zagadnień pedagogicznych. Redakcja przyjęła metodę systematycznego układu rozpraw, co pozwala na lepszą organizację treści i całościowe ujęcia kwestii; dodane do każdego tomu alfabetyczne indeksy rzeczowe ułatwią odszukanie zagadnień drobniejszych.

Encyklopedia obecna ma w polskim języku swoje poprzedniczki. W r. 1877 rozpoczęto w Warszawie wydawnictwo „Encyklopedii Wychowawczej”, przerwanej w r. 1921 na t. IX, wyczerpującym literę P. Ostatni jej redaktor Feliks Kierski opracował wobec tego z gronem pomocników małą dwutomową „Podręczną Encyklopedię Pedagogiczną” (Książnica-Atlas 1923—1925).

Encyklopedia obecna wychodzi w zeszytach in 4^o, zawierających 4 arkusze dwukolumnowego druku. W prenumeracie miesięcznie kosztuje 3 zł., półrocznie 14, rocznie 27 zł. Pojedynczy zeszyt poza prenumeratą zł. 4.

Dla lepszej orientacji wymienimy tytuły rozpraw i autorów w I tomie. We wstępie Z. Myślakowski daje rozprawę pt. „Pedagogika, jej metody i miejsce w systemie nauk” (9—29). W dziale nauk pomocniczych pedagogiki Wł. Dybowski opracował poddział „Fizjologiczne podstawy wychowania” (okresy rozwoju fizycznego dzieci i młodzieży oraz ich higiena, 33—164); „Antropologiczne podstawy wychowania” (165—183) dał L. Jaxa-Bykowski. W poddziale „Psychologiczne podstawy wychowania” napisali: M. Kreutz „Nowe kierunki psychologii (185—230); St. Szuman „Rozwój psychiczny dzieci i młodzieży”; St. Bałey „Charakterologia i typologia dzieci i młodzieży” (275—304) oraz „Zadania psychologii pedagogicznej” (305—311); St. Szuman, „Metody psychologii pedagogicznej” (312—348); Stan. Błachowski „Wyniki psychologii pedagogicznej” (349—398); Jakub Frostig „Psychopatologia dzieci i młodzieży” (399—434). W poddziale „Socjologiczne podstawy wychowania” W. Gottlieb przedstawił: „Socjologiczną teorię wychowania” (435—467), „Morfologię socjologiczną wychowania dzieci i młodzieży” (468—508) oraz „Socjologię oświaty pozaszkolnej” (509—522).

W dziale historycznym przedstawia naprzód B. Nawroczyński „Współczesne prądy wychowawcze” (525—568), dalej St. Kot „Zarys dziejów wychowania jako funkcji społecznej” (569—660), a wreszcie H. Radlińska „Dzieje oświaty pozaszkolnej” (661—697).

W dziale pedagogiki systematycznej Z. Myślakowski opracował „Pedagogikę ogólną” (701—785), a w poddziale „Wychowanie w różnych okresach rozwoju”, P. Dąbrowski rozwija „Wychowanie dzieci i młodzieży” (786—813), zaś H. Radlińska przedstawia „Wychowanie dorosłych” (814—836). W poddziale „Wychowanie osobowości” ks. Z. Bielański zarysowuje „Wychowanie religijno-moralne” (838—867), B. Suchodolski „Wychowanie moralno-spo-

łeczne" (868—942), H. Pohoska „Wychowanie obywatelsko-państwowe" (943—960), K. Sośnicki „Wychowanie intelektualne" (961—984), K. Szarrasówna „Wychowanie estetyczne" (985—1008), a W. Sikorski „Wychowanie fizyczne" (1009—1023). Rozpoczętym na str. 1024 artykułem St. Łempickiego „Polskie tradycje w wychowaniu" kończy się wydany do dziś tekst t. I.

Jak widać — wszyscy niemal autorzy są profesorami polskich szkół akademickich.

Pomysł wydania Encyklopedii wychowania uważać możemy za bardzo szczęśliwy, a wykonanie pierwszego tomu naogół za dodatnie. Rozumie się, że rozprawy wielu i różnych autorów nie stoją na jednym poziomie. Zdarzają się też powtórzenia materiałów, opracowanych przez autora poprzedniego.

Do bardziej ciekawych rozpraw należy B. Nawroczyńskiego „Współczesne prądy pedagogiczne", gdzie autor ma możność ocenić krytycznie dzisiejszą myśl wychowawczą, która okazuje przewagę badań materialnych nad konstrukcją całościowego systemu wychowawczego, a nadto i wiele kontrastów, brak jedności, walkę ideałów i idei (str. 526). Autor uważa to z jednej strony za brak, a z drugiej za swoiste bogactwo epoki, której styl polega na kontrastach i bezstylowości.

Pośród różnych kierunków pedagogicznych Kościół katolicki reprezentuje katolicki ideał pedagogiczny, określony ostatnio przez Encyklikę pedagogiczną Piusa XI (z 29. XII. 1929). Zwaćby go można „pedagogiką religijno-moralną". Reszta kierunków wychowawczych, mniej lub więcej wzniosłych, wychowuje na wartościach doczesnych i do takich celów — bez liczenia się z wiecznymi przeznaczeniami człowieka i nadprzyrodzonymi stosunkami, które zaszyły między nim a Bogiem.

Także i nasza Encyklopedia, choć dała głos katolickiemu kapłanowi (ks. Z. Bielawski, Wychowanie religijno-moralne) — jako całość technicznie szlachetnym naturalizmem pedagogicznym. Autorowie nadali jej piętno wzniosłego spirytualizmu, ale poza tym nie okazują zrozumienia dla pierwiastka teologicznego, a tym bardziej nadprzyrody w życiu ludzkim. Religię, w ujęciu ponadwyznaniowym, potraktowano jako jeden z najszlachetniejszych wytworów geniuszu ludzkiego i jako bardzo wartościowy materiał wychowawczy.

Poza kilku objawami nieściśłego czy niepełnego rozumienia istoty chrześcijaństwa, Kościoła lub katolicyzmu — dydaktyczno-pedagogiczna i kulturalna rola Kościoła w przeszłości i teraźniejszości potraktowana została z uznaniem.

W Encyklopedii znajdzie też polski czytelnik na tle ogólnoswiatowym dorobek polski w dziedzinie pedagogiki i dydaktyki — zarówno w formie myśli i eksperymentu, jak i w formie pisarskiej.

Wszystkie niemal rozprawy wyszły poza tym w osobnych odciskach.

Ks. Z. Goliński.

Ks. Jan Fondaliński, *Koedukacja w świetle badań współczesnej psychologii*, (Kultura Katolicka t. XIV.) Nakładem Nacz. Instytutu Akcji Katolickiej. Poznań 1936, str. 304.

Wobec prądów, jakie od kilku lat wieją u nas a zmierzają do tego, by wprowadzić koedukację (raczej koinstrukcję) nie tylko do szkół powszechnych, lecz także do szkół średnich, trzeba przekonać szersze koła światlejszych wychowawców i rodziców o tym, że prądy te, rzekomo tak postępowe, w świetle nauki naprawdę nie są wcale tak mądre i uczone, jak to głoszą ich propagatorzy. Zwłaszcza psychologia ma tu dużo do powiedzenia, skoro stwierdza, że istnieją zasadnicze i wrodzone różnice psychiczne między młodzieżą obojga płci, że różne jest tempo rozwoju chłopca i dziewczyny, że koedukacja wcale nie sprzyja podniesieniu poziomu nauki szkolnej itd.

Pracy takiej podjął się ks. Fondaliński i zebrał z obszernej literatury moc informacji, nie tylko z psychologii, lecz także z historii, pedagogiki i statystyki. Z tego punktu widzenia trzeba książkę omawianą przyjąć z radością i przyznać jej znaczenie praktyczne.

Ze stanowiska natomiast naukowego, w tym wypadku psychologii, trzeba uznać ją za pracę prawie amatorską. Znać to zarówno w sposobie argumentowania jak i przytaczania oraz opracowania materiałów. Razi niewłaściwe a częste używanie terminów badacz i badanie psychologiczne. Autor przyznaje tę nazwę nawet pisarzom, którzy nigdy niczego nie badali w psychologii, jeno pisali o niektórych sprawach psychologicznych, choćby po literacku, a przy tym nie dość krytycznie posługuje się określeniami jak wybitny, tego autorytetu itp. Pracę swoją także nazywa badaniem, choć jest ona tylko zebraniem wyników badań innych. Cytatów bardzo dużo, nieraz po kilka stron, mowa też o sprawach extra viam, np. o nowych programach szkolnych, a w spisach podaje Autor i takie dzieła, które nie mają związku z zagadnieniem koedukacji.

W rozdziale IV pt. Poglądy katolickich uczonych na koedukację podaje ks. F. tylko wywody O. de la Vaissière T. J., a przy końcu cytuje ustępy dotyczące koedukacji z encykliki Piusa XI o wychowaniu. Encykliki papieskie są dla nas ważnym źródłem autorytatywnym, zawierają w sobie dużo mądrości pedagogicznej, lecz nie podają materiałów psychologicznych. Autor nie dał syntezy badań psychologicznych nad sprawą koedukacji, zestawił jeno ich wyniki obok siebie, nie zawsze metodycznie i nie według jednolitego punktu widzenia, a dzięki temu powtarza często i bez potrzeby te same rzeczy. Unikając tych powtórek oraz zbyt obszernych opisów można było bez szkody dla zagadnienia skrócić książkę choćby o połowę. Styl zwłaszcza w konkluzjach zbyt patetyczny jak na rzecz naukową.

Ponieważ praca ta obejmuje nie tylko sprawy psychologiczne związane z koedukacją, lecz także rozważania pedagogiczne, in-

formacje historyczne i statystyczne, a również dużo polemiki publicystycznej, należałoby ją zatytułować inaczej, np. „Koedukacja wobec nauki i życia”. Wówczas odpadłyby różne zarzuty, na które książka w obecnej formie zasługuje.

Bibliografia bardzo bogata, zwłaszcza polska, trudno byłoby coś dodać, raczej możnaby niejedno ująć.

Książkę tę rozebrałem dla tego tak krytycznie, gdyż mam na oku także stronę przeciwną. Zdaje się, że spokojne, bez temperamentu publicystycznego, opracowanie tych samych materiałów miałoby większą siłę przekonywującą. Rzeczom tak płytkim i naiwnym, jak elaboraty niektórych propagatorów koedukacji zwłaszcza w Polsce, należałoby przeciwstawić prace gruntowne i solidne, tym więcej, że mamy za sobą nie tylko wiekowe doświadczenie pedagogiczne, lecz także poważną naukę. Jeżeli zaś chodziło o szerszy ogół katolicki można było obyć się bez balastu i pozorów naukowych, a z książki widać, że autor umiałby w szlachetnej popularyzacji z zapałem i mocnymi argumentami bronić stanowiska Kościoła.

Ks. K. Werbel.

Księga Pamiątkowa 50-ciolecia Konwikt i Gimnazjum OO. Jezuitów w Chyrowie. 1886—1936. Kraków 1936. Nakładem Konwikt w Chyrowie, druk Anczyca, str. 190 in 4-to.

Z okazji jubileuszu 50-ciolecia Zakładu chyrowskiego, wydano księgę w której znajdujemy historię Zakładu, opis urządzeń i zbiorów szkolnych, nieco statystyki, a także i głosy b. wychowanków, jako wspomnienia szkolnych czasów. Prócz tego dołączono bogaty album rotograviurowy, ilustrujący dzieje i życie konwikt.

Na szczególną uwagę zasługuje może artykuł o zasadach pedagogicznych, jakimi się kieruje ten Zakład wychowawczy, jako wybitnie katolicka szkoła, prowadzona przez księży.

Z opisów tych widać, że Zakład jest zaopatrzony w środki naukowe tak obficie, jak żaden chyba w Polsce. Dalej, że pedagogika jezuicka już dawno wprowadziła te postulaty: „szkoły pracy”, jakie uważa się za zdobycze ostatniej doby. I tak czytamy w „Księdze pam.”, że boiska sportowe, osobne dla każdej klasy, istnieją w Chyrowie już od 50 lat. Mundurki szkolne i kapele szkolne, zaprowadzono w szkołach b. Galicji dopiero wówczas, gdy zobaczono jak to wygląda w Chyrowie. Uczniowie tu-tejsi pracowali poza klasą, czyniąc pomiary i plany Zakładu — wydane swego czasu drukiem — sporządzając pomoce naukowe, pracując w garderobie teatralnej, jeszcze przed wojną. W Chyrowie powstała bodaj pierwsza pracownia dentystyczna szkolna, lat temu prawie 50; pierwsza biblioteka uczniowska, pierwsze pisemko uczniowskie, drukowane stale od lat 40 kilku. Tutaj też powstał pierwszy związek b. absolwentów Zakładu... Są to rzeczy, o których się wogóle u nas nie wie.

Ciekawą jest bibliografia b. wychowanków Zakładu, w której figurują nazwiska takich pisarzy jak Aleksander i Józef Birkenmajerowie, Bełza Witold, Bernacki Ludwik, Orłowicz Mieczysław i in. albo inżynierowie drukujący fachowe dzieła, jak vice-premier Kwiatkowski, inż. Ignaszewski Janusz, Rosiński Wład. prof. Rostafiński Jan i in.

Spis absolwentów dowodzi, że b. chyrowiaczy pracują na wszystkich polach, że nie brak ich było także w szeregach tych co za naszą Ojczyznę krew przelewali, nie brak ich i w szeregach tych, co obecnie Polskę budują. — W spisie rektorów Zakładu zauważyliśmy brak O. Maćkowskiego, który przecież był wybitnym organizatorem; wszak on właśnie założył pierwsze w szkołach polskich atelier dentystyczne w Chyrowie, a także zakład fotograficzny, poczynił też pierwsze przygotowania do zaprowadzenia elektrycznego oświetlenia w konwikcie. — Za jeszcze ważniejszy brak uważam, iż nie dość podkreślono pracę i ducha niepodległościowego, który zawsze panował w chyrowskim zakładzie. Umieszczono wprawdzie w albumie ryciny kilku chyrowiaków legionistów, ale nie ma np. fotografii znanego i zasłużonego kapelana legionowego O. K. Konopki; nie ma też żadnej wzmianki o tym chwałebnie świadczącym o patriotycznym duchu Chyrowa procesie, który wytoczyły wojskowe władze austriackie jezuitom o polski szowinizm, szerzony wśród młodzieży. Wynikiem tego oskarżenia było pozwanie przed *Feldgericht* aż 10 jezuitów, w tej liczbie 6 z grona profesorów i b. wychowawców zakładu chyrowskiego.

Mimo te i inne drobne usterki, mimo niedociągnięć w korekcie i nie dość precyzyjnego wykonania niektórych ilustracji, *Księga pamiątkowa* stanowi naprawdę chlubny dokument Chyrowskiego Zakładu.

Ks. E. Kosibowicz T. J.

Stevan Sremac: *Pop Cyryl i pop Spirydion*, (Instytut wyd. „Biblioteka Polska“) — Ivo Vojnović: *Stare grzechy*, (Instytut wydawniczy „Biblioteka Polska“).

Jakby równolegle z ruchem turystycznym do Jugosławii rozwija się u nas i zainteresowanie do literatury tego kraju. Biblioteka Jugosłowiańska jest wydawnictwem bardzo aktywnym. Po serii tomów, przez które zapoznaliśmy się z najcelniejszymi utworami jugosłowiańskiej literatury dawnych epok (doskonale omówiła to wydawnictwo Maria Dąbrowska w 34 nr. *Pionu*) ukazały się ostatnio w tej kolekcji dwie powieści współczesne. Te oczywiście będą interesować nie tylko badaczy literatury ale szerszy ogół i dlatego warto je omówić pod kątem, jeśli się tak wyrazić można, użyteczności czytelniczej.

Pierwszą z tych powieści jest Stevana Sremaca: *Pop Cyryl i pop Spirydion*. Jest to gruby tom, opowiadający nam w formie

humorystycznej dzieje dwóch rodzin prawosławnych serbskich popów i ich rodzin. Oczywiście dla nas, nie znających stosunków lokalnych, ostrze dowcipu jest trochę przytępione. Satyra nie może nas bawić ani swoją trafnością, ani aktualnością. Zresztą zdaje się, że i Serbów nie zbytnio bawi ta satyra. Tak przynajmniej możemy wnioskować z trochę przydługiej przedmowy A. G. Matosa. Dowiadujemy się z niej, że Sremac nie jest uważany za pisarza pierwszorzędnego, że nie ma ani dobrego stylu, ani dobrej budowy, że nawet jak na satyryka nie dość oryginalnie myśli i wogóle nie odznacza się wybitniejszą inteligencją. Jest uważany raczej za humorystę niż za satyryka a ceniony jest przede wszystkim za rzetelną poezję rozsianą w jego utworach, a także za szlachetny racjonalizm i tradycjonalizm swej ideologii. Sądząc z tej jednej powieści ocena taka jest trafna. Ale mimo tak pozornie ujemnego sądu o Sremacu nieźle się stało, że *Pop Cyryl i pop Spitydion* zostali na polskie przetłumaczeni. Jest to groteska może prymitywna i naiwna, ale dobrze robiona, jest w tej książce jakiś wdzięk staroświecczyny (dawniejszej niżby być powinien, bo autor umarł w roku 1906) jest coś z czarującej rozwlekłości Dickensa, jest ten miły poufały stosunek czytelnika do autora, zwracającego się doń grzecznie per „a teraz szanowny czytelniku”... Jest kojąca pewność zwycięstwa cnoty nad występkiem, charakterów jasnych nad czarnymi, jest wygodna przejrzystość w najbardziej splełanych intrygach, jest ta prymitywność dowcipu, która mimo wszystko najpewniej nas rozśmiesza, jest przede wszystkim ton prostej wzruszającej uczuciowości, ton nie-sadzającej się na oryginalność poezji. Z doskonałą symetrią rozplanowane i sobie przeciwstawiane postacie dwóch popów, dwóch popadii, dwóch młodych panienek, dwóch konkurentów, dwóch służących, nie są może zbyt oryginalne, ale są żywe i wyraźne. To też jeśli ktoś nie szuka w książce wzruszeń wstrząsających i sensacji, jeśli kto lubi te książki kołyszące swą pogodną bez troską, książki łagodnie nudne ten przeczyta *Popa Cyryla i popa Spitydiona* z przyjemnością. Przyjemność jest tym większa, że środowisko jest całkiem nowe, prawie egzotyczne i że jego *couleur locale* chwytały doskonale.

Znacznie wyższą klasą pod każdym względem jest książka Ivo Vojnovića: *Stare grzechy*. Ivo Vojnović jest już także pisarzem nieżyjącym (umarł w roku 1929). Jesteśmy do niego nastroszeni sympatycznie już po przeczytaniu interesującej przedmowy dr. Józefa Gołąba. Ivo Vojnović jest gorącym patriotą chorwackim, stale prześladowanym przez Austriaków za swoją narodową działalność, jest przy tym patriotą dubrovnickim, rozmiłowanym w piękności tego czarownego zakątka ziemi; należąc do dubrovnickiej arystokracji pielęgnuje ten specyficzny dumny separatyzm rodzin należących do starej dubrovnickiej republiki.

Vojnović jest też na wskroś artystą i poetą, jest postacią tragiczną, żyje jak samotnik, oddany prawie bałwochwalczej miłości do matki, którą gloryfikuje w każdym prawie utworze, a na wiele lat przed śmiercią walczy ze ślepotą, która ostatecznie ogarnia niestarego jeszcze pisarza swym złowrogim mrokiem. Głównie jest Vojnović dramaturgiem, kilka jego sztuk było granych swego czasu w Polsce. Teraz Biblioteka Jugosłowiańska przedstawia nam jedną z jego powieści, właściwie długą nowelę, noszącą pierwotnie tytuł „Ksanta.” Ta „Ksanta” przechrzczona na *Stare grzechy* to także utwór o wyraźnym posmaku minionych epok, utwór na wskroś romantyczny. I tajemnicza dziewczyna cudnej urody i czarny typ starego korsarza i morskigo bandyty i romantyczny, piękny a smutny bohater — to wszystko postacie nie z powieści dzisiejszej; równie nie współczesne jest tajemnicze zawiąły intrygi, polegającej na niemożliwości zidentyfikowania osób; niemożność ta oczywiście nie istnieje dla czytelnika, bo tu także, jak w prawie wszystkich staroświeckich powieściach, czytelnik wie od samego początku *who is who*, mimo to z uległością dziecka emocjonuje się niepewnościami i wątpliwościami powieściowych postaci. Ale w książce Vojnovića wszystko to jest urokiem. Romantyzm tej powieści jest klasyczny i w najlepszym gatunku, jest jakby usprawiedliwiony szczerą wielką poezją, w której skąpany jest cały utwór. Dubrovnik i jego najbliższe okolice (akcja rozgrywa się na półwyspie Lapad) odmalowany jest z przedziwną wyrazistością, autor umie wydobyć cały wdzięk i urok tego jedyne go w swoim rodzaju zakątka ziemi. Sceny takie, jak błądzenie bohatera wśród burzliwej nocy, jak nabożeństwo w kościółku św. Michała pozostają w pamięci na długo, z całym swoim romantycznym wdziękiem. Vojnović w przeciwieństwie do Sremaca jest wysoko kotowany przez Kroatcką inteligencję. Kroaci twierdzą, że czaru tego autora niesposób uchwycić w przekładzie, że jego wielkość jako pisarza tkwi w języku, w stylu i że to piękno jest nieprzetłumaczalne, podobnie jak nieprzetłumaczalna jest poezja zawarta w dziele Żeromskiego. Nie znając języka trudno o tym sądzić, ale nawet jeśli tak jest faktycznie, to tej poezji w przekładzie zostało jeszcze tak wiele, że starczy w zupełności, aby ze *Starych grzechów* uczynić lekturę miłą i pełną wdzięku. Zwłaszcza kto zna Dubrovnik, kto przechadzał się po cieniistych zboczach Lapadu, ten książkę Vojnovića czytać będzie z najżywszą przyjemnością.

Zofia Starowieyska-Morstinowa

Henryk Życzński: Mickiewicz. I Młodość. Lublin 1936. Tow. B. Kat. Uniw. Lub. — 4 zł.

Kult Mickiewicza pogłębia się współcześnie nie tylko dlatego, że uświadamiamy sobie coraz lepiej jego wartości ideowe

i formalne, ale i że odpowiada on więcej epoce zdążającej ku nowemu realizmowi. Czuje się w poecie potężny typ religijny, widzi się jego związki z oświeceniem i wogóle natchnieniem rdzennych polskich pokoleń, podziwia jego niejednokrotny zmysł rzeczywistości i łączność z ogółem, który znamionuje pewna trzeźwość, umiar, entuzjazm dla rzeczy wielkich, zdolność do heroizmu, serdeczność i otwartość, poszukiwanie treści a nie tylko formy.

I dlatego wydaje się, że Słowacki poczyną zachodzić nieco w cień, gdy Mickiewicz, mimo prądu rewizjonistycznego, nie traci na nimbie, zyskuje na żywości, aktualności, głębi. Zaczyna znajdować się w nim pełnię człowieczeństwa z jego wzlotami i upadkami, w jego dynamizmie i wiernym sensie, w jego męskości i zmyśle społecznym, w jego dumie i pokorze, w jego prostocie i braku patosu, w dążeniu do ukształtowania siebie a zarazem zjednoczenia ze zbiorowością. Dlatego witamy każdą próbę biografii tej prawdziwie wielkiej osobowości z ogromnym zaciekawieniem, skoro czas jest ogarnąć całą żywiołowość tej natury, cały demonizm tej organizacji, całą zagadkowość tego rozwoju twórcy o charakterze inspiracyjnym, ogólnie ludzkim, skłonny do czynu i bogatym w daleko idące poczynania.

Uczony lubelski ogranicza element biograficzny do minimum i szuka własnego typu monografii. Zwraca uwagę na studia filozoficzne poety, na jego postawę wobec życia i pogląd na świat. Wyszukuje skwapliwie wszystko, co może ten pogląd wyjaśnić, co może tajemnicę osobowości odkryć. Prostuje wiele omyłek i niedociągnięć biografów w stosunku do okresu dzieciństwa i studiów wileńskich, podnosi ważność przejścia przez dobrą szkołę klasyczną, opisuje osobowość poety w epoce preromantyzmu, roztrząsa interesująco twórczość zawsze w związku z przeżyciami religijnymi i filozoficznymi, historiozofią i estetyką. Wyraziście występuje stosunek Herdera, powstanie *dziadów* jako dzieło o charakterze fragmentarycznym, nastrojów pesymizmu w latach prześladowań, kiedy i twórczość bazylińskiego więźnia słabnie i podupada. Czekamy z zaciekawieniem dalszego ciągu monografii.

Nie chce ona być przecież sumą wiedzy o poecie. Wyznacza sobie zadanie więcej skromne i z pewnością osiągnie cel. Erudycja, wnikliwość, talent autora wróżą jak najlepiej o całości przedsięwzięcia. A istotnie potrzeba takich monografii jest wielka. Posuwa się naprzód bogate w odkrycie wydanie sejmowe dzieł. Obok studiów specjalnych mickiewiczologia wymaga dziś i obejmowania całości i przygotowania gruntu pod syntezę na miarę Gundolfa. Domaga się tego nauka polska, która na polu syntety, dała się już dawno prześcignąć niemieckiej.

T. Grabowski

Bronisław Gładysz: *Cassiodore et l'organisation de l'école médiévale*. Lwów, 1936.

Zapominano bardzo długo, że między dziejami literatury antycznej i nowożytnej rozciąga się sfera, która nie jest ani antyczną ani nowożytną. W niej tkwiły zasady przyszłości, w niej duch chrześcijańskiego średniowiecza tworzył rzeczy, które wydały się późniejszymi twórcami ludzi. Tak było z eposami średniowiecza, tak jest z całym wyrazem dorobku wyrosłego na gruncie kultury chrześcijańskiej o wysokim a mało jeszcze znanym poziomie. Rozpoczęła się reakcja na korzyść badań nad łacińską, twórczością średniowiecza, której koroną jest dziś rozległa a nieukończona jeszcze synteza Manitiusa.

Słusznie zatem poświęca się tej gałęzi mediewalista poznański ks. Gładysz. Jego odkrycia idą szczególnie w kierunku średniowiecznej hymnografii i obejmują zwolna inne obszary. Ostatnio dotknęły działalności Cassiodora, co zachęcał mnichów benedyktyńskich nie tylko do uprawy teologii ale i nauk świeckich. Rozumiał bowiem, że pomogą one do zrozumienia nauk biblijnych, że ułatwią poprawę tekstów świętych, że pozwolą rozwinąć komentarze również na tle spuścizny patrologicznej. Na takich, zamierzeniach oparł i swą szkołę, która miała na celu pogłębienie zrozumienia wiary, do podciągnięcia kultury do poziomu pierwszych wieków chrześcijańskich, wniknięcie w skarby myśli antycznej. Nie zapomniał Cassiodorus i o potrzebach czysto ludzkich, jako człowiek uniwersalny i pedagog na skalę światową. Sylwetka wielkiego organizatora wypada pod piórem autora niezwykle rewelacyjnie i zajmująco.

T. Grabowski

[Zapyski Czina św. Wasylia Wełykoho (Analecta Ordinis S. Basilii Magni). Tomu VI, zesz. 1—2. Wydawca i redaktor O. Józafat Skruień. Lwów 1935, str. 480.

[O. M. Karowec C. S. W. W. Wełyka reforma Czina św. Wasylia W. 1882 r. Cz. III. Wydawnictwo OO. Bazylianów w Żółtkwi, 1936, str. 516.

Zakon OO. Bazylianów, pracujący zbożnie na polu ludowego piśmiennictwa religijnego (naprz. miesięcznik *Misjonar*), zwraca uwagę także na poważne studia z zakresu własnej historii, tudzież historii cerkwi ruskiej i narodu ruskiego. Owocem tych zainteresowań jest publikacja o charakterze naukowym, wychodząca od szeregu lat p. t. „Zapyski” itd. Do r. 1933 ukazało się ich pięć pokaźnych tomów, potem wydawnictwo uległo przerwie, obecnie wyszedł z pod prasy nowy tom, jako 1 i 2 zeszyt tomu VI-go. Wypełnia on lukę lat 1933—1935. Następne tomy są w przygotowaniu.

„Zapyski” przynoszą zwykle szereg studiów naukowych autorów zakonnych i postronnych, potem różne archiwalia, drob-

niejsze „miscellanea“, wreszcie bogaty dział recenzyjny. Tom, który się obecnie ukazał, wyróżnia się doborem treści; samych rozpraw historycznych mieści pięć, mianowicie S. Fedorowa o pewnej stepowej eparchii w XIII i XIV w., D. Olanczyna o stosunkach handlowych Ukrainy z krajami bałtyckimi w XVII i XVIII w., I. Krypiakiewicz „Z historii miasta Żółtki“, N. Hołubca z przeszłości ukraińskiego budownictwa drewnianego, wreszcie N. Andrusiaka o walce o biskupią katedrę we Lwowie pod koniec XVII st. Materiały i miscellanea wypełniają większą część tomu, szczególny interes budzą materiały dotyczące Mazepy i Orlika. Dział recenzyjny przynosi omówienia, sumienne i fachowe, przeszło 40 książek ukraińskich, polskich i zagranicznych autorów treści przeważnie historycznej, ale i innych, jak naprz. wydawnictw liturgicznych. Niepodobna w notatce niniejszej rozpatrywać poszczególnych tych prac, można tylko, po zaznajomieniu się z niektórymi, zaświadczyć, że „Zapyski“ są cennym wkładem ukraińskiej nauki w Polsce do ogólnej skarbnicy nauki.

Zaznaczona na drugim miejscu książka O. Karowca jest już trzecim tomem materiałów, dotyczących historii „wielkiej reformy“ Zakonu OO. Bazylianów, dokonanej począwszy od r. 1882 przez OO. Jezuitów. O pierwszych dwóch tomach była w naszym piśmie wzmianka w swoim czasie. Obecny tom mieści przeważnie polemikę ze strony prasy rusofilskiej i ukraińskiej i rozmaite protesty i memoriały przeciwko reformie i to za niecały jeden rok 1882. Z tego widać, jak mało zrozumienia znalazła wśród ówczesnego społeczeństwa ruskiego w Galicji reforma, która w skutkach okazała się tak korzystną i doniosłą dla cerkwi unickiej. Wydawca zapowiada jeszcze dwa tomy tych materiałów.

J. Urban.

P. Siwek S. I.: *La structure logique de l'induction*. Roma, Pontificia Università Gregoriana. — Odbitka z „Gregorianum“ XVII. (1936), str. 224—253.

Bardzo ładne uzasadnienie indukcji podaje nam A. w broszurce niniejszej. Na jakiej podstawie człowiek może wyprowadzać, stawiać i ogłaszać sady i wnioski powszechne o rzeczach doświadczalnych i doświadczonych? — oto pytanie, na które A. odpowiada. I odpowiedź przekonywuje. Bynajmniej nie ślepią „wiarą“ wiedzeni czynimy tak. Ani też instynktem konieczności przymuszeni. Racja tego zjawiska i faktu tkwi głębiej. W poszczególnych zjawiskach przez nas zaobserwowanych tkwi dynamizm pewien, pewna siła i moc, która jest ich jakoby pulsem, ich przyczyną sprawczą, je wywołującą, utrzymującą je, przenikającą i poprzez nie w nieograniczoną ilość tożsamyh zjawisk się przelewającą. Siła i moc, którą powszechnie zwiemy „prawem fizycznym“, „prawem natury“.

Jak się mają do siebie natura i prawo, jakie jest znaczenie hipotez w tej dziedzinie, jaka jest rola zasad przyczynowości w całym procesie indukcyjnym — oto treść dalszych stroniczek tej niewielkiej, ale treściwej broszurki. „Indukcja — kończy Autor — jest drogą normalną, którą duch nasz od faktu wznosi się ku prawu”. Wszystkim szukającym wyjaśnienia pojęć nowoczesnym oświeceniem w tej dziedzinie polecamy tę pracę.

Ks. Józef Warszawski T. J.

A. Ehl: *Direction spirituelle des Religieuses*. Adapté de l'allemand par J. Creusen S. J. „Museum Lessianum”, Bruxelles 1936, str. 548.

Książka francuska, będąca lekką przeróbką niemieckiej, służyć ma za podręcznik dla tych kapłanów, którym jako spowiednikom powierzone zostało duchowe kierownictwo zakonnic. Stanowi więc ważny dział teologii pastoralnej. Niemiecki autor miał na celu głównie księży parafialnych, opiekujących się duchowo różnymi kongregacjami żeńskimi, pracującymi po parafiach jako nauczycielki, ochroniarki, pielęgniarki itd. Belgijski tłumacz przystosował książkę więcej do belgijskich i francuskich stosunków. Ale i w Polsce, gdzie tego rodzaju kongregacje czynne szybko się mnożą i rozrastają, książka Ehla-Creusena może oddać kapłanom znakomite usługi, dopóki nie pojawi się podobna, a do naszych stosunków adaptowana polska książka. Z książki tej kapłan świecki nabierze znajomości życia zakonnego, rozumienia ślubów zakonnych, praktyk pobożnych. Znajdzie wskazówki jak radzić sobie z różnymi rodzajami dusz zakonnych jak oziębłych, skrupulatek, skłonnych do przywidzeń, chorych, chwiejących się w powołaniu itd. Dodamy, że za rękojmię wartości książki służyć może nazwisko belgijskiego jej tłumacza, którego kompetencja w tej dziedzinie jest uznana, jest on bowiem redaktorem specjalnego czasopisma pt. *Revue des Communautés religieuses*.

J. U.

Tomasz Janowicz: *Czesi*. Studium historyczno-polityczne. Kraków, 1936. (Bez podania nakładcy). Str. 158.

Cały spłot warunków natury geopolitycznej składa się na to, że w stosunkach polsko - czeskich istnieje szereg punktów zapalnych. Takim punktem zapalnym jest Śląsk Cieszyński, gdzie dla utwierdzenia się w posiadaniu bogactw kopalnianych, potrzebnych czeskiemu przemysłowi, wynaradawia się rdzennie polską ludność. Takim źródłem konfliktów jest na terenie polityki międzynarodowej stosunek do ekspansywnych dążeń niemieckich, które Czesi pragnęliby skierować raczej na północny wschód, celem odwrócenia ich od swoich granic. Takim wreszcie punktem zapalnym jest skrzyżowanie dróg polityki polskiej i czeskiej na po-

łudniu, gdzie Czesi w swym ciążeniu ku Rosji odcinają nas do Węgier, z którymi jesteśmy częstokroć zmuszeni szukać dróg komunikacji aż dookoła Europy. Te wszystkie momenty uświadamia polskiemu społeczeństwu broszura T. Janowicza w sposób jaskrawy, zaostrażając je tendencyjnie dobranymi przykładami z historii dla wykazania, że „dzieli nas obecnie wszystko, a nie łączy nic”. Uznając z punktu widzenia katolickiego i obywatelskiego obowiązek uświadamiania społeczeństwa o liniach wytycznych naszej polityki zagranicznej, należy jednak potępić tendencyjne pogłębiania przepaści między pobratymczymi narodami, bo jednak i z Czechami łączy nas dużo, chociażby to przyjęcie z ich rąk chrześcijaństwa, którego tysiąclecie będziemy obchodzili w nie-dalekiej przyszłości.

W. Z.

Mann Henryk: *Młodość króla Henryka IV*. I. str. 305 II. str. 320. Warszawa 1936, Wydawn. „Rój”.

Tytuł bardzo zachęcający, zapowiada jakąś popularną może ale poważniejszą w tonie książkę historyczną, o tak ciekawych czasach wojen hugenockich we Francji. Noc św. Bartłomieja, Katarzyna de Medicis i wojna 3 Henryków, to mało znane u nas dzieje. Zdawałoby się, że „Rój”, wkraczając obecnie na teren powieści historycznej, spopularyzuje w ten sposób wiedzę. Niestety, ten sposób pisanie książek, należałoby nazwać nie powieścią historyczną, jak raczej pornografią uprawianą pod płaszczykiem historii, i to w dodatku w tak nudny sposób, że trudno do końca doczytać. Powieść, zamiast ułatwiać zrozumienie życia codziennego, utrudnia je, fałszywie przedstawia np. hugenotów jakby baranków niewinnych, co ze spokojem i ufnością w cuda Boże czekają aż ich ktoś wyrznie, niezdolnych wprost do wystąpienia energicznego. Rzecz pisana bez zrozumienia epoki robi wrażenie raczej jakiejś celowej, antyroyalistycznej publikacji, niż powieści historycznej, któraby mogła bawić, uczyć.

K. K.

Ks. Dr. Ferdynand Machay: *Finansowe wskazówki Ewangelii*. Lwów, 1936. Wydawnictwo „Gazety Kościelnej”. Str. 24.

Kilkanaście kartek, szara okładka — nic zachęcającego. Znać może do reszty tytuł, bo ostatecznie przerabianie Ewangelii na podręcznik finansowy nie nadaje się do wywołania zachwyty. „Jakaś gonitwa za niezwykłością” narzuca się pierwsza myśl. Po pierwszym jednak przeczytaniu nikłej broszurki sąd ulega zmianie. Czytelnika opanowuje zamyślenie i skłania do ponownego jej otwarcia. Wskazówkami, o których mowa, są słowa *Nie możecie służyć Bogu i mamonie* (Mt. VI, 25) i *Skoro mamy żywność i czym się przyodzierać na tym poprzestawajmy* (I Tym, VI, 8) i *Pożyczajcie,*

niczego się stąd nie spodziewając (Łk. VI, 35). Zasady znane w świecie chrześcijańskim od prawie 20-tu wieków, a nie urzeczywistnione w odpowiednim ustroju mimo heroicznych wysiłków, jednostek czy drobnych grup. Do zastanowienia się nad tym wprowadza doskonale broszura Ks. Dr. Machay'a. Nie żeby zawierała rzeczy niezwykle. Przeciwnie, lecz te, które zawiera, są poważne i są szczerze powiedziane. Najwięcej uzupełnień, a nawet zastrzeżeń wymaga część 3-a o kredycie, procentach itd.

J. P.

W. Majdański: *Ekonomia ziemi*. Warszawa, 1936. Str. 20.

Obecna praca W. Majdańskiego wskazuje na konieczność uwłaszczenia rodzin. Uwłaszczenie to słusznie uważa A. za konieczny warunek moralnego rozwoju osobowości ludzkich. Pierwsze stronicie obejmujące rozważania o związku ścisłym, jaki istnieje między niepodległością materialną a moralnością są pełne głębokich stwierdzeń. Jednostronnym jednak wydaje się ujęcie uwłaszczania. Autor za wystarczające uznaje jedynie przydział wiejskiej zagrody. Twierdzenie to łącznie z paru innymi doprowadziło do nieprawdopodobnej utopii rozdziału: „Zagroda laboratorium” (str. 10—11) i szeregu innych sądów najzupełniej nierealnych. A szkoda, że zbyt dużo w tej pracy utopii, gdyż bez niej (mojem zdaniem nie związanej wewnątrznie z bogatą treścią pozytywną) mielibyśmy w ręce udany wynik myśli i śmiałości i twórczej.

J. P.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

- Ks. Michał Rękas: *Rekolekcje dla chorych*. Lwów 1936, Nakł. Apostolstwa Chorych. Cz. I str. 135; cz. II str. 186.
- M. H. Lelong: *Dookoła zła*. Tłum. z franc. Maria Sosnkowska. Lwów 1936, „Bibl. Religijna”. Str. 129.
- Dr Rajmund Buławski: *W sprawie 8 milionów 800 tysięcy „zbędnej” ludności rolniczej w Polsce*. Katowice. Odb. z „Polski Zachodniej” 1936 nr. 267. Str. 20.
- Ks. M. Nassalski: *Wspomnienia 1893—1914*. Częstochowa 1935. Str. 44.
- Louis Lajoie C. J. M.: *Au seuil de l'éternité*. Paris 1936. Pierre Téqui. Str. X+86.
- Chanoine Marchand: *Une troublante figure Calvin*. Paris 1936. Pierre Téqui. Str. 62.
- Janusz Woliński: *Polska i Kościół Prawosławny*. Zarys historyczny. Lwów 1936. Ossolineum. Str. 150.
- Quintus Horatius Flaccus: *Pieśni Ksiąg Czworó*. Tłum. Tadeusz Feliks Hahn. Lublin 1936. Druk. „Narodowa”. Str. 144.
- Józef Branecký: *Frater Johannes*. Powieść historyczna. Tłum. z słowackiego Jan Magiera. Kraków 1936. Str. 258.
- Roman Dyboski: *Charles Dickens*. Życie i twórczość. Lwów-Warszawa 1936. Książnica-Atlas. Str. 107.

- Stefan Glixelli: W trzecią rocznicę zwiniecia 52 katedr w szkołach akademickich. Lwów 1936. Skład gł.: Dom Książki Polskiej w Warszawie. Str. 16.
- Dr Eugeniusz Piasecki: Wychowanie fizyczne. Poznań. Bibl. Akcji Katol. Str. 16.
- Janusz Libicki: Granice opodatkowania. Kraków 1936. Nakł. Tow. Ekon. w Krakowie, skład gł.: Dom Książki Polskiej w Warszawie. Str. 49.
- Edward Cros: Epilog wyzwolenia. Warszawa 1936. Gebethner i Wolff. Str. 30.
- Tenże: Dejanira. Tragedia. Warszawa 1936. Gebethner i Wolff. Str. 62.
- Carlo Fedele Savio: Come fu Crocefisso il Redentore. Cuneo 1936. Str. 20.
- Ks. Władysław Kwiatkowski, prof.: Sprawa pruskiej reorganizacji seminariów duchownych w Warszawie (1798—1802). Warszawa 1936. Str. XIX+178.
- Elpis. Czasopismo teologiczne. Nakł. św. Synodu Kościoła Prawosławnego w Polsce. Rocznik IX (1935)-zesz. 1—2. Str. 364+XXXIV.
- Wiestnik Bractwa prawosławnych bogosłowodów w Polsce. Rocznik III (1936), ks. pierwsza. Warszawa. Druk. Synodałna 1936. Str. 84.
- Maria Maykowska: Klasyczna teoria wymowy. Warszawa 1936. Wyd. Kasy im. Mianowskiego. Str. XII+87.
- Stefan Łubieński: Na morza i ziemi rubieży. Sceniczna ballada w 4 aktach. Skład: Gebethner i Wolff. Str. 108.
- Ks. Dr Wiktor Niemczyk: Zagadnienia cierpienia w religii i filozofii, tom 1, część 1. Warszawa 1936. Nakł. Związku ewang. polaków w Krakowie. Str. 185.
- Estreicher: Bibliografia Polska, t. XXXI. Lit.: T. Kraków 1936. Nakł. Akademii Umiejętności. Str. VI+508+IV.
- Polski Słownik Biograficzny, t. II/5, zes. 10 (Brand Hans — Brownsford Maria) Kraków 1936. Nakł. Polskiej Akademii Umiejętności. Str. VI+385—479.
- Baltic Countries, vol. II, no. 2 [4] september 1936. Baltic Institute. Str. IV+149—328.
- Rocznik Krakowski, t. XXVII. Wyd. Tow. Miłośników historii i zabytków Krakowa. Kraków 1936. Str. 189.
- Melchior Wańkowicz: Na tropach Smętka. Wyd. Bibl. Polskiej. Warszawa 1936. Str. 371.
- Dr Anna-Danuta Drużbacka: Modlitwa której nas nauczył Syn Boży. Nakł. Drukarni i Księgarni Katolickiej. Katowice 1936. Str. 64.
- Ks. Mieczysław Buławski: Spowiednik poucza. Skład gł. u Autora Kosztowo p. Wyrzysk. Cena 3'25 zł. Str. 233.
- Encyklopedia Nauk Politycznych. Zagadnienia społeczne, polityczne i gospodarcze. Zeszyt 4 — od Bolesław Chrobry do Chałupnictwo. Zeszyt 5 — od Chałupnictwo do Prawo czekowe. Str. 485—640. Wyd. Instytutu Społecznego i Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska”. Warszawa, Nowy-Swiat 23/25.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Postępy komunizmu we Francji. — Akcja i hasła czerwonych chrześcijan. — Potępienie organu *Terre Nouvelle*.

Nie ulega dziś żadnej wątpliwości, iż współczesna Francja radykalizuje się i czerwienieje w przyspieszonym tempie. Podziemne knowania komunizmu, które już od lat kilku sygnalizowano i demaskowano na łamach prawicowej prasy, stały się obecnie jawną, zorganizowaną a przez socjalistyczny rząd Bluma tolerowaną robotą. Zwycięstwo frontu ludowego w wyborach, utworzenie skrajnie lewicowego rządu, zawarcie sojuszu z sowiecką Rosją, oto etapy, które wyzwoliły francuski komunizm i uczyniły z niego groźny problem najbliższej przyszłości. Rewolucja hiszpańska rozpalila umysły, tworząc wyborny atut propagandowy dla czerwonych, którzy widmem faszyzmu i czarnej reakcji straszają socjal-demokratów i radykałów a wśród najszerszych warstw proletariackich rozpalają żągie buntu i krwawych, okupacyjnych strajków na rzecz sowiecko-hiszpańskiej komuny. Wzrost wpływów partii pułk. de la Roque rozgrzesza w oczach francuskiej lewicy alarmy i intrygi komunistów. Jeśli nad to stanie się dokonany fakt najświeższa zapowiedź Moskwy, dotycząca przeniesienia siedziby Kominternu do Barcelony, względnie utworzenia w stolicy Katalonii drugiej oficjalnej ekspozytury Sowietów, to można przypuszczać, iż wpływ komunistów we Francji niezmiennie się wzmoże, a przez niewątpliwą swą ekspansję zagrozi nowym widmem przewrotu dotychczasowy ustrój i układ sił w zachodniej Europie.

Jeśli chodzi o reakcję francuskiego społeczeństwa na zjawisko rodzimego komunizmu, to jak dotychczas jest ona zbyt słaba. Armia, względnie kadry wyższych oficerów są

oburzone, ale na oburzeniu się kończy; wódz partii narodowej, choć oblicza szeregi swych zwolenników na 2 miliony i nieustannie urządza mityngi, jest nieporównanie słabszy niż wodzowie komunizmu z wielomilionowymi rzeszami proletariatu; najpotężniejsza partia polityczna radykałów jest wewnętrznie rozdarta, bo i w jej łonie nie brak sympatyków skrajnej lewicy, dowodem: nikłe wyniki ostatnich obrad radykalnego obozu; wreszcie socjalistyczny rząd tow. Bluma boi się zerwać z komunistami, bo jego istnienie od ich poparcia oraz cichego przymierza zależy. Pozostaje zatem czynnik mniej uchwytny i niezorganizowany ale w swoich odruchach oraz zbiorowej akcji potężny: społeczeństwo.

A przecież wiadomo, iż społeczeństwo francuskie jest w swej olbrzymiej większości konserwatywne. Wpływowy zastęp kapitalistów, wielka arystokratyczna własność, zasobne mieszczaństwo, bogaci i dobrze zagospodarowani właścianie a obok tego rzesza drobnych rentierów i ciułaczy ani myśli o zniesieniu czy ograniczeniu prawa prywatnej własności a formalnie drży przed wstrząsami przewrotu. Przy tym Francja jest krajem zasobnym, słabo tylko dotkniętym przez światowy kryzys ekonomiczny, kwestia społecznej nędzy czy plagi bezrobocia prawie że nie istnieje, a tymczasem komunizm mimo wszystko robi zastraszające postępy, natrafiając na dziwnie słaby opór społeczeństwa. Ale bo też to społeczeństwo jest głęboko przeżarte laicyzmem i antyreligijnym radykalizmem. I tu tkwi, naszym zdaniem, źródło bezkarnego i zwycięskiego szerzenia się komunizmu we Francji. Komunizm głosi ideę wprawdzie rewolucyjną, na bezwzględnym materializmie opartą, w wielkiej mierze utopijną, ale, w dzisiejszej atmosferze przełomu, potężną i porywającą masy. Otóż idei tej nie rozbroi samo przywiązanie do renty i burżuazyjnych wygód, tym mniej nie zwalczy jej antyreligijny radykalizm. Dziesiątki lat sektaryzmu bezwzględnego i wojującego przygotowało idealnie grunt pod dzisiejszy rozwój komunizmu. Bezbożny zasiew Gambetty, Ferry'ego, Viviani'ego, Combes'a, Jaurès'a, i ich towarzyszków wydaje dziś zatrute plony. Działalność tych polityków i mężów stanu możnaby scharakteryzować słowami, które napisał J. de Maistre o współczesnych sobie ateuszach: „Ludziom tym jeden tylko przyświeca cel: odrywać sprawy ludzkie od Bóstwa, *séparer de la divinité*“. I oto bezbożnemu laicyzmowi udało się rozbroić moralnie francuski lud. Skrępowano religię przez drakońskie prawa a nowe pokolenie wychowano w szkole nie tylko bezwyznaniowej ale wprost wrogiej religii. Potężny, masoński związek nauczycielstwa, liczący dziś ponad 80.000 członków stał się

czynnikiem odchrześcijanienia młodej Francji. Nic więc dziwnego, iż hasło komunizmu „religia, opium dla ludu” znajduje we Francji tak silne echo.

Byłoby oczywistą krzywdą pomniejszać rolę i znaczenie Kościoła we Francji. Ma on swoje bohaterskie karty w historii katolicyzmu ale to nie zmienia faktu, iż Kościół we Francji stracił niestety wpływ na szerokie masy. Istnieją całe departamenty, w których między hierarchią a ludem wznosi się chiński mur uprzedzeń a nawet nietajonej nienawiści. Francja posiada bezwątpienia katolicką elitę, której może jej pozazdrościć nawet katolicka Polska, ale francuski kler pomimo swego wyrobienia oraz wysokiej duchowej wartości stoi ciągle bezsilny wobec potężnej mafii radykalizmu. Wiele na ten smutny fakt złożyło się przyczyn, nie miejsce tutaj je analizować. Podkreślimy przynajmniej jedną, iż słusznie czy niesłusznie szerokie masy ludu uważają Kościół i jego hierarchię za wroga demokracji a zaciętego obrońcę dawnego reżimu. Całą awanturniczą działalność *de l'Action Française* zapisała Francja na konto Kościoła, a trudno zaprzeczyć, iż *Camelots de roi* podają się istotnie za gorliwych katolików. Potępienie przez Rzym naczelnego organu tego stronnictwa, nie wiele zmieniło w tej sytuacji. Z chwilą zaś kiedy raz skutecznie wmówiono w szerokie masy, że Kościół jest ostoją reakcji, zagorzałym zwolennikiem kapitalizmu a zaprzysiężonym wrogiem republikańskiego ustroju — łatwo zrozumieć, iż wpływ Kościoła na społeczeństwo musiał niepomrotnie zmaleć. Nie pomaga olbrzymia akcja charytatywna, ani misyjne wysiłki, patronaty, heroiczna obrona wyznaniowego szkolnictwa, czy wybitne zasługi w dziedzinie nauki — szerokie masy stoją nadal pod komendą bezbożnego radykalizmu. Tym się też tłumaczy fakt, iż Kościół pomimo swej potężnej ideologii nie może we Francji przynajmniej na razie odegrać wybitniejszej roli w zapasach z zalewem komunistycznej doktryny.

I być może, iż z świadomości tej właśnie beznadziejnej beziły i przymusowej inercji zrodził się świeżo wśród katolików francuskich radykalny ruch za zbliżeniem się do szerokich mas proletariatu w imię nowych haseł. Faktem jest, iż obok komunistów ma Francja od dwu lat stowarzyszenie „chrześcijańskich rewolucjonistów”. Skupiają się oni dokoła swego wodza Maurycego Laudrain, który jest równocześnie naczelnym redaktorem organu *Terre Nouvelle*. Nazwa tego pisma nie jest nowa, gdyż od szeregu lat publikowano pod tą samą nazwą skromny kwartalnik w 300 egzemplarzach, jako organ Zjednoczenia komunistów spiritualistów. Z końcem jednak grudnia 1934 r. doszło do porozumienia Zjednoczenia z liczniejszą protestancką grupą Federacji socjali-

stów chrześcijan i głównie za sprawą p. Laudrain stworzono właśnie obóz „chrześcijan rewolucjonistów”. W połowie b. r. organ *Terre Nouvelle* osiągnął nakład 15.000 egzemplarzy i liczył 3.000 prenumeratorów. Sam wygląd zewnętrzny pisma odzwierciedla jego naczelną ideę. Na zielonym tle okładki widać półkulistą mapę Europy; krzycząca czerwień pokrywa Francję i Rosję. Olbrzymi krzyż wznosi się nad tą półkulą i rzuca na nią swój cień, ale w centrum krzyża, w spojeniu jego ramion, widnieje symbol światowego proletariatu: sierp i młot. Tak więc katolicyzm i protestantyzm zjednoczony drogą kompromisów ma podać rękę socjalistom i komunistom, by zaprowadzić nowy ustrój społeczny, oparty na sprawiedliwości dla klas pracujących. Ten nowy ustrój ma w całej pełni zaspokoić aspiracje proletariatu a tym samym zbliżyć go do stworzenia Chrystusowego królestwa na ziemi. Sierp i młot rozpięte na krzyżu urastają na miarę symbolu, który ma w sobie połączyć ideał Chrystusowej miłości z ideałem pracy. „Chrześcijańscy rewolucjoniści” chcą iść z tym symbolem w masy pracującego ludu, by mu podać krzyż w postaci nauki o braterstwie i miłości, które głosił Chrystus.

Wychodząc z tych przesłanek p. Laudrain rozpoczął płomienną agitację. Podkreślając swój katolicyzm i wzorowe życie głosi z fanatycznym uporem trybuna ludu, iż marksizm w autentycznej swej formie nie sprzeciwia się w niczym chrześcijaństwu. Cały ruch bezbożniczy jest tylko olbrzymim nieporozumieniem oraz nadużyciem socjalistycznej doktryny do zupełnie innych celów. Za oczywisty dowód, że czysty socjalizm nie zwalcza bynajmniej religii ma służyć fakt, iż angielska *Labour party*, uznana przez wszystkie międzynarodówki za prawdziwy socjalizm liczy w swych szeregach wielu praktykujących katolików a nawet członków kościelnej hierarchii. Sam wódz międzynarodówki Emil Vandervelde wyznał w jednym z swoich artykułów, iż w robotniczej międzynarodówce socjalistycznej zwłaszcza w jej sekcjach brytyjskiej i skandynawskiej znaczną większość stanowią chrześcijanie. Na 4.500.000 członków tej organizacji można tylko około 1.500.000 uznać za bezwyznaniowych lub bezbożnych. Tak więc materializm historyczny, na którym opiera się marksizm, nie musi się łączyć z materializmem filozoficznym czyli ateizmem. Spajanie jednej ideologii z drugą jest jaskrawym nadużyciem. Dlatego też „rewolucjoniści chrześcijańscy” uważają komunistów za swych towarzyszy o tyle o ile głoszą oni hasła społecznego przewrotu i walki z kapitalizmem ale zwalczają ich bezwzględnie w dziedzinie haseł bezbożniczych. To też nie ma mowy o zasymilizowaniu komunizmu przez chrześcijaństwo, rzecz to zresztą równie zbędna jak i niemożliwa. Wszak dwie te doktryny znajdują

się w dwu zupełnie odmiennych poziomach. Komunizm tkwi w porządku ekonomiczno-społecznym a chrystianizm w dziedzinie ducha i metafizyki. Wprawdzie Kościół katolicki posiada także swój program społeczny, przejęty szlachetnymi zamiarami, ale zamiary te nie wystarczą do stworzenia społecznego ustroju. Kościół bowiem mając pełne posłannictwo głoszenia swych zasad moralnych nie ma prawa narzucać swym wiernym jakiejś określonej techniki społecznej, bo jego zasady moralne mogą się dać pogodzić z innymi technikami społecznego ustroju. I dlatego katolicy muszą mieć pełną swobodę w wyborze tego ustroju, który, nie sprzeciwiając się w niczym Chrystusowej nauce, realizuje lepiej dobro ogólne. Otóż „rewolucjoniści chrześcijańscy” uznają socjalizm za najidealniejszą formę społecznego ustroju a ponieważ kapitalizm jest jego radykalnym zaprzeczeniem, dlatego kapitalizm ten muszą zwalczać i to wszelkimi godziwymi środkami, nie wyłączając zbrojnej rewolucji, zgodnie zresztą z tezą wielu teologów katolickich, którzy głoszą, iż w pewnych wypadkach dozwolonym jest powstanie i wojna przeciw tyranowi, zgodnie też i z tą drugą tezą, iż nie tylko swej osoby ale i dóbr swoich wolno bronić przed niesprawiedliwym napastnikiem. Tym tyranem jest dziś właśnie kapitalizm, on też jest najniesprawiedliwszym napastnikiem, grabiącym nie tylko dobra materialne ale przede wszystkim dobra ducha. To też „rewolucjoniści chrześcijańscy”, uznając w całej pełni Boży autorytet władzy, żadną miarą nie mogą się zgodzić na przyznanie charakteru sakralnego funkcjom wykonywanym przez potentatów kapitalizmu. Pragną więc złożyć ten autorytet Boży w godniejsze ręce, rozróżniając między posłuszeństwem dla Boga a posłuszeństwem dla władzy cywilnej, która nie uznaje woli Bożej. Do takiego rozsądzenia sprawy uprawniają same wypadki dziejowe, wykazując dowodnie, ile nieszczęść i zbrodni płynie z przedłużania i tolerowania systemu, który się legitymuje przed narodami swą prawnie przejętą władzą. Tymczasem zdrowy rozum wykazuje, iż ta rzekoma władza jest tylko jednym wielkim nadużyciem, radykalnie sprzecznym z Ewangelią. Nadejdzie niewątpliwie dzień, kiedy sam Kościół potępi kapitalizm jako taki i napiętnuje związane z istotą tego systemu niemoralne nadużycia, potępiając tym samym i władze legalne, któreby system ten usiłowały podtrzymać.

Chwila ta jeszcze nie nadeszła, gdyż kapitalizm owładnął niestety w sprytny i podstępny sposób Kościołem i jego hierarchią. Pogańska etyka kapitalizmu zaciemniła umysły wielu teologów katolickich, nad czym boleją prawdziwi synowie Kościoła. P. Laudrain zapewnia, iż jeden z wybitnych praełatów, szanowany powszechnie w całej Francji oświadczył

mu, że „nigdy nie odczuwał w takim stopniu zależności Kościoła od klasy panującej w dzisiejszym reżimie, jak od chwili gdy został biskupem”. I dlatego obiecał modlitwy za powodzenie akcji „chrześcijańskich rewolucjonistów”, bo między nim a nimi jest ta tylko właściwie różnica, iż oni pragną zerwać okowy brutalnie, by ocalić Kościół, on zaś woli przepiłować je powoli. To też świadomi swej niesłychanie doniosłej misji chrześcijańscy rewolucjoniści, głosząc swe synowskie poddanie nauczycielstwu Kościoła w dziedzinie dogmatu, domagają się szerokiej wolności akcji w dziedzinie obywatelskiej, w wielkiej pracy nad przebudową społecznego ustroju. Nie zamierzają oni bynajmniej reformować Kościoła, lecz pragną jedynie wyzwolić także i Kościół z zabójczego uścisku kapitalizmu. A że przy tym potoczyć się mogą głowy także i sług Kościoła, którzy związali swe życie z kapitalizmem, to już jedynie nieuchronna konsekwencja zbawczego przewrotu. Co więcej na jednym z publicystycznych zebrań p. Laudrain wyznawał, iż wraz z księżmi, zwolennikami nowego ruchu rewolucyjnego, układa polityczny katalog kleru i episkopatu. „Nasza działalność i ideologia — wyznawał — nie pozwoli nam pozostawić u steru diecezji we Francji ludzi, którzy chcieliby służyć nie tylko Chrystusowi ale i mamonie...” „Oczywiście nie będziemy ich ścinać, zadowolimy się zesłaniem do jakiegoś obozu trapistów, naśladując w tym zresztą metodę samego Kościoła, który niepoprawne sługi ołtarza wysyła na pokutę do klasztorów”.

Tak się przedstawiają główne tezy chrześcijańskiej rewolucji we Francji. Tak głosi je fanatyczny trybun proletariatu p. Laudrain na łamach swego organu. Tezy to mocne, w części bez wątpienia słuszne, głoszone szczerze, opromienione aureolą entuzjazmu i dlatego znalazły już dość silny odzew, choć to dopiero początek kampanii. To też dokoła krzyża, uwieńczonego emblematem sierpa i młota stanęła dość znaczna grupa przede wszystkim młodzieży. Są tam studenci Sorbony i wyższych szkół akademickich, jest pewien odsetek urzędników, nie brak również adeptów z klasy robotniczej. Element przeważnie młody, zapalny, domagający się gwałtownej zmiany społecznego ustroju a w swych przekonaniach niewątpliwie szczerzy. Wszyscy są przekonani, iż klasa robotnicza pragnie istotnie wznieść zręby nowego ustroju, który człowiekowi pracy zapewni bezpieczeństwo oraz zaspokoi maksimum jego ludzkich potrzeb. Ale ten egoizm klasowy, jakkolwiek słuszny, nie jest główną sprężyną ich rewolucyjnych dążeń. Pragną oni przede wszystkim wprowadzić w czyn socjalizm, by uwolnić klasę robotniczą z pod jarzma kapitalizmu, realizując ustrój społeczny oparty na sprawiedliwości i braterstwie. Trzeba tylko czuwać, by

ten rewolucyjny ideał pozostał tym czym jest, a będzie na pewno ideałem wielkiej szlachetności oraz wysokiej wartości etycznej. Przy tym ci młodzi rewolucjoniści nie chcą zapomnieć o swym charakterze chrześcijan i dlatego pragną zaszczerpieć w rewolucjonizowanych masach Chrystusowego ducha. Socjalizm nie przejęty do głębi duchem Ewangelii grozi bowiem zwyrodnieniem w kontakcie z materią i użyciem. Tylko chrystianizm może zapewnić bojowcom rewolucji niezłomną energię i ustrzec ich przed pokusami zatonięcia w ziemskich rozkoszach czy upojenia się zdobytą władzą. Stąd hasło: „jesteśmy socjalistami, gdyż jesteśmy chrześcijanami.“

Główne ogniska nowego ruchu istnieją w Paryżu, Lyonie, w Autun, w Orleanie, oraz w kilku innych miastach. Odezwał jednak w szeregach organizacji socjalistycznej międzynarodówki oraz komunistów dotychczas prawie że żaden.

I w tym tkwi może największa tragedia wewnętrzna wodzów chrześcijańskiej rewolucji, tu może jednak również tryśnie źródło otrzeźwienia młodych zagorzców, zanim nie pochłonie ich moloch bezbożnego komunizmu.

Jest rzeczą nawskroś oczywistą, iż Kościół nie może poprzeć swą powagą czy choćby otoczyć życzliwą opieką tego ruchu młodych zapaleńców wyzutych z poczucia rzeczywistości i zamykających oczy na historię dążeń czerwonej międzynarodówki. Wytoczenie procesu Kościołowi, iż odstąpił od ducha Ewangelii i stał się sługą kapitalizmu jest w swej zaczepnej stylizacji, w swym fanatycznym upowszechnieniu oskarżeń i obrazą i krzywdą. Rewolucjoniści ci tworzą świadomie czy może podświadomie karykaturę Kościoła i karykaturę kleru, by może tym śmieiej rzucić mocne hasło o wyzwolenie Kościoła. Hasło w swej rozciągłości fałszywe, jak fałszywym jest twierdzenie, że Kościół nie może głosić swojej nauki społecznej. Jest to jawne potępienie społecznych encyklik Leona XIII i Piusa XI, jawne odrzucenie enuncjacji papieża, iż socjalizm nie utopijny ale ten praktyczny, historyczny i dzisiejszy nie da się pogodzić z katolicyzmem. Marks był materialistą i marksizm opiera się na materializmie, nie tylko w dziedzinie socjologii, jak przyznaje Laudrain, ale i metafizyki. Chrystus nie był rewolucjonistą, nie zaprowadzał społecznego ładu siłą, nie głosił hasła fizycznej przemocy, więc wszelkie ruchy dla których cel uświęca środki, które apelują do krwawego przewrotu, które głoszą supremację klasy... nie mogą legitymować się Chrystusowym duchem.

Piętnując z ogromnym oburzeniem rzekome nadużycia panoszące się w Kościele równocześnie zamykają oczy chrześcijańscy rewolucjoniści na wszystkie zbrodnie komunizmu.

Wołające o pomstę do Boga prześladowanie religii w Rosji, w Meksyku czy Hiszpanii, mordowanie księży, oraz bezbronných zakonnic, okrutna niewola w jaką zakuli lud czerwoni tyrani Kremlu — wszystko to na łamach organu chrześcijańskiej rewolucji nie jest piętnowane z tym przekonaniem, jakiego należałoby się spodziewać od chrześcijan. I to jest fakt mocno pódęjrzany, którego nie okupią słowne utarczki p. Laudrain w obronie religii na komunistycznych mitingach.

Nic więc dziwnego, iż rzymska Kongregacja św. Officium, stojąca na straży katolickiego dogmatu i katolickiej etyki, potępiła 8 lipca br. swym dekretem i zamieściła na indeksie *Terre Nouvelle*, organ rewolucjonistów chrześcijan.

Przy tej okazji dołączyła przestrożę, skierowaną do wszystkich wiernych, przestrzegając ich przed wszelkimi publikacjami, które podstępnie, zwłaszcza pod pozorem przyjaznego współdziałania w dziełach miłosierdzia, zachęcają katolików do współpracy ze zwolennikami komunizmu. Z kolei papież Pius XI dn. 9 lipca dekret ten św. Officium swoją najwyższą powagą potwierdził oraz polecił ogłosić.

Sytuacja dla wierzących katolików jasna. Czy wpłynie decydująco na zahamowanie ruchu chrześcijańskiej rewolucji we Francji, pokaże przyszłość. Przypuszczamy, iż ruch się utrzyma, wszak w redakcji proskrybowanego organu obok naczelnego redaktora p. Laudrain jest jeszcze trzech katolików, ale prócz nich trzech protestantów, dla których dekrety rzymskie są niczym. Ponieważ zaś w szeregach zwolenników tego ruchu jest dość znaczny odsefek protestantów, więc i sama organizacja przetrwa przynajmniej jakiś okres czasu. Zlikwiduje ją dopiero życie, które wykaże dowodnie, że wszelkie pakti z komunizmem czy socjalizmem, wszelkie próby uchrześcijanienia tych społecznych doktryn są w najlepszym razie utopią, jeśli nie sprytną grą agentów Kominternu, działających w myśl instrukcji VII kongresu: „rozsadzać od wewnątrz!” Nie tędy wiedzie droga do realizacji *Civitatís Dei*.

Tak więc we Francji i prawe skrzydło katolickie nacjonalistycznej *Action Française* i skrajnie lewe *Terre Nouvelle* znalazły się na indeksie, szamocąc się w swych sprzecznościach czy utopiach, rozbijając katolicki front, wprowadzając zamęt w sumienia a tymczasem potężna fala komunizmu, tego autentycznego, bezbożnego i krwawego, prze zwycięsko naprzód pod osłoną frontu ludowego, na którego czele stoi tow. żyd Blum. Może dopiero krwawy wstrząs czerwonej rewolucji, ku której Francja dość szybko podąża, wyzwoli, podobnie jak na iberyjskim półwyspie, siły prawdziwej katolickiej Francji. Może i tam znajdą się lwy Alkazaru, w każdym razie trzeba będzie ich szukać nie w szeregach *de*

l'Action Française czy *de chrétiens révolutionnaires* ale podobnie jak w Hiszpanii pośród katolików pełnej krwi.

Dekret rzymski choć dotyczy bezpośrednio Francji ma znaczenie także i dla Polski, wszak i u nas pojawiały się hasła wzywające do „rozwiniecia czerwonych sztandarów katolicyzmu”, i u nas nie brak młodych zapaleńców, którzy zbawienie Kościoła i państwa widzą w rewolucyjnym radykalizmie i hasel i czynów. I dla tych młodych, często szlachetnych i pełnych idealizmu fanatyków, tragedia p. Laudrain winna być zbawczą przestrogą.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Łuna od Hiszpanii — Polityka w cieniu katedr — Walka o pakt —
Widnokreśli londyńskie — Gdańsk.

Jeden z dzienników warszawskich zamieścił niedawno dziwnie piękną w swej dramatycznej i symbolicznej wymowie fotografię z pola walki hiszpańskiej. Szczyt starożytnej dzwonnicy kościelnej. Tuż obok dzwonów, usadowiona jak w okopie pośród spiętrzonych załamań dachu garść obładowanych amunicją żołnierzy praży ogniem karabinowym niewidzialnego przeciwnika. Ponad fotografią napis „pieśń dzwonów hiszpańskich” oraz motto: *Vivos voco, mortuos plango, fulgura frango...*

Fulgura frango... Pioruny kruszę... Głos dzwonów dziwny urok rzuca na dusze ludzkie. Koi melancholijną słodyczą, pociąga tęsknotą, ufność budzi potęgą, porywa majestatem, zachwyca pięknnością. Zawładnął sercami człowieczeństwa nie tylko od strony wiary, której bezpośrednio służy, lecz i w świeckie życie sięgnął tak głęboko jak samo chrześcijaństwo. Ileż razy zwiastował wielkie przełomy. Milczeniem nawet bywa wymowny, gdy go ucisk przytłumi, jak w Moskwie, ażeby „nie przeszkadzał w pracy”. Po wielekroć w dziejach głos ten, tak przedziwnie kojarzący słodycz z potęgą — „kruszył pioruny”. Nie zawsze natychmiast gdy go z dzwonnicy strącały, ale zawsze niezawodnie.

Tym razem, w Hiszpanii nastąpiło to stosunkowo szybko, a jednak niewcześniej jak po paru latach ofensywy czerwonych podpalaczy świątyń. Kilkaset ich podobno uległo zniszczeniu, zanim w obronie wiary i z jej ducha poczętej kultury zabłysnął hiszpański miecz. Odtąd wprawdzie zniszczenie jeszcze się wzmożło, ale już tylko nieuniknione zniszczenie bojowe, okupione dobrą nadzieją zwycięstwa. Z jej promieniem w duszy łatwiej przeboleć roztrzaskane wybuchami min pod Alkazarem 700 średnio-

wiecznych witraży słynnej katedry w Toledo. Łatwiej przeboleć wyrwy od granatów na słonecznych placach Madrytu, dostojne mury pałaców pod huraganowym ogniem artylerii oraz cały ten, bezprzykładny od lat stu, szturm na przeszło milionowe miasto, zdobywane jak Saragossa za Napoleona z dzielnicy w dzielnicę, z ulicy w ulicę, z gmachu do gmachu.

Nie na próżno leje się w Hiszpanii krew i kruszą od pocisków arcydzieła. Łuna stamtąd bije na całą Europę. Rzuca odblaski na psychikę i na politykę. Przede wszystkim przez Francję. Wypadki hiszpańskie zaskoczyły ją w stanie wewnętrznego rozstroju spowodowanego przez kryzys gospodarczy a skomplikowanego społecznie i politycznie przez tryumf wyborczy lewicy. Zaskoczyły Francję wypadki hiszpańskie również w stanie dezorientacji zewnętrznej wywołanej remilitaryzacją Nadrenii oraz nowym antagonizmem anglo-włoskim. W obu tych dziedzinach, wewnętrznej i zewnętrznej, tragedia hiszpańska wprowadziła Francję w położenie krytyczne. Śmiało rzec można, iż zależnie od wyniku wojny domowej u południowego sąsiada, Francja będzie zmuszona odpowiednio przystosować tak swój ustrój jak stanowisko międzynarodowe. Gbyby zwyciężyła hiszpańska komuna to niezawodnie rozzuchwaliłoby to jeszcze bardziej skrajną lewicę francuskiego „frontu ludowego”, spotęgowało jej anarchiczne wicherzenia strajkowe i mogło popchnąć do prób dyktatury komunistycznej. Tym snadniej że wtedy na arenie międzynarodowej francusko-sowiecki pakt wzajemnej pomocy miałby zapewnione poparcie i... gwarancję marksistowskiej Hiszpanii. W razie zaś zwycięstwa hiszpańskich powstańców podniosłyby głowę francuskie faszystowskie *croix de feu* oraz wogóle żywoły pravicowe; a to tym łatwiej, że wówczas Francja zostałaby z trzech stron osaczona przez rządy autorytatywne, i antymarksistowskie, które miałyby poważne powody i dobre widoki udaremnienia zarówno społecznego przewrotu we Francji, jak jej sojuszu z Bolszewią.

Od wyniku wojny hiszpańskiej zależy więc w wielkiej mierze zarówno ustrój jak stanowisko międzynarodowe Francji. To dla nikogo nie może być obojętne, rozstrzyga bowiem z kolei o międzynarodowym układzie sił w Europie i bezpieczeństwie państw poszczególnych. Czy układ ten ma obejmować Rosję w sojuszu z Francją, a tym samym zabezpieczać czerwone imperium przed hitlerowskimi Niemcami, lub też przeciwnie ma wyłączyć Moskwę? A jeśli tak, to w jakich warunkach i czy dostatecznie bezpiecznie dla bezpośrednich sąsiadów Niemiec? Na te pytania odpowiedział Hitler już w marcu br. po wojskowym zajęciu Nadrenii. Przed słynną katedrą w Kolonii nieomal przysięgał (jest katolikiem „z paszportu”), że Niemcy „zrzekają się wszelkiego odwetu i wszelkich roszczeń terytorialnych wobec wszystkich państw, z którymi Niemcy graniczą, a zatem z wyjątkiem Moskwy. Stawiał przy tym za warunek, że Europa zechce wespół z Niem-

cami utworzyć solidarny front przeciwbolszewicki — kulturalny, oraz przeciwsowiecki — polityczny.

Niestety zapewnieniom tym, jak się to zresztą dowodnie później okazało, ufać nie było można, dopóki nie zostałyby należycie obwarowane odpowiednimi gwarancjami. Sprawa nowego układu sił w Europie pozostała więc nadal otwartą i ewoluowała pod wpływem trzech głównie czynników: 1^o odmowy Polski przystąpienia do paktu z Sowietami, dzięki czemu stał się on dla Francji mało wartościowym 2^o rozterki anglo-włoskiej, która ochłodziła stosunek Włoch również do Francji i wywołała próby ugody Włoch z Niemcami nawet w tak drażliwej dla obu państw sprawie jak niepodległość Austrii, oraz wreszcie 3^o wojny hiszpańskiej. Czynniki te wywołały już częściowy zwrot w sytuacji, w postaci odwrótu Francji od Sowietów na rzecz odbudowy przymierza z Polską. Tego rodzaju zwrot niezbyt odpowiadał życzeniom Niemiec, i niezbyt interesował Włochy, to też oba mocarstwa faszystowskie, zdając sobie sprawę z wpływu hiszpańskich rozstrzygnięć na postawę Francji, nie szczędziły kosztów dla poparcia powstania, podobnie jak Moskwa — Madrytu.

Hiszpania poczęła wyrastać do miary teatru próby sił między marksyzmem, a faszyzmem w Europie. Straszliwa groza śmiertelnych zapasów na iberyjskim półwyspie akcentowała tym silnie nie tylko społeczną i polityczną, lecz również psychiczną i kulturalną wagę światowego sporu dwóch najpotężniejszych współczesnych namiętności ludowych, oraz dwóch typów monopartyjnego totalizmu, które z nich wyrosły. W miarę jak powstanie osiągało przewagę nad Madrytem, mocarstwa faszystowskie tym usilniej głosiły hasła obrony kultury przed zalewem czerwonego barbarzyństwa. Stosunek Niemiec do sprawy kultury był jednak niejasny ze względu na antykatolicyzm i nowe pogaństwo. To też przed kilku tygodniami Hitler delegował samego głównego winowajcę tych grzechów, szefa „wychowania partyjnego” Alfreda Rosenberga do wygłoszenia przed międzynarodowym audytorium w Berlinie dwu odczytów poświęconych gloryfikacji narodowego socjalizmu i Niemiec jako potęgi broniącej skarbu kultury europejskiej (z Wawelem włącznie) przed niebezpieczeństwem zagłady ze strony bolszewickiego Wschodu. Co najznamienniejsze to fakt, że Rosenberg zdobył się przy tym nawet na pewien ukłon pod adresem Kościoła katolickiego, apelując do jakiegoś kardynała, który rzekomo ma hitleryzm oceniać właściwie i pozytywnie.

Potem odbyły się znane narady włoskiego min. spr. zagr. hr. Ciano z rządem i kanclerzem rzeszy w Berlinie i Berchtesgaden. Na nich oparł ostatnią swą wielką mowę polityczną Mussolini. Jej inscenizacja kulturalna zorganizowana została po mistrzowsku. Uroczysty dzień Wszystkich Świętych. Mediolan. Wielki prostokąt placu katedralnego, akustyczny niczym hala koncertowa, wyłożony posadzką z płyt kamiennych, obramowany gmachami,

przystrojony flagami. Pośrodku ponad całe architektoniczne otoczenie piętrzy się białomarmurowy kolos gotyckiej archikatedry „ósmu cud świata”, tysiącami posągów zdobny. Na placu morze ludzkie, 250 tysięcy sfłoczonych głów. Na fasadzie świątyni, na purpurowej aksamitnej draperii wielki napis: „Niechaj Chrystus Król da długie wieki zwycięskiej Italii i jej wodzowi, ażeby cywilizacja świata mogła z chrześcijańskiego Rzymu czerpać wieczne światło”. Wspaniałe tło, porywające hasło, jakże wymownie dobrane w kontraście z ościenną Hiszpanią, brodzącą we krwi, wśród osmalonych pożogą kościelnych zgłiszcz, pokruszonych granatami kolumn, wśród szkliwa potrząskanych bezcennych witraży. Śmiało też wezwanie rzucił światu z pod mediolańskiej archikatedry wódz Italii. Niechaj narody skupią się dokoła Włoch i Niemiec jako centralnej w Europie „osi pokoju” oraz jako ostoji kultury przeciw bolszewickiej dziczcy.

Wezwanie do silidarności w obronie kultury słuszne, ale jej oś organizacyjna zaprojektowana zbyt subiektywnie. Solidarność ta jest politycznie niemożliwa, dopóki nie zostanie ustalony taki system równowagi sił pomiędzy Niemcami i Włochami oraz ich sąsiadami, który by tym ostatnim także i bez poparcia Rosji zapewniał należyte bezpieczeństwo, wobec niewygastrych rewizjonistycznych dążeń włosko-niemieckich na terenie Europy. Italia i Trzecia Rzesza myślą jednak teraz o czymś zgoła innym. Posądzane są o chęć wskrzeszenia, z pewnymi modyfikacjami, paktu czterech z r. 1933.¹⁾ Ten układ miał na celu zapewnić ze strony mocarstw zachodnich swobodę ruchów Niemcom przeciw polskiemu Pomorzu, a Włochom — w dorzeczu Dunaju. Został ubezwładniony przez wielki „blok wschodni” państw bałkańskich i naddunajskich z Polską i Rosją na czele. Obecnie Włochy i Niemcy są potężniejsze niżli przed trzema laty, bo forsownie dozbrojone. Niemcy zaś ponad to, wzmocniły swą pozycję obronną wobec Zachodu przez wojskową reokupację Nadrenii. Położenie Francji pogorszyło się z przyczyn wewnętrznych oraz skutkiem wojny hiszpańskiej, stosunki polsko-rosyjskie są nadwężone. Równocześnie jednak Włochy niepokoją się zbrojeniami Anglii na morzu Śródziemnym oraz nawiązanym przez króla Edwarda kontaktem z państwami bałkańskimi.

W takiej koniunkturze oba mocarstwa faszystowskie w hastępujący sposób uzgodniły swe działania podczas odwiedzin hr. Ciano w Berlinie: 1^o Niemcy domagają się, ażeby tzw. „nowe Locarno”, czyli mający być odnowionym po remilitaryzacji Nadrenii pakt gwarancyjny reński, ustanawiał absolutną nietykalność granic zachodnich i nie przewidywał żadnych wyjątków w związku z bezpieczeństwem wschodnich sąsiadów Niemiec. To znaczy że po prostu zrywałby nie tylko francusko-sowiecki „układ wzajem-

¹⁾ Patrz artykuł „Europa powojenna” w niniejszym zeszycie.

nej pomocy", lecz także przymierze Francji z Polską i Czechosłowacją. Tym samym zostałaby urzeczywistniona idea „paktu czterech” z r. 1933 z dodatkiem wzmocnionej przewagi wojskowej Niemiec i pogorszonych stosunków polsko-rosyjskich. W tych warunkach w zupełnej niezależności od „nowego Locarna” Niemcy byłyby gotowe prolongować układ pokojowy z Polską i zawrzeć nowy z Czechosłowacją; ale że nie za darmo o tym świadczy wzmógł się od pewnego czasu niemiecki nacisk na Gdańsk. 2^o Włochy domagają się paktu gwarancyjnego śródziemnomorskiego, który praktycznie zmierzał by do tego, aby w razie ataku Anglii przeciwko Włochom, flota francuska obowiązana była przyjść im z odsieczą. 3^o Jeżeli Italia takiej gwarancji nie otrzyma, to poprzez żądania niemieckie w sprawie „nowego Locarna” w ten sposób, że gotowa będzie zawrzeć z Niemcami formalny sojusz przeciwko Francji. Mocą tego sojuszu zobowiązałyby się do uderzenia na Francję od strony Alp, gdyby Francja uderzyła na Niemcy od strony Renu, chociażby to Francja uczyniła w obronie Polski, uprzednio zaatakowanej przez Niemcy. Jest to zatem perspektywa blisko obchodząca Polskę, bo łącznie z fortyfikacją Nadrenii przez Niemcy, sprowadzałaby wartość przymierza z Francją dla Polski do zera, niemniej skutecznie, niż proponowana przez Berlin formą „nowego Locarna”.

Te postulaty wysunięte zostały ze strony Niemiec i Włoch częściowo oddzielnie, jeszcze przed odwiedzinami Ciano w Berlinie; następnie zaś, po uzgodnieniu, znalazły rozgłosny choć dyplomatycznie złagodzony wyraz w mediolańskiej mowie Mussoliniego. Nawiasowo wtrąćmy, że z pośród faktów świeżej daty równoległe z inicjatywą niemiecko-włoską podążała królewsko-belgijska deklaracja neutralności. Mowa Mussoliniego doczekała się prawie natychmiastowej odpowiedzi i to z miejsca o sympatii dla bolszewickiej zarazy niepodważanego, a świetnością tradycji kulturalnej nie ustępującego placowi katedralnemu w Mediolanie. Udzielił jej naprzód król Edward VIII w mowie tronowej wygłoszonej w pałacu westminsterskim, w izbie lordów, na otwarciu najstarszego z parlamentów Europy. Odpowiedź sprecyzował potem min. Eden w izbie gmin. Odpowiedź nie była odmowną ale stawiała sprawę zasadniczo tak: naprzód musi być zawarte nowe Locarno, nie po myśli niemieckiej, lecz mocarstw zachodnich, to znaczy z uwzględnieniem co najmniej sojuszków ze wschodnimi sąsiadami Niemiec, może nawet z Rosją. Gdy to nastąpi wówczas będzie można pomówić także o pakcie śródziemnomorskim, którego pragną Włochy.

Efekt tej błyskawicznej odpowiedzi również natychmiastowo poparty został dwoma ważkimi posunięciami politycznymi, przygotowanymi uprzednio. Do Londynu przybył na zaproszenie rządu Jego Brytyjskiej Mości polski min. spr. zagr. p. Józef Beck, oraz o parę dni później jugosłowiański ks. regent Paweł, spokrewniony z angielskim domem panującym a zaprzyjaźniony z Edwardem VIII

podczas jego letniej podróży po morzu Śródziemnym. Obie te wizyty londyńskie mają bardzo interesującą perspektywę. Regent jugosłowiański chciał się porozumieć z dworem i rządem brytyjskim co do dalszej solidarnej postawy wobec Włoch, przedyskutowanej już w lecie; obecnie zaś Mussolini w mediolańskiej swej mowie poczynił Jugosławii propozycje pojednawcze, równoległe do włoskich życzeń wobec Anglii. Polskiego ministra dwór i rząd angielski podejmował z tak ostentacyjną okazałością, że niewątpliwym jest, iż chciano w ten sposób zamanifestować ze strony Anglii chęć wkroczenia na tę samą linię polityczną, na którą weszła Francja podejmując latem w Paryżu, z monarszymi niemal honorami, naczelnego wodza wojsk polskich. Jest to linia odsuwająca na drugi plan pakt z Rosją, wysuwająca zaś na plan pierwszy francuskie sojusze z bezpośrednimi wschodnimi sąsiadami Niemiec. Anglia wobec tych sojuszów zachowywała się dotąd znacznie chłodniej niż wobec Berlina. Obecnie solidarność niemiecko-włoskiej przeciwstawiła ściślejsze swe zbliżenie nie tylko z Francją, lecz także z jej najbliższymi wschodnimi sprzymierzeńcami Polską i Jugosławią.

Jest to zwrot, który może pociągnąć poważne konsekwencje, jeśli Anglia w nim wytrwa i wprowadzi go materialnie w czyn. Włochy i Niemcy wystąpiły z groźbą, że zamurują i unieruchomią Zachód poza liniami jego fortec, same zaś opanują europejski środkowy-wschód pod hasłem antybolszewizmu, o ile Zachód sam na to im nie pozwoli przyjmując niemiecką formę „nowego Locarna”. W warunkach jakie się wytworzyły nie można tej groźby odeprzeć z pomocą Rosji. Ważniejszą i jedynie rozstrzygającą przeciwwagę wytworzyć jest zdolne gospodarcze i militarne wzmocnienie środkowego wschodu, przede wszystkim Polski przeciw Niemcom, oraz Jugosławii przeciwko Włochom. Zamierzyła to uczynić Francja za pomocą przyrzeczonej latem pożyczki zbrojeniowej dla Polski w wysokości miliarda złotych. Francja jednak popadła w stan rozstroju, który jej dotrzymanie umowy kredytowej utrudnia. Anglia mogłaby ją w tym zastąpić, lub też współdziałając z Francją rozszerzyć rozmiary kredytu dla sprzymierzeńców wschodnich. Ułatwić może również to zadanie pośrednio fakt ponownego wyboru na nową kadencję czteroletnią prezydenta Roosevelta w Ameryce. W wykonaniu umowy zawartej z Anglią i Francją przy dewaluacji franka spodziewać by się należało, iż Roosevelt zechce dać dobry przykład partnerom i światu, znizując cła amerykańskie. Gdyby to znalazło naśladowców gdzie indziej, to wzmogłyby się zapewne obroty handlu międzynarodowego, ulga w kryzysie gospodarczym posunęłaby się o krok dalej, przeszkody dla realizacji kredytu, nawet politycznego, zmalały by.

Gdyby zaś umocniwszy Jugosławię, Anglia przyznała następnie Włochom śródziemnomorski pakt gwarancyjny, to tym samym oderwałaby je od Niemiec i odosobniła Niemcy. Mogłaby wtedy

współ z Francją i Polską łatwiej skłonić Niemców do rozsądniejszej postawy w sprawie gwarancji granic na zachodzie i na wschodzie, oraz — wyperswadować im Gdańsk. Włosi to czują i podważają zabiegi. Niemcom rzednie mina.

Taka wstępna regulacja jest nieodzowna, ażeby móc podjąć dalsze wysiłki nad pogłębieniem solidarnej współpracy międzynarodowej w Europie do tego stopnia, jakiego wymaga skuteczny odpór wobec komunizmu. Więcej nawet, do stopnia który by umożliwił wyjście pozytywne i trwałe z wielkiego kryzysu cywilizacji.

Andrzej Prawdziec.

Wobec projektu „Ustawy Eugenicznej“.

Przedstawiono już i omówiono krytycznie na łamach *Przeglądu P.* projekt polskiej ustawy eugenicznej.¹⁾ Dokoła tego projektu toczą się w dalszym ciągu ożywione dyskusje a, co jest rzeczą najzupełniej zrozumiałą, świat lekarski nie trzyma się w tych dyskusjach na uboczu. Oczywiście nie brak lekarzy zdecydowanych zwolenników projektu. Trzeba jednak podkreślić, iż i ze strony świata lekarskiego podniosły się liczne głosy krytyki, a przynajmniej daleko posuniętych zastrzeżeń. Wśród krytyków pierwsze miejsce zajmują lekarze, stojący świadomie przy światopoglądzie katolickim. W Warszawie ci właśnie lekarze-katolicy utworzyli specjalną komisję, która pod przewodnictwem dra Kl. Łazarowicza odbyła w maju (5 i 14) dwa posiedzenia a po gruntownym rozpatrzeniu sprawy i przestudiowaniu problemu zajęła zdecydowanie negatywne stanowisko wobec całego szeregu postulatów projektu polskiej ustawy eugenicznej.

Jakkolwiek w toku rozważań i dyskusji wyłoniły się pewne wątpliwości natury dogmatycznej, w kwestii zwłaszcza sterylizacji, mimo to na wniosek przewodniczącego postanowiono zająć się rozpatrzeniem projektu przede wszystkim z punktu widzenia czysto lekarskiego, co i tak pozwoliło zebrać bardzo obfity materiał. W rezultacie badań i dyskusji ustalono ostatecznie, iż projekt musi wywołać z wielu względów sprzeciwu ogółu uczciwie myślących lekarzy, gdyż odbiega znacznie od przyjętych zasad etyki lekarskiej. A oto podsumowane wyniki narad i rozważań warszawskiej Komisji lekarskiej.

Lekarz wykonywujący zabieg operacyjny, który ma znaczenie kary, podejmuje się tym samym przynajmniej w pewnym znaczeniu roli kafa i chociaż mogą znaleźć się jednostki, które np. ze względów utylitarnych funkcję tę wykonają, jednak stan

¹⁾ Ks. St. Podoleński: Projekt polskiej Ustawy Eugenicznej. *Przegląd Powszechny* 1934, grudzień, str. 387—393.

lekarski jako całość musi ze względów zasadniczych zastrzec się przeciwko narzucaniu mu podobnej roli; co więcej, należy wątpić, czy sami twórcy projektu podjęliby się tej niezaszczytnej roli.

Ze sprawą tą wiąże się ściśle zerwanie z przyjętą dotychczas zasadą konieczności uzyskania zgody pacjenta na wykonanie zabiegu operacyjnego. Projekt ustawy eugenicznej zasadę tę obala.

Z chwilą zaprowadzenia kartotek zdrowia przestaje istnieć tajemnica lekarska, gdyż kartoteki mają prowadzić władze administracyjne, skąd wiadomości łatwo mogą dojść do osób trzecich, tym bardziej, że o żadnej tajemnicy obowiązującej prowadzących kartoteki projekt nie wspomina.

Z punktu widzenia obecnego stanu wiedzy lekarskiej projekt nasuwa również wiele wątpliwości, podnoszonych przez szereg powag lekarskich, co zresztą potwierdziła opinia 3 Izb Lekarskich, mianowicie lubelskiej, łódzkiej i poznańsko-pomorskiej, to znaczy wszystkich, które narazie w sprawie projektu zdążyły się wypowiedzieć. Wymienione Izby podkreśliły przedwczesność projektu, niejasność niektórych artykułów ustawy bądź ich niewykonalność.

Dane liczbowe, zaczerpnięte z czasopisma *Higiena Psychiczna*, w którego redakcji pracują naogół zwolennicy projektu ustawy eugenicznej, przedstawiają się następująco: według Rüdina tylko 10% dzieci epileptyków zapada na epilepsję, lecz nie należy zapominać, że, obok wypadków znacznego upośledzenia umysłowego, wśród epileptyków mamy przykłady geniuszy (np. zapewne epileptyczne ataki Napoleona, Mahometą); tenże autor przytacza, że wśród schizofreników jedynie 9—10% potomstwa choruje również na tę chorobę, a w psychozie maniako-depresyjnej 17,3%. Przypadki tego cierpienia zdarzają się szczególnie wśród tzw. cyklików, którzy wykazując nawet objawy psychozy często są elementem wartościowym, a nawet należą do jednostek wybitnych. Zresztą cierpienia powyższe, podobnie jak i płasawica wrodzona (*chorea Huttingtoni*), objawiają się dość późno, gdy chorzy zdążyli już mieć zdrowe potomstwo. — Entres obserwował 5 pokoleń od chorego na płasawicę Huttingtona i z posteród 102 potomków — zaledwie 13 osobników było chorych. — Osoby obciążone dziedziczną ślepotą i głuchotą, jak również ciężkim alkoholizmem, mogą mieć potomstwo zupełnie zdrowe, a nawet odczuwające wstręt do alkoholu.

Jak widać z powyższych danych procent wypadków dziedziczenia nie jest zbyt duży i aczkolwiek u niektórych autorów spotykamy liczby znacznie wyższe, jednak co do tego panuje duża rozbieżność zapatrywań; zresztą przekonywamy się, że natura sama oczyszcza ludzkość od typów zdegenerowanych i trzeba jej w tym umiejętnie pomagać, a nie gwałtownie ją poprawiać, gdyż,

jak niektórzy obliczają, w samych Niemczech trzeba by wyjąć około 400 tys. osobników, a na zniknięcie chorych czekać ze 2000 lat.

Lekarze muszą również zaprotestować przeciwko zamierzonej reformie jako obywatele kraju, gdyż piętrzenie niesłychanych utrudnień i kontrolnych formalności przed każdym zamierzonym związkiem małżeńskim prowadziłoby w rezultacie, zwłaszcza wśród ludu, do szerzenia rozpusty, mnożenia się małżeństw dzikich, do wrogiego stosunku ludności do władz państwowych, i do obniżenia przyrostu ludności ze szkodą dla potęgi militarnej państwa.

Przy kwalifikowaniu do grupy osób zasłużonych, którym państwo ma pomóc finansowo w razie zawierania małżeństwa, rozwinąłby się niewątpliwie system protekcji i poza tym wiadomości urzędnika stanu cywilnego, który dowiedziawszy się o chorobie wenerycznej jednej ze stron może żądać nowych zaświadczeń, opierałyby się na donosicielstwie a niekoniecznie byłyby prawdziwe. Powyższe względy miałyby nadto niewątpliwie ujemny wpływ na rozwój pojęć etycznych w społeczeństwie.

Nawiązując więc do poszczególnych artykułów projektu. Komisja zajęła następujące stanowisko.

Dział I. O poradnictwie przedślubnym.

Art. I. punkt 1. Obowiązkowe świadectwa przedślubne, które mogłyby uniemożliwić małżeństwo, nie powinny być wprowadzane; natomiast strony winny mieć obowiązek przedstawienia zaświadczeń, stwierdzających jedynie zasięgnięcie porady lekarskiej przedślubnej, podobnie jak to istnieje we Francji.

Punkt 2. Określenie ważności świadectwa przedślubnego na dwa tygodnie nasuwa przypuszczenie, że wszystkich kandydatów do małżeństwa uważa się za ludzi nieetycznych, bądź niemoralnych, a z punktu widzenia lekarskiego nie wytrzymuje najłżejszej krytyki, gdyż ktoś może się zarazić nawet w przeddzień ślubu, chociażby w czasie tzw. „pożegnania kawalerstwa“.

Punkt 3. Zastrzeżenia przeciwko donosicielstwu o chorobie zostały już omówione wyżej.

A więc z powyższego działu pozostaje jako realny środek jedynie jak najszersza propaganda badań przedślubnych i kładzenie nacisku na odpowiedzialność za zdrowie współmałżonka oraz potomstwa, a w dalszej konsekwencji co najwyżej wprowadzenie obowiązkowych zaświadczeń stwierdzających, że „N. N. odbył poradę przedślubną“.

Dział II. O pomocy dla nowożeńców.

Art. 7 nie mówi, kto ma kwalifikować obywateli do grupy zasłużonych; następnie podkreśla wprawdzie wartość fizyczną i umysłową człowieka, ale niemal przemilcza stronę etyczną.

W art. 8 niejasny jest punkt d) o ubezpieczeniu dzieci przez gminy, samorządy i państwo.

Domoc dla nowożeńców jest niewątpliwie godna najgorętszego poparcia, ale dla wszystkich, bo jedynie takie stanowisko byłoby sprawiedliwe i przekreślało omówione już niebezpieczeństwo protekcji.

Dział III. O kartotekach zdrowia.

Nie nadaje się wogóle do przyjęcia, gdyż stwarza ogromny, a więc i kosztowny aparat biurokratyczny, stosy zbędnych papierów, a celowość zaprowadzenia podobnych kartotek nie wytrzymała próby życiowej w czasie stosowania ich np. w wojsku. Istnienie ich np. w b. zaborze pruskim było oparte na dawnym prawie pruskim i żołnierz musiał obowiązkowo zgłaszać się na zabieg profilaktyczny, a w razie zachorowania ujawnić źródło zakażenia.

Otóż dla uniknięcia kary zgłaszano się bardzo często już w okresie choroby, aby uzyskać notatkę stwierdzającą zgłoszenie się do zabiegu, a przy ujawnieniu źródła zakażenia nierzadko oskarżenia były fałszywe, czego podłożem była chęć zemsty osobistej, a osoby zainteresowane narażano na niepowetowane straty natury moralnej.

Dział IV. O zmniejszeniu ciężarów związanych z opieką społeczną.

Zastrzeżenia natury lekarskiej w stosunku do art. 16 zostały już omówione.

Poza tym wiadomo jest, że wyjąłowanie, chociaż przekreśla zdolności rozrodcze, jednak nie usuwa niebezpieczeństwa gwałtów, lub czynów niemoralnych, tym bardziej że popęd piciowy może być wzmocniony. Sam zaś fakt sterylizacji niekoniecznie musi być odczuwany jako kara, przeciwnie, niektóre jednostki mogą traktować go nawet jako wygodną premię za niemoralne życie.

Steryilizację jako karę możnaby zastąpić np. deportacją na odludną wyspę, co przy pewnych staraniach byłoby niewątpliwie wykonalne.

Art. 22 czyni przewrót w sądownictwie, zaliczając lekarza w skład sądu jako sędziego orzekającego, co dla stanu lekarskiego wcale nie jest pożądanym, a poza tym daje władzom administracyjnym (wojewodom) wpływ na skład sądu, co otwiera pole do różnych nadużyć.

Reasumując, należy stwierdzić, że cała ustawa oparta jest na przesłankach wybitnie materialistycznych (zmniejszenie ciężarów opieki), małżeństwo traktuje jako hodowlę ludzi, stwarza niestychane trudności w życiu codziennym, a ponieważ podstawy naukowe są również niepewne, należy ją uznać za szkodliwą i przedwczesną, zwłaszcza, że wiele spraw pilniejszych dojrzało do załatwienia.

W obronie samoistości polskiej kultury musimy protestować przeciwko importowaniu obcych wzorów i eksperymentów, na których wyniki należy jeszcze dłuższy czas poczekać.

Polityka społeczna państwa polskiego 1918—1935 r.

Było to rzeczywiście śmiałym przedsięwzięciem, chcieć przedstawić dzieje i wyniki polskiej polityki społecznej od r. 1918 do połowy 1935 r. Ktokolwiek śledził u nas rozwój tych prac, przeczucił kilkanaście sporych tomów *Pracy i Opieki Społecznej*, spróbował zapoznać się z ustawodawstwem niektórych przynajmniej działów i choć spojrział na stosy związanej z nimi literatury, rozpraw, broszur, czasopism i sprawozdań, ten potrafi ocenić wartość dzieła, które w krótkim systematycznym zarysie zdołało streścić cały ten ogromny materiał.

Obok objętości materiału niemałą trudność mogła nadto stanowić okoliczność, że najwyższa instytucja, do której należało kierownictwo działami, zaliczanymi dziś do polityki społecznej, ulegała co pewien czas nowym przeobrażeniom. Dość nadmienić, że początkowe Ministerstwo Opieki Społecznej i Ochrony Pracy zostało już po kilku miesiącach, dekretem z dn. 4 kwietnia 1918 r. przekształcone na Min. Zdrowia Publicznego, Opieki Społ. i Ochrony Pracy; wskutek tego przeszły do niego także sprawy służby zdrowia, które dotąd należały do Min. Spraw Wewnętrznych. Nie minęło jednak pół roku, a już dekret Rady Regencyjnej z dn. 30 października 1918 r., wprowadził nowy podział na Min. Zdrowia Publicznego i Opieki Społ., oraz osobne Min. Ochrony Pracy. Ten stan rzeczy przetrwał zaledwie kilkanaście dni, po czym, dn. 14 listopada 1918 r., utworzono Min. Pracy i Opieki Społ., które objęło cztery sekcje: ochrony pracy, ubezpieczeń społecznych, pośrednictwa pracy i emigracji robotniczej, opieki społecznej; przejściowo należała tu również dziedzina robót publicznych, która z końcem stycznia 1919 r. przeszła do Min. Robót Publicznych. Sprawy zdrowia objęło z początkiem 1919 r. osobne Min. Zdrowia Publ.; to ostatnie zostało w r. 1924 zniesione dla względów oszczędnościowych, a agendy jego podzielono zrazu między Min. Spraw. Wewn. i Min. Pracy i Opieki Społ., od roku zaś 1932 przekazano w całości (oprócz spraw techniki sanitarnej) Ministerstwu Pracy i Opieki Społ., które w lipcu tegoż roku zostało znowu przemianowane na Min. Opieki Społecznej. Dodać można, że obok tych, zasadniczych, zachodziły jeszcze co jakiś czas zmiany w łonie samego Ministerstwa, w formie reorganizacji, nowych statutów, przydzielania i odłączania różnych agend itd.

Jeśli mimo tej płynności form organizacyjnych zdołano zestawić całokształt działalności w dziedzinie polityki społecznej, zawdzięczać to należy ujęciu jej ze strony czysto rzeczowej, niezależnie od zaznaczonych powyżej przemian. Jest to zasługa Komitetu Wydawniczego w Gabinetzie Ministra Opieki Społ., który opracowanie poszczególnych części powierzył urzędnikom tychże

działów w Ministerstwie Op. Społ. W rezultacie otrzymaliśmy spory tom, objętości 457 stron, pt. *Polityka Społeczna Państwa Polskiego, 1918 — 1935* (Warszawa, nakł. Min. Opieki Społ.), dający nam — jak w przedmowie zaznaczył b. minister O. S., Wł. Jaszczolt — „obraz dróg, którymi poszła nasza Rzeczpospolita Polska w swych bezpośrednich wysiłkach nad podźwignięciem bytu i polepszeniem warunków pracy szerokich warstw, szczególnie potrzebujących pomocy i opieki państwa”.

Obraz ten mógł jednak wystąpić wyraziście jedynie na tle wypadków, które — jak pozostałości po rządach zaborczych, ekonomiczne i społeczne następstwa wojny, konieczność tworzenia wszystkiego od podstaw, powtarzająca się dewaluacja i stabilizacja pieniądza, światowy kryzys gospodarczy — wpływały na ukształtowanie się rzeczywistości i stąd wymagały odpowiednich metod działania, ograniczały lub rozszerzały jego możliwość. Wychodząc z tego założenia poświęcił też Komitet Wydawniczy kilkadziesiąt stron nakreśleniu takiego tła. Jest to rozdział rzeczywiście cenny, gdyż pozwala zorientować się w sytuacji, a przy tym stanowi sam w sobie pewnego rodzaju całość, obejmującą polityczne i gospodarcze dzieje naszego kraju w omawianym okresie czasu.

Niemniej ten właśnie rozdział nasuwa nam pewne krytyczne uwagi. O tym, że nasze ustawodawstwo społeczne, zwłaszcza dotyczące zagadnień pracy i ubezpieczeń społecznych, wyrosło ponad miarę, wiadomo ogólnie. Przyczyniła się do tego najbardziej okoliczność, że resort ten od początku przejęli socjaliści, którzy z właściwym sobie doktrynerstwem i chęcią zjednania sobie mas, nie liczyli się z rzeczywistością, lecz rozbudowali ustawodawstwo społeczne do takich rozmiarów, że przerastało możliwości gospodarcze naszego kraju. Dopiero w jakiś czas po nastaniu rządów pomajowych ster Ministerstwa Opieki Społ. wypadł z rąk P. P. S., lecz było już za późno, gdyż najważniejsze pociągnięcia ustawodawcze zostały tym czasem dokonane. Następcy nie mogli oczywiście zrealizować niewykonalnych rzeczy, a socjaliści wygrywali ten atut przed niezadowolonymi masami, tłumacząc im, że tylko za ich rządów było ubezpieczonym dobrze. Był to chwyt podobny jak wtedy, kiedy z cudzej kieszeni gospodarowali na swój rachunek; milionowe fundusze Ubezpieczalni (przedtem Kas Chorych) były bowiem pieniądzem publicznym, przy tym w lwiej części wydobyty od pracodawców, a tym czasem, w przemówieniach i w prasie, socjaliści odzywali się zawsze do robotnika w tym duchu: to my, P. P. S., ci to dajemy!

Potrąciliśmy tę sprawę nawiasem, ponieważ we wspomnianym poprzednio rozdziale „Tło polskiej polityki społecznej” zastajemy parę szczególnie uprzejmych ukłonów pod adresem P. P. S., których ze względów rzeczowych nie rozdzielamy.

Następne rozdziały omawianej książki informują nas bliżej o poszczególnych odcinkach polityki społecznej naszego państwa. Obejmują one: 1) zagadnienia pracy w najszerszym tego słowa znaczeniu, oraz związane z nimi sprawy ochrony pracy, rynku pracy i bezrobocia, oraz emigracji; 2) ubezpieczenia społeczne; 3) opiekę społeczną nad dorosłymi i dziećmi; 4) pomoc inwalidom i 5) sprawy związane ze zdrowiem publicznym. Poprzedzone częściowo krótkim wstępem historycznym, sięgającym niekiedy do czasów zaborczych, uzupełnione licznymi danymi statystycznymi i wykresami, dają nam te rozdziały dostateczny pogląd na całokształt wymienionych zagadnień. Autorom ich należy się uznanie za włożoną pracę i umiejętny wybór spośród rozległego materiału, zarówno ustawodawczego, jak faktycznego.

Streszczać tych rozdziałów,* które już same są streszczeniami, nie podobna wobec szczupłych rozmiarów niniejszego sprawozdania. Ustępy o ochronie pracy, pośrednictwie pracy, walce z bezrobociem, ubezpieczeniach społecznych, pomocy inwalidom wojennym i zdrowiu publicznym, trzeba przeczytać w całości. Starannie i przejrzystość jest też opracowany pogląd opieki społecznej, o której, zwłaszcza w zakresie opieki nad matką i dzieckiem, pisaliśmy niejednokrotnie obszerniej w *Przeglądzie Powszechnym*.

Aktualnym, ze względu na poruszany coraz częściej — już nie tylko u nas, ale i na forum międzynarodowym — problem ludnościowy, jest rozdział o ruchach emigracyjnych. Polską, która nadwyżkę ludności od dawna wysyłała do krajów zamorskich (przed wojną rocznie około 250 tys.), a ponadto, zwłaszcza na roboty sezonowe, także do europejskich (rocznie przed wojną blisko 600 tys.), znajduje się dziś w ciężkim położeniu wobec surowych ograniczeń emigracyjnych, zapoczątkowanych w r. 1922 przez Stany Zjednoczone Am. P.

Jeszcze od listopada 1918 r. do końca 1931 r. emigrowało z Polski przeciętnie rocznie około 50 tys. osób do krajów zamorskich i około 74 tys. do europejskich. Od odzyskania niepodległości do końca 1934 r. wyjechało z naszego kraju 691.088 emigrantów za morze, a 593.523 do krajów europejskich, nie licząc sezonowców (razem z nimi 1.017.282 osób). Lecz już od 1931 r. rozpoczyna się zahamowanie emigracji, owszem następuje reemigracja, która w pewnych latach przewyższyła liczbę emigrantów o kilkanaście tysięcy. Najsilniej zaznaczył się, wywołany bezrobociem i postawą władz miejscowych, ruch powrotny robotników polskich z Francji; w przeciągu czterech lat, 1931—1934 r., powróciło ich 88 tys.

O ile chodzi o sytuację obecną, to w Stanach Zjedn. Am. P., które były przed wojną największym terenem emigracji, nie zanoszą się dziś na zmianę ograniczeń. Kanada, mieszcząca około 100 tys. Polaków i 300 tys. Rusinów, może przyjąć tylko nie-

licznych emigrantów z Polski. Daleko lepsze widoki przedstawia Argentyna, w której znajduje się około 150 tys. obywateli polskich. Mniej przychylne są one w Brazylii, mającej okragło 200 tys. Polaków i 75 tys. Rusinów. Palestyna wreszcie, dzięki pomocy światowej organizacji żydowskiej, zdołała w ciągu 16 lat, od 1919—1934 r., przyjąć z Polski około 60 tys. Żydów. Liczba emigrantów żydowskich w te strony rosła, w r. 1933 było ich przeszło 10 tys., a w r. 1934 ponad 12 tys.; reemigracja z Palestyny zaznaczyła się jedynie w latach 1926 i 1927.

Ostatnie wnioski, jakimi autor rozdziału o ruchach emigracyjnych kończy swe sprawozdanie, nie brzmią wesoło: 1) Przede wszystkim sądzi on, że zahamowanie tych ruchów ma charakter długotrwały, ponieważ jest następstwem zasadniczych przesunięć w światowej strukturze gospodarczej. 2) Emigracja osadnicza do krajów Ameryki nie może zostać podjęta, dopóki kraje te nie wprowadzą odpowiedniej polityki kolonizacyjnej, polegającej m. i. na znacznym obniżeniu kosztów nabycia osady, oraz zapewnieniu dogończego kredytu na przejazd i zagospodarowanie się na miejscu. 5) Dużą stratą jest dla nas również obecny zanik czasowej emigracji zarobkowej; skutek niego przepadają bowiem poważne kapitały, które tą drogą napływały dawniej do kraju i pozwalały, uboższemu zwłaszcza warstwowi, zdobyć podstawy lepszej egzystencji. — Toteż zagadnienie wychodźstwa, trwałego i czasowego, stanowi dziś przedmiot poważnej troski Rządu i, jak wiadomo z dzienników, poruszone zostało niedawno przez delegata Polski na terenie Ligi Narodów.

Współpraca Polski z Ligą Narodów w zakresie polityki społecznej, oraz współdziałanie z różnymi instytucjami międzynarodowymi, jak: Urzędem Higieny Publicznej, Organizacją Pracy, Stowarzyszeniem Postępu Społecznego i Czerwonym Krzyżem, stanowi przedmiot ostatniej części i daje ogólne ale wystarczające pojęcie o tej dziedzinie.

Książkę zamyka potrójny spis rzeczowy: alfabetyczny, porządkowy i wykresów, co pozwala z łatwością znaleźć żądany przedmiot.

Na tym zamknęlibyśmy sprawozdanie o wydawnictwie, które radzimy przeczytać każdemu, kto interesuje się jakimkolwiek spośród wymienionych zagadnień polityki społecznej. Polityka ta, w dzisiejszej swej formie, jest czymś nowym i tym tłumaczy się, dlaczego państwo polskie mogło tu stanąć w pierwszym szeregu, obok najbardziej zaawansowanych krajów. Trudności ekonomiczne stanęły na przeszkodzie wykonaniu niejednej pożytecznej rzeczy, ale z chwilą usunięcia ich będziemy mogli stopniowo uzupełnić resztę programu.

Ks. St. Podoleński T. J.

Biennale wenecka.

Włochy, posiadające taki ogrom bezkonkurencyjnych wprost powabów, przyciągających tłumy turystów i pielgrzymów, Włochy z których Bóg w przyrodzie, a geniusz ludzki w swych tworach stworzył zaczarowaną krainę piękna, drugą każdego Europejczyka ojczyznę, potrafiły stworzyć i trwale utrzymać długi szereg imprez kulturalnych czy rozrywkowych, potęgujących i wzmacniających nieprzerwaną falę turystów. Przez te imprezy stare zabytki, stare powaby aktualizują się niejako, nabierają świeżości, w zamian za to dają nowym imprezom nieporównane, jedyne w swoim rodzaju tło. Jedną ze starszych takich imprez, posiadającą już nawet swoją tradycję, to Biennale wenecka, wielki pokaz międzynarodowy współczesnej sztuki, bezprzecznie największa tego rodzaju światowa impreza artystyczna. Ani doroczne salony paryskie, ani inne sporadyczne wystawy, organizowane w ramach międzynarodowych wystaw nie dorównują weneckiej Biennale tak pod względem ilości wystawianych dzieł jak i pod względem znaczenia. Nic więc dziwnego, że wystawa ta, będąca wielką rewią współczesnej sztuki, ściąga co dwa lata liczne dziesiątki tysięcy zwiedzających (w r. b. było ich ponad 200,000). Nie potrzeba oczywiście tłumaczyć jak wielkie znaczenie gospodarcze posiada tak wielki zjazd obcych dla Wenecji; pewne pojęcie o masowości tego zjazdu może dać fakt, że we wrześniu były dni, w które nie można było znaleźć pokoju w hotelach bliskich dworca, o ile się go przedtem nie zamówiło, a hotele leżące przy placu św. Marka miały prawie komplety.

Te masy zwiedzających nie upoważniają jednak do wyciągania wniosków o zwiększonym natężeniu zainteresowania sztuką współczesną. Koleje włoskie przyznały przybyšom 50% zniżki nie tylko w drodze do Wenecji i z powrotem, ale również 4 bilety żniżkowe w dowolnych turach. Warunkiem uzyskania tych żniżek było jednak ostępowanie karty w biurze wystawy. Znajdowało się ono w przedśionku pawilonu włoskiego, z tąd w jego salach było mimo śloty dość nawet rojno, za to w pawilonach państw wionęło pustką, po salach przechadzali się znudzeni woźni i przeciągały znudzone, chroniące się przed deszczem koty. W dnie pogodne było oczywiście lepiej, wogóle jednak wystawa entuzjazmu nie wzbudziła, znaczny odsetek zwiedzających przybycie na wystawę uważał tylko za konieczny środek zdobycia pożądaných żniżek.

Bo też rzeczywiście wystawa może wywołać tylko wielkie rozczarowanie. Wielka liczba wystawionych dzieł i reprezentowanych artystów powiększa tylko natężenie tego rozczarowania. 748 artystów włoskich, 515 artystów obcych, w tem 610 malarzy, 253 rzeźbiarzy, 237 grafików, 128 ilustratorów i 35 mistrzów przemysłu artystycznego. Jeszcze wyższych cyfr trzeba użyć przy zestawieniu liczby wystawionych dzieł. Sztuka włoska reprezento-

wana była 1905 dziełami, sztuka pozawłoska 1745. W ogólnej sumie 3650 eksponatów, było obrazów 1698, rzeźb 585, dzieł graficznych 880, książek 300 (ilustracje i oprawy) i 187 przedmiotów przemysłu artystycznego (wyłącznie włoskie).

Przekraczając progi wystawy, miałem już określone dwa zagadnienia, które pragnąłem sobie rozwiązać. Włochy przeżywają obecnie okres niezmiernie intensywnej pracy społeczno-narodowej, okres wielkiego odrodzenia, wielkiej ekspansji kulturalnej i politycznej. Faszyzm, który uratował Włochy od przewrotu komunistycznego, po okresie bojowym, w którym burzył stary porządek i niszczył wrogów, wszedł w okres przekształcenia i przerobienia całego społeczeństwa w duchu swojej ideologii. Praca ta ma się dokonywać na wielkim i wspinałym tle wskrzeszonych aspiracji rzymskiego cesarstwa. Już dziś możemy stwierdzić, że większość społeczeństwa włoskiego dała się porwać tym dalekosiężnym perspektywom, a wojna abisyńska, a przede wszystkim niefortunne sankcje, które miały w intencji ich inicjatorów sprowadzić upadek faszyzmu, sprowadziły zjednoczenie i scementowanie społeczeństwa. Dopiero we Włoszech, w atmosferze tamtejszej, czuje się namacalnie wielkość klęski, jaką poniosła Anglia, przez przeformowanie nieskutecznych sankcyj. Tej ekspansji imperialistycznej odpowiada niezmiernie intensywna wewnętrzna praca organizacyjna oraz zdumiewająca działalność inwestycyjna. Olbrzymie roboty publiczne, melioracje, budowy autostrad, elektryfikacja kolei i gospodarstwa, to wszystko oszałamia i zadziwia, wywołuje u Polaka zazdrość i wstyd.

Mając te wszystkie fakta jakby w jednym obrazie przed oczyma, nie można przy przekraczaniu progów *Biennale* nie postawić sobie pytania: czy i jak ten cywilizacyjno-polityczny rozmach narodu włoskiego wyraził się i zaznaczył w sztuce? Zagadnienie niezmiernie interesujące, o znaczeniu ogólnym! Czy spotęgowanie, napięcie rozwojowych sił w społeczeństwie na polu gospodarstwa narodowego i polityki ma za odpowiednik także samo napięcie twórczości artystycznej?

Odpowiedź na to pytanie wypada niestety — ujemnie. Spotyka nas na całej linii zawód. *Rinascimento* polityczno-gospodarcze Włoch nie zapowiada nowego odrodzenia sztuki, nawet jeszcze przesłańców nie widać, którzyby prostowali drogi dla wielkich geniuszów. Wśród 1905 wystawionych dzieł włoskich jest sporo rzeczy pięknych, nawet bardzo pięknych, zwłaszcza w dziale retrospektywnym, w salach zajętych przez artystów „zaproszonych”. Z przyjemnością oglądamy dzieła artystów już bardzo podeszłych wiekiem, odpowiadających naszemu Chełmońskiemu, Stachurskiemu, Matejce, Malczewskiemu, Stanisławskiemu. Podziwiamy przede wszystkim wielkie bogactwo palety Hektora Tito, ale to wszystko jest już przeszłością, to karta zamknięta sztuki włoskiej. Włoska sztuka współczesna, sztuka żywa nie zdradza

ani znamion wielkości, ani znamion oryginalności, jest bliźniaczo podobna do współczesnej kosmopolitycznej sztuki, posiada wszystkie jej niedostatki i niedomagania. Ani razu moją duszą, moim sercem nie szarpnęło żadne głębsze, silniejsze uczucie, ani razu nie odczułem tego oczarowania i bezinteresownego zadowolenia kontemplacji, jaka chwyta duszę, serce, wyobraźnię wobec sztuki wielkiej. Około tych tysięcy obrazów i rzeźb przechodzimy obojętnie, wyjątkowo zbudzi się jakieś zainteresowanie, częściej wzbiera w nas oburzenie na bezczelność i nonszalancję artystyczną tych malarzy, mających odwagę wystawiać nieprawdopodobne w niechlujstwie rysunkowym i barwnym kicze, lub futurystyczne łamięłówki, przypominające malowidła umysłowo chorych. Wszelkie rekordy pobijają obrazy, wystawione przez futurystów włoskich w sowieckim pawilonie. Ten przypadkowy zbieg okoliczności, spowodowany nie wzięciem udziału w *Biennale* przez Sowiety, jest jednak znakomitą symbolą, oddającym istotę włoskiego futuryzmu: anarchizm, nihilizm i aberacja. Sztuka nie jest geometrią wykreślną; kombinacje dowolne linii, trójkątów, trapezów, płaszczyzn, pouzupełniane poprzyczepianymi kawałkami blachy, skóry, tektury, zwojami drutów, nie stworzą dzieła sztuki. Wykres geometryczny ma swoją logikę, ma ideę konstrukcyjną, obraz futurystyczny nie posiada nawet tej logiki konstrukcyjnej, jest irracjonalny, jest absurdem. Nikogo nie przekonają szumne wstępy, wyjaśniające wewnętrzny sens obrazów, pozostaną one bezsensowną igraszką. Marinetti, wódz futurystów włoskich, w rzeczywistości albo wielki maniak, albo wielki błagier, wmawia w widza, że rzekome sceny batalistyczne z Abisynii oddają nie tylko bezustanny dynamizm walki, o ile on wyraża się w zjawiskach optycznych, ale mają wyrażać nawet wszystkie zjawiska akustyczne, wszystkie doznania walczących, wogóle pełnię rzeczywistości walki, a tymczasem nie wyrażają niczego, i gdyby nie było podpisu, nawet najbystrzejszy obserwator nie domyśliłby się zamierzeń pseudoartysty. To samo musimy powiedzieć o religijnych obrazach futurystycznych niejakiego czy niejakiej nazwiskiem Fillia, bo nie podano nawet imienia; kombinacje kół i trójkątów czy innych figur geometrycznych raz mają przedstawiać św. Rodzinę, drugi raz św. Antoniego, a kiedyindziej znowu aż wieczność. Interesujące natomiast tak kolorystycznie jak i konstrukcyjnie są obrazy, wyobrażające pejzaże z lotu ptaka oraz aeroplany w locie, są to jednak kompozycje graficzno-dekoracyjne, a nie sztalugowe.

Gdyśmy się wyżej zastrzeżli, że wśród dzieł artystów włoskich są także i rzeczy dobre, piękne, to mieliśmy na myśli przede wszystkim rzeźbę. Obok prac futurystów czy rzeźbiarzy, hołdujących przesadnemu prymityzmowi, a właściwie świadomej brzydocie i zniekształceniu form, spotykamy dwa silnie zaznaczające się kierunki. Jeden nawraca do sztuki klasycznej czy renesans-

sowej, cechuje go doskonałość techniki, ale i pewna zimność, akademickość, przypominająca rzeźbę neoklasycyzmu; drugi zaś kierunek hołduje realizmowi, przechodzącemu w naturalizm, szukający silnego, często krzyczącego wyrazu. Nie mogąc Czytelnikom przedstawić materiału ilustracyjnego, nie wymieniamy, nazwisk, które same nie mówią; nie możemy jednak przypominać milczeniem ładnej a wielkiej rozmiarami kompozycji (gips patynowany) p. Liwii Papini de Kuzmik, przedstawiającej „Ucieczkę do Egiptu“.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad sztuką włoską, ponieważ jej charakterystyka jest równocześnie charakterystyką współczesnej sztuki światowej, a tym samym daje nam odpowiedź na drugie pytanie, którego rozwiązania świadomie szukaliśmy w pawilonach *Biennale*. Mając sposobność w ostatnich latach oglądać kilka większych wystaw międzynarodowych, z wielkim zaciekawieniem śledziłem chociażby za zapowiedzią jakichś nowych naprawde żywotnych kierunków, któreby oczyściły zatęchłą atmosferę współczesnej sztuki, będącej (poza architekturą i sztuką stosowaną i za wyjątkiem starszych artystów) jedną wielką błagą, jednym wielkim monstre-kiczem. Niestety nie znalazłem! Dużo obiecujące nawroty do wczesnego renesansu, których wyrazem w Polsce jest szkoła prof. Śledzińskiego i Bractwo św. Łukasza, na *Biennale* ledwie się tu i ówdzie nieśmiało zaznaczyły; wogóle panuje tandeta i miernota rzadko dociągająca poprawności; czasem spotkamy dobry portret, to znowu niezły pejzaż czy martwą naturę, doskonałą rzeźbę, arcydzieła nie znajdziemy.

Współczesna rzeczywistość ma w sobie tyle dynamizmu, tyle zawiera momentów dramatycznych, nie wydaje jednak, jeżeli już nie genialnych, to przynajmniej wybitnych artystów, którzyby natchnieni rzeczywistością współczesną potrafili zakłąć ją na wieki w utworach wielkich, w arcydziełach. Żadne programy artystyczne nic tutaj nie pomogą, wielkiej sztuki nie stworzą; tę rodzą wielcy artyści, a tych niema. Stwierdzenie wielkiego upadku sztuki, oto krótko ujęte wrażenie z *Biennale* weneckiej.

Przechodząc sale pawilonów narodowych, czujemy przykry ucisk monotonii, jaka rozlała się w tych setkach obrazów i rzeźb. Najbardziej dodatnie wrażeni sprawia pawilon grecki, gdzie pejzaże i portrety Argyrosa U., Calligasa P., Mathiopolusa P., i Lytrasa N. odznaczają się doskonałym opanowaniem strony technicznej, świetnym rysunkiem i kolorytem oraz ozarem prawdziwej poezji. Wysoko stoi — rzecz to zresztą znana — grafika holenderska; zajęła ona wszystkie ściany pawilonu holenderskiego, obrazów nie pokazano ani jednego. W pawilonie węgierskim wybija się silna artystyczna indywidualność młodego jeszcze rzeźbiarza Eugeniusza Abonyj (ur. 1907); jego marmurowy posąg św. Elżbiety jest wprost czarujący w swej ekspresji, wyrażającej niewypowiedziany wdzięk złączony z harmonią. W pawilonie

angielskim nie obestanym przez Anglików, wystawiono dzieła artystów obcych, pracujących we Włoszech, największy tutaj procent płócien naprawdę pięknych i wartościowych, a twórczy, ożywczy wpływ środowiska przyrody włoskiej i sztuki włoskiej zaznacza się wprost namacalnie. Wśród kilkudziesięciu obrazów wystawionych w tym dziale 7 widoków Rzymu Belebodoroffa Andrzeja uważam za najlepsze rzeczy całej *Biennale*.

A pawilon polski? O nim mówię na ostatku, bo też świadomie na samym końcu dopiero, po oglądnięciu całej wystawy przekroczyłem jego progi. Pragnąłem bowiem dzieła tam wystawione ujrzyć niejako na bezpośrednim tle światowej sztuki. Niestety, porównanie to z braku materiału porównawczego ze strony polskiej jest niemożliwe do przeprowadzenia. Pokazano nam dzieła 2 malarzy, 1 rzeźbiarza i 8 grafików. M. Treter nie tylko dyrektor Tow. Krzewienia znajomości sztuki polskiej zagranicą, ale także i dyktator tego Towarzystwa, programowo nie dopuszcza na *Biennale* dzieł wielu artystów, lecz daje wystawy zbiorowe nielicznych artystów wybranych, pragnąc w ten sposób powoli w szeregu następujących po sobie *Biennale* zapoznać świat z polskimi artystami. Takie postawienie sprawy nie jest pozbawione pewnej racjonalności, budzi jednak słuszenie poważne sprzeciwy; wielu artystów nie doczeka się nigdy swej kolejki; pierwszej umrą, niż spotka ich zaszczyt wystawiania na *Biennale*. Przy wystawianiu co dwa lata dzieł kilkudziesięciu artystów zachodzi znacznie mniejsze niebezpieczeństwo skrzywdzenia i pominięcia rzeczy wartościowych, niż przy wystawieniu dzieł 2 malarzy, jednego rzeźbiarza i kilku grafików. Nasi artyści zupełnie słuszenie bardzo boleśnie odczuwają metodę przywilejów, stosowaną przez p. Tretera. W rb. dopuścił on na *Biennale* Fr. Pautscha, artystę pracującego w kraju, oraz T. Makowskiego, artystę pracującego w Paryżu. Wybór Pautscha nie budzi żadnych zastrzeżeń; bujna indywidualność artystyczna tego malarza, żywy, gorący koloryt jego obrazów bardzo korzystnie odbijają na tle ogólnej monotonii tysięcy innych płócien. Nie podzielamy jednak entuzjazmu, z jakim p. Treter pisze o obrazach Makowskiego; niedołęstwo rysunku, niechlujstwo formy, prymitywizm kolorytu i nicość treści, oto przymioty, stawiające obrazy Makowskiego w rzędzie najbardziej prowokacyjnych i oburzających. Nazwanie Makowskiego św. Franciszkiem malarstwa, należy uznać za bluźnierstwo, a nowoczesnym Breughelem za grube przesadzone pochlebstwo. Drugą natomiast dodatnią wartością pokazu polskiego jest wystawienie prac 8 naszych doskonałych grafików ze Skoczylasem na czele. Zakupienie przez króla włoskiego świetnej „Ucieczki do Egiptu” Bartłomiejczyka, a przez Muzeum morskie w Trieście „Wojennego okrętu polskiego” Chrostowskiego - Ostoi, jest zasłużonym wyrazem uznania.

Takie są moje wrażenia, refleksje i sądy o tegorocznej *Biennale*! Wypadły ujemnie, bo nieliczne wyjątki nie mogą zmienić opinii o całości. Znalazła ta opinia bardzo silne potwierdzenie, gdy po kilkunastogodzinnym pobycie na *Biennale* oglądałem w *Palazzo Rezzonico* urządzoną tamże wystawę weneckiego Settecenta. Tam odetchnąłem z ulgą, jak się oddycha po wyjściu z dusznej, zadymionej sali na świeże powietrze. Sztuka XVIII w. nie jest już sztuką pierwszej klasy, a jednak kontrast olbrzymi. Wnętrza, meble, obrazy, rzeźby, stroje, przedmioty codziennego użytku, a więc przede wszystkim porcelana, oto prozaiczny wykaz przedmiotów, które na wspaniałym tle barokowo-rokokowego pałacu, stawianego przez Longhenę, ozdobionego freskami i malowidłami Tiepola i Luca Giordana, zamieniają się w barwny korowód, przedstawiający nam życie weneckiego Settecenta, ostatniego wieku samodzielnych dziejów „Królowej Adriatyku”.

Ks. St. Bednarski T. J.

NACZELNY REDAKTOR: KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.

Druk ukończono dnia 30 listopada 1936 r.

Spis rzeczy tomu 212.

Artykuły:

	Str.
E. Kosibowicz: Wspólny front przeciwkomunistyczny . .	3
L. Skoczylas: Szkoła jako czynnik wychowania moralnego	14
A. Kliszewicz: Przełom w nauce	27, 171, 327
J. Święcicki: Z problematyki „Pierwszego Legionu” . . .	39
St. Podoleński: Dzisiejsza młodzież szkół powszechnych .	55
St. Szczutowski: Agonia złotego cielca	70
J. Ptaszycki: Wobec hiszpańskich wypadków	86
E. Elter: Autorytet prawa	129
R. Piotrowicz: Imperium Brytyjskie w nowej fazie rozwoju	137
B. Bojułka: Potrójne oblicze katolicyzmu	156
F. Lasoła: Masoneria w polskim szkolnictwie	186
St. Szczutowski: Przebudzenie lwa	198
A. Konopka: Czteroletni plan inwestycyjny	213
J. Pawelski: Rocznice Skargi dotychczasowe a przyszłe . .	265
J. Urban: O humanizm chrześcijański	276
W. Sobański: Refleksy hiszpańskich wypadków	292
F. Muckerman: Dokoła moskiewskiego procesu	300
St. Szczutowski: Europa powojenna	313

Przegląd piśmiennictwa.

Chanoine Armand d'Agnel et Dr. d'Espiney. Direction de con- science. Psychotérapie des troubles nerveux (Ks. J. Rostwo- rowski T. J.)	96
Stanisław Stankiewicz: Pierwiastki białoruskie w polskiej poezji romantycznej. Cz. I do r. 1830 (T. Grabowski)	97
Georges Bernanos: Journal d'un curé de campagne (Ks. J. Ro- stworowski T. J.)	98
Ks. Jan Poplatek T. J.: Błogosławiony Andrzej Bobola Towa- rzystwa Jezusowego. Życie — męczeństwo — kult. (Ks. Dr. E. No- wak)	99

Jerzy Putrament: Struktura nowel Prusa (T. Grabowski) .	101
Ks. Remigiusz Dąbrowski: Dymitr Rostowski jako obrońca prawd wiary nieuznawanych dziś przez prawosławie (Ks. B. Wa- czyński T. J.)	101
M. Arct: Słownik ortograficzny języka polskiego. — Tenże: Słowniczek ortograficzny i zasady pisowni polskiej (E. Kosi- bowicz)	102
Aleksy Deruga: Piotr Wielki a Unici i Unia kościelna 1700—1711 (Jan Urban)	102
Herminia Naglerowa: Krauzowie i inni, t. III-ci — Maria Dą- browska: Szkiełko — Janusz Meissner: Pierwsze kroki — Kap. Mieczysław B. Lepecki: Sowiecki Kaukaz — Amelia Łączyńska: Dachy płoną (Zofia Starowiejska-Morstinowa)	228
Paul Valéry: Utwory wybrane — André Gide: Persefona — Paul Claudel: Młodość Violeny (Br. Wójcik T. J.)	234
Michał Janik: Na drogach myśli ludowej (T. Grabowski) .	237
Ostap Ortwin: Próby przekrojów (T. Grabowski)	237
Ks. Dr. Kowalski: Obowiązek i charakter pracy dla Kościoła (Ks. W. Rejowicz T. J.)	238
Ks. Dr. Walery Jasiński: Na przełomie myśli wychowaw- czej (W. R.)	238
Labrousse-Mollière: Liga Praw Człowieka i Obywatela (J. P.)	239
Dr Jan Hupka: Z czasów wielkiej wojny (Ks. Jan Roztwo- rowski T. J.)	343
Leon Halban: Religia w Trzeciej Rzeszy (Ks. J. Urban) . .	343
Miscellanea Theologica (Ks. Dr Z. Kozubski)	344
Zdzisław Stahl: Polityka Polska po śmierci Piłsudskiego (Jan Urban)	345
Dr Arnold Rademacher: Religia a życie (Ks. Z. Goliński) .	346
Encyklopedia Wychowania (Ks. Z. Goliński)	347
Ks. Jan Fondaliński: Koedukacja w świetle badań współczesnej psychologii (Ks. K. Werbel)	350
Księga Pamiątkowa 50-lecia Konwiktu i Gimnazjum O. O. Je- zuitów w Chyrowie 1886—1936 (Ks. E. Kosibowicz T. J.)	351
Stefan Sremac: Pop Cyryl i pop Spirydion — Ivo Vojnović: Stare Grzechy (Zofia Starowiejska-Morstinowa)	352
Henryk Życzynski: Mickiewicz. I Młodość. (T. Grabowski) .	354
Bronisław Gładysz: Cassiodore et l'organisation de l'école médiévale. (T. Grabowski)	356
Zapyski Czina św. Wasylia Wetykoho. — O. M. Karowec C. S. W. W.: Wetyka reforma Czina św. Wasylia (Ks. J. Urban) .	356
P. Siwek S. I.: La structure logique de l'induction (Ks. Józef Warszawski T. J.)	357
A. Ehl: Direction spirituelle des Religieuses (J. U.)	358
Tomasz Janowicz: Czesi (W. Z.)	359
Mann Henryk: Młodość króla Henryka IV (K. K.)	359

Ks. Dr Ferdynand Machay: Finansowe wskazówki Ewangelii	
(J. P.)	359
W. Majdański: Ekonomia ziemi (J. P.)	360

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Październik: Pokłosie krwawego terroru w Hiszpanii. — Przewrotne oskarżenia. — Orędzie Ebiskopatu polskiego. — Echa i repliki. (E. Kosibowicz)	104
--	-----

Listopad: Legion Młodych Frakcja oskarża. — Program nowego Legionu Młodych. — Zapowiedź nowej partii prorządowej (E. Kosibowicz)	241
--	-----

Grudzień: Postępy komunizmu we Francji. — Akcja i hasła czerwonych chrześcijan. — Potępienie organu Terre Nouvelle. (E. Kosibowicz)	
---	--

Sprawy państwa:

Listopad: Wielka rewolucja monetarna. — Wolny han- del. — Polska w Lidze Narodów. — Kolonie i emigracja żydowska. (A. Prawdzic)	250
---	-----

Grudzień: Łuna od Hiszpanii. — Polityka w cieniu ka- tedr. — Walka o pakt. — Widnokreśli londyńskie. — Gdańsk. (A. Prawdzic)	
--	--

Stolica ku czci ks. Piotra Skargi (J. Warszawski)	114
---	-----

Camera obscura „Wiadomości Literackich“ (St. Bednarski)	118
---	-----

Bolszewizm w walce z religią (J. P.)	126
--	-----

Złoty jubileusz konwiktu w Chyrowie (Wł. Lohn)	126
--	-----

Rzymskie kongresy prasowe (St. Bednarski)	225
---	-----

Z III-ciego Polskiego Zjazdu Filozoficznego (J. C.)	260
---	-----

Wobec projektu „Wystawy Eugenicznej“ (Dr med. K. C.)	376
--	-----

Polityka społeczna państwa polskiego 1918—1935 r. (Ks. St. Podoleński T. J.)	380
---	-----

Biennale wenecka (Ks. St. Bednarski T. J.)	384
--	-----